

KAŻDA JEGO KSIĄŻKA TO ŚWIATOWY BESTSELLER!

# NELSON DEMILLE



## ZŁOTE WYBRZEŻE

Fascynująca powieść. Wielki Catsby i Ojciec chrzestny w jednym.

David Morrell



**DeMILLE NELSON**

**Złote wybrzeże #2**

**NELSON DeMILLE**

**Przełożył: ANDRZEJ SZULC**

**Tytuł oryginału:**

**THE GOLD COAST**

**Ilustracja na okładce:**

**STANISŁAW FERNANDES**

**Opracowanie graficzne:**

**ADAM OLCHOWIK**

**Redaktor.**

**MIRELLA HESS-REMUSZKO**

**Redaktor techniczny:**

**JANUSZ FESTUR**

**Copyright (c) 1990 by Nelson DeMille**

**For the Polish edition Copyright (c) 1992 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.**

**ISBN 83-85423-72-9**

**Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.**

**Warszawa 1992. Wydanie I**

**Skład: Zakład Fototype w Milanówku**

**Druk: Łódzka Drukarnia Dzielowa**

## CZĘŚĆ IV

Przedyskutujemy teraz nieco dokładniej problem walki o byt Karol Darwin O powstawaniu gatunków Rozdział 18 Nie gościliśmy Bellarosów nazajutrz w naszym domu, tak jak to sugerowała Anna. Z tego, co było mi wiadome, w najbliższej przyszłości nie planowaliśmy, prawdę mówiąc, żadnych spotkań z nimi. Sprawami towarzyskimi zajmuje się w naszym domu Susan i podobnie jak jej matka prowadzi w tym celu specjalny oprawny w skórę kalendarz. Stanhope'owie zatrudniali niegdyś specjalnego prywatnego sekretarza, którego trafniej byłoby może nazwać sekretarzem do spraw towarzyskich, i tradycja ta, jak przypuszczam, przekazywana była w tej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Nie jestem zbyt dobry w planowaniu i organizowaniu przyjęć i dlatego wszelkie moje uprawnienia w tym względzie scedowałem na Susan.

Pozbawiono mnie chyba nawet, co być może zauważyliście, prawa veta. W sprawie Bellarosów czekałem więc na komunikat z mojego domowego punktu dowodzenia.

Susan zabrała się do malowania palmiarni, co w połączeniu z faktem, że na terenie Alhambry wciąż przebywały jej konie, sprawiło, że prawie codziennie odwiedzała posiadłość Bellarosów. Nawiasem mówiąc moja żona zdecydowała, że zamiast akwareli użyje farb olejnych, co oznaczało, że cała impreza potrwa co najmniej sześć tygodni.

Susan Stanhope Sutter i pani Anna Bellarosa najwyraźniej przypadły sobie do gustu, a może nawet, jak utrzymywała moja żona, naprawdę się ze sobą zaprzyjaźniły. Byłem pewien, że na ich znajomość patrzy łaskawym okiem Frank Bellarosa, któremu chodziło nie tylko o to,

### 7

żeby jego małżonka znalazła sobie tutaj jakichś przyjaciół, ale również, by przestała mu w końcu wiercić dziurę w brzuchu w związku z wyjazdem z Brooklynu i przeniesieniem się na niebezpieczne tereny pogranicza.

Susan rzadko opowiadała coś o Franku, a ja nigdy o niego nie pytałem. Jeśli w ogóle go sobie jakoś wyobrażałem w tym potrójnym układzie, to jako kogoś, kto na kilka minut odrywa się od swoich nie cierpiących zwłoki zajęć, pomaga Susan rozstawić sztalugi, rozśmiesza jakimś powiedzonkiem obie kobiety i z powrotem znika w czeluściach swego gabinetu albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, wsiada do limuzyny i jedzie do wielkiego miasta, by przez cały kolejny dzień łamać prawo.

Prowadzenie dużej organizacji przestępczej jest, jak mi się wydaje, zajęciem bardzo

trudnym, jej szef nie może bowiem bez skrupowania posługiwać się ani telefonem, ani faksem i telexem. Tylko kontakt osobisty, bezpośrednia rozmowa, uścisk dłoni, wyraz twarzy i gest ręki pozwalają w efektywny sposób kierować organizacją podziemną, zarówno polityczną, jak i kryminalną. Przypomniałem sobie, że pierwotnie mafia była podobno podziemnym ruchem oporu wymierzonym przeciwko okupującym Sycylię obcym wojskom. Wydało mi się to całkiem prawdopodobne – wyjaśniało zarazem, dlaczego utrzymała się tak długo na amerykańskiej liście przebojów. Być może jednak u schyłku drugiego tysiąclecia jej metody okażą się nieco przestarzałe. Być może.

–Byłam dzisiaj świadkiem niesamowicie dziwacznej sceny – zakomunikowała mi któregoś wieczoru Susan.

–Tak?

–Widziałam, jak pewien mężczyzna pocałował Franka w rękę.

–Dlaczego uważasz to za dziwne? Moi młodszy wspólnicy co rano cmokają mnie w mankiety.

–Proszę cię, nie rób sobie żartów. Powiem ci coś jeszcze. Każdego, kto przekracza próg tego domu, prowadzi się do szatni i rewiduje.

Słyszałam ten odgłos, jaki wydaje detektor metalu, kiedy coś wykryje.

–Czy ciebie także przeszukują?

–Oczywiście, że nie. Dlaczego taki z niego paranoik? – zapytała.

–Nie jest wcale paranoikiem. Niektórzy ludzie naprawdę chcą go zabić. Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć?

–Chyba rozumiem. Ale wygląda to tak dziwacznie... Że też takie rzeczy dzieją się tuż obok nas.

–Czy rozmawiał z tobą już pan Mancuso?

–Nie. Uważasz, że zamierza to zrobić?

–Całkiem możliwe.

Oprócz tej krótkiej rozmowy Susan prawie wcale, jak już wspomniałem, nie opowiadała mi o Franku.

O wiele więcej dowiedziałem się o Annie. Moja małżonka poinformowała mnie, że Anna nie jeździ konno, nie gra w tenisa, nie żegluje ani nie uprawia żadnych innych sportów, co bynajmniej mnie nie zdziwiło. Susan starała się namówić Annę, żeby dosiadła Jankesa, ale ta nie chciała się nawet zbliżyć do parskającej bestii. Z drugiej jednak strony okazało się, że interesuje ją malarstwo. Wedle tego, co opowiadała Susan, Anna obserwowała jej pracę i zadawała wiele pytań. Susan namawiała ją do kupna sztalug i farb i obiecała nawet, że będzie udzielać jej lekcji, ale Anna Bellarosa wydawała się odnosić do tego z równą niechęcią co do konnej przejażdżki i w ogóle do każdej propozycji, która zmusiłaby ją do spróbowania czegoś nowego.

Miałem wrażenie, że przy całym ciepłym uczuciu, jakie Susan zdawała się żywić wobec Anny, trochę irytowała ją jej bojaźliwość.

–Sensem jej istnienia – poinformowałem moją żonę – jest gotowanie, sprząatanie, doglądanie dzieci i seks. Nie wprowadzaj w jej życie niepokoju.

–Ale wydaje mi się, że jej mąż pragnie, żeby nauczyła się czegoś nowego.

Podobnie jak twój mąż, Susan. Wcale by nie zaszkodziło, gdybyś nauczyła się w końcu gotować i prowadzić dom. Jeśli mam być szczery, Susan bardziej od Anny odpowiada mi w roli towarzyszkii życia, gdybym jednak potrafił połączyć w jedno najlepsze cechy obu kobiet, zyskałbym z pewnością idealną żonę. Ale na co bym wtedy narzekał?

Susan poinformowała mnie również, że Anna zadaje jej mnóstwo pytań na temat tego, "jak się tutaj żyje". Doszedłem jednak do wniosku, że ich właściwym autorem jest Frank.

Co się tyczy straszących w Alhambrze duchów, to w kilka dni po rozpoczęciu prac nad obrazem Susan oznajmiła mi, iż któregoś ranka Anna wybrała się limuzyną do

**Brooklynu i po kilku godzinach przywiozła ze sobą dwóch księży.**



–Wszyscy sprawiali dość ponure wrażenie – oświadczyła moja żona. – Chodzili po całym domu spryskując go święconą wodą, a Anna żegnała się osiem razy na minutę. Udawałam, że tego nie widzę, ale nie było wcale tak łatwo ich ignorować. Anna powiedziała, że poświęcają dom, ale sędzę, że kryło się za tym coś więcej.

–To bardzo przesądni ludzie – odparłem. – Nie opowiedziałaś jej chyba którejs z tych swoich opowieści o duchach?

–Skądże znowu. Zapewniłam ją, że w Alhambrze nie straszą żadne duchy.

–No cóż, teraz kiedy cały dom został spryskany, z pewnością poczuła się lepiej.

–Mam nadzieję. Ciarki mnie przechodziły na ich widok.

Tak czy owak, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

W tym przypadku dobrą stroną tego wszystkiego było włoskie żarcie.

Nie, Susan nie nauczyła się gotować – jeśli o to chodzi, prędeż ja nauczę się lewitować. Przynosiła jednak do domu solidną porcję podawanego wieczorem u Bellarosów jadła: plastikowe pojemniki wypełnione pierożkami ravioli, pieczonym ziti, bakłażanami d la parmigiana, smażonymi zucchini i innymi potrawami o trudnych do wymówienia nazwach. Trafiłem tutaj naprawdę na złotą żyłę i prawdę mówiąc po raz pierwszy od dwudziestu lat spieszyłem się do domu na obiad.

Susan dostała także sadzonki pomidorów oraz zucchini i posadziła je w swoim ogródku, w którym rosły już radicchio, bazylija, zielona papryka i bakłażany. Wcale mi o tym nie wspomniała – sam zobaczyłem nowe roślinki któregoś dnia podczas spaceru. Warzywa były oznaczone, mam nadzieję, prawidłowo, wiedzieliśmy więc teraz przynajmniej – przepraszam za kalambur – w co wdepnęliśmy.

Oczywiste było również, że Susan miała teraz znajęcego się na ogrodnictwie doradcę, wszystkie warzywa bowiem wyglądały bardzo zdrowo i pod koniec maja zapowiadał się prawdziwy urodzaj. Stanhope Hall miał przekształcić się odtąd w samowystarczalny folwark, przynajmniej jeśli chodzi o pewne warzywa, a jego mieszkańców – całą naszą czwórkę, jeśli weźmie się pod uwagę Allardów – przestało straszyć po nocach widmo skorbutu i kurzej ślepoty.

Jak na razie wszelkie zmiany, jakie wynikły z utrzymywanych przez nas z sąsiednią posiadłością kontaktów kulturowych, były

szczerze mówiąc zmianami na lepsze. Nie doszło w żaden widoczny Sposób do starcia obu kultur, ale mieliśmy na to przecież jeszcze dużo czasu.

Nie miałem wątpliwości, że zawarłem z Frankiem Bellarosą bliższą znajomość, nie byłem tylko pewien, na czym ona dokładnie polega; a nawet gdybym wiedział, nie zdradziłbym tego nikomu, nawet sobie.

Jakiegolwiek jednak były owe łączące nas stosunki, wydawały się długoterminowe, ponieważ do końca tego miesiąca nie dał o sobie znać ani bezpośrednio, ani za niczym pośrednictwem.

Co się tyczy naszych kontaktów na gruncie zawodowym, cały epizod w bibliotece uznałem za trochę zwariowany. Z pewnością Frank żałował, że dopuścił mnie do swoich sekretów, i stąd właśnie brało się jego obecne milczenie. Nie ubrdał sobie chyba, że zaangażował mnie jako swego adwokata. Prawda?

W ostatnią środę maja Susan wzięła udział w zebraniu "Towarzystwa Miłośników Altanek", które odbyło się w starej nadmorskiej posiadłości Fox Point, położonej u szczytu Grace Lane. Poinformowała mnie o tym po fakcie, a kiedy zapytałem, czy zaprosiła Annę Bellarosę, odparła, że nie, i nie udzieliła na ten temat żadnych bliższych wyjaśnień.

Wiedziałem, że całe to zbliżenie z Bellarosami przysporzy nam jeszcze wielu kłopotów i starałem się uprzytomnić to Susan. Ale Susan nie należy do osób, które myślą perspektywicznie. Przypuszczam, że każdy z nas ma jakiegoś znajomego, sąsiada albo członka rodziny, z którym wolałyby się nie pokazywać publicznie. Niechęć owa nosi bardzo często charakter czysto subiektywny; zaproszony na koktajl nasz najgłupszy kuzyn może się czasem okazać prawdziwą atrakcją wieczoru. W przypadku Bellarosów nie była to jednak kwestia moich prywatnych uprzedzeń ani poglądów na temat tego, kogo można zaliczyć do dobrego towarzystwa. To było po prostu poza wszelką dyskusją. Owszem, wpuszczono by nas z nimi do "The Creek" lub "Seawanhaka". Zaprowadzono by nas do stolika, a nawet obsłużono.

Po raz pierwszy i ostatni.

Dlatego też, gdyby Sutterowie i Bellarosowie mieli rzeczywiście ochotę wybrać się gdzieś na obiad albo parę drinków, doradzono by mi z całą pewnością lokal położony daleko stąd (choć i to nie gwarantuje bynajmniej pełnego bezpieczeństwa, o czym przekonałem się mniej więcej przed rokiem w knajpie na South Shore. Jadłem tam

właśnie kolacyjkę z młodą, piękną klientką, która lubiła dobijać targu w intymnej atmosferze, kiedy do środka wladowali się przekłęci DePauwowie. Ale to inna historia).

W ostateczności moglibyśmy wybrać się całą czwórką do jakiegoś lokalu na Manhattanie. W środku wielkiego miasta człowiek staje się podobno anonimowy, choć tak się akurat składa, że kiedy tylko się tam znajdę, zawsze wpadam na kogoś znajomego.

Poza tym nie można zapomnieć o pewnym dziwnym związku między obiadami, które spożywają na mieście szefowie mafii, a zamachami, których padają ofiarą, ochlapując przy tym krwią niewinnych ludzi i dostarczając im innych, podobnych emocji. Ktoś może to uznać za przejaw paranoi, ale podobne wypadki zdarzają się wystarczająco często, by traktować je jako realną ewentualność i brać pod uwagę przy planowaniu wieczoru; gdybym zatem wybierał się z Donem na obiad na mieście, poważnie zastanawiałbym się, czy przypadkiem nie założyć starego garnituru.

Wierzę Bellarosie, kiedy zapewnia mnie, że morderstwa popełniane przez mafię wciąż cechuje wysoki poziom profesjonalizmu i rzeczywiście faktem jest, że na ogół niewinni ludzie odczuwają co najwyżej pewne dolegliwości żołądkowe podczas tych tradycyjnych, odbywanych w porze obiadowej jatek. Ważny jest również fakt, iż zarówno widzowie, jak i uczestnicy całego wydarzenia mogą w takich wypadkach liczyć na darmowy obiad albo to, co z niego pozostało. Oczywiście firma funduje kolację, ale tylko wtedy, gdy morderstwo zostanie popełnione wewnątrz lokalu – a nie na zewnątrz, tak jak to się zdarzyło niedawno przed drzwiami jednej z najlepszych nowojorskich restauracji. Dochodzące z ulicy odgłosy strzelaniny nie zwalniają cię zatem z obowiązku zapłacenia rachunku – chyba że zemdlejesz z wrażenia. Mówiąc bardziej serio, dostaje się czasem i cywilom – odnotowano co najmniej jeden tragiczny w skutkach przypadek mylnego ustalenia tożsamości, kiedy to kilka lat temu dwaj Bogu ducha winni dżentelmeni z suburbiów zostali na oczach swych żon położeni trupem w jednej z restauracji w Little Italy.

Jeść więc na mieście czy nie jeść? Biorąc pod uwagę to, co sam Frank opowiadał o pragnącym sprowokować wojnę gangów prokuratorze okręgowym, Alphonsie Ferragamo, opowiadałbym się raczej za zamówieniem czegoś na wynos w chińskiej restauracji. Ale co robić,

jeśli zaprosi ich moja zwariowana małżonka? Uwzględniając wszystkie za i przeciw, nie wiem, co byłoby gorsze: pojawić się z Bellarosami w "The Creek" i ryzykować bojkot towarzyski, czy też wybrać się na Manhattan i siedzieć przez cały czas jak na szpilkach w uroczym, wybranym przez Franka lokalu, gdzie żarcie jest wspaniałe, właścicielem – jego paesano, a wszyscy uczestnicy bankietu opierają się plecami o ścianę.

Istniały oczywiście jeszcze inne możliwości; nie chcę poza tym wywołać wrażenia, że nawet dwoje takich uparciuchów, jak Frank i Susan, jest w stanie zmusić mnie do czegoś wbrew mej woli. Jeśli dojdzie do ostateczności, będę nalegać, byśmy zaprosili Franka i Annę do nas do domu na szybkiego drinka i kawę.

Na kilka dni przed Świętem Pamięci\* Dominic i jego ekipa zakończyli prace przy stajni. Nie da się ukryć, że zarówno rozbiórka, jak i rekonstrukcja zostały przeprowadzone po mistrzowsku.

W gruncie rzeczy trochę to niesamowite, kiedy znajoma budowla znika najpierw z krajobrazu, a potem pojawia się w tym samym kształcie i formie w całkiem nowym miejscu. Dominic i jego krzepcy elfowie potrafiliby rzeczywiście przesunąć o parę przecznic Kaplicę Sykstyńską, gdyby pozwolił im na to papież. Gdyby mieli zgodę Dona, przenieśliby na podwórko Alhambry mój dom. Niemal obawiałem się wyjeżdżać na wakacje.

Tymczasem nadszedł chwalebny dzień powrotu do domu Jankesa i Zanzibara. Proponowałem, by udekorować stajnię trójkolorowymi flagami i girlandami kwiatów, ale Susan zignorowała moją sugestię i ograniczyła się do skromnych, utrzymanych w poważnym tonie uroczystości, których jedynym świadkiem był Dominic. Myślałem, że przyszedł po swoje pieniądze, ale kiedy zapytałem o rachunek, pokazał tylko kciukiem w stronę Alhambry. Wręczyłem mu gotówką pięćset dolarów ekstra dla jego ludzi i bardzo się ucieszył w ich imieniu.

Wyglądał, jakby nie mógł się doczekać chwili, kiedy je między nich rozdzieli. \* Przypadające w większości stanów w ostatni poniedziałek maja święto poległych na polu chwały.

Wysłałem za pośrednictwem Susan liścik do Franka, ale mijał kolejny tydzień i wciąż nie otrzymywałem od niego rachunku. Byłem teraz winien facetowi kilka drinków i mnóstwo forsy, nie mówiąc już o fakcie, że dobrze się odżywiałem.

Susan stwierdziła, że włoska kuchnia zaostrza jej temperament i ja także zauważyłem, że nasze współżycie, na które nigdy nie mogłem narzekać, układa się coraz lepiej. Być może pani B. odkryła właściwą kombinację włoskich ziół i przypraw.

–Na Boga, rosna ci cycki – oznajmiłem któregoś wieczoru Susan, kiedy zajadaliśmy przyniesione przez nią z Alhambry specjały. – Zdobądź przepis na te ravioli.

–Patrzcie, jaki mądrała – odparła. – Tobie też przybyło parę centymetrów w pewnym miejscu i nie mam bynajmniej na myśli obwodu w pasie.

Touche! Sądzę jednak, iż nasz zaostrzony seksualny apetyt brał się z przyczyn bardziej psychologicznej aniżeli kulinarnej natury i był rezultatem wspaniałej wiosennej pogody, w czasie której zawsze, że użyję botanicznej metafory, ruszają we mnie soki. Ale kto wie? Kiedy jest się w średnim wieku, wszystko dobre, co prowadzi do celu.

Wystarczy powiedzieć, że w sypialni i w kuchni nasze stosunki układały się pomyślnie. W innych pokojach nie szło nam już tak dobrze, Susan bowiem, która zawsze sprawiała wrażenie zamkniętej w sobie, wydawała się teraz wyraźnie nieobecna duchem, tak jakby coś nie dawało jej spokoju.

–Czy coś cię dręczy? – zapytałem ją któregoś dnia.

–Tak.

–Co?

–Różne rzeczy.

–Jakie rzeczy? Ostatnie rozruchy w Kurdystanie?

–To, co się tutaj dzieje. Po prostu.

–Jeśli o to chodzi, to w czerwcu wracają do domu dzieci, w lipcu skracam o połowę godziny pracy, a w sierpniu wyjeżdżamy do East Hampton.

Wzruszyła ramionami.

–Dlaczego w takim razie nie wrócisz do Brooklynu? – zapytałem, przypomniawszy

sobie ponadczasowe rady Franka Bellarosa na temat, jak dochodzić do ładu z kobietami.

Nawiasem mówiąc, sądziłem, że po przeniesieniu stajni i powrocie koni do domu Susan przestanie stopniowo odwiedzać Alhambrę, odniosłem jednak wrażenie, że wciąż jest tam częstym gościem. W ciągu dnia rzadko oczywiście bywam w domu, kiedykolwiek jednak dzwoniłem do Susan z pracy, nie udawało mi się jej zastać. Zostawiałem wiadomość automatycznej sekretarce, ale ani razu nie doczekałem się odpowiedzi.

Również mój zawsze wierny sługa, George, zatrzymywał mnie czasami w drodze do domu.

–Zapytałbym o to panią Sutter, ale przez cały dzień nie było jej w domu... – oświadczał, po czym zadawał mi jakieś bzdurne pytanie.

George nie jest zbyt taktowny, choć się za takiego uważa. Nie akceptował najoczywiej jakichkolwiek kontaktów towarzyskich z Bellarosami. George ma bardziej królewskie maniery niż sam król i jest bardziej papieski niż sam papież, a snobizmem przewyższa wszystkich Astorów i Vanderbilców razem wziętych. Jest w tym podobny do wielu starych służących, starających się zmusić swoich młodych chlebobawców, aby zachowywali się tak jak ich ojcowie i matki, którzy byli oczywiście wzorami wszelkich cnót, dżentelmenami i damami o wyrafinowanych manierach i tak dalej. Służący mają zawsze bardzo wybiórczą pamięć.

Rzecz w tym, że George nie był z nas zadowolony. Zdawałem sobie sprawę, iż gdyby dowiedział się o nas ewentualnie jakichś świństw, z pewnością zdradziłby je swoim kumplom z innych posiadłości, a po jakimś czasie plotka zawędrowałaby wyżej. Gdyby, nie daj Boże, coś z tego później do mnie dotarło, nie kryłbym dłużej przed George'em, dlaczego przez wszystkie te lata zachował pracę i dach nad głową. Choć właściwie nie, nie zrobiłbym tego. Lubiłem George'a, a on lubił mnie i Susan. Ale nie umiał trzymać języka na wodzy.

Jeśli chodzi o Ethel, to nie potrafiłem ustalić, co sądzi o Bellarosach ani o naszych z nimi kontaktach. Wydawało się, że nic ją to nie obchodzi, a być może nawet, że nie ma na ten temat wyrobionego zdania. Przypuszczam, że działo się tak dlatego, iż nie potrafiła dopasować Bellarosy do swojej teorii walki klas. Doktryna socjalistyczna nie jest, jak sądzę, zbyt precyzyjna, jeśli chodzi o przestępców, a poglądy Ethel w znacznym stopniu ukształtowali dziewiętnastowieczni radykałowie, którzy wierzyli, że zbrodnię i zbrodniarzy tworzy

kapitalistyczny system wyzysku. Być może Ethel zmagala się z myślą, iż Frank Bellarosa jest ofiarą wolnego rynku, a nie jednym z jego beneficjentów. Jeżeli mamy z Ethel jakieś wspólne poglądy, to należy do nich z pewnością spostrzeżenie Marka Twaina, który twierdzi}, iż:

"Nie istnieje w Ameryce żadna, wyraźnie się zaznaczająca, rodzima warstwa przestępcza oprócz członków Kongresu".

Któregoś dnia, będąc w mieście, musiałem pilnie skontaktować się z Susan. Chciałem poprosić ją, żeby przyjechała na Manhattan i zjadła kolację razem ze mną i dwójkiem zamiejscowych klientów, państwem Petersonami, którzy złożyli mi nie zapowiedzianą wizytę i byli starymi przyjaciółmi jej rodziców. Dwukrotnie zadzwoniłem do domu zostawiając za każdym razem nagrany wiadomość, a następnie, ponieważ pora spotkania z Petersonami zbliżała się coraz bardziej, wykręciłem numer stróżówki i odbyłem rozmowę z Ethel. Poinformowała mnie, że z tego, co jej wiadomo, Susan osiodłała rano Zanzibara i pojechała do Alhambry. Ciekawe, co byście uczynili, gdyby żona dozorczy poinformowała was, że wasza połowica osiodłała ogiera i wybrała się do sąsiedniej posiadłości? W tej sytuacji można oczywiście wysłać sługę, aby sprowadził małżonkę z powrotem – i to właśnie zaoferowała się zrobić Ethel: ściśle rzecz biorąc powiedziała, że wyśle tam George'a.

Zasugerowała także, że mogę zadzwonić do Alhambry sam i sprawdzić, czy pani Sutter rzeczywiście tam przebywa. Odparłem, że sprawa nie jest taka pilna, chociaż oczywiście była, skoro zadzwoniłem do stróżówki. Rozłączyłem się z Ethel i ponownie wykręciłem numer Susan zostawiając ostatnią, raczej zwięzłą wiadomość, w której poinformowałem ją o terminie spotkania i nazwie restauracji.

Rzecz w tym, że wciąż nie znałem numeru telefonu Bellarosy.

Również Susan utrzymywała, że go nie zna. Podczas pobytu w Alhambrze zauważyłem, co potwierdziła potem Susan, że na żadnym z aparatów nie było tabliczki z numerem. Wynikało to oczywiście ze względów bezpieczeństwa – to samo można było spostrzec w innych rezydencjach, których mieszkańcy chronili się w ten sposób przed wścibstwem zatrudnionych na krótki okres służących, wykonujących drobne naprawy fachowców i innych osób, które miałyby ochotę poznać numer telefonu możliwych tego świata.

–Próbowałem się z tobą dzisiaj skontaktować -oznajmiłem tego samego wieczoru Susan, kiedy wróciłem po zjedzonej w towarzys16 wie Petersonów kolacji (moja żona nie wzięła w niej oczywiście udziału).

–Wiem. Mówiła mi Ethel i odebrałam twoją wiadomość.



Nie pytam nigdy: "Gdzie byłaś?", ponieważ gdybym to zrobił, ona zaczęłaby pytać: "A gdzie ty byłeś?", co niechybnie skończyłoby się pytaniem: "Z kim byłeś i co robiłeś?" Czy może być coś bardziej w guście niższej klasy średniej niż wzajemne wypytywanie się małżonków, co drugie z nich robiło w ciągu dnia albo wieczoru? W ten sposób zapewne dorobiła się pierwszy raz podpuchniętego oka Sally Ann.

–Chciałbym móc się jakoś z tobą skontaktować, kiedy jesteś akurat w Alhambrze – powiedziałem mimo to. – Czy mam wysłać po ciebie George'a, czy może raczej powinnaś zapytać Bellarosów o ich numer telefonu?

Wzruszyła ramionami.

–Nie widzę, z jakiej przyczyny miałabym do nich dzwonić.

Możesz po prostu wysłać George'a.

Sądzę, że Susan nie pojęła dobrze, o co mi chodzi.

–George nie zawsze jest pod ręką – odparłem. – Być może powinnaś jednak dowiedzieć się, jaki mają numer, Susan. Jestem przekonany, że któregoś dnia będziesz miała jakiś powód, żeby do nich zadzwonić.

–Nie sądzę. Po prostu odwiedzam ich, kiedy przyjdzie mi ochota.

Gdybym miała do nich jakąś sprawę, zostawiłabym po prostu wiadomość u Anthony'ego, Vinniego albo Lee.

–Któż to jest, jeśli wolno spytać, Anthony, Vinnie i Lee?

–Spotkałeś już Anthony'ego – jest stróżem. Vinnie także. Obaj mieszkają w stróżówce. Lee jest przyjaciółką Anthony'ego i też tam mieszka. W domku są trzy sypialnie.

–Zatem Lee to kobieta. Rozumiem. A z kim przyjaźni się biedny Vinnie?

–Ma inną przyjaciółkę, Delię, która wpada tam od czasu do czasu.

Myśl o tym, że okolice Grace Lane stają się coraz lepiej znane byłym mieszkańcom Brooklynu, była nieco deprymująca. Doszedłem do stanu, kiedy prawie nie przeszkadzali mi już szefowie mafii i ich znajomkowie w czarnych limuzynach. Co innego jednak szeregowi rewolwerowcy, ich narzeczone i inni wykolejeńcy.

2 – Złote Wybrzeże t. II – Wcale mi się nie podoba, że ktoś urządza sobie burdel tuż pod moim bokiem – oznajmiłem.. / – Ależ, John. A co według ciebie mają robić Anthony i Vinnie?

Wartownicy są bardzo samotni. Dwanaście godzin na służbie, dwanaście godzin wolnego, i tak przez bite siedem dni w tygodniu. Dzielą obowiązki między siebie. Lee zajmuje się domem.

–To ciekawe. – Jeszcze ciekawszy był fakt, iż Lady Stanhope najwyraźniej uznała wszystkie te wyjęte żywcem z powieści Damona Runyona postaci za sympatyczne. Ale wywodzący się z wyższej klasy średniej, ograniczony umysłowo John Sutter nie odznaczał się taką tolerancją.

–Być może powinniśmy przedstawić Anthony'ego, Vinniego i Lee Allardom? – zagadnąłem. – Z pewnością wymienią między sobą interesujące zawodowe doświadczenia.

Nie otrzymawszy odpowiedzi na powyższe pytanie, powróciłem do głównego, dręczącego mnie problemu.

–Powiedzmy jednak, że przyjdzie ciemna, burzliwa noc, a ty będziesz miała akurat jakąś sprawę do Bellarosów. Łatwiej chyba będzie do nich zadzwonić, niż chodzić do stróżówki i komuś w czymś przeszkadzać.

–Słuchaj, John, jeśli chcesz mieć numer telefonu Alhambry, po prostu o niego poproś. Co słyhać u Petersonów?

–Bardzo żalowali, że nie mogli się z tobą spotkać. – Kwestia numeru telefonu znalazła się teraz na moim podwórku i tam miała pozostać. Rozumiecie już, co mam na myśli mówiąc o cechującym Susan braku rozsądku? Właściwie trzeba to nazwać oślim uporem. To wszystko przez te jej rude włosy. Naprawdę.

Tak naprawdę telefon do Bellarosy nie był mi specjalnie potrzebny z wyjątkiem tych rzadkich przypadków, kiedy chciałem się skontaktować z Susan, która weszła najwyraźniej w skład królewskiego dworu Alhambry. A fakt, że Bellarosa nie zadzwonił do mnie, nie napisał, nie przesłał żadnej wiadomości i nie zdradził swego numeru telefonu, utwierdził mnie jedynie w przekonaniu, że nie ma między nami mowy o stosunkach typu adwokat-klient ani rzeczywistych, ani domniemanych.

Postanowiłem, że kiedy następny raz do mnie zadzwoni, wygarnę mu to bez ogródek. Niestety, Los, który w przeszłości obchodził się ze

**mną raczej łaskawie, nie wiadomo dlaczego nagle się na mnie pogniewał i zrządził inaczej, popychając mnie z powrotem w śmiertelne objęcia Bellarosy.**

**W firmie miałem pełne ręce roboty, zwłaszcza w kancelarii na Manhattanie. W mojej praktyce zajmuję się w równej mierze sprawami finansowymi co prawnymi. Ujmując rzecz bardziej precyzyjnie: moi klienci pragną dowiedzieć się, w jaki sposób legalnie uchronić swoje pieniądze przed zachłannymi rękoma państwa. Zażarta walka między podatnikiem a fiskusem trwa w Ameryce od roku 1913, kiedy to Kongres uchwalił poprawkę o podatku dochodowym. W ostatnich latach, dzięki ludziom takim jak ja, podatnikowi udało się wygrać parę kolejnych rund.**

**W wyniku tego przedłużającego się konfliktu doszło do powstania olbrzymiej i wciąż rozrastającej się infrastruktury, w której ja i moja firma zajmujemy poczesne miejsce. Moi klienci to w przeważającej mierze ci sami ludzie albo ich spadkobiercy, których ciężko doświadczył rok 1929, a potem zdziesiątkowały podatki, które w latach pięćdziesiątych sięgnęły dziewięćdziesięciu procent osiągniętego dochodu.**

**Mimo że wielu z nich nie brakowało talentów w innych dziedzinach, okazali się zupełnie nie przygotowani na tę gwałtowną, zarządzoną przez Waszyngton redystrybucję dochodu narodowego. Niektórzy, opanowani idiotycznym poczuciem winy i altruizmem, uznali całą tę operację za akt sprawiedliwości dziejowej. Zaliczał się do nich dziadek Susan, który gotów był oddać połowę swojej fortuny narodowi amerykańskiemu. Kiedy jednak okazało się, że chodzi o więcej niż połowę, niektórzy z tych postępowych milionerów zaczęli odczuwać ssanie w dołku. Wówczas stało się również jasne, że te nieliczne pochodzące z podatków dolary, które rzeczywiście dostają się narodowi, trafiają na ogół w ręce niewłaściwych osób i wydawane są na niewłaściwe cele.**

**W dzisiejszej, mniej skomplikowanej epoce nawet ci z moich klientów, którzy wiedzieli, jak zarobić pieniądze w najgorszym dla interesów momencie, nie wiedzą, jak powstrzymać państwo przed ich zagarnięciem w momencie najlepszym. Ale zostali oświeceni i nie zamierzają dopuścić do powtórzenia tego, co się niegdyś wydarzyło,**

żyjemy bowiem w epoce chciwości i Wielkiego Wyścigu. W procesie społecznej ewolucji nasz zmysł węchu rozwinął się do tego stopnia, że potrafimy krzątając się po Wall Street wyczuć swąd przygotowywanej na Kapitolu nowej ustawy podatkowej.

Ci ludzie, moi klienci, korzystają z moich usług, żeby się upewnić, że nie pójdą do więzienia, jeśli im samym albo ich finansowym doradcom przyjdzie do głowy jakiś świetny pomysł na uniknięcie podatków. Wszystko to jest oczywiście zgodne z prawem – w przeciwnym razie w ogóle bym się tym nie zajmował. Obowiązująca tutaj dewiza brzmi: nie wolno uchylać się od podatków; wolno ich unikać.

Unikanie podatków, mógłbym dodać, to nasze święte prawo obywatelskie i moralny obowiązek.

I tak na przykład, kiedy na mocy nowej ustawy podatkowej uległa likwidacji stara Fundacja Clifforda na rzecz dzieci, pewien inteligentny facet mojego pokroju (żałuję, że to nie byłem ja) zaproponował projekt nowej fundacji. Ma ona identyczny cel, to znaczy służy przekazaniu nie opodatkowanych pieniędzy małym spadkobiercom, a jej statut jest do tego stopnia sprytny i pogmatwany, że urzędowi podatkowemu do dziś nie udaje się w nim znaleźć słabego punktu. To taka gra •- a być może nawet wojna. Gram w nią całkiem dobrze, a poza tym gram w nią czysto i rzetelnie. Stać mnie na to; jestem sprytniejszy od przeciwnika. Gdyby ktoś w urzędzie podatkowym był tak inteligentny jak ja, pracowałby dla mnie.

Mimo że gram rzetelnie, zdarza się czasami, że sprawa ląduje w sądzie. Zawsze jednak kończy się polubownie. Żadnego z moich klientów nie oskarżono jak dotąd o oszustwa podatkowe, chyba że mnie okłamał albo coś przede mną zataił. Staram się, by moi klienci byli tak samo uczciwi jak ja. Ktoś, kto oszukuje w pokerze, życiu albo w podatkach, sam pozbawia się zaszczytu i radości, jaka płynie z wygranej; i w ostatecznym rachunku traci jedną z największych przyjemności, jakiej można doznać w życiu – kiedy pokonuje się przeciwnika w równej i uczciwej walce. Tego uczono mnie w szkole.

Oczywiście przeciwnik nie zawsze gra uczciwie; ale w tym kraju można w każdej chwili zawołać "faul" i iść do sądu. Być może gdybym żył w kraju, w którym nie istniałoby niezależne i uczciwe sądownictwo, nie walczyłbym wcale fair. W gruncie rzeczy chodzi przecież o przetrwanie, a nie o samobójstwo. Ale tutaj, w Ameryce,

system wciąż jakoś funkcjonuje i ja wierzę w ten system. Przynajmniej wierzyłem – aż do godziny jedenastej tego ranka. W południe wkroczyłem w nowy etap swego życia – niczym zagrożony wymarciem gatunek, starający się szybko wykształcić w sobie kilka nowych cech zapewniających przetrwanie i pozwalających uniknąć więzienia. Więcej o tym za chwilę.

Siedziałem zatem owego pięknego majowego poranka w swojej kancelarii na Wall Street i miałem pełne ręce roboty. Mój letni rozkład zajęć przedstawia się następująco: w lipcu przedłużam sobie weekendy do czterech dni i spędzam je w moim letnim domu w East Hampton.

W sierpniu przenoszę się tam na dobre. W te dni w lipcu, kiedy pracuję na Manhattanie albo w Locust Valley, zamykam biuro wcześniej i po południu wypływamy razem z Susan na morze i zostajemy tam do zmierzchu lub, jeżeli mamy ochotę, do świtu, który tutaj jest przepiękny.

Susan i ja mamy sześć albo siedem naprawdę świetnych scenariuszy seksualnych, które odgrywamy na łodzi. Czasami ja jestem rozbitkiem, którego Susan wyciąga na pokład, oczywiście prawie nagiego, i przywraca do zdrowia. W innej, mniej wybrednej wersji jestem piratem, który wślizguje się nocą na pokład i znajduje ją pod prysznicem albo rozbierającą się do snu. Odgrywamy również dwuaktowy dramat o pasażerze na gapę. Znajduję ją wtedy ukrywającą się w ładowni i zgodnie z prawami morza wymierzam stosowną karę cielesną. Ja osobiście lubię wersję, w której gram rolę majtka, a Susan jest właścicielką jachtu. Wydaje mi wciąż nowe polecenia, opala się nago i zmusza do wykonywania różnych poniżających czynności, których nie będę tutaj szczegółowo opisywał. Generalnie chodzi o to, że nie mogę się doczekać owych upojnych dni na morzu i pędzę, pędzę w wiosennym kieracie z ramionami wyciągniętymi w stronę Czwartego Lipca\*.

Wiem, że brzmi to tak, jakbym odpuszczał sobie cały okres od Święta Niepodległości aż do przypadającego na pierwszy poniedziałek września Dnia Pracy, ale naprawdę należy mi się ten odpoczynek.

Wykorzystuję poza tym te dwa miesiące, żeby uporządkować własne sprawy podatkowe, co załatwiam zawsze w ostatnim możliwym terminie. \* Amerykańskie Święto Niepodległości.

Wspominam o tym, ponieważ kiedy tak siedziałem dumając o moim letnim domu i moich podatkach, odezwał się dzwonek telefonu łączącego mnie z moją sekretarką, Louise. Podniosłem słuchawkę.

–Tak?

–Mam na linii pana Novaca z urzędu podatkowego.

–Powiedz mu, żeby zadzwonił do mnie we wrześniu.

–Twierdzi, że sprawa jest bardzo ważna i że musi z panem porozmawiać.

–Dobrze – odparłem ze zniecierpliwieniem – więc zapytaj go, w sprawie jakiego klienta dzwoni, znajdź akta i każ mu poczekać przy telefonie.

Miałem zamiar odłożyć słuchawkę, ale Louise miała mi jeszcze najwyraźniej coś do powiedzenia.

–Zapytałam go już, panie Sutter. Nie chciał powiedzieć. Twierdzi, że musi z panem porozmawiać osobiście.

–Aha. – Pomyślałem, że wiem już, o co chodzi. Ale z jakiej przyczyny IRS miałyby dzwonić do mnie w sprawie Franka Bellarosy?

Przyszło mi do głowy, że pod pana Novaca podszywa się Mancuso albo ktoś inny z FBI. Nie bardzo jednak chciało mi się w to wierzyć.

Frank Bellarosa wprowadził w moje życie pewien nowy wymiar i podobny telefon momentalnie skojarzył mi się z jego osobą. Nie było to wcale przyjemne skojarzenie.

–Połącz go – powiedziałem sekretarce.

–Tak jest, sir. – Usłyszałem trzaski w aparacie, a potem męski, oblesny głos, do którego z miejsca nabrałem antypatii.

–Pan John Sutter?

–Tak.

–Nazywam się Stephen Novac, jestem inspektorem IRS.

–Tak?

**–Chciałbym pana odwiedzić i przedyskutować pewne sprawy.**

**–Jakie sprawy?**

**–Poważne, panie Sutter.**

**–Dotyczące czego i kogo?**

**–Wolałbym tego nie mówić przez telefon.**

**–Dlaczego? – zapytałem lekkim tonem. – Czyżby wasze rozmowy telefoniczne były podsłuchiwane przez członków Rewolucyjnego Komitetu Podatników?**

Sądziłem, że usłyszę po drugiej stronie grzeczny chichot, ale się go nie doczekałem. Niedobrze. Liczyłem również na słówko "sir", ale na próżno. Przysunąłem do siebie kalendarz.

–W porządku, mogę pana przyjąć w przyszłą środę o godzinie...

–Będę u pana za pół godziny, panie ^Sutter. Proszę być u siebie i zarezerwować godzinę na moją wizytę. Dziękuję.

W słuchawce zapadła cisza.

Co za tupet... Połączyłem się z Louise.

–Do południa nie ma mnie dla nikogo oprócz pana Novaca.

Kiedy się pokaże, każ mu piętnaście minut poczekać.

–Tak jest, sir.

Wstałem, podszedłem do okna i spojrzałem w dół na Wall Street.

Pieniądze. Władza. Prestiż starej firmy i gruba warstwa izolacji, którą chroniliśmy się przed światem. Ale panu Stephenowi Novacowi z IRS w piętnaście sekund udało się dokonać tego, czego inni nie potrafili osiągnąć w ciągu piętnastu dni lub tygodni; przedarł się przez system fortyfikacji i będzie siedział w moim biurze tego samego dnia, kiedy zadzwonił. Nie do wiary.

Po jego tonie i arogancji domyślałem się oczywiście, że chodzi o sprawę karną. (Jeśli okaże się, że to sprawa cywilna, wyrzucę go przez okno). Pozostawało pytanie, w sprawie jakiego przestępcy chciał się ze mną spotkać pan Novac. Bellarosy? Któregoś z moich klientów?

Ale pan Novac nie zachowywałby się w sposób tak arogancki, gdyby zależało mu na mojej współpracy. A zatem nie zależy mu na mojej współpracy. A zatem...

O godzinie jedenastej piętnaście pan Novac wmaszerował do mojego gabinetu. Należał do ludzi, o których można wyrobić sobie dokładne zdanie, gdy tylko usłyszy się ich głos.

Po obowiązkowym niemrawym uścisku dłoni pokazał swoją legitymację, z której wynikało, że jest agentem specjalnym, a nie, jak powiedział, inspektorem. Agent specjalny IRS, w przypadku gdybyście nie mieli dotąd przyjemności się z nim spotkać, zatrudniony jest w tej instytucji w Wydziale Spraw Karnych.



**–Przedstawił mi się pan przez telefon w sposób niezgodny z prawdą –  
powiedziałem.**

**–Jak to?**

**Wytłumaczyłem mu, jak to, i dodałem:**

–Rozmawia pan z adwokatem, panie Novac, i nie powinien pan zaczynać od mijania się z prawdą. – Oczywiście w tym momencie facet został ugotowany na twardo i wiedziałem, że skorzysta teraz z każdej sposobności, żeby odplacić mi pięknym za nadobne. Choć właściwie odniosłem wrażenie, że zdecydowany był to zrobić tak czy owak.

–Niech pan siada – rozkazałem.

Usiadł. Ja pozostałem w pozycji stojącej i przyjrzałem mu się z góry.

To taka moja mała demonstracja siły. Novac miał ponad czterdzieści lat, a każdy, kto w tym wieku tkwił jeszcze w urzędzie podatkowym, był z całą pewnością wyższym urzędnikiem, profesjonalistą. Wysyłają do mnie czasem różnych gołowąsów, błyskotliwych młodych księgowych albo absolwentów prawa, na których dyplomach nie wysechł jeszcze atrament. Rozgniatam ich i wypluwam, zanim jeszcze zdążą otworzyć swoje teczki. Ale Stephen Novac wyglądał na zimnego i pewnego siebie gliniarza, jednego z tych, którym wydaje się, że za ich policyjną odznaką stoi cała potęga prawa. Wnętrze mojego gabinetu bynajmniej mu nie zaimponowało, najwyraźniej nie onieśmiewały go też pokryte patyną czasu akcesoria uprawianego od pokoleń adwokackiego fachu.

Najbliższa godzina nie zapowiadała się przyjemnie.

–Czym mogę panu służyć, panie Novac? – zapytałem.

Złożył nogę na nogę, wyjął z kieszeni mały notes i zaczął go studiować nie odpowiadając na moje pytanie.

Miałem ochotę wywalić go przez okno, ale wtedy wysłaliby po prostu następnego. Zacząłem przyglądać się panu Novacowi. Ubrany był w okropny szary popelinowy garnitur, przypominający odzież, jaką wydaje się wychodzącym na wolność więźniom. Na nogach miał buty na gumowych podeszwach, sporządzone z owego cudownego syntetyku, który bez obawy można czyścić proszkiem do mycia klozetów. Jego koszula, krawat, skarpetki, zegarek, nawet jego fryzura – wszystko to pochodziło z groszowych wyprzedaży i poczułem się w jakiś irracjonalny sposób obrażony otaczającą go aurą tandeciarstwa. Facet, który nie jest w stanie fundnąć sobie porządnego garnituru, budzi we mnie najgłębszą niechęć.

Najbardziej jednak, naturalnie, nie podobało mi się to, iż zjawił się w moim gabinecie, aby doprowadzić mnie do zguby. Mógłby przynajmniej lepiej się ubrać.

–Być może mógłbym panu pomóc znaleźć coś w tym notesie, panie Novac? – zapytałem.

Podniósł na mnie wzrok.

–Panie Sutter, w roku 1971 kupił pan dom w East Hampton za pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Zgadza, się?

To pytanie, choć może wam się wydać całkiem niewinne, było ostatnie, jakie chciałem tego dnia usłyszeć.

–Istotnie na początku lat siedemdziesiątych kupiłem dom w East Hampton za mniej więcej taką cenę.

–Dobrze. Sprzedał go pan w roku siedemdziesiątym dziewiątym za trzysta sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Zgadza się?

–Coś koło tego. – Był to najlepszy interes, jaki w życiu zrobiłem.

–Osiągnął więc pan na tej transakcji zysk w wysokości trzystu dziesięciu tysięcy dolarów netto. Zgadza, się?

–Bynajmniej. Trzysta dziesięć tysięcy dolarów to jest mój zysk brutto. Pomiędzy zyskiem brutto a zyskiem netto istnieje drobna różnica, panie Novac. Jestem przekonany, że uczył się pan o tym w szkole, nawet jeśli nie potrafia tego rozróżnić w IRS.

Spokojnie, Sutter.

Spojrzał na mnie.

–Jaki był w takim razie pański zysk netto? – Żeby się o tym dowiedzieć, od zysku brutto odejmuje się koszt generalnego remontu oraz inne koszty. W ten sposób otrzymuje się wartość, która w świecie prywatnego biznesu nosi nazwę zysku netto.

–Jaka jest jej wysokość, panie Sutter?

–Nie mam w tej chwili najmniejszego pojęcia.

–Podobnie jak my, ponieważ nie zawiadomił nas pan. ani o jednym wydanym na ten cel dolarze.

Touche! – panie Novac.

**–Dlaczego miałbym zawiadamić was o jakichkolwiek wydatkach? – odparłem zaczepnie. – W tym samym czasie kupiłem inny dom w East Hampton za ponad czterysta tysięcy dolarów. W związku z tym nie może być mowy o żadnym zysku. Chce pan, bym pokazał panu odpowiedni rozdział przepisów podatkowych?**

**–Panie Sutter, zgodnie z prawem ma pan osiemnaście miesięcy na dokonanie transferu zysku – to jest na nabycie nowego domu za pieniądze, które uzyskał pan ze sprzedaży poprzedniego. Tylko w takim**

wypadku nie zostaje panu naliczony podatek dochodowy. Pan natomiast kupił nowy dom przy Berry Lane w East Hampton po dwudziestu trzech miesiącach od sprzedaży starego. Mamy w związku z tym do czynienia z naruszeniem przepisów podatkowych. Powinien obliczyć pan swój dochód i uiścić od niego należny podatek. Zataił pan przed nami bardzo wysokie dochody, panie Sutter – dodał.

Facet miał oczywiście rację i tylko dlatego nie wyrzuciłem go jeszcze na zbity pysk na korytarz. Ale jeśli uważacie mnie za oszusta, oto wyjaśnienie:

–Zamierzałem – oznajmiłem panu Novacowi – zbudować dom. Może obito się panu o uszy, że zgodnie z prawem wolno dokonać transferu zysku po dwudziestu czterech miesiącach, o ile nie kupuje się już istniejącego domu, lecz buduje nowy.

–Ale dom przy Berry Lane, który pan kupił i wciąż posiada – odparł pan Novac – nie został przez pana bynajmniej zbudowany.

Zgodnie z tym, co ustaliłem podczas dochodzenia, ten dom stał już tam wcześniej.

–Zgadza się. Tak się składa, że zawarłem wstępną umowę na kupno gruntu i zamierzałem wznieść na nim dom, niestety kontrahent w ostatniej chwili się wycofał. Wszcząłem przeciwko niemu sprawę w sądzie, w końcu jednak załatwiliśmy rzecz polubownie. Istnieją poświadczające to zapisy sądowe. Jak pan zatem widzi, panie Novac, mój zamiar budowy domu został udaremniony. Czas mijał, a ja zdałem sobie sprawę, że nie zdołam znaleźć nowego terenu i rozpocząć budowy dostatecznie szybko, aby pozostać w zgodzie z idiotycznymi przepisami podatkowymi, naruszającymi nawiasem mówiąc przysługujące mi jako obywatelowi tego kraju prawo do podejmowania decyzji ekonomicznych zgodnych z moimi potrzebami, a nie widzimisię władz. W związku z tym, panie Novac – ciągnąłem dalej – skoro uniemożliwiono mi budowę, kupiłem szybko gotowy dom, ten przy Berry Lane, który jest całkiem ładny i do którego zapraszam, jeśli zahaczy pan kiedyś o East Hampton. Wolno unikać podatków; nie wolno się od nich uchylać – dodałem. – Ja unikałem. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój cenny czas. Lubię wiedzieć, na co idą płacone przeze mnie podatki. – Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je szeroko. – Przyślę panu wszystkie odpowiednie dokumenty i zapisy sądowe, dotyczące niedoszłej do skutku transakcji, tak żeby nie musiał

pan ich szukać w East Hampton, Proszę, niech pan zostawi swoją wizytówkę u mojej sekretarki.

Ale pan Novac nie kwapił się bynajmniej do wyjścia.

–Panie Sutter – oznajmił nie ruszając\* się z miejsca – pan nie spełnił wymogu kupna nowego domu w ciągu osiemnastu miesięcy.

W związku z tym naruszył pan obowiązujące w tym czasie przepisy podatkowe. Cokolwiek pan teraz powie albo uczyni, nie jest pan w stanie zmienić faktu zaistnienia przestępstwa. Złamał pan prawo.

Musicie zdać sobie sprawę, w jaki sposób rozumują ci faceci. Pan Novac był święcie przekonany, że w momencie kiedy naruszyłem wiecznie się zmieniające przepisy podatkowe, popełniłem nie tylko straszliwą zbrodnię, ale zarazem ostatecznie przypieczętowałem swój los. Przez te lata wszyscy aniołowie niebiescy płakali nad moją zatwardziałą duszą. Przyznaj się, mówił pan Novac, żałuj za grzechy, bo tylko w ten sposób możesz uzyskać rozgrzeszenie. A potem spalimy cię na stosie. Nie, dziękuję. Zamknąłem drzwi, żeby nie niepokoić Louise i skierowałem się z powrotem ku Novacowi, który tkwił bez ruchu, jakby tyłek przyrósł mu do krzesła.

–Panie Novac – powiedziałem cicho – w naszym wielkim kraju obywatel jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się, że popełnił przestępstwo. – Podniosłem nieco głos. – To podstawa naszego systemu prawnego, fundament naszych obywatelskich wolności. Tymczasem IRS wzywa amerykańskich obywateli, aby sami dostarczyli mu dowodów swojej niewinności. To błąd, panie Novac. Błąd. – Teraz rozdarłem się na dobre. – Jeśli dysponuje pan dowodami na to, że popełniłem przestępstwo, żądam, by mi je pan przedstawił. Natychmiast!

Zachował lodowaty spokój, nie dając się sprowokować ani wciągnąć w karczemną awanturę, co mógłbym potem przeciwko niemu wykorzystać.

–Panie Sutter – oświadczył – czy się to panu podoba, czy nie, w sprawach o zaległości podatkowe obowiązek dostarczenia dowodów spoczywa na panu.

–W porządku – odparłem zimno. – W takim razie niech pan posłucha mnie uważnie. Zamierzałem zbudować dom i mogę to udowodnić w sądzie. Ponadto aktualne przepisy podatkowe przewidują możliwość umorzenia podatku dochodowego nie tylko w przypadku budowy, ale również kupna nowego domu w ciągu, dwudziestu czterech

miesiący od sprzedaży starego. Jak pan zatem widzi, panie Novac, nic nie jest wyryte na stałe w kamieniu, a już w najmniejszym stopniu przepisy podatkowe, które gromada elfów przepisuje co noc od nowa.

Zna pan więc moje stanowisko w tej sprawie. Nie mam do powiedzenia nic więcej, ale jeśli chce pan wypełnić pozostałą część godziny, którą dla pana przeznaczyłem, może pan tu posiedzieć i poczytać sobie Federalny Kodeks Podatkowy, podczas gdy ja będę pracował.

Pan Novac pojął moje przesłanie i wstał.

–Panie Sutter, na podstawie pana własnych słów oraz w wyniku dochodzenia, które przeprowadziłem, stwierdzam, że zalega pan z opłatą podatku dochodowego wraz z odsetkami i opłatami karnymi. – Wyjął z kieszeni kartkę, przyjrzał się jej i ciągnął dalej: – Jeśli nie jest pan w stanie okazać żadnych rachunków i zrealizowanych czeków poświadczających fakt przeprowadzenia przez pana remontu generalnego, nie opodatkowany dochód, jaki osiągnął pan w roku, w którym sprzedał pan dom, wyniósł według moich obliczeń trzysta dziesięć tysięcy dolarów. Biorąc pod uwagę obowiązujący wówczas system podatkowy oraz odsetki i opłaty karne – kary za niedopatrzenie, kary za zwłokę oraz grzywnę – jest pan winien Stanom Zjednoczonym trzysta czternaście tysięcy pięćset trzynaście dolarów.

W tym momencie żałowałem, że nie siedzę. Dyskretnie wziąłem głęboki oddech. Na tę właśnie chwilę czekał pan Novac – być może przez długie miesiące – i nie mogłem pozwolić mu się nią napawać.

–Po tym wszystkim wychodzę więc na zero – oświadczyłem.

Podał mi kartkę, ale nie przyjąłem jej, w związku z czym położył ją na moim biurku.

–To, że miał pan zamiar legalnie uniknąć podatków, jest w tym przypadku bez znaczenia – oświadczył.

–Błąd – odparłem. – W sprawie cywilnej to, z jakim się nosiłem zamiarem, ma podstawowe znaczenie. Do jakiej szkoły pan chodził? – Pan Novac tylko się uśmiechnął, co wyprowadziło mnie z równowagi. – Niech pan się nie spodziewa – ciągnąłem dalej – że pójdę na jakąkolwiek ugodę. Wychodzę z założenia, że nie zalegam ze spłatą żadnych podatków. A jeśli spróbujecie zająć jakieś moje aktywa, uniemożliwię wam to i pozwę do sądu.

Ta groźba była, niestety, do tego stopnia niepoważna, że pan Novac otwarcie wyszczerzył zęby w uśmiechu. IRS może ci zabrać





prawie wszystko, co posiadasz, a ty, żeby cokolwiek z tego odzyskać, możesz się co najwyżej z nimi procesować.

–Powiadomię również o wszystkim mojego kongresmana – dodałem.\* Na panu Novacu nie wywarło to żadnego wrażenia.

–Normalnie, panie Sutter – poinformował mnie – o ile zaakceptowałyby pan moje obliczenia, przyjąłbym po prostu do wiadomości pańskie wyjaśnienie dotyczące popełnionego błędu. Ale ponieważ jest pan człowiekiem wykształconym, a przy tym adwokatem zajmującym się sprawami podatkowymi, urząd podatkowy wychodzi z założenia, że nie mamy tu do czynienia z błędem ani niedopatrzeniem, ale ze świadomą próbą uchylecia się od zapłacenia należnych podatków. Czyli oszustwem.

Muszę w związku z tym uprzedzić pana, że niezależnie od wymierzenia grzywny rozważa się wszczęcie przeciwko panu sprawy karnej.

Wyczuwałem, że do tego dojdzie, a kiedy glina oznajmia ci o wszczęciu sprawy karnej, to niezależnie od tego, ile masz forsy i ile dyplomów wisi na twojej ścianie, czujesz, jak serce trzepocze ci się w piersi. Tak się składa, że znam paru ludzi, zamożniejszych i bardziej wpływowych ode mnie, którzy przeszli na jakiś czas, jak to się mówi, na państwowy wikt. Znam dwie osoby, które wróciły stamtąd i nie są już tymi samymi ludźmi. Spojrzałem panu Novacowi prosto w oczy.

–Dorośli ludzie nie noszą bawełnianych garniturów – poinformowałem go.

Mój rozmówca po raz pierwszy okazał trochę emocji; poczerwieniał, choć obawiam się, że wcale nie ze wstydu, jakim powinno go napełniać jego nędzne odzienie. Był teraz naprawdę wściekły.

–Proszę przygotować się – powiedział, odzyskując władzę nad barwą swoich policzków – do pełnej kontroli pańskich zeznań podatkowych poczynając od roku 1979 aż do chwili obecnej, włącznie z tegorocznym, którego jeszcze pan nie złożył. Proszę udostępnić całą dokumentację i sprawozdania rewidentowi, który skontaktuje się z panem dziś po południu. Jeśli nie przekaże mu ich pan dobrowolnie, zajmiemy je na drodze sądowej.

Całą dokumentację na temat podatków trzymam w Locust Valley, ale tym będę się martwił po południu. Na razie miałem okazję dowiedzieć się, co czuje człowiek, kiedy zdejmują mu odciski palców.

Podszedłem do drzwi i otworzyłem je.

–Żaden obywatel wolnego świata nie nosi także butów ze sztucznej skóry, panie Novac. Pan musi być szpiegiem.

–Jestem wegetarianinem – wyjaśnił – i nie noszę nic skórzanego.

–W takim razie, na litość boską, człowieku, załóż na nogi płócienne tenisówki albo gumowe kalosze, ale nie plastik. Do widzenia.

Wyszedł bez słowa, za to mnie, kiedy zamykałem za nim drzwi, przyszło do głowy właściwe określenie.

–Ćmok! – zawołałem. Louise z wrażenia o mało nie wypadła sztuczna szczęka. Zatrzasnąłem drzwi.

Mimo że starałem się zachować kamienny, godny rzymskiego patrycjusza spokój, perspektywa wyrzucenia w błoto trzystu tysięcy, a także spędzenia jakiegoś czasu w więzieniu federalnym trochę mną wstrząsnęła. Nalałem sobie szklankę zimnej wody z karafki, podszedłem do okna, otworzyłem je i wpuściłem do pokoju trochę świeżego powietrza, które wciąż można znaleźć na tej wysokości na Manhattanie.

Tak oto zajrzał mi w oczy Wielki Koszmar Wyższej Klasy Średniej – sześciocyfrowy domiar.

Teraz posłuchajcie, jak się nad sobą użalam. Harowałem przez całe życie jak wół, odchowałem dwójkę dzieci, udzielałem się społecznie, płacę podatki... no, może nie wszystkie, ale zdecydowaną ich większość... spełniłem swój obywatelski obowiązek podczas wojny, podczas gdy inni dekowali się na tyłach. I oto, co mnie spotyka. To niesprawiedliwe.

Teraz zaobserwujcie, jak ogarnia mnie gniew. W kraju panoszą się handlarze narkotyków, a przywódcy mafii żyją niczym średniowieczni królowie. Ulicami zawładnęli kryminaliści, mordercy chodzą na wolności, miliardy wydaje się na pomoc społeczną, ale nie ma pieniędzy na budowę więzień. Kongresmani i senatorzy dopuszczają się rzeczy, za które ja z miejsca powędrowałbym za kratki, wielkie korporacje popełniają oszustwa podatkowe na taką skalę, że rząd woli zawrzeć z nimi kompromis, niż walczyć. A mnie nazywają przestępcą? Kto tu, do jasnej cholery, łamie prawo?

Uspokoilem się trochę i spojrzałem w dół na ulicę. Oto Wall Street, finansowe centrum kraju, miejsce, z którego na cały świat promieniują pieniądze i władza. A mimo to, w środku kraju, ulica ta postrzegana jest jako nieamerykańska, a miejscowych finansistów uważa się za pasożytów. Taki na przykład pan Novac

wkracza na Wall Street

z gotowymi uprzedzeniami. Podejrzewam, że niewiele uczyniłem, by to zmienić. Może nie powinienem krytykować jego plastikowych butów.

Ale jak inaczej mogłem stawić mu czoło? Czegoś przecież nauczyłem się w Yale. Uśmiechnąłem się. Poczulem się trochę lepiej.

Teraz podziwiajcie, jak logicznie rozumiuję. Udowodnienie mi winy nie będzie łatwe, ale nie można tego całkowicie wykluczyć. Ława przysięgłych złożona z moich znajomych z "The Creek" z pewnością by mnie uniewinniła. Ale wywodzący się z Nowego Jorku ławnicy federalni mogą nie żywić do mnie tyle sympatii. Z drugiej strony, nawet gdyby udało mi się uniknąć wyroku skazującego, pozostawało do spłacenia... spojrzałem na leżącą na moim biurku kartkę... 314 513 dolarów. Stanowiło to więcej niż cały czysty zysk, który przyniosła mi sprzedaż domu. Mnóstwo pieniędzy, nawet dla zamożnego adwokata z Wall Street. Zwłaszcza uczciwego.

Połowę tej kwoty powinna teoretycznie zapłacić Susan. Mimo że składamy oddzielne zeznania podatkowe – po pierwsze z powodu skomplikowanego sposobu obliczania jej pochodzących z funduszu powierniczego dochodów, a po drugie, ponieważ zobowiązuje nas do tego nasza intercyza – połowa domu w East Hampton należy do niej, podobnie jak połowa domniemanego zysku. Ale w naszym szczytującym się równouprawnieniem wieku Novac straszy, naturalnie, więzieniem mnie – nie Susan. Typowe.

Rozumując logicznie, wiedziałem, że powinienem zadzwonić do firmy prawniczej Stanhope'ów i poinformować ich o całym problemie.

Oni zaś prawdopodobnie udadzą się do IRS i zaoferują pomoc w załatwieniu mnie na cacy w zamian za pozostawienie w spokoju młodej spadkobierczyni ich klientów. Uważacie pewnie, że ten, kto wzenił się w rodzinę milionerów, ma z tego same przyjemności i korzyści? Spróbujcie sami. Następną rzeczą, jaką powinienem teraz uczynić, było powierzenie moich spraw podatkowych komuś z moich partnerów – człowiek nie potrafi zdobyć się na obiektywizm, kiedy chodzi o jego własne pieniądze – a następnie poszukanie sobie jakiegoś adwokata specjalizującego się w sprawach kryminalnych.

To ostatnie słowo skojarzyło mi się z moim sąsiadem. Kryminalny równa się Bellarosa.

Przez chwilę pomyślałem o moim kumplu Franku. Pan Bellarosa trafił kiedyś raz w swoim złodziejskim życiu do paki, a wsadzono go

właśnie za uchylanie się od podatków. Nie ulegało jednak wątpliwości, że w dalszym ciągu popełnia oszustwa podatkowe, z całą pewnością bowiem nie deklarował dochodów, jakie przynosiły mu handel narkotykami, sutenerstwo, hazard, wymuszanie i inne rodzaje działalności, które uprawiał na boku.

Stałem i spoglądałem w dół na Wall Street, użalając się nad samym sobą, oburzając na niesprawiedliwe życie i zżymając się na myśl o wszystkich prawdziwych kryminalistach, którym władze nawet w najmniejszym stopniu nie starają się utrudnić życia.

I chyba właśnie wtedy zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego: zacząłem tracić wiarę w system. Ja, beniaminek systemu, zagorzały zwolennik ładu i porządku, patriota i republikanin z bożej łaski – nagle poczułem się wyalienowany w swoim własnym kraju. Sądzę, że jest to normalna reakcja uczciwego człowieka i porządnego obywatela, którego nagle wrzuca się do tego samego worka, w którym znajdują się Al Capone i Frank Bellarosa. Przypuszczam również, że prawdę mówiąc dojrzewało to we mnie już od jakiegoś czasu.

Przypomniałem sobie słowa Franka Bellarosy: "Jesteś skaut, czy co? Salutujesz codziennie rano przed amerykańską flagą?" Zgoda, robiłem to. Ale teraz zdałem sobie sprawę, że wszystkie te lata, kiedy starałem się być dobrym obywatelem, znajdą co najwyżej odbicie w jednym zdaniu opinii, którą odczytają sędziemu.

Rozum – chociaż nie, wcale nie rozum, ale instynkt przetrwania – podpowiadał mi, że jeśli chcę zachować wolność, muszę przestać być porządnym obywatelem. Zatem dobrowolne poddanie się, czy: "Spróbujcie mnie stąd ruszyć, wy świnię"?

**Spróbujcie mnie stąd ruszyć, wy świnię!**

Znałem, oczywiście, jedynego człowieka, który naprawdę mógł mi pomóc, i żałowałem, że nie mam w tej chwili jego numeru telefonu.

Rozdział 19 Oddajcie, co jest cesarskiego, cesarzowi – zacytował Frank Bellarosa. – Ale nigdy więcej – dodał – niż piętnaście procent waszego dochodu netto.

Coś podobnego mówię swoim klientom, tyle że ja sugeruję siedemnaście procent liczonych od dochodu brutto i wystawiam rachunek za udzieloną poradę. Przypuszczam, że tego samego mogłem się spodziewać po Franku Bellarosie.

Był piątek wieczór i siedziałem przy swoim stoliku w zatłoczonej sali koktajlowej "The Creek". Nic nie zmieniło się tutaj od wcześniej opisanego przeze mnie piątkowego wieczoru oprócz tego, że naprzeciwko mnie siedział Biskup.

**Nie musiałem się nawet rozglądać, żeby czuć oczy wlepione we mnie i mojego przyjaciela Franka. Przy sąsiednim stoliku siedział Lester Remsen w towarzystwie Randalla Pottera i Allena DePauwa, w którego położonym naprzeciwko Alhambry domostwie, jak może pamiętacie, władze założyły posterunek obserwacyjny.**

**Był tutaj również obecny wielebny Hunnings, który siedział razem z trzema innymi mężczyznami przy stoliku w rogu sali przy wielkim panoramicznym oknie. Na strój od golfa zarzuconą miał sportową kurtkę, a w ręku trzymał kieliszek czerwonego wina. Zauważyłem, że duchowni episkopalni i katoliccy w miejscach publicznych pijają na ogół wino. Pozwala im to, jak sądzę, zachować twarz, wino bowiem, w przeciwieństwie do zimnego piwa, podawane jest również przy ołtarzu.**

3 – Złote Wybrzeże t. II Przy innym, niezbyt oddalonym stoliku, zarezerwowanym najwidoczniej dla osób, w których żyłach płynie holenderska krew, siedzieli Jim Roosevelt, Martin Vandermeer i Cyril Vanderbilt. Ten ostatni, jak się domyślam, przybył na tę noc wprost z "Piping Rock", by odwiedzić tutejsze slumsy.

Sala wypełniała się coraz szczelniej i jeśli wolno mi zacytować słowa starej rockowej piosenki, byli tutaj wszyscy, którzy byli. Plus jeszcze parę innych osób. Miałem dziwne uczucie, że cała okolica zwiędziała się o tym, iż Sutter przyproceedził do klubu Bellarose i wszyscy przybiegli zobaczyć to na własne oczy. Chociaż nie, może nie było aż tak źle. To był normalny piątkowy wieczór.

Frank strzelił palcami na starego Charliego, byłego kelnera z sali restauracyjnej, który po podaniu swojego milionowego dania odesłany został na zielone pastwiska sali koktajlowej, gdzie mógł podobnie jak członkowie klubu popijać, palić, gawędzić z gośćmi i niczym się nie przejmować. Charlie zignorował naturalnie tę banalną próbę zwrócenia jego uwagi i Frank ponownie strzelił palcami.

–Hej! – zawołał.

Skrzywiłem się.

–Przyniosę coś do picia – zaproponowałem. Wstałem i ruszyłem w stronę baru. Barman Gustav zaczął przyrządzać dla mnie martini, zanim jeszcze do niego dotarłem.

–I raz żytniówkę z piwem imbirowym – powiedziałem.

Gustav uśmiechnął się krzywo, dając mi do zrozumienia, co myśli o takim drinku.

Obok mnie pojawił się nagle Lester, którego zmuszono, jak sędzę, kilkoma szturchańcami, żeby się ze mną rozmówił.

–Cześć, John – powiedział Lester.

–Cześć, Lester – powiedział John.

–Co to za facet, z którym jesteś?

–To Antonio Pugliesi, znany na całym świecie śpiewak operowy.

–Wygląda zupełnie jak Frank Bellarosa, John.

–Naprawdę? Cóż za uderzające podobieństwo.

**–John... nie powinieneś robić takich rzeczy.**

**Pojawiła się żytniówka z piwem imbirowym i podpisałem rachunek.**

**–O co w tym wszystkim chodzi? – wypytywał mnie dalej Lester.**

**–To mój sąsiad. Miał ochotę tutaj zajrzeć – dodałem i była to**



święta prawda. Z pewnością nie ja wpadłem na pomysł, żeby go tutaj przyprowadzić. Z drugiej jednak strony wcale nie w smak mi były pytania Lestera.

–Czy zostajecie na kolacji? – ciągnął dalej.

–Tak. Za chwilę zjawią się tutaj Susan i pani Bellarosa.

–Posłuchaj, John... jako członek rady klubu i twój przyjaciel...

–A także mój kuzyn.

–Tak... to także... Sądzę, że mam obowiązek poinformować cię, że niektórzy z obecnych nie są zbyt zachwyceni i czują się skrępowani...

–Wszyscy wyglądają na zachwyconych i świetnie się bawią.

–Wiesz, co mam na myśli. Rozumiem, w jakiej znalazłeś się sytuacji i sądzą, że raz na jakiś czas, nie za często, możesz wpaść z nim tutaj na parę drinków. Podobnie jak czynimy to z przedstawicielami niektórych mniejszości – dodał sotto voce. – W ostateczności może to być nawet lunch. Ale nie kolacja, John, i nie w towarzystwie kobiet.

–Lesterze – oświadczyłem stanowczo. – Nie dalej jak kilka miesięcy temu próbowałeś namówić mnie do popełnienia oszustwa, fałszerstwa i defraudacji. Więc nie udawaj teraz świętego. Bądź tak dobry i odpiardol się ode mnie. – Zabrałem drinki i wróciłem do stolika.

Popijając martini stwierdziłem, że trochę drży mi ręka.

Frank zamieszał swój koktajl.

–Zapomniałeś o wisience.

–Nie jestem twoim pierdolonym kelnerem.

Frank Bellarosa, jak mogliście zapewne do tej pory zauważyć, nie przywykł do tego rodzaju odzywek. Ale w tym przypadku nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko zamieszał jeszcze raz swój koktajl.

Zgadliście już chyba, że nie byłem w najlepszym humorze. Jeśli chodzi o gwałtowne zmiany nastroju, to starcie z facetem z IRS przyczynia się do nich niemal w tym samym stopniu co małżeńska kłótnia.

**–Co ty byś zrobił w mojej sytuacji? – wypytywałem pana Bellarosę. – Zapłacił facetowi? Czy zagroził, że odstrzelisz mu głowę?**

**Bellarosa otworzył szeroko oczy, jakby zaszokowało go to, co powiedziałem. Omal się nie roześmiałem.**

**–Nigdy, ale to nigdy nie wolno podnieść ręki na agenta federalnego – oznajmił.**

–Gdybyś spotkał pana Novaca, uczyniłbyś dla niego wyjątek.

Uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

–Więc może powinienem go przekupić? – zapytałem.

–Nie. Jesteś przecież uczciwym facetem. Nie rób niczego, czego nie robiłbyś w normalnych okolicznościach. To by nic nie dało. Facet ma zresztą na pewno przy sobie ukryty mikrofon i jest przekonany, że ty też go masz.

Kiwnąłem głową. Prawdę mówiąc, perspektywa położenia trupem pana Novaca budziła we mnie mniejszą odrazę niż zaoferowanie mu łapówki.

Przyjrzałem się Frankowi Bellarosie, odzianemu w swój typowy, składający się z blezera i golfu strój. Musiał zobaczyć ten zestaw na jakiejś reklamie przemysłu odzieżowego (w tle z pewnością stał gustowny pałacyk) i postanowił, że pozostanie mu wierny, zmieniając tylko kolory. Blezer był tym razem zielony, a golf kanarkowo żółty.

Samo ubranie nie przyciągało zresztą specjalnej uwagi, ponieważ po zakończeniu sezonu tweedowego wszyscy miejscowi anglosascy protestanci przybierają idiotyczne letnie barwy i aż do września przypominają wyglądem tropikalne ptaki. Mogłem się tylko cieszyć, że Bellarosa nie wkroczył tutaj odziany w szary, opalizujący garnitur przypominający skórę rekina.

–Pozbądź się swojego Rolexa, Frank – powiedziałem. – Że co?

–To, co słyszysz. Niektórzy ludzie potrafią się ich pozbyć, ty nie.

Spraw sobie jakiś sportowy zegarek i buty do biegania, najlepiej dockside'y. Wiesz, jak wyglądają?

–Jasne.

Nie wydawało mi się, żeby wiedział. Skończyłem swoje martini, zwróciłem na siebie uwagę Charliego bez konieczności strzelania palcami i zamówiłem następną kolejkę.

–I raz maraschino cherry dla tego pana.

–Czy ten pan życzy sobie wisienkę zieloną czy czerwoną, sir? – zapytał mnie Charlie, tak jakbym przyprowadził do klubu swojego buldoga i zamówił dla niego mleko na spodeczku.

**–Czerwoną – warknął Bellarosa.**

**Charlie odszedł powłócząc nogami.**

**W sali koktajlowej pojawiło się kilka kobiet, które były tu**

umówione, względnie chciały zabrać stąd swoich mężów i w tej samej chwili spostrzegłem Beryl Carlisle, siedzącą przy stoliku razem ze swym jak-mu-tam-namim mężem. Odwrócona była do mnie profilem i przez chwilę obserwowałem, jak pociąga przez słomkę swojego drinka. Robiła to wspaniale. Nagle, tak jakby doskonale wiedziała, gdzie siedzę, strzeliła w moją stronę oczyma i wymieniliśmy między sobą niezobowiązujące uśmiechy, coś w rodzaju "czy znowu będziemy się w to bawić?" Bellarosa spojrział najpierw na mnie, a potem na Beryl.

–Macie tutaj całkiem niezły towar. Wygląda, jakby na twój widok robiło jej się mokro między nogami.

Z przyjemnością stwierdziłem, że ktoś podziela moją opinię w tym względzie.

–Nie rozmawiamy tutaj o seksie – poinformowałem go jednak.

Uśmiechnął się.

–Nie? A o czym tutaj rozmawiacie? O forsie?

–Rozmawiamy o interesach, ale nigdy o pieniądzach.

–Jak, u diabła, wam się to udaje?

–To nie takie łatwe. Słuchaj, Frank, potrzebne mi jest nazwisko twojego adwokata od spraw podatkowych. Nie tego, z którego usług korzystałeś, kiedy zamknęli cię na dwa lata, ale tego, którego zatrudniasz teraz, żeby nie wsadzili cię ponownie.

Nadeszły drinki. Bellarosa ujął zdechłą wisienkę za szypułkę i wsadził ją sobie do ust.

–Twój adwokat od spraw podatkowych – naciskałem.

Zaczął żuć wisienkę.

–Nie potrzebujesz żadnego adwokata. Adwokaci potrzebni są w sądzie. A ty chcesz mieć to po prostu z głowy.

–Dobrze. Więc jak to zrobić?

–Zanim będziesz wiedział jak, musisz zrozumieć dlaczego.

–Ja rozumiem dlaczego. Nie chcę zapłacić trzystu tysięcy dolarów i spędzić kilku lat w pace. Dlatego.

**–Musisz zrozumieć dlaczego. Dlaczego nie chcesz tego zrobić.**

**–Bo to była zwykła pomyłka.**

**–Nie ma takiej rzeczy jak zwykła pomyłka, przyjacielu.**

**Wzruszyłem ramionami i zająłem się z powrotem swoim martini.**

**Rozejrzałem się po sali, sprawdzając, czy mamy odpowiednią widownię.**

Kilka osób umknęło przede mną oczyma, ale kilka innych, jak choćby Martin Vandermeer czy poczciwy ojciec Hunnings, przyglądało nam się w nieprzyjemny sposób. Beryl, ze swojej strony, obdarzyła mnie jeszcze szerszym uśmiechem, tak jakbyśmy znaleźli się ponownie na właściwej drodze. Miałem wrażenie, że jeżeli Beryl Carlisle rzeczywiście, jak to sugerował mój towarzysz, robiło się na mój widok mokro między nogami, to miało to coś wspólnego z zażyłością, jaka łączyła mnie z panem Bellarosą. Beryl należy do kobiet, które nieźle rozrabiały w młodości, potem bezpiecznie wyszły za mąż i nawiązywały bezpieczne romanse, do dzisiaj jednak mają słabość do niegrzecznych chłopców.

Podejrzewam, że byłem dla niej teraz uosobieniem najbardziej atrakcyjnych cech obu światów: kimś w rodzaju dyplomowanego gangstera.

Spojrzałem ponownie na Bellarosę. Domyśliłem się, że dopóki nie uporam się z pytaniem "dlaczego?", nie posuniemy się ani o krok dalej. Starłem się przypomnieć sobie coś z jego filozofii życiowej, którą uraczył mnie w Alhambrze.

–To sprawa osobista. Nastąpiłem kiedyś Novacowi na odcisk, oto dlaczego – powiedziałem. – Przerznąłem kiedyś jego żonę i zostawiłem ją w motelu w Catskills podczas śnieżycy.

Bellarosa uśmiechnął się.

–Coraz bliżej.

Zgarnął kilka okropnych precelków w kształcie złotych rybek, które leżały na półmisku na środku stołu, i wepchnął je sobie do ust.

Miałem zamiar interweniować w sprawie tych precelków u kierownika klubu, ale wątpię, bym po dzisiejszym wieczorze miał jeszcze prawo na coś się tutaj skarżyć.

Bellarosa przełknął złote rybki.

–W porządku – oznajmił. – Pozwól, że teraz powiem ci, jak ja to widzę. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że w tym kraju, w naszej pięknej demokracji, bez przerwy trwa walka klasowa. Nie wierzysz, że dotyczy to twojego kraju? Lepiej w to uwierz, przyjacielu. Cała historia to walka pomiędzy trzema klasami – wyższą, średnią i niższą.

Nauczył mnie tego nauczyciel historii w La Salle. Rozumiesz, co miał na myśli ten facet?

**Mam nadzieję, Frank. Skończyłem przecież, na litość boską, Yale.**

**–A gdzie umieścić tutaj klasę przestępczą? – zapytałem.**

**–Chrzaniisz. Myślisz, że nie istnieją różne klasy przestępców?**



Uważasz, że niczym nie różnię się od jakiegoś melanzane, który wtyka ludziom na ulicy heroinę?

Właściwie do dzisiaj tak uważałem, ale teraz, kiedy przedstawił mi całe tło historyczno-ekonomiczne, chyba zmieniłem zdanie. Być może więcej mam wspólnego z Frankiem Bellarosa niż na przykład z wielebnym Hunningsem, który nie lubi ani mnie, ani moich pieniędzy. – Żona mojego dozorca, Ethel – powiedziałem – także wierzy w walkę klas. Któregoś dnia przedstawię was sobie. To może być zabawne.

–No tak. Nie wydaje mi się, żebyś traktował to poważnie.

Dobra, u nas wygląda to inaczej niż w Europie, nie ma tu tych wszystkich zwariowanych partii i całej drętwej mowy, ale tak czy owak, u nas jest to samo. Walka klas.

–Więc to dlatego Novac chce mnie załatwić? Bo jest komuchem?

–Kimś w tym rodzaju. Choć on sam nie ma o tym najmniejszego pojęcia.

–Powinienem się tego domyślić, kiedy oświadczył, że jest wegetarianinem.

–Jasne. Poza tym trwa tutaj inna wojna, prawie tak samo stara jak walka klas: wojna między dupkami z rządu i sprytnymi facetami, którzy nie chcą mieć z rządem nic wspólnego. Władza chce, żeby biedni i głupi ludzie myśleli, że się o nich troszczy. Capisce? Więc co powinni robić w takiej sytuacji ludzie tacy jak ty i ja? Powinni jedną ręką zasłaniać jaja, a drugą portfel. Zgadza się?

Facet miał naturalnie rację. To samo mówię swoim klientom, inaczej to tylko ujmuję. Może dlatego nie zawsze mnie rozumieją.

–To wcale nieprawda – ciągnął dalej Bellarosa – że urząd podatkowy nie interesuje się tobą jako człowiekiem z krwi i kości, że jesteś dla nich tylko numerem. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Interesują się tobą, a jakże, i to w sposób, który wcale nie przypadłby ci do gustu.

–Ale przecież nie cała ich działalność – odparłem – wynika ze złośliwości albo z jakiejś świadomie obranej filozofii. Częściowo jest to po prostu waląca na oślep bezduszna biurokracja. Wiem o tym.

Mam z tym do czynienia na co dzień. Nie wierzę, żeby urząd podatkowy albo Novac

**uwzięli się konkretnie na mnie.**

**–Na samym początku nie. To zaczyna się dopiero wtedy, kiedy**

podpadnie im ktoś taki jak ty. I nic tu nie jest dziełem przypadku, o nie, przyjacielu. Wszystko jest zaplanowane. A jeżeli jest zaplanowane, to masz do czynienia z wojną. Kiedy facet pokroju Novaca trafi na twój trop, wtedy staje się to dla niego sprawą osobistą. Czy dałeś mu odczuć swoją wyższość? – zapytał.

Uśmiechnąłem się.

–Troszeczkę.

–No tak. Błąd numer jeden.

–Wiem o tym.

–Zrozum, mecenasie. Novac to biedak, wyciąga trzydzieści do czterdziestu tysięcy rocznie. Ty masz pewnie dziesięć razy tyle. Podobna różnica jak między mną i Ferragamo. Ta sama historia. Rzecz w tym, że oni mają odznaki i nie wolno ich obrażać.

–Facet wyprowadził mnie z równowagi.

–Jasne. Ci ludzie to potrafią. Zrozum, Novac nie poszedł pracować w IRS, żeby chronić twoje pieniądze. Poszedł tam z pewnym szczególnym nastawieniem i gdybyś wiedział, jakie to nastawienie, zesrałbyś się z wrażenia.

–Wiem.

Bellarosa pochylił się ku mnie przez stół.

–Novac ma w ręku władzę, rozumiesz? Władzę, pod którą ktoś taki jak ty, a nawet taki jak ja, może się tylko skręcać. W egzekwowanie tej władzy facet wkłada całą swoją duszę, bo nigdzie indziej nie ma nic do gadania – jest nikim w banku, w swoim biurze, a nawet w domu, gdzie czeka na niego żona i dzieciaki. Jaki autorytet możesz mieć w domu, do którego przynosisz trzydzieści tysięcy rocznie? – Bellarosa spojrział mi prosto w oczy. – Spróbuj na jeden dzień postawić się w jego sytuacji, spróbuj pochodzić trochę w jego butach.

–Na Boga, nie. Facet nosi syntetyczne obuwie.

–Tak? No widzisz. Pomieszkaj trochę w jego zasranej chałupie albo zasranym mieszkanku, zamartwiaj się o ceny jedzenia i ceny ciuchów, które sprawiasz sobie raz w życiu, poleż trochę bezsennie w nocy zastanawiając się, czy szef nie wysmażył akurat negatywnej opinii na twój temat, czy nie szykują się przypadkiem jakieś

**podwyżki płac i skąd wziąć forszę na chesne dla dzieciaków. A potem złóż wizytę panu Johnowi Sutterowi w jego pierdolonej, frymuśnej kancelarii i powiedz mi, jak zamierzasz go potraktować.**

**Dobry Boże, zaczynałem prawie współczuć Stephenowi Novacowi.**

**–Wszystko to rozumiem, ale chcę wiedzieć...**

**–Najpierw musisz zrozumieć, z kim masz do czynienia, a także to, że oni uwielbiają dobierać się do skóry ludziom na świeczniku.**

**Ludziom takim jak ja i ty. Facetom, o których problemach podatkowych będą trąbić gazety. Wiesz dlaczego?**

**–Tak, Frank. Bo podatki to mój chleb powszedni. IRS chce nagłośnić moją sprawę i przestraszyć w ten sposób miliony innych podatników, którym nie może osobiście dobrać się do skóry. Wtedy wszyscy będą grzecznie płacić.**

**–Oni srają na to, czy ludzie będą płacić. Wciąż nie pojmujesz, w czym rzecz. Im zależy, żeby ludzie się ich bali. To jest władza.**

**Pomyśl także o zazdrości. Facetowi takiemu jak Novac brakuje jaj, żeby skombinować tyle szmalu co ty i ja, ale ma dość oleju w głowie, żeby wpiekłało go to, że nie jest bogaty. To niebezpieczny osobnik.**

**Kiwnąłem głową. To, co mówił Bellarosa, naprawdę brzmiało jak Machiavelli we współczesnym przekładzie.**

**–Weź takiego faceta jak Ferragamo. Gęba mu się nie zamyka, bez przerwy pieprzy o sprawiedliwości, demokracji i równości, o tym, jak to się troszczy o biednych i o ofiary zbrodni. Nieprawda. Nie o to tutaj chodzi, przyjacielu. Chodzi o pierdoloną władzę. A także o zazdrość i o osobistą urazę, które maskuje się pięknie brzmiącymi frazesami. Mógłbym zabrać cię do Brooklynu, na którego ulicach popełnia się więcej przestępstw niż w całym tym pierdolonym kraju.**

**Myślisz, że zobaczysz tam Ferragamo? Myślisz, że zobaczysz tam Mancuso? Albo Novaca wypyującego alfonsów i sprzedawców heroiny, czy wypełnili już swoje deklaracje podatkowe? Powiem ci jeszcze, mecenasie, że kiedy już człowiek raz im podpadnie, nie ma żadnego znaczenia, czy żył tak jak ja, czy tak jak ty. Obu nam grozi te same pięć albo dziesięć lat odsiadki, a może nawet więcej. Za dobre zachowanie mogą ci skrócić wyrok dopiero, kiedy znajdziesz się za murami, nigdy przedtem. Capiśce? I jeszcze coś ci powiem, coś, co ci nie pójdzie w smak. Kiedy ty spoglądasz na ławę przysięgłych, jej członkowie mierzą cię surowym wzrokiem, a ty starasz się wyglądać jak niewiniątka. Kiedy ja spoglądam na ławę przysięgłych, połowa jej członków myśli, że zblatowałem drugą połowę, a wszyscy bez wyjątku boją się, że odstrzelę im tyłki, jeśli powiedzą, że jestem winny. To się**



nazywa władza, przyjacielu. Ja ją mam; ty nie. Nikt nie traktuje mnie jak gnojka. I jeszcze coś, specjalnie dla ciebie: jeśli łudzisz się, że władze dobrały ci się do skóry nie dlatego, że robisz to, co robisz, nie dlatego, że jesteś cwany gościem, który spuszcza łomot inspektorom podatkowym na ich własnym boisku, to nadal nic z tego wszystkiego nie rozumiesz. Zastanów się nad tym.

Rozwazałem tę możliwość już przedtem, ale odrzuciłem ją z przyczyn patriotycznych.

–Wszystko to sobie dokładnie przemyślałeś – powiedziałem.

–Przemyślałem to sobie z grubsza. Wciąż dopracowuję szczegóły. – Oparł się o krzesło połykając ostatnią złotą rybkę. – Teraz, kiedy już wiesz dlaczego, możesz porozmawiać z panem Melzerem. On powie ci jak.

Minęło kilka sekund, zanim zorientowałem się, że powinienem zadać pytanie.

–Kim jest pan Melzer? – zapytałem.

–Kiedyś znajdował się po drugiej stronie barykady. Był grubą szychą w IRS. Teraz jest prywatnym konsultantem. Wiesz, o co chodzi. Zarabia pieniądze sprzedając tajemnice przeciwnika. Osobiście zna tych dupków. Rozumiesz? Ja sam spotkałem go trochę za późno.

Ale może uda mu się wyprostować twoje sprawy.

Przez chwilę się zastanawiałem. Istniało oczywiście kilku renegatów, którzy sprzedawali strzelby Indianom. Nikogo z nich nie poleciłbym jednak moim klientom. Z tego, co wiedziałem, operowali w szarej strefie, wykorzystując swoje znajomości w IRS, a może nawet korumpując i szantażując byłych współpracowników. Ich klienci nigdy nie byli wtajemniczani w sposób załatwienia sprawy i wchodziło to w zakres umowy. Ale John Sutter, zwolennik fair play, nigdy nie poleciłby usług renegata z IRS żadnemu ze swoich klientów, nawet gdyby zezwalało na to prawo. To nie byłoby etyczne.

Musiałem sprawiać wrażenie niezdecydowanego, nastawionego sceptycznie, a może nawet rozczarowanego, bo Bellarosa postanowił rzucić na szalę koronny argument.

–Pan Melzer – stwierdził – z góry gwarantuje ci, że nie zostaniesz postawiony w stan oskarżenia. Nie grożą ci żadne zarzuty kryminalne ani więzienie.

**–Jak może to zagwarantować?**



–To nie twój interes, przyjacielu. Chcesz załatwić to na swój sposób, proszę bardzo. Ale jeśli chcesz skorzystać z usług Melzera, który gwarantuje ci, że nigdy nie zobaczysz, jak wygląda od środka więzienie federalne, wtedy daj mi znać. Ale musisz działać szybko, zanim te dupki posuną się tak daleko, że nawet Melzer nie zdoła wszystkiego odkręcić.

Spojrzałem na Bellarosę. Właściwie udzielał mi osobistej gwarancji, że nie wyląduję w pace. Wciąż mogłem jeszcze stracić trzysta tysięcy, ale wiadomo było przynajmniej, że nie będę wypisywał czeków dla urzędu podatkowego w gabinecie naczelnika więzienia. Co czułem?

Ulgę? Wdzięczność? Silniejsze, łączące mnie z moim nowym przyjacielem związki? Właśnie tak, żebyście wiedzieli.

–W porządku. Niech będzie Melzer.

–Dobrze. Skontaktuje się z tobą. – Bellarosa ponownie rozejrzał się po sali. – Przyjemne miejsce.

–Tak.

–Przyjmują tutaj katolików, prawda? Włochów?

–Tak, przyjmują.

–Gdybym został członkiem, mogliby tu przychodzić moi synowie?

–Tak.

–A żarcie?

–Anna gotuje lepiej.

Roześmiał się, a potem przez kilka długich sekund nie spuszczał ze mnie wzroku.

–Pomożesz mi tu wstąpić. Załatwione?

–No cóż... potrzebni są do tego trzej członkowie wprowadzający.

Rozumiesz?

–Jasne. Należę do różnych klubów. Znajdziesz mi ich. Ja nikogo tu nie znam.

**Wiedziałem, że do tego dojdzie.**

**–Słuchaj, Frank, nawet gdyby udało mi się ich znaleźć, odrzuciłaby cię komisja kwalifikacyjna.**

**–Tak? A to dlaczego?**

**"Dlaczego?" wydawało się pytaniem wieczoru.**

**–Wiesz dlaczego.**

**–Powiedz mi.**

**–Proszę bardzo. Ponieważ jest to jeden z najbardziej ekskluzywnych**

**i szanowanych klubów w Ameryce i nie chce mieć w swoich szeregach... jak określiłbyś swoją profesję, Frank? Tak naprawdę?**

**Nie odpowiadał, więc postanowiłem mu pomóc.**

**–Przywódca mafii? Głowa zorganizowanej rodziny przestępczej?**

**Jaki zawód zamierzasz wpisać w deklaracji członkowskiej? Co napisałeś w swoim zeszłorocznym zeznaniu podatkowym? Gangster?**

**Znowu nic nie odpowiedział.**

**–Jest to jedyna instytucja – ciągnąłem dalej – w której nie uda ci się nic zdziałać groźbami, pieniędzmi ani wpływami politycznymi.**

**Prędej ja zostanę szefem mafii, niż ty wejdiesz w skład członków tego klubu.**

**Bellarosa analizował to przez chwilę. Widziałem, że nie zachwyciło go to, co usłyszał, uraczyłem go więc kolejną dobrą wiadomością.**

**–Nie jesteś tutaj mile widziany nawet jako gość. A jeśli przyprowadzę cię ponownie, sam będę musiał grać w golfa na publicznym trawniku, a do rzutków postrzelam sobie chyba w podziemiach "Włoskiego Klubu Strzeleckiego".**

**Wypił do końca swój koktajl i rozgniół zębami kilka kostek lodu, aż przeszedł mnie dreszcz w krzyżu.**

**–W porządku – oznajmił w końcu. – Więc wyświadczysz mi w odpowiednim czasie jakąś inną przysługę.**

**Nie miałem co do tego cienia wątpliwości.**

**–Wyświadczę ci ją, jeżeli tylko będzie to możliwe i zgodne z prawem – odparłem.**

**–Dobrze. Właśnie przyszło mi coś do głowy. Możesz reprezentować mnie w tej sprawie o morderstwo. W ten sposób mi się zrewanżujesz.**

**Szach mat. Wziąłem głęboki oddech i kiwnąłem głową. – Świetnie – odparł. – I pamiętaj, że nie płacę za wyświadczone uprzejmości.**

**–A ja nie wystawiam za nie rachunku.**

**Bellarosa uśmiechnął się.**

**–Ale pokryję wszystkie twoje koszty.**

**Wzruszyłem ramionami. Przez krótką, straszną chwilę odniosłem wrażenie, że ma mi zamiar podać rękę. Wyobraziłem sobie fotografię w naszej klubowej gazetce, a pod nią podpis: "Przywódca mafii i znany adwokat dobijają targu w "The Creek". Ale Bellarosa nie miał, dzięki Bogu, ochoty na uścisk dłoni.**

–Jestem ci winien pieniądze za stajnię – powiedziałem zmieniając temat.

–Zgadza się. Ile zaśpiewał ci Dominic?

Powtórzyłem mu wymienioną przez Dominica kwotę.

–Koszty musiały być chyba wyższe – dodałem.

–Przez pierwsze kilka lat makaroniarze pracują na ogół za pół ceny. Potem, kiedy nauczą się trochę angielskiego, zaczynają się orientować, co jest tutaj grane i kiwają klientów, jak wszyscy inni. To jest właśnie amerykańskie marzenie – dodał.

Niezupełnie.

–Ci ludzie zarobili mniej, niż wynoszą płace minimalne – powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

–I co z tego? Niczego się nie nauczą, jeśli zrobi ci się ich żal i dasz im więcej. Ludzie powinni sami dbać o to, żeby ich nikt nie wykiwał. Dobrze mówię?

–Tak, ale sądzę, że częściowo ich dofinansowałeś. Sądzę, że starasz się uczynić ze mnie swego dłużnika.

–Zadowolony jesteś z roboty i z ceny? – zapytał nie odpowiadając na moją sugestię.

–Tak.

–Więc sprawa zakończona.

–Komu mam zapłacić?

–Mnie. Wpadnij kiedyś, napijemy się przy okazji kawy. Może być gotówka albo czek, bez różnicy.

–W porządku.

Bellarosa oparł się o krzesło, założył nogę na nogę i przyglądał mi się przez moment.

–Teraz, kiedy dowiedziałeś się, że nie trafisz do ciupy, wyraźnie poprawił ci się humor.

**Poprawiłby mi się jeszcze bardziej, gdybym dowiedział się, że do ciupy trafi zamiast mnie Frank Bellarosa. Co za mętnik.**

**–Słuchaj, ten obraz, który maluje twoja żona, jest wspaniały – poinformował mnie Bellarosa. – Ona nie pozwala mi zaglądać sobie przez ramię, wiesz. Wygania mnie stamtąd, ale kiedy jej nie ma, podnoszę zasłonę i przyglądam się. Nielicha z niej malarka.**

**–Cieszę się, że ci się spodobał.**

–Jasne. Muszę znaleźć dla niego jakieś odpowiednio godne miejsce. Annie też się podoba. Widzi teraz, co miała na myśli Susan, kiedy mówiła o ruinach. No wiesz. Anna i Susan przypadły sobie do gustu.

–Miło mi to słyszeć. To bardzo uprzejme ze strony twojej małżonki, że przysyła nam swoje potrawy.

Teraz, kiedy załatwione zostały poważne sprawy, zacząłem z powrotem przemawiać językiem anglosaskiego protestanta i spostrzegłem, że trochę zirytowało to Franka. Wyobrażał sobie pewnie, że zostaliśmy bliskimi kumplami i bez końca rozprawić będziemy o mokrych majtkach Beryl Carlisle, o tym, kogo posmarować, a kogo kropnąć.

Chciałem mu uświadomić, że nawet jeśli na chwilę nurzaliśmy się razem w odmętach grzechu, potrafię jeszcze unieść się wysoko jak orzeł. Sądzę, że w pewnym względzie potrafił to docenić. To właśnie kupował w mojej osobie: orła. Świnie są tańsze.

Uprzytomniłem sobie, że coś spowodowało nagłe obniżenie się poziomu hałasu. Spojrzałem ku drzwiom i zobaczyłem zmierzającą w moją stronę Susan, która holowała za sobą Annę Bellarosę.

Anna założyła dzisiaj jeden ze swoich luźnych, składających się z żakietu i spodni kostiumów, tym razem w kolorze szmaragdowozielonym. Na stopach miała białe sandały, wysadzone sztucznymi diamentami. Obwieszona była wystarczającą ilością złota, by spowodować zamieszanie na rynku metali wartościowych.

Anna zauważyła biegnące ku niej ukradkowe spojrzenia i zorientowała się, że znajduje się w centrum zainteresowania. Wykrzywiła usta w głupkowatym, nieśmiałym uśmiechu, aż zrobiło mi się jej trochę żal. Zastanawiałem się, czy wie, dlaczego tak się w nią wpatrują; czy zdaje sobie sprawę, że wszyscy uważają jej strój za komiczny, że ma największe w całym klubie cycki i że nikt nie ma cienia wątpliwości, iż jest żoną mafiosa.

Susan, oczywiście, zachowywała się jak królowa, w najmniejszym stopniu nie odczuwając skrępowania z powodu swojej towarzyszkę, którą traktowała niczym europejską arystokratkę.

Kiedy kobiety zbliżyły się do nas, Frank i ja wstaliśmy z krzesel, powitaliśmy się i ucałowali. Doszedłem do wniosku, że nikt na tej sali nie stracił wydanych dzisiaj pieniędzy, nawet przy cenie czterech dolców za koktajl. Zauważyłem także, że nikt nie bierał się jakoś do wyjścia.





Musicie również zrozumieć, że wbrew temu, co mówiłem Frankowi, nie byliśmy razem z Susan zagrożeni jakimś natychmiastowym towarzyskim bojkotem. Johnowi Whitmanowi Sutterowi i Susan Stanhope Sutter uchodzą na sucho nie takie numery. Ludzie godzą się z tym, że im starsza rodzina, tym bardziej ekscentryczni i szurnięci są jej członkowie. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy w modzie byli radykałowie, Rockefellerowie i Rooseveltowie jedli w klubie obiad w towarzystwie działaczy ruchu murzyńskiego i ludzi, którzy przychodzili tutaj na bosaka. Podobnie dzisiaj może stać się modne zapraszanie złodziei i morderców. Być może Sutterowie zapoczątkują nowy trend. Odwiedź "The Greek" z kryminalistą.

Najgłośniejszymi protestować będą oczywiście należący do "The Creek" nowobogaccy – oni poczują się najbardziej zagrożeni i skrępowani, Bellarosowie bowiem stanowią wierne ich odbicie z czasów, kiedy mieszkali w Lefreak City albo Levittown.

Susan wyglądała naprawdę olśniewająco w swojej białej jedwabnej, ledwo zakrywającej kolana sukience, która przypominała rzymską tunikę i podkreślała jej opaleniznę. Usiedliśmy i z miejsca pojawił się koło nas Charlie, Lady Stanhope nie potrzebuje bowiem nigdy wzywać kelnerów. Nawet w nowo otwartych restauracjach w lot wyczuwają jej obecność i natychmiast podchodzą do stolika. To jedno stanowi wystarczający powód, żeby się z nią nie rozwodzić.

Zamówiliśmy, drinki i wszyscy czworo wdaliśmy się w luźną pogawędkę.

–Wyglądasz dzisiaj uroczo – powiedziałem Annie.

Uśmiechnęła się, aż zaświeciły jej się oczy. Wyraźnie mnie polubiła.

Mój wzrok, nie wiadomo dlaczego, powędrował ku jej dekolтови. Ten sam złoty krzyżyk krył się w zagłębieniu między zmysłowymi piersiami i jeśli kiedykolwiek w życiu docierały do mnie sprzeczne sygnały, działało się to właśnie teraz.

–Czy załatwiliście już wasze sprawy? – zapytała nas Susan.

–Frank bardzo mi pomógł – odparłem.

–To dobrze – stwierdziła Susan. – Moi adwokaci radzą mi zawrzeć z władzami oddzielne porozumienie – poinformowała Franka. – To znaczy wypiąć się na Johna. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Jakimi ludźmi się stajemy?

Bellarosa musiał dojść do tej samej konkluzji już chwilę wcześniej –



na wieść o tym, że Susan ma swoich własnych adwokatów. Ale z jego odpowiedzi wynikało, że zrozumiał chyba podtekst pytania.

–Rządy przychodzą i odchodzą – oznajmił. – A prawo raz mówi to, raz co innego. Człowiek powinien być lojalny wobec własnej rodziny, wobec własnej krwi. Żona powinna być wierna mężowi, a mąż żonie. – Spojrzał na mnie. – A jeśli twoja żona urodziła ci dzieci i jest dobrą małżonką, powinieneś być także lojalny wobec jej rodziny. Capisce?

Frank naturalnie nigdy w życiu nie miał do czynienia z kimś w rodzaju Stanhope'ów. Mruknąłem coś w odpowiedzi.

–Jeśli zdradziłeś rodzinę, będziesz przez całą wieczność smażył się w piekle – ciągnął dalej Frank. – A jeśli zdradzi cię twoja rodzina, nie ma dla niej dość surowej kary.

Brzmiało to trochę jak odpustowa złota myśl. Nie miałem nic przeciwko wysłuchiwaniu ewangelii według Franka, kiedy byliśmy sami, ale w obecności Susan nie chciałem sprawiać wrażenia, że biorę za dobrą monetę wszystkie niegramatyczne brednie, jakimi zdecyduje się nas uraczyć.

–Co rozumiesz przez zdradę? I co powiesz o zdradzie seksualnej? – zapytałem.

–Mężczyzna może pójść do łóżka z inną kobietą i wcale nie zdradza przy tym swojej żony – odparł zapominając, że nie rozmawiamy w tym klubie o seksie. – Taka jest jego natura. Ale kobieta nie może przespać się z innym mężczyzną nie zdradzając swego męża.

Wiedziałem naturalnie, że powie coś takiego, i chciałem, żeby usłyszała to Susan, choć sam nie wiem dlaczego. Podobne oświadczenie powinno na ogół wywołać ożywioną dyskusję między dwojgiem normalnych współczesnych małżonków, jeśli jednak Frank Bellarosa miał jakąś słabość, to polegała ona właśnie na tym: na jego specyficznej anachroniczności, na ukształtowanej przez unikalną subkulturę, pochodzenie i profesję świadomości, która tkwiła w latach pięćdziesiątych.

Z pewnością jednak rozumiał świat, w którym przyszło mu żyć, a także głębszą naturę człowieka i dlatego właśnie mówił to, co mówił, i dlatego, czy to się komuś podoba, czy nie, dużo w tym było słuszności. Nie rozumiał jednak, że nie opowiada się takich rzeczy w Ameryce. Nie nazywa się Murzynów czarnuchami, nie poniża się kobiet ani nie określa ludności hiszpańskojęzycznej mianem brudasów.

Nie wypowiada się sądów ogólnych na temat kobiet, mniejszości etnicznych, ludzi biednych, upośledzonych, imigrantów ani żadnej innej grupy, która jest akurat faworyzowana. Frank Bellarosa nie był człowiekiem szczególnie wrażliwym. W gruncie rzeczy wcale nie musiał nim|być i tego między innymi trochę mu zazdrościłem.

Rzuciłem okiem na Susan, która, jak się tego spodziewałem, nie sprawiała bynajmniej wrażenia obrażonej. Wydawała się raczej ubawiona tym, co wygadywał siedzący obok niej prymityw.

Anna jak zwykle nie miała, oczywiście, nic do powiedzenia.

–Mężczyzna musi być jednak ostrożny, kiedy idzie do łóżka z kobietą, która nie jest jego żoną – ciągnął dalej Frank. – Niejednego wielkiego człowieka doprowadziły do zguby kobiety. Zapomniał przez nie o tym, komu jest winien lojalność, zapomniał o swoich przyjaciółach, a kobiety otworzyły drzwi jego wrogom.

Odniosłem wrażenie, że Frank ma zamiar perorować w tym stylu dalej, ale ja zdecydowany byłem zmienić temat i zmieniłem go.

–Frank powiedział mi, że podoba mu się twój obraz – poinformowałem Susan.

Moja żona uśmiechnęła się, po czym posłała Bellarosie surowe spojrzenie.

–Jeśli będzie dalej podglądał, wymaluję mu plamę na nosie.

No, no, czyżbyśmy do tego stopnia spoufalili się z szefem mafii?

I tak gawędziliśmy sobie niezobowiązująco popijając drinki i dostarczając naszej widowni tematów do dyskusji na cały weekend.

O ósmej wycofaliśmy się do jednej z sal restauracyjnych. Pozdrowiło nas tam paru znajomych, którym przedstawiłem Bellarosów nie używając przy tym żadnego ze zwyczajowych tytułów Franka. Nikt naturalnie nie traktował naszych gości z góry, tak jakby to się działo jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści lat temu. Wprost przeciwnie, większość społeczeństwa amerykańskiego opanowała dzisiaj mania grzeczności, tak jakby zbombardowano nas gazem rozweselającym.

Przejętny biały ciołek ściska dziś dłoń domniemanego mordercy, wdaje się w rozmowę z zagadującymi go na ulicy włóczęgami i najprawdopodobniej otwiera drzwi przed uzbrojonymi włamywaczami, wszystko po to, żeby nie posądzono go przypadkiem o nieuprzejmość.

**Wiedziałem zatem, że nikt nie będzie robił żadnych wstrętów Bellarosom i nie omyliłem się.**

4 – Złote Wybrzeże t. II Usiedliśmy wszyscy, zamówiliśmy kolejne drinki, omówiliśmy menu i wysłuchaliśmy, jakie specjały ma nam dzisiaj do zaoferowania maitre d'hotel, Christopher, którego Frank z miejsca uznał za pedała, i Zamówiliśmy dania u Richarda, podstarzałego dżentelmena, szcycącego się tym, że potrafi zapamiętać wszystkie zamówienia. Niestety, nie jest to zgodne z prawdą, i to od dobrych kilku lat, w związku z tym, jeśli obsługuje was Richard, macie dwa wyjścia: albo zjadacie to, co wam przyniesie, albo wprawiacie go w zakłopotanie odsyłając dania z powrotem do kuchni. Ja zjadam to, co przyniesie.

Poprosiłem, nie zaglądnąjąc do karty win, o pewien rocznik\bordeaux, o którym wiedziałem, że będzie dobrze pasować do wszystkiego, co zamówiliśmy. To taka moja mała restauracyjna sztuczka, która wywiera na ogół pewne wrażenie na współbiesiadnikach. Frank i Anna nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi.

Susan wyjaśniła im z uśmiechem, że mogą nie otrzymać dokładnie tego, co zamówili, albo nawet coś zupełnie innego. Nie uznali tego wcale za zabawne, w przeciwieństwie do wielu naszych znajomych, przyzwyczajonych do ekscentrycznych zwyczajów, panujących w starych klubach.

–Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia – zakończyła swoje wywody Susan – Richard przyniesie nie to wino i nie te dania, a mimo to wszystko będzie do siebie pasować.

Bellarosowie przyjęli to ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

–Dlaczego nie wyrzucą go na zbity pysk? – zainteresował się Frank.

Wyjaśniłem, że członkowie klubu nie pozwoliliby na zwolnienie długoletniego pracownika.

Frank wydawał się to rozumieć jako pracodawca, padrone i człowiek, który wie, jak wynagradza się lojalność.

–Nie wyrzuciłbyś chyba z roboty kogoś, tylko dlatego, że się zestarzał? – zapytałem.

–Pewnie nie – odparł z uśmiechem – ale nie znam nikogo, kto by się zestarzał w mojej profesji. – Roześmiał się i nawet ja się uśmiechnąłem. Susan zachichotała. Tylko Anna udawała, że nic nie słyszy i nic nie rozumie. Miałem wrażenie, że ma ochotę przeżegnać się. – Czasami rozstaję się z ludźmi zwalniając ich z roboty – nie wypadają z roli Frank – a czasami rozstaję się z nimi raz na zawsze.

Troje z nas roześmiało się. Anna studiowała wiszący na ścianie obraz.

Nadeszły przekąski, dwie właściwe, dwie nie.

I tak oto wspólnie wieszeraliśmy, Sutterowie i Bellarosowie.

Byłem odprężony wiedząc, że nikt nie padnie dzisiaj trupem przy naszym stoliku. Odprężona była także Susan, po części dlatego, że – jak już wspomniałem – niestraszny jej był towarzyski ostracyzm, ale przede wszystkim dlatego, że świetnie się bawiła. Prawdę mówiąc, Bellarosowie byli bardziej interesujący niż na przykład Vandermeerowie, a już na pewno od nich zabawniejsi, zwłaszcza kiedy się rozkręcili. Frank dysponował całym repertuarem dowcipów, które były nieprzyzwoite, rasistowskie, antyfeministyczne i obrażały wszystkich, Włochów nie wyłączając. Ale sposób, w jaki je opowiadał – bez fałszywego wstydu i nikogo nie przeprasząc – sprawiał, że brzmiały wspaniale i zaśmiewaliśmy się, aż bolały nas szczęki.

Ludzie wokół wydawali się nam właściwie zazdrościć dobrego humoru. Podano główne dania, jedno właściwe, trzy nie zamawiane, ale do tego czasu przestaliśmy się tym przejmować. Susan zaczęła mnie tytułować consigliere, co Frank uznał za zabawne, mnie jednak, mimo że byłem już trochę pijany, nie przypadło znanadto do gustu.

Richard próbował kilkakrotnie zabrać sałatkę, której Frank nawet nie napoczął. Bellarosa kazał mu ją zostawić i kiedy Richard sięgnął po nią następnym razem, złapał go za przegub.

–Słuchaj, przyjacielu – oznajmił mu. – Powiedziałem ci, żebyś zostawił tę pierdoloną sałatkę w spokoju.

Przez chwilę wszyscy zamarli w bezruchu. Zgięty wpół Richard wycofał się masując nadgarstek. Zadowolony byłem z tego drobnego incydentu, upewnił mnie on bowiem, że Frank Bellarosa jest człowiekiem, za jakiego uważał go Alphonse Ferragamo. Zorientowałem się również, iż podobnie jak większość socjopatów Bellarosa ma krótki lont i potrafi w ciągu sekundy przejść od śmiechu do nagłego napadu złości. Nawet Susan, która do tej pory uważała Franka za interesującego i czarującego, sprawiała wrażenie trochę zbitej z tropu.

Frank zorientował się, że nie powinien obnażać kłów w towarzystwie istot ludzkich.

–Włosi jedzą sałatkę po głównym daniu – wyjaśnił machając uspokajająco ręką. – Oczyszcza podniebienie. Facet chyba o tym nie wiedział.

–Przypuszczam, że teraz już wie, Frank.

Frank zjadł swoją sałatkę.

Po mniej więcej kwadransie wszyscy zapomnieli albo udawali, że zapomnieli, że Frank się zapomniał. On sam wychodził z siebie, żeby być miłym dla Richarda, wyjaśniając mu kwestię sałatki, opowiadając kilka głupich dowcipów o włoskich kelnerach i w ogóle starając się go upewnić, że może kręcić się swobodnie przy stole bez obawy, że poniesie poważny uszczerbek na zdrowiu. Mimo to Richardowi leciały z rąk talerze.

Zamówiliśmy kawę i desery, a Frank dodatkowo cztery kieliszki marsali, wyjaśniając Richardowi, że Włosi często piją marsalę przed albo w czasie deseru, czasami zakąszając serem. Richard, którego w gruncie rzeczy gównem to obchodziło, udawał na wszelki wypadek zafascynowanego.

Posiłek zakończył się szczęśliwie, bez rozlewu krwi i kolejnych incydentów, nie licząc faktu, że Frank upierał się, żeby zapłacić, nawet po tym, kiedy wyjaśniłem mu, że w klubie nie przyjmuje się pieniędzy.

Na koniec, sfrustrowany faktem, że nie może wyrównać ze mną rachunków, wsunął kilka banknotów do kieszonki kurtki Richarda.

Ludzie, którzy wypili za dużo, nigdy nie wiedzą, kiedy skończyć, przeszliśmy więc do małego baru, żeby zwilżyć gardło. Zaspana kelnerka spojrzała na zegarek i już miała oznajmić nam, że jest za późno, kiedy spostrzegła Franka Bellarosę, którego z pewnością pokazano jej palcem podczas dzisiejszego wieczoru.

–Czym mogę służyć? – zapytała z uśmiechem.

Frank przejął obowiązki gospodarza.

–Cztery razy sambuka. I w każdym kieliszku mają być trzy ziarenka kawy, na szczęście. Jasne?

–Tak jest, proszę pana. – Kelnerka szybko oddaliła się w stronę baru.

Frank poczęstował mnie cygarem i obaj zapaliliśmy. Pojawiła się sambuka razem z całym spodeczkiem ziaren kawy, tak byśmy mogli sami zadbać o własne szczęście.

–Muszę was kiedyś zabrać do pewnej knajpy przy Mott Street.

To w Little Italy, wiecie. Nazywa się "Giulio". Nauczę was, jak się je włoskie żarcie.



**–Czy będą nam potrzebne kamizelki kuloodporne? – zapytałem.**

Nigdy nie wiadomo, co może rozśmieszyć kogoś takiego jak Bellarosa. Susan zachichotała. Anna wydawała się zasmucona. Ale Frank ryknął śmiechem.

–Nie. Dają ci je, kiedy już siądziesz przy stoliku. Jak serwetki.

Wypiliśmy do dna nasze kordiały i uniosłem się na niepewnych nogach.

–Chcą już zamykać – oświadczyłem.

Frank poderwał się z krzesła.

–Jedźmy do mnie.

Susan przyjęła zaproszenie jednocześnie z moją odmową. W takich przypadkach zgadzamy się na ogół bez słów, wystarczy krótkie spojrzenie. Ale tego wieczoru nadawaliśmy najwyraźniej na różnych częstotliwościach.

–Mam jutro ciężki dzień – poinformowałem Susan. – Jeśli chcesz, możesz iść sama.

–Chyba pojedę z tobą do domu – odparła.

Frank nie wydawał się ani rozczarowany, ani ucieszony, tylko Anna spojrzała na mnie w dziwny sposób, tak jakbyśmy tylko ja i ona byli simpatico, a pozostała dwójka straciła rozum.

Panie przyjechały do "The Creek" cadillakiem, którego prowadził kierowca-ochroniarz, i ponieważ byliśmy z Susan nieco osłabieni, przyjęliśmy propozycję odwiezienia nas do domu.

Wyszliśmy chwiejnym krokiem na zewnątrz rozkoszując się balsamiczną nocą. Samochód Franka zatrzymał się przy nas z piskiem opon, tak jakby szofer uległ sile przyzwyczajenia i uznał, że właśnie obrabowaliśmy ten lokal.

Wszyscy załadowaliśmy się na tylne siedzenie, czego nie czynią na ogół ludzie nie będący dobrymi znajomymi, jeśli się przypadkiem nie schleją. Tak się jakoś złożyło, że w środku usiedli Anna i Frank, a po bokach ja i Susan. Samochód ruszył ostro do przodu, a my zakołysaliśmy się i wybuchnęliśmy śmiechem. Szerokie biodra Anny nie zostawiały nam zbyt wiele miejsca i fakt, że Susan wylądowała prawie na kolanach Bellarosy, wydał się w związku z tym całkiem oczywisty.

Anna, ze swej strony, wydawała się niezmiernie zawstydzona, a właściwie przerażona tym, iż w bezpośredniej bliskości jej prawego uda i piersi znalazły się moje lewe udo i ramię. To, co działo się po jej lewej stronie, nie miało żadnego

**znaczenia. Zdumiewające.**

Tak czy inaczej, zaśmiewaliśmy się i żartowaliśmy, i było to wszystko bardzo żenujące – typowe pijackie wygłupy, których wspomnienie nazajutrz wywołuje moralnego kaca, jeśli oczywiście ktoś jest na tyle nierozsądny, żeby zaprzętać sobie głowę dniem wczorajszym.

Szofer, młodzieniec, do którego Frank zwracał się per Lenny, przyglądał się nam przez cały czas we wstecznym lusterku, a raz nawet obejrzał się na mnie przez ramię. Głupio się przy tym uśmiechał i miałem ochotę przywalić pięścią w tę jego idiotyczną gębę lub poprosić Franka, żeby posłał mu kulę w tył głowy.

Lenny, jak się okazało, świetnie znał drogę, przejechał bowiem przez otwartą bramę Stanhope Hall i bez wahania skręcił w nie oświetloną dróżkę prowadzącą do naszego domu. Interesujące. Lenny wysiadł i otworzył drzwi przed Susan pomagając jej zeskoczyć na ziemię z kolan pana Bellarosy. Ja wysiadłem o własnych siłach, jeśli nie brać pod uwagę tego, że Anna poprawiła się trochę na siedzeniu, co w zasadniczy sposób przyspieszyło moje ruchy.

Susan i ja pomachaliśmy na pożegnanie w stronę czarnych szyb cadillaca, po czym weszliśmy do domu i udaliśmy się do naszej sypialni na piętrze. Rozebraliśmy się i wskoczyliśmy do łóżka. Susan i ja śpimy nago przez cały rok, co oznacza, że nie zakończył się jeszcze nasz miesiąc miodowy, i skłania naszą młodą latynoską praczkę do wypowiedzi w rodzaju: "W Stanhope Hall nie trzeba nigdy prac piżama ani nocna koszula, ale mi Dios, te prześcieradła!" Skoro jesteśmy już przy tym temacie, Susan wyciągnęła rękę i odnalazła Lorda Hardwicka, który nie wyrastał niestety w tym momencie poza jej cztery palce.

–Za dużo wypilem – poinformowałem ją.

Susan nie potraktowała tego jako odmowy, ale jako wyzwanie.

Prawdę mówiąc, kiedy chce, potrafi doprowadzić do erekcji nawet mój krawat.

–Udawaj – powiedziała – że jestem Anną Bellarosą i że na jeden wieczór zamieniliśmy się partnerami.

–Dobrze.

Moja żona różniła się wyraźnie od Anny pod względem fizycznym i musiałem naprawdę mocno udawać. Zgasła lampę, żeby mi to ułatwić.

–Ja jestem teraz z Frankiem – powiedziała – na tylnym siedzeniu jego samochodu. Szofer wozi nas po okolicy i właśnie ściągamy z siebie ubrania.

Nie spodobało mi się to wyobrażenie, ale nie całemu, poczułem bowiem, że pewna moja część wyraźnie stwardniała w dłoni Susan.

–Widzisz? – zapytała chichocząc. – Już jesteś dobry. A teraz wychędożysz Annę Bellarosę. Ona nigdy nie była z żadnym mężczyzną poza swoim mężem i jest przerażona, ale równocześnie podniecona.

Wiesz, że będzie zachwycona tym, co jej zrobisz, i zastanawiasz się jednocześnie, jak i kiedy zwrócisz ją jej mężowi, a także kiedy on zdecyduje ci się oddać mnie i co będziemy mieli sobie wszyscy do powiedzenia.

Wielkie nieba, cóż za wyobraźnię miała ta kobieta. Orientowała się poza tym świetnie, co na mnie działa, i trochę mnie to niepokoiło.

Rzecz w tym, że teraz, kiedy się nad tym zastanowiłem, pomysł z zamianą żon przyszedł mi właściwie do zaproszonego alkoholem łba już podczas jazdy do domu samochodem.

Leżałem oto na plecach, a Susan obejmowała dłonią mego członka, który wynurzał się niczym rakieta międzykontynentalna ze swego silosa.

–O mój Boże, John, masz większego od Franka! – oznajmiła.

–Co?!

–On nie zmieści się we mnie cały – powiedziała z nieco wyraźniejszym brooklyńskim akcentem. – Proszę, nie wkładaj mi go.

Mój mąż zabije mnie za to. Ciebie też zabije.

–W tej chwili posuwa właśnie Susan – zauważyłem. – Twój mąż pieprzy moją żonę.

–Zdradzam swojego męża – jęknęła. – Niechaj mi Bóg wybaczy.

–Trochę seksu nam nie zaszkodzi – odparłem. Wspiąłem się na nią i zarzuciłem sobie jej nogi na plecy.

–Co robisz?! – zawołała. – Co chcesz mi zrobić?!

Kiedy w nią wszedłem, krzyknęła zaskoczona. Na początku jęczała i szlochała, ale

**potem uspokoiła się i widać było, że jest jej dobrze.**

**W przerwach między głębokimi oddechami wymówiła kilka słów po włosku, których nie zrozumiałem, ale które brzmiały bardzo seksownie i lubieżnie.**

**No cóż, wygląda na to, że jesteśmy chyba trochę szurnięci, prawda?**

Ale zawsze dotąd wiedzieliśmy, kiedy się zatrzymać, i zawsze się zatrzymywaliśmy. Tym razem jednak miałem, nie wiadomo dlaczego, wrażenie, że przekroczyliśmy jakąś granicę. Wyobraźnia wyobraźnią, ale wprowadzanie takich osób jak Bellarosowie do naszej sypialni było niebezpiecznym procederem. Co się z nami działo?

Leżeliśmy potem na łóżku, oddzieleni, jak nigdy dotąd, kilkudziesięcioma centymetrami prześcieradła.

–Uważam, że powinniśmy wyjechać – powiedziała Susan. – Na wakacje.

–Razem?

–Oczywiście – odparła po kilku sekundach. – Musimy się stąd wyrwać, John. Teraz. Zanim będzie za późno.

Nie miałem ochoty pytać ją, co znaczy, że może być za późno.

–Nie mogę teraz wyjechać. Za dużo mam spraw do załatwienia – odparłem.

Przez długi czas nie odzywała się ani słowem.

–Nie zapomnij, że sama cię o to prosiłam – powiedziała w końcu.

I jeśli mam być wobec niej uczciwy – nawet w świetle tego, co się potem wydarzyło – nigdy nie zapomnę, że sama o to prosiła.

Rozdział 20 Lipiec. Człowiek haruje jak wół, a potem biorą w łeb jego najwspanialsze wakacyjne plany. Od czasu powołania do wojska żadne lato nie zapowiadało się dla mnie tak parszywie.

Zgodnie z zapowiedzią Franka Bellarosy skontaktował się ze mną pan Melzer. Spotkaliśmy się, na wyraźne życzenie pana Melzera, w moim domu. Przybył punktualnie o wyznaczonej porze, w środę o szóstej po południu. Poprosiłem go do swego gabinetu.

Pan Melzer miał włosy białe jak śnieg i cichy głos, co zdziwiło mnie, kiedy rozmawiałem z nim przez telefon. Teraz miałem okazję stwierdzić, że ten głos bardzo pasuje do jego powierzchowności.

Ubrany był w garnitur gołębioszarego koloru, drogi i w zadziwiająco dobrym guście. Jego buty były nie tylko prawdziwe, ale z jaszczurczej skóry i kosztowały około tysiąca dolarów. No, no, panie Melzer, najwyraźniej potrafimy korzystać z uroków

**bogactwa, nieprawdaż? Żałowałem, że pan Novac nie może zobaczyć swego byłego współpracownika.**

**Przeszliśmy do mojego gabinetu, ale nie zaproponowałem memu gościowi niczego oprócz krzesła.**

**Mając do czynienia z renegatem wyobrażałem sobie, że pan Melzer będzie miał nieco rozbiegane oczy. Nic podobnego. Wydawał się całkowicie rozluźniony, a chwilami nawet zatroskany, tak jakby sprawa, o której dyskutowaliśmy, miała swoją wagę, a w związku z tym pociągała za sobą odpowiednie koszty.**

**Nie nabrałem do niego natychmiastowej antypatii, jak w przypadku**



Novaca, ale było w panu Melzerze coś śliskiego i uniżonego, coś, co ujawniło się w nim prawdopodobnie już po rozstaniu się z instytucjami rządowymi, IRS nie jest bowiem znane z czołobitnego traktowania swych klientów. Buty z jaszczurczej skóry wydawały się odpowiednim obuwiem dla pana Melzera.

–Pobieram dwadzieścia tysięcy tytułem zaliczki – oświadczył mniej więcej po kwadransie rozmowy.

Cena nie była właściwie wygórowana, biorąc pod uwagę rodzaj sprawy. Ja sam wziąłbym więcej. Ale na tym nie kończyły się warunki pana Melzera.

–Zatrzymuję także połowę kwoty, o którą uda mi się obniżyć pańskie płatności – dodał.

–Połowę? W sprawach cywilnych przepisy zezwalają adwokatom na pobieranie co najwyżej jednej trzeciej zasądzonej kwoty.

–Nie jestem adwokatem, panie Sutter. Nie istnieją przepisy, które regulowałyby wysokość mojego honorarium. Ponoszę także, co powinien pan zrozumieć, raczej poważne koszty.

–Nie ma pan nawet własnego biura.

–Moje wydatki są innego rodzaju. Nie musi pan o nich wiedzieć.

–Nie, nie muszę. – Spojrzałem mu prosto w oczy. – Rozumiem również, że nie zostanie przeciwko mnie wniesione oskarżenie.

–Nie będzie żadnego oskarżenia.

–W porządku. Wynajmuję pana.

–Niemniej jednak z tego, co od pana usłyszałem – dodał – wynika, że jest pan winien władzom większość tej kwoty. Być może nawet całą. Jestem jednak w stanie zredukować jej wysokość i zrobić to. Mam do tego odpowiednią motywację. Rozumie pan?

Nie ma człowieka, który by się bardziej przykładał do roboty, niż były urzędnik państwowy, który odkrył właściwe znaczenie słowa motywacja.

–Będę również starał się o odpowiednie rozłożenie spłaty w czasie, muszę jednak uprzedzić pana, że kiedy urząd godzi się na mniej, chce to dostać szybko. – Świetnie. Nie chcę jednak ponownie spotykać się ani rozmawiać z panem Novakiem.

**-Załatwię to ze Steve'em.**

**Steve'em?**

**-Kiedy i w jakiej formie chce pan otrzymać zaliczkę? – zapytałem.**

–Może być czek i myślę, że teraz właśnie jest odpowiedni moment.

–Nie dla mnie. Przyślę panu czek w przyszłym tygodniu. Ale chcę, żeby zaczął pan działać od zaraz. – Kiedy słyszę coś takiego od moich klientów, podnoszę przeważnie wyżej swoją adwokacką brew.

Ale pan Melzer machnął tylko ręką.

–Jest pan przyjacielem pana Bellarosy. Nie będzie problemów z płatnościami.

Można to było zrozumieć co najmniej dwojako. Uniosłem się z krzesła. Pan Melzer uczynił to samo i podszedł do okna. – Łatwiej wychodzi się stąd drzwiami – zauważyłem.

Roześmiał się cicho.

–Jadąc tutaj podziwiałem pańską posiadłość. – Wskazał ręką okno. – To robi wrażenie.

–Robiło.

–Tak, robiło. To niewiarygodne, prawda, panie Sutter, jak wystawnie żyli niektórzy ludzie przed wprowadzeniem podatku dochodowego?

–Tak, to niewiarygodne.

–Kiedy byłem jeszcze na rządowej posadzie, zawsze bolało mnie, gdy widziałem, ile zarobionych w pocie czoła pieniędzy zabierają podatki.

–Mnie też to boli, panie Melzer. Naprawdę. I cieszę się, że się pan nawrócił. Wszyscy jednak musimy płacić jakieś podatki i nie mam nic przeciwko temu, żeby płacić tyle, ile się należy.

Odwrócił się od okna i uśmiechnął się do mnie, ale nic nie odpowiedział.

Podszedłem do drzwi.

–Jest pan pewien, że nie będą panu potrzebne moje zeznania podatkowe?

–Nie sędzę, panie Sutter. Ja przystępuję do rozwiązania problemu zupełnie inaczej. Interesuje mnie ich dokumentacja na pański temat.

–Rozumiem. Gdyby zaszła potrzeba, w jaki sposób mogę się z panem

**skontaktować?**

**–Zadzwońię do pana za tydzień. – Pan Melzer podszedł do drzwi i zawahał się. – Jest pan prawdopodobnie rozżalony z powodu tej sprawy, panie Sutter, i nie daje panu spokoju myśl, że są ludzie, którzy w ogóle nie płacą podatków.**

–To ich sprawa. Muszą jakoś żyć, mając na sumieniu ten śmiertelny grzech, panie Melzer. Ja chcę po prostu uporządkować swoje własne sprawy z Wujem Samem. Jestem patriotą i byłym skautem.

Pan Melzer ponownie się uśmiechnął. Uświadomił sobie już chyba, iż nie ma do czynienia z przeciętnym oszustem podatkowym.

–Ludzie, którzy nie płacą żadnych podatków, prawdziwi oszuści – poinformował mnie – wydają się nam bezkarni niczym dawni rycerze rozbójnicy. Ale zapewniam pana, wszyscy oni trafią kiedyś za kratki. Istnieje w końcu jakaś sprawiedliwość.

Coś podobnego powiedział mi pan Mancuso. Tej pewności nabywa się chyba na państwowej posadzie. Urzędnicy państwowi muszą wiedzieć coś, o czym ja nie mam po prostu pojęcia.

–A ja z przyjemnością zasiądę wtedy na ławie przysięgłych – odparłem otwierając przed nim drzwi.

Postąpił kolejny krok w stronę drzwi i ponownie odwrócił się w moją stronę.

–Być może skorzystam któregoś dnia z pańskich usług. Daję sobie dobrze radę, rozumie pan, ale nie mam dyplomu prawnika.

–Dlatego właśnie daje pan sobie dobrze radę, a ja tylko tak sobie.

Zachichotał.

–W urzędzie podatkowym na Manhattanie jest pan popularną postacią. Wiedział pan o tym?

Podejrzewałem to już wcześniej, ale teraz wiedziałem na pewno.

–Czy rzucają strzałkami do mojej podobizny? – zapytałem.

–Prawdę mówiąc, kiedy tam pracowałem, mieliśmy w kantynie całą ścianę, którą nazywaliśmy "Galerią Łotrów". – Uśmiechnął się, ale mnie to specjalnie nie rozśmieszyło. – Nie ma tam oczywiście fotografii – dodał. – Same nazwiska i numery ubezpieczeniowe. Nie oszustów podatkowych, rozumie pan, ale adwokatów i dyplomowanych księgowych, którzy wygrywają z inspektorami skarbowymi na ich własnym boisku. Tym ostatnim wcale się to nie podoba. Tak więc, jak pan widzi, znałem pana albo raczej pańskie nazwisko, jeszcze zanim się pan do mnie zwrócił. – Przerwał na chwilę. – Czy nie ma w tym ironii losu – zapytał – że musi pan szukać

**pomocy w sprawach podatkowych właśnie u mnie?**

**Ironia losu często pachnie mi spiskiem i to właśnie sugerował mój rozmówca.**

–Uważa pan, że mam w tym przypadku do czynienia z osobistą vendettą? – zapytałem.

–Kto to może wiedzieć? – odparł po dłuższej chwili Melzer. – Biurokraci potrafią być tacy drobiazgowi. Rzecz w tym, iż nawet jeżeli naprawdę uwzięli się na pana, to przecież coś tam w końcu znaleźli, nieprawdaż? Nawet jeśli jest to zwykły drobiazg.

Raczej kosztowny drobiazg. Ale jeśli treser ginie czasem pożarty przez swoje lwy, to najbardziej stosownym zwieńczeniem kariery specjalizującego się w podatkach adwokata może być puszczenie go z torbami przez IRS.

–Chciałbym pana kiedyś odwiedzić i skorzystać z pańskich porad – wrócił do poprzedniego tematu pan Melzer.

Nie był to naprawdę odpowiedni moment, żeby kazać mu się ode mnie odwieść.

–Proszę bardzo, jeśli uści pan honorarium, jakie zwykle pobieram – poinformowałem go.

–Doskonale. A może gotów pan będzie współpracować ze mną w szerszym zakresie? Co pan na przykład sądzi o stworzeniu nieformalnej spółki?

Mamma mia, miałem więcej propozycji niż dziwka z Twelfth Avenue.

–Nie bardzo sobie wyobrażam, jaki pan mógłby mieć pożytek z osoby, której zarzuca się oszustwa podatkowe – odparłem z kwaśną miną.

–Jest pan zbyt skromny.

–A pan zbyt uprzejmy.

–Mógłbym podwoić pański obecny dochód w ciągu pierwszego roku, panie Sutter.

–Ja również, gdybym się na to zdecydował. Do widzenia panu.

Pojąłem wreszcie, co chciałem mu dać do zrozumienia, i wyszedł ze zwieszoną głową.

Miałem ochotę wziąć prysznic, zamiast tego jednak zrobiłem sobie drinka. Rozluźniłem krawat, usiadłem w fotelu i otarłem czoło chusteczką.

Założenie sprawnej klimatyzacji w tych starych kamiennych, pozbawionych szybów wentylacyjnych domach jest prawie niemożliwe i w moim gabinecie dawała o sobie znać czerwcową spiekota. Mógłbym co prawda założyć kilka klimatyzatorów

**nadokiennych, ale to nie**



wyglądałoby elegancko, a ludzie tutaj bardziej dbają o względy estetyczne niż o własną wygodę. Dlatego właśnie nosimy krawaty i marynarki podczas upału. Często myślę, że jesteśmy nienormalni.

Czasami mam co do tego stuprocentową pewność.

Pociągnąłem trochę dżinu z tonikiem, który jest moim ulubionym koktajlem na lato. Sporządzam go z autentycznego schweppsa – zawarta w nim chinina chroni mnie przed malarią, oraz autentycznego boodlesa – zawarty w nim alkohol chroni mnie przed rzeczywistością.

Podwoić pański obecny dochód. Mój Boże, pomyślałem, byliśmy kiedyś narodem, który produkował użyteczne dobra, budował drogi żelazne i parowce, i opanował cały kontynent. Teraz świadczymy sobie nawzajem idiotyczne usługi, zawieramy papierowe umowy i trwonimy olbrzymi kapitał, zgromadzony w ciągu dwustu lat uczciwej pracy.

Jeśli Melzer mógł zwiększyć mój dochód do około sześciuset tysięcy dolarów rocznie, w takim razie sam musi wyciągać więcej niż milion. I co takiego robi, żeby go zarobić? Zajmuje się problemami podatkowymi, które w olbrzymiej części stwarzają ludzie jemu podobni.

I taki cwaniaczek skończył pewnie jakiś drugorzędny uniwersytet, a potem w ciężkich bólach obronił dyplom z księgowości. Zrobiłem sobie następnego drinka.

Komunizm umarł, a amerykański kapitalizm ledwo zipie. Kto zatem i co odziedziczy tę planetę? Na pewno nie ubodzy duchem, jak naucza wielebny Hunnings. Nie pasożyty w rodzaju Melzera, który zdolny jest przetrwać tylko na żywym organizmie. Nie Lester Remsen, który, choć wyspecjalizował się w akcjach przemysłu wydobywczego, nie odróżnia bryły węgla od krowiego placka. I z całą pewnością nie ja i moje dzieci, którzy w długim okresie ewolucji wykształciliśmy w sobie zdolności pozwalające nam panować nad nie istniejącym już światem.

Być może przetrwają ludzie tacy jak Stanhope'owie, ich przodkowie zgromadzili bowiem dość żołądzi, by żyć długo i szczęśliwie. Być może przetrwają ludzie tacy jak Bellarosowie – pod warunkiem, że uda im się ułożyć stosunki z młodymi, wychylającymi się z lasu wilkami.

Ewolucja, nie rewolucja. Na tej zasadzie opiera się cała Ameryka. Ale trzeba ewoluować szybko.

Wziąłem swój dżin z tonikiem i wyszedłem na taras z tyłu domu.

**Przyłączyła się do mnie Susan, która przeczuciła się tego lata na**

campari z wodą sodową (być może dlatego, że to właśnie serwowano w Alhambrze).

–Czy wszystko w porządku? – zapytała mnie.

–Tak. Ale muszę pożyczyć od ciebie dwadzieścia tysięcy.

–Jutro wypiszę ci czek.

–Dziękuję. Zwrócę ci, jak tylko sprzedam trochę akcji. Jakie pobierasz odsetki?

–Jeden procent tygodniowo, kapitalizowany codziennie. Masz dziewięćdziesiąt dni na spłatę, w przeciwnym razie wyrwę ci nogi z tyłka – powiedziała i roześmiała się.

–Gdzieś się tego nauczyła? U sąsiadów?

–Nie, skądże. Czytam książkę na temat mafii.

–Po co?

–Po co? Ty czytasz książki o lokalnych okazach drzew, a ja czytam o życiu lokalnych dzikich zwierząt. Ci cwaniacy nie są wcale tacy sympatyczni.

–Nie żartuj.

–Ale wyciągają ze swoich lokat więcej niż głupcy, którzy zarządzają moim funduszem.

–No to powiedz Bellarosie, że chcesz mu powierzyć pieniądze, żeby je pożyczał na lichwiarski procent.

Zamyśliła się przez chwilę.

–Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że Frank jest inny – powiedziała. – Stara się załatwiać wszystko zgodnie z prawem.

–On ci to powiedział?

–Oczywiście, że nie. Powiedziała mi to Anna. Ale nie wprost.

W bezpośredniej rozmowie nie przyzna się nawet, że jej mąż jest szefem mafii. Podejrzewam, że podobnie jak ja nigdy nie czytała o tym w gazetach.

–Susan – odparłem. – Frank Bellarosa jest przestępcą numer jeden w Nowym Jorku,

**a być może nawet w całej Ameryce. Nie może zalegalizować swoich interesów ani swego życia, nawet gdyby chciał to zrobić, a zapewniam cię, że wcale nie nosi się z takim zamiarem.**

**Wzruszyła ramionami.**

**–Widziałeś ten artykuł w dzisiejszym Timesie?**

**–Tak. Od kiedy to czytasz gazety?**

**–Ktoś powiedział mi, żebym to przeczytała.**

–Rozumiem.

W artykule, o którym mowa, zawarte było oświadczenie pana Alphonse'a Ferragamo, prokuratora południowego okręgu Nowego Jorku. Pan Ferragamo informował, że przedstawił federalnej ławie przysięgłych dowody świadczące o tym, iż pan Frank Bellarosa, znana skądinąd postać świata przestępczego, zamieszany jest w morderstwo pana Juana Carranzy, obywatela kolumbijskiego i domniemanego handlarza narkotyków. Pan Ferragamo oświadczył, że sprawą interesuje się rząd federalny, uważa się bowiem, że zarówno ofiara, jak i podejrzany zamieszani byli w międzynarodową i międzynarodową działalność przestępczą. W związku z tym władze zamierzają postawić podejrzanemu zarzut umyślnego spowodowania morderstwa.

Zawsze podobał mi się wstrzemięźliwy styl New York Timesa, który każdego tytułuje pan i gdzie roi się od słówek "domniemany" i "skądinąd". Wszystko to brzmiało tak kulturalnie. Redaktorzy Timesa powinni posłuchać tego, co usłyszałem w gabinecie Bellarosy:

"Pierdolony Ferragamo, pierdolony Carranza, pierdoleni federalni, brudasy, czarnuchy i melanzane". Zapamiętałem sobie, żeby kupić jutrzejsze wydanie New York Post oraz Daily News i dowiedzieć się o wszystkim z pierwszej ręki.

–Jutro albo pojutrze wracają ze szkoły Carolyn i Edward – powiedziała Susan. – Ale obawiam się, że tylko na parę tygodni.

–Rozumiem. Żadne z nich nie wracało do domu zaraz po zakończeniu zajęć.

Carolyn pojechała najpierw do Cape Cod, do letniego domku rodziców jej koleżanki z pokoju, a Edward pozostał w St. Paul z jakiejś niejasnej przyczyny, która miała zapewne coś wspólnego z dziewczyną.

–Gdzie mają zamiar pojechać potem? – zapytałem Susan.

–Carolyn wybiera się na Kubę w ramach wymiany studenckiej, żeby krzewić światowy pokój i podszkolić się w hiszpańskim, a Edward razem z kilkoma kolegami z ostatniej klasy jadą do Cocoa Beach, gdzie załatwili sobie jakiś letni domek. Nie sądzę, żeby mieli tam zamiar krzewić światowy pokój.

–No cóż, to wspaniale. Światowy pokój zaczyna się od osiągnięcia spokoju wewnętrznego, od rozwiązania problemów, które powstają w strefach erogennych.

–To bardzo głębokie stwierdzenie, John.

Nie sądzę, żeby mówiła serio. Powinienem tutaj nadmienić, że to Susan finansuje podróże Edwarda i Carolyn. Pieniądze Stanhope'ów od samego początku stwarzały, prawdę mówiąc, pewne problemy wychowawcze. Nie twierdzę, że Carolyn i Edward są zapsuci; odznaczają się inteligencją i dobrze się uczą. Ale w dzieciństwie opiekowały się nimi wynajęte przez Stanhope'ów niańki, a okres, kiedy formowała się ich osobowość, spędzili w internatach, które, choć posyła się do nich większość okolicznej młodzieży, nie są przecież wcale obowiązkowe. Sam się jednak na to zgodziłem. A teraz niezbyt dobrze znam własne dzieci. Nie wiem, co myślą, co czują ani kim są.

Nie wie o tym także Susan. Sądzę, że coś utraciliśmy, i że oni utracili to także.

Lipiec, jak na razie, miałem przechlapany.

Któregoś ranka zadzwonił do mnie do kancelarii w Locust Valley Lester Remsen. Nie chodziło tym razem o interesy, ale o sprawy towarzyskie. Albo, ściślej rzecz biorąc, o sprawy towarzyskie rozpatrywane na poziomie oficjalnym.

–Wczoraj wieczorem – oznajmił – odbyło się w klubie zebranie na twój temat.

–Kto brał w nim udział?

–To... to nie ma znaczenia.

–Z całą pewnością ma znaczenie dla mnie, skoro rozmawialiście na mój temat.

–Ważniejsze jest to, o czym było to spotkanie. Mówiliśmy o...

–Skoro to takie ważne, Lesterze, sprawa powinna stanąć na następnym, zwołanym w normalnym terminie, zebraniu rady. Nie życzę sobie, żeby obmawiali mnie za plecami jacyś samozwańczy intryganci, którzy zbierają się w trybie nagłym i pragną zachować anonimowość. W tym kraju obowiązują jeszcze jakieś prawa, a ja jestem prawnikiem. Capisce?

–Co?

–Rozumiesz?

–Tak, ale...

–A skoro już dzwonicz, Lesterze, miałem telefon od pani Lauderbach, która poinformowała mnie, że namawiasz ją do sprzedaży połowy akcji American Express i kupienia za nie papierów United Bauxite. Dlaczego robisz takie rzeczy?



5 – Złote Wybrzeże t. II – Dlaczego? Powiem ci dlaczego. – Zaczął powtarzać mi bieżące wskaźniki.

–Co to jest boksyt? – przerwałem mu.

–Boksyt... boksyt... to ten... to chyba jakiś minerał...

–Rudy boksytu zawierają aluminium. Ludzie ciężko harują wydobywając je spod ziemi, żeby inni ludzie mogli pić piwo z aluminiowych puszek.

–Kogo to obchodzi? Mówiłem ci, wskaźnik wyniósł dzisiaj dziesięć i pół, najniższy od dwóch lat. Mówi się, że z ofertą wykupu wystąpił American Biscuit. To firma z przyszłością. Produkuje wysokiej jakości sprzęt sportowy.

–A kto produkuje biskwity? U.S. Steel?

–USX. U.S. Steel to teraz USX. Produkują... stal.

–Zostaw pieniądze pani Lauderbach w spokoju, Lesterze, albo przeniosę jej rachunek gdzie indziej.

Mruknął coś w odpowiedzi i zanim zdążyłem odłożyć słuchawkę, odezwał się ponownie.

–Słuchaj, John, pozwól, że wrócę jeszcze na chwilę do tej pierwszej sprawy. Chcę o tym z tobą porozmawiać. Tylko między nami.

–Słucham.

–Przede wszystkim uważam, że powinieneś mnie przeprosić.

–Za co?

–Za to, co powiedziałeś do mnie w klubie.

–Uważam, że to ty powinieneś mnie przeprosić za to, że ośmieliłeś się namawiać mnie do popełnienia oszustwa.

–Nie wiem, o czym mówisz. Chcę, żebyś przeprosił mnie za to, że powiedziałeś, żebym się od ciebie odpierdolił.

–Przepraszam.



**–Aha... no dobrze... teraz co się tyczy tej drugiej sprawy. To znaczy Bellarosy. Muszę ci powiedzieć, John, że dwadzieścia lat temu za taki numer poproszono by cię o złożenie rezygnacji. Dzisiaj przepisy nie są już takie drakońskie, ale z tego samego względu baczniej przyglądamy się gościom. Nie chcemy, żeby klub zyskał sobie reputację miejsca, które mogą odwiedzać ludzie tego pokroju, nawet jako zaproszeni goście. Zdecydowanie nie życzymy sobie, żeby rozeszło się po okolicy, że znany przywódca mafii jest częstym gościem w "The Creek".**

–Lesterze, nie mam zamiaru przysparzać tobie ani innym członkom klubu żadnych zmartwień. Jestem tak samo wielkim snobem jak ty. Niemniej jednak, jeżeli John Sutter zażyczy sobie zjeść kolację w klubie z samym czartem, nie powinno to obchodzić ani ciebie, ani nikogo, chyba że naruszone zostaną przepisy porządkowe.

–Do diabła, John, mówię przecież o zwykłym rozsądku, o zwykłej kurtuazji i, tak właśnie, o zwykłej przyzwoitości...

–A jeśli ty albo ktokolwiek inny zaproponuje punkt regulaminu dotyczący domniemanych przestępców i samego czarta, będę prawdopodobnie głosował za tym, żeby ich nie wpuszcząć. Skończyły się czasy gentlemen's agreement i tajnych protokołów, mój przyjacielu, ponieważ nie ostał się ani jeden dżentelmen, a tajne protokoły są sprzeczne z prawem. Jeśli chcemy przetrwać, powinniśmy się albo zaadaptować, albo wziąć w karby i ułożyć plan akcji. Nie możemy dalej stać w miejscu, skarżąc się, że trudno jest tańczyć na pokładzie tonącego okrętu. Rozumiesz?

–Nie.

–Pozwól zatem, że wyłożę to inaczej. Sądzę, że u schyłku tego stulecia Frank Bellarosa będzie zasiadał w radzie klubu albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, nie będzie żadnego "The Creek Country Club".

A kiedy na tym miejscu urządzi się park albo wzniesie supermarket, wolno tu będzie przychodzić wszystkim, a my będziemy mogli co najwyżej skarżyć się na tłok na parkingu albo awanturujące się bachory.

–Może masz rację – stwierdził nieoczekiwanie Lester. – Ale na razie, John, bądź tak dobry i nie zapraszaj do klubu pana Bellarosy.

–Przemyślę to sobie.

–Proszę, zrób to – powiedział Lester. – Przekaż najlepsze życzenia Susan.

–A ty moje życzenia dla Judy. I wiesz co, Lester?

–Tak?

–Odpierdol się ode mnie.

Postanowiłem, że przez jakiś czas będę unikał "The Creek", częściowo z racji mojej rozmowy z Lesterem, a częściowo dlatego, że wolałem spędzić lipiec w "Seawanhaka

**Corinthian Yacht Club".**

Pewnego zatem piątkowego wieczoru, w dzień po przyjeździe do domu Edwarda i dwa dni po przyjeździe Carolyn, Susan i ja zaprosiliśmy dzieci do jachtklubu na wczesną kolację, po której mieliśmy się wybrać na trzy dni na żagle.

Pojechaliśmy moim fordem bronco, załadowanym pod sufit piwem, żarciem i sprzętem wędkarskim. Wszystko było tak jak niegdyś, z wyjątkiem tego, że Carolyn siedziała za kierownicą, a Edward nie wiercił się podniecony na tylnym siedzeniu. Wyglądał jak dojrzewający młodzieniec, który ma ważniejsze sprawy na głowie; dotyczyły one prawdopodobnie dziewczyny, którą zostawił w szkole. A Carolyn?

Cóż, była już kobietą i ktoś inny, nie ja, nauczył ją, jak posługiwać się dźwignią zmiany biegów. Gdzie odchodzą te wszystkie lata?

Tak czy inaczej, wjechaliśmy na tereny należące do "The Seawanhaka Corinthian Yacht Club". Klub, założony przez Williama K.

Vanderbilta, leży na będącej właściwie półwyspem Center Island, otoczony Zatoką Oyster, Cold Spring Harbor, cieśniną Long Island i aurą starego bogactwa. Zbędna jest tu nawet tablica zakazująca wstępu osobom niepowołanym.

Podjechaliśmy wysypaną żwirem aleją do budynku klubu. Jest tu trzypiętrowa biała budowla, pokryta gontowym dachem z szarego cedru. Zbudowano ją w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia w unikalnym stylu, który określa się na Wschodnim Wybrzeżu mianem amerykańskiego stylu gontowego. Łączy on w sobie swojsko wyglądające gonty z klasyczną fasadą, tyle tylko że klasyczne elementy nie są tutaj rzeźbione w marmurze, lecz w pomalowanym na biało drewnie. Cały budynek klubu otoczony jest drewnianymi imitacjami pilastrów, zwieńczonych głowicami, mgliście przypominającymi styl koryncki, stąd, jak przypuszczam, drugi człon nazwy klubu. Seawanhaka natomiast to nazwa wymarłego indiańskiego szczepu, który zamieszkiwał niegdyś Long Island. W ten sposób oba człony nazwy klubu, równie dziwaczne i eklektyczne jak jego architektura, łączy wspólny temat wymarłych cywilizacji, co może być aluzją całkiem na czasie.

Budynek jest wspaniały w swojej prostocie, bezpretensjonalny, a mimo to dostojny – połączenie swojskiej amerykańszczyzny z pewną dozą frywolności; niczym odziana w zgrzebną suknię dawna kolonistka, która wplotła sobie we włosy importowaną wstążkę.

Carolyn zaparkowała forda i wysiedliśmy kierując się ku budynkowi klubu.

Sala restauracyjna wychodzi na Zatokę Oyster. Usiedliśmy przy stoliku niedaleko dużego, składającego się z wielu szybek okna. Widać było stąd nasz mierzący trzydzieści sześć stóp jacht stojący na końcu przystani. Nazywa się "Paumanok" – na pamiątkę starej indiańskiej nazwy Long Island.

Zamówiłem butelkę lokalnego wina, banfi chardonnay, produkowanego w byłej posiadłości Vanderbiltów, na której o mały włos nie stanęło osiedle domków jednorodzinnych. Być może, pomyślałem, zdołalibyśmy uratować folwark Stanhope'ów zakładając tam plantację jakichś rzadkich roślin, na przykład fig i oliwek. Potrzebowałbym jednak do tego mnóstwo lamp słonecznych. Nieważne. Nalałem wszystkim wina i cieszyliśmy się smakiem odzyskanej na krótko wspólnoty.

Uważam, że dzieci powinny wcześniej zaczynać pić alkohol. Przyzwyczajają się wtedy do jego działania i nie widzą w nim niczego tajemniczego ani zakazanego. Fakt, że ojciec albo matka daje młodym napić się wina do obiadu, uważam za całkowicie naturalny. W moim przypadku, a także w przypadku Susan, zdało to egzamin, nigdy w młodości nie nadużywałem bowiem alkoholu. Później to już inna sprawa.

Rozmawialiśmy o szkole, o wycieczce Carolyn na Cape Cod i o tym, że niechęć, z którą Edward opuszczał mury St. Paul, rzeczywiście miała coś wspólnego z dziewczyną, a konkretnie ze starszą od niego panienką studiującą na pierwszym roku w pobliskim Dartmouth College.

Obawiam się, że libido będzie miało wpływ na wiele decyzji życiowych Edwarda. Podejrzewam, że to normalne. Ja postępuję tak samo, a jestem przecież normalny.

Przeszliśmy do omawiania lokalnych wydarzeń i planów na wakacje. Przy trzecim kieliszku wina Edward trochę się rozluźnił. Carolyn, pijana czy trzeźwa, zachowuje się zawsze nienagannie i nie sposób wyciągnąć jej na zwierzenia, chyba że sama ma akurat ochotę coś powiedzieć. Jest także spostrzegawcza – ma to po swojej matce.

–Czy w domu wszystko w porządku? – zapytała mnie.

Zamiast udawać, że tak, albo zastosować unik, wolałem odpowiedzieć wprost.

–Mieliśmy ostatnio trochę problemów. Słyszeliście oboje o naszych nowych sąsiadach? – zapytałem.

Edward wyraźnie się zainteresował.

–Jasne! Frank Biskup Bellarosa. Macie z nim jakieś kłopoty?

Zaraz go załatwimy! – powiedział i roześmiał się.

–Właściwie, rzecz ma się całkiem odwrotnie – odparła Susan. – To bardzo sympatyczny człowiek, a jego żona jest wprost urocza.

Nie byłem o tym wcale przekonany.

–Wyraźnie nas polubił – dodałem – i nie bardzo wiemy, jak na to zareagować. Inni nie mają takich wątpliwości. Możliwe, że usłyszycie tutaj na ten temat to i owo.

Edward nie ustosunkował się do sprawy bezpośrednio, ponieważ kiedy ma na głowie własne problemy, nie chce się zbyt rozpraszać.

–Jak on wygląda? – zapytał z ożywieniem. – Czy będę mógł się z nim spotkać? Chcę móc się pochwalić, że go spotkałem. Dobrze?

Mimo że uczęszczał do prywatnych szkół, a członkowie jego rodziny, tak po jednej, jak i drugiej stronie, to przeważnie nadęte dupki, Edward wyrósł na szczerego i otwartego chłopca. Jest trochę kościsty, a jego rude włosy bez przerwy proszą się o grzebień. Stale też wystaje mu ze spodni koszula, ma poplamiony czymś szkolny krawat i blezer, a jego dockside'y wyglądają, jakby ktoś wyjął je psu z gardła. Częściowo jest to tylko poza: zgrywanie się na bezdomnego wychowanka internatu było w modzie również za czasów mojego pobytu w St. Paul. W gruncie rzeczy jednak Edward, choć trochę zagubiony i lekkomyślny, ma dobry charakter.

–Jeśli chcesz odwiedzić naszego nowego sąsiada, po prostu do niego zapukaj – powiedziałem.

–A co będzie, jeśli pogonią mnie jego goryle?

Carolyn uniosła do góry oczy. Nigdy tego otwarcie nie stwierdziła, ale zawsze uważała swego młodszego brata za trochę stukniętego.

Ogólnie jednak rzecz biorąc stosunki między nimi układają się całkiem dobrze. Dzieje się tak mimo – a może właśnie dlatego – że tak mało ze sobą razem przebywają.

–Chyba sobie z nimi poradzisz, Skipper – odparłem na pytanie dotyczące goryli.

**Uśmiechnął się słysząc swoje stare przezwisko.**

**–Nie pozwoliłabym narzucać sobie, z kim mam się przyjaźnić – poinformowała mnie i swoją matkę Carolyn.**

**–My też z całą pewnością nikomu na to nie pozwalamy. Ale niektórzy z naszych starych przyjaciół są tym rozczarowani. Kilka**

tygodni temu w "The Creek" doszło do małego incydentu. – Susan, nie wdając się w szczegóły, opisała wieczór, który spędziliśmy z Bellarosami. – Wasz ojciec miał w tej sprawie jeden telefon, a ja dwa – zakończyła.

Carolyn musiała to przeanalizować. Jak już wspomniałem, jest poważną, młodą kobietą, ambitną, pewną siebie i wie, czego chce. Będzie sobie z pewnością dobrze radzić na wydziale prawa. Jest atrakcyjna i zadbana, i bez większych trudności mogłem ją sobie wyobrazić w okularach na nosie (choć nie musi ich wcale nosić), w ciemnym kostiumie, na wysokich obcasach i z aktówką w rękę. "Żyleta" mówimy na taką młodą prawniczkę, my, starzy weterani.

–Zgodnie z konstytucją macie prawo utrzymywać stosunki towarzyskie, z kim tylko macie ochotę – brzmiała jej wyważona opinia.

–Wiemy o tym, Carolyn – odpowiedziałem.

Dzieciakom z college'u wydaje się czasami, że uczą ich tam czegoś nowego. Przez długie lata uważałem, że karmią nas w Yale najświeższymi wiadomościami.

–Konstytucja gwarantuje również to prawo naszym przyjaciółom – dodałem – i niektórzy korzystają z niego, przestając się z nami przyjaźnić.

–Zgadza się – przytaknęła Carolyn. – Prawo do utrzymywania dowolnych stosunków towarzyskich zawiera w sobie również prawo do ich dowolnego zrywania.

–Na tej samej zasadzie mój klub ma prawo dyskryminować niektórych członków.

Carolyn zawahała się w tym miejscu, ponieważ uważa się za osobę o zapatrywaniach liberalnych.

–Dlaczego po prostu stąd nie wyjedziecie? – zapytała. – To miejsce jest takie niedzisiejsze, tyle tutaj dyskryminacji.

–Dlatego właśnie nam się podoba – odparłem, narażając się na kosę spojrzenia. Carolyn przypomina mi pod wieloma względami moją matkę, którą zresztą podziwiałem za działalność społeczną. Należy do kilku podejrzanych, moim zdaniem, organizacji studenckich, nie poruszam jednak tej kwestii, nie zamierzam bowiem dyskutować o polityce z kimkolwiek, kto nie przekroczył czterdziestki.

–Gdzie twoim zdaniem powinniśmy wyjechać? – zapytałem.



–Pojeźdźcie do Galveston i zamieszkajcie na plaży razem z ciotką Emily.

–Niezły pomysł – odparłem. Carolyn lubi Emily, ponieważ ta wyzwoliła się z małżeńskich więzów i zamieszkała na łonie natury, żywiąc się owocami morza. Carolyn nie pójdzie jednak w jej ślady.

Buntownicy z jej pokolenia nie są tak wściekli jak za moich czasów, na pewno lepiej się ubierają i nie opuszczają domu rodzinnego bez karty kredytowej. Mimo to myślę, że jest szczerą.

–Może pojedziemy z tobą na Kubę i będziemy razem krzawić światowy pokój?

–Dlaczego nic nie zamawiamy? – zapytała Susan, która zawsze podejrzewa mnie o to, że robię sobie z jej córki kpiny.

–Nie sądzę, żeby Kuba była odpowiednim miejscem, jeśli o tym myślisz – odpowiedziała Carolyn. – Ale uważam, że kiedy tam pojedę, potrafię lepiej zrozumieć, co się tam dzieje.

–Kogo dziś obchodzi Kuba, Cari? – odezwał się Edward, wyszczerzając do niej zęby w uśmiechu. – Pojeźdź ze mną na Cocoa Beach, przedstawię cię moim kumplom.

–Nie mam zamiaru oglądać twoich głupich kumpli – odparła lodowatym tonem.

–Co takiego? A dlaczego, kiedy przywiozłem tu na Boże Narodzenie Geoffreya, przez cały tydzień nie mogliśmy się od ciebie opędzić?

–Nieprawda.

–Prawda.

Spojrzałem na Susan, która uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo.

–Dlaczego stale zapominasz oddać samochód do warsztatu? – zapytałem ją.

–A kiedy ty nauczysz się w końcu, żeby nie rozrzucać wszędzie swoich skarpetek?

Carolyn i Edward zrozumieli (podobnie jak zawsze) aluzję i przymknęli się.

Zaczęliśmy mówić o George'u i Ethel Allardach, o Zanzibarze i Jankesie, o przeniesieniu stajni i o innych zmianach, które zaszły w naszym życiu od Bożego Narodzenia. Zamówiliśmy kolację i następną butelkę wina, choć normalnie, kiedy wybieram się na żagle, nie wypijam więcej niż dwa kieliszki.



Przy obiedzie Carolyn ponownie poruszyła temat Franka Bellarosy.

–Czy on wie, czym ty się zajmujesz, tato? Czy prosił cię może, żebyś doradził mu coś w sprawach podatkowych?

–Wprost przeciwnie, to ja poprosiłem go o radę w tej sprawie.

To długa historia. A teraz chce, żebym podjął się jego obrony w sprawie o morderstwo.

I znowu Edward wydawał się nie dostrzegać w tym żadnego problemu.

–Morderstwo?! – zawołał. – O rany! Nie żartujesz? Zabił kogoś? Masz zamiar go z tego wyciągnąć?

–W gruncie rzeczy nie wierzę, żeby rzeczywiście popełnił morderstwo, o które może zostać oskarżony.

–Dlaczego on chce, żebyś go bronił, tato? – zapytała Carolyn. – Nie zajmujesz się przecież sprawami kryminalnymi.

–Sądzę, że mi ufa. Moim zdaniem on wierzy, iż zrobię dobre wrażenie na sędziach. Myślę, że nie poprosiłby mnie o obronę, gdyby był rzeczywiście winien. On uważa, że jeśli ja uwierzę w jego niewinność, wtedy ława przysięgłych uwierzy mnie.

Carolyn kiwnęła głową.

–Musi być z niego niegłupi facet.

–Podobnie jak ja.

Uśmiechnęła się do mnie.

–Wszyscy o tym wiemy, tato.

Edward także wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Weź tę sprawę. Nie daj go skazać. Zdobędziesz sławę. Masz zamiar się zgodzić?

–Nie wiem.

–Nigdy nie wtrącam się do spraw zawodowych waszego ojca, ale jeśli podejmie się tej sprawy, w pełni go popieram – oznajmiła niespodziewanie Susan.

**Susan rzadko składa oświadczenia, w których opowiadałaby się publicznie za swoim mężem, i to, co usłyszałem, powinno dać mi do myślenia.**

**Zjedliśmy obiad, wszyscy jeszcze bardziej się rozkrochmaliliśmy i wydawało się prawie, że wszystko między nami jest tak jak dawniej – ale było to po raz ostatni.**

**Stosunki, jakie łączą mnie z Carolyn i Edwardem, wywodzą się**

prawdę mówiąc z okresu, kiedy mogłem im dokuczać, strofować i trzymać za rękę. Teraz są już starsi, podobnie jak ja i Susan, i wszyscy mamy inne problemy i troski. Od swego ojca oddaliłem się mniej więcej w tym samym wieku, w jaki weszli teraz Carolyn i Edward, i nigdy nie zbliżyliśmy się znowu. Ale do dziś pamiętam ten wieczór na łodzi, kiedy trzymał mnie za rękę.

Przypuszczam, że ta separacja jest naturalnym zjawiskiem biologicznym. Być może któregoś dnia Susan i ja nawiążemy z naszymi dziećmi dobre stosunki -jak dorośli z dorosłymi. Zawsze wierzyłem, że dzikie zwierzęta, opuszczające któregoś dnia swoje nory, spotykają kiedyś swoich rodziców i rozpoznają ich, a być może wysyłają w ich kierunku jakiś specjalny sygnał. Możliwe nawet, że mówią im "dziękuję".

–W sierpniu chciałbym z wami pojechać do East Hampton – oznajmił Edward wpychając sobie do ust szarlotkę. – Na kilka tygodni, zanim nie zacznie się szkoła.

Rzuciłem szybkie spojrzenie Susan.

–Prawdopodobnie sprzedamy nasz dom w East Hampton i chyba nie będziemy mogli czekać z tym do sierpnia – powiedziałem.

Edward spojrzał na mnie znad szarlotki, jakby się przesłyszał.

–Sprzedajecie? Sprzedajecie letni dom? Dlaczego?

–Problemy podatkowe – wyjaśniłem.

–Och... a tak się cieszyłem na ten wyjazd.

–No cóż, wydaje mi się, że będziesz musiał zmienić plany, Skipper.

–Och.

Edward nie bardzo się chyba orientował, w czym rzecz – jak wszystkie dzieci, które słyszą o problemach finansowych dorosłych.

Zauważyłem jednak, że Carolyn przypatruje się bacznie mnie i Susan, tak jakby chciała odgadnąć prawdziwe znaczenie tego, o czym mówimy.

Mimo zainteresowania, jakim obdarzała wszelkich upośledzonych, nie bardzo wyobrażała sobie, na czym mogą polegać problemy finansowe.

Być może doszła do wniosku, że jej rodzice wystąpili o rozwód.

**Wstaliśmy od stołu. Ja i Carolyn ruszyliśmy w stronę przystani, gdzie stał przycumowany "Paumanok", a Susan z Edwardem zawrócili na parking, żeby podjechać bliżej samochodem.**

**Idąc położyłem rękę na ramię Carolyn, a ona objęła mnie.**

**–Nie rozmawiamy ze sobą często, tato – powiedziała.**

**–Rzadko tu bywasz.**

–Możemy przecież rozmawiać przez telefon.

–Możemy. I będziemy.

–Dzieje się tutaj wiele rzeczy – stwierdziła po kilku sekundach.

–Owszem, ale nic takiego, czym miałybyś się przejmować.

–Czy między tobą i mamą wszystko jest w porządku? – zapytała po kolejnych kilku sekundach.

Spodziewałem się tego.

–Nikt nie powinien się wtrącać do stosunków między mężem i żoną, Cari, nawet ich własne dzieci. Pamiętaj o tym, kiedy wyjdiesz za mąż.

–Nie jestem pewna, czy masz rację. Jestem bezpośrednio zainteresowana tym, żebyście byli szczęśliwi i żeby wam się dobrze wiodło.

Kocham was oboje.

Wypowiedzenie takich rzeczy niezbyt łatwo przychodzi Carolyn, która jest przecież nieodrodną córką Stanhope'ów i Sutterów.

–A my kochamy ciebie i Skippera. Ale nasze szczęście i nasza pomyślność niekoniecznie związane są z naszym małżeństwem.

–Więc macie jednak jakieś problemy?

–Tak, ale nie ze sobą. Opowiedzieliśmy ci już o tej innej sprawie.

Temat uważam za zamknięty.

Doszliśmy do mola i stanęliśmy przyglądając się sobie nawzajem.

–Mama nie jest sobą. Widzę to – stwierdziła Carolyn.

Nie odpowiedziałem.

–I ty też – dodała.

–Dzisiaj jestem sobą – powiedziałem i pocałowałem ją w policzek.

Nadjechał bronco i wszyscy wyładowaliśmy na molo nasz dobytek.

**Susan odjechała z powrotem na parking, a Carolyn podawała w tym czasie rzeczy Edwardowi, który przekazywał mi je na łódź. Nie musiałem mówić ani słowa, miałem bowiem do czynienia z moją starą załogą i robiliśmy to przedtem setki razy. Potem Susan zeszła na pokład i zaczęła układać rzeczy tam, gdzie było ich miejsce: w kuchence, na pokładzie i w kabinie. Dzieciaki dołączyły do nas i pomogły mi w przygotowaniach do podniesienia żagli.**

**Została nam jeszcze jakaś godzina słońca, więc odbiliśmy od moła na włączonym silniku. Kiedy odpłynęliśmy trochę od pomostu i przycumowanych przy nim łodzi, zgasłem silnik i zajęliśmy się żaglami.**

**Edward postawił grot, Carolyn fok, a Susan spinaker.**



Wiał przyjemny wietrzyk z południa i po minięciu Plum Point pożeglowaliśmy prosto na północ na otwarte wody cieśniny. Łodzią klasy Morgan wspaniale żeglujecie się po cieśninie Long Island.

Można się nią wybrać do Nantucket, na Martha's Vineyard, na Block Islands, i dalej aż do Provincetown. Główną wadą morgana podczas żeglugi po małych zatoczkach i przesmykach jest jego wysoki kil, ale to właśnie czyni z tej łodzi bezpieczny rodzinny jacht na otwartym morzu.

Pierwszego morgana zaprojektował J.P. Morgan dla swoich dzieci, mając na uwadze przede wszystkim względy bezpieczeństwa. Stanowi przykład idealnej łodzi klubowej: ładnie się prezentuje, jej posiadanie podnosi prestiż, a przy tym jest całkiem bezpretensjonalna.

Gdybym się uparł, mógłbym przepłynąć na niej Atlantyk, ale nie byłoby to rozsądne przedsięwzięcie. Teraz, kiedy dzieci podrosły, powolny morgan nie jest już łodzią, jakiej potrzebuję. To, co by mi odpowiadało naprawdę, to mierzący pięćdziesiąt pięć stóp, wysmukły jacht klasy Allied.

Taką łodzią mógłbym popłynąć wszędzie. Potrzebowałbym także oczywiście załogi, co najmniej dwóch, a najlepiej trzech albo czterech osób.

Wyobraziłem sobie, jak stoję za sterem allieda, tnącego wysokim dziobem fale i płynącego na wschód, w stronę Europy. Na horyzoncie wstaje słońce. Cała moja załoga znajduje się na stanowiskach: Sally Grace szoruje pokład, Beryl Carlisle trzyma w pogotowiu dzbanek z kawą, a apetyczna Terri masuje mi kark. Na dole, w kuchni przygotowuje nam wszystkim śniadanie Sally Ann z "Gwiezdnego Przybysza", a na bukszprycie zatknięty jest wypchany łeb Zanzibara.

Skierowałem morgana na zachód, mijając Bayville, gdzie widoczne były światła niesławnej pamięci "Zardzewiałej Kluzy", i popłynąłem dalej w stronę zachodzącego słońca, a potem okrążyłem Matinecoc Point i sunąłem na południe, halsując w kierunku Hempstead Harbor.

Płynąłem przez chwilę wzdłuż zachodniego wybrzeża, mijając Castle Gould i Falaise, a potem zawróciłem na środek portu, gdzie kazałem opuścić żagle. Carolyn i Edward rzucili kotwicę, która szybko osiadła na dnie. Łódź dryfowała na linie-zmagając się z wiatrem i wzbierającym przyływym.

W oddali, na wschodnim wybrzeżu, przycupnęła na wysokim urwisku wioska Sea Cliff, której wiktoriańskie domki ledwo było widać w zachodzącym słońcu. Kilkaset jardów na północ od Sea Cliff majaczył Garvie's Point, gdzie kochaliśmy się z Susan

na plaży.

Tymczasem słońce schowało się za wysokimi urwiskami Sands Point i dostrzegłem pierwsze pojawiające się po przeciwnej stronie nieba gwiazdy. Patrzyłem, jak poczynając od wschodu aż po zachód zapalają się na tle purpurowej poświaty kolejne złote punkciki.

Nikt z nas nie mówił ani słowa; każdy otworzył sobie po prostu puszkę piwa i pociągał z niej, obserwując najwspanialszy na tej planecie widok, jakim jest zachód słońca na morzu: zabarwione na różowo chmury, rozgwieżdżoną czarną smugę na horyzoncie, wschodzący księżyc i szybujące nad ciemniejącą wodą mewy.

Człowiek musi bacznie przyglądać się takiemu zachodowi, w przeciwnym razie może stracić wiele z jego uroków. Siedzieliśmy zatem w milczeniu – ja, Susan, Carolyn i Edward – tak długo, aż w końcu wszyscy na mocy cichego porozumienia uznaliśmy, że zapadła noc.

–Chodź, Cari, zrobimy herbatę – powiedziała Susan i zniknęły razem pod pokładem.

Wdrapałem się na pokład nad kabiną i oparłem o maszt. Za chwilę dołączył do mnie Edward. Wbiliśmy obaj wzrok w czarną wodę.

–Cieszysz się, że idziesz do college'u? – zapytałem.

–Nie.

–To będzie najpiękniejszy okres w całym twoim życiu.

–Wszyscy mi to bez przerwy powtarzają.

–Bo to prawda.

Wzruszył ramionami.

–Co to za problemy podatkowe? – zapytał po chwili.

–Po prostu jestem winien zaległe podatki.

–Och... i dlatego musisz sprzedać dom?

–Tak sędzę.

–Nie możesz z tym poczekać?

Uśmiechnąłem się.

**–Dlaczego? Żebyś mógł tam pojechać w sierpniu?**

**–Nie... myślałem o tym, żebyś poczekał do momentu, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat. Wtedy będę mógł dać ci pieniądze z mojego funduszu powierniczego.**

**Nie odpowiedziałem, bo przez chwilę nie byłem w stanie wymówić ani słowa.**

**–Nie potrzebuję całej tej forsy – dodał.**

**Odchrząknąłem.**

–No cóż, wydaje mi się, że babci i dziadkowi Stanhope'om zależy na tym, żebyś ty skorzystał z tych pieniędzy.

I trafi ich szlag, jeżeli mi je oddasz.

–Te pieniądze będą moje. Chcę ci je dać, jeśli będą ci potrzebne.

–Dam ci znać.

–W porządku.

Przysłuchiwałem się odgłosowi fal łamiących się o odległe wybrzeże. Spojrzałem na wschód. Na północ od Garvie's Point, mniej więcej w odległości pięciuset jardów od miejsca, w którym rzuciliśmy kotwicę, widać było światła stojącego na małym cyplu dużego kolonialnego domu. Wyciągnąłem w tamtą stronę rękę.

–Widzisz ten duży dom? – zapytałem.

–Tak.

–Było tam kiedyś długie molo, a zaczynało się pomiędzy tymi dwoma wysokimi cedrami. Widzisz je?

–Tak.

–Spójrz w miejsce, w którym mogło się kończyć to molo.

Widzisz tam coś?

Wpatrywał się przez chwilę w czarną wodę.

–Nie.

–Patrz uważnie, Skipper. Zmruż oczy. Skoncentruj się.

–Może... tak jakby... – oświadczył po jakimś czasie.

–Co?

–Nie wiem. Kiedy tak się wpatruję, wydaje mi się, że coś tam widzę... jak to się nazywa...? To, co wydzielają rosnące pod wodą algi... jarzy się takim zielonym niesamowitym światłem... Bioluminescencja? Tak, teraz to widzę.

**–Widzisz? To dobrze.**

**–I co z tego?**

**–To twoje zielone światełko, Skipper. Sądzę, że ono każe ci iść.**

**–Iść dokąd?**

**Nigdy nie umiałem z nim rozmawiać jak ojciec z synem, ale tym razem zależało mi, żeby zrozumiał, o co mi chodzi.**

**–Każe ci iść, dokądkolwiek chcesz – odparłem trochę nieśmiało. – Być tym, kim chcesz być. Dla mnie to zielone światełko oznacza przeszłość, dla ciebie przyszłość. – Wziąłem jego dłoń w swoją. – Nie strać go z oczu.**

## Rozdział 21

Dziś wiem, że powinienem był przepłynąć Atlantyk z całą rodziną i nigdy nie wracać do Ameryki; coś w rodzaju dobrowolnej dekolonizacji Sutterów i Stanhope'ów. Zawinęlibyśmy do Plymouth, spalili "Paumanoka", postawili na plaży budkę ze smażoną rybą i frytkami i żyli długo i szczęśliwie.

Ale Amerykanie nie emigrują, a w każdym razie nie czynią tego zbyt często, i tym, którzy wyjechali, nie wiedzie się potem najlepiej.

Stworzyliśmy nasz własny kraj i kulturę i nie pasujemy po prostu gdzie indziej – nawet do krajów naszych przodków, którzy z trudem tolerują nas przez dwa tygodnie wakacyjnej wizyty. Podziwiam Europę, ale Europejczycy, prawdę mówiąc, nieco mnie nużą – zwłaszcza kiedy zaczynają narzekać na Amerykanów.

Nie przepłynęliśmy zatem Atlantyku i nie wyemigrowaliśmy – spędziliśmy za to cudowny weekend pod żaglami przy słonecznej pogodzie i sprzyjających wiatrach.

Przez całą noc z piątku na sobotę staliśmy na kotwicy w Hempstead Harbor, a o świcie podnieśliśmy żagle i popłynęliśmy w stronę Cape Cod, zawijając na kilka godzin do Provincetown, żeby zwiedzić miasto i zrobić zakupy, a dokładniej rzecz biorąc wysadzić na brzeg dzieci – już bowiem po godzinie Susan poinformowała Carolyn i Edwarda, że musi wrócić ze mną na łódź, gdyż zapomniałem portfela. Carolyn i Edward uśmiechnęli się porozumiewawczo, a mnie zrobiło się trochę głupio. Spotkamy się za trzy godziny przed starym "Provincetown Hotel", dodała Susan.

## 79

–Za trzy godziny? – upewnił się Edward wciąż się uśmiechając.

Nie ma, moim zdaniem, nic złego, jeśli dzieci wiedzą, że ich rodzice prowadzą nadal aktywne życie płciowe, nie należy jednak dawać do zrozumienia, że nie mogą się bez tego obyć przez dzień albo dwa.

Susan potraktowała jednak całą rzecz bardzo serio.

–Tak, za trzy godziny – odparła. – Nie spóźnijcie się.

Wyjąłem z kieszeni portfel i dałem im obojgu trochę gotówki, uświadamiając sobie jednocześnie, że zadaję kłam wymyślonej przez Susan opowieści. Ale pocziwe dzieciaki udawały, że nie widzą portfela w mojej dłoni.

**–To był atak przez zaskoczenie – powiedziałem Susan, kiedy szliśmy z powrotem do portu.**

**–Och, zareagowałeś całkiem prawidłowo, John, dopóki nie wyciągnąłeś z kieszeni portfela – odparła ze śmiechem.**

**–I tak wiedzą, co jest grane – powiedziałem. – Pamiętasz, jak lulaliśmy je do snu w kojach, a potem wspinaliśmy się na pokład nad kabiną i zabieraliśmy się do dzieła.**

**–Pamiętam, jak mówiłeś im wtedy, że gdyby usłyszały przypadkiem jakieś hałasy, to tylko mama i tata robią swoje przysiady.**

**–Pompki.**

**Roześmieliśmy się oboje.**

**Weszliśmy więc ponownie na pokład "Paumanoka", odpłynęliśmy trzy mile od brzegu, tam gdzie nie obowiązuje zakaz uprawiania perwersji seksualnych, i znaleźliśmy odpowiednie, nieco oddalone od innych łodzi miejsce.**

**–Co takiego chodzi ci po głowie? – zapytałem Susan.**

**To, co chodziło jej po głowie, schowało się tymczasem w kabinie, a następnie pojawiło całkiem nagie na pokładzie. Stałem za sterem i byliśmy wciąż pod pełnymi żaglami, a ona podeszła do mnie i stanęła na baczność.**

**–Panie kapitanie, starszy mat Cynthia melduje się do odbycia kary – oznajmiła.**

**Mój Boże. Patrzyłem, jak tak stoi wyprężona, z błyszczącymi kocimi oczyma i długimi rudymi włosami, które rozwiewał wiatr.**

**Kochałem ciało tej kobiety, kochałem jej szczupłe nogi i ręce, jej gładką skórę i gęstą kępkę rudych włosów między nogami.**

**–Melduje się do odbycia kary według rozkazu – ponagliła mnie.**



–Dobrze. Dobrze. – Zastanawiałem się przez moment. – Wyszoruj pokład.

–Tak jest, kapitanie.

Zeszła na dół i wróciła za chwilę z wiadrem i szczotką. Wychyliła się przez burtę i nabrała pełne wiadro słonej wody, po czym zaczęła szorować na czworakach deski wokół moich stóp.

–Nie oblej mi tylko przypadkiem butów – powiedziałem – bo dostaniesz tuzin batów na goły tyłek.

–Tak jest, kapitanie... och! – Przewróciła wiadro i słona woda zmoczyła moje dockside'y. Miałem wrażenie, że zrobiła to naumyślnie.

Uklękała i objęła mnie za nogi.

–Och, kapitanie, proszę mi wybaczyć. Proszę mnie nie chłostać. – Przytuliła głowę do mojego krocza.

Jak na kobietę, która w prawdziwym życiu jest niezłą dziwką, autentyczną pogromczynią, jeśli wybaczycie mi to określenie, kutasów, Susan posiada raczej dziwne alt er ego. Rzecz w tym, że najbardziej lubi odgrywać i powtarzać role niewolniczo posłusznych i bezbronnych kobiet. Któregoś dnia zamierzam zapytać o to znajomego psychiatry, choć naturalnie nie powiem, o kogo chodzi, żeby chronić dobre imię zainteresowanych.

Tak czy inaczej, poleciłem Susan spuścić żagle i zarzucić kotwicę, żebyśmy mogli zatrzymać się i wykonać karę chłosty. Skrępowalem jej nadgarstki, przywiązałem do grotmasztu i wymierzyłem tuzin razów paskiem w tyłek. Nie muszę chyba dodawać, że były to lekkie miłosne klapsy, choć oczywiście skręcała się pod nimi i błagała, żebym przestał.

W ten sposób mniej więcej spędziliśmy całą godzinę. Rozebrana do rosołu Susan spełniała przy mnie najróżniejsze posługi: przyniosła mi kawę, wypolerowała mosiężne okucia i wyczyściła wychodek. W domu nie potrafię skłonić tej kobiety, żeby wytrząsnęła okruszki z tosterka, ale na pokładzie jachtu uwielbia odgrywać rolę nagiej niewolnicy.

Myślę, że korzysta na tym jej psychika, a jeszcze bardziej łódź.

–Czy wolno mi się już ubrać, kapitanie? – zapytała po mniej więcej godzinie.

**Siedziałem na pokładzie opierając się plecami o ścianę kabiny i popijając kawę z filiżanki.**

**–Nie – odpowiedziałem. – Masz uklęknąć na czworakach na pokładzie i rozszerzyć nogi.**

6 – Złote Wybrzeże t. II Zrobiła, jak kazałem, i cierpliwie czekała, aż dopiję kawę. Ukląknęłam, spuściłam spodnie i wszedłem w nią od tyłu. W środku, jak odkryłem, aż w niej chlupotało. Miała orgazm po dziesięciu sekundach, a w pięć sekund później ja.

W drodze powrotnej do Provincetown Susan, która już się ubrała, wydawała się trochę zamknięta w sobie. Odniosłem wrażenie, że nie daje jej spokoju jakaś ważna sprawa. W gruncie rzeczy, kiedy się nad tym zastanowiłem, w ciągu ostatnich kilku miesięcy Susan to okazywała mi najczulsze przywiązanie, to dąsała się i traktowała jak nieobecnego. Przywykłem do jej humorów, dąsów i w ogóle do jej niezrównoważonego charakteru, ale tym razem było to coś nowego. Jak zauważyła Carolyn, Susan nie była sobą. Ale z drugiej strony to samo można było powiedzieć o mnie.

–Być może masz rację – powiedziałem stojąc u steru. – Może powinniśmy stąd wyjechać. Moglibyśmy popłynąć razem na Karaiby i zniknąć na parę miesięcy. Do diabła z cywilizacją.

Milczała przez parę sekund.

–Musisz załatwić swoje problemy podatkowe – odezwała się wreszcie – zanim wytoczą ci sprawę karną.

Miała oczywiście rację i jak większość Amerykanów poczułem złość na władze, które wtrącały się w moje prywatne życie i krzyżowały mi plany.

–No cóż – powiedziałem – w takim razie powinniśmy wyjechać, jak tylko uda mi się to załatwić.

–Czy nie jesteś przypadkiem coś winien Frankowi? – zapytała.

Spojrzałem na nią.

–Na przykład co?

–Obiecałeś mu przecież, że podejmiesz się obrony w tej sprawie.

Kiedy opowiadałeś o tym Carolyn i Edwardowi – dodała – brzmiało to tak, jakbyś nie podjął jeszcze decyzji.

Przyglądałem się przez chwilę horyzontowi. Nie lubię ludzi, którzy mówią mi, jak mam postępować w interesach, ani przypominają, co komu kiedyś powiedziałem. Wcale sobie także nie przypominalem, bym kiedykolwiek mówił Susan, że obiecałem

**Bellarosie bronić go w sprawie o morderstwo.**

–Nie wyświadczyliście sobie nawzajem uprzejmości czy czegoś w tym rodzaju? – zapytała. – - Chyba tak – odparłem. – Dlaczego tak cię to interesuje?

–Na tym przecież polega twoje wyzwanie. Uważam, że dobrze ci zrobi, jeśli zajmiesz się sprawą kryminalną.

–Naprawdę tak uważasz? Nie rozumiesz, że jeśli zgodzę się bronić szefa mafii, będzie to prawdopodobnie oznaczać koniec mojej kariery w firmie Perkins, Perkins, Sutter Reynolds? Nie wspominając o konsekwencjach towarzyskich?

Wzruszyła ramionami.

–Nie dbam o konsekwencje towarzyskie, John, podobnie jak i ty. Zresztą i tak już przecież podjąłeś decyzję. I nie wycofuj się z niej.

–Dobrze. Nie wycofam się.

W sobotę po południu wypłynęliśmy z Provincetown i ponownie pożeglowaliśmy na południe w stronę Long Island, orientując się na Montauk Point, który okrążyliśmy walcząc z silnym wiatrem i zdradliwymi prądami.

Na otwartym Atlantyku, mniej więcej czterdzieści mil na południowy wschód od Montauk, ujrzeliśmy fontanny wody wyrzucane przez wieloryby. Skierowałem łódź w tamtą stronę, ale nie zdołaliśmy ich dogonić. Chociaż nadal nie widzi się ich tutaj zbyt często, w ostatnich latach spotykam coraz więcej wielorybów i myślę, że należy się z tego cieszyć. Godzinę później przeżyliśmy jednak mniej radosne spotkanie; nie dalej jak pięćdziesiąt jardów od dziobu naszej łodzi wynurzyła się nagle z wody wieża dużej czarnej łodzi podwodnej, wznosząc się nad nami niczym jakiś prehistoryczny obsydianowy monolit. Mierzący trzydzieści sześć stóp morgan sprawiał przy nim wrażenie zabawki. Na wieży widniały wyłącznie cyfry, nie było żadnego innego oznakowania i Edward aż otworzył usta z wrażenia.

–Mój Boże... -jęknął – to nasza łódź?

–Nie, nie nasza – odparłem.

–Rosyjska?

–Rządowa. Rosyjska albo amerykańska. Sutterowie nie posiadają na własność ani jednej nuklearnej łodzi podwodnej.

To mniej więcej w pełni, jak sędzę, odzwierciedlało przemianę,

**jaką przeszedł John Sutter – od prawomyślnego, płacącego podatki patrioty do wolnego obywatela świata albo, ujmując to bardziej precyzyjnie, oceanu.**

**Mając do dyspozycji jeszcze kilka godzin światła i silny wiatr z południowego zachodu, zawróciłem łódź w stronę południowego wybrzeża Long Island i pożeglowałem wzdłuż wspaniałych białych plaż. Minęliśmy East Hampton i Southampton, a potem znaleźliśmy się na wodach Zatoki Shinnecock, przepłynęliśmy obok rezerwatu o tej samej nazwie i zwinęliśmy na noc do "The Southampton Yacht Club".**

**Następnego ranka, w niedzielę, po uzupełnieniu zapasów słodkiej wody wpłynęliśmy kanałem do Zatoki Great Peconic. Zatoka ta oferuje małym i średnim łodziom jedne z lepszych warunków żeglugi na Wschodnim Wybrzeżu, łączy bowiem złudzenie otwartego morza z bezpieczeństwem, jakie zapewnia zamknięty akwen. Jest tu także sporo rzeczy do oglądania, jak choćby inne łodzie, hydroplany, wyspy i malownicza linia brzegowa, przez cały boży dzień bawiliśmy się zatem w obserwatorów. Edward nie odejmował od oczu lornetki i odkrył w końcu cztery kobiety w stroju topless. Koniecznie chciał, żebym i ja rzucił na nie okiem, ale zapewniłem go, że nie interesują mnie te rzeczy. Susan i Carolyn dla odmiany kazały, żeby dał im lornetkę, jeśli zobaczy jakichś nagich mężczyzn. Co za załoga.**

**W niedzielę wieczorem zwinęliśmy do starej wioski wielorybniczej Sag Harbor, żeby uzupełnić prowiant. Susan, jak już wspomniałem, nie jest nadzwyczajną kucharką, nawet kiedy ma do dyspozycji nowoczesną kuchnię w domu, nie oczekiwaliśmy więc żadnych frykasów na pokładzie. Zdaniem Edwarda i Susan uzupełnienie prowiantu powinno polegać na spożyciu przyzwoitej kolacji w restauracji przy Main Street. Carolyn i ja głosowaliśmy jednak za czymś mniej wyszukanym. Ponieważ to ja jestem kapitanem "Paumanoka", załoga musiała się podporządkować mojej woli. Rozumiecie teraz, dlaczego tak lubię żeglować. Spacerowaliśmy po cichej tego niedzielnego wieczoru wiosce, aż natknęliśmy się na otwarty sklepik, w którym zakupiliśmy zimne piwo i kanapki. Zabraliśmy prowiant z powrotem na jacht, który stał przycumowany przy nabrzeżu u szczytu Main Street.**

**–Jeśli dostaniemy po tym rejsie szkorbutu, to będzie to wyłącznie**

twoja wina – oznajmiła Susan, kiedy siedzieliśmy na pokładzie popijając piwo i jedząc kanapki z jakimś świństwem.

–Jestem w pełni odpowiedzialny za "Paumanoka" i jego załogę, madame. Na statku obowiązuje ścisła dyscyplina i nie będę tolerował najmniejszej niesubordynacji.

Susan potrząsnęła butelką piwa, otworzyła ją i prysnęła mi w twarz pianą.

Zazwyczaj tego rodzaju niewybredne żarty są między nami czymś w rodzaju gry wstępnej, ponieważ jednak były przy nas dzieci, przyłączyłem się po prostu do ogólnego śmiechu. Ha ha ha. Ale poczułem ogarniające mnie podniecenie. Na łodzi zawsze jestem podniecony.

Tego wieczoru graliśmy w karty, rozmawialiśmy, czytaliśmy i poszliśmy wcześniej spać. Żegluga jest wyczerpująca i nigdzie nie śpi mi się tak dobrze jak na pokładzie lekko kołyszącej się na fali łodzi.

W poniedziałek rano wstaliśmy o świcie i pożeglowaliśmy do domu. Wpłynęliśmy na wody Zatoki Gardiner i okrążyliśmy Gardiner Island. Rodzina Gardinerów osiadła w Nowym Świecie mniej więcej w tym samym czasie co Sutterowie i wciąż jest w posiadaniu wyspy, którą nadał jej wtedy król Karol I. Obecny mieszkaniec wyspy, Robert David Lion Gardiner, posiada, jako jedyny w całej Ameryce, dziedziczny tytuł Szesnastego Lorda Gardiner. Mój ojciec, który zna tego pana, mówi do niego po prostu Bob.

Choć nawigacja wokół tej dość dużej wyspy wymagała nie lada umiejętności, moja załoga stanęła na wysokości zadania. Kiedy oddalaliśmy się od północnego wybrzeża Gardiner Island, przypomniałem sobie średniowieczną regułę, wedle której ziemia stanowi najlepszą gwarancję bezpieczeństwa i pomyślności i nigdy nie powinno się jej sprzedawać ani dzielić. Jednak jeśli nawet była to prawda, to tylko jako pewien ideał, a nie zasada praktyczna. Mimo to zazdrościłem Szesnastemu Lordowi.

Po opłynięciu Orient Point zrefowaliśmy żagle, "Paumanok" wszedł w dryf, a my rozpakowaliśmy w końcu sprzęt wędkarski. Susan, Carolyn i ja zamierzaliśmy łowić makrele, używając jako przynęty śledzi, których całą puszkę zabraliśmy specjalnie w tym celu. Szalony Edward zaopatrzył się jednak w o wiele większe wędzisko, a także kołowrotek ze stufuntową linką i postanowił złapać rekina.

–Złowię wielkiego białego żarłacza – oznajmił wszem i wobec.

–Uważaj, żeby żarłacz nie złowił ciebie – odparła wydymając wargi Carolyn.

W charakterze przynęty Edward trzymał w lodówce całego kurczaka. Przymocował go teraz do wielkiego haka miedzianym drutem i wrzucił linkę do wody. Rozpierał go dawny entuzjizm.

Sześć makreli, które złowiliśmy, wrzuciliśmy do kubła ze słoną wodą, gdzie czekały, aż oprawi je kapitan. A na linkę Edwarda rzeczywiście złapał się rekin, ostronos. Gatunek ten najczęściej pojawia się w tych wodach w lipcu. Po śladzie, jaki zostawiał na wodzie, i po kącie, pod którym wyginało się wędzisko, mogłem poznać, że waży około dwustu funtów.

–Mam go! Mam go! Połknął przynętę! – krzyczał uszczęśliwiony Edward.

"Paumanok" nie ma specjalnego fotela, który jest niezbędny, jeśli chce się złowić rybę tej wielkości, ale Edward walczył z ostronosem w pozycji klęczącej, zapierając się kolanami o nadburcie. Rekin miał w sobie dość siły, by ciągnąć za sobą łódź, a nawet powodować przechył za każdym razem, kiedy Edward blokował kołowrotek. Edwardowi skończyła się wreszcie linka, dosłownie i w przenośni, i był tak wyczerpany, że ledwo się odzywał. Ryba tymczasem miała w sobie jeszcze wiele wigoru.

Przypomniałem sobie podobne wydarzenie, którego bohaterami byłem ja sam, mój ojciec i błękitny żarłacz. Nie dałem wtedy nikomu zastąpić się przy wędzisku ani przeciąć linki, żeby zakończyć nierówną walkę. W rezultacie po godzinie ręce i ramiona zdrętwiały mi z wysiłku i straciłem nie tylko rekina, ale także kosztowną wędkę i kołowrotek.

To, co teraz oglądałem, stanowiło coś w rodzaju bolesnego deja vu.

Z łodzi żaglowej trudno jest walczyć z rekinem i kilka razy wydawało mi się, że przy kolejnym przechyle Edward wyleci za burtę.

–Puść go – zasugerowałem w końcu po blisko godzinie.

–Nie.

–Więc pozwól mi zastąpić cię przez chwilę.

–Nie!

Carolyn i Susan przestały łowić makrele i w milczeniu obserwowały Edwarda, który



**nie miał oczywiście zamiaru poddać się w obecności kobiet, podobnie zresztą jak i mojej. Próbowałem wymyślić dla niego jakiś honorowy sposób wyjścia z sytuacji, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Cóż, w gruncie rzeczy nie był to mój kłopot.**

Carolyn wylała na Edwarda wiadro słodkiej wody, a potem owinęła mokrym ręcznikiem jego głowę i ramiona. Susan przytykała mu do ust puszkę z colą. Wypił trzy duszkiem.

Widziałem, że mój syn nie jest w najlepszej formie. Skóra poczerwieniała mu od słońca, miał szklane, zamglone oczy, oblizywał wargi i bałem się, że za chwilę zemdleje z wyczerpania i przegrzania. Objął szczelnie rękoma i nogami wędkę i nie wydawało mi się, żeby rekin mógł mu ją wyrwać – bardziej realne było niebezpieczeństwo, że przy którymś mocniejszym szarpnięciu pociągnie go za sobą.

Zdałem sobie sprawę, że wolę, żeby zemdłał, żeby pękła linka, a nawet, żeby wpadł do wody – byle tylko się nie poddał.

–Puść go, Edwardzie. Puść go – prosiła Carolyn.

Nie mógł już mówić i tylko potrząsnął głową.

Nie bardzo wyobrażałem sobie, w jaki sposób się to wszystko zakończy, ale w końcu Susan wzięła sprawy w swoje ręce i przecięła linkę nożem.

Przez jakąś minutę Edward nie bardzo zdawał sobie sprawę, co się stało, a potem rozciągnął się jak długi na pokładzie i rozplakał się.

Musieliśmy znieść go na dół. Ułożyliśmy go w koi i obłożyliśmy mokrymi ręcznikami. Minęła godzina, zanim mógł poruszyć ręką albo nogą.

Postawiliśmy żagle i popłynęliśmy do domu. Przez jakiś czas Edward zachowywał ponure milczenie.

–Dziękuję, że pomogliście mi się jakoś z tego wykaraskać – oznajmił w końcu.

–Powinniśmy cisnąć cię na żer rekinowi – odparła Carolyn.

–Rekinowi? Jakiemu rekinowi? – zapytałem. – Wydawało mi się, że przez cały czas walczył ze zdechłym kurczakiem.

Susan uśmiechnęła się i objęła ramieniem swego syna.

–Jesteś tak samo uparty i nieznośny jak twój ojciec.

–Dziękuję – powtórzył Edward.

Zawinęliśmy do "The Seawanhaka Corinthian" w poniedziałek późnym popołudniem,

**opalen i wyczerpani. Wspólne żeglowanie stanowi rodzaj papierka lakmusowego w stosunkach międzyludzkich. Ciągłe przebywanie ze sobą i bezmiar rozciągającego**

się wokół morza skłaniają albo do zacieśnienia wzajemnych więzów, albo do buntu i szaleństwa. Kiedy cumowaliśmy "Paumanoka" przy nabrzeżu, Sutterowie uśmiechali się do siebie; magia morza kolejny raz dokonała cudu.

Ale nie można spędzić na morzu całego życia, a na bezludnych wyspach brak na ogół wyposażenia pozwalającego bezpiecznie wyciąć wyrostek robaczkowy. Zostawiamy więc nasze łodzie przy brzegu i podłączamy się do podtrzymujących życiowe funkcje elektronicznych systemów, których szum zagłusza ogarniającą nas desperację.

Zdawałem sobie sprawę, że łączące Sutterów, odnowione podczas rejsu na "Paumanoku" więzi, choć pod wieloma względami trwałe, mają jednak jedną poważną skazę lub jeśli wolicie, pęknięcie: biegnie ono między mężem i żoną. Oczywiście dzieci nie trzymały nas razem, w jakiś jednak sposób popychały ku sobie, przynajmniej kiedy przebywały w domu. I wieczorem tego samego dnia siedząc w swoim gabinecie, uświadomiłem sobie, że chcę, aby to lato już się skończyło; chciałem, żeby Carolyn i Edward znaleźli się z powrotem w szkole – bym mógł wreszcie rozmówić się z Susan, mógł się z nią połączyć albo rozstać.

W piątek pojechaliśmy całą czwórką do Hamptons, gdzie udałem się do biura sprzedaży nieruchomości i wystawiłem nasz dom na sprzedaż – jeszcze tego lata. Właściwie lato trwało już od kilku tygodni i oskubano już na tę okoliczność większość frajerów z Manhattanu, który to fakt w połączeniu z niepewną sytuacją na giełdzie, wysokimi opłatami hipotecznymi i jakimiś bzdurnymi przepisami dotyczącymi podatku dochodowego, sprawił, że ceny letnich domów nie stały najlepiej. Zażądałem niemniej równo pół miliona, co pośrednik zapisał naturalnie jako 499 900 dolarów.

–Nie – zaprotestowałem – powiedziałem panu pół miliona.

–Ale...

–Nie szukam głupich nabywców. Proszę zapisać to tak, jak powiedziałem. – Co też uczynił. Nawet gdybym dostał te pół miliona, nie zostałoby mi wiele po spłaceniu hipoteki, prowizji za sprzedaż, honorarium Melzera, haraczu wyznaczonego przez IRS oraz naturalnie nowego podatku od wzbogacenia. Boże, jakie to wszystko przygnębiające. Ale jeszcze bardziej przygnębiało mnie to, że lubiłem ten dom i że była to jedyna na świecie trwała rzecz, jaką posiadałem.

Całe piątkowe popołudnie spędziliśmy pod gontowym dachem naszego amerykańskiego domostwa, pakując nieliczne osobiste rzeczy, których nie chcieliśmy zostawiać na widoku, kiedy pośrednik będzie oprowadzać po domu

ewentualnych klientów. Wszyscy byli jacyś milczący – przypuszczam, że powoli docierała do nas rzeczywistość.

Elementem tej samej rzeczywistości – jeśli przypadkiem nie przyszło wam to do głowy – był fakt, iż Susan miała właściwie dość pieniędzy, żeby spłacić nasze należności. Nie wiem dokładnie, ile forsy ma ta kobieta (jestem tylko jej mężem i doradcą podatkowym), ale wysokość jej konta oceniam na jakieś sześćset tysięcy dolarów, które skromnie licząc przynoszą jej rocznie około pięćdziesięciu tysięcy kieszonkowego.

Nie wydaje aż tyle i prawdopodobnie kupuje za te pieniądze kolejne akcje, obligacje i inne papiery wartościowe. Ale zwracanie się do spadkobierczyni starej fortuny z prośbą o naruszenie kapitału przypomina flirt z zakonnica.

Nie sądzę także, by Susan lubiła Hamptons i nasz tamtejszy dom w tym samym stopniu co ja. Różne są przyczyny tego stanu rzeczy, ale najważniejsza, jak sądzę (Susan słabo ją sobie uświadamia), jest natury psychologicznej i wynika z tego, iż nie wie ona dokładnie, do kogo należy która część budynku. Po zrobieniu porządków kupiliśmy coś do jedzenia i zasiedliśmy na ganku, żeby się czegoś napić.

–Czy moglibyśmy tu przyjechać na kilka tygodni, jeśli nikt nie kupi domu do czasu, kiedy wrócę z Florydy? – zapytał Edward.

–Jeśli tylko znajdę chwilę czasu – odparłem.

–Tato, przecież zawsze w sierpniu bierzesz urlop – stwierdziła Carolyn.

–Tak, ponieważ spłatę podatków zawsze można odłożyć o miesiąc, chociaż, podobnie jak przed śmiercią, nikt się przed nią nie wywinie. W tym roku mam jednak klienta z poważniejszymi niż podatki problemami i muszę trzymać rękę na pulsie. Ale zobaczymy.

Oboje jęknęli, ponieważ w ustach ojca "zobaczymy" oznacza na ogół odpowiedź odmowną.

–Mówię serio – wyjaśniłem. – Zobaczymy, co się wydarzy.

Jeśli nie sprzedamy domu, możecie tu przyjechać sami. Być może będzie miała ochotę dołączyć do was matka.

**–Zobaczymy – powiedziała Susan.**

**I ten właśnie zwrot wydawał się najlepiej oddawać moment, w jakim się znaleźliśmy, przyszłość bowiem stała pod znakiem zapytania i w każdej chwili mogła się zmienić – bez uprzedzenia.**

**O siódmej wieczorem klan Sutterów udał się w krótką podróż do Southampton, żeby zgodnie z tradycją odwiedzić babcię i dziadka, których nasz przyjazd uradował do tego stopnia, że uścisnęli nam dłonie. Moi rodzice są właścicielami jednego z tych zbudowanych ze szkła i cedru cudów nowoczesności, które zaopatrzone we wszystkie udogodnienia, jakie oferuje u schyłku wieku amerykańska cywilizacja. Cały właściwie dom podłączony jest do komputera i naszpikowany przeróżnymi czujnikami, które w zależności od położenia słońca zasuwają i rozsuwają żaluzje, podlewają, jeśli zajdzie taka potrzeba, trawnik, gaszą światło, jeśli w pokoju nie ma nikogo dłużej niż pięć minut etc., etc. Nie ma tu jednak czujników wykrywających urynę i trzeba niestety własnoręcznie spuszczać po sobie wodę.**

**Moja matka z miejsca oświadczyła, że zamiast siedzieć w domu i popijać drinka woli od razu pójść do restauracji. Odwróciliśmy się zatem na pięcie i wyruszyliśmy oddzielnymi samochodami do centrum Southampton, gdzie spotkaliśmy się przy Job's Lane, czyli Alei Hioba.**

**To całkiem interesująca uliczka, jedna z najstarszych w Ameryce – pierwsze wzmianki na jej temat pochodzą z roku 1640, żadna jednak ze stojących przy niej dzisiaj budowli nie pochodzi z tamtej epoki.**

**Skoro już mowa o Hiobie i wszystkich klęskach, którymi Bóg nawiedził tego nieszczęśnika, to trzeba wam wiedzieć, że żadna z nich – powtarzam, żadna – nie może się równać z męką, jaką stanowi obiad spożyty w towarzystwie Josepha i Harriet Sutterów.**

**No, może trochę przesadzam. Ale powiem tak: bywają chwile, kiedy wolałbym zamknięty w lochu odżywiać się robakami, aniżeli przebywać w restauracji razem z moimi rodzicami.**

**Tak czy inaczej, mieliśmy zarezerwowany stolik w modnym, nowym lokalu o nazwie "Buddy's Hole". W Hamptons, im banalniejsza (jak na przykład "Sammy's Pizza" czy "Billy's Burgers") albo bardziej obmierzła (jak na przykład "Buddy's Hole") jest nazwa, tym bardziej**

pretensjonalny okazuje się lokal. Moi rodzice, zawsze w awangardzie, z dużym samozaparciem wyszukują te okropne miejsca, tłumnie nawiedzane przez amerykańskich grafomanów (a trzeba przyznać, że bardzo trudno odróżnić ich od prawdziwych twórców), byłych aktorów i niedoszłych artystów oraz wszelkiej maści europejską hołotę, która przy płynęła tu chyba wpływ, żeby naciągnąć na darmowy obiad jakiegoś milionera.

Ja osobiście, rzecz dziwna, wolę staroświeckie, pogrążone w półmroku, cywilizowane restauracje, gdzie nad głową nie wisi człowiekowi asparagus, a w karcie można znaleźć potrawy określane mianem ancienne cuisine: tłustą kaczkę z Long Island, a na deser owoce kiwi.

Przygotowani na najgorsze, daliśmy się zaprowadzić do miłego, pozbawionego obrusu stolika na dwie osoby, przy którym stało sześć krzesel. Na podłodze pod stolikiem siedział tłusty kocur, stanowiący zapewne specjalną atrakcję, wiedziałem jednak, że miejscowi restauratorzy wymieniają między sobą te czworonogi podobnie jak wiszące rośliny. Tego samego spasionego tygrysa oglądałem już przedtem w czterech innych restauracjach. Jak się być może domyśliliście, kiedy znajdę się w jednym z tych modnych lokali, byle co wyprowadza mnie z równowagi. Wyjaśnia to w pewnym stopniu dalszy bieg wypadków.

Hałas panujący na sali – jeśli wolno mi jeszcze trochę ponarzekać – przypominał ścieżkę dźwiękową z filmu Katastrofa "Posejdona", w chwili gdy statek przewraca się do góry dnem, co się zaś tyczy klimatyzacji, jej projektanci nie uwzględnili najwyraźniej faktu, że w lokalu mogą znajdować się ludzie.

Zamówiliśmy drinki u emanującej przyjaźnią do całego świata drobnej studentki, która nie zdawała sobie najwidoczniej sprawy, że trafiła na wyjątkowych ponuraków.

Mój ojciec wzniosł niczym patriarcha swój kielich, żeby zaproponować jakiś toast, i wszyscy poszliśmy w jego ślady, niestety, okazało się, że chciał tylko sprawdzić, czy nie ma na nim plam po zmywaniu, a ponieważ je znalazł, wezwał kelnerkę i udzielił jej reprymendy.

Plamy na kieliszkach tak ją zafascynowały, że zacząłem podejrzewać, że wzięła jakieś prochy.

Po przyniesieniu nowych drinków tato ponownie zbadał kieliszek, po czym postawił go na stole. Uznałem w związku z tym, że to ja powinienem wnieść toast.

**–Za nasze spotkanie – powiedziałem – i za spokojne, zdrowe i wypełnione miłością lato.**

**Trąciliśmy się kieliszkami i wypiliśmy. Złośliwa, wisząca za moimi plecami paproć próbowała owinać mi się wokół szyi, urwałem więc kilka pędów i cisnąłem na podłogę tam, gdzie ocierał mi się o nogę wynajęty kocur. Miałem właśnie zamiar kopnąć włochatą bestię, tak żeby przeleciała przez całą salę, kiedy naćpana najprawdopodobniej quaaludami studentka upuściła tacę z jedzeniem i kot, który niczym psy Pawłowa wiedział, że ten odgłos oznacza żarcie, wystrzelił jak pocisk w tamtą stronę.**

**–Mam zamiar polecić to miejsce Lesterowi i Judy – powiedziałem Susan.**

**Nie bacząc na przeciwności losu, zamieniliśmy kilka zdań, choć moi rodzice rzadko wdają się w luźną pogawędkę. Nie obchodzi ich to, co wydarzyło się w rodzinie, nie chcą słyszeć niczego o Lattingtown, Locust Valley i o firmie prawniczej, a wnuczętami interesują się w tym samym stopniu co dziećmi, to znaczy mają je w nosie.**

**Tak czy inaczej postanowiłem spróbować.**

**–Mieliście ostatnio jakąś wiadomość od Emily? – zapytałem.**

**Nie widziałem swojej siostry od Wielkanocy, ale w maju napisała do mnie list.**

**–Dostaliśmy list – odparł ojciec.**

**–Jak dawno?**

**–W zeszłym miesiącu.**

**–Co pisała?**

**–Wszystko u niej w porządku – przejęła piłeczkę matka.**

**–Carolyn wybiera się w przyszłym tygodniu na Kubę – oświadczyła Susan.**

**Moją matkę wiadomość ta autentycznie zainteresowała.**

**–Brawo, Carolyn. Władze nie mają prawa cię zatrzymać.**

**–Właściwie musimy najpierw lecieć do Meksyku. Nie można się tam dostać bezpośrednio.**



**-To okropne.**

**-Ja jadę na Florydę – powiedział Edward.**

**Matka spojrzała na niego.**

**-To wspaniale – oświadczyła.**

**-Baw się dobrze – dodał mój ojciec.**

Rozgadaliśmy się jak rzadko, spróbowałem więc dla odmiany czegoś nowego.

–Edward chciałby spędzić" tutaj trochę czasu w sierpniu – powiedziałem. – Gdybyście przypadkiem wyjeżdżali, mógłby zaopiekować się domem.

–Kiedy wyjeżdżamy, domem opiekuje się specjalna pokojówka -poinformował mnie ojciec. Żadne z nich nie zapytało, dlaczego Edward nie może zatrzymać się w naszym domu w East Hampton. Mimo to pospieszyłem z wyjaśnieniem.

–Sprzedajemy nasz dom – oznajmiłem.

–Ceny trochę ostatnio spadły – poinformował mnie ojciec.

–Sprzedajemy, bo mam kłopoty podatkowe.

Odparł, że przykro mu to słyszeć, ale widziałem, że dziwi się, jakim cudem ekspert od podatków mógł dać się tak głupio złapać. Wyjaśniłem więc w skrócie, w czym rzecz, mając nadzieję, że stary lis podrzuci mi jakiś dobry pomysł.

–Mówiłem, że dobiorą ci się jeszcze kiedyś do skóry – oświadczył wysłuchawszy tego, co miałem do powiedzenia.

Kochany staruszek.

–Wiecie, kto jest naszym najbliższym sąsiadem? – zapytała Carolyn.

–Tak, słyszeliśmy o tym na Wielkanoc – odparł mój ojciec.

–Trochę się z nimi zaprzyjaźniliśmy – powiedziałem.

Moja matka spojrzała znad menu.

–Przyrządza wprost fantastyczny sos do spaghetti – oświadczyła.

–Skąd wiesz?

–Jadłam je, John.

–Byliście na obiedzie u Bellarosów?

–Nie. A gdzie to jest?

Najwyraźniej nie zwracałem należytej uwagi na to, o czym mówimy.

**–Bazylię hoduje na małej farmie w North Sea – ciągnęła dalej moja matka. – Zbiera ją codziennie o siódmej wieczorem.**

**–Kto?**

**–Buddy Bear\*. Właściciel. To Shinnecock, ale gotuje jak rodowity Włoch.**

**Ang. bear – niedźwiedź.**

**–Właściciel jest Indianinem?**

**–Rdzennym Amerykaninem, John. Shinnecockiem. Dziesięć procent od każdego rachunku idzie bezpośrednio na utrzymanie rezerwatu. Uroczy z niego człowiek. Postaramy się później z nim porozmawiać.**

**Zamówiłem kolejny podwójny dżin z tonikiem.**

**I tak mijał nam czas, przy czym moi rodzice nie zapytali ani razu o rodziców Susan, o żadnego pracownika biura w Locust Valley i na Manhattanie, o Allardów, ani w gruncie rzeczy o nikogo. A skoro już o tym mowa, szczególnie pilnowali się, żeby nie zapytać Carolyn albo Edwarda o to, jak im się wiedzie w szkole. Istnieje, jak odkryłem, pewien specjalny rodzaj osób, które obdarzając wielką miłością całą ludzkość, nie lubią, jak moi rodzice, jej pojedynczych przedstawicieli.**

**Moja matka lubiła jednak Buddy'ego Beara.**

**–Musicie z nim koniecznie porozmawiać – nalegała.**

**–Dobrze. Gdzie można go spotkać? – odparłem łaskawie.**

**–W piątki jest przeważnie tutaj.**

**–Może jest na naradzie szczepu – odezwał się Edward.**

**Moja matka rzuciła mu bardzo chłodne spojrzenie.**

**–Musimy zamówić te jego grzyby – zakomunikowała ojcu. – Zbiera własnoręcznie grzyby do swoich potraw – poinformowała mnie i Susan. – Wie, gdzie rosną, ale nikomu nigdy nie zdradza tej tajemnicy.**

**Byłem całkowicie pewien, że Buddy Bear, podobnie jak każdy zdrowy na umyśle restaurator zaopatruje się w grzyby u hurtownika, wciskając zarazem kit każdemu frajerowi, który ma ochotę go słuchać.**

**Mój Boże, wolałbym chyba jeść obiad w towarzystwie Franka Bellarosy.**

**Mojej matce najwyraźniej nie dawał spokoju fakt, że dotąd nie pojawił się właściciel, i nagabywała w tej sprawie kelnerkę.**

**–Och, wiecie, on, jak by tu powiedzieć, jest naprawdę zajęty – twierdziła zapytana. – On, jak by tu powiedzieć, przyrządza potrawy.**

**Wiecie? Chce pani z nim porozmawiać, czy co?**

**–Kiedy będzie miał wolną chwilę – odparła moja matka.**

**Jak by tu powiedzieć, kogo to obchodzi? Wiecie?**

**Na sugestię, a właściwie wyraźne życzenie mojej matki zamówiłem trochę, przypominającego anielskie włosy, specjału, do którego przy rządzeniu pan Bear użył ponoć trzech własnoręcznie zebranych w okolicy składników: bazylii, grzybów i naprawdę okropnego indiańskiego szczawiu, który przypominał w smaku spleśniałe siano.**

**Nie mówiliśmy wiele przy obiedzie, ale kiedy uprzątnięto talerze, matka odezwała się do ojca.**

**–Zjemy indiański pudding – powiedziała, po czym zwróciła się do nas. – Buddy robi autentyczny indiański pudding. Musicie go spróbować.**

**Spałaszowaliśmy więc sześć autentycznych indiańskich – a może powinienem raczej powiedzieć rdzennie amerykańskich – puddingów, które, mógłbym przysiąc, pochodziły prosto z puszki. Ale ja popiłem swój kielichem brandy, więc w zasadzie było mi wszystko jedno.**

**Podano rachunek, który zgodnie ze swym zwyczajem uregulował mój ojciec. Spieszyło mi się do wyjścia, ale traf chciał, że na sali pojawił się wielki Indianin i musieliśmy zaczekać, aż zbliży się do naszego stolika.**

**–W zeszłym tygodniu na hak Edwarda zaczepił się ostronos.**

**Ważył według mnie około dwustu funtów – poinformowałem ojca, żeby wypełnić czymś milczenie.**

**–Niedaleko Montauk ktoś złapał dwa tygodnie temu białego żarłacza. Miał piętnaście stóp długości. – Odpowiedź skierowana była wyraźnie nie do Edwarda, lecz do mnie.**

**–Nie mam nic przeciwko, kiedy się je zjada, ale łowienie rekinów dla czystego sportu jest po prostu niedopuszczalne – oświadczyła moja matka.**

**–Zgadza się – powiedziałem. – Człowiek powinien zjeść wszystko, co złowił, chyba że jest to absolutnie niejadalne. Ostronos jest wyborny. Edward walczył z nim przez całą godzinę.**

**–Nie podoba mi się także – ciągnęła dalej matka – kiedy wypuszcza się zranione zwierzę. To nieludzkie. Trzeba dołożyć wszelkich starań, aby je złowić i zakończyć jego mękę.**

**–A następnie zjeść – przypomniałem jej.**

**–Tak, zjeść. Kiedy Buddy złowi rekina, podaje go swoim gościom.**

**Spojrzałem na Edwarda, a potem na Susan i Carolyn. Wziąłem głęboki oddech.**

**–Pamiętasz, tato, jak walczyłem z tym błękitnym...**

**–Słucham?**

–Nieważne.

W końcu pojawił się przy naszym stoliku pan Bear. Był raczej tęgi i w gruncie rzeczy nic, z wyjątkiem długich czarnych włosów nie czyniło go podobnym do Indianina. Jeśli w ogóle należał do jakiejś rasy, to do białej; w jego żyłach płynęło być może kilka kropel indiańskiej bądź murzyńskiej krwi, ale przede wszystkim odznaczał się wspaniale rozwiniętym zmysłem autoreklamy. Matka chwyciła go za lewą rękę, prawą pozostawiając wolną na wypadek, gdybyśmy chcieli ją uścisnąć.

–No i jak? – zapytał Buddy Bear. – Wszystko smakowało?

Matka wylała z siebie strumień pochwał, zachwycając się jednym z najpodlejszych posiłków, jakie w życiu zjadłem.

Mizdrzyliśmy się tak przez minutę albo dwie, przy czym moja matka wciąż trzymała za łapę pana Beara, ale niestety, ostatni z Shinnecocków musiał ruszać dalej, nie przedtem jednak, zanim nie usłyszał, jaka czeka go niespodzianka.

–Któregoś ranka – powiadomiła go figlarnie matka – mam zamiar śledzić pana i odkryć, gdzie pan zbiera te swoje grzyby.

Uśmiechnął się półgębkiem.

–Czy podaje pan szczaw codziennie, czy tylko kiedy skosi pan swój trawnik? – zapytałem go.

Tym razem jego uśmiech nie był już tak enigmatyczny. "Odpierdol się", mówiły jego wykrzywione usta.

Edward usiłował bezskutecznie stłumić wybuch śmiechu.

Tym optymistycznym akcentem zakończyliśmy wizytę w "Buddy's Hole". Na progu powitała nas chłodna wieczorna bryza.

–Zaprosilibyśmy was wszystkich do siebie, ale mamy jutro ciężki dzień – oświadczyła na chodniku Job's Lane moja matka.

–Nie łączy nas prawie nic wspólnego – zwróciłem się na to do swoich rodziców – i nigdy nie łączyło, w związku z czym, jeśli się ze mną zgodzicie, chciałbym położyć kres tym naszym bezsensownym obiadom.

–Jak możesz mówić takie straszne rzeczy! – oburzyła się matka.

**Ale ojciec posmutniał nagle.**

**–W porządku – wymamrotał.**



–Nie będziesz tego żałować? – zapytała mnie w samochodzie Susan, kiedy wracaliśmy do East Hampton.

–Nie.

–Mówiłeś serio? – zapytała z tylnego siedzenia Carolyn.

–Tak.

–Trochę mi ich żal – powiedział Edward.

Edward nie kocha całej ludzkości, ale lubi ludzi i wszystkim współczuje. Carolyn nie współczuje nikomu, Susan nie wie, co to jest współczucie, a ja... cóż, ja czasami współczuję samemu sobie. Ale pracuję nad tym.

W gruncie rzeczy mówienie ludziom tego, co się o nich myśli, nie jest wcale trudne, ponieważ sami o tym od dawna wiedzą. Dziwią się może tylko, że nie usłyszeli tego od nas wcześniej.

Wiedziałem również, że zerwanie stosunków z moimi rodzicami stanowi odpowiedni wstęp do położenia kresu innym krępującym mnie związkom. Sądzę, że Susan, która nie jest wcale głupia, także zdawała sobie z tego sprawę.

–Dowiedziałam się od Judy Remsen – oznajmiła – że kazałeś Lesterowi, żeby się od ciebie od... Czy masz jeszcze kogoś na swojej liście?

Znany z szybkiego refleksu, wyciągnąłem z kieszeni kwit za benzynę i trzymając jedną ręką kierownicę, udałem, że go czytam.

–Zobaczmy, kogo tutaj jeszcze mamy... zostało dziewięć nazwisk.

Jutro zadzwonię do twoich rodziców, więc zostanie tylko siedem.

Nic nie odpowiedziała, ponieważ były przy nas dzieci.

W poniedziałek wróciliśmy do Stanhope Hall i przez kilka następnych dni w domu panował ożywiony ruch, bez przerwy wchodzili doń bowiem i wychodzili koledzy i koleżanki naszych dzieci. Właściwie lubię, kiedy w czasie ferii kręci się po domu młodzież, byle tylko nie było jej zbyt dużo. Obecność młodych w czasie Bożego Narodzenia, Wielkanocy, a zwłaszcza Dnia Dziękczynienia potęguje świąteczny nastrój, a mnie przypomina czasy, kiedy sam przyjeżdżałem z internatu do domu.

Jedno trzeba przyznać dzieciom ludzi bogatych i uprzywilejowanych – są grzeczne.

**Wcześnie uczy się ich dobrych manier i tego, w jaki sposób dyskutować z dorosłymi. Wcześnie też, choć niezbyt chętnie, dowiadują się, jak robić rzeczy, na które nie mają bynajmniej**

**7 – Złote Wybrzeże t. II ochoty. W przyszłości osiągną sukces i wyrosną na nieszczęśliwych dorosłych.**

**Carolyn i Edward zarezerwowali oczywiście loty w różne dni i oznaczało to, że będę musiał dwukrotnie wybrać się na lotnisko Kennedy'ego w godzinach szczytu. W takich właśnie momentach żałuję, że nie mamy szofera. Moglibyśmy oczywiście zapakować dzieci do wynajętych limuzyn, ale po tym, jak kazałem iść do diabła własnym rodzicom, miały mną trochę sprzeczne uczucia...**

**Po wyjeździe dzieci w domu zapanowała cisza i przez kilka dni lało jak z cebra. Pojechałem do kancelarii w Locust Valley, żeby wypełnić czymś czas, ale nie zdziałłem tam wiele – tyle tylko, że znalazłem dokumenty, których potrzebowałem do sprzedaży domu w East Hampton. Cały dzień spędziłem sumując wydatki, które poniosłem na jego utrzymanie, po to żeby dokładnie obliczyć osiągnięty przy sprzedaży zysk. Mogłem oczywiście, podobnie jak przedtem, przeznaczyć pieniądze na kupno kolejnego domu i nie płacić dzięki temu podatku od wzbogacenia, ale wiedziałem, że w najbliższej przyszłości, a być może nawet nigdy, nie będę kupował żadnej nieruchomości. Do tego wniosku, który, muszę przyznać, boleśnie mnie ugodził, doszedłem na podstawie dość prostych obliczeń.**

**Fakt, że w przyszłości nie będę miał własnego dachu nad głową, nie wynikał zresztą wyłącznie z przyczyn finansowych; w ciągu najbliższych dwu lat mogło mi się jeszcze całkiem nieźle powodzić. W większym stopniu wynikało to, jak sądzę, z podjętej przeze mnie decyzji, by w ogóle nie robić żadnych długoterminowych planów. Nasze życie oparte jest dzisiaj na dającej się rozsądnie przewidzieć przyszłości; spłacamy rozłożony na trzydzieści lat dług hipoteczny, odkładamy pieniądze na specjalnych siedmioletnich kontach depozytowych, obliczamy, jaką będziemy otrzymywać emeryturę – wszystko po to, by móc potem leżeć do góry brzuchem. Ostatnie wypadki przekonały mnie jednak, że nie jestem w stanie ani przewidzieć, ani zaplanować tego, co przyniesie przyszłość. Skoro tak, to do diabła z przyszłością. Kiedy tam się znajdę, i tak będę wiedział, co robić; nigdy nie czułem się zagubiony za granicą.**

**Więc dlaczego miałbym się czuć nieswojo, kiedy znajdę się w przyszłości?**

**Z przeszłością sprawa wyglądała inaczej. Nie sposób jej zmienić, ale można z nią zerwać i odwrócić się plecami – do niej i do zapelniających ją ludzi. A ja, jeśli się nie mylę, zamierzałem unosić się odtąd na wodach nigdy nie kończącej się teraźniejszości. Chciałem**

niczym kapitan "Paumanoka" stawiać czoło zagrożeniom chwili, wiedząc, jaką zajmuję aktualnie pozycję i dokąd zmierzam, ale w gruncie rzeczy mało dbając o kurs. Miały go wyznaczać zmieniające się z minuty na minutę podmuchy wiatru, prądy i to, co zobaczę na horyzoncie.

Zbierałem się do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. Zamiast użyć wewnętrznej linii, moja sekretarka, Annę, osobiście pofatygowała się do gabinetu.

–Panie Sutter, wiem, że nie ma pana dla nikogo, ale dzwoni pański ojciec.

Siedziałem przez chwilę w milczeniu i sam nie wiem, dlaczego przed oczyma stanął mi ów wieczór w porcie sprzed czterdziestu lat, kiedy staliśmy na łodzi, on i ja; ujrzałem w zbliżeniu, jak trzyma mnie za rękę, a potem moja dłoń wyslizguje się z jego dłoni. Kiedy poszukałem jej znowu, ojciec odsunął się na bok i rozmawiał z kimś innym – chyba z moją matką.

–Panie Sutter?

–Przeznacz mu, że nie chcę z nim rozmawiać – powiedziałem.

Nie wydawała się wcale zdziwiona, skinęła tylko głową i wyszła.

Obserwowałem zielone światełko na moim telefonie; po kilku sekundach zgasło.

Z biura pojechałem prosto do jachtklubu, siadłem w kabinie łodzi i przysłuchiwałem się kąpiącym o pokład kroplom deszczu. W taką noc człowiek nie wypływa dobrowolnie w morze, choć uczyniłby to, gdyby musiał; poradziłby sobie także, gdyby zniecka zaskoczyły go huragan i deszcz. Bywają sztormy, które stanowią większe wyzwanie; niektóre grożą nieuniknioną katastrofą. A niektóre załamania pogody oznaczają po prostu śmierć.

Morze udziela pewnych elementarnych lekcji, które w większości dotyczą tego, jak przetrwać. Ludzie mają jednak skłonność do zapominania o nich albo nie potrafią w odpowiednich okolicznościach tej wiedzy zastosować. I dlatego na ogół wpadają w tarapaty.

Możemy być kapitanami własnego losu, pomyślałem, ale nie jego panami. Trochę inaczej ujął to stary instruktor żeglarski, który uczył mnie, kiedy byłem chłopcem: "Bóg zsyła ci dobrą albo złą pogodę – powiedział. – To, co z nią zrobisz i co ona zrobi z tobą, zależy od tego, jakim jesteś żeglarzem." I to by było mniej więcej tyle.

Rozdział 22 Piątkowy ranek wstał jasny i bezchmurny.

Susan wybrała się na przejażdżkę, zanim zdążyłem się ubrać.

Skończyła już malować palmiarnię i czekało nas niebawem uroczyste odsłonięcie obrazu – musiała tylko znaleźć odpowiednią ramę, a Anna odpowiednie miejsce, żeby go zawiesić. Nie mogłem się wprost doczekać.

Popijałem właśnie trzecią filiżankę kawy, zastanawiając się, co począć z tak mile zapowiadającym się dniem, kiedy zadzwonił telefon.

Odebrałem w kuchni. Telefonował Frank Bellarosa.

–Co słyhać? – zapytał.

–Ekspres do kawy. – Że co?

–Słyhać ekspres do kawy. A u ciebie?

–Chciałem cię o coś zapytać. Gdzie jest tutaj jakaś plaża?

–Mamy tutaj setki mil plaż. O jaką konkretnie ci chodzi?

–Jest takie miejsce, gdzie kończy się szosa. Postawili tam zakaz wejścia. Mnie to też obowiązuje?

–To Fox Point, własność prywatna, ale wszyscy mieszkańcy Grace Lane korzystają z tej plaży. Nikt tam już nie mieszka, ale zawarliśmy pakt z właścicielami.

–Co zawarliście?

–Umowę. Możesz korzystać z tej plaży.

–To dobrze, bo już tam raz kiedyś byłem. Nie chciałbym, żeby ktoś pomyślał, że wchodzę bezprawnie na czyjś teren.

–Oczywiście, że byś nie chciał. – Robił sobie kpiny czy co? – To by było przekroczenie.

–No właśnie. Nie narusza się prawa na własnym terytorium, no wiesz. Człowiek nie odlewa się na własnej ulicy ani nie pluje na chodnik. Kiedy odwiedzasz na przykład

**Little Italy, musisz przestrzegać pewnych zasad.**

**–Chyba że chcesz zastrzelić kogoś przy obiedzie.**

**–To inna sprawa. Wiesz co, wybierzmy się tam na spacer.**

**–Do Little Italy?**

**–Nie. Do Fox Place.**

**–Fox Point.**

**–No właśnie. Spotkajmy się przy moim ogrodzeniu.**

**–Przy stróżówce?**

**–Tak. Za piętnaście, dwadzieścia minut. Pokażesz mi tę plażę.**

**Doszedłem do wniosku, że ma się zamiar ze mną naradzić i nie chce tego robić przez telefon. Podczas naszych nielicznych rozmów telefonicznych nie mówiliśmy nigdy nic, co sugerowałoby, że mogę być jego adwokatem. Sądzę, że chciał w odpowiednim momencie sprawić małą niespodziankę Alphonse'owi Ferragamo i mass mediom.**

**–W porządku? – zapytał.**

**–W porządku.**

**Odwiesiłem słuchawkę, dopiłem kawę, założyłem dzinsy i dockside'y, upewniłem się, że minęło dwadzieścia minut i dopiero wtedy wyruszyłem do bram Alhambry, co zajęło mi kolejne dziesięć minut.**

**Myślicie może, że ten sukinsyn czekał na mnie przestępując niecierpliwie z nogi na nogę? Bynajmniej. Podszedłem do stróżówki i walnąłem w drzwi. Otworzył mi Anthony Goryl.**

**–Co jest?**

**Za jego plecami dostrzegłem mały pokoik podobny do tego, który zajmowali Allardowie. W saloniku siedział drugi goryl, przypuszczalnie Vinnie, oraz dwie kobiety, które wyglądały jak typowe dziwki – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Lee i Delia. Odniosłem wrażenie, że dwie dziwki i goryl podśmiewają się ze mnie, ale może tak mi się tylko zdawało.**

**–Co jest? – powtórzył swoje pozdrowienie Anthony.**

**Zwróciłem ponownie uwagę na jego osobę.**

**–Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? Że po co tu przychodzę? –**

zapytałem. – Jeśli jestem oczekiwany, masz powiedzieć: "Dzień dobry panu, panie Sutter. Pan Bellarosa oczekuje pana." Nie będziesz do mnie mówił: "Co jest?"  
Capisce?

Zanim Anthony miał czas mnie przeprosić albo zareagować w jakiś inny sposób, w drzwiach pojawił się sam Don Bellarosa. Powiedział coś do Anthony'ego po włosku, po czym wyszedł na zewnątrz i wziął mnie pod ramię.

Miał na sobie swój standardowy strój składający się z blezera, golfu i spodni, w kolorach tym razem kolejno: brązowym, białym i beżowym. Zauważyłem również, że nabył parę przyzwoitych dockside'ów, a na lewym przegubie ma czarny sportowy zegarek marki Porsche, za mniej więcej dwa tysiące dolarów. Facet zaczynał powoli wrastać w nowe środowisko, nie wiedziałem tylko, jak poruszyć temat jego elastycznych skarpetek.

–To nie jest facet, któremu chciałbyś podpaść – powiedział Bellarosa, kiedy zmierzaliśmy Grace Lane w stronę Fox Point.

–Niech lepiej uważa, żeby mi jeszcze raz nie podpaść. – Że co?

–Słuchaj. Jeśli zapraszasz mnie do siebie, chcę, żeby twoi lokaje traktowali mnie z szacunkiem.

Roześmiał się. – Że jak? Taki jesteś czuły na punkcie szacunku? Jesteś Włochem czy co?

Zatrzymałem się.

–Panie Bellarosa, chcę, żeby oznajmił pan swoim zbirom, w tej liczbie pańskiemu durnemu szoferowi Lenny'emu, półgłówkom i dziwkom siedzącym w stróżówce i w ogóle wszystkim innym pańskim pracownikom, że pan John Sutter cieszy się szacunkiem Don Bellarosy.

Przyglądał mi się przez mniej więcej pół minuty, po czym kiwnął głową.

–Dobrze. Ale ty już nigdy nie każesz mi na siebie czekać.

W porządku?

–Postaram się.

Ruszyliśmy dalej Grace Lane i zastanawiałem się, ile osób przygląda nam się ze swoich wież z kości słoniowej.



**–Wpadł do mnie któregoś dnia twój chłopak. Mówił ci? – odezwał się Bellarosa.**

–Tak. Powiedział, że pokazałeś mu posiadłość. Bardzo miło z twojej strony.

–Nie ma sprawy. Sympatyczny dzieciak. Przyjemnie się z nim rozmawiało. Ma głowę na karku, podobnie jak jego stary. Prawda?

I tak samo jak jego stary nie owija niczego w bawełnę. Zapytał mnie, skąd wziąłem pieniądze, żeby to wszystko odbudować.

–Z całą pewnością nie uczyłem go zadawania takich pytań. Mam nadzieję, że powiedziałeś mu, że to nie jego interes.

–Nie. Powiedziałem, że ciężko pracowałem i nie dałem się nikomu wykiwać.

Zanotowałem sobie w pamięci, żeby porozmawiać z Edwardem na temat powabów grzechu i postarać się go przekonać, że zbrodnia nie popłaca. Wskazania, których Frank Bellarosa udzielił swoim dzieciom, nie były prawdopodobnie tak skomplikowane i zawierały się w czterech słowach: nie daj się złapać.

Doszliśmy do końca Grace Lane. Znajdowało się tutaj szerokie rondo, pośrodku którego stała wysoka na mniej więcej osiem stóp poszczerbiona skała. Wedle lokalnej legendy kapitan Kidd, który zakopał ponoć skarb gdzieś na północnym wybrzeżu Long Island, potraktował tę skałę jako punkt orientacyjny swojej mapy. Napomknąłem o tym Bellarosie.

–Czy to dlatego nazywacie tę okolicę Złotym Wybrzeżem? – zapytał.

–Nie, Frank. Nazywamy ją tak, bo mieszkają tutaj sami bogacze.

–No tak. Czy ktoś znalazł ten skarb?

–Nie, ale mogę ci sprzedać mapę.

–Naprawdę? Dam ci za nią moje prawa do mostu Brooklyńskiego.

Myślę, że facet zaczął odczuwać zbawienny wpływ mojego poczucia humoru.

Podeszliśmy do bramy Fox Point, którego stróżówka przypominała miniaturowy zameczek. Cały mur zasłaniały zdziczałe drzewa i krzaki; z Grace Lane nie sposób było zobaczyć ani skrawka posiadłości. Wyjąłem klucz i otworzyłem kłódkę, która zamykała bramę z kutego żelaza.

–Jak się tutaj dostałeś? – zapytałem Bellarosę.

**–Kiedy tu wchodziłem, brama była otwarta. Na plaży widziałem jakichś ludzi. Czy dostanę klucz do kłódki?**

**–Tak. Każę go dla ciebie dorobić.**

Zazwyczaj każdy, kto tutaj wchodzi, zostawia otwartą kłódkę i dzięki temu dostał się poprzednio do środka Bellarosa. Ale było coś w tym człowieku, co kazało mi się zastanowić nad każdą najbardziej trywialną czynnością. Oczyma wyobraźni widziałem podążających za nami zbirów – wynajętych przez niego albo kogoś innego – a nawet śledzącego nas pana Mancuso. Przeskoczenie ogrodzenia nie powinno co prawda sprawić nikomu większej trudności, niemniej jednak, kiedy weszliśmy do środka, zamknąłem z powrotem bramę, wystawiłem rękę przez pręty i zatrzasnąłem kłódkę.

–Jesteś uzbrojony? – zapytałem Bellarosę.

–Czy papież może chodzić bez krzyża?

–Sądzę, że nie.

Ruszyliśmy starą aleją, wysypaną niegdyś tonami pokruszonych muszelek, które po wielu latach prawie całkowicie znikły pod trawą, zielskiem i błotem. Rosnące wzdłuż alei zdziczałe drzewka tulipanowe i mimoza uformowały coś w rodzaju tunelu o szerokości nie większej niż sześć stóp i tak niskiego, że idąc trzeba było się niemal schylać.

Aleja opadała w dół, skręcając łagodnie w stronę wybrzeża. Widziałem w tym tunelu jasną plamę światła, tam gdzie kończyły się drzewa.

Dotarliśmy do punktu, z którego otwierał się wspaniały widok na cieśninę, poczynając od Fox Point na wschodzie po mały bezimienny piaszczysty cypel na zachodzie. W miejscu, gdzie przystanęliśmy, kończyła się gęsta roślinność i od wody dzieliło nas tylko kilka powykręcanych wiatrem drzew, pasmo poprzerastanej trzcina wysokiej trawy i kamienista plaża.

–Bardzo przyjemne miejsce – powiedział Bellarosa.

–Dziękuję – odparłem, dając do zrozumienia, że jest w tym między innymi i moja zasługa.

Ruszyliśmy dalej aleją, wzdłuż której rosły z rzadka karłowate sosny i cedry, aż w końcu ujrzeliśmy ruiny rezydencji. Architektura tego, postawionego we wczesnych latach dwudziestych, gmachu odbiegała od ówczesnych wzorów i można ją raczej porównać z tym, co buduje się obecnie. Wzniesiona ze szkła i mahoniu budowla, zaopatrzona w płaskie dachy, otwarte tarasy i mosiężne balustrady, przypomina trochę luksusowy transatlantyk, od którego jest zresztą tylko niewiele mniejsza. Dwadzieścia lat temu wewnątrz wypalił pożar, ale właściwie nikt nie mieszkał tu już od

lat pięćdziesiątych. Piaszczyste wydmy otoczyły dom i wdarły się do środka ruin,  
które zawsze

przywodziły mi na myśl szkielet jakiegoś przedpotopowego, wyrzuconego przez fale na brzeg, morskiego potwora. Pamiętam, że kiedyś, jeszcze przed pożarem, często przyglądałem się z daleka rezydencji, żeglując łódką po cieśninie, i roiłem sobie, że chciałbym tutaj mieszkać i spoglądać na morze z wysokiego pokładu.

Bellarosa przypatrywał się przez chwilę ruinom, a potem ruszył w stronę plaży. Nawet jak na standardy Złotego Wybrzeża, Fox Point stanowiło kiedyś naprawdę bajeczną rezydencję. Ale w ciągu ostatnich lat sztormy i erozja zniszczyły opadające ku morzu tarasy, domki kąpielowe, przystanie i mola. W całej posiadłości ocalały w nienaruszonym stanie tylko dwie budowle: altanka i pałac rozrywek. Ta pierwsza przycupnęła na porośniętym trawą, nadwerężonym erozją cyplu, gotowa odpłynąć przy następnym sztormie.

–Nie mam u siebie czegoś takiego – stwierdził wskazując ją palcem Bellarosa.

–Zabierz ją, zanim zrobi to morze.

Przyglądał się z dystansu ośmiokątnej budowli.

–Mógłbym ją do siebie przenieść?

–Nikt by się tym nie przejął. Z wyjątkiem oczywiście "Towarzystwa Miłośników Altanek", ale jego członkowie mają nie po kolei w głowie.

–A tak. Twoja żona maluje te domki.

–Nie. Urządza w nich pikniki.

–Racja. Każę Dominicowi, żeby rzucił na to okiem.

Spojrzałem na cieśninę. Na niebie nie było ani jednej chmurki, po skrzących się w słońcu falach sunęły kolorowe żagle, a w oddali majaczyło wybrzeże Connecticut. Zapowiadał się piękny dzień i miło było pomyśleć, że człowiek jest jak na razie cały i zdrowy.

Bellarosa odwrócił się od altanki i popatrzył dalej, tam gdzie w pewnej odległości od plaży wznosił się na stałym lądzie gmach odgradzony od morza kamiennym wałem.

–Co to jest? – wskazał ręką. – Zwróciłem na to uwagę poprzednim razem.

–To pałac rozrywki.

–Masz na myśli zabawę?

**-Dokładnie. Dobrą zabawę.**

**Faktem jest, że najbogatsi i najbardziej przesiąknięci hedonizmem mieszkańcy  
Złotego Wybrzeża budowali w pewnej odległości od swoich**

rezydencji tak zwane pałace rozrywki. Ich jedynym celem było dostarczanie przyjemności. Podczas drugiej wojny światowej Straż Nadbrzeżna uznała tutejszy wzniesiony ze stali i cegły pałac za idealne miejsce do przechowywania amunicji. Ale choć ludziom z zewnątrz, a przede wszystkim marynarzom niemieckich U-bootów, mógł wydawać się całkiem solidny, z góry nietrudno dostrzec, że w dużej części pokrywa go kruchy, szklany błękitny dach. To właśnie po tych błękitnych lśniących dachach mogę poznać ten i inne ocalałe pałace rozrywki, kiedy zdarza mi się przypadkiem latać nad Złotym Wybrzeżem awionetką.

–Jaką zabawę? – dopytywał się Bellarosa.

–Seks, hazard, pijaństwo, tenis. Sam się domyśl.

–Pokaż mi, jak to wygląda w środku.

–Zgoda.

Przeszliśmy dzielące nas od rozległego budynku sto jardów i wprowadziłem go do środka przez pozbawione szyb drzwi.

Część pałacu, poświęcona kulturze fizycznej, przypominała właściwie współczesny klub sportowy. Jedyną różnicę stanowiły witrażowe okna i elegancka terakota w stylu art nouveau. Zważywszy, że nikt tutaj nie ćwiczył od roku 1929, wnętrza zachowały się w całkiem niezłym stanie.

W jednym ze skrzydeł budynku, pod zawieszonym na wysokości trzydziestu stóp szklanym niebieskim dachem znajdował się kort tenisowy o regulaminowych wymiarach. Dach przeciekał, a popękana dawno temu ziemna nawierzchnia porośla jakimiś dziwnymi chwastami, którym odpowiadały najwyraźniej niebieskie światło i glina. Na korcie nie było siatki i Bellarosa, któremu już przedtem zdarzały się pewne wpadki w dziedzinie architektury wewnątrz, zapytał, co to za pomieszczenie.

–Palarnia – odpowiedziałem.

–Nie robisz sobie czasem jaj?

Przeszliśmy przez przylegającą do kortu salę gimnastyczną do następnej części budynku, w której mieścił się olimpijski basen pływacki, również kryty niebieskim szklanym dachem. Między salą gimnastyczną a basenem znajdowały się łaźnie, prysznice, sale do masażu oraz solarium. W skrzydle zachodnim mieściły się luksusowe pokoje gościnne, a także kuchnia i pomieszczenia dla służby.



**–Ci ludzie żyli tutaj jak rzymscy cesarze – stwierdził w pewnej**

chwili Bellarosa, który poza tym mało się odzywał podczas całej tej wycieczki.

–Starali się, jak mogli.

Odnaleźliśmy skrzydło wschodnie, które wypełniała rozległa sala balowa. Bawiliśmy się tu kiedyś razem z Susan na bankiecie urządzonym w stylu szalonych lat dwudziestych.

–Madonna mia! – jęknął Bellarosa. – Święta racja – przytaknąłem.

Pamiętałem, że gdzieś w pobliżu była tutaj sala koktajlowa, a właściwie zakonspirowany bar, jako że pałac zbudowany został w czasach prohibicji. Nie potrafiłem go jednak znaleźć. Zwiedzając ten skąpany w niebieskim upiornym świetle gmach, nawet ja, który spędziłem całe swoje życie wśród ruin Złotego Wybrzeża, byłem pod wrażeniem jego rozmiarów i wypełniającego go bogactwa. Zawróciliśmy i ponownie znaleźliśmy się przy wyłożonym mozaiką basenie.

–Musimy tu kiedyś urządzić rzymską orgię – powiedziałem Bellarosie. – Ty dostarczysz piwa.

Roześmiał się.

–Załatwione. Jezu, ci ludzie musieli mieć mnóstwo przyjaciół.

–Ludzie z dużą forszą mają zawsze dużo przyjaciół.

–Słuchaj, czy to miejsce jest na sprzedaż?

Spodziewałem się tego. Faceci jego pokroju muszą znać cenę wszystkiego i chcą kupić wszystko, czego nie są w stanie ukraść.

–Tak – odpowiedziałem. – Czy masz zamiar wykupić całą Grace Lane?

Roześmiał się ponownie.

–Lubię żyć w odosobnieniu. Lubię ziemię.

–Jedź do Kansas. Tutaj akr wybrzeża kosztuje milion dolarów.

–Jezu. Kogo, do diabła, na to stać?

Na przykład przywódców mafii.

**–Irańczyków – odpowiedziałem na głos.**

**–Kogo?**

**–Irańczyków. Prowadzą właśnie negocjacje z rodziną właścicieli, którzy nazywają się Morrisonowie i mieszkają w Paryżu. Morrisonowie są nieprzyzwoicie bogaci, ale nie chcą tu niczego odrestaurowywać.**

**Właściwie nie mają już nawet amerykańskiego obywatelstwa. To emigranci.**

Przez dłuższą chwilę analizował te skąpe informacje, rozważając je, jestem tego pewien, z każdego możliwego punktu widzenia. Odnaleźliśmy pozbawione szyb drzwi i wyszliśmy na słońce.

–Czego, u diabła, mogą chcieć tutaj Irańczycy? – zapytał w końcu Bellarosa.

–No cóż, mamy tutaj na Long Island dużo bogatych irańskich emigrantów. Chcą kupić tę posiadłość i przerobić pałac rozrywki na meczet. Być może spodobał im się ten błękitny dach.

–Meczet. Taki arabski kościół?

–Islamski meczet. Irańczycy są muzułmanami, nie Arabami.

–Nieważne. Wszyscy oni to tylko trochę jaśniejsze czarnuchy.

Po co w ogóle starałem się wyjaśniać coś temu człowiekowi?

Wycelował we mnie palec.

–I wy tutaj zamierzacie na to pozwolić?

–Kogo masz na myśli mówiąc "wy tutaj"?

–Wiesz, kogo mam na myśli. Was tutaj. Macie zamiar na to pozwolić?

–Przeczytaj sobie pierwszą poprawkę do konstytucji, którą napisali, nawiasem mówiąc, przodkowie nas tutaj. Gwarantuje ona wolność religii.

–Zgoda, ale, na Boga, słyszałeś może kiedyś, jak ci ludzie się modlą? Niedaleko miejsca, gdzie mieszkałem, spotykała się gromada Arabów. Jeden taki błazen wdrapywał się co noc na dach i wył jak hiena. Jezu, i ja mam to znowu znosić obok siebie?

–Całkiem możliwe.

Skręciłem w stronę altanki i spojrzałem na swego towarzysza. Nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

–Ta facetka w biurze sprzedaży nieruchomości nic mi o tym nie wspominała – mruknął.

–Podobnie, jak mnie nie wspominała o tobie.

**Analizował to przez chwilę, próbując, jak przypuszczam, zdecydować, czy znieważylem jego narodowość, obraziłem go osobiście, czy też mam na myśli jego przynależność do mafii.**

**–Pierdoleni Irańczycy... – wymamrotał w końcu.**

**Naprawdę powinienem w końcu udzielić temu człowiekowi lekcji wychowania obywatelskiego, przypomnieć mu, na jakich zasadach opiera się demokracja w Ameryce, i poinformować, że nie lubię rasistowskich odzywek. Ale, kiedy się nad tym głębiej zastanowiłem,**

zdałem sobie sprawę, że przypominałoby to próbę nauczania świni śpiewu; straciłbym tylko czas i zdenerwował swinię.

–W takim razie kup to – powiedziałem.

Kiwnął głową.

–Ile to może kosztować? Cała posiadłość?

–No cóż, nie jest taka duża jak Stanhope czy Alhambra, ale leży nad samym morzem, więc sądzę, że mogą zażądać od dziesięciu do dwunastu milionów.

–To dużo.

–Może być jeszcze więcej. Jeśli zaczniesz się licytować z Irańczykami, cena może wzrosnąć do piętnastu milionów i wyżej.

–Nigdy nie podbijam cudzej oferty. Skontaktuj mnie po prostu z ludźmi, z którymi powinienem porozmawiać. Z właścicielami.

–A ty przekonasz ich, że twoja najlepsza oferta jest zarazem ich najlepszą ofertą.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

–Zaczynasz się uczyć, mecenasie.

–Co byś zrobił z tą posiadłością?

–Nie wiem. Popływałbym sobie. Nadal pozwalałbym każdemu korzystać z plaży. Pierdoleni Arabi nie poszliby na to, bo im przecież nie wolno pokazywać za dużo golizny. Nie wiedziałeś o tym? Nawet do kąpieli nie zdejmują tych swoich pierdolonych prześcieradeł.

–Nigdy o tym nie pomyślałem.

Zastanawiałem się, czy ten facet gotów był rzeczywiście kupić Stanhope Hall, a także Fox Point, nie pozbywając się przy tym Alhambry. Czy tylko blefował? Uderzyło mnie również, że jak na kogoś, komu grozi wyrok za morderstwo i kto ma imponującą liczbę życzących mu śmierci wrogów, Bellarosa robi mnóstwo długoterminowych planów. Facet miał jaja, to musiałem mu przyznać.

Zbliżyliśmy się ścieżką do dużej ośmiokątnej altanki i weszliśmy do środka. Wzniesiona była z drzewa, ale z desek od strony morza zeszła cała farba. Wewnątrz

było całkiem czysto – prawdopodobnie posprzątały tutaj przed podaniem lunchu zwariowane paniusie z "Towarzystwa Miłośników Altanek". Ktoś powinien jeszcze nauczyć je posługiwać się pędzlem i farbą.

Bellarosa przyglądał się altance.

–Macie coś takiego u siebie – stwierdził. – Nie powiem,

podoba mi się. Przyjemne miejsce, można tu usiąść i pogadać.

W przyszłym tygodniu przyślę tutaj Dominica. – Usiadł na ławce, którą ustawiono wokół wewnętrznej ściany altanki. – Siądźmy więc i pogadajmy.

–Ja postoję. Możesz mówić, słucham.

Wyjął z kieszeni koszuli cygaro.

–Chcesz? Prawdziwe kubańskie.

–Nie, dzięki.

Odwinął je z folii i zapalił złotą zapalniczką.

–Twój chłopak zgodził się poprosić swoją siostrę, żeby przywiozła mi pudełko Monte Cristo.

–Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wciągał mojej rodziny w swoje przemytnicze interesy.

–Nie martw się. Jeśli ją złapią, zajmę się tym.

–Jestem adwokatem. Ja się tym zajmę.

–Co ona ma zamiar robić na Kubie?

–Skąd się dowiedziałeś, że jedzie na Kubę?

–Powiedział mi twój chłopak. On sam wybierał się na Florydę.

Dałem mu nazwiska kilku ludzi z Cocoa Beach.

–Jakich ludzi?

–Normalnych. Przyjaciół. Ludzi, którzy zaopiekują się nim i jego znajomymi, kiedy tylko wymieni moje nazwisko.

–Frank...

–Daj spokój, od czego są przyjaciele? Ale na Kubie nie mam żadnych przyjaciół. Po co twoja córka jedzie na Kubę?

–Krzewić światowy pokój.



**–Tak? To miło. A ile można na tym zarobić? Może się z nią spotkam, kiedy wpadnie tu następnym razem.**

**–Może. Będziesz mógł odebrać swoje cygara.**

**–Zgadza się. Słuchaj no, co słyhać w sprawie tych twoich podatków?**

**–Wygląda na to, że Melzer wie, jak się do tego zabrać. Dzięki.**

**–Drobiazg. Więc nie oddadzą sprawy do sądu?**

**–Tak powiedział.**

**–To świetnie, to świetnie. Nie chciałbym, żeby mój adwokat wylądował za kratkami. Ile wziął od ciebie Melzer?**

**–Dwadzieścia z góry i połowę tego, co uda mu się wytargować.**

–Nie najgorzej. Jeśli będziesz potrzebować szybko gotówki, daj mi znać.

–Jaki bierzesz procent?

Zaciągnął się cygarem i uśmiechnął.

–Od ciebie trzy, tyle samo, ile dostałbym w banku.

–Dziękuję, ale mam potrzebne fundusze.

–Twój chłopak powiedział mi, że sprzedajesz letni dom, żeby mieć pieniądze na spłatę.

Nie odpowiedziałem. Nie wydawało mi się prawdopodobne, żeby Edward mógł opowiadać mu takie rzeczy.

–Na tym rynku teraz się nie sprzedaje – dodał Bellarosa. – Teraz się kupuje.

–Dziękuję za dobrą radę. – Oparłem stopę o ławkę i popatrzyłem na morze. – O czym chciałeś ze mną mówić?

–A tak. Ta historia z ławą przysięgłych. Posiedzenie odbyło się w zeszły poniedziałek.

–Czytałem o tym.

–Tak. Ten pierdolony Ferragamo uwielbia prasę. Za jakieś dwa, trzy tygodnie aresztują mnie za morderstwo.

–Może tego nie zrobią.

Uznał to za żart.

–Pewnie. Może papież jest Żydem.

–Ale nosi krzyż.

–Nieważne. Nie wiem, czy orientujesz się, jak to wszystko wygląda. Najpierw prokurator dostaje od ławy przysięgłych akt oskarżenia. Jest zapieczętowany, rozumiesz, żeby utrzymać sprawę w tajemnicy aż do chwili aresztowania. Prokurator bierze akt oskarżenia, pisze nakaz aresztowania i zanosí to wszystko sędziemu federalnemu do podpisu. Dzieje się to przeważnie w poniedziałek, tak żeby we wtorek faceci z FBI mogli z samego rana zabrać się do roboty i zapukać do twoich drzwi o

szóstej albo o siódmej. Rozumiesz?

–Nie bardzo. Zajmuję się podatkami.

–Przychodzą do ciebie tak wcześnie, żeby wyrwać cię z łóżka w samej koszuli, no wiesz, tak jak w Rosji. Capiście?

–Dlaczego we wtorek?

–Dlatego, że wtorek jest dobrym dniem na wiadomość o aresztowaniu grubej ryby. Rozumiesz? Poniedziałek jest zły, piątek zły,

weekend zupełnie do dupy. Myślisz, że ten pierdolony Ferragamo jest głupcem?

O mało się nie roześmiałem.

–Mówisz serio?

–Jak najbardziej. To poważna sprawa, mecenasie.

–Przy ustalaniu terminu aresztowania nie bierze się pod uwagę, który dzień najbardziej odpowiada mass mediom.

Teraz to on się roześmiał. Ha ha ha.

–Musisz się jeszcze wiele nauczyć, mecenasie – stwierdził.

Poczułem się trochę urażony, ale puściłem to płazem, bo zainteresowało mnie to, co mówił.

–Ale mogą cię przecież aresztować również w środę albo czwartek. Dla prasy to także dobre dni.

–Pewnie, że mogą. Ale na grubą rybę najlepszy jest wtorek.

W ten sposób mają czym zapełnić gazety również w środę, a i w czwartek może im coś kapnąć. A co się stanie, jeśli przyjdą z nakazem w czwartek, a ciebie akurat nie będzie w domu i ucapią cię dopiero w piątek? Wyjdą wtedy na durniów ci cwaniaczkowie z mass mediów.

–W porządku. Aresztują cię we wtorek. W czym tkwi problem?

–Już ci mówię. Zakuwają cię w kajdanki i wiozą na Federal Plaza, do siedziby FBI, rozumiesz. Tam ciągną cię przez jakiś czas z miejsca na miejsce, żeby wszyscy mogli ci się dobrze przyjrzeć, a potem zabierają na Foley Square, do Sądu Federalnego. Zgadza się? Faceci z FBI przywożą cię tam skutego o jakiejś dziewiątej, dziesiątej rano, a do tego czasu Ferragamo ściąga tam połowę pierdolonych pismaków z całego miasta. Wszyscy wtykają ci w gębę mikrofon i filmują. Potem biorą od ciebie odciski palców, spisują protokół i dopiero, jak to się skończy, wolno ci zadzwonić do adwokata. – Spojrzał na mnie. – Rozumiesz?

–A co, jeśli twój adwokat jest akurat, dajmy na to, na Kubie?

–Nie ma prawa tam być. W gruncie rzeczy nie muszę do niego wcale dzwonić. Nie muszę, bo przez kilka następnych wtorków będzie do mnie regularnie wpadał na

kawę gdzieś tak koło piątej rano.

–Rozumiem.

–No właśnie. I dlatego, kiedy pojawi się FBI, mój adwokat będzie na miejscu i dopilnuje, żeby wszystko było cacy, żeby faceci z FBI nie robili żadnych numerów. Następnie mój adwokat wsiądzie do mojego samochodu razem z Lennym i pojedzie za mną na Federal

Plaza, a potem na Foley Square. Mój adwokat nie wybierze się na Kubę ani w żadne inne miejsce, bo będzie blisko swojego klienta. Capisce?

Kiwnąłem głową.

–Mój adwokat będzie miał również przy sobie walizeczkę, a w niej gotówkę, papiery wartościowe i inny chłam potrzebny do złożenia kaucji za swego klienta. Mój adwokat otrzyma w tym celu jakieś cztery, pięć milionów dolarów.

–Nie uda ci się wyjść za kaucją w sprawie o morderstwo z premedytacją, Frank. Za żadne pieniądze.

–Błąd. Posłuchaj mnie uważnie. Mój adwokat przekona sędziego, że Frank Bellarosa jest człowiekiem odpowiedzialnym, człowiekiem silnie związanym ze swoją społecznością, posiadającym szesnaście legalnych firm, których musi doglądać, człowiekiem, który ma dom, żonę i dzieciaki. Mój adwokat powie sędziemu, że jego klient nie został nigdy skazany za przestępstwo z użyciem przemocy, że spodziewał się wizyty FBI, czekał na agentów federalnych i nie stawiał żadnego oporu przy aresztowaniu. Mój adwokat był tego naocznym świadkiem. Mój adwokat oznajmi sędziemu, że osobiście zna pana Bellarosę, że uważa go za swego przyjaciela, że zna jego żonę, że jest właściwie najbliższym sąsiadem państwa Bellarosów i może osobiście zagwarantować, że pan Bellarosa nie wymknie się wymiarowi sprawiedliwości. Rozumiesz?

Zaczynałem rozumieć.

–W porządku. W tym momencie sędzia, który nie zwalnia na ogół za kaucją oskarżonych o morderstwo pierwszego stopnia, musi poważnie zastanowić się nad całym tym syfem. W tym samym czasie Ferragamo dowiaduje się od FBI, że Bellarosę uprzedzono o czekającym go aresztowaniu, że ma forszę na kaucję i że broni go wyśmienity adwokat. Więc Ferragamo osobiście fatyguje się na salę posiedzeń i zaczyna cisnąć sędziego. Wysoki Sądzie, to bardzo poważne oskarżenie, bla, bla, bla, Wysoki Sądzie, to niebezpieczny człowiek; morderca, bla, bla, bla. Ale mój adwokat nie daje się zakrzyczeć prokuratorowi i mówi, że nie można odrzucać prośby o zwolnienie za kaucją bez wyraźnego uzasadnienia, bla, bla, bla, że całe oskarżenie jest i tak gównem, bla, bla, bla, że mamy tutaj w torbie pięć balonów i że osobiście ręczy Wysokiemu Sądowi za oskarżonego. Pan John Sutter z Wall Street wyklada jaja na stół. Zgadza się? I teraz to nie ja, ale Ferragamo, który nie spodziewał się całego tego syfu, zostaje w samej

8 – Złote Wybrzeże t. II koszuli. Dwoi się i troi, żeby Frank Bellarosa przypadkiem nie wyfrunął mu z garści. Uwziął się po prostu, żeby zamknąć mnie za kratkami razem z jakimś melanzane. Chce, żeby tej samej nocy, kiedy on będzie zajadać z żoną i przyjaciółmi kolację i oglądać pieprzone wiadomości, Bellarosa siedział z zakorkowaną dupą w pierdłu i oganiał się od atakujących jego kuchenne drzwi pedałów. Rozumiesz, o czym mówię?

Facet potrafił odpowiednio dać rzeczy słowo.

–Rozumiem – odpowiedziałem.

–No właśnie. I rozumiesz, że coś takiego nie może się wydarzyć.

Ty na to nie pozwolisz.

–Ale kiedyś mówiłeś mi, że Ferragamo chce, żebyś po rozprawie wstępnej znalazł się na wolności. Żeby twoi wrogowie albo przyjaciele mogli cię zabić jeszcze przed procesem.

–Racja. Zapamiętałeś to? Zaraz ci wyjaśnię. Ferragamo wie, że kiedy mnie już wsadzi, złożymy apelację w sprawie kaucji. Zgadza się? Ale to trwa parę tygodni, i następnym razem, kiedy staniemy przed obliczem sędziego, Ferragamo da mu do zrozumienia, że nie stawia żadnych obiekcji. Będzie do niego mrugał i szeptał do ucha. FBI chce śledzić Bellarosę, powie. Zgadza się? To wszystko bzdura. Federalni śledzą mnie od dwudziestu pierdolonych lat i gównem z tego mają. Więc sędzia też puści do niego oko i wypuszczą mnie z pierdła. Ale dopiero po dwóch, trzech tygodniach. Rozumiesz? A kiedy wyjdę, Ferragamo rozpuści wiadomość, że Bellarosa pękł podczas śledztwa. Że gotów jest wydać każdego, aby tylko zmniejszono mu wyrok. I wtedy jestem ugotowany. Ale posłuchaj, mecenasie: jeśli uda mi się wyjść z sądu tego samego dnia, kiedy do niego wejdę, wtedy mam szansę dalej kontrolować sytuację. Rozumiesz?

–Tak. – Rozumiałem teraz doskonale, dlaczego Franka Bellarosę miał bronić nie Jack Weinstein, ale John Whitman Sutter – cioteczny prapraprawnuk Walta Whitmana, syn stanowiącego legendę Wall Street Josepha Suttera, mąż Susan Stanhope (której rodzina zalicza się do słynnych Czterystu), wspólnik firmy Perkins, Perkins, Sutter Reynolds, członek "The Creek" i "Seawanhaka Corinthian", nie wspominając już o Kościele Episkopalnym, absolwent Yale i posiadacz harwardzkiego dyplomu prawa, a także przyjaciel Rooseveltów, Astorów i Vanderbiltów. Ten sam John Sutter, który całkiem przypadkowo okazał się przyjacielem i najbliższym sąsiadem oskarżonego, miał na otwartej sesji sądu osobiście zagwarantować, że jego





klient, pan Frank Bellarosa, nie wymknie się wymiarowi sprawiedliwości. A jego słowom miał się przysłuchiwać sędzia i zgromadzeni na sali reporterzy, którzy po paru godzinach roztrąbią o tym we wszystkich gazetach, a także wszystkich stacjach radiowych i telewizyjnych nadających na obszarze najbliższych trzech stanów, a być może całego kraju. Ten sukinsyn był genialny. Wszystko to sobie wcześniej zaplanował... kiedy? Tego dnia, kiedy zaczął mnie w szkółce Hicksa?

Już wtedy? Pan Sutter? Pan John Sutter, prawda?

Ale naturalnie musiało to się stać jeszcze wcześniej. Wówczas gdy do mnie przypadkowo albo umyślnie podszedł, wiedział już, z kim ma przyjemność, wiedział, że jestem adwokatem i jego najbliższym sąsiadem. Ułożył sobie cały ten przedstawiony mi przed chwilą scenariusz i zaplanował sposób, w jaki uda mu się wywinąć z opatów, zanim jeszcze jego przeciwnicy zrobili pierwszy ruch. A jeszcze bardziej imponujący był fakt, że choć kilkakrotnie wysyłałem go do diabła, on i tak od samego początku wiedział, że trzyma mnie mocno w garści.

To nie przypadek, że temu facetowi przez całe trzydzieści lat udawało się unikać więzienia i unieść cało głowę. Jego przeciwnicy – stanowe i federalne służby policyjne, konkurujący z nim przywódcy mafii, Kolumbijczycy i inni oportuniści – nie byli wcale leniwi i niekompetentni. Oni po prostu nie dorastali Frankowi Bellarosie do pięt.

Był czas, kiedy chętnie bym go zobaczył za kratkami, a może nawet martwego. Ale teraz na myśl o nim ogarniały mnie sprzeczne uczucia, podobnie jak wobec złapanego na hak rekina. Człowiek nienawidzi rekina, boi się go, ale po dwóch godzinach walki zaczyna go szanować.

–Teraz rozumiesz? – zapytał przerywając tok moich myśli.

Kiwnąłem głową.

–Powinniśmy stamtąd wyjść – ciągnął dalej – jeszcze przed przerwą na lunch. Nie mam ochoty na te ich pomyje w celi. Zjemy coś razem na mieście. Może w "Caffe Roma". To niedaleko sądu. Dam ci spróbować smażonej kałamarnicy. A w tym samym mniej więcej czasie Alphonse Ferragamo zwoła jedną ze swoich pierdolonych konferencji. Nie zdąży nawet zjeść lunchu, bo będzie chciał, żeby to wszystko ukazało się w popołudniówkach i żeby puszczono to w telewizji, w wiadomościach o piątej. Zgadza się? Opowie o wysuniętym przeciwko mnie oskarżeniu, o tym, jak przebiegło" aresztowanie, i o wszystkich tych bzdurach. Chętnie oznajmiłby im również, że mnie

zapuszkował, ale coś takiego nie ma prawa się zdarzyć, więc usłyszy dla odmiany trochę przykrych słów od facetów z prasy i od swego szefa w Waszyngtonie. W zasadzie będzie jednak w dobrym humorze; po południu wychędoży swoją dziewczynę, a wieczorem pójdzie do domu i wyda przyjęcie. A my pokręcimy się trochę po mieście, wynajmiemy pokój w hotelu, pooglądamy wiadomości, kupimy trochę gazet i przyjmiemy kilku przyjaciół. Możesz także wydać parę oświadczeń dla prasy, ale nie za dużo. I przypomnij mi, żebym zadzwonił do Anny. Aha, skoro już o tym mowa, dobrze by było, gdyby twoja żona mogła wpaść do Alhambry tak gdzieś koło ósmej, dziewiątej rano i posiedzieć z Anną. Wiesz, jak żony się przejmują tymi wszystkimi głupotami. No, może nie wiesz. Ale powiadam ci: nie znoszą tego najlepiej. Więc twoja żona mogłaby czymś zająć Annę – przynajmniej do czasu, kiedy nie przyjadą te jej durne krewniaczki i nie zaczną wszystkie szlochać i pitrasić czegoś w kuchni. W porządku? Ale na razie o niczym swojej żonie nie wspominaj. Capiśce? I postaraj się przez najbliższe dwa, trzy tygodnie nigdzie nie wyjeżdżać. Wybierasz się na jakieś wakacje czy coś w tym rodzaju?

–Wychodzi na to, że nie.

–To świetnie. Nie oddalaj się zbytnio. W poniedziałki wysypiaj się. Dobrze? I przećwicz sobie to, co masz powiedzieć w sądzie. Pokaż pierdolonym federalnym jaja. Musimy dobrze wpaść w sądzie. – Spojrzał na mnie. – Nie będzie więzienia, mecenasie. Nie będzie więzienia. Obiecałem ci to kiedyś, a ty teraz obiecasz mi to samo.

Rozumiesz?

–Obiecuję, że zrobię, co mogę.

–Dobrze. – Wstał i poklepał mnie po plecach. – Wiesz co – dodał – mam jeszcze jeden kłopot. W Brooklynie hodowałem pomidory wielkości byczych jaj. A tutaj, choć jest już połowa lipca, wciąż są niedojrzałe. Widziałem, że twoje są całkiem duże, a przecież to te same sadzonki. Pamiętasz? Więc chyba coś jest nie w porządku z ziemią. Specjalnie się tym nie przejmuję, ale naprawdę trudno to zrozumieć. Więc chcę, żebyś mi dał trochę twoich pomidorów. Możesz dostać za to coś w zamian. Mam na przykład od cholery fasolki szparagowej. W porządku? Załatwione?

Nie lubię fasolki szparagowej, ale podałem mu rękę na zgodę.

Rozdział 23 Kilka dni po naradzie w Fox Point siedziałem rano w jachtklubie i dłubałem przy łodzi. Był normalny dzień roboczy, a ja, jak zwykle, wagarowałem. Wspólnicy nie komentowali głośno moich przedłużających się nieobecności, dlatego że trochę się ich o tej porze roku spodziewali, a poza tym uważali mnie za człowieka

odpowiedzialnego i mieli nadzieję, że nie pozwolę firmie upaść. Prawdę mówiąc, byli w błędzie; na moim biurku piętrzyły się stosy nie pozalutowanych spraw, nie odpowiadałem na telefony i właściwie nikt nie kierował kancelarią w Locust Valley. Ale z drugiej strony ludzie lepiej pracują, kiedy nikt nie zagląda im przez ramię.

Chociaż lubię majstrować przy łodzi, jeszcze bardziej lubię nią żeglować. Ale kiedy chce się popływać żaglówką, trzeba mieć co najmniej dwie osoby na pokładzie i czasami trudno po prostu skompletować załogę w zwykły dzień roboczy. Carolyn i Edwarda nie było oczywiście w domu, a Susan jest w gruncie rzeczy umiarkowaną entuzjastką żagli, podobnie jak ja jeździectwa, i jakoś się wybroniła.

Miałem co prawda paru znajomych, którzy mogli się kręcić w pobliżu, ale ostatnio unikałem ludzi. W ostateczności można zawsze było wziąć na pokład studentów, ale z jakiejś irracjonalnej przyczyny nie bardzo miałem na to ochotę, ponieważ tęskniłem za własnymi dziećmi. Tego dnia musiałem się zatem zadowolić robieniem porządków.

W pewnym momencie usłyszałem, jak ktoś idzie w moją stronę pomostem skrzypiąc skózanymi podszewami. Trwał właśnie odpływ

i chcąc zobaczyć, kto to, musiałem podnieść wzrok i zmrużyć oczy przed słońcem. Kimkolwiek był, miał na sobie garnitur. Zatrzymał się przy łodzi.

–Proszę o pozwolenie wejścia na pokład – powiedział.

–Nie w tych butach.

Pan Mancuso z Federalnego Biura Śledczego posłusznie zdjął trzewiki i zeskokczył na tekowy pokład w samych skarpetkach.

–Dzień dobry – powiedział.

–Buongiorno – odparłem.

Uśmiechnął się pokazując te swoje zęby podobne do białych czekoladek.

–Zjawilem się tutaj, żeby wnieść trochę niepokoju i troski w pańskie życie.

–Jeśli o to chodzi, jestem już żonaty.

To mi się naprawdę udało i pan Mancuso uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nie był facetem, który śmieje się z byle czego, ale wyraźnie ceniał moje poczucie humoru. Jeśli czegoś ode mnie chciał, obrał właściwą drogę.

–Ma pan kilka minut czasu? – zapytał.

–Mojej ojczyźnie, panie Mancuso, mogę poświęcić mnóstwo czasu. Brakuje mi za to pieniędzy i cierpliwości. – Wróciłem do czynności, którą mi przerwał, to znaczy buchtowania półcalowej liny.

Pan Mancuso postawił na pokładzie swoje buty, przypatrywał mi się przez chwilę, a potem rozejrzał wokoło. – Ładna łódź – oświadczył.

–Dziękuję.

–I przyjemne miejsce – zatoczył ręką krąg obejmując tym gestem cały klub. – Nieźle się tutaj urządziliście.

–Staramy się.

Zwinąłem do końca linę i przez chwilę obserwowałem pana Mancuso. Miał tak samo ziemistą cerę, jak wtedy, kiedy widziałem go ostatnio w kwietniu. Ubrany był w dobrze skrojony jasnobieżowy garnitur z lekkiej wełny, dobrej jakości koszulę i

**krawat, a także, co mogłem teraz wyraźnie zobaczyć, bardzo gustowne skarpetki. Wciąż śmieszyła mnie jednak okolona łysiną, zmierzwiona kępka włosów na czubku jego głowy.**

–Chce pan porozmawiać tutaj, panie Sutter? – zapytał. – Czuje się pan swobodnie? Może chce pan wejść do kabiny? Albo gdzieś się przejdziemy?

–Jak długo potrwa te kilka minut?

–Może pół godziny. Godzinę.

Przez chwilę się zastanawiałem.

–Pływał pan kiedyś żaglówką? – zapytałem.

–Nie.

–No to dzisiaj pan popływa. Nie będzie pan chyba potrzebować tego krawata i marynarki.

–Chyba nie.

Zdjął marynarkę osłaniając zamocowaną pod pachą kaburę, w której tkwił potężny pistolet, prawdopodobnie browning.

Rzuciłem okiem na sąsiednie łodzie.

–Może wygodniej będzie panu schować to pod pokładem. To znaczy w kabinie – wskazałem na drzwi. – Mówiąc "pod pokładem" mamy na myśli kabinę.

–Oczywiście.

Zbiegł schodkami na dół i po kilku chwilach ukazał się z powrotem, bez krawata i skarpetek, z podwiniętymi rękawami i mankietami u spodni. Wyglądał jeszcze śmieszniej niż przedtem. Stałem za sterem i uruchomiłem silnik.

–Potrafi pan zdjąć cumy?

–Jasne. Mogę zdjąć – zaofiarował się.

Po kilku minutach sunęliśmy naprzód. Stałem za mahoniowym zaopatrzonym w szprychy kołem sterowym, czując, że nareszcie panuję w jakiejś dziedzinie nad sytuacją. Wolałbym od razu postawić żagle, ale doszedłem do wniosku, że z panem Mancuso, jako jedynym członkiem załogi, bezpieczniej będzie ominąć mielizny i stojące na redzie jachty używając silnika.

Okrzyżłem Plum Point, wpłynąłem do Cold Spring Harbor, po czym skierowałem

**łódź w stronę cieśniny i zmniejszyłem obroty.**

**–Widzi pan tę korbkę? – zapytałem pana Mancuso nie odchodząc od steru. – Niech pan nią pokręci i podniesie grotżagiel.**

**Wykonał moje polecenie i grotżagiel powędrował w górę. Wypełniła go lekka bryza i "Paumanok" ruszył żwawiej do przodu. Wyłączyłem silnik i poinstruowałem pana Mancuso, jak prawidłowo ustawić żagiel.**

Następnie kazałem mu podnieść fok i zaczęliśmy płynąć z całkiem przyzwoitą szybkością. Biedny pan Mancuso zwijał się jak w ukropie biegając po pokładzie w swoich porządnych wełnianych spodniach, które po tym rejsie mogły się nadawać tylko do wyrzucenia. Generalnie jednak sprawiał wrażenie zadowolonego, a ja cieszyłem się z niespodziewanej okazji wypłynięcia w morze. Pan Mancuso chciał ze mną oczywiście o czymś porozmawiać, ale na razie wydawał się w pełni ukontentowany tym, że udało mu się zamustrować na pokład "Paumanoka".

Mój towarzysz szybko się uczył, przynajmniej terminologii, i po godzinie potrafił odróżnić bom od wanty, foksztag od baksztagu i prawdopodobnie własny tyłek od własnego łokcia.

Wiatr, jak już wspomniałem, był dość słaby, ale wiał z południa, niosąc nas na sam środek cieśniny. Mniej więcej trzy mile od Lloyd's Neck pokazałem mu, jak opuścić żagle. Wiatr nie zmieniał kierunku i trwał odpływ, a my stanęliśmy w dryf w bezpiecznej odległości od brzegu i płycizn. Mimo to nie odchodziłem od steru i wciąż grałem rolę kapitana.

–Podoba się panu pływanie? – zapytałem pana Mancuso.

–O tak. Naprawdę.

–O wiele większa frajda jest w nocy, kiedy wieje silny wiatr i ostro buja. Zwłaszcza jeśli nawali panu silnik.

–A to dlaczego, panie Sutter?

–Ponieważ człowiekowi wydaje się wtedy, że może zginąć.

–To wcale nie brzmi zabawnie.

–Ale oczywiście przez cały czas chodzi o to, żeby się nie dać.

Stawia pan wtedy żagle i próbuje umknąć z wiatrem w bezpieczne miejsce. Albo spuszcza pan wszystkie żagle i pruje na silniku pod wiatr, całą naprzód. Zdarzają się sytuacje, kiedy najlepiej jest wyrzucić dryfkotwę. Trzeba podejmować inteligentne decyzje. Zupełnie inaczej niż za biurkiem, gdzie to, co pan robi, nie ma w gruncie rzeczy żadnego znaczenia.

Pokiwał głową.

–Mniej więcej raz w roku muszę użyć broni. Rozumiem, o czym pan mówi.



**-To dobrze.**

**Skoro odegraliśmy już przed sobą przedstawienie pod tytułem**

"Moje jaja są tak samo wielkie jak twoje", mogłem zejść pod pokład i nalać dwa kubki kawy z termosu. Przyniosłem je na górę.

–Proszę.

–Dzięki.

Stałem na rufie w moich wyblakłych dżinsach i podkoszulku, jedną rękę opierając o koło sterowe, drugą trzymając kubek. Wyglądałem naprawdę wspaniale. Popatrzyłem na dziwnie ubranego, wystawiającego na słońce swoją bladą cerę pana Mancuso, który przycupnął na obitym miękką wykładziną składziku.

–Mówił pan, że chce ze mną o czymś porozmawiać – zagadnąłem go.

Wyglądał, jakby usiłował sobie przypomnieć, o co mu właściwie chodziło – jak gdyby nie miało to już większego znaczenia.

–Panie Sutter, od prawie dwudziestu lat jestem agentem FBI – stwierdził w końcu.

–To musi być całkiem interesująca praca.

–Tak. Większość tego czasu spędziłem w różnych specjalnych zespołach powołanych do walki ze zorganizowaną przestępczością.

Specjalizuję się w sprawach mafii.

–Czy podać panu cukier? Nie mam mleczka.

–Nie, dziękuję. Miałem okazję przyjrzeć się dokładnie przestępczemu podziemi, panie Sutter, i zapewniam pana, nie ma tam nic z romantyzmu.

–A kto kiedykolwiek powiedział, że jest?

–Oni krzywdzą ludzi, panie Sutter. Sprzedają narkotyki dzieciom, zmuszają młode dziewczęta do prostytucji, pobierają haracz od uczciwych przedsiębiorców. Pożyczają pieniądze na lichwiarski procent i biją ludzi, którzy nie są w stanie spłacić swoich należności. Korumpują związki zawodowe i polityków...

–Nie jestem pewien, kto korumpuje kogo w tym przypadku.

–Mordują ludzi...

–Mordują podobne sobie szumowiny. Nie zabijają gliniarzy, biznesmenów, sędziów

**ani ludzi takich jak pan i ja, panie Mancuso.**

**Słucham tego, co pan mówi, ale przeciętnego obywatela bardziej niepokoi i oburza ślepa, panosząca się na ulicy przemoc, gwałciciele i bandyci, złodzieje samochodów, uzbrojeni włamywacze i hordy nafaszerowanych narkotykami szaleńców. Znam osoby, które zostały**

poszkodowane przez tego rodzaju przestępców i pan z pewnością również zna takich ludzi. Nie znam natomiast nikogo, kto by padł ofiarą mafii. Capiście?

Uśmiechnął się na dźwięk tego słowa, a potem skinął głową na znak zgody.

–W porządku, rozumiem. Ale musi pan przyznać, panie Sutter, że zorganizowana przestępczość i wymuszanie haraczu zagraża w perfidny sposób całemu krajowi i...

–Zgoda. Przyznaję. I powiedziałem panu, że gdybym mógł, pierwszy zasiadłbym na ławie przysięgłych w sprawie przeciwko mafii.

To więcej, niż uczyniłaby większość obywateli. A wie pan dlaczego?

Bo większość obywateli się boi, panie Mancuso.

–No właśnie, panie Sutter. Ludzie boją się gangsterów. Ludzie...

–Ależ oczywiście, ludzie baliby się zasiąść na ławie przysięgłych.

Ale to bardzo odległa ewentualność. Naprawdę boją się chodzić wieczorem po ulicy.

–FBI nie patroluje ulic, panie Sutter. Mówi pan o zupełnie innym problemie.

–Więc dobrze, porozmawiajmy o mafii. Dlaczego przeciętny obywatel obawia się zasiąść wśród przysięgłych, a jeszcze bardziej – zeznawać w sprawie przeciwko mafii? Powiem panu dlaczego; ponieważ wy nie wykonujecie tak, jak trzeba, waszej roboty.

Po raz pierwszy chyba sprawiłem panu Mancuso przykrość.

Prawdę mówiąc, wykazał mnóstwo cierpliwości dzisiaj i poprzednim razem, ale mogłem spostrzec, że dopiekłem mu teraz do żywego.

Właściwie tak się tylko z nim droczyłem, mając nadzieję, iż lada chwila oznajmi mi, że sytuacja jest pod pełną kontrolą, krajowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, i że za parę tygodni, najdalej za miesiąc będę mógł spokojnie przechadzać się ulicami Nowego Jorku. Nic takiego mi nie oznajmił. Miał dla mnie jednak kilka innych pocieszających wiadomości.

Postawił kubek na pokładzie i wstał.

–Jeśli o to chodzi, panie Sutter, to wykonujemy naszą robotę tak, jak trzeba. Szczerze mówiąc, właśnie wygrywamy wojnę przeciwko zorganizowanej

**przestępczości.**

**–Czy poinformowaliście już o tym mafię?**

**–Oni świetnie o tym wiedzą. Lepiej od amerykańskiej opinii**

publicznej, którą karmi się przeważnie złymi nowinami. Pozwoli pan jednak, że tym razem zaproponuję bardziej optymistyczny nagłówek.

**Brzmi on: MAFIA W ODWROCIE.**

Uśmiechnąłem się nic nie mówiąc.

–Od roku 1984 – ciągnął dalej pan Mancuso – na mocy ustawy RICO\* władze federalne uzyskały setki wyroków skazujących.

Przejęliśmy miliony dolarów w gotówce i nieruchomościach, zlikwidowaliśmy także albo poważnie osłabiliśmy prawie wszystkie z dwu<sup>^</sup> dziesiętu działających w tym kraju zorganizowanych rodzin przestępczych. W całej Ameryce pozostała tylko jedna twierdza mafii i znajduje się ona właśnie tutaj – w Nowym Jorku. Z pięciu istniejących tu klanów cztery zostały poważnie osłabione przez wyroki, zabójstwa i wcześniejsze emerytury. Minęły czasy legendarnych Donów. Autorytet przywódców jest bardzo niski. Tylko jedna rodzina zachowała swoje znaczenie i tylko jeden przywódca cieszy się szacunkiem.

–Któż to może być?

Pan Mancuso uśmiechnął się, zadowolony z wygłoszonej oracji.

–Pan wie kto – powiedział.

–O co panu właściwie chodzi?

–Chodzi mi oczywiście o osobę Franka Bellarosy i pańskie z nim stosunki.

–Rozumiem.

Pan Mancuso zaintrygował mnie. Przyszło mi poza tym na myśl, że być może prędzej ja uzyskam od niego odpowiedź na pewne gnębiące mnie pytania aniżeli odwrotnie.

–Jak bogaty jest Bellarosa? – zapytałem go.

–Dochody, które przynosi mu jego nielegalne imperium, oceniamy na mniej więcej sześćset milionów dolarów rocznie – odpowiedział po chwili zastanowienia.

–Sześćset milionów? Mamma mia, panie Mancuso.

Uśmiechnął się.

**–Tak. Nie wiem jednak, ile wynosi czysty zysk i ile z tego zatrzymuje dla siebie. Wiemy za to, że ma udziały w czternastu legalnych firmach... \* Racketeer Influenced and Corrupt Organization Act – ustawa w sprawie zwalczania zorganizowanej korupcji i wymuszania.**

–Szesnastu.

Pan Mancuso przyglądał mi się przez chwilę.

–Czternastu albo więcej legalnych firmach – podjął dalej – które w zeszłym roku przyniosły mu opodatkowany dochód w wysokości pięciu i pół miliona dolarów.

–Oczywiście zapłacił podatki?

–O, tak. Nawet przepłacił. IRS zwróciło mu ostatnio jakieś dwieście tysięcy dolarów. Kilka lat temu miał poważne kłopoty podatkowe. W ich wyniku na dziewiętnaście miesięcy przeszedł na państwowy wikt. Więc teraz jest bardzo ostrożny, jeśli idzie o podatki liczone od jego legalnego dochodu. Nie zdziwiłbym się – dodał – gdyby w jakimś momencie poprosił pana o poradę w tej dziedzinie.

Zamiast odpowiedzieć, zadałem mu kolejne pytanie.

–Dlaczego, pańskim zdaniem, nie zadowala się zarobionymi zgodnie z prawem milionami?

–Nie chodzi tutaj wyłącznie o pieniądze, panie Sutter. Bellarosa to niezwykła indywidualność. Nie podejmuje decyzji w sposób podobny do pana czy do mnie. Ten człowiek wspiął się na najwyższy stopień hierarchii w największym nowojorskim klanie przestępczym i zabił albo kazał zabić co najmniej dziewięć osób, które uznał za niebezpieczne, które naprawdę mu zagrażały lub stały po prostu na jego drodze. Takie indywidualności oczywiście się zdarzają i często się z nimi spotykamy w historii. Narkotykiem Franka Bellarosy jest władza. Pieniądze są tutaj sprawą wtórną. Pojmuje pan?

–Pojmuję.

–Niech pan także zrozumie, że on lubi takie życie. Może trudno w to będzie panu uwierzyć, panie Sutter, ale fakt, że polują na niego mordercy, sprawia mu swego rodzaju prymitywną satysfakcję. Jego wrogowie nie mogą go w lepszy sposób uhonorować, aniżeli próbując go zabić. Capisce?

Uśmiechnąłem się wbrew własnej woli.

–Capisce – odparłem.

–Nie odpowiada się capisce. Mówi się capisco. Capisce?

–Capisco.



**–Bardzo dobrze. Ale musi pan popracować nad swoim akcentem.**

**Zdaje się, że pańska żona mówi trochę po włosku. Może ona panu pomoże.**

Nie odpowiedziałem. Żaden z nas nie odzywał się przez dłuższą chwilę. "Paumanok" dryfował, a ja zdałem sobie sprawę, że powinienem chyba poinformować pana Mancuso, że jestem adwokatem człowieka, o którym rozmawiamy. Ale skoro sam o to nie zapytał i nie poruszyliśmy dotąd żadnych spraw o charakterze poufnym, pominąłem to milczeniem. Chciałem po prostu wiedzieć coś więcej na temat mojego klienta, a ponieważ sam Bellarosa nie przyznawał nawet, że istnieje coś takiego jak mafia, nie mówiąc o tym, że to on nią rządzi, doszedłem do wniosku, że pan Mancuso stanowi moje najlepsze źródło informacji.

–Jak duże jest właściwie jego imperium? Nie chodzi mi o pieniądze, ale o ludzi.

Pan Mancuso badawczo popatrzył na mnie przez chwilę.

–Ponownie są to tylko dane szacunkowe – odparł – ale oceniamy, że pod kontrolą Bellarosy znajduje się około trzech tysięcy osób.

–Tyle co w dużej firmie.

–Tak. Jądro jego organizacji stanowi trzystu ludzi, o których mówimy, że się sprawdzili. To są ludzie, którzy sprawdzili się w akcji.

Rozumie pan, co to oznacza?

–Obawiam się, że tak.

–Wszyscy owi sprawdzeni to Włosi, w większości Sycylijczycy albo neapolitańczycy.

–A pan kim jest, panie Mancuso?

–Ani jednym, ani drugim. Zarówno ze strony ojca, jak i matki jestem rzymianinem.

–To interesujące. A pan Ferragamo?

Uśmiechnął się.

–Słyszałem, że jego przodkowie wywodzili się z Florencji.

Wszyscy oni są tam bardzo wykształceni. Dlaczego pan pyta?

–Staram się po prostu czytać między wierszami, panie Mancuso.

–Zapewniam pana, panie Sutter, że w tym, co mówię, nie ma żadnych podtekstów.

**–Być może. Ale proszę opowiedzieć mi o Sycylijskich i neapolitańczykach.**

**–Przypuszczam, że to, skąd wywodzi się przestępcza rodzina Bellarosa – odparł po krótkim wahaniu – może mieć pewne**

znaczenie. Aby móc skutecznie ścigać tych ludzi, trzeba brać pod uwagę i rozumieć pewne ich historyczne i rodzinne powiązania.

–Rozumiem. Tak więc jest około trzystu członków rzeczywistych, usytuowanych w samym jądrze i trzy tysiące innych.

–Tak. Członków stowarzyszonych. A na samej górze jest Frank Bellarosa. Ma zastępcę, którym jest człowiek o nazwisku Salvatore D'Alessio, vel Sally Da-Da, mąż siostry jego żony. Ktoś w rodzaju szwagra. Więzy rodzinne są bardzo ważne dla tych ludzi. Kiedy okazuje się, że nie łączą ich żadne więzy krwi, starają się sprawdzić, czy ich rodziny nie były kiedyś związane małżeństwem. Jeśli i tego brakuje, uzależniają od siebie ludzi poprzez instytucję ojca chrzestnego.

Te więzy są bardzo istotne, ponieważ opierając się na nich można domagać się lojalności. Lojalność i szacunek to dla nich sprawy najważniejsze. Dopiero po tym idzie wszystko inne. Dlatego tak niewiarygodnie trudno było spenetrować ich organizację i dlatego przez całe stulecie odnosili sukcesy.

Kiwnąłem głową.

–I dlatego podobni do mnie wymoczkowaci anglosascy protestanci skłonni są uważać ich za romantycznych rycerzy.

–Być może.

–Ale pan potrafi ich przejrzeć na wylot, panie Mancuso.

–Tak sędzę.

–No dobrze. Bellarosa ma zatem zastępcę. A gdzie umieścić tutaj consigliere?

–To następny w hierarchii. Choć właściwie jego pozycja jest pod wieloma względami unikalna. Zaufany doradca ma czasami w swoim ręku większą władzę niż zastępca. To on właśnie przekazuje instrukcje przywódcom poszczególnych gangów, tak zwanym capo. Dlaczego to pana interesuje?

–Staram się po prostu wyrobić sobie zdanie na temat mojego najbliższego sąsiada. A gdzie umieścić tutaj kogoś takiego jak Jack Weinstein?

–Weinstein? Adwokat Bellarosy?

–Tak. Jaką zajmuje pozycję?

**–Cóż, jeśli adwokat nie jest Włochem, a nie sądzę, żeby był nim Jack Weinstein, wtedy jego miejsce jest w przedpokoju. Jeśli chodzi o Weinsteina, udało mu się nie dopuścić do skazania Bellarosy**

w dwóch poważnych sprawach kryminalnych, zanim jeszcze ten został szefem. W związku z tym Bellarosa ma wobec niego dług wdzięczności i szanuje go, podobnie jak ja byłbym wdzięczny i szanował chirurga, który dwukrotnie uratował mi życie. Rozumie pan?

–Tak.

–Dlaczego interesuje pana Jack Weinstein, panie Sutter?

–Ciekawość zawodowa. Poza tym jestem już nieco zmęczony zajmowaniem się sprawami podatkowymi.

Mancuso uśmiechnął się, ale był to uśmiech, za którym kryło się zatroskanie.

–Wszystko to, o czym mówimy, wydaje się bardzo abstrakcyjne, panie Sutter. Pozwoli pan, że opowiem o pewnym konkretnym zdarzeniu, którego bohaterem był Bellarosa. Krąży o nim wiele opowieści, ale mogę przysiąc, że ta, którą panu opowiem, jest prawdziwa. Kiedy Bellarosa był jeszcze tylko jednym z capo, wezwał do siebie, do klubu przy Mott Street, człowieka o nazwisku Vito Posilico.

Posilico zjawił się, Bellarosa zamówił kawę, po czym usiedli, żeby porozmawiać. W trakcie rozmowy Bellarosa oskarżył Vito Posilico o kradzież pieniędzy, które ten otrzymał od przedsiębiorcy budowlanego. Przedsiębiorca, nawiasem mówiąc uczciwy człowiek, zapłacił Posilico pięćdziesiąt tysięcy w zamian za zapewnienie, że nie dojdzie do żadnych wystąpień pracowniczych podczas budowy. Bellarosa dostał oczywiście swoją dolę, która wyniosła równo połowę, czyli dwadzieścia pięć tysięcy.

Teraz jednak twierdził, że Posilico wyciągnął od przedsiębiorcy sto tysięcy. Posilico oczywiście temu zaprzeczał i oświadczył, że może łatwo udowodnić swoją niewinność. Frank Bellarosa nie życzył sobie jednak wcale, by ktoś udowadniał mu, że się myli, zwłaszcza w obecności innych. Chciał, żeby Posilico okazał mu szacunek, żeby przyznał się, czołgał i błagał o łaskę. Albo, jeśli nadal upiera się przy swojej niewinności, żeby uczynił to w sposób wskazujący, że się boi. Jednak Vito Posilico również miał swój honor i choć okazywał Frankowi szacunek, stanowczo zaprzeczał posądzeniom. "W ciągu piętnastu minut sprowadzę tutaj przedsiębiorcę, Frank – powiedział. – Możesz z nim porozmawiać." Następnie podniósł do ust filiżankę. W tej samej chwili Bellarosa wyciągnął skądś ołowianą rurkę i roztrzaskał nią filiżankę, palce i zęby Posilica. Potem wstał i okładał go tak długo, dopóki nie połamał mu prawie wszystkich kości. To tylko jeden przykład.

No tak. Puściłem ster i oparłem się o poręcz. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić Bellarosę z ołowianą rurką w ręku i cygarem w ustach, łamiącego człowiekowi kości z powodu jakiegoś podejrzenia o szwindel.

Prawdę mówiąc, gdyby działo się to nie w moim, ale w jego klubie, złamałby rękę staremu Richardowi za to tylko, że ten chciał mu zabrać jego sałatkę. I takiego to człowieka polubiła Susan. Patrzyłem, jak koło sterowe obraca się raz w jedną, raz w drugą stronę. Łódź oddalała się od wybrzeża, popychana prądem i wzmagającym się wiatrem. Zło i występki, pomyślałem, stają się w pełni zrozumiałe jedynie w formie anegdotycznej. Niezbyt przyjemnie jest oczywiście dowiedzieć się, że ktoś wspinając się na szczyty władzy zamordował dziewięć bezimiennych ofiar. Kiedy jednak słyszy się, że ta sama osoba zmasakrowała ołowianą rurką twarz Vita Posilico, naprawdę przewracają się w człowieku flaki.

–Dlaczego ktoś taki jak pan przyjaźni się z człowiekiem jego pokroju? – odezwał się przerywając tok moich myśli pan Mancuso.

–Czy przysłały tu pana władze, panie Mancuso, czy przyszedł pan, żeby zbawić moją duszę?

–Tak się składa, że jedno ma wiele wspólnego z drugim, panie Sutter. – Przyglądał mi się przez chwilę. – Nie znam pana – oświadczył – ale dużo o panu wiem. Wiem, że chodzi pan do kościoła, przestrzega prawa, że ma pan rodzinę, cieszy się pan renomą świętego adwokata i jest szanowanym członkiem swojej społeczności.

A Frank Bellarosa jest wrzodem na zdrowym ciele społeczeństwa. Jest bezlitosnym zbrodniarzem, człowiekiem, którego dusza będzie się przez wieczność smażyła w piekle.

Ostatnie zapewnienie zaskoczyło mnie i musiałem dać to po sobie poznać.

–Nie zamierzam się z panem spierać. Proszę przejść do rzeczy – powiedziałem.

–Potrzebna mi jest pańska pomoc.

–To znaczy?

–Mamy zezwolenie sądu na podsłuch. Ale on o tym oczywiście wie i nie mówi nic przez telefon, w związku z czym...

–Podsłuchiwaście moje rozmowy z nim?

**–Tak. Wiemy, że musiał się pan zwrócić o zgodę na przeniesienie stajni i o tym, że Bellarosa zaprosił pana na przechadzkę do Fox Point. Nawiasem mówiąc, ma pan znakomite poczucie humoru. Cieszy**



mnie także, że on wcale pana nie onieśmiela. Gładko przetyka wiele pana ironicznych uwag. Zastanawiam się dlaczego.

–Sądzę, że one po prostu nie docierają do jego topornego łba, panie Mancuso.

–Być może. Wiemy oczywiście, że odwiedziliście go państwo któregoś wieczoru i mamy fotografie, na których pan do nas macha, a także fotografie, na których widać, jak idzie pan z Bellarosą w stronę Fox Point. Wiemy również, że zabraliście go państwo razem z żoną do waszego klubu i że spowodowało to pewne zadrażnienia w stosunkach z pańskimi przyjaciółmi. Podśłuchiwalismy również rozmowy telefoniczne pańskiej żony z panią Bellarosa, a nawet kilka jej rozmów z panem Bellarosa. – Przyglądał mi się przez chwilę. – Pańska żona spędza w Alhambrze dużo czasu – dodał. – Rozumiem, że maluje obraz rezydencji. Zgadza się?

–Moja żona jest zawodową malarką. Artyści, pisarze i kurwy pracują dla każdego, kto płaci im żywą gotówką.

–Ale adwokaci nie?

–To zależy od wysokości wynagrodzenia.

–Pańska żona nie wystawiła Bellarosom rachunku za obraz.

–Skąd pan o tym wie?

–Są rzeczy, o których z przyjemnością bym pana poinformował, panie Sutter, gdyby zechciał mi pan wyświadczyć kilka uprzejmości.

Nic na to nie odpowiedziałem.

–Chcielibyśmy, żeby założył pan trzy albo cztery mikrofony w domu Bellarosy. Jeden w jego gabinecie, drugi przy wejściu, trzeci być może w oranżerii, gdzie widzieliśmy, jak naradzał się ze swoimi podwładnymi, a czwarty koniecznie w kuchni, tam bowiem najprawdopodobniej, jak każdy Włoch, załatwia większość interesów – powiedział i błysnął swymi białymi czekoladkami.

–A co z jego sypialnią?

–Nie robimy takich rzeczy. Zresztą nie dzieje się tam nic ciekawego – dodał. Podszedł do mnie po chybotającej się łodzi i oparł rękę na moim ramieniu, jakby chciał złapać równowagę. – Czy możemy na pana liczyć?

–Nie.

**-Dlaczego nie?**

**-Dlatego... że jestem jego adwokatem.**

9 – Złote Wybrzeże t. II Cofnął się o krok, jakbym poinformował go właśnie, że cierpię na zaraźliwą chorobę.

–Mówi pan serio?

–Tak. Prawdę mówiąc, on chce, żebym reprezentował go w sprawie o morderstwo Juana Carranzy.

Przyjrzałem się bacznie fizjonomii pana Mancuso. Nie była to twarz człowieka szczęśliwego. Podeszedł do poręczy i przez chwilę spoglądał na morze.

Zdałem sobie sprawę, że mówiąc mu o tym popełniłem taktyczną pomyłkę, zamiarem Bellarosa było bowiem utrzymanie całej sprawy w tajemnicy – przynajmniej do czasu jego aresztowania i rozprawy wstępnej. Ale nie był to duży błąd i wiedziałem, że w przyszłości nie uda mi się uniknąć następnych, do tej pory zajmowałem się bowiem przeważnie podatkami, testamentami i kontraktami sprzedaży domów.

W dodatku Bellarosa dał mi kiedyś do zrozumienia, że chce, abym porozmawiał z Mancuso na temat Alphonse'a Ferragamo, właściwie więc nie zdradziłem żadnej zastrzeżonej informacji.

–Chce pan wiedzieć, dlaczego zgodziłem się go bronić? – zapytałem pana Mancuso.

–Mogę na ten temat tylko spekulować, panie Sutter – odparł Mancuso nie patrząc mi prosto w twarz – wydaje mi się w każdym razie, że nie ma to nic wspólnego z pieniędzmi.

–Zgadł pan. Prawdę mówiąc, rewanżuję mu się za pewną uprzejmość. Ale przede wszystkim nie wierzę, żeby Bellarosa popełnił to konkretne przestępstwo.

Obrócił się ku mnie.

–Naprawdę? Dlaczego pan nie wierzy?

–Między innymi dlatego, że Bellarosa przekonał mnie, iż prokurator Stanów Zjednoczonych, pan Alphonse Ferragamo, po prostu wrabia go w to morderstwo. A właściwie nie wrabia, lecz wystawia na odstrzał. Chce, żeby jeszcze przed procesem załatwili go przyjaciele Carranzy albo jego własni ludzie, którzy pragną utrzymać dobre stosunki z Kolumbijczykami.

Na twarzy pana Mancuso natychmiast odbijały się wszelkie uczucia, co w

**przypadku gliniarza nie jest najbardziej pożądaną cechą. Spostrzegłem, że to, co ode mnie usłyszał, wcale nie wydało mu się takie absurdalne. Bellarosa słusznie domagał się, żebym wysuwając ten zarzut nie spuszczał z oczu słuchacza.**

–Powtórzę panu to, co powiedział mi Bellarosa – oświadczyłem i zrobiłem to. Zajęło mi to bite dziesięć minut. – Bellarosa twierdzi, że jest pan uczciwym człowiekiem – zakończyłem. – Więc skoro pan nim jest, proszę mi uczciwie powiedzieć, czy to wszystko brzmi dla pana prawdopodobnie?

Przez całą minutę przyglądał się z zainteresowaniem deskom pokładu.

–Prokurator Stanów Zjednoczonych – odparł w końcu nie patrząc mi prosto w oczy – nie naraziłby swojej kariery i własnej wolności po to, żeby się na kimś zemścić.

–Cóż, mnie też nie przyszłoby to do głowy jeszcze trzy miesiące temu, ale – w tym miejscu zacząłem naśladować włoski akcent – w tym czasie dowiedziałem się coś niecoś o pańskich paesanos, signore Mancuso, i tak sobie myślę, że może signore Bellarosa wie o tym, co się dzieje w głowie signore Ferragamo. Capiście?

Pana Mancuso wcale nie rozśmieszyły moje makaronizmy.

–Niech pan się zajmie zbawieniem duszy pana Ferragamo, panie Mancuso – powiedziałem normalnym tonem. – Niech pan mu przypomni, że zemsta to grzech. Jeżeli on zrezygnuje, ja także będę mógł się wycofać. Niech pan mu powie, żeby wymyślił dla Franka Bellarosy coś lepszego niż wrabianie go w nie popełnione morderstwo.

Niech pan mu powie, żeby grał fair.

Pan Mancuso nie odpowiadał.

Spojrzałem na zegarek.

–Pokażę panu teraz, jak się halsuje – powiedziałem. – Najpierw niech pan podniesie grot.

I tak ruszyliśmy w drogę powrotną do domu, płynąc pod wiatr i walcząc ze wzbierającym odpływem.

–Czy nie moglibyśmy po prostu włączyć silnika? – zapytał zmordowany pan Mancuso po mniej więcej półgodzinie, podczas której niewiele posunęliśmy się do przodu.

–Moglibyśmy, ale żeglowanie pod wiatr jest bardzo pouczające.

Człowiek nabiera wprawy i uczy się cierpliwości. Niech pan to traktuje alegorycznie.

**–Bezsensowna mordęga – stwierdziła załoga.**

**Okrzyliśmy Plum Point i ponieważ wiatr zaczął wiać w bardziej sprzyjającym kierunku, zaczęliśmy posuwać się trochę szybciej. Pan**

Mancuso ukląkł na przednim pokładzie, trzymając się relingu. Rozcinane dziobem fale i wypełniający żagle wiatr zdawały mu się sprawiać prawdziwą przyjemność. Zwróciłem mu uwagę, żeby założył kamizelkę ratunkową albo przywiązał się liną, ale zapewnił mnie, że świetnie pływa.

–Czy to wy donieśliście na mnie do IRS? – zawołałem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

–Nie! – odkrzyknął. – Ale wiemy o tej sprawie.

–Nie miałem co do tego wątpliwości.

–Ja tego nie zrobiłem – stwierdził. – Ma pan na to moje słowo.

–Może nie pan, ale ktoś z pańskiego biura – odparłem przekrzykując wiatr i szum wody.

–Nie. My nie zadajemy się z IRS. To niezgodne z prawem, a poza tym nie mamy do nich zaufania.

–Więc może potraficie jakoś załagodzić tę sprawę?

–Możemy się za panem wstawić. Ale nie jestem w stanie panu niczego obiecać.

Tymczasem Frank Bellarosa i pan Melzer obiecali mi coś bardzo konkretnego i to bez żadnych warunków wstępnych. Było to skrajnie przygnębiające i demoralizujące.

–Chce pan, żebym się za panem wstawił? – zawołał.

–Jasne. Może pan im powiedzieć, że chodzę regularnie do kościoła i że dobry ze mnie żeglarz.

–To się da zrobić. Założy pan dla mnie te mikrofony?

–Nie mogę.

–Na pewno pan może. Musi pan tylko zrezygnować z obrony Bellarosy. Musi pan przestrzegać zasad moralnych.

Pan Mancuso dobrze się czuł w roli moralisty.

–Niech pan opuści kliwer! – zawołałem do niego.

**-Co?**

**-Ten żagiel, który trzepocze nad pana głową.**

**Spuścił kliwer, następnie fok i grot, a ja uruchomiłem silnik. Kiedy ma się niedoświadczoną załogę, lepiej wpłynąć do portu na silniku, unikając wstydu, jakim groziłoby zderzenie z jedną z zacumowanych łodzi w obecności popijających na klubowej werandzie gości.**

**Po dopłynięciu do pomostu wyłączyłem silnik, a pan Mancuso wprawnym ruchem zarzucił cumę. Przycumowaliśmy "Paumanoka", po czym obaj zeszliśmy do kabiny, żeby zabrać swoje rzeczy.**



–Pan broni Franka Bellarose – powiedział pan Mancuso zakładając z powrotem swój krawat i kaburę z rewolwerem – nie tylko dlatego, że pana zdaniem nie popełnił tego morderstwa. Tak mógłby powiedzieć każdy adwokat. Sądzę, że igra pan po prostu z ogniem, ponieważ lubi pan niebezpieczeństwo. Na przykład żeglowanie nocą podczas burzy. Wiem, że życie potrafi być nudne, panie Sutter, i ludzie, którzy mają czas i pieniądze, potrzebują czasem jakiejś podniety. Niektórzy uprawiają hazard, inni biorą udział w wyścigach samochodów albo łodzi, jeszcze inni wybierają się na wspinaczkę albo mają romanse. Są tacy, którzy robią to wszystko.

–Wszystko naraz?

–Za dreszcz emocji płaci się pewną cenę, panie Sutter. Ponosi się konsekwencje. Niebezpieczeństwo naprawdę jest niebezpieczne.

–Wiem o tym, panie Mancuso. Gdzie uzyskał pan swój dyplom prawa, jeśli wolno spytać?

–W Georgetown.

–Wspaniale. Mógłbym podwoić pańskie obecne wynagrodzenie.

Potrzebujemy katolika. Odsłużył pan swoje dwadzieścia lat w FBI.

Uśmiechnął się.

–Nie liczę lat, które pozostały mi do końca służby, panie Sutter.

Chcę zrobić to, co do mnie należy. I jeśli na zgniecenie mafii w Nowym Jorku będziemy potrzebować kolejnych dwudziestu lat, wtedy, jeśli Bóg pozwoli, wciąż będę się zajmował tą sprawą.

–Proszę w każdym razie nie zapominać o tym, co panu zaproponowałem. To poważna oferta.

–Dziękuję, że pan o mnie pomyślał. Chciałem panu niemniej oznajmić, że zło jest kuszące, a...

–Co pan powiedział? – Że zło jest kuszące. Rozumie pan?

–Tak...

–A cnota nudna. Zło wydaje się przynosić więcej korzyści niż cnota, ale ta ostatnia, panie Sutter, sama w sobie stanowi nagrodę.

**Wie pan o tym.**

**–Oczywiście, że wiem. Jestem uczciwym człowiekiem. I nie robię niczego nieuczciwego pracując dla Franka Bellarosa.**

**Pan Mancuso założył marynarkę i podniósł z podłogi buty razem ze skarpetkami.**

–Już samo zadawanie się z Frankiem Bellarosą jest nieetyczne, niemoralne i niemądre – oświadczył. – Bardzo niemądre. – Przysunął się do mnie jeszcze bliżej w ciasnej przestrzeni kuchenki. – Niech pan mnie posłucha, panie Sutter. Proszę zapomnieć, że prosiłem pana o założenie pluskiew w domu Bellarosy i że być może rzeczywiście nie popełnił on tego konkretnego morderstwa. Ten człowiek jest zły.

Polubiłem pana, panie Sutter, i chciałbym dać panu dobrą radę. Niech pan powie Frankowi Bellarosie, żeby się od pana odczepił i trzymał się z daleka od pana i od pańskiej żony. – Złapał mnie za ramię i zbliżył swoją twarz tuż do mojej. – Przemawia przeze mnie głos prawdy. Niech pan wysłucha tego głosu. Ten człowiek zniszczy pana i pańską rodzinę. I to będzie pańska wina, panie Sutter, nie jego. Na litość boską, niech pan mu każe, żeby zostawił pana w spokoju.

Miał oczywiście całkowitą rację.

–Dziękuję – odpowiedziałem. – Ja też pana polubiłem, panie Mancuso. Przywrócił pan moją wiarę w ludzkość, ale nic poza tym.

Przemyśle sobie to, co mi pan powiedział.

Puścił moje ramię.

–Dziękuję za wycieczkę, panie Sutter. Życzę przyjemnego dnia. – Wspiął się po schodkach i zniknął na zewnątrz.

Wszedłem na pokład po jakiejś minucie i zobaczyłem, jak stoi na pomoście i zakłada buty. W pobliżu kręciło się teraz kilku gapiów i wszyscy oni przyglądali się mężczyźnie w garniturze, który dopiero co zszedł z mojej łodzi. Co najmniej kilku z nich doszło najprawdopodobniej do przekonania, że pan Mancuso jest przyjacielem Franka Bellarosy – podobnie jak był nim John Sutter – i że zatopili właśnie w morzu kilka trupów.

–Ferragamo i Bellarosa powinni siedzieć w tej samej celi! – zawołałem do pana Mancuso. – A my powinniśmy wybrać się jeszcze kiedyś na żagle.

Pomachał do mnie i zniknął za dużym, przycumowanym do nabrzeża, mierzącym pięćdziesiąt pięć stóp jachtem klasy Allied, który chętnie bym kupił, gdybym miał trzysta tysięcy dolarów.

Wyjąłem ze skrzynki trochę pasty i zabrałem się do polerowania miedzianych okuć. Robiłem to tak długo, aż załśniły w promieniach słońca.

Rozdział 24 Tydzień po tym, jak wybrałem się z panem Mancuso na żagle, pomagałem George'owi Allardowi zasadzić bukszpan w miejscu, gdzie stała niegdyś centralna część stajni. Praca była ciężka i mogłem zlecić ją wyspecjalizowanej firmie, ale prawdę mówiąc, lubię sadić krzewy, a George, kiedy tylko może, stara się pomóc zaoszczędzić staremu kutwie Stanhope'owi kilka dolców.

Pracujący wspólnie mężczyźni – choćby nawet dzieliły ich różnice klasowe – powracają jakby do stanu pierwotnego i instynktownego braterstwa. W związku z tym całkiem przyjemnie gawędziło mi się z George'em, a i on sam wydawał się trochę bardziej niż zwykle rozluźniony, żartując, a nawet opowiadając niedyskretne historie o swoim chlebodawcy.

–Pan Stanhope – oznajmił mi – zaproponował mojej żonie i mnie dziesięć tysięcy dolarów za to, żebyśmy wyprowadzili się ze stróżówki. A kto, jego zdaniem, będzie odwalał całą tę robotę, kiedy nas tutaj zabraknie?

–Pan Stanhope ma być może kupca na całą posiadłość – odparłem.

–Ma kupca? A któż to taki?

–Nie jestem pewien, czy rzeczywiście ma, George, ale jeżeli tak, to chce, żeby w skład oferty wchodziła pusta stróżówka. A może chce ją sprzedać oddzielnie.

–No cóż – odparł kiwając głową George – nie chcę sprawiać kłopotów, ale...

–Nie musisz się tym przejmować. Zajrzałem do testamentu Augusta Stanhope'a i jest tam jasno powiedziane, że ty i pani Allard macie dożywotnie prawo użytkowania stróżówki. Nie pozwól Williamowi Stanhope'owi wywierać na siebie presji i nie przyjmuj jego oferty. W tej okolicy zresztą nie mógłbyś wynająć niczego podobnego za mniej niż dwadzieścia tysięcy rocznie – dodałem.

–Wiem o tym, panie Sutter. To właściwie nie była formalna propozycja, a nawet gdyby zaproponował więcej i tak bym się stąd nie wyniósł. To mój dom.

–To dobrze. Potrzebujemy cię przy bramie.

Dzień był gorący, a praca ciężka jak na człowieka w jego wieku. Ale mężczyźni ogarnia w takich sytuacjach duch współzawodnictwa i George chciał pokazać, że potrafi dotrzymać mi kroku.

**–Na razie wystarczy – powiedziałem mu w południe. – Spotkamy się tutaj znowu o drugiej.**

**Przespacerowałem się do siebie i zjadłem w pojedynkę lunch, ponieważ Susan nie było akurat w domu. Potem napisałem list do mojej siostry, Emily. Kiedy wróciłem do George'a, zastałem go leżącego na ziemi pomiędzy nie zasadzonymi krzewami. Uklękłem przy nim, ale nie dawał znaków życia. George Allard był martwy. Nikt nie strzegł już bramy wiodącej do Stanhope Hall.**

**W czuwaniu przy zwłokach w domu pogrzebowym w Locust Valley uczestniczyła całkiem pokaźna liczba zaprzyjaźnionych z Allardami starych służących, zatrudnionych w innych posiadłościach. Co ciekawe, pojawiło się również kilku przedstawicieli starej arystokracji, dam i dżentelmenów reprezentujących świat, którego dawno już nie ma. Wyglądali jak duchy, które przybyły, by uczcić pamięć jednego ze swoich.**

**Do przyjazdu z Hilton Head poczuli się oczywiście zobligowani Stanhope'owie. W gruncie rzeczy nie życzyli George'owi źle, ale wiadomo było, że temat jego śmierci od wielu lat pojawiał się w ich prywatnych rozmowach i gdyby ktoś ich przypadkiem podsłuchał, mógłby odnieść wrażenie, że czekali na nią z utęsknieniem.**

**Brat Susan, Peter, wciąż starał się odnaleźć sens życia – w tym**

miesiącu w Acapulco – i w związku z tym nie mógł sobie pozwolić na zastanawianie się nad sensem śmierci.

Niestety nie udało mi się zawiadomić na czas przebywającej na Kubie Carolyn, ale z Cocoa Beach przyleciał Edward.

Wielu mieszkających w Locust Valley i Lattingtown członków mojej rodziny odwiedziło dom pogrzebowy, wszyscy bowiem znali i lubili Allardów. Moi rodzice, z tego, co usłyszałem od ciotki Cornelii, udali się w podróż do Europy, nigdy zatem się nie dowiem, czy przybyliby na pogrzeb, gdyby o nim wiedzieli. Mało jednak mnie to w rzeczywistości obchodziło, postanowiłem bowiem nie przywiązywać głębszego znaczenia do żadnych gestów z ich strony.

Nie było powodu, żeby Emily przyjeżdżała tutaj aż z Teksasu, nie znała bowiem aż tak dobrze Allardów. Przysłała za to czek, który miałem wręczyć Ethel. Zwyczaj urządzania zbiórki na rzecz wdowy po starym słudze jest, jak sądzę, pozostałością z czasów, kiedy służba nie była objęta ubezpieczeniem na życie. Dużo ludzi wręczyło mi чеки albo gotówkę dla Ethel. Wiedział o tym naturalnie William Stanhope, sam jednak nie zaofiarował ani centa. Uważał pewnie, że nie musi dawać nic ekstra, skoro nadal ciąży na nim nałożony przez testament Augusta obowiązek wypłacania jej miesięcznego wynagrodzenia, wynikający z faktu, że Ethel wciąż trwała na posterunku przy bramie, a także, skoro George miał spocząć na cmentarnej działce Stanhope'ów.

Prawdę mówiąc, więcej jest tam miejsca niż pozostałych przy życiu członków rodziny, William nie ofiarowywał więc, jak zwykle, niczego wartościowego.

Bellarosowie nie mieli żadnego powodu, aby odwiedzać dom pogrzebowy, ale Włosi, jak odkryłem po latach, rzadko kiedy przepuszczają czyjś pogrzeb. Frank i Anna wpadli zatem któregoś popołudnia, powodując swoim pojawieniem się szmer podniecenia, tak jakby byli co najmniej gwiazdami kina. Uklękli przy trumnie, przeżegnali się, poprawili szarfy na przysłanym wcześniej w ich imieniu wieńcu – który nawiasem mówiąc ledwo dało radę przytaskać dwóch tragarzy – i poszli. Widać było, że to dla nich normalka.

Remsenowie odwiedzili dom pogrzebowy późnym popołudniem w piątek – już po dzwonku na zamknięcie, ale przed godziną szczęścia w "The Creek" – i ostentacyjnie mnie unikali, choć wdali się w krótką pogawędkę z Susan.

**Ktoś mógłby pomyśleć, że w obliczu śmierci ludzie powinni w większym stopniu odczuwać dobrodziejstwa życia i dostrzegać jego sens. Ktoś mógłby pomyśleć. Ale szczerze mówiąc, w środku domu pogrzebowego targaly mną te same pretensje i żale, które odczuwałem na zewnątrz. Dlaczego więc Lester Remsen, William Stanhope i ktokolwiek inny miałby się zachowywać inaczej?**

**DePauwowie, Potterowie i Vandermeerowie, którzy mogli wpaść na chwilę jako nasi przyjaciele i sąsiedzi, a także z prostego poczucia noblesse oblige, przysłali tylko kwiaty. Nie chciałem – choć mógłbym – wyciągać z tego daleko idących wniosków. Byłem pewien, że na mój pogrzeb pofatygują się osobiście. Przyjechali za to Jim i Sally Rooseveltowie. Jim był bardzo dobry dla Ethel, siedząc z nią przez godzinę i trzymając za rękę. Salty do twarzy było w czerni.**

**Pochowaliśmy George'a Allarda w przyjemny sobotni poranek, po nabożeństwie odprawionym w kościele św. Marka. Na oddalonym o kilka mil od Stanhope Hall prywatnym, nie opatrzonym żadną tabliczką cmentarzu leżą bogacze, którym w farańskim stylu towarzyszy kilkudziesięciu służących (choć żaden z nich nie został pozbawiony życia podczas pogrzebu swojego pana), kilka tuzinów zwierząt domowych, w tym dwa kucyki, z których jeden odpowiedzialny był za śmierć dosiadającego go jeźdźca. Starzy bogacze lubią popisywać się swoimi dziwactwami do samego końca, a nawet potem.**

**Jak już wspomniałem, George został pochowany na parceli Stanhope'ów, która zajmuje okazały kawałek ziemi i stanowi ostatni jej skrawek, który rodzina ta miała posiadać na obszarze Long Island.**

**Przy grobie zgromadziło się około piętnastu osób. Honory gospodarza pełnił wielbny Hunnings. Obecna była wdowa, córka Allardów, Elizabeth, razem z mężem i dwójką dzieci, William i Charlotte Stanhope'owie oraz Susan, Edward i ja, a także kilka innych, bliżej nie znanych mi osób.**

**Zgodnie ze zwyczajem kondukt przeszedł w drodze na cmentarz obok domu zmarłego i zobaczyłem, że ktoś zawiesił na bramie Stanhope Hall żałobny wieniec. Nie oglądałem tego tutaj od lat. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego zanikł ten zwyczaj, coż bowiem może być bardziej naturalnego, niż oznajmić światu i nieproszonym gościom, że w tym domu złożyła swoją wizytę śmierć, i że nie, dziękujemy bardzo, nie potrzebujemy dzisiaj żadnej encyklopedii ani produktów firmy Avon.**

–Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz – oznajmił wielebny Hunnings rzucając garść ziemi na wieko trumny. To jest chwila, kiedy może się on nareszcie wykazać. Na mnie jednak Hunnings zawsze sprawiał i sprawia wrażenie naturalistycznego aktora, od wielu lat grającego nieprzerwanie rolę kapłana w off-broadwayowskim przedstawieniu. Dlaczego nie lubię tego człowieka? Może dlatego, że okręcił sobie wokół palca wszystkich oprócz mnie. Choć właściwie George także przejrzał go na wylot.

Mowa Hunningsa była właściwie całkiem sympatyczna, zauważyłem jednak, że ani razu nie wspomniał o niebie jako o realnej możliwości.

Rzeczywiście nie ma sensu rozprawiać o miejscu, w którym nigdy się nie było i którego nie ma się raczej szansy odwiedzić.

Fakt, że byłem ostatnim człowiekiem, który widział George'a i z nim rozmawiał, a także, że umarł robiąc to, co w życiu lubił najbardziej i w miejscu, gdzie lubił to robić, sprawiał mi jakąś przewrotną przyjemność. Opowiedziałem Ethel i jej córce Elizabeth o naszej ostatniej rozmowie, trochę ją oczywiście koloryzując, żeby podnieść je na duchu. Tak czy inaczej, George umarł jako szczęśliwy człowiek, a jest to coś, o czym większość z nas może tylko marzyć.

Ja sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby paść trupem na własnej ziemi, gdybym oczywiście jakkolwiek posiadał. Jeszcze bardziej odpowiadałaby mi, być może, śmierć na łodzi, podczas rejsu, a potem typowy marynarski pogrzeb. Wielce niepokoi mnie myśl, że mógłbym wyzionąć ducha przy własnym biurku. Ale gdybym mógł naprawdę wybrać moment i sposób własnej śmierci, chciałbym umrzeć jako osiemdziesięciolatek zastrzelony przez zazdrosnego męża w ramionach jego dwudziestoletniej żony.

Nabożeństwo przy grobie skończyło się i wszyscy ruszyliśmy do czekających na nas samochodów rzucając po drodze kwiaty na trumnę.

Wsiadając razem z Susan do jaguara, obejrzałem się i zobaczyłem, że Ethel wciąż stoi przy grobie. Limuzyna, którą wynajęliśmy dla niej i dla jej rodziny, właśnie ruszała i dałem znak kierowcy, żeby się zatrzymał. Uchyliła się szyba w tylnych drzwiach.

–Mama chce być przez chwilę sama – poinformowała mnie Elizabeth. – Kierowca przyjedzie po nią z powrotem.

–Rozumiem – odparłem. – Lepiej będzie, jak ja po nią przyjadę – dodałem po chwili. Tak łatwo złożyć na barki profesjonalistów





wszelkie sprawy związane ze śmiercią. Zastąpienie ich wymaga silnej woli i chwili namysłu.

–To bardzo miło z pana strony – odparła Elizabeth. – Dziękuję.

Zobaczymy się w kościele. – Jej samochód ruszył, a ja wślizgnąłem się za kierownicę jaguara.

–Gdzie jest Edward? – zapytałem Susan.

–Zabrał się ze swoimi dziadkami.

–W porządku. – Wpasowałem się za czyjś samochód i wyjechałem z cmentarza.

Mimo unifikacji, która objęła większość ceremonii i obrzędów, na przykład weselnych, mamy w tym kraju bardzo różne obyczaje pogrzebowe. W naszej okolicy, jeśli ktoś należy do parafii św. Marka, po pogrzebie udaje się na ogół do kościelnej zakrystii, gdzie złożony z dobrych chrześcijanek komitet przygotowuje lekki posiłek oraz napoje orzeźwiające (choć właściwie przydałoby się coś mocniejszego).

Nie jest to stypa w pełnym rozumieniu tego słowa, ale można tu powspominać nieboszczyka i przez kilka dodatkowych godzin wesprzeć na duchu pogrążonych w żałobie bliskich.

Jadąc do kościoła, podziwiałem Ethel, która postanowiła nie trzymać się ściśle ustalonego programu i spędzić trochę czasu przy grobie swego męża; tylko ona i George.

–Okazałeś się bardzo troskliwy – pochwaliła mnie Susan.

–Jestem niezwykle troskliwym człowiekiem – przyznałem.

Zamiast przytaknąć, postanowiła zadać mi podchwytliwe pytanie.

–Czy płakałbyś nad moim grobem?

Wiedziałem, że powinienem szybko udzielić twierdzącej odpowiedzi, rzecz jednak wymagała, prawdę mówiąc, zastanowienia.

–To naprawdę zależałoby od sytuacji – odparłem w końcu.

–Co przez to rozumiesz?

**–A gdybyśmy byli na przykład rozwiedzeni?**

**–Nawet wtedy mógłbyś mnie oplakiwać – odparła po sekundzie. – Ja płakałabym na twoim pogrzebie, choćbyśmy byli rozwiedzeni od wielu lat. – Łatwo powiedzieć. Ilu byłych współmałżonków widuje się na pogrzebach? Małżeństwo może, ale nie musi trwać aż do śmierci.**

**Wieczne są tylko więzy krwi.**

**–Jesteś Włochem, czy co? – powiedziała śmiejąc się.**

–Co powiedziałaś?

–Nic... tak się składa, że niedawno oznajmiłeś swoim dwóm najbliższym krewnym – konkretnie matce i ojcu – żeby się od ciebie odczepili.

–Mimo to wezmą udział w moim pogrzebie, a ja w ich. Również nasze dzieci przyjdą na mój i twój pogrzeb. My natomiast możemy nie znaleźć na to czasu.

–Ja na pewno znajdę. Masz na to moje słowo.

Nie podobał mi się ten temat, w związku z czym postanowiłem go zmienić.

–Nie uważasz, że Ethel może czuć się trochę osamotniona w stróżówce? – zapytałem.

–Będę ją częściej odwiedzała. Być może powinniśmy ją zapraszać na obiad kilka razy w tygodniu. – Świetny pomysł. – Właściwie pomysł był taki sobie, nie cenię bowiem wcale towarzystwa Ethel, choć cenię ją jako osobę – nawet jeśli jest socjalistką. Najlepiej byłoby, gdyby przeniosła się do swojej córki republikanki, ale nie wydawało się to możliwe.

Zauważyłem również, że William Stanhope przyglądał się wdowie badawczym wzrokiem, tak jakby zastanawiał się, jak długo jeszcze pociągnie. Nie miałem wątpliwości, że poprosi mnie któregoś dnia na stronę i powie, żebym zaproponował Ethel opuszczenie stróżówki.

William nie mógł się oczywiście doczekać, żeby sprzedać odznaczający się oryginalną architekturą domek jakiemuś yuppie\*, względnie odnoszącemu sukcesy artyście albo w ogóle komukolwiek, kto ma romantyczne usposobienie i ćwierć miliona dolarów na koncie. Gdyby zaś zdecydował się kupić całą posiadłość Bellarosa, wtedy, zgodnie z tym, co powiedziałem George'owi, William będzie starał się pozbyć wszystkich przypisanych do niej poddanych (skoro nie może ich sprzedać łącznie z ziemią).

Jeśli zatem mój teść poprosiłby mnie o wykurzenie stąd biednej starej Ethel, zapewniłbym go oczywiście, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, w rzeczywistości jednak postępowalbym wprost przeciwnie – tak jak to robiłem nie dalej jak kilka dni temu w rozmowie \* Yuppie (young urban professional) młody, zdolny i dobrze zarabiający profesjonalista lat osiemdziesiątych.

z George'em. William Stanhope jest monumentalnym fiutem – do tego stopnia pozbawionym wszelkiej wrażliwości i zapatrzonym we własny pępek, że ma czelność domagać się, abym pomógł mu się wzbogacić. Wyobraża sobie, że załatwię za darmo sprawy związane ze sprzedażą posiadłości tylko dlatego, że ożeniłem się z jego córką.

**Bezczelny świntuch.**

**–Matka i ojciec dobrze wyglądają – oznajmiła Susan. – Są opaleni i w świetnej formie.**

**–Przyjemnie było ich znowu zobaczyć.**

**–Zostaną tutaj przez trzy albo cztery dni.**

**–Naprawdę nie mogą zatrzymać się dłużej?**

**Rzuciła mi przeciągłe spojrzenie i zdałem sobie sprawę, że wystawiłem na szwank moją wiarygodność. Nie kazałem na razie Williamowi i jego żonie wynosić się do diabła, tak jak to sobie zaplanowałem, i właściwie byłem z tego zadowolony, skomplikowałyby to bowiem moje i tak pogmatwane stosunki z Susan.**

**Zajechałem pod kościół i Susan otworzyła drzwi samochodu.**

**–To było bardzo wzruszające – oświadczyła. – To, że Ethel została tam, żeby przez chwilę побыć sama ze swoim mężem. Żyli ze sobą razem przez pół wieku. Dzisiaj nie ma już takich małżeństw.**

**–Nie ma. Wiesz, dlaczego mężowie umierają wcześniej niż ich żony? – zapytałem.**

**–Nie, dlaczego?**

**–Bo nie mają ochoty żyć z nimi dłużej.**

**–Zobaczymy się później.**

**Susan wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę zakrystii, a ja pojechałem z powrotem na cmentarz.**

**Pogrzeby skłaniają człowieka do refleksji nad własnym życiem. Jeśli potrzebny jest komuś dowód na to, że nie będzie żył wiecznie, wystarczy, że rzuci okiem na wykopaną w ziemi dziurę. Zaczyna się wtedy zastanawiać, czy żyje w sposób właściwy, a potem pyta sam siebie, jakie to ma w końcu znaczenie. Skoro Hunnings i**

**kohorty jemu podobnych usunęli z naszej wyobraźni wypełnione płomieniami piekła i obietnicę czterogwiazdkowego nieba, któż będzie się przejmował tym, co robi na ziemi? No cóż, ja będę, ponieważ nadal wierzę w dobro i zło, a także, przyznaję to bez wstydu, w komfortowe niebo. Wiem, że poszedł tam George, nawet jeżeli zapomniał o tym wspomnieć wielebny Hunnings.**

Niezależnie jednak od tego, co stanie się z nim po śmierci, człowiek zastanawia się, czy potrafi zaznać trochę więcej przyjemności w życiu doczesnym. Mnie na przykład wciąż żyje się całkiem nieźle, ale pamiętam czasy, kiedy w moim domu sprawy wyglądały lepiej. Muszę zatem odpowiedzieć sobie na stare jak świat pytanie: wyprowadzić się czy przeprowadzić remont?

Skręciłem w bramę cmentarza i ruszyłem wysadzaną drzewami aleją w stronę parceli Stanhope'ów. Ciekawe, że ta rodzina, która potrzebowała tyle ziemi w życiu doczesnym, tak wygodnie mieściła się teraz na obszarze jednego akra i wciąż mogła przyjąć nowych lokatorów.

Zatrzymałem samochód w niewielkiej odległości od grobu i spostrzegłem, że grabarze właśnie kończą zasypywać go ziemią. Nie było przy nich Ethel.

Wysiadłem z samochodu i ruszyłem w stronę grobu, żeby zapytać grabarzy, gdzie mogła się podziać wdowa. Ale potem spojrzałem na południowy skraj parceli, tam gdzie spomiędzy gęstej roślinności wynurzały się stare marmurowe nagrobki.

Odwrócona do mnie plecami Ethel Allard stała przy grobie, na którym widniało nazwisko AUGUST STANHOPE.

Przyglądałem się jej przez sekundę albo dwie, czując, że przeszkadzam w bardzo intymnej sytuacji. Jeśli mam być jednak szczery, nie znalazłem się tutaj przypadkowo – coś kazało mi szukać Ethel właśnie w tym miejscu. Mogłem cofnąć się za żywoplot i zawołać ją – tak uczyniłby zapewne dawny John Sutter. Zamiast tego zbliżyłem się do niej.

–Czas wracać, Ethel – powiedziałem.

Obejrzała się przez ramię i nie okazując śladu zdziwienia czy zakłopotania skinęła głową. Mimo to nadal nie ruszała się z miejsca.

W końcu rzuciła trzymaną przez siebie białą różę na grób Augusta Stanhope'a.

Kiedy się odwróciła i podeszła do mnie, zobaczyłem, że ma łzy w oczach. Ruszyliśmy razem w stronę mojego samochodu.

–Bardzo go kochałam – powiedziała.

–Oczywiście.

Kogo kochała?

**-I on kochał mnie z całego serca.**



–Jestem o tym przekonany.

Kto kochał?

Zaczęła płakać i objąłem ją. Właściwie to ona złożyła swoją głowę na moim ramieniu i tak połączeni kroczyliśmy w stronę samochodu.

–Ale to było nie do pomyślenia. Nie w tamtych czasach.

Aha. Mój Boże, jacy jesteśmy czasem zabawni.

–Dobrze chociaż, że coś w życiu miałaś. Lepsze to niż nic – powiedziałem.

–Wciąż mi go brakuje.

–To bardzo piękne. Bardzo urocze.

I rzeczywiście takie było, nawet w tych dziwacznych okolicznościach, zważywszy przyczynę naszej tutaj obecności. A morał z tego był następujący: Ruszaj na spotkanie swego przeznaczenia. Jest później, niż myślisz.

Wsadziłem ją do samochodu i pojechaliśmy z powrotem do kościoła nie zamieniając już po drodze ani słowa.

Następnego ranka po pogrzebie kończyliśmy z Edwardem sadzenie bukszpanu. Machaliśmy łopatami w palącym słońcu, a on spoglądał na mnie podejrzliwie, jakbym za chwilę miał wyzionąć ducha.

–Odpocznij trochę, tato – powiedział w końcu.

–Jestem w szczytowej formie. To tobie potrzebny jest odpoczynek.

Usiedliśmy pod orzechem i napiliśmy się źródlanej wody. Dzieci nie rozmyślają dużo o śmierci i tak właśnie powinno być. Kiedy jednak staną z nią twarzą w twarz, nie zawsze potrafią prawidłowo przetworzyć i umieścić w odpowiednim kontekście to, co widzą. Po niektórych spływa to jak woda po kacze, inni wpadają w melancholię.

Porozmawialiśmy zatem przez chwilę o śmierci i o umieraniu. Nie doszliśmy do żadnych rewelacyjnych wniosków, ale mieliśmy przynajmniej temat z głowy.

Szczęście Edwarda polega na tym, że żyje cała czwórka jego dziadków – no, może szczęście nie jest w przypadku tych czworga najodpowiedniejszym słowem – ale dzisiaj zdarza się to coraz częściej, ponieważ ludzie żyją dłużej. Pogrzeb George'a

**Allarda był właściwie pierwszym, w którym uczestniczył Edward. Licząca  
dziewiętnaście lat Carolyn także nie była dotychczas na żadnym. Myślę, że wszyscy  
uwierzyliśmy w pewnym stopniu, iż w nowoczesnym amerykańskim**

społeczeństwie śmierć stanowi coś w rodzaju anomalii, a zmarły i jego rodzina padli ofiarą jakiegoś podłego oszustwa. – Śmierć należy do naturalnego porządku rzeczy – powiedziałem. – Nie chciałbym żyć w świecie, w którym jej nie ma. Dawno temu nazywano ją ostatnią nagrodą. I wciąż nią jest.

–Chyba tak. Ale gdy umiera dziecko?

–To o wiele trudniej pojąć i trudniej się z tym pogodzić. Nie potrafię ci na to odpowiedzieć.

W tym mniej więcej stylu boksowaliśmy się przez jakiś czas ze śmiercią. Amerykańscy rodzice mają hopla na punkcie pierwszej rozmowy o seksie; kiedy powinno się ją odbyć i co powinno się powiedzieć. Uważam jednak, że powinni poświęcić co najmniej tyle samo czasu i myśli, żeby przygotować swoje dzieci na moment, w którym po raz pierwszy zetkną się ze śmiercią kogoś bliskiego.

–Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli jutro wrócę na Florydę? – zapytał Edward, kiedy skończyliśmy sadzenie bukszpanu.

–Dobrze się tam bawisz?

–Tak.

–Więc jedź. Dziewczyny są w porządku?

–No... tak.

–Czy na zajęciach z przysposobienia seksualnego nauczyli cię, jak bezpiecznie i odpowiedzialnie się kochać?

–Tak.

–Czy jest coś, co chciałbyś jeszcze wiedzieć o bezpiecznym seksie?

–Nie. Mam powyżej uszu tego tematu.

Uśmiechnąłem się.

–A może chciałbyś dowiedzieć się czegoś o przyjemnym seksie?

–Pewnie – wyszczerzył zęby. – Jeśli cokolwiek wiesz na ten temat.

–Lepiej uważaj, mądralo. – Wydaje mi się, że wiem, po kim ten dzieciak odziedziczył

**swoje poczucie humoru.**

**Wróciliśmy do domu, umyliśmy się, a potem wybraliśmy się na przejażdżkę, Edward na Zanzibarze, a ja na Jankesie.**

**–Wspomniałeś kiedykolwiek panu Bellarosie o tym, że sprzedaję dom, żeby spłacić zaległości podatkowe? – zapytałem go, kiedy przekraczaliśmy granicę Alhambry.**

**Przyjrzał mi się uważnie.**

10 – Złote Wybrzeże t. II –

Nie. Dlaczego miałbym mu to opowiadać?

–Sprawiał wrażenie, jakby o tym wiedział.

–Nie ode mnie.

–Widziałem obraz, który namalowała mama – odezwał się po minucie, na zasadzie luźnych skojarzeń. – Jest naprawdę wspaniały.

Oglądałeś go?

–Jeszcze nie.

Jeździliśmy aż do zmierzchu, a potem spotkaliśmy się z Susan w rybnej restauracji przy cieśninie i zjedliśmy razem kolację. Rozmawialiśmy o rekinie, który nie dał się złapać, o łodzi podwodnej, która wynurzyła się z głębiny, i o obiedzie w "Buddy's Hole", który był jednocześnie zabawny i smutny. Mówiliśmy o rzeczach, które przejdą do rodzinnej historii tego lata: lata zmian, dorastania i śmierci.

Następnego ranka odwiozłem Edwarda na lotnisko. W dzisiejszych czasach nie trzeba się już żegnać z odlatującymi przy wejściu, ale uścisnąłem mu dłoń, zanim przeszedł przez bramkę kontrolną, a potem patrzyłem, jak znika w tłumie.

William i Charlotte Stanhope'owie nie zamieszkali, dzięki Bogu, u nas, lecz w jednym z domków gościnnych "The Creek". William wykorzystał przyjazd na pogrzeb George'a, żeby załatwić parę spraw w Nowym Jorku.

Zgodnie z sugestią Susan pan na Stanhope złożył wizytę biskupowi Alhambry. Najpierw spotkali się w Alhambrze, gdzie nie byłem obecny, a potem przenieśli się do Stanhope Hall. Łazili po całej posiadłości, kopali cegły i w końcu dobili targu. Właściwie nie widziałem, jak go dobijali, ale potrafię wyobrazić sobie, jak trykają się rogami w świętym gaju – z rozszczepionymi kopytami, wijącymi się ogonami i widłami w rękach.

Wybraliśmy się tego wieczoru do Locust Valley na wspólną kolację – John i Susan razem z Williamem i Charlotte. William wybrał stosowną w tej sytuacji włoską restaurację, bardzo dobrą i bardzo drogą. W przeciwieństwie do moich rodziców William zna się na restauracjach. Ale jest jednocześnie moim klientem, a ponieważ mieliśmy porozmawiać przez chwilę o interesach, spodziewał się, że obciążę rachunkiem konto firmy Perkins, Perkins, Sutter Reynolds.



Wykręca mi taki numer za każdym razem, kiedy tu przyjeżdża, chociaż moja firma – a także ja osobiście – nie zarobiła dotąd u niego marnych dziesięciu centów. W związku z tym nie mam innego wyjścia i reguluję rachunek własną kartą kredytową.

–Twój sąsiad kupił nie tylko rezydencję, ale cały teren – przystąpił do omawiania interesów William. – Sporządzimy kontrakt jutro rano. Dwa miliony z góry, osiemnaście po sfinalizowaniu. o dziesiątej będę w twojej kancelarii w Locust Valley i przyjrzymy się szczegółom. Bellarosę reprezentuje firma Cooper Stiles w Glen Cove. Znasz ich, więc nie powinno być żadnych problemów z kontraktem. Chcę sfinalizować wszystko w ciągu kilku tygodni. Facet ma pieniądze. Nie ma sensu czekać. Zawiadom jutro urząd podatkowy, że mogą skreślić posiadłość z listy oczekujących na licytację. Dostaną swoje pieniądze w ciągu trzydziestu dni. Załatw to w pierwszej kolejności. Od razu też zadzwoń do biura Cooper Stiles. Uprzedź ich, że dostaną kontrakt i powiedz, żeby zapoznali się z nim do jutrzejszego popołudnia. Chcę, żeby pojutrze mogli go pokazać swojemu klientowi. Nie życzę sobie żadnych adwokackich sztuczek i przeciągania sprawy. Całe imperium japońskie poddało się w ciągu pięciu minut – tyle zajęło podpisanie jednostronicowego dokumentu.

Skąd o tym wiesz? Łowiłeś przecież w tym czasie ryby przy brzegu Martha's Vineyard.

–Tak jest, sir.

–Chciałbym też, żebyś zachował w tej sprawie dyskrecję.

–Tak jest, sir.

–Sądzę, że temu bałwanowi wydaje się, że podzieli teren na działki i robi na tym złoty interes. Chcę sfinalizować wszystko, zanim dowie się, że to mrzonki. Porozmawiaj o tym z firmą Cooper Stiles, dając im w oględny sposób do zrozumienia, o czym nie powinni informować swego klienta. Zresztą i tak mu nie powiedzą, bo zależy im na prowizji.

–Tak jest, sir.

O Franku Bellarosie można było powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że był bałwanem. – • Sądzi pewnie, że uda mu się przekupić albo zastraszyć urzędników i że zmieniają klasyfikację tych gruntów. Musi się jeszcze wiele nauczyć, jak załatwia się sprawy publiczne w tym kraju.

–Sądzę, że potrzebuje większego terenu, żeby mieć gdzie zakopywać trupy – powiedziałem.

William rzucił mi poirytowane spojrzenie. Facet nie znosi moich dowcipów i chyba dlatego tak go nienawidzę.

–Bellarosa kupuje oczywiście także stróżówkę – powiedział. – I wcale mu się nie spodobała dożywotnia dzierżawa Allardów. Ale oznajmiłem mu, że wdowa z pewnością się wyprowadzi, musi jej tylko złożyć rozsądną ofertę. Jeśli on jej stamtąd nie wykurzy, nie uda się to nikomu. – William o mało się nie uśmiechnął, a ja o mało nie strzeliłem go w zęby. – Ale na razie – dodał – ten sukinsyn chce zatrzymać pół miliona w depozycie do czasu opróżnienia stróżówki. Więc umieść to w kontrakcie, ale zorientuj się, czy nie udałoby się nam uzyskać od Ethel obietnicy opuszczenia domu. Dalibyśmy wtedy o tym znać Bellarosie.

–Tak jest, sir.

–Odkryłem, dlaczego nie chciałeś zjeść dziś wieczorem kolacji w "The Creek", John – powiedział rzucając mi surowe spojrzenie. – Jesteś tam przedmiotem ożywionej dyskusji. To dla mnie bardzo niezręczna sytuacja.

Będzie jeszcze bardziej niezręczna, kiedy twoi przyjaciele dowiedzą się, że sprzedałeś Stanhope Hall Frankowi Bellarosie.

–Tak jest, sir – odparłem. – Bardzo mi z tego powodu przykro.

Przyjrzał mi się uważnie.

–Chciałbym dać ci pewną dobrą radę – powiedział. – Nie utrzymuj żadnych stosunków z tym człowiekiem.

–Przecież dopiero co sprzedałeś mu Stanhope Hall – zauważyłem.

Przestał jeść. Jego żółte oczy wyraźnie się zwężyły.

–To były tylko interesy – stwierdził.

–I takie też są łączące mnie z nim stosunki, sir. Kontaktami towarzyskimi zajmuje się pańska córka.

Przez dłuższą chwilę trwało coś, co określa się mianem martwej ciszy. Miałem nadzieję, że Susan powie coś w mojej obronie. Ale moja żona wyświadcza mi tę grzeczność i nigdy się za mną nie wstawia ani nie bierze mnie w obronę. Ja



rewanżuję się jej tym samym.

–Biedna Ethel – przerwała w końcu milczenie Charlotte Stanhope. – Strasznie wyglądała. Uważasz, że da sobie radę sama? – zwróciła się do mnie.

Charlotte ma piskliwy, wibrujący głos i czasem można odnieść wrażenie, że za chwilę zacznie ćwierkać. Jest oczywiście dobrze wychowana i ktoś mógłby uznać ją za przemiłą starszą panią, ale to tylko pozory. Na swój cichy sposób jest tak samo zdeprawowana jak jej mąż.

–John? Uważasz, że biedna Ethel poradzi sobie sama?

–Będę wiedział po upływie odpowiedniego czasu – odparłem.

–Naturalnie. Biedactwo, o ileż lepsze warunki miałyby u swojej córki.

I tak gawędziliśmy o tym i owym jedząc kolację albo przynajmniej oni jedli i gawędzili. Ja kipiałem ze złości.

William powrócił do sprawy sprzedaży.

–Przykro mi, Susan – zwrócił się do mojej żony – jeśli w wyniku tej transakcji będziesz cierpieć jakieś niewygody. Ale to było nieuniknione. Nie sądzę też, żebyś musiała się obawiać rychłej budowy osiedla. Teraz, kiedy właścicielem został Bellarosa, ty i ja złożymy wspólnie pięć albo dziesięć tysięcy na fundusz ochrony środowiska, oczywiście anonimowo, żeby się o tym nie dowiedział. Będą się z nim procesować przez całe lata. Na razie jednak zapewnił mnie, że możecie nadal w dowolny sposób korzystać z całego terenu. Wolno wam jeździć konno, uprawiać ogród i spacerować, tak jakbym po prostu to ja był dalej właścicielem. Prawdę mówiąc, chce na ten temat podpisać osobną umowę.

–To bardzo miło z twojej strony, że nie zapomniałeś go o to poprosić – poinformowała Pana Troskliwego Susan.

William uśmiechnął się do córki.

–Mogło być gorzej, wiesz o tym. A tak, znacie przynajmniej tego człowieka. Dobrze się o was wyrażał. – Przerwał na chwilę. – Niezłe z niego ziółko. Ale nie opryszek, jakiego się spodziewałem.

Nie sądzę, aby William znalazł wiele wad u kogoś, od kogo miał dostać dwadzieścia milionów dolarów. Na swój specyficzny, żaloszny sposób mój teść właściwie nie posiadał się z radości. A powodem mojej irytacji nie był, jak sądzę, jego stosunek do mnie, ani to, że dopiero co zarobił krocie, ale fakt, że nie uрониł ani jednej łzy z powodu przekazania Stanhope Hall w cudze ręce. Nawet ja, który w końcu zacząłem nienawidzić tego miejsca, czułem, jak ogarnia mnie nostalgia. A przecież to nie moja rodzina siedziała tu od wielu pokoleń.



William wciąż rozmawiał ze swoją córką.

–Cieszę się, Susan, że przeniosłaś stajnię...

–Ja pokryłem połowę kosztów – wtrąciłem.

William rzucił okiem w moją stronę, po czym z powrotem odwrócił się do córki.

–Bellarosa powiedział mi – kontynuował – że chce przenieść na teren swojej posiadłości świątynię miłości. Mówi, że ten majster, co przeniósł stajnię, Dominic...

–Ty ćmoku.

Spojrzał na mnie w szalenie zabawny sposób.

–Słucham?

–Ty zdeprawowany draniu. Ty cyniczny sukinsynu. Ty monumentalny kutasie. Ty obleśny bucu.

Charlotte stęknęła cicho, jakby coś utkwilo jej w gardle. Susan dalej zajadała swoje maliny nie zdradzając najmniejszego zdenerwowania. William próbował coś powiedzieć.

–Ty... ty... ty... ty... – powtarzał tylko.

Wstałem i pchnąłem go palcem w pierś.

–Dzisiaj ty płacisz za kolację, kutwo – powiedziałem, po czym dotknąłem ramienia Susan. – A ty idziesz ze mną.

Wstała bez słowa i wyszła razem ze mną z restauracji.

–Czy rzeczywiście możliwe jest przeniesienie świątyni miłości? – zapytała mnie w samochodzie w drodze do domu.

–Tak, to typowa konstrukcja belkowa. Tak samo buduje się bloki mieszkalne. Trzeba uważać, ale właściwie sprawa jest łatwiejsza niż w przypadku stajni.

–To ciekawe. Sądzę, że powinnam pójść na kursy architektury i budownictwa. Dzięki temu mogłabym lepiej zrozumieć to, co maluję, dowiedzieć się, jak to wszystko jest zbudowane, poznać duszę budynku, wiesz, podobnie, jak renesansowi malarze studiowali szkielety i układ mięśniowy, żeby potem malować te wspaniałe akty. Może

**tego właśnie mi brakuje, żeby zostać wielką malarką. Co o tym sądzisz?**

**–Może masz rację.**

**Przejechaliśmy przez bramę Stanhope Hall. W stróżówce było ciemno, ponieważ Ethel zatrzymała się na jakiś czas u swojej córki.**

**–Będzie mi bardzo brakowało George'a – powiedziała Susan.**

**–Mnie też.**

Nie zwracałem sobie głowy tym, żeby wyjść z samochodu i zamknąć bramę, za pięć minut bowiem zamierzałem przejechać przez nią z powrotem. Susan zauważyła to oczywiście i przez pozostałą część drogi siedziała cicho. Podjechałem jaguarem do frontowych drzwi.

Spojrzała na mnie pytająco.

–Nie wchodzę do środka – powiedziałem po kilku sekundach. – Jutro przyjadę po swoje rzeczy.

–Gdzie jedziesz?

–To naprawdę nie twoja sprawa.

Zaczęła wysiadać z samochodu, ale potem odwróciła się do mnie.

–Proszę, nie zostawiaj mnie dziś w nocy samej – powiedziała. – Ale jeśli chcesz koniecznie wyjechać, to weź własny samochód – dodała. Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się. – Poproszę o kluczyki.

Zgasilem silnik i oddałem jej kluczyki. Susan otworzyła drzwi do domu i oboje weszliśmy do środka – ja kierując się do kuchni, żeby wziąć kluczyki od forda, a ona na górę, żeby położyć się spać. Kiedy zbliżałem się do wyjścia, zadzwonił telefon. Odebrała go Susan.

–Tak, tato, czuję się świetnie – powiedziała.

Chociaż nie lubię podsłuchiwać, zatrzymałem się przy drzwiach i czekałem na ciąg dalszy.

–Nie, on nie zamierza cię przeproszać, a ja nie będę przeproszała w jego imieniu. – Chwila przerwy. – Przykro mi, że wyprowadziło to z równowagi mamę. Właściwie uważam, że John mógłby powiedzieć więcej, gdyby jej tam nie było. – Znowu cisza. – W porządku, tato.

Porozmawiam z tobą jutro. Tak, tato...

–Powiedz temu sukinsynowi, żeby znalazł sobie innego darmowego adwokata – zawołałem w stronę schodów.

–Zaczekaj, tato – usłyszałem głos Susan. – John powiedział właśnie, cytuję: "Powiedz temu sukinsynowi, żeby znalazł sobie innego darmowego adwokata". Tak... Ojciec twierdzi – zawołała do mnie – że jesteś niekompetentnym aferzystą i że

**sprawiasz same kłopoty swemu ojcu.**

**–Powiedz mu, że on sam jest kompletnym zerem i że nie dorasta nawet do pięt Augustowi.**

**–John twierdzi – powiedziała Susan – że nie zgadza się z tobą w tej kwestii, tato. Dobranoc. – Usłyszałem, jak odkłada słuchawkę. – Dobranoc, John – zawołała.**

Skierowałem się ku schodom.

–Potrzebny mi jest mój neseser – zawołałem.

Wszedłem do sypialni, żeby zabrać neseser z szafy. Susan, która podczas rozmowy przez telefon musiała się rozebrać, leżała na pościeli ze skrzyżowanymi nogami i czytała jakiś magazyn. Była kompletnie naga.

W widoku nagiej kobiety jest coś szczególnego, sami rozumiecie, a ja byłem już i tak w bojowym nastroju po tym, jak wywaliłem Williamowi Stanhope'owi, co o nim myślę. Więc kiedy zobaczyłem wylegającą się nago na łóżku jego kurewską córkę, w jakiś instynktowny sposób poczułem, że muszę ją zniewolić – po prostu, aby dopełnić swego zwycięstwa. I zrobiłem to. Sprawiała wrażenie zadowolonej.

Prawdziwy prymityw opuściłby po tym wszystkim kobietę, żeby okazać, jak bardzo pogardza nią i całym jej klanem. Ale ja byłem już potężnie zmęczony, a poza tym zrobiło się późno. Pooglądałem więc trochę telewizję i poszedłem spać.

## CZĘŚĆ V

Niech diabli wezmą opinię publiczną

William Henry Vanderbilt

W odpowiedzi reporterowi gazety, 1882

Rozdział 25 Mimo zapowiedzi, że opuszczam dom, a może właśnie dzięki niej, moje stosunki z Susan ułożyły się trochę lepiej.

Oboje zgodziliśmy się, że miałem ostatnio poważne kłopoty finansowe i zawodowe, że śmierć George'a stała się dla nas swoistym wstrząsem emocjonalnym, i że do mego wybuchu w restauracji, a także oświadczenia, które złożyłem później w domu, przyczyniła się w znacznym stopniu sprzedaż Stanhope Hall. Mimo to nie omieszkałem zapewnić Susan, że nadal uważam jej ojca za monumentalnego kutasa. Nie wydawała się jednak skłonna kruszyć o to kopii.

Pod koniec lipca zadzwonił do mnie do domu pan Melzer, informując o zawarciu ugody z IRS. Warunki były następujące: ja miałem im zapłacić w dwumiesięcznym terminie dwieście piętnaście tysięcy dolarów, a oni uznają sprawę za zamkniętą. Pan Melzer sprawiał wrażenie nader zadowolonego z siebie.

–W ten sposób zaoszczędził pan dzięki mnie dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy



**pięćset trzynaście dolarów – powiedział.**

**–Wciąż jednak winien jestem panu około pięćdziesięciu tysięcy dolarów, panie Melzer, a już przedtem zapłaciłem panu dwadzieścia tysięcy. W istocie więc, jeśli dokona pan pewnych prostych obliczeń, zaoszczędziłem dzięki panu nie więcej jak trzydzieści tysięcy. Tyle mogłem wywalczyć sam.**

**–Ale ja wykonałem tę pracę za pana, panie Sutter – powiedział i odchrząknął. – Poza tym była jeszcze sprawa zarzutów kryminalnych. To samo jest warte...**

–Niech pan im powie, żeby opuścili jeszcze dziesięć tysięcy, albo niech pan zmniejszy swoją prowizję.

–Ale...

Odłożyłem słuchawkę. Po przyzwoitej, trwającej około godziny przerwie pan Melzer zadzwonił ponownie.

–Godzą się na dwieście dziesięć tysięcy, panie Sutter. To wszystko, co mogę zrobić. Brakujące pięć tysięcy opuszczę panu z własnej prowizji. Biorąc pod uwagę, że wciąż mogą wnieść przeciwko panu zarzuty kryminalne, radzę, żeby poszedł pan na kompromis.

–Nigdy nie potrafiłem pojąć, panie Melzer, dlaczego mafia i IRS nie połączyły się ze sobą.

Pan Melzer zachichotał.

–Profesjonalna zazdrość – odparł. – Czy będzie pan mógł wystawić czek w ciągu sześćdziesięciu dni? – zapytał.

–Tak.

–To świetnie. Osobiście dostarczę go IRS i dopilnuję, żeby został przelany na odpowiednie konto. To wchodzi w zakres mojej usługi.

Tkwiał w tym niezbyt subtelny podtekst.

–Przypuszczam, że będzie pan chciał jednocześnie odebrać czek dla siebie.

–To by mi bardzo odpowiadało.

–W porządku. Proszę do mnie zadzwonić za trzydzieści dni. – Świetnie. Chciałbym także wyrazić panu swoją wdzięczność, panie Sutter. Praca dla kogoś tak subtelnego jak pan była dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Nie mogłem powiedzieć tego samego o nim.

–Dla mnie było to pouczające doświadczenie – oświadczyłem.

–To pogłębia tylko moją satysfakcję.

–Nawiasem mówiąc, panie Melzer, czy nie dowiedział się pan przypadkiem, w jaki

**sposób urzędowi podatkowemu udało się odkryć to moje drobne niedopatrzenie?**

**–Przeprowadziłem małe dochodzenie w tej sprawie. Nie uzyskałem definitywnej odpowiedzi, możemy jednak założyć, że nie doszło do tego w wyniku losowej kontroli pańskich zeznań podatkowych.**

**–Czy możemy w związku z tym założyć, że ktoś postanowił podłożyć mi świnię?**

–Mówiłem już panu, panie Sutter, że w IRS nie cieszy się pan zbyt dużą sympatią.

–Nie cieszyłem się tam sympatią od dwudziestu lat, odkąd zacząłem spuszczać im łanie. Dlaczego sprawdzili moje zeznania dopiero teraz?

–Och, sądzę, że wiedzieli o tym pańskim niedopatrzeniu od kilku lat, panie Sutter. Chcieli, żeby odpowiednio narosły panu procenty i opłaty karne.

–Rozumiem. – W gruncie rzeczy jednak trudno mi było w to uwierzyć. Urzędnicy podatkowi byli twardzi, ale w zasadzie uczciwi – do tego stopnia, że zwracali pieniądze, które im się nieświadomie nadpłaciło.

–Niemniej – ciągnął dalej pan Melzer – na pana miejscu nie rozgrzebywałbym tej sprawy. Chyba że chce pan ponownie skorzystać z moich usług.

–Nigdy nie będę musiał ponownie korzystać z pańskich usług, panie Melzer. I nie dam się zastraszyć żadnej rządowej agencji. Jeśli stwierdzę, że byłem złośliwie szykanowany, z pewnością podniosę tę sprawę.

–Proszę wybaczyć mi śmiałość – odezwał się po krótkiej przerwie pan Melzer – ale należy pan do wymierającego gatunku. Niech pan się pogodzi ze stratą, przełknie obrazę i żyje długo i szczęśliwie, mój przyjacielu. Nic dobrego nie przyniesie panu porywanie się z motyką na słońce.

–Przyjemnie jest walczyć w dobrej sprawie.

–Jak pan sobie życzy. Przy okazji, wciąż chciałbym móc skorzystać z pańskiej profesjonalnej porady, jeśli kiedyś nadarzy się taka okazja. Pańska współpraca ze mną będzie oczywiście otoczona ścisłą tajemnicą.

–Jeszcze lepiej, jeśli w ogóle do niej nie dojdzie. Do widzenia.

No cóż, nie ma takiej sprawy, która nie doczekałaby się w końcu jakiegoś rozwiązania, nieprawdaż? Nazajutrz, podczas jednej z moich rzadkich wizyt w kancelarii na Wall Street, zadzwonił telefon. Pan Weber, pośrednik z East Hampton, poinformował, że ma dla mnie dobrą nowinę. Jak się okazało, ktoś chciał

kupić moją małą letnią chatkę za trzysta dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów.

–To wcale nie jest dobra nowina – zakomunikowałem mu.

–Panie Sutter, rynek zupełnie leży. To jedyna poważna oferta, jaką otrzymaliśmy. W tej chwili facet pojechał oglądać następne domy.

–Niech pan czeka na mój telefon – powiedziałem, po czym obdzwoniłem wszystkich pośredników, którzy otrzymali moją ofertę.

Mieli dla mnie same złe wiadomości i mnóstwo usprawiedliwień.

Wykręciłem numer Susan, ponieważ jest współwłaścicielką domu, ale jak zwykle nie było jej w domu. Tej kobiecie potrzebny jest kieszonkowy pager, telefon w samochodzie, zainstalowane przy końskim siodle CB radio albo krowi dzwonek na szyi. Zadzwoiłem z powrotem do pana Webera.

–Dzielę na pół różnicę. Niech pan mu zaproponuje czterysta czterdzieści pięć tysięcy.

–Spróbuję.

Po półgodzinie pan Weber zadzwonił do mnie z powrotem i zacząłem podejrzewać, że klient siedzi po prostu u niego w biurze.

–Osoba, która reflektuje na pański dom, chce ponownie podzielić różnicę. Proponuje czterysta siedemnaście tysięcy pięćset i jest to jej ostatnia cena. Radzę panu przyjąć tę propozycję, panie Sutter, ponieważ...

–Ponieważ ceny na rynku nieruchomości lecą na łeb na szyję, lato się kończy, a dzisiejszy wskaźnik giełdowy wynosi szesnaście i ćwierć. Dziękuję panu bardzo, panie Weber.

–Cóż, chcę tylko, żeby pan poznał fakty.

Pan Weber wietrzył już w powietrzu swoją prowizję, która jak obliczyłem, mogła wynieść około dwudziestu pięciu tysięcy.

–Chcę dostać na rękę czterysta dwadzieścia pięć – oświadczyłem – więc jeśli ta transakcja ma w ogóle dojść do skutku, musi pan pokryć różnicę ze swojej prowizji.

W słuchawce zapadła cisza. Pan Weber, który już ostrzył sobie zęby na wyborny kawałek polędwicy, zdał sobie właśnie sprawę, że dostanie mu się co najwyżej

**antrykot. Odchrząknął, podobnie jak to zrobił niedawno pan Melzer.**

**–To się da zrobić – powiedział.**

**–Więc niech pan to zrobi. – W sprawach sprzedaży domów**

i w stosunkach z urzędem podatkowym jestem normalnie o wiele bardziej agresywny, tym razem jednak nie miałem zbyt dużego pola manewru. W gruncie rzeczy, o czym nie wiedział pan Weber, nie miałem żadnego pola manewru, a czas uciekał.

–Załatwione – powiedział pan Weber. – Czy powiedziałem panu, że nabywca chce wynająć dom od zaraz? Nie? No więc takie właśnie wyraził życzenie. Chce użytkować go przez cały sierpień.

Proponuje stówę dziennie do uprawomocnienia się umowy. Wiem, że teraz, w środku sezonu mógłby pan dostać więcej, ale to wchodzi w zakres umowy, sugeruję zatem...

–Facet nie nazywa się przypadkiem Melzer?

–Nie. Nazywa się Carleton. Doktor Carleton. Jest psychiatrą w Nowym Jorku. Przyjmuje przy Park Avenue. W sierpniu nie odwiedzają go pacjenci, wie pan, a ponieważ ma żonę i dwójkę dzieci, chce...

–Moja rodzina pragnie spędzić w tym domu cały sierpień, panie Weber.

–To warunek zawarcia umowy, panie Sutter. Doktorowi Carletonowi bardzo na tym zależy.

–No cóż, w takim razie będę musiał chyba zmienić swoje wakacyjne plany. Może zatrudnię się jako szczurołap na wysypisku śmieci.

–Mógłby pan wynająć u mnie inny dom w tej samej okolicy.

–Nieważne. Niech pan robi tak, jak pan uważa i jak chce tego doktor Carleton.

–Tak jest, proszę pana. Doktorowi Carletonowi naprawdę spodobał się ten dom. A także umeblowanie.

–Ile?

–Dziesięć tysięcy. Gotówką.

–Dobrze. Czy oglądał może zdjęcie mojej żony i dzieciaków?

Wisi w gabinecie.

Pan Weber zachichotał. Zawieranie umów to niezła zabawa.

**–Jeśli ten cwaniak próbuje pomieszkać tam za psie pieniądze przez lato, a potem wycofać się z umowy, powieszę go za jaja nad kominkiem – powiedziałem.**

**–Słucham?**

**–Niech pan pobierze od niego od razu jednoprocentową zaliczkę.**



Dzisiaj. A w ciągu tygodnia chcę podpisać umowę i otrzymać do ręki dwadzieścia procent.

–W ciągu tygodnia? Ale...

–Dziś po południu prześlę panu faksem tekst umowy. Niech pan weźmie tego faceta w obroty, panie Weber. Gdyby wyłoniły się jakieś problemy, proszę natychmiast dać mi znać.

–Tak jest, sir. Czy reflektuje pan na jakąś inną posiadłość, bardziej na wschód? – zapytał.

–Co leży na wschód od Montauk Point?

–Ocean.

–Ile pan bierze?

–Ocean jest za darmo, panie Sutter.

–W takim razie biorę. – Odłożyłem słuchawkę. Madonna mia, kiedy człowiek wdepnie w gówno, nie powinien zatykać sobie nosa.

Uprzytomniłem sobie, że jestem goły jak święty turecki. Całkiem nieźle jak na kogoś, kto dożył połowy czterdziestki.

Tego wieczoru wróciłem do domu pociągiem i spotkałem się z Susan u "McGlade'a", żeby tak jak umówiliśmy się rano, zjeść w pubie kolację. Opowiedziałem jej o zawartej umowie.

–Próbowałem dodzwonić się, żeby uzyskać twoją zgodę – dodałem. To było i tak więcej, niż uczynił Frank Bellarosa, nie napomykając swojej żonie ani jednym słowem o kupnie Alhambry.

Susan nie wydawała się zbyt przejęta sprzedażą. Ale z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Parafrazując to, co Churchill powiedział o Niemcach: "Kobiety albo leżą u twoich stóp, albo trzymają cię za gardło".

Wyjąłem kalkulator i popijając trzeci dzin z tonikiem, zająłem się naciskaniem cyferek.

–Odejmujemy od tego zaległe podatki, dolę Melzera, prowizję pośrednika i spłatę hipoteki, następnie pieniądze na zapłacenie podatku od wzbogacenia, ponieważ na

**pewno nie kupimy innego domu. Do tego dodajemy dziesięć tysięcy za meble i trzy tysiące za wynajęcie; odejmujemy od tego podatek dochodowy i po uwzględnieniu jakichś niespodziewanych wydatków...**

**Susan ziewała. Bogatych nuży rozmowa o pieniądzach.**

**Nagryzmołem kilka cyfr na karcie dań.**

**Okazuje się, że na czysto zarobiliśmy na tym wszystkim dziewięćset sześćdziesiąt trzy dolce. – Przez chwilę się zastanawiałem. – Pół miliona poszło z wiatrem – dodałem i spojrzałem na Susan. – Co poczną władze z całą moją forszą?**

**–Czy możemy zamówić kolację?**

**–Nie stać mnie na kolację. Mogę się najwyżej czegoś napić.**

**Jeszcze raz sprawdziłem obliczenia, ale nadal nie było mnie stać na żadne porządne danie. Zamówiłem więc kolejny dzin z tonikiem.**

**–Tak przy okazji – odezwała się Susan – czy uwzględniłeś dwadzieścia tysięcy, które jesteś mi winien?**

**Spojrzałem na nią.**

**–Przepraszam panią bardzo, pani Sutter, ale płatności były w tym przypadku wspólne.**

**–Wiem o tym, John. Ale to nie była moja wina.**

**Weźcie, proszę, pod uwagę, że odzyskanie dwudziestu tysięcy to dla tej kobiety sprawa podobnie pilna jak dla mnie przesunięcie z miejsca na miejsce kolejnej stajni. Odchrząknąłem, podobnie jak uczynili to wcześniej panowie Melzer i Weber.**

**–Dlaczego podnosisz teraz tę sprawę?**

**–Moi adwokaci chcą wiedzieć...**

**–Twój ojciec.**

**–No cóż... tak naprawdę nie obchodzą mnie sprawy finansowe.**

**Ale to niedobry zwyczaj. Mam na myśli mieszanie tego, co należy do mnie, z tym, co należy do ciebie.**

**–Cały czas mieszamy wyłącznie to, co należy do mnie. Możesz być spokojna, Susan, nie roszczę sobie żadnych praw do twojej własności, nawet jeśli od czasu do**

**czasu mieszamy nasze aktywa.**

**Masz przecież spisana bardzo precyzyjną intercyzę. Jestem adwokatem.**

**Możesz mi ufać.**

**–Ufam ci, John, ale... właściwie nie potrzebuję tych pieniędzy, ale chciałabym mieć coś w rodzaju weksla. Takiego zdania są... moi adwokaci.**

**–W porządku. – Nagryzmołem weksel na 20 000 dolarów na karcie dań, podpisałem go, opatrzyłem datą i podsunąłem Susan. – To ma moc prawną. Nie musisz zwracać uwagi na tę część, która dotyczy zakąsek, koktajli, steków i kotletów.**

**–Nie musisz się zaraz obrażać. Jesteś przecież adwokatem.**

**Rozumiesz chyba...**

11 – Złote Wybrzeże t. II – Rozumiem, że od blisko dwudziestu lat udzielałem twojemu ojcu darmowych porad prawnych. Rozumiem, że zapłaciłem połowę rachunku za przesunięcie twojej stajni...

–Jest tam również twój koń.

–Nie potrzebny mi ten durny koń. Każę go przerobić na klej.

–Jak możesz mówić takie straszne rzeczy? A tak przy okazji, łódź kupiłeś tylko na swoje nazwisko.

–Ponieważ wystawiony za nią czek również nosił tylko moje nazwisko, proszę pani.

–W porządku... nie chcę tego podnosić, ale od czasu naszego ślubu ani razu nie musiałeś zapłacić komornego ani hipoteki.

–A co ty musiałaś zrobić, żeby dostać ten dom, oprócz tego, że urodziłaś się ze srebrną łyżką w tyłku?

–Proszę cię, nie bądź ordynarny, John. Nie chcę rozmawiać o pieniądzach. Zmieńmy temat, proszę.

–Nie, nie, nie. Nie zmieniamy tematu. Urządźmy sobie wzajemnie pierwszą i bardzo spóźnioną awanturę o pieniądze.

–Proszę cię, mów trochę ciszej.

Nie wiem, czy ściszyłem głos, ale ktoś włączył właśnie szafę grającą, w związku z czym wszyscy, którzy przysłuchiwali się naszej rozmowie, musieli przestawić się na Franka Sinatrę, który śpiewał My Way. Wspaniała piosenka. Myślę, że facet po drugiej stronie baru puścił ją specjalnie dla mnie. Pozdrowiłem go podnosząc w górę kciuki.

–To wszystko jest bardzo wstrętne – oznajmiła Susan. – Nie jestem do tego przyzwyczajona.

–Przykro mi, że straciłem nad sobą panowanie – oznajmiłem Lady Stanhope. – Masz oczywiście całkowitą rację. Schowaj ten weksel do torebki. Postaram się uregulować go tak szybko, jak tylko zdołam. Potrzebuję kilku dni.

Sprawiała teraz wrażenie naprawdę zawstydzonej.

–Zapomnij o tym. Naprawdę. – powiedziała i przedarła na pół weksel. – Nic z tego

**nie rozumiem.**

**–W takim razie w przyszłości zachowaj moje i nasze problemy finansowe do swojej wyłącznej informacji i w żadnym wypadku nie dyskutuj na ich temat ze swoim ojcem. Radzę ci także, żebyś wzięła sobie osobistego adwokata, którego nic nie łączy z twoim ojcem ani z powiernikami twego funduszu. Będę się z nim kontaktował we**

wszystkich dalszych sprawach. – Wliczając w to sprawę rozwodową. – I proszę, staraj się nie zapominać, że jestem twoim mężem, na dobre i na złe.

Zrobiła się teraz całkiem czerwona i widziałem, że waha się, czy rzucić mi się do stóp, czy do gardła.

–Dobrze – odparła w końcu. Zasłoniła się swoją kartą dań, tak żebym nie mógł widzieć jej twarzy.

Wspominałem wam już ojej rudych włosach. Zdawałem sobie sprawę, że wciąż walczą w niej o lepsze dobre wychowanie i paskudne geny.

Sądzę, że na wszelki wypadek powinienem usunąć z jej zasięgu wszelkie noże, choć byłaby to być może lekka przesada. Mnie też wyprowadziło to wszystko z równowagi i musiałem zadać jej teraz ostatnie pchnięcie.

–Nie podobał mi się też wcale telefon od twojego ojca, kiedy pytał cię tamtej nocy, czy wszystko z tobą w porządku – powiedziałem. – Czy on uważa, że ja cię biję?

Rzuciła mi spojrzenie znad menu.

–Oczywiście, że nie. To było głupie z jego strony. Był na ciebie naprawdę wściekły.

–Dlaczego? Bo wrobiłem go w ten rachunek?

–No wiesz, John... to, co mu powiedziałaś, było może trochę za ostre. Ale... kazał, żebym ci przekazała, że gotów jest przyjąć twoje przeprosiny.

Klasnąłem w dłonie.

–Cóż za wspaniały człowiek! Cóż za okaz wyrozumiałości! – zawołałem ocierając łzę z oka.

Piosenka się skończyła i odzyskaliśmy naszą publiczność. Susan pochyliła się ku mnie przez stół.

–Zmieniłeś się – powiedziała. – Wiesz o tym?

–A ty, Susan?

Wzruszyła ramionami i zajęła się z powrotem menu. Po chwili spojrzała na mnie ponownie.

**–Gdybyś go przeprosił, John, ułatwiłoby to mnóstwo spraw.**

**Nam wszystkim. Zrób to, nawet jeśli w głębi ducha myślisz co innego.**

**Zrób to dla mnie. Proszę.**

**Był oczywiście czas i to niezbyt odległy, kiedy dawałem się jej brać na lep. Ale ten czas już minął i nie wydawało się prawdopodobne, by kiedykolwiek powrócił.**

–Nie będę mówił niczego, czego nie myślę – odparłem. – Nie będę czołgał się przed tobą ani przed nikim. A co się tyczy tamtego wieczoru, żałuję tylko, że nie złapałem go za krawat i nie wsadziłem mu gęby w deser.

–Jesteś naprawdę zagniewany, prawda?

–Nie, nie jestem. Gniew to coś, co przemija. Ja nienawidzę tego sukinsyna.

–John! To mój ojciec.

–Nie byłbym tego taki pewny.

No i w końcu zjadłem kolację sam. Ale doszedłem do wniosku, że będę się musiał do tego przyzwyczaić. Mój nieposkromiony język wpędzi mnie kiedyś w poważne kłopoty. Właściwie, już chyba wpędził.

Rozdział 26 Przyszła do mnie kiedyś do biura para staruszków, którzy oświadczyli, że od pięćdziesięciu lat stosunki między nimi nie układały się najlepiej i chcą wziąć rozwód. Oboje wyglądali na mniej więcej dziewięćdziesiąt lat – przerwijcie mi, jeśli już to znacie – więc zapytałem nieśmiało: "Proszę mi wybaczyć ciekawość, ale dlaczego państwo tak długo zwlekali z rozwodem?" "Czekaliśmy, aż umrą nasze dzieci", odparł staruszek.

Są chwile, kiedy ogarnia mnie identyczne uczucie. Susan i ja znowu się pogodziliśmy. Przeprosiłem ją za podawanie w wątpliwość ojcostwa Williama i sugerowanie, że Charlotte była dziwką. Zresztą nawet jeżeli jej matka puszczała się w młodości, jakie to teraz miało znaczenie?

Nadal otwarta była jednak kwestia, czy jej ojciec jest, czy też nie jest monumentalnym kutasem i tak dalej. Ja zdecydowanie utrzymywałem, że jest. Prawdę mówiąc, zanotowałem sobie kilka innych celnych określeń na wypadek, gdybym kiedykolwiek miał okazję jeszcze się z nim spotkać. Susan oczywiście wiedziała, że mam rację, i dlatego nie dąsała się na mnie tak bardzo, ale William był w końcu jej ojcem. Tak przynajmniej jej się wydawało.

Tak czy inaczej, nadal mieszkaliśmy nie płacąc komornego w domu Susan i nadal ze sobą rozmawialiśmy, unikając jednak zdań pełnych i złożonych.

W poniedziałek wieczorem kładłem się wcześniej spać, by zgodnie z sugestią pana Bellarosa wstawać wcześniej następnego ranka i wpadać do niego o świcie na kawę. Susan nie zapytała mnie o przyczynę moich



wtorkowych porannych wycieczek do Alhambry, a ja zgodnie z instrukcjami mego klienta nie powiadomiłem jej o grożącym mu aresztowaniu.

FBI zdawało sobie teraz oczywiście sprawę, że jestem adwokatem Bellarosy, mój klient nie życzył sobie jednak, by wiedzieli, że spodziewamy się ich porannej wizyty, w związku z czym szedłem do niego tyłami posiadłości i wchodziłem do Alhambry od strony patia, tak aby nie dostrzeżono mnie z posterunku u DePauwów.

Nawiasem mówiąc, wpadłem kilkakrotnie na Allena DePauwa w miasteczku, on jednak okazując ów szczególny brak moralnej odwagi, którym na całym świecie odznaczają się szpicle, informatorzy i donosiciele, nie odwrócił się tyłem, ale pozdrowił mnie, tak jakbyśmy nadal byli starymi kumplami.

–Czy nie boisz się zostawiać swojej żony samej razem z tymi wszystkimi facetami, którzy kiblują u ciebie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? – zapytałem go, kiedy ostatnim razem spotkaliśmy się w sklepie z artykułami żelaznymi. – Wyjeżdżasz, zdaje się, często do Chicago w interesach?

–Mieszkają w przyczepie na tyłach mojego domu – odparł chłodno zamiast dać mi w zęby.

–Daj spokój, Allen. Założę się, że zawsze, kiedy cię nie ma, wpadają, żeby pożyczyła im trochę mleka.

–To nie jest wcale zabawne, John. Poza tym robię to, co uważam za słuszne.

Zapłacił za swój smar do karabinów maszynowych czy co tam innego kupił, po czym wyszedł.

No cóż, być może rzeczywiście robił to, co uważał za słuszne. Być może rzeczywiście było to słuszne. Ale wiedziałem, że należy do tych, którzy anonimowo domagają się skreślenia mnie z listy członków klubu.

Wracając do moich wtorków: nawet gdyby FBI odwiedziło przypadkiem Franka innego dnia, gotów byłem każdego ranka wyskoczyć z łóżka i pobiec czym prędzej do Alhambry. To było naprawdę podniecające.

Zaczął się sierpień, pora, kiedy powinienem być w East Hampton.

Ale w moim domu panoszył się teraz bliżej mi nie znany doktor Carleton. Opierał stopy o moje biurko ciesząc się urokami lata na East

Endzie oraz prestiżem płynącym z faktu posiadania osiemnastowiecznego, pokrytego gontami domu. Miałem okazję porozmawiać sobie z tym asem nowojorskiej psychiatrii, starając się przyspieszyć termin płatności.

–Dlaczego, jeśli wolno spytać, tak się panu spieszy ze sfinalizowaniem umowy? – zainteresował się.

–Moja matka zabierała mi pieniądze ze skarbonki i nigdy nie oddawała z powrotem. To skomplikowana historia, doktorze. W przyszłym tygodniu, dobrze?

Tak więc wakacje miałem z głowy, a poza tym potrzebne mi były pilnie pieniądze, żeby spłacić federalnych. Z kolei inni federalni – ci, którzy założyli kwaterę po drugiej stronie ulicy – chcieli załatwić mojego klienta i nie mogłem do tego dopuścić. Trudno było uwierzyć, że nie dalej jak w marcu prowadziłem spokojne, uporządkowane życie, którego jedynym urozmaiceniem były zdarzające się od czasu do czasu rozwody przyjaciół, plotki na temat małżeńskich zdrad, w ostateczności czyjaś śmierć. Największym moim problemem była wówczas nuda.

Następnego dnia po awanturze u "McGlade'a" zadzwoniłem do Lestera Remsena.

–Sprzedaj trochę akcji za dwadzieścia tysięcy dolarów i dostarcz jutro czek mojej sekretarce w Locust Valley – powiedziałem mu.

–To nie jest odpowiedni moment, żeby sprzedawać cokolwiek z tego, co posiadasz. Twoje papiery ucierpiały bardziej niż inne. Jeśli możesz, powinieneś przeczekać zły okres.

–Ja też czytam Wall Street Journal, Lesterze. Proszę cię, zrób to, co powiedziałem.

–Właściwie i tak miałem do ciebie zadzwonić. Zalegasz z opłatami manipulacyjnymi.

–Na ile?

–Mniej więcej na pięć tysięcy. Czy mam ci podać dokładne wyliczenia, żebyś mógł mi przesłać czek? A może krucho u ciebie z forszą, John? W takim razie mogę po prostu zlikwidować więcej akcji, żeby pokryć niedobory.

–Sprzedaj tyle, ile będziesz musiał.

–W porządku. Twój portfel nie jest w najlepszym stanie.

W języku Wall Street oznacza to "dokonałeś pewnych głupich zakupów". Znamy się z Lesterem jak dwa łyse konie i rozmawiamy ze



sobą na temat giełdy, nawet jeśli się do siebie prywatnie nie odzywamy.

Teraz jednak uświadomiłem sobie, że mam dosyć giełdy w tym samym stopniu co Lestera.

–Wiesz co, Lester – powiedziałem – sprzedaj wszystko. Natychmiast.

–Wszystko? Dlaczego? Ceny lecą w dół. We wrześniu pójdą w górę...

–Od dwudziestu lat rozmawiamy o giełdzie. Czy nie masz już tego dosyć?

–Nie.

–A ja tak. Wiesz, Lesterze, wydaje mi się, że straciłbym mniej forsy, gdybym ostatnie dwadzieścia lat strawił na poszukiwaniach skarbu kapitana Kidda.

–To nonsens.

–Zlikwiduj moje aktywa – powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Tak czy owak, był teraz pierwszy wtorek sierpnia, godzina szósta rano, a ja dumiałem o tym i owym. Prawdę mówiąc, nie wyjechałbym w sierpniu do mego letniego domu, nawet gdyby nie wprowadził się do niego doktor Carleton, mój klient bowiem nie życzył sobie, bym się gdziekolwiek oddalał. Właściwie mógłbym przeprowadzić się do Alhambry na stałe, nie sądzę tylko, czy Don byłby zadowolony, gdybym plątał mu się pod nogami, kiedy załatwia swoje interesy i zadaje się ze znanymi kryminalistami. A ja z całą pewnością nie miałem ochoty być świadkiem ani jednego, ani drugiego.

Wyszedłem zatem owego pochmurnego wtorkowego poranku z domu Susan i ruszyłem na przełaj w kierunku sąsiedniej rezydencji, ubrany w porządny garnitur, z teczką w ręku. Niebawem miałem w niej umieścić pięć przeznaczonych na zapłacenie kaucji milionów – w gotówce i papierach wartościowych.

Którejś nocy obejrzałem je sobie wszystkie w domu Bellarosy, zweryfikowałem i sporządziłem listę. Dzięki temu udało mi się wejrzeć w małą część imperium Dona. Większość z tego, co widziałem, stanowiły zarejestrowane akty własności, z którymi nie powinno być żadnych trudności w sądzie. Było tam również kilka obligacji na okaziciela i inne drobiazgi, składające się razem na sumę czterech milionów dolarów. To powinno wystarczyć na najbardziej nawet wygórowaną kaucję. Dla całkowitej pewności Bellarosa dorzucił jednak

na kuchenny stół plastikową torbę, zawierającą milion dolarów w gotówce.

Po raz trzeci z rzędu w ciągu ostatnich trzech tygodni zmierzałem w stronę Alhambry. W chłodnym powietrzu rozbrzmiewał śpiew ptaków. Na polach dzielących nasze posiadłości wisiała na wysokości piersi przygruntowa mgiełka i wszystko to było trochę niesamowite/ tak jakbym szedł w swoim garniturze od Brooks Brothers i z teczką w ręku prosto do zarezerwowanego dla anglosaskich protestantów nieba. / Kiedy dotarłem do sadzawki, przy której wciąż mierzyły się wzrokiem posągi Najświętszej Marii i Neptuna, z mgły wynurzyła się zmierzająca w moim kierunku postać. Był to Anthony, którego wyprowadził na poranny spacer pitbull. Zaszczekał na mnie. Pies, nie Anthony.

–Dzień dobry, panie Sutteh – odezwał się Anthony.

Musiał chyba mieć chore zatoki.

–Dzień dobry, Anthony. Jak się miewa Don dziś rano?

–Oczekuje pana. Pozwoli pan, że go odphowadzę.

–Dziękuję, trafię sam.

Ruszyłem ścieżką prowadzącą do domu. Kiedy się go bliżej poznało, Anthony sprawiał całkiem sympatyczne wrażenie.

Podchodząc z tyłu do rezydencji zauważyłem, że przed domem wciąż palą się światła. Przeciąłem obszerne patio i pociągnąłem za dzwonek. Przez szklane drzwi dostrzegłem, jak na mój widok Vinnie chowa grzecznie pistolet do kabury.

–Proszę wejść, panie mecenasie. Szef jest w kuchni.

Wszedłem do domu z drugiej strony palmiarni i przemierzając obszerne pomieszczenie zauważyłem kierowcę, Lenny'ego, który siedział na wiklinowym krześle przy jednej z kolumn i popijał kawę.

Podobnie jak Vinnie założył w oczekiwaniu gości i ewentualnej przejażdżki na Manhattan porządny garnitur. Na mój widok podniósł się i wymamrotał słowa powitania, które kazałem mu wyraźnie powtórzyć. Bawiłem się świetnie.

Przeszedłem samotnie przez pogrążony w ciemnościach dom, mijając jadalnię, pokój poranny i kredensowy, by znaleźć się w końcu w obszernej kuchni wypełnionej zapachem świeżej kawy.

**Kuchnia była oczywiście całkowicie przebudowana. Bellarosa już**

wcześniej opowiedział mi dokładnie, ile kosztowało go sprowadzenie pół mili oryginalnych włoskich szafek oraz pół akra oryginalnej włoskiej terakoty i marmurowych blatów. Przybory kuchenne były, na szczęście, amerykańskie.

Don siedział u szczytu prostokątnego stołu i czytał gazetę. Ubrany był w błękitny jedwabny garnitur w prążki, jasnoniebieską koszulę, która w telewizji wygląda lepiej niż biała, oraz krawat w kolorze burgunda. Z kieszonki marynarki wystawała mu chusteczka tej samej co krawat barwy. Gazety ochrzciły go mianem Dandy Dona i patrząc na niego domyślałem się dlaczego.

Bellarosa spojrzął na mnie.

–Siadaj, siadaj.

Wskazał mi krzesło i usiadłem po jego prawej stronie, niedaleko szczytu stołu. Nie przerywając lektury nalał mi kawy.

Podniosłem do ust filiżankę. Podejrzewałem, że w domu prawdziwego Włocha nie ma miejsca na okrągły stół, jako że jest to mebel, przy którym siadają ludzie równi. Co innego stół prostokątny – u jego szczytu zasiada patriarcha. Ja znalazłem się teraz po jego prawicy i zastanawiałem się, czy ma to jakieś specjalne znaczenie, czy też może przykładam do tych spraw przesadną wagę.

Spojrzął na mnie znad gazety.

–Jak myślisz, mecenasie, przyjdą dzisiaj?

–Mam nadzieję. Nie lubię tak wcześnie wstawać.

Roześmiał się.

–Naprawdę nie lubisz? To nie ciebie mają zamknąć.

To nie ja łamałem prawo od trzydziestu lat.

Odłożył gazetę.

–Moim zdaniem przyjdą dzisiaj. Ława przysięgłych siedzi nad tą sprawą od trzech tygodni. Wystarczająco długo jak na morderstwo.

Kiedy stawiają ci zarzut z ustawy RICO, sprawa potrafi się ślimaczyć przez cały rok. Węszą wokół ciebie, próbując ustalić, co masz i skąd to wzięłeś. Sprawy finansowe są skomplikowane. Morderstwo nie.

**-To prawda.**

**-Słuchaj, założę się o pięćdziesiąt dolarów, że przyjdą dzisiaj.**

**-Przyjmuję.**

**-Wiem, na co liczysz. Myślisz, że w ogóle nie przyjdą mnie aresztować. Myślisz, że udało ci się to załatwić z Mancuso.**



–Nigdy tego nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że powtórzyłem mu to, o co mnie prosiłeś. Wiem, że Mancuso jest człowiekiem, który przekaże to wszystko Ferragamo, a być może nawet swoim własnym zwierzchnikom. Nie wiem tylko, co z tego wyniknie.

–Powiem ci, co z tego wyniknie. Wielkie nic. Ten dupek/ Ferragamo nigdy się z tego nie wycofa – teraz, kiedy już przedstawił sprawę ławie przysięgłych. Wyglądałby wtedy rzeczywiście jak prawdziwy gavone. Ale zadowolony jestem, że porozmawiałeś z Mancuso.

Teraz Ferragamo wie, że Bellarosa wie. Może tylko nie powinieneś mu mówić, że jesteś moim adwokatem.

–Jak mogłem rozmawiać z nim w twojej sprawie nie mówiąc, że zamierzam cię bronić?

Wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Ale może gdybyś nic mu o tym nie mówił, facet bardziej by się odsłonił.

–To nieetyczne i niezgodne z prawem, Frank. Kogo w końcu chcesz mieć za adwokata: szarlatana czy skauta?

–W porządku. Zagramy tobą w uczciwy sposób.

–Ja sam będę grał w uczciwy sposób.

–Wszystko jedno.

Przez chwilę piliśmy w milczeniu kawę. Don oddał mi część gazety.

Było to poranne miejskie wydanie Daily News, które ktoś musiał dostarczyć mu prosto z maszyn drukarskich w Brooklynie. Przeleciałem wzrokiem po tytułach, ale nie było tam żadnego ostrzeżenia, żadnej pochodzącej od Ferragamo wzmianki o mającym nastąpić aresztowaniu.

–Nic tu o tobie nie ma – powiedziałem.

–Pewnie. Ten dupek nie jest taki głupi. Mam wtyczki w prasie i on o tym wie. Czeka z tym do wydania popołudniowego. Dostaniemy je wieczorem. Kutas kocha gazety, ale jeszcze bardziej kocha telewizję.

Chcesz może coś zjeść?

**–Nie, dziękuję.**

**–Na pewno? Zawołam Filomenę. Naprawdę, powinieneś coś przekąsić. To będzie długi ranek. Zjedz coś.**

**–Naprawdę nie jestem głodny. Naprawdę.**

**Nie macie pojęcia, jakiego hopla mają ci ludzie na punkcie żarcia.**

**Ktoś odmawiający poczęstunku naprawdę ich irytuje i odwrotnie, są**

uszcześliwieni, kiedy uda im się namówić kogoś do jedzenia. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego takie to dla nich ważne.

Bellarosa wskazał grubo, leżący na stole, tekturowy skoroszyt..

–To nasz towar – poinformował mnie.

–W porządku – odparłem i włożyłem skoroszyt, w którym znajdowały się akty własności oraz inne papiery, do swojej teczki.

Bellarosa wyciągnął spod stołu dużą plastikową torbę na zakupy.

W torbie było sto owiniętych banderolą paczek, po sto studolarowych banknotów każda, na łączną sumę miliona dolarów. Całkiem ładnie to wyglądało.

–Nie ulegnij przypadkiem pokusie w drodze do sądu, mecenasie – powiedział.

–Pieniądze mnie nie kuszą.

–Naprawdę? Tak tylko mówisz. A potem, już w sądzie, dowiem się, że dałeś w łeb Lenny'emu i ulotniłeś się z forszą. Mnie zamkną, a ty przyślesz mi z Rio pocztówkę: "Chromolę cię, Frank". Roześmiał się.

–Możesz mi ufać. Jestem adwokatem.

To z jakiegoś powodu rozśmieszyło go jeszcze bardziej. Miałem przy sobie tę dużą teczkę, prawie walizkę, której używają adwokaci, kiedy muszą zataskać do sądu dwadzieścia kilogramów papieru i drugie śniadanie na dodatek. Włożyłem do niej papierowe pieniądze oraz warte cztery miliony papierowe aktywa. Papier, papier, papier.

–Rzuciłeś już przedtem okiem na te dokumenty, prawda? – zapytał Bellarosa.

–Tak.

–No więc widzisz, że jestem uczciwym biznesmenem.

–Proszę cię, Frank. Trochę za wcześnie na te bzdury.

–Czyżby? – zapytał i roześmiał się. – Powiem ci, mam teraz w tej teczce Stanhope Hall. Mam motel na Florydzie i inny w Las Vegas, mam tu także kawałek ziemi w Atlantic City. To jedyna rzecz, która się liczy na tym świecie. Nie da się wyprodukować więcej ziemi, mecenasie.

**–Z wyjątkiem Holandii, gdzie...**

**–Kiedyś każdy, kto chciał zabrać ci ziemię, musiał o nią walczyć.**

**Dzisiaj wystarczy trochę papierkowej roboty.**

**–To prawda.**

**–Zbiorą mi moją pierdoloną ziemię.**

–Nie, to po prostu jest tylko gwarancja. Dostaniesz wszystko z powrotem.

–Nie, mecenasie. Kiedy zobaczą ten cały chłam w walizce, pójdą jego śladem. Następną rzecz, którą chce zrobić Ferragamo, to wszcząć dochodzenie z ustawy RICO. Zamrożą to, co mam, i pewnego dnia wszystko to będzie należeć do nich. Ten chłam, który masz w teczce, ułatwi im tylko robotę. Całe te bzdurne oskarżenie o morderstwo będzie mnie nieźle kosztować.

–Chyba masz słuszność.

–Ale chromolę ich. Chromolę wszelką władzę. Jedyne, czego chcą, to odebrać ci twoją własność. Chromolę ich. Mam więcej. Jest jeszcze skąd brać.

Nie musiał mi tego mówić. Sądząc po tym, czego dowiedziałem się od pana Mancuso, było tego dużo, dużo więcej.

–Słuchaj, powiedziałem ci już może, że złożyłem ofertę na Fox Point? Dziewięć milionów. Rozmawiałem z adwokatem, który, jak mi powiedziałeś, reprezentuje właścicieli. Chcesz się tym zająć?

Wzruszyłem ramionami.

–Dlaczego nie? – odparłem.

–Dobrze. Dam ci jeden procent. To będzie dziewięćdziesiąt kawałków.

–Zobaczymy, czy zgodzą się na dziewięć. Nie zapominaj o Irańczykach.

–Chromolę ich. To nie są właściciele. To kupcy. Ja rozmawiam tylko z właścicielami. Przekonałem tego adwokata, że moja najlepsza oferta jest najlepszą ofertą jego klientów. Teraz muszą to zrozumieć jego klienci. Nie usłyszą już ani słowa o żadnej irańskiej ofercie.

Capisce?

–Z całą pewnością.

–Teraz będziemy mieli gdzie się kąpać. Mam zamiar wpuszczać tam wszystkich mieszkańców Grace Lane. I nikomu nie będzie przeszkadzać banda szwendających się, pozawijanych w prześcieradła brudasów. Capisce?

–Czy mógłbyś nie używać tego słowa?

–"Capiſce"?

–Nie, tego drugiego.

–O czym ty mówisz, do jasnej cholery?

–Nieważne.

Wzruszył ramionami.

–Tak czy owak, możesz liczyć na dziewięćdziesiąt kawałków w ciągu paru miesięcy. Zadowolony jesteś, że przyszedłeś?

–Na razie tak. A ciebie najwyraźniej wcale nie martwi – zagadnąłem go – oskarżenie o morderstwo, za którym pójdzie zapewne oskarżenie o korupcję, a także fakt, że ludzie dybią na twoje życie.

–Och, wszystko to bzdura.

–Nie sądzę, Frank.

–No więc, co mam zrobić? Mam się położyć i umrzeć? Kiedy widzi się interes, robi się interes. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

–Wydaje mi się jednak, że ma.

–Bzdura.

–Tak tylko o tym wspomniałem.

Dolałem sobie kawy i obserwowałem przez kuchenne okno prześwitujące przez mgłę słońce. Widzi się interes. Robi się interes. Przypomniałem sobie opowiadanie, które kazano nam kiedyś przeczytać na lekcji historii w St. Paul. Jego bohaterami byli dwaj szlachetni rzymscy patrycjusze stojący na murach swego miasta i negocjujący cenę widocznego w oddali kawałka gruntu. Sprzedawca zachwalał zalety swojej ziemi, jej żyzność, sady, które tam rosły, i bliskość miasta.

Potencjalny kupiec starał się, jak mógł, znaleźć jakieś jej ujemne strony, żeby obniżyć cenę. W końcu dobili targu. Podczas negocjacji i po ich zakończeniu żaden z nich nie wspomniał jednak o tym, że na będącej przedmiotem transakcji ziemi obozuje najeżdźcza armia, gotująca się do szturm na Rzym. Morał, jaki płynął z tego apokryfu dla rzymskich uczniów oraz, jak sądzę, dla współczesnych słuchaczy St. Paul (których ojcami byli przedstawiciele amerykańskiej klasy rządzącej), był następujący: szlachetni rzymscy patrycjusze (względnie szlachetni wychowankowie szkoły przygotowawczej) powinni okazywać odwagę i pewność siebie nawet w obliczu śmierci i zniszczenia; człowiek robi interesy nie okazując lęku i nieugięte wierząc w przyszłość. Albo, jak powiedziałiby moi przodkowie: "Nigdy nie traci ducha".

**–Nie wiedziałem, że sfinalizowany został kontrakt na sprzedaż Stanhope Hall – powiedziałem.**

**–Zgadza się. W zeszłym tygodniu. A ty gdzieś się podziewał? Nie pomagasz swojemu teściowi w takich sprawach? Co z ciebie za zięć?**



–Sądziłem, że nastąpi sprzeczność interesów, jeśli będę jednocześnie reprezentował was obu – jego w tej transakcji, a ciebie w sprawie o morderstwo.

–Czyżby? Zawsze martwisz się o takie rzeczy? – zapytał i pochylił się ku mnie. – Pozwolisz, że ci coś powiem?

–Jasne.

–Twój teść to twarda sztuka. Niełatwo go nabić w butelkę.

Przez głowę przeleciał mi szalony pomysł: mogłem zwrócić się do Bellarosy, żeby pomógł mi pozbyć się Williama. Zawrzeć kontrakt na jego głowę. To od twojego zięcia, ty sukinsynu. TRACH. TRACH.

TRACH.

–Hej, słuchasz mnie? Pytałem, jak ci się układają z nim stosunki?

–Mieszka w Południowej Karolinie.

–To dobrze. Słuchaj, chcesz może zobaczyć obraz?

–Poczekam, aż go zawiesicie.

–Zgoda. Zaprosimy tutaj trochę ludzi. Susan będzie gościem honorowym.

–Dobrze.

–Co u niej słychać? Nie widziałem jej ostatnio.

–Czyżby?

–Jest dzisiaj w domu? Żeby w razie czego dotrzymać Annie towarzystwa?

–Tak sędzę. Nie opowiadamy sobie wzajemnie, jaki mamy rozkład dnia.

–Naprawdę? Masz nowoczesną żonę. Odpowiada ci to?

–Co słychać u Anny?

–Powoli się przyzwyczajają. Wynieśli się stąd wszyscy jej zwariowani krewni i teraz odgrywa wielką panią. Donna Anna. Doszła już do siebie po tej opowieści o duchach – rzucił mimochodem, posyłając mi niezbyt miły uśmiech. – Nie powinieneś

opowiadać jej takich zwariowanych historii.

Odchrząknąłem.

–Przykro mi, jeśli ją to zdenerwowało.

–Czyżby? Diabelska historia. Kto to słyszał, żeby pieprzyły się dzieciaki. Madonna mia. Opowiedziałem ją wielu ludziom. Nie wiedziałem tylko, czy dobrze wszystko zrozumiałem. A potem powtórzyłem ją Jackowi Weinsteinowi. To inteligentny facet, podobnie jak ty.

Powiedział, że była kiedyś taka książka. Że wzięłaś tę historię z książki. To nie jest żadna opowieść o Alhambrze. Dlaczego to zrobiłaś? – Żeby zabawić czymś swoją żonę.

–Wcale jej to nie rozbawiło.

–Więc dobrze, żeby zabawić się samemu.

–Tak? – Nie wydawał się ze mnie zadowolony. – Coś jeszcze – rzucił. – Anna uważa, że to ty jesteś tym facetem, który na nią ryknął. Czy to prawda?

–Tak.

–Dlaczego to zrobiłaś?

Przeszło mi przez głowę, że jeśli nie chcę wylądować w betonowych trzewikach na dnie sadzawki, powinienem wymyślić coś mądrzejszego niż "żeby się zabawić".

–Zrozum, Frank – powiedziałem. – To było kilka miesięcy temu. Zapomnij o tym.

–Nie zapominam niczego.

To prawda.

–Więc w takim razie przyjmij moje przeprosiny.

–W porządku. To mogę zrobić. I powiem ci, że nie każdy może na to liczyć. – Popatrzył na mnie i popukał się w czoło. – Tu sei mat to. Capisce? Łatwiej ich zrozumieć, kiedy używają rąk.

–Capisco – odparłem.

–Jesteście tutaj wszyscy nienormalni.

Obaj powróciliśmy do lektury gazety.

–Ile ci płacę? – zapytał mnie po kilku minutach milczenia.

–Nic. Rewanżuję ci się po prostu za uprzejmość.

–Nie. Zrewanżowałaś się, rozmawiając z Mancuso. Wydostań mnie dzisiaj z mamra, to dostaniesz pięćdziesiąt kawałków.

**–Nie mogę...**

**–Bierz teraz, mecenasie, bo mogę cię jeszcze potrzebować, a jeżeli zabiorą mi całą forszę na mocy ustawy RICO, gówno z tego dostaniesz.**

**Wzruszyłem ramionami.**

**–W porządku. – Świetnie. Widzisz? Nie zjadłeś nawet śniadania, a już zdążyłeś zarobić dziewięćdziesiąt plus pięćdziesiąt. – Pogroził mi palcem. –**

Nie zapomnij tylko napisać o tym w swoim zeznaniu podatkowym – powiedział i roześmiał się.

Uśmiechnąłem się z trudem. Chromolę cię, Frank.

Przez chwilę rozmawialiśmy o sprawach rodzinnych.

–Twoja córka wciąż jest na Kubie? – zapytał.

–Tak.

–Gdybyś z nią przypadkiem rozmawiał, powiedz, że chodzi o numer cztery.

–Słucham?

–Monte Cristo numer cztery. Zapomniałem powiedzieć twojemu synowi, żeby jej powtórzył. Takie duże torpedy. Numer cztery.

Nie zamierzałem kłócić się z nim znowu na temat szmuglu, kiwnąłem więc tylko głową.

–Sądysz, że ta starsza pani ma zamiar dalej mieszkać w stróżówce? – zapytał mnie.

–Tak jej doradziłem.

–Naprawdę? Ile musiałbym jej dać, żeby się wyniosła?

–Nie ma takiej sumy, Frank. To jej dom. Zapomnij o tym.

Wzruszył ramionami.

Przez chwilę miałem ochotę poinformować go, że William Stanhope wpłacił pieniądze na Fundusz Ekologiczny Złotego Wybrzeża z przeznaczeniem na walkę przeciwko podziałowi Stanhope Hall. Ale nie mogłem się zmusić do czegoś takiego. Niezależnie, jak bardzo niemoralne było postępowanie Williama, nie naruszało przepisów prawa, a poza tym zwierzył mi się ze swoich zamiarów na cztery minuty przed tym, nim kazałem mu iść do diabła.

–Co masz zamiar zrobić ze Stanhope Hall? – zapytałem Bellarosę.

–Nie wiem. Zobaczymy.

–Mógłbyś zakopywać tam trupy.

**Uśmiechnął się.**

**–Gdzie jest twój syn, Tony? – zapytałem. Spotkałem się z małym słuchaczem La Salle w zeszłym tygodniu. Sprawiał wrażenie niegłupiego dzieciaka. Wyglądem i manierami przypominał swego ojca. Bellarosa wydawał się z niego bardzo dumny. Nazywałem chłopaka Małym Donem, ale oczywiście tylko w myślach.**

**–Na resztę wakacji wysłałem go do jego starszego brata – odpowiedział Bellarosa.**

12 – Złote Wybrzeże t. II –

Którego?

Spojrzał na mnie.

–Nieważne i zapomnij, że w ogóle o tym słyszałeś. Rozumiesz?

–Absolutnie. – Mój Boże, człowiek musi się dwa razy zastanowić, zanim zada jakieś pytanie temu facetowi. Ale tak właśnie zachowują się ludzie sławni i bogaci. Mam zamożnych przyjaciół, którzy również nie rozpowiadają na lewo i prawo, gdzie w danym momencie przebywają ich dzieci. Przede mną jednak nie robiliby z tego tajemnicy.

–Słuchaj, twój syn jest nadal na Florydzie? – zapytał.

–Może jest, a może nie jest.

Uśmiechnął się ponownie i wsadził nos w gazetę. Rozwiązywał krzyżówkę.

–Amerykański pisarz, na imię ma Norman... kończy się na r.

–Mailer.

–Nigdy o nim nie słyszałem. – Wpisał nazwisko w kratki. – Zgadza się... pasuje. Niegłupi z ciebie facet.

Do kuchni weszła Filomena. Była naprawdę brzydka do tego stopnia, że trudno było to wytrzymać tego ranka. Przez kilka chwil rozmawiała z Frankiem po włosku i odniosłem wrażenie, że nie mówił najlepiej tym językiem, najwyraźniej bowiem nie miała do niego cierpliwości. Przyniosła najróżniejsze rodzaje biskwitów w opatrzonych włoskimi napisami puszkach i teraz rzuciła nam je na stół. Beształa o coś ostro Bellarosę, a potem zaczęła besztać mnie.

–Chce, żebyś jadł – wyjaśnił mi Frank.

Zabrałem się więc do jedzenia. Było tam kilka rodzajów biskwitów, które smakowały całkiem całkiem, kiedy posmarowało się je masłem.

Bellarosa musiał także jeść. Filomena obserwowała nas przez jakiś czas. Kiedy choć na moment przestawałem się opychać, ponaglała mnie gestami. Bellarosa odezwał się do niej podniesionym tonem, a ona nie pozostała mu dłużna. Było to z pewnością potężne śniadanie – potęgę reprezentowała Filomena.

**W końcu znalazła sobie coś innego do roboty i Frank odsunął od siebie talerz.**

**–Mam z nią prawdziwy krzyż pański – oznajmił.**

**–Na to wygląda.**

**Pochylił się ku mnie.**



–Znasz może w okolicy jakiegoś faceta, który by się z nią ożenił?

–Musiałbym się zastanowić.

–Dwadzieścia cztery lata, prawdopodobnie dziewica, gotuje jak szef kuchni, sprząta, szyje i nie boi się ciężkiej pracy.

–Reflektuję.

Zaśmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

–Naprawdę? Masz ochotę na Włoszkę? Powiem o tym twojej żonie.

–Już z nią to przedyskutowałem.

Wypiliśmy po następnej filiżance kawy. Zbliżała się ósma rano i pomyślałem, że robi się trochę za późno na aresztowanie, ale w tej samej chwili do kuchni wszedł Vinnie. Wyglądał, jakby stąpał po szkle.

–Są, szefie. Dzwonił Anthony, spod bramy.

Bellarosa machnął ręką i Vinnie zdematerializował się. Frank odwrócił się do mnie.

–Jesteś mi winien pięćdziesiąt dolców.

Odniosłem wrażenie, że chce je dostać natychmiast, wręczyłem mu więc banknot, który schował do kieszeni.

–Widzisz? – powiedział. – Ferragamo nie postępuje uczciwie.

Nakłamał ławie przysięgłych, a oni dali mu akt oskarżenia. I teraz zostanę aresztowany za coś, czego nie popełniłem, a on świetnie wie, że nie zabiłem Juana Carranzy. Poleje się krew i ucierpią niewinni ludzie.

Ludzie, którzy mają kłopoty z prawem, zaczynają przemawiać jak święci męczennicy. Zauważyłem to u swoich klientów, którzy zajmowali się w sposób twórczy kontami bankowymi.

Bellarosa podniósł się.

–Czternastego stycznia tego roku – oznajmił – tego samego dnia, kiedy faceci z Agencji do Zwalczenia Narkotyków zabili w Jersey Juana Carranzę, ja byłem zupełnie gdzie indziej. Mam bardzo mocne alibi.

**–To świetnie – odparłem i także wstałem ściskając w ręku teczkę.**

**–Nigdy nie zapytałeś mnie, czy mam jakieś alibi, ponieważ normalnie nie zajmujesz się sprawami kryminalnymi.**

**–To prawda. Powinienem być cię zapytać.**

**–Cóż, tak się złożyło, że byłem właśnie tutaj. Tego dnia przyjechałem do Alhambry, żeby ją sobie obejrzeć. Przebywałem tu prawie**

przez cały dzień i spacerowałem po posiadłości – osiemdziesiąt mil od miejsca, w którym zamordowano Carranzę. Odstrzelili mu głowę na parkingu Garden State. Ale mnie tam nie było. Byłem tutaj.

–Czy ktoś ci towarzyszył?

–Jasne. Zawsze ktoś mi towarzyszy. Lenny prowadził. Była jeszcze inna osoba.

Potrząsnąłem głową.

–Nikt nie będzie chciał słuchać tych bzdur, Frank. To nie jest żadne alibi. Czy widział cię ktoś tutejszy?

Spojrzał mi prosto w oczy. Nie wiem, dlaczego tego nie przewidziałem.

–Zapomnij o tym – powiedziałem.

Wycelował we mnie palcem.

–Mecenasie, jeśli oznajmisz sędziemu na rozprawie wstępnej, że widziałeś mnie tego dnia, załatwisz Ferragamo na cacy i wyjdziemy stamtąd w ciągu dwóch minut. Być może nie będziemy musieli nawet wpłacać kaucji.

–Nie – ruszyłem w stronę drzwi.

–Słuchaj, może rzeczywiście mnie widziałeś? Co robiłeś tamtego dnia. Może jeździłeś konno?

–Nie.

Dał krok w moją stronę.

–Może twoja żona była na przejażdżce? Może ona mnie widziała?

Może powinienem z nią porozmawiać?

Upuściłem walizkę i podszedłem do niego.

–Ty sukinsynu! – krzyknąłem. Dzieliło nas mniej niż pół metra i cały czas myślałem o ołowianej rurce. – Nie zamierzam złożyć dla ciebie fałszywego zeznania, podobnie jak moja żona.

Przez jakiś czas wpatrywaliśmy się w siebie.

**–W porządku – powiedział w końcu cicho. – Jeśli uważasz, że nie musisz tego mówić, żeby mnie stamtąd wyciągnąć, w takim razie nic nie mów. Po prostu mnie wyciągnij.**

**Szturchnąłem go palcem.**

**–Nigdy więcej nie próbuj ze mną takich numerów, Frank.**

**Nawet nie proś mnie, żebym zrobił coś sprzecznego z prawem. Chcę, żebyś mnie przeprosił, inaczej wychodzę.**

**Pełna zazwyczaj wyrazu twarz Bellarosy zrobiła się nagle zupełnie**

nieprzenikniona. Jego wzrok odpłynął gdzieś na chwilę, a potem utkwiał go we mnie.

–Okay. Przepraszam. W porządku? Chodźmy.

Wziął mnie pod ramię, podniosłem teczkę i przeszliśmy do palmiarni.

Lenny i Vinnie stali przy małych okienkach umieszczonych po obu stronach drzwi wejściowych. Vinnie obrócił się do swego szefa.

–Coś mi tu śmierdzi – powiedział.

Bellarosa odsunął go na bok i sam wyjrzał przez okienko.

–Niech mnie kule biją... – powiedział i obrócił się ku mnie. – Popatrz.

Podszedłem do okna, nie bardzo wiedząc, czego się mam spodziewać – czołgów, oddziałów antyterrorystycznych czy helikopterów.

Myślałem, że ujrzę kilka samochodów, a w samochodach co najmniej tuzin osób: odzianych w garnitury agentów federalnych i co najmniej paru umundurowanych funkcjonariuszy miejscowej policji oraz detektywów – tak żeby każdy miał świadomość, że uczestniczy w wielkiej akcji. Tymczasem długą brukowaną aleją zmierzał w naszą stronę samotny, idący na piechotę mężczyzna. Szedł powoli przyglądając się rabatkom i topolom, tak jakby wybrał się na poranną przechadzkę.

Kiedy się zbliżył – a właściwie na długo wcześniej – rozpoznałem go. Obróciłem się do Bellarosy.

–To Mancuso.

–Czyżby? – odparł.

–Jest sam! – zawołał stojący przy drugim okienku Lenny. – Ten sukinsyn jest sam.  
– Obrócił się ku Bellarosie. – Kropnijmy go!

Nie wydawało mi się, żeby to był dobry pomysł.

–Facet ma jaja – stwierdził Frank. – Ma jaja.

Vinnie był oburzony.

–Nie mogą nam zrobić czegoś takiego! – wykrzyknął. – Nie mogą przysłać po prostu jednego faceta!

**Pan Mancuso nie był oczywiście sam, stała bowiem za nim cała potęga władzy i kodeksu karnego. To była lekcja, której życie udzieliło nam tego ranka, nie tylko Frankowi Bellarosie i jego ludziom, ale także mnie.**

**–Zbliża się! – stwierdził Lenny i wsadził dłoń pod marynarkę, sięgając, miałem nadzieję, po notes. Ale nie, wyciągnął stamtąd swój**

wielki rewolwer. – Mamy go załatwić, szefie? – zapytał. Właściwie nie zabrzmiało to zbyt szczerze.

–Zamknij się – odparł Bellarosa. – Schowaj to. I cofnijcie się obaj. Tam. Ty stań tutaj, mecenasie.

Lenny i Vinnie cofnęli się pod kolumnę, a ja stanąłem z boku.

Rozległy się trzy stuknięcia do drzwi.

Frank Bellarosa ruszył ku drzwiom i otworzył je na oścież.

–Zobacz, kto do nas zawitał – powiedział.

Pan Mancuso podniósł do góry swoją odznakę, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, z kim mamy przyjemność, po czym przystąpił od razu do rzeczy.

–Mam dla ciebie nakaz aresztowania, Frank – powiedział. – Idziemy.

Ale Bellarosa nie uczynił najmniejszego ruchu, wskazującego na to, że się gdzieś wybiera. Obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie, jakby od wielu lat czekali na ten moment i teraz nie chcieli go przedwcześnie przerywać, żeby przypadkiem czegoś nie stracić.

–Masz jaja, Mancuso – powiedział w końcu Bellarosa.

–A ty jesteś aresztowany – odparł Mancuso. Wyciągnął z kieszeni kajdanki. – Ręce do przodu.

–Chwilę, rodaku, pozwól mi najpierw załatwić parę spraw.

Dobrze?

–Skończ z tym gadaniem o rodakach, Frank. Czy stawiasz opór?

–Nie, nie. Chcę po prostu zamienić kilka słów z moją żoną. Bez żadnych numerów. Czekałem na ciebie. Popatrz, mamy tutaj prawnika. – Dał krok do przodu wysuwając rękę w moim kierunku. – Widzisz? Znasz go. On za mnie poręczy.

Spojrzeliliśmy sobie z panem Mancuso głęboko w oczy i domyśliłem się, że wiedział, iż mnie tutaj zastanie.

–Panie Mancuso – powiedziałem – sam pan widzi, że mój klient spodziewał się tego

aresztowania i nie zamierza stawiać oporu ani uciekać. Chce porozmawiać przez chwilę ze swoją żoną. To rozsądne żądanie i na ogół się je uwzględnia. – Nie wiedziałem, czy to prawda, ale zabrzmiało to całkiem prawdziwie. Sądzę, że tak właśnie wyglądają te rzeczy w filmie.

–W porządku, Frank – zgodził się pan Mancuso. – Dziesięć minut. Uściśnij ją i daj buzi. Żadnych pieszczotek.



Bellarosa roześmiał się, byłem jednak przekonany, że ma ochotę roztrzaskać panu Mancuso zęby ołowianą rurką.

Odsunął się od drzwi, a Mancuso wszedł do środka. Popatrzył na mnie, a potem zobaczył Vinniego i Lenny'ego. Rozejrzał się wokół siebie, żeby upewnić się, czy nikogo nie pominął.

–Benvenuto a nostra casa – powiedział Bellarosa.

Pan Mancuso odpowiedział coś po włosku i chociaż nie rozumiałem jego słów, nie przypominały bynajmniej pozdrowienia.

W gruncie rzeczy, gdybym nie wiedział z własnego doświadczenia, że pan Mancuso nie używa nieprzyzwoitych wyrazów, przysięgłbym, że zabrzmiało to jak "odpierdol się". A może przeklina tylko po włosku.

Tak czy owak, to co powiedział, nie uszczęśliwiło bynajmniej Franka, Vinniego i Lenny'ego.

Frank nie przestawał się uśmiechać. Przeprosił nas i wspiął się po schodach na drugie piętro.

Pan Mancuso zainteresował się teraz Lennym i Vinniem.

–Macie broń? – zapytał ich.

Obaj kiwnęli głowami.

–Pozwolenie?

Ponownie kiwnęli głowami.

Pan Mancuso wyciągnął rękę.

–Portfele.

Obaj podali mu do ręki swoje portfele, a on zaczął w nich grzebać, szukając pozwoleń na broń i wyrzucając przy okazji na podłogę pieniądze i karty kredytowe. Porównał ich twarze z fotografiami.

–Vincent Adamo i Leonard Patrelli. Co robicie, chłopcy, żeby zarobić na kawałek chleba?

**–Nic.**

**Cisnął im ich portfele.**

**–Wynoście się stąd – powiedział.**

**Zawahali się przez chwilę, a potem pozbierali pieniądze z podłogi i wyszli.**

**Pan Mancuso zainteresował się teraz palmiarnią. Zadzierając głowę przyglądał się ptakom, wiszącym roślinom, krużgankom i balkonom.**

**–Napije się pan kawy? – zapytałem go.**

**Potrząsnął głową i zaczął przechadzać się wolnym krokiem wokół palmiarni, sprawdzając, czy nic nie dolega rosnącym w donicach**

palmom i czy ptaszki w dolnych klatkach mają dosyć jedzenia i picia.

Następnie jego uwagę przykuły żyłki na marmurowej kolumnie.

To był naprawdę zupełnie inny pan Mancuso niż ten, z którym wybrałem się na żagle. W końcu odwrócił się i popatrzył na mnie, wskazując mi ręką wiklinowy fotel.

Kiedy usiadłem, przysunął sobie drugi fotel i usiadł naprzeciwko mnie. Przez chwilę słuchaliśmy śpiewu ptaków.

–Na czym polega pański problem, panie Sutter? – zapytał Mancuso.

–Problem? Jaki problem?

–O to właśnie pana pytam. Musi pan mieć jakieś problemy, w przeciwnym razie by tu pana nie było. Problemy rodzinne? Finansowe? Kłopoty z żoną, kłopoty z życiem? Nie rozwiąże pan tutaj żadnych swoich kłopotów. Chce pan sam sobie coś udowodnić? Co sprawia, że czuje się pan nieszczęśliwy?

–W tym konkretnym momencie pan.

–Uszczęśliwianie to nie moja działka.

–A kaznodziejstwo?

–Czasami. Wie pan co? Pozwolę Bellarosie zadzwonić do jego adwokata, Jacka Weinsteina. Weinstein spotka się z nim w sądzie.

Dam panu pięć minut na wyjaśnienie Bellarosie, dlaczego nie chce go pan bronić, ani w ogóle nigdy więcej widzieć. Niech pan mi wierzy, panie Sutter, on to zrozumie.

–Nie ma pan prawa wtrącać się w stosunki między adwokatem a jego klientem.

–Niech pan mi nie opowiada, do czego mam prawo. Jako dokonujący aresztowania agent federalny nie przywiązuję najmniejszego znaczenia do tego, kto jest obrońcą Bellarosy. Ale jako obywatel i jako człowiek ubolewam, że tym obrońcą jest właśnie pan.

–Szczерze jestem wdzięczny za pańską propozycję – odparłem po krótkim namyśle.  
– Ale nie mogę teraz zrejterować. Wiem tylko, w jaki sposób się w to wplątałem i dlaczego. Muszę przez to wszystko przebrnąć, w przeciwnym razie nigdy nie dostanę się na drugi brzeg.

**Rozumie pan?**

**–Zawsze rozumiałem. Powinien pan jednak spróbować innych możliwości.**

**–Możliwe, że powinienem.**

Siedzieliśmy przez kilka minut w milczeniu. W końcu usłyszałem na schodach ciężkie kroki Bellarosy.

Mancuso wstał i zatrzymał się przy ostatnim stopniu trzymając w ręku kajdanki.

–Gotów jesteś, Frank?

–Jasne – odparł Bellarosa.

Wyciągnął ręce, a Mancuso założył mu kajdanki.

–Oprzyj się o balustradę – powiedział.

Bellarosa oparł się o marmurowy słupek, a Mancuso zrewidował go.

–W porządku.

Bellarosa wyprostował się.

–Skoro już pan tu jest, niech pan poinformuje go o przysługujących mu prawach – odezwał się do mnie Mancuso.

Niezbyt dobrze pamiętałem treść tak zwanej formuły Mirandy i wprawiło mnie to w lekkie zakłopotanie. (Zajmuję się w przeważającej mierze podatkami, testamentami i sprzedażą domów). W końcu jednak Mancuso wspólnie z Bellarosą jakoś mi pomogli – ten pierwszy miał zresztą ze sobą małą ściągawkę.

–W porządku? – zapytał. – Pański klient zrozumiał, jakie przysługują mu prawa?

Skinąłem głową.

Mancuso wziął pod ramię mego klienta i gotował się do wyjścia, ale ja miałem jeszcze coś do powiedzenia.

–Chciałbym obejrzeć nakaz aresztowania – oznajmiłem.

Trochę zirytowało to pana Mancuso, ale pogrzebał w kieszeni i podał mi nakaz. Uważnie go przestudiowałem. Nigdy w życiu nie widziałem autentycznego nakazu i wydał mi się dość interesujący.

Chciałem zarobić chociaż w małej części na owe pięćdziesiąt kawałków i zatrzeć niekorzystne wrażenie po wpadce z formułą Mirandy, czułem jednak, że Mancuso, a nawet Bellarosa, trochę się niecierpliwia.

**Oddałem nakaz Mancuso, zastanawiając się przez cały czas, czy nie powinienem poprosić go o kopię do akt.**

**Mancuso ruszył wraz z Bellarosą w stronę drzwi, a ja podążyłem za nimi.**

**–Czy jedzie pan bezpośrednio do siedziby FBI przy Federal Plaza? – zapytałem.**

**–Tak jest.**

–Jak długo będzie pan tam przebywał?

–Tyle, ile zajmie mi zarejestrowanie aresztowanego.

–Czy po rejestracji zabierze pan mojego klienta bezpośrednio do Sądu Federalnego przy Foley Square?

–Zgadza się.

–Kiedy można się tam pana spodziewać, panie Mancuso?

–Kiedy tylko tam dotrę, panie Sutter.

–Czy będą tam dziennikarze?

–To nie moja sprawa, panie Sutter.

–Wiem, to sprawa pana Alphonse'a Ferragamo, który zamierza urządzić tam prawdziwy cyrk dla przedstawicieli mass mediów.

–To także nie moja sprawa.

–Zamierzam towarzyszyć memu klientowi przez całą drogę, panie Mancuso. Oczekuję, że wszyscy będą się zachowywać zgodnie z prawem, jak prawdziwi zawodowcy.

–Może pan na to liczyć, panie Sutter. Czy mogę zabrać aresztowanego? Chciałbym już wyruszać.

–Oczywiście. Do zobaczenia na Federal Plaza – zwróciłem się do Bellarosy.

–Nie zapomnij teczki, nie zatrzymuj się nigdzie na kawę i nie zabłądź. Capisco? – powiedział żartobliwie Frank, który starał się nie tracić rezonu mimo kajdanek i spoczywającej na jego ramieniu ręki Mancuso.

Zauważyłem, że nie był już taki elokwentny, ale potrafiłem to zrozumieć.

–Capisco.

Roześmiał się.

–Widzisz? Minie jeszcze kilka miesięcy i nauczę go przeklinać po włosku – powiedział do Mancuso.

**–Idziemy, Frank – oznajmił tamten i wyprowadził go na dwór.**

**Stałem w otwartych drzwiach razem z Lennym i Vinniem. Patrzyłem, jak Mancuso prowadzi Bellarosę długą aleją ku bramie, przy której stał obserwujący ich Anthony. Było coś w tej scenie, czego nie zapomnę do końca życia. Nie sądzę jednak, żeby wywarła ona równie potężne wrażenie na Anthonym, Vinniem i Lennym, i żeby skłoniła ich do logicznego wniosku, że zbrodnia jednak nie popłaca.**

**–Możemy jechać, mecenasie? – zapytał Lenny.**



Skinałem głową i podniosłem z podłogi teczkę. Lenny pobiegł po cadillaca, żeby zajechać nim pod same drzwi, a ja zostałem razem z Vinniem, któremu, jak się okazało, wciąż nie dawał spokoju fakt, że dom nie został otoczony przez spadochroniarzy i brygady antyterrorystyczne.

–Powinniśmy wykończyć tego skurwiela – stwierdził. – Co on sobie, kurwa, wyobraża? Że kim jest?

–Uosobieniem prawa. – Że jak? Pierdolę go – stwierdził Vinnie i wyszedł tupiąc głośno.

Ruszyłem za nim, ale w tej samej chwili usłyszałem za sobą hałas i odwróciłem się. Kręconymi schodami, zawodząc, ile tylko miała sił w swoich potężnych płucach, zbiegała w dół ubrana w szlafrok i pantofle Anna. Zawróciłem ku drzwiom, ale spostrzegła mnie.

–John! John! O, mój Boże! John!

Madonna. Czy miałem przejść i przez to?

–John! – Ruszyła na mnie niczym zaopatrzony w gigantyczne zderzaki buick model '54. – John! Zabrali Franka! Zabrali go! – Zderzyła się ze mną – bum! – i złapała w ramiona, dzięki czemu nie upadłem. Wtuliła mi twarz w pierś i pokropiła łzami mój krawat od Hermesa. – Och, John! Aresztowali go!

–Zgadza się, byłem przy tym.

Obejmowała mnie nadal z całej siły i nie przestawała szlochać.

Madonna mia. Przyciśnięty do jej cycków nie mogłem zaczerpnąć powietrza.

–Już dobrze, już dobrze – wycharczałem. – Nie płacz. Usiądźmy gdzieś.

Poholowałem ją w stronę wiklinowego fotela, co przypominało zmaganie się z półtuszą wołową. Nie miała zbyt wiele ubrania pod szlafrokiem i pomimo nie sprzyjających okoliczności i wczesnej pory zorientowałem się, że trochę podziałała na mnie jej bliskość. Przez głowę przeleciała mi niewiarygodnie szalona myśl, ale pozbyłem się jej, zanim zdążyła mnie śmiertelnie porazić.

Usiadła w końcu i złapała mnie za rękę.

–Dlaczego zabrali mojego Franka?

**Niech mnie kule biją, Anno, nie mam najmniejszego pojęcia dlaczego.**

**–Jestem pewien, że to pomyłka. Nie martw się. Sprowadzę go z powrotem do domu dziś wieczorem.**

Pociągnęła mnie w dół, aż ukląknęłam i nasze twarze znalazły się tuż koło siebie. Zauważyłam, że choć znajdowała się w szoku, spędziła na górze wystarczającą ilość czasu, żeby się uczesać, umalować i pokropić przyjemnie pachnącymi perfumami. Spojrzała mi prosto w oczy.

–Przysięgnij. Przysięgnij mi, John, że sprowadzisz Franka z powrotem.

Mamma mia, co za ranek. Nigdy nie miałem podobnych problemów przy sprzedaży domu. Odchrząknąłem.

–Przysięgam – powiedziałem.

–Na grób twojej matki. Przysięgnij na grób twojej matki.

Z tego, co wiedziałem, Harriet wciąż cieszyła się dobrym zdrowiem i podróżowała po Europie. Ale mnóstwo osób, włączając w to czasami mnie samego, uważa, że moi rodzice od dawna nie żyją, nie wzbraniałem się więc zbyt długo.

–Przysięgam na grób mojej matki, że sprowadzę Franka z powrotem – powiedziałem.

–Och... słodki Boże. – Obsypała pocałunkami moje dłonie i przez chwilę szlochała nic nie mówiąc. Udało mi się spojrzeć na zegarek.

–Anno, muszę już iść, żeby zdążyć spotkać się z Frankiem. – Wstałem, ale nadal nie puszczała moich rąk. – Naprawdę muszę już – Hej, mecenasie! Idziemy! – To był Vinnie. – O, dzień dobry, pani Bellarosa – powiedział widząc trzymającą mnie kurczowo żonę szefa. – Przykro mi, ale muszę zabrać pana Suttera do sądu.

Uwolniłem rękę.

–Zadzwoń do Susan – powiedziałem do Anny. – Przyjdzie dotrzymać ci towarzystwa. Może wybierzecie się razem na zakupy albo pogracie w tenisa. – Ruszyłem w pośpiechu do drzwi, złapałem teczkę i wyszedłem.

Widzieliście, jak spokojnie zachowywał się Don – zapytał siedzący za kierownicą Lenny, kiedy jechaliśmy autostradą w kierunku Manhattanu.

–Pewnie. On nie boi się niczego – potwierdził siedzący obok kierowcy Vinnie. Obejrzał się do tyłu. – Prawda, mecenasie?

Trochę mnie już drażnili ci dwaj. Przez ostatnie dziesięć mil wynosili Bellarosę pod niebiosa, tak jakby został aresztowany przez KGB za działalność na rzecz demokracji i właśnie znajdował się w drodze do izby tortur na Łubiance.

–Nie musi się niczego bać z wyjątkiem złych kierowców na autostradzie – powiedziałem.

–Czyżby? – zauważył oschle Vinnie. – Mnie aresztowali dwa razy. Trzeba im pokazać jaja, inaczej cię upierdołą. Ciekawe, jakby pan sam wyglądał, gdyby mieli pana zapuszkować na dziesięć albo dwadzieścia lat?

–Słuchaj, Vinnie – powiedziałem – jeśli boisz się wyroku, nie popełniaj przestępstwa. Capisce?

Lenny roześmiał się.

–Posłuchaj no tego faceta. Gada teraz zupełnie jak ten pierdolony Weinstein. Ciekaw jestem, mecenasie, co by pan zrobił, gdyby wrzucono pana do celi, w której roi się od melanzane i brudasów.

–Może wolałbym tam siedzieć, niż jechać samochodem razem z dwoma makaroniarzami.

Uznali to za niezły żart i wybuchnęli śmiechem. Klepali się po udach i walili w dach samochodu. Lenny nacisnął kilka razy klakson, a Vinnie piał z radości. Odkryłem, że Włosi nie są szczególnie obraźliwi, gdy ktoś żartuje sobie z ich narodowości. Są jednak inne kategorie dowcipów, na których mogą się nie poznać. Trzeba być ostrożnym.

–Don ma dzisiaj ochotę na lunch w "Caffe Roma", mecenasie – powiedział Vinnie. – Chyba nic nie stanie mu na przeszkodzie?

–Mam nadzieję. A jeśli stanie, zamówimy mu dostawę do celi – odparłem.

To był właśnie przykład żartu, na którym mogli się nie poznać.

–Nie widzę w tym, kurwa, nic śmiesznego – oznajmił Vinnie potwierdzając moje najgorsze obawy.

–Jeśli nie wyjdzie pan z sądu razem z Donem – dodał Lenny – może będzie pan musiał poszukać sobie innego środka lokomocji.

W jego słowach nie czaiła się wyraźna groźba, ale można je było różnie rozumieć.

**-To moje zmartwienie. Wy martwcie się, jak dojechać – powiedziałem.**

**Przez chwilę nikt się nie odzywał, co, prawdę mówiąc, bardzo mi**

odpowiadało. Oto, gdzie się znalazłem: zamknięty w czarnym cadillacu razem z dwoma należącymi do mafii opryszkami, zmierzając prosto w przepastne otchłanie federalnego wymiaru sprawiedliwości.

Dochodziła godzina dziewiąta i minął już czas największego porannego szczytu, ale ruch był nadal duży i nie sądziłem, by udało nam się wyprzedzić Mancuso. W gruncie rzeczy nie wiedziałem nawet, jakim jedzie samochodem. W pobliżu nie było widać samochodu z Bellarosą, spostrzegłem za to, iż od jakiegoś czasu towarzyszą nam cztery szare fordys na cywilnych numerach.

–Niech pan popatrzy na tych sukinsynów – powiedział Lenny.

Usłuchałem go. W każdym samochodzie siedziało dwóch mężczyzn.

Nie spuszczała nas z oczu, zmieniając zarazem pozycje wokół naszego cadillaca. Jadący przed nami szary ford nagle zwolnił i Lenny wcisnął hamulec.

–Sukinsyny!

Jadące po obu naszych stronach fordys, a także ten z tyłu, zamknęły nas w pułapce, a następnie wszystkie zwolniły do około dziesięciu mil na godzinę, sprawiając, że podążający za nami zmotoryzowani użytkownicy Long Island Expressway, których nawet w dawnych dobrych czasach nikt nie mógł posądzić o przesadną wyrozumiałość, już po krótkiej chwili bliscy byli zbiorowego napadu szału. W powietrzu rozbrzmiewały klaksony i wyzwiska, a kierowcy walili głowami w kierownice. Naprawdę byli podenerwowani, tam z tyłu.

Spowodowaliśmy zatem w drodze do Midtown Tunnel coś, co w radiu określa się jako "poważne korki".

Nie były to oczywiście jakieś drobne szykany, ale niezgodna z prawem próba uniemożliwienia mi kontaktu z moim klientem.

Domyśliłem się, że stoi za tym Ferragamo; podejrzewałem, że w samochodach nie siedzą funkcjonariusze FBI, ale jego własni ludzie z departamentu sprawiedliwości.

–Jedź prosto do Sądu Federalnego przy Foley Street – powiedziałem Lenny'emu. – przecież Don powiedział, że mamy się z nim spotkać w siedzibie FBI.

–Rób, co mówię.

–Zabije nas.

**-Rób, co mówię!**

–On ma rację. Powinniśmy jechać od razu do sądu – poparł mnie Vinnie, który dysponował co najmniej jedną sprawną półkulą mózgową.

Lenny zaczynał rozumieć, o co chodzi.

–Dobrze. Ale nie biorę za to odpowiedzialności, Vinnie – stwierdził.

Oparłem się wygodnie o siedzenie i przysłuchiwałem rozbrzmiewającym wokół nas klaksonom. Nie sądziłem, żeby maczał w tym palce Mancuso. Domyśliłem się, że dostał przez radio nowe instrukcje, nakazujące mu jechać bezpośrednio do sądu, gdzie Bellarosa mógł zostać zarejestrowany tak samo dobrze jak w siedzibie FBI. Po rejestracji zaprowadzą niezwłocznie mojego klienta przed oblicze sądu i szef największego nowojorskiego syndykatu zbrodni stanie tam w swoim eleganckim garniturku bez adwokata, sam jak palec. Sędzia przeczyta mu zarzuty i zapyta, czy oskarżony przyznaje się do winy.

Bellarosa zawoła: "Jestem niewinny", a sędzia każe odesłać go do celi.

Frank narobi wielkiego krzyku, ale nic mu to nie da. Oskarżenie o morderstwo to poważna sprawa i miną mniej więcej dwa tygodnie, zanim uda mi się doprowadzić do powtórnego posiedzenia sądu w sprawie kaucji. Właściwie lepiej będzie, jeśli od razu polecę do Rio i wyślę mu stamtąd pocztówkę.

Spojrzałem na spoczywającą obok mnie na siedzeniu teczkę.

Niektóre z papierów wartościowych można było sprzedać, no i był oprócz tego milion dolarów w gotówce. Brazylijczycy nie zadają zbyt wielu pytań, kiedy składa się u nich w banku milion amerykańskich dolarów. Interesuje ich co najwyżej, w jakim kolorze mają być чеки.

Spojrzałem na zegarek. Frank i Mancuso znajdowali się już prawdopodobnie na Foley Street, ale procedura rejestracji, nawet jeśli dokonuje się jej w pośpiechu, musi się odbyć zgodnie z wymogami prawa; składa się na nią rewizja osobista, zdjęcie odcisków palców, zrobienie fotografii, wypełnienie najróżniejszych kwestionariuszy i ankiety personalnej. Dopiero potem będzie można zawlec Bellarosę przed oblicze czekającego nań sędziego. Miałem więc jeszcze szansę dojechać do sądu, dowiedzieć się, w jakiej sali odbywa się rozprawa przeciw Bellarosie, i zdążyć na czas. Miałem szansę.

Przypomniałem sobie, że byłem kiedyś umówiony z klientem w sprawie sfinalizowania sprzedaży domu w Oyster Bay i zepsuł mi się samochód. Ale nie było to chyba najlepsze porównanie.





Co innego jednak mogłem zrobić? Zanotowałem numery rejestracyjne naszej eskorty, zmierzyłem groźnym wzrokiem siedzących w fordach facetów, po czym zabrałem się do lektury gazety, która leżała obok mnie na siedzeniu. Metsi pokonali Montreal i tylko dwa mecze dzieliły ich od zdobycia mistrzostwa.

–Hej, jak wam się podobali Metsi? – zagadnąłem swoich kumpli z przedniego siedzenia.

–Oglądał pan ich wczoraj? – zapytał Vinnie.

Przez chwilę rozmawialiśmy na temat baseballu. Wiedziałem, że coś nas jeszcze ze sobą łączy oprócz wspólnego szefa i obawy o własne życie.

Przy moim łokciu znajdował się telefon i mógłbym zadzwonić do Susan, ale nie miałem na to ochoty. Usłyszy o mnie i tak w popołudniowych wiadomościach. Po chwili jednak uświadomiłem sobie, że moja żona nie czyta gazet ani nie ogląda telewizji. No cóż, może dzisiaj robi wyjątek. Dzięki za wyzwanie, Susan.

Kiedy zbliżyliśmy się do wjazdu do tunelu, spojrzałem na zegarek.

Zostało nam mało czasu.

Rozdział 27 Zgubiliśmy naszą eskortę w Midtown Tunnel i wjechaliśmy na FDR Drive. Lenny okazał się lepszym kierowcą niż rozmówcą – co i tak niewiele mówi o jego umiejętnościach – i szybko znaleźliśmy się na wąskich, zatłoczonych uliczkach dolnego Manhattanu. Ale im bliżej znajdowaliśmy się Foley Square, tym wolniej poruszały się samochody. Spojrzałem na zegarek. Była za dwadzieścia dziesiąta. Według mojego rozeznania Mancuso i Bellarosa przebywali na Foley Square co najmniej od pół godziny. Koła sprawiedliwości nie poruszają się na ogół zbyt szybko, ale potrafią nagle przyspieszyć, jeśli dobrze naoliwi je ktoś taki jak Alphonse Ferragamo.

Ale koła czarnego cadillaca nie poruszały się prawie wcale. Prawdę mówiąc ugrzęźliśmy w korku niedaleko City Hall Park, a posiedzenie sądu zaczynało się o godzinie dziesiątej. Niech to diabli. Złapałem teczkę i otworzyłem drzwi.

–Dokąd się pan wybiera? – zapytał Vinnie.

–Do Rio.

Wyskoczyłem z samochodu, zanim zdążył to przeanalizować.

**Na zewnątrz klimatyzowanego cadillaca było gorąco i parno.**

**Jogging w eleganckich półbutach nie należy do rzeczy łatwych, ale wszyscy adwokaci uprawiają go od czasu do czasu i ja również ruszyłem sprintem Centre Street w kierunku Foley Square. W drodze powtarzałem swoją kwestię: "Wysoki Sądzie! Proszę nie opuszczać tego młotka! Mam forszę!"**

13 -Złote Wybrzeże t. II Chodniki wypełniał tłum, którego znaczną część stanowią w tej dzielnicy urzędnicy miejscy, stanowi i federalni, a zatem ludzie, którym z natury rzeczy nigdzie się na ogół nie spieszy. Tu i ówdzie widać jednak było kilku biegaczy w strojach od Brooks Brothers i domyśliłem się, że są to adwokaci w misjach podobnych do mojej. Ruszyłem za jednym z tych przełajowców i po dziesięciu minutach dotarłem na Foley Square cały spocony, z ramionami obolałymi od dźwigania ciężkiej teczki. Jestem w całkiem niezłej kondycji, ale bieg w garniturze przez upalny i zatruty tlenkiem węgla Manhattan odpowiada mniej więcej trzem setom ostrego tenisa.

Zatrzymałem się na chwilę przed trzydziestoma lub czterdziestoma stopniami wiodącymi do budynku sądu, oceniając wzrokiem czekające mnie podejście, po czym wziąłem głęboki oddech i ruszyłem w stronę olbrzymiego wspartego na kolumnach portyku. Wyobraziłem sobie, że nagle mdleję i gromadzą się wokół mnie miłosierni samarytanie, rozluźniając krawat od Hermesa i uwalniając mnie od mego pięciomilionowego brzemienia. Podróż do Rio musiałbym wtedy chyba odbyć autostopem.

Ale następną rzeczą, którą pamiętam, było chłodne wnętrze Sądu Federalnego. Stąpałem zdecydowanie po eleganckiej marmurowej podłodze koloru kości słoniowej, kierując się ku wykrywaczowi metalu, który niczego nie wykrył. Ale strażnik, najwyraźniej zaintrygowany moim zroszonym czołem i wielką teką, kazał postawić mi ją na długim stole i otworzyć. Była dziesiąta rano, rozległy hall wypełniony był prawniczym gwarem i krzątaniem, a ja musiałem otworzyć teczkę wypełnioną po brzegi forszą. Jeśli kiedykolwiek zdarzyło wam się opróżnić przed celnikiem torbę brudnej bielizny, domyślcie się chyba, jak się czułem.

Strażnik, starszy facet, który najprawdopodobniej wyobrażał sobie, że wszyscy przedstawiciele władzy powinni wyglądać i zachowywać się jak Wyatt Earp\*, stał z kciukami założonymi za pas, żując coś flegmatycznie. Mimo swojej kowbojskiej postawy nie nosił butów z cholewami, ostróg ani niczego w tym rodzaju. Miał na sobie standardowy ubiór strażnika sądowego, na który składają się szare spodnie, biała koszula, czerwony krawat i niebieska kurtka z wyszytą Wyatt Earp (1848-1929) słynny rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu.

na piersi odznaką szeryfa. Na nogi założył tanie tenisówki, a jego sześćostrzałowy colt nie tkwił za pasem, ale najprawdopodobniej w kaburze pod pachą. Jego strój bardzo mnie rozczarował, ale postanowiłem zachować to dla siebie.

–Co to? – zainteresował się Wyatt Earp.

Pieniądze, ty głupi dupku.

–To pieniądze na kaucję.

–Czyżby?

–Tak. Mój klient postawiony został dzisiaj w stan oskarżenia.

–Rzeczywiście?

–Rzeczywiście. I prawdę mówiąc, nie chcę się spóźnić...

–Dlaczego tak się pan spocił?

–Dlatego, że biegłem, aby nie spóźnić się na rozprawę.

–Nie jest pan przypadkiem podenerwowany?

–Nie. Po prostu biegłem.

–Czyżby? Może się pan jakoś wylegitymować?

–Oczywiście – odparłem. Wyciągnąłem portfel i pokazałem mu swoje opatrzone fotografią prawo jazdy oraz legitymację adwokacką.

Podeszło do nas teraz kilku innych funkcjonariuszy, przypatrując się mi oraz pieniądzom. Wyatt Earp puścił w koło moje prawo jazdy, tak aby każdy mógł na nie rzucić okiem. Nie muszę dodawać, że wokół nas szybko gromadził się oczarowany zielonymi papierkami tłum.

Zatrzasnąłem teczkę.

Wszyscy, wliczając w to, jak sędzę, przechodzącego akurat obok woźnego, zapoznali się z moim prawem jazdy i mogłem schować je z powrotem do portfela.

–Kim jest pański klient, mecenasie? – zapytał Earp.

**–Bellarosa, Frank – odparłem po krótkim wahaniu.**

**Strażnik uniósł brwi.**

**–Tak? Przyskrzynili w końcu tego kutasa? Kiedy?**

**–Został aresztowany dzisiaj rano. Naprawdę chcę się dostać na salę rozpraw, zanim stanie przed obliczem sędziego.**

**–Nie przejmuj się pan. Facet będzie miał szczęście, jeśli zobaczy sędziego przed przerwą na lunch. Pan tutaj nowy?**

**–Tak jakby. Muszę porozmawiać ze swoim klientem jeszcze przed rozprawą –  
dodałem – więc teraz pana pożegnam.**

**Ruszyłem ku windowi.**

–Niech pan zaczeka!

Zatrzymałem się. Strażnik człapał w moją stronę, rozstawiając szeroko nogi, tak jakby cały ranek spędził w siodle albo dokuczały mu hemoroidy.

–Wie pan, gdzie jest areszt? – zapytał.

–Prawdę mówiąc nie.

–Więc panu powiem. Pojedzie pan na trzecie piętro...

–Dziękuję.

–Chwilę. Areszt jest pomiędzy biurem szeryfa, gdzie zrobią pańskiemu facetowi zdjęcia i wezmą odciski palców... – przestał mówić i przysunął się do mnie bliżej. – Spiesz się panu do ubikacji, czy co?

Sprawiałem chyba wrażenie zniecierpliwionego i nie uszło to bystrej uwagi Wyatta. Ponownie nabrał podejrzeń i postanowiłem wziąć byka za rogi.

–Niech pan zrozumie, mój klient zostanie postawiony przed sędzią bardzo szybko, właśnie dlatego, że jest tym, kim jest. Prawdę mówiąc dokładnie w tej chwili zdejmują mu odciski palców. Nie chcę spóźnić się na tę rozprawę, bo mój klient nie będzie ze mnie zadowolony. – Miałem ochotę dodać: "Capisce?", ale facet wyglądał na Irlandczyka.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

–No pewnie, nie chce się pan spóźnić na taką rozprawę, mecenasie. Wie pan, jak trafić?

–Trzecie piętro?

–Prawidłowo. Pański facet został aresztowany i postawiony w stan oskarżenia, czy czeka dopiero na nakaz?

–Aresztowany na mocy nakazu.

–W porządku, więc nie musi pan iść do biura sędziego pokoju.

Wal pan od razu do Sądu Okręgowego, wydział pierwszy.

Mamma mia, ten facet zamierzał udzielić mi krótkiego kursu na temat

**funkcjonowania Sądu Federalnego. Prawdę mówiąc, byłem w tej dziedzinie całkiem zielony, ale wcale mi to nie przeszkadzało.**

**Chciałem po prostu dostać się na trzecie piętro, zanim będzie za późno. Z drugiej strony nie powinienem sprawiać wrażenia spanikowanego, bo Earp nabrałby wtedy jeszcze większych podejrzeń albo potraktował mnie z jeszcze większą życzliwością. Uśmiechnąłem się.**



–Wydział pierwszy. W porządku.

–Tak. Wydział pierwszy, trzecie piętro – powtórzył i spojrzął na zegarek. – Hej, jest już po dziesiątej. Lepiej niech się pan pospieszy.

–Tak, lepiej już pójdę.

Ruszyłem, starając się nie biec, w stronę wind.

–Mam nadzieję, że starczy panu tej forsy – zawołał za mną.

Mam nadzieję, że starczy mi czasu, Wyatt. Pojechałem windą na trzecie piętro.

Wysiadłem, jak na złość obok biur sędziego pokoju, nie wydziału pierwszego, i od razu się zgubiłem. Odnalazłem jednak po chwili właściwą strzałkę i ruszyłem jej śladem. Korytarze sprawiedliwości wypełnione były dziesiątkami zakutych w kajdanki więźniów. Towarzyszyli im policjanci, którzy dokonali aresztowania, a także pomocnicy szeryfa, funkcjonariusze FBI, prawnicy reprezentujący rząd, prawnicy reprezentujący oskarżonych, świadkowie i mnóstwo innych osobników, z których żaden nie wydawał się zadowolony z faktu, że się tutaj znalazł. Jest coś wyjątkowo przygnębiającego w korytarzach każdego sądu kryminalnego: więźniowie i strażnicy – kłujące w oczy świadectwo ludzkiej słabości, nędzy i zła.

Skręciłem w odpowiedni korytarz. Sąd Federalny wyraźnie i pod wieloma względami różni się od sądów miejskich i stanowych. Przede wszystkim spotyka się tutaj na ogół przestępców trochę lepszego sortu. Należą do nich oszuści z Wall Street i inni kombinatory w białych kołnierzykach, którzy okazali się na tyle głupi, by skorzystać w swojej działalności z usług poczty federalnej albo rozszerzyć ją poza granice jednego stanu. Co jakiś czas widuje się tutaj nawet zdrajcę albo szpiega, a czasami (choć nie tak często, jakby należało) kongresmana bądź członka gabinetu. Słyszałem jednak (a teraz mogłem to zobaczyć na własne oczy), że wraz ze wzrostem liczby prowadzonych przez władze federalne spraw o narkotyki wygląd tutejszych oskarżonych wyraźnie się ostatnio pogorszył. To fakt, widziałem wokół siebie mnóstwo osobników, którzy ponad wszelką wątpliwość zajmowali się międzynarodowym handlem farmaceutykami i potrafiłem zrozumieć, dlaczego Frank Bellarosa, chociaż taki z niego chojrak, nie miał ochoty zadzierać z tymi nowymi facetami.

Szczerze mówiąc, ja sam nie miałem nawet ochoty przejść obok tych niebezpiecznych przestępców korytarzem – mimo że byli zakuci

w kajdanki. Najgorsze było to, że wydzielali straszliwy, obezwładniający smród. Poczułem kiedyś ten smród w sądzie stanowym i pamiętałem go; był to odór ćpuna, przy pierwszym wdechu lekko słodkawy, a potem przypominający fetor zdechłego zwierzęcia. Idąc korytarzem o mało się nie porzygałem. Co ty tu robisz, Johnie Sutter?

Wracaj na Wall Street, tam gdzie twoje miejsce. Nie, do diabła, muszę przez to wszystko przejść. Gdzie są twoje jaja, ty mimozo? Ruszaj przed siebie.

Ruszyłem przed siebie, mijając cuchnące korytarze biur sędziego pokoju, aż znalazłem się w wydziale pierwszym Sądu Okręgowego, gdzie oskarżeni nie byli zakuci w kajdanki i zdecydowanie przyjemniej pachnieli.

–Czy stanęła już sprawa Franka Bellarosy? – zapytałem zastępcę szeryfa.

–Bellarosy? Tego mafiosa? Nie wiedziałem nawet, że tu jest.

–Powinien tu być. Jestem jego adwokatem. Czy jego sprawa mogła się już odbyć?

Wzruszył ramionami.

–Całkiem możliwe. Sędzia Rosen prowadzi rozprawy już od dobrych paru chwil.

–Gdzie jest jego sala posiedzeń?

–Jej sala. Sędzia Rosen jest kobietą.

–Ilu sędziów rozpatruje sprawy dzisiaj rano?

–Ona jedna, jak zawsze. Pierwszy raz pan tutaj?

–Tak jakby. Gdzie jest sala posiedzeń sędzi Rosen?

Poinformował mnie, po czym dodał:

–Niechętnie wypuszcza za kaucją, zwłaszcza jak trafi na takiego, co udaje cwaniaka.

Otrzymawszy tę zachęcającą informację, ruszyłem szybko, starając się nie okazywać po sobie rosnącego niepokoju, ku drzwiom opatrzonym tabliczką SĘDZIA SARAH ROSEN.

Wewnątrz rzeczywiście trwało posiedzenie i kiedy wszedłem, zmierzyło<sup>^</sup> mnie ostrym wzrokiem dwóch strażników. Na ławkach, na których zwykle gromadzi się

**publiczność, siedziało około trzydziestu osób, przeważnie mężczyzn. Prawie wszyscy, jak przypuszczałem, byli obrońcami, choć mogło tam być również kilku policjantów i oskarżonych, którzy nie zostali uznani za niebezpiecznych i w związku**

z tym nie zakuto ich w kajdanki. Bezskutecznie wypatrywałem niebieskiego garnituru mojego klienta i wyróżniającej się łysiny Mancuso.

Trwała właśnie rozprawa wstępna. Oskarżony i jego obrońca stali przed sędzią Sarah Rosen. Po prawej ręce oskarżonego widziałem młodą zastępczynię prokuratora. Odwrócona była do mnie profilem, miała nie więcej jak dwadzieścia pięć lat i z jakiegoś powodu przypominała mi moją córkę, Carolyn. Chociaż na sali panował spokój, uczestnicy rozprawy mówili tak cicho, że dotarło do mnie zaledwie kilka oderwanych wyrazów. Jediną rzeczą, którą usłyszałem wyraźnie, były słowa: "Jestem niewinny" wypowiedziane przez oskarżonego, dobrze ubranego mężczyznę w średnim wieku. Wygłosił swoją kwestię tak, jakby szczerze wierzył w to, co mówi.

Amerykański wymiar sprawiedliwości przypomina w gruncie rzeczy osiemnastowieczny moralitet, który występujący w nim aktorzy próbują zaadaptować do realiów dwudziestego wieku. Cała idea rozprawy wstępnej, publicznego czytania zarzutów i targowania się o kaucję jest, jak sądzę, nieco anachroniczna. Sądzę jednak, że ma wyższość nad innymi systemami, w których sprawiedliwość wymierza się w ciemnych, ustronnych miejscach.

Jeden ze strażników uparcie pokazywał mi, żebym usiadł, usiadłem więc.

Rozprawa wstępna zakończyła się, a oskarżonemu założono z powrotem kajdanki i wyprowadzono. Prośba o zwolnienie za kaucję została odrzucona. Niedobrze.

Woźny wywołał nazwisko następnego oskarżonego.

–Johnson, Nigel!

Po chwili do sali wprowadzono przez boczne drzwi wysokiego szczupłego Murzyna. Głowę miał całą w warkoczykach i pocierał przeguby w miejscach, w których jeszcze przed chwilą znajdowały się kajdanki. Jeden z adwokatów wstał i zbliżył się do stołu sędziowskiego.

Gdybym miał zgadywać, rzekłbym, że dżentelmen stojący teraz przed sędzią Rosen był Jamajczykiem, a zarzuty dotyczyły prawdopodobnie handlu narkotykami lub nielegalnej imigracji, względnie jednego i drugiego. Rozprawa mogła potrwać mniej więcej kwadrans, jeśli dojdzie do dłuższej wymiany zdań na temat kaucji. Tymczasem Ferragamo mógł mi wyciąć naprawdę piękny numer – być może

Bellarosa stał teraz przed obliczem zupełnie innego sędziego proponując mu w charakterze kaucji swojego złotego Rolexa. Na sali było chłodno, ale ja nadal się pocilem. Zastanów się, Sutter.

Kiedy się zastanawiałem, drzwi za mną otworzyły się kilkakrotnie i zauważyłem przesuających się ku przednim ławkom i szukających wolnych miejsc ludzi. Spostrzegłem także, że w ławkach przeznaczonych podczas normalnych rozpraw dla sędziów przysięgłych siedzi dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Byli to rysownicy z prasy, a kogoś takiego bardzo rzadko widuje się na rozprawach wstępnych.

Pochyliłem się w lewo ku siedzącemu kilka stóp ode mnie adwokatowi, który robił jakieś notatki, używając jako stolika swojej teczki.

–Dawno pan tu jest? – zapytałem.

Podniósł na mnie wzrok.

–Od dziewiętej.

–Słyszał pan, żeby wywoływali sprawę Franka Bellarosy?

Potrząsnął głową.

–Nie. Ma być tutaj sądzony?

–Nie wiem. Jestem jego obrońcą, ale nie znam się dobrze na zasadach obowiązujących w Sądzie Federalnym. W jaki sposób mógłbym...

–Cisza! – wrzasnął gruby strażnik, który prawdopodobnie wcale mnie nie usłyszał, dostrzegł tylko, że poruszam ustami. Ci faceci wypełnieni są po dziurki w nosie poczuciem władzy, które dają im ich pistolety, odznaki i wypięte do przodu bańdziochy. "Jeśli chcecie obejrzeć najgorsze męty społeczne – przypomniałem sobie uwagę Marka Twaina – odwiedźcie więzienie i przypatrzcie się zmianie warty." Szkoda, że nie powiedział tego wujek Walt. Tak czy inaczej cofnąłem się na swoje miejsce i rozważałem, co robić.

Rozpoczęła się rozprawa wysokiego Murzyna i zarzuty rzeczywiście dotyczyły narkotyków. Zastępczyni prokuratora, obrońca i sędzia Rosen konferowali ze sobą i widać było, że obrońca nie radzi sobie najlepiej, ponieważ sędzia potrząsała głową, prokurator (wciąż widziałem ją tylko z profilu) wyglądała na zadowoloną z siebie, a oskarżony wlepił wzrok w podłogę. W końcu pojawił się strażnik i oskarżony przedzierzgnął się z powrotem w aresztanta. "Niechętnie wypuszcza za kaucją." To

**prawda. Gdyby, co nie daj Boże, stanął przed nią Frank**

Bellarosa, nie potrafiłbym wymyślić żadnego powodu, dla którego miałyby go zwolnić, zwłaszcza że zarzuty dotyczyły morderstwa.

Im dłużej tam siedziałem, tym bardziej byłem przekonany, że wszystko to zostało ukartowane od samego początku. Nabrałem pewności, że mój klient staje właśnie przed Sądem Federalnym w Brooklynie. Mogłem co najwyżej złożyć apelację, zażądać dodatkowej rozprawy z udziałem oskarżonego i próbować wyciągnąć go z paki w najbliższej przyszłości. Ale nie za to zapłacił mi i nie tego oczekiwał mój klient. Wstałem, wziąłem teczkę i wyszedłem.

Udałem się najpierw do aresztu usytuowanego w odległym narożniku trzeciego piętra i sprawdziłem, czy nie było tam lub nie ma mego klienta. Ale Bellarosa zapadł się pod ziemię, zupełnie jakby wywieziono go do Gułagu.

Następnie skorzystałem z budki telefonicznej i zadzwoniłem do obu moich kancelarii, nie było tam jednak żadnej wiadomości od Franka. Usiadłem więc zastanawiając się nad swoimi dalszymi krokami.

W tej samej chwili podszedł do mnie zastępca szeryfa, ten sam, którego pytałem o sędziego Rosen.

–Cieszę się, że pana znalazłem, mecenasie. Ten pański facet, Bellarosa, ma stanąć przed Sądem Federalnym w Brooklynie.

Poderwałem się na nogi.

–Jest pan tego pewien?

–Dowiedziałem się od swojego szefa. Fatalnie. Tak bardzo chciałem go zobaczyć.

–Załatwię panu jego autograf – zawołałem ruszając biegiem do windy. Zjechałem na parter, wyostałem się na zewnątrz i pomknąłem w dół po schodach machając na przejeżdżającą przez Foley Square taksówkę. Za dwadzieścia minut mogłem być po drugiej stronie Mostu Brooklyńskiego, w tamtejszym Sądzie Federalnym. Taksówka zatrzymała się i już miałem do niej wsiąść, kiedy spostrzegłem stojącą nie opodal furgonetkę NBC. Wszystko zaczęło się układać w spójną całość. Ci ludzie, którzy weszli na salę sądową, i tych trzech rysowników w miejscu przeznaczonym dla sędziów przysięgłych.

Niech to diabli!

Zostawiłem otwarte drzwi taksówki i pognałem z powrotem w stronę budynku sądu.

**Ten sukinsyn! Ten sukinsyn Ferragamo! Co za podstępna świnią!**



Wziętem głęboki oddech i ponownie wspiałem się po stopniach – było ich dokładnie czterdzieści sześć, a pięć milionów dolarów stawało się coraz cięższe.

Przeszedłem jeszcze raz przez wykrywacz metali i uśmiechnąłem się do Wyatta Earpa, który rzucił mi zdumione spojrzenie, kiedy zmierzałem wielkimi krokami w stronę wind. Obserwowałem Earpa kątem oka, dopóki nie przyjechała winda. Wsiadłem do niej i pojechałem na trzecie piętro.

Nie oglądając się na boki, ruszyłem prosto do wydziału pierwszego i otworzyłem drzwi do sali sędzi Rosen dokładnie w tej samej chwili, kiedy strażnik wywołał nazwisko Bellarosy.

Przez salę przeszedł, jak to się mówi, stłumiony szmer. Ludzie wstali z miejsc, a kilka osób stanęło w przejściu, żeby lepiej widzieć.

Musiałem się przepychać, idąc w stronę barierki.

–Cisza! – wrzeszczał strażnik – Siadać! Siadać!

Zdołałem dostrzec przez tłum Bellarosę. Wprowadzono go na salę przez boczne wejście.

–Czy obecny jest adwokat Franka Bellarosy? – zawołał strażnik, kiedy przepychałem się do przodu.

–Jestem! – powiedziałem docierając do barierki dla widzów.

Bellarosa popatrzył na mnie. Nie uśmiechnął się, ale skinął głową w uznaniu dla okazanego przeze mnie sprytu. W gruncie rzeczy czułem się bardzo dumny z siebie, mimo że moja obecna działalność w najmniejszym stopniu nie przyczyniała się do szczęścia ludzkości i rozwoju cywilizacji zachodniej.

Przeszedłem na drugą stronę barierki i położyłem teczkę na stole przeznaczonym dla obrony. Spojrzałem na sędzię Rosen, która nie okazała na mój widok najmniejszego zdumienia, co świadczyło, że nie należy chyba do spisku. Natomiast zastępczyni prokuratora wyglądała na zaskoczoną i nie bardzo potrafiła to ukryć. Rozejrzała się po sali, jakby liczyła, że ktoś przyjdzie jej z pomocą.

–Czy zgłosił pan swoje przybycie w sądzie, mecenasie? – zapytała sędzia<sup>^</sup> Rosen.

–Nie, Wysoki Sądzie. Dopiero co przybyłem.

Spojrzała na mnie i przysięgłbym, że widziała mnie, kiedy zajrzałem tutaj wcześniej.

**Wzruszyła ramionami.**

**–Pańskie nazwisko?**

–John Sutter.

–Proszę zanotować, że oskarżonego reprezentuje obrona – powiedziała, po czym poinformowała Franka Bellarosę o przysługującym mu prawie do nieudzielania odpowiedzi i tak dalej. – Rozumie pan? – zapytała tonem, który wskazywał, że cała jego sława nie robi na niej najmniejszego wrażenia.

–Tak jest, Wysoki Sądzie – odparł miłym głosem Bellarosa.

Sędzia spojrzała na wręczoną jej kartkę, na której spisane były zarzuty, przez chwilę zapoznawała się z nimi, po czym odczytała je na głos Bellarosie.

–Rozumie pan wniesione przeciwko panu oskarżenie?

–Tak, Wysoki Sądzie.

–Czy widział pan kopię aktu oskarżenia?

–Nie, Wysoki Sądzie.

–Czy otrzymał pan kopię aktu oskarżenia, panie Sutter? – zapytała mnie sędzia.

–Nie, Wysoki Sądzie.

Sędzia Rosen spojrzała na zastępczynię prokuratora.

–Panno Larkin – zwróciła się do niej po nazwisku – dlaczego oskarżony i jego obrona nie mieli możliwości zapoznać się z aktem oskarżenia?

–Nie potrafię powiedzieć, dlaczego nie zapoznał się z nim oskarżony, Wysoki Sądzie. Co się tyczy obrońcy, to nie był obecny podczas rejestracji oskarżonego dzisiejszego ranka.

–Ale jest obecny teraz. Proszę mu dać kopię aktu oskarżenia.

–Tak jest, Wysoki Sądzie.

Podszedłem do stołu prokuratora i panna Larkin wręczyła mi gruby plik kartek. Spojrzałem jej prosto w oczy.

–Być może potrzebuje pan kilku godzin, żeby to przeczytać – powiedziała. – Nie mam nic przeciwko przeniesieniu tej rozprawy na później.

**–Nie ma takiej potrzeby – odparłem.**

**–Panie Sutter, czy jest pan gotów zrezygnować z przysługującego pańskiemu klientowi prawa do publicznego odczytania aktu oskarżenia? – zapytała sędzia.**

**Naturalnie nie musiałem wcale zrezygnować i mogliśmy odczytywać akt oskarżenia, linijka po linijce, przez następne kilka godzin.**

W osiemnastym wieku, kiedy ludzie mieli więcej czasu, a akty oskarżenia przepisywano ręcznie i były o wiele krótsze, czytanie zarzutów postawionych przez ławę przysięgłych stanowiło ważną część dramatu. Wiedziałem jednak, że najszybszym sposobem zrażenia sobie sędzi Rosen jest wyegzekwowanie każdego prawa, które zajmie więcej niż dwie minuty jej cennego czasu.

–Chociaż nie dano nam możliwości zapoznania się z aktem oskarżenia – oświadczyłem – rezygnujemy z prawa do publicznego jego odczytania.

–Czy widział pan nakaz aresztowania, panie Sutter? – zapytała sędzia.

–Widziałem.

–Czy słyszał pan zarzuty, które tu przed chwilą odczytałam?

–Słyszeliśmy.

Skinęła głową i spojrzała na Franka Bellarosę.

–Jaka jest pańska odpowiedź na zarzuty?

–Jestem niewinny! – oświadczył tonem, w którym pobrzmiwał właściwie głęboki smutek, tak jakby wyrządzono mu potworną krzywdę.

Sędzia Rosen skinęła głową, choć odniosłem wrażenie, że nie słucha zbyt uważnie. Któregoś dnia ktoś krzyknie do niej: "Jestem winien". Ale ona tego nie usłyszy ani nie każe zapisać.

–Przysługuje panu również prawo do zwolnienia za kaucją – poinformowała Bellarosę.

To prawda, ale niezbyt prawdopodobna.

–Muszę jednak dodać, panie Sutter – zwróciła się do mnie sędzia Rosen – że w sprawach o morderstwo z zasady nie udzielam zwolnień. Co więcej, prawo federalne przewiduje szczególne traktowanie oskarżonego, jeśli zamieszany jest w handel narkotykami, a w gruncie rzeczy z taką właśnie sytuacją mamy tutaj do czynienia.

Spodziewam się jednak, że chce pan powiedzieć coś, co skłoni mnie do zmiany stanowiska.

–Tak, Wysoki Sądzie. Czy mogę przez chwilę porozmawiać z moim klientem?

**–Jak pan sobie życzy.**

**Pochyliłem się ku Białarusi.**

**–Zatrzymano nas – powiedziałem i w skrócie wyjaśniłem, co się wydarzyło.**

–Nie grają fair. Widzisz teraz? – powiedział kiwając głową. – Słyszałem o tej sędzi. To twarda dziwka. Specjalnie wybrali ten dzień, kiedy będzie prowadzić rozprawy. Rozumiesz?

Przez chwilę przyglądałem się sędzi Rosen. Była kobietą mniej więcej czterdziestopięcioletnią, a więc dość młodą jak na sędziego federalnego i na swój sposób atrakcyjną, jeśli ktoś lubi władczo wyglądające niewiasty. Nie sądziłem, żeby pomógł mi tutaj wiele mój chłopięcy czar, chyba że przyjemność sprawiało jej strofowanie niegrzecznych chłopców. Trzeba było wykorzystać każdą szansę.

–Panno Larkin? – zwróciła się sędzia do zastępczyni prokuratora. – Czy chciała pani coś powiedzieć?

–Wysoki Sądzie, biorąc pod uwagę obowiązujące w tej materii przepisy, prokuratura wnosi o zatrzymanie Franka Bellarosy w areszcie. Jeśli mimo to sąd skłonny jest wysłuchać argumentów na rzecz zwolnienia oskarżonego za kaucją, prokuratura wnosi o odroczenie na trzy dni rozprawy wstępnej.

–A to dlaczego?

–W celu zebrania i przedstawienia sądowi dowodów, które będą świadczyły o konieczności zatrzymania oskarżonego w areszcie.

–Czy zgłasza pan jakieś zastrzeżenia, panie Sutter?

–Tak jest, Wysoki Sądzie. Zgłaszam.

–Dlaczego, panie Sutter?

–Nie widzę żadnego powodu, dla którego mój klient miałby spędzić trzy dni w więzieniu. Prokuratura prowadzi śledztwo w tej sprawie od stycznia. Dowiedzieli się o moim kliencie wszystkiego, czego mogli się dowiedzieć, i nie wydaje się prawdopodobne, żeby odkryli coś nowego w ciągu następnych siedemdziesięciu dwóch godzin.

Sędzia Rosen skinęła głową.

–Prośba odrzucona – poinformowała pannę Larkin.

Panny Larkin specjalnie to nie uszczęśliwiło.

–W takim razie, Wysoki Sądzie – oznajmiła – w dyskusji na temat zwolnienia za kaucją będzie chciał prawdopodobnie wziąć udział prokurator federalny.

**–Dlaczego?**

**–Z powodu... powagi zarzutów – odparła panna Larkin – oraz złej sławy, jaką cieszy się oskarżony.**

**–Panie Sutter? – zwróciła się do mnie sędzia. – Czy chce pan**



porozmawiać dłużej ze swoim klientem? Możemy przenieść rozprawę wstępną na popołudnie.

–Nie, Wysoki Sądzie – odparłem. – Mój klient nie przyznaje się do winy i w związku z tym wnoszę o zwolnienie go za kaucją w wysokości stu tysięcy dolarów, które możemy natychmiast wpłacić.

Słyszając to sędzia Rosen uniosła brwi i zwróciła się ponownie do panny Larkin.

–Jeśli pan Ferragamo chciał uczestniczyć w rozprawie, powinien znajdować się w tej chwili na sali – oświadczyła. – obrońca oskarżonego stwierdził, że chce przedyskutować kwestię kaucji natychmiast. Przypuszczam, że przeczytała pani akt oskarżenia i orientuje się w sprawie, panno Larkin. Jestem przekonana, że potrafi pani przedstawić argumenty przemawiające za zatrzymaniem oskarżonego w areszcie.

Nie ma potrzeby niepokoić prokuratora federalnego, dawała jej niedwuznacznie do zrozumienia sędzia, ponieważ i tak nie udzielę zgody na zwolnienie. Ale panna Larkin, choć bardzo młoda, wyczuwała, że może znaleźć się w opałach, i zdawała sobie sprawę z własnych ograniczeń, co świadczyło o jej zadatkach na dobrego prawnika.

–Wysoki Sądzie – powiedziała – czy mógłby sąd polecić swemu asystentowi, aby zadzwonił do pana Ferragamo i przekazał mu, że proszę go o przybycie na salę sądową? Przez ten czas możemy kontynuować.

Sędzia Rosen dała znak asystentowi, który zniknął w pokoiku na tyłach sali, skąd zapewne telefonował. Zastanawiałem się, jak szybko Ferragamo potrafi biegać w wizytowych półbutach.

Obejrzałem się do tyłu i spostrzegłem, że wieści szybko się rozeszły i sala wypełniła się po brzegi. Siedzący za przepierzeniem rysownicy zawzięcie bazgrali w swoich blokach. Przeczesałem włosy palcami.

–Do rzeczy, panie Sutter – zwróciła się do mnie sędzia Rosen. – Proszę przedstawić argumenty na rzecz zwolnienia za kaucją.

–Tak jest, Wysoki Sądzie.

Na własne uszy słyszałem z tyłu pstrykanie długopisów. Sala sądowa wcale mnie nie przeraża tak jak niektórych kolegów po fachu.

Ale tym razem czułem ogarniający mnie niepokój, a wywoływała go nie obecność

**publiczności, sędzi czy panny Larkin, ale wzrok mojego klienta, który za dziesięć minut pragnął opuścić tę salę.**

Mówiłem dość cicho, normalnym tonem, czułem jednak, że słychać mnie wyraźnie w całej pograżonej w milczeniu za moimi plecami sali.

–Przede wszystkim – oświadczyłem – chciałem zwrócić uwagę Wysokiego Sądu na fakt, że mój klient wiedział, dzięki gazetom, że prokurator federalny zaprezentował zgromadzone dowody ławie przysięgłych. Nie podjął w tym okresie żadnej próby ucieczki. Co więcej, przewidując, iż w każdej chwili może mu zostać przedstawiony akt oskarżenia i nakaz aresztowania, polecił mi pozostawać z nim w stałym kontakcie. Sam również pozostawał przez cały czas do dyspozycji organów ścigania. Tak się złożyło, że byłem obecny przy jego aresztowaniu, które nastąpiło dzisiaj około godziny ósmej rano, i mogę zaświadczyć, że nie próbowałem uciekać ani stawiać najmniejszego oporu.

Może to potwierdzić oficer, który dokonał aresztowania, pan Mancuso, jeśli jest na sali.

Sędzia Rosen spojrzała ku bocznym drzwiom, a potem na salę.

–Czy obecny jest pan Mancuso? – zapytała.

–Jestem, Wysoki Sądzie – odezwał się głos spod ściany.

–Próbowali odesłać mnie do Brooklynu – poinformowałem Bellarosę, kiedy pan Mancuso przedzierał się przez stojący z tyłu tłum. – Twój kumpel Alphonse to prawdziwy wąż.

Uśmiechnął się.

–Powinniśmy się domyślić, że będą próbowali różnych sztuczek.

Ja też w ogóle nie byłem w siedzibie FBI. Mancuso dostał polecenie przez radio i nim zdążyłem się zorientować, zajeżdżaliśmy na tyły sądu. Rozumiesz, co mam na myśli? Pierdolony Alphonse.

Mancuso minął barierkę i stanął tuż obok nas.

–Chcieli, żebyś pojechał do siedziby FBI, gdzie bawiliby się z tobą w ciuciubabkę tak długo, aż tutaj byłoby po wszystkim. Ale ja przeciągałem, jak mogłem, rejestrację. Spierdoliłem im sześć zestawów do zdejmowania odcisków. – Zaśmiał się i szturchnął mnie w żebra. – Wiedziałem, że nie dasz się wykiwać. Sprytny z ciebie facet. Hej, wychodzimy stąd razem?

**-Być może.**

**-Panie Sutter – zapytała sędzia Rosen – potrzebuje pan może chwili czasu?**

**Obróciłem się z powrotem ku stołowi sędziowskiemu.**

**-Nie, Wysoki Sądzie.**

–Proszę przedstawić sądowi okoliczności aresztowania – zwróciła się do pana Mancuso.

Pan Mancuso uczynił to w sposób profesjonalny – bardzo precyzyjnie i nie okazując żadnych emocji; pominął jedynie rozmowę na temat kryzysu wieku średniego, który przechodzę.

–Z tego, co pan mówi, panie Mancuso – stwierdziła sędzia Rosen – wynika, że pan Bellarosa najwyraźniej oczekiwał pana i nie próbował uciekać ani stawiać oporu.

–Tak jest, Wysoki Sądzie.

–Dziękuję panu, panie Mancuso. Proszę pozostać na sali.

–Tak jest, Wysoki Sądzie.

Mancuso odwrócił się, spojrzał najpierw na mnie, potem na Bellarosę, ale jego twarz zdradzała tylko zmęczenie. Zajął miejsce za stołem prokuratora.

–Stwierdzone zostało, iż oskarżony nie podejmował żadnej próby ucieczki ani oporu – oznajmiła sędzia. – Mimo to nie zamierzam udzielić zgody na zwolnienie za kaucją wyłącznie na tej podstawie.

Jeśli nie ma pan innych argumentów i nie przedstawi ich pan bardzo szybko, panie Sutter, mam zamiar odesłać stąd oskarżonego prosto do Metropolitan Correction Center, gdzie będzie oczekiwał procesu.

A tego wcale nie chcieliśmy, prawda?

–Pragnę również zwrócić uwagę Wysokiego Sądu na fakt – powiedziałem patrząc sędzi Rosen prosto w oczy – że mój klient nie został nigdy skazany za przestępstwo popełnione przy użyciu przemocy.

W gruncie rzeczy nie ma za sobą przeszłości kryminalnej. – Ktoś na sali roześmiał się. – Powiem więcej, Wysoki Sądzie – ciągnąłem dalej – mój klient jest uczciwym biznesmenem i jego... – słyszałem wokół siebie coraz głośniejsze chichoty. W dzisiejszych czasach ludzie zrobili się tacy cyniczni. – ...jego nieobecność w firmach, które posiada, narazi go na straty, a także odbije się negatywnie na jego dochodach i dochodach osób przez niego zatrudnionych... Śmiano się teraz całkiem otwarcie i sędzia Rosen także się uśmiechnęła, ale zaraz potem opanowała się i użyła młotka.

–Spokój!

**Zauważyłem, że uśmiechają się również panna Larkin, reporter sądowy, dwóch strażników i asystent. Tylko Frank i John się nie uśmiechali.**

Sędzia Rosen dała znak, bym zbliżył się do stołu sędziowskiego, co też uczyniłem. Pochyliła się do mnie i nasze twarze dzieliło teraz tylko kilka centymetrów. Mogliśmy dać sobie buzi.

–Panie Sutter – szepnęła do mnie – na pana własną prośbę pozwoliłam panu wygłosić to, co miał pan do powiedzenia, ale to brzmi naprawdę bardzo głupio. Marnuje pan tylko mój czas i robi z siebie durnia. Rozumiem, że znajduje się pan pod silną presją i za wszelką cenę chce wydostać stąd swego klienta, ale może pan o tym zapomnieć. Bellarosa może śmiało pójść do więzienia i poczekać na właściwą rozprawę, na której będzie pan mógł przedstawić argumenty poważniejsze aniżeli to, że uważa go pan za okaz łagodności i wzór porządnego obywatela. Czeka mnie dzisiaj jeszcze dużo rozpraw, panie Sutter, i chciałabym przystąpić do następnej. Kilka dni czy tygodni w więzieniu nie zaszkodzi pańskiemu klientowi.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

–Obawiam się, że zaszkodzi i to bardzo, Wysoki Sądzie. Proszę pozwolić mi przynajmniej skończyć to, co mam do powiedzenia. Czy moglibyśmy przejść do pani gabinetu?

–Nie. Pański klient niczym nie różni się od innych oskarżonych, którzy stanęli bądź staną dzisiaj przede mną.

–Różni się, i Wysoki Sąd wie o tym równie dobrze jak ja. Na sali pełno jest ludzi z mass mediów i nie przybyli oni tutaj po to, żeby gromadzić materiały na temat ogólnych zasad funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Zbiegli się, bo dostali cynk z biura prokuratora i chcą zobaczyć wyprowadzanego stąd w kajdankach Franka Bellarosę.

Prasa wiedziała o wiele wcześniej od pani i ode mnie, w której sali odbędzie się rozprawa Bellarosy.

Sędzia Rosen kiwnęła głową.

–Być może to prawda, panie Sutter. Ale w niczym nie zmienia to treści oskarżenia i nie podważa ogólnej zasady, zgodnie z którą nie zwalnia się za kaucją w sprawach o morderstwo.

–Wysoki Sądzie – szepnąłem, będąc z nią wciąż tete-d-tete – mój klient może być, a może nie być powiązany ze światem zorganizowanej przestępczości. Ale jeśli jest w istocie tym, za kogo uważa go prasa, to musi pani wiedzieć, że nikt jego pokroju nie umknął od wielu dziesięcioleci wymiarowi sprawiedliwości.

**–I co z tego? – zapytała i przez chwilę przyglądała mi się. –**



14 – Złote Wybrzeże t. II Widzę, panie. Sutter, że na co dzień nie zajmuje się pan sprawami kryminalnymi i nie jest pan zaznajomiony z obyczajami panującymi w Sądzie Federalnym. Czyż nie tak?

Kiwnąłem głową.

–To całkiem inny świat, panie Sutter. Jestem pewna, że diametralnie różni się od tego, z którego się pan wywodzi.

Możesz to powtórzyć jeszcze raz, moja pani. Dobry Boże, czy naprawdę wyglądałem i przemawiałem jak jakiś anglosaski mydłek z Wall Street albo, co gorsza, lalusiowaty kauzyperda z Long Island?

–Moim zadaniem – oświadczyłem sędzi Rosen – jest dopilnować, żeby została wymierzona sprawiedliwość. Mogę nie wiedzieć, jakie tu panują obyczaje, ale wiem, że mojemu klientowi przysługuje z mocy konstytucji prawo do zwrócenia się o zwolnienie za kaucją.

–Może się zwrócić. W przyszłym tygodniu.

–Nie, Wysoki Sądzie. Teraz.

Uniosła brwi i właśnie miała wyrzucić mnie za drzwi i wtrącić do lochu Bellarose, kiedy, na całe szczęście, wmieszała się w naszą rozmowę panna Larkin. Najwyraźniej nie spodobało jej się, że tak długo konferujemy na stronie.

–Czy mogę coś powiedzieć, Wysoki Sądzie? – zapytała.

Sędzia spojrzała na nią.

–Proszę.

Panna Larkin zbliżyła się do stołu sędziowskiego, ale nie ściszyła głosu.

–To, czy oskarżony stawiał, czy nie stawiał oporu przy aresztowaniu, Wysoki Sądzie, jest zupełnie nieistotne przy podejmowaniu decyzji o zwolnieniu za kaucją, zwłaszcza kiedy oskarżenie dotyczy morderstwa. Prokuratura ma powody wierzyć, że oskarżony popełnił je, że stanowi zagrożenie społeczne i że posiada wystarczające środki i powody, by uciec z kraju, jeśli zostanie zwolniony.

Sędzia Rosen, która jeszcze przed chwilą miała mnie serdecznie dosyć, uznała teraz, jak sądzę, że zanim da mi ostatecznego kopa, powinni udzielić obronie ostatniego słowa.

**-Panie Sutter?**

**Spojrzałem na pannę Larkin, która wciąż przypominała mi Carolyn.**

**Miałem ochotę wytargać ją za uszy.**

**-Sugerowanie, panno Larkin, że mój klient stanowi zagrożenie**

społeczne, jest po prostu śmieszne – oświadczyłem. – Wysoki Sądzie – zwróciłem się do sędzi Rosen mówiąc wystarczająco głośno, by wszyscy mogli mnie słyszeć – stoi przed nami człowiek, który ma dom, żonę, trójkę dzieci i nie popełnił nigdy żadnego przestępstwa przy użyciu przemocy.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie spojrzeć w tym momencie na pana Mancuso, który zrobił śmieszna minę, tak jakbym nadepnął mu na odcisk.

–Wysoki Sądzie – kontynuowałem – w tej teczce mam nazwy i adresy wszystkich firm, z którymi związany jest mój klient. – No, może nie wszystkich, ale zdecydowanej większości. – Mam tutaj również jego paszport, który gotów jestem złożyć do depozytu sądowego. Mam tutaj także...

W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież i na salę wbiegł Alphonse Ferragamo z miną, która wskazywała, że nie jest to najszcześniejszy dzień w jego życiu. Był wysokim, szczupłym mężczyzną z haczykowatym nosem osadzonym między oczyma, które przypominały zmęczone ostrygi. Miał rzadkie rudawe włosy i blade cienkie wargi, którym brakowało krwi albo różowej szminki.

Jego pojawienie się wywołało poruszenie na sali. Prawie wszyscy go rozpoznali – facet dbał o to, żeby odpowiednio często pokazywać się publicznie. Nazywano go włoskim Tomem Deweyem i dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że ostrzy sobie zęby na urząd gubernatora albo, podobnie jak Dewey, chce objąć jeszcze wyższe stanowisko w Waszyngtonie. Przeszło mi przez myśl, że główną przeszkodą w zdobyciu przez niego jakiegoś obieralnego urzędu jest jego nie wzbudzająca niczyjej sympatii fizjonomia. Domyśliłem się jednak, że nikt nie ma odwagi powiedzieć mu tego prosto w twarz.

Sędzia Rosen oczywiście dobrze znała prokuratora i pozdrowiła go skinieniem głowy.

–Proszę kontynuować – zwróciła się do mnie.

–Jestem również w stanie – kontynuowałem więc – wpłacić w charakterze kaucji znaczną sumę, wystarczającą, by...

–Wysoki Sądzie – przerwał Alphonse Ferragamo ignorując wszelkie zasady sądowej etykiety. – Wysoki Sądzie, nie mogę po prostu uwierzyć, że sąd dopuszcza w ogóle do jakiegokolwiek dyskusji na temat zwolnienia za kaucją, gdy na wokandzie staje sprawa

popelnionego z premedytacją okrutnego mordu, sprawa dokonanej w ramach gangsterskich porachunków egzekucji, sprawa bezlitosnego, związanego z handlem narkotykami zabójstwa.

Bałwan nie skończył na tym i opisywał dalej śmierć Juana Carranzy wyrzucając z siebie ogromną liczbę przymiotników i przysłówków. Nie miałem pojęcia, że można ich tyle użyć dla określenia jednego incydentu. Kładł poza tym przesadny nacisk na niektóre słowa, co brzmiało niemal płaczliwie i sprawiało naprawdę przykre wrażenie na sali.

Sędzi Rosen nie przypadła najwyraźniej do smaku tyrada Alphonse'a, który wpadł na salę niczym jakiś – przepraszam za wyrażenie – pogromca gangsterów i od razu narobił krzyku.

–Panie Ferragamo – powiedziała – w grę wchodzi wolność człowieka, a obrona stwierdziła, że pragnie zapoznać sąd z pewnymi faktami, które jej zdaniem mogą mieć wpływ na kwestię zwolnienia.

Kiedy pan wszedł, przy głosie był pan Sutter.

Ale Alphonse nie pojął aluzji i znowu rozpuścił jęzor. Facet najwyraźniej nie mógł się opanować i z jakiejś przyczyny – być może było to umiłowanie sprawiedliwości, a być może osobista vendetta – za wszelką cenę chciał wtrącić Franka Bellarose do lochu. Panna Larkin, która prowadziła tę nieskomplikowaną sprawę o wiele lepiej, wstrzymując się przeważnie od głosu, uznała widać, że może się wycofać i usiadła obok pana Mancuso za stołem oskarżyciela.

–Wysoki Sądzie – perorował dalej Ferragamo – oskarżony jest powszechnie znanym gangsterem, człowiekiem, który według departamentu sprawiedliwości pełni funkcję szefa największego w kraju zorganizowanego syndykatu zbrodni, osobnikiem, który, jak wykazało nasze śledztwo i zeznania świadków, prowadzi handel narkotykami i dopuścił się na tym tle morderstwa. To nie jest żadna osobista vendetta, to fakt – wymknęło mu się z ust i pod wpływem tego niesłychanego, freudowskiego wręcz lapsusu wszyscy zadumali się natychmiast nad problemem osobistej vendetty.

Facet najwyraźniej od dłuższego czasu nie odwiedzał sali sądowej.

Nawet ja, choć również jestem rzadkim gościem w sądzie, potrafiłem poradzić sobie lepiej od tego błazna. Przysłuchiwałem się, jak czyni wszystko, co w jego mocy, by zamienić swoje zwycięstwo w klęskę.

Kilka razy kusilo mnie, żeby mu przerwać, ale przypomniałem sobie,



co powiedział stary uczeń Machiavellego, Napoleon Bonaparte: "Nigdy nie przerywaj przeciwnikowi, kiedy popełnia błąd".

Rzuciłem okiem na sędziego Rosen i spostrzegłem, że wcale nie kryje ogarniającej jej irytacji. Ale nawet sędzia musi pomyśleć dwa razy, zanim każe się zamknąć prokuratorowi federalnemu. Czujęm niemniej, że im dłużej peroruje Ferragamo, tym więcej czasu otrzymam na przedstawienie swoich argumentów.

Wszystko to, o czym obecnie rozprawał Alphonse, nie odnosiło się bezpośrednio do kwestii zwolnienia za kaucją. Zamiast tego rozwodził się szeroko na temat domniemanych problemów, jakie napotykał Bellarosa w handlu narkotykami, zwłaszcza w związku z pojawieniem się Kolumbijczyków i innych rywalizujących z nim gangów. Facet przemawiał, jakby prowadził konferencję prasową. W gruncie rzeczy tak właśnie było.

–Handel heroiną, którym tradycyjnie zajmowała się Cosa Nostra, czyli mafia – poinformował wszystkich Ferragamo – stanowi obecnie tylko skromną część lukratywnego interesu. Przystępcza rodzina Bellarosy stara się zawładnąć również handlem kokainą i crackiem i w związku z tym musi wyeliminować rywali. Takie jest podłoże morderstwa Juana Carranzy.

Dobry Boże, Alphonse, dlaczego nie wymalujesz po prostu tarczy strzelniczej na czole Bellarosy i nie wypuścisz go na wolność gdzieś w dzielnicy zamieszkałej przez Kolumbijczyków? Rzuciłem okiem na Bellarosę, który uśmiechał się enigmatycznie.

Sędzia Rosen zakaszłała znacząco.

–Panie Ferragamo – stwierdziła – nie ulega dla nas żadnej wątpliwości, iż jest pan przekonany o winie oskarżonego. Dlatego właśnie tutaj jesteśmy. Ale areszt tymczasowy nie stanowi kary, jest jedynie środkiem zapobiegawczym. Dopóki nie udowodnimy panu Bellarosie winy, dopóty uznajemy go za niewinnego. Chcę, żeby mi pan wyjaśnił, dlaczego pana zdaniem oskarżony wykorzysta zwolnienie, żeby wymknąć się wymiarowi sprawiedliwości.

Pan Ferragamo przez chwilę się namyślał. W tym czasie Frank Bellarosa stał sobie po prostu bez ruchu – obiekt ogólnego zainteresowania, dla którego przewidziano jednak wyłącznie niemą rolę. Mimo to zaimponowała mi jego postawa. Nie szydził z Ferragamo, nie był zadziorny ani arogancki, nie sprawiał też wrażenia

zastraszonego ani przygnębianego. Stał po prostu spokojnie, tak jakby miał w uszach słuchawki walkmana marki Sony i czekając na autobus słuchał Traviaty.

Zamiast odpowiedzieć wprost na pytanie sędzi Rosen, Alphonse Ferragamo wolał udzielić jej kilku dobrych rad. Najwyraźniej nie spodobał się jej jego ton, ale dobrze rozumiała, co mówi. A treść udzielonego przezeń pouczenia była mniej więcej następująca: "Posłuchaj no, moja pani, opinia publiczna (to znaczy mass media) nigdy ci nie daruje, jeżeli wypuścisz tego drania na wolność. A jeśli facet zwieje przypadkiem za granicę, to pozostanie ci wybrać się tam razem z nim." Pointa zaś, chociaż wyrażona może innymi słowami, brzmiała mniej więcej tak: "Nie ma żadnego powodu, żebyś nadstawiała karku.

Opuść po prostu ten młotek i każ odesłać więźnia do celi." Sędzia Rosen nie wydawała się uszczęśliwiona treścią tego wykładu, ale zrozumiała chyba jego przesłanie. Mimo to odwróciła się do mnie, jak sądzę, wyłącznie po to, żeby zrobić na złość prokuratorowi.

–Panie Sutter?

Rozpocząłem swój kontratak, a ten sukinsyn wciąż mi przerywał.

Gromadziłem kolejne punkty, coraz jaśniejsze stawało się jednak, że nasza drużyna rozpoczęła mecz przy z góry ustalonym wyniku. Na posiedzeniu w sprawie kaucji nie tłumaczy się bynajmniej wszelkich wątpliwości na korzyść oskarżonego, tak jak to się dzieje podczas /właściwej rozprawy, i jedyne, co mogłem zrobić, to powstrzymać przez (kilka minut sędzię Rosen przed opuszczeniem młotka i zakończeniem całej sprawy. Prawdę mówiąc nie miałem pojęcia, cóż takiego kazało jej słuchać mnie jeszcze i co mogło ją skłonić do podjęcia szalonej decyzji, decyzji, która naraziłaby na szwank całą jej karierę i doprowadziła do tego, że na mieście zaczęto by mówić, że jest opłacana z kasy mafii lub że sypia z włoskimi gangsterami. Chyba wyłącznie to, że wyprowadziły ją z równowagi maniery prokuratora, a także (gdyby sięgnąć nieco głębiej) nie była już taka pewna, że zwolnienie Bellarosy stanowi jakieś zagrożenie ładu publicznego. W skrócie mówiąc, interesowała ją czysta sprawiedliwość.

W dalszym ciągu opisywałem cnoty Bellarosy, tak jakbym rekomendował go do stowarzyszenia "Rycerzy Kolumba"\*. \*Konserwatywne stowarzyszenie katolickie.

–Zapisał głęboko korzenie w rodzinnym Brooklynie i prawie całe życie spędził w promieniu kilometra od miejsca swego urodzenia.

Ostatnio został moim sąsiadem i znam tego człowieka osobiście. – W tłumie rozległy się pomruki, ale, skoro, żeby użyć marynarskiego terminu, wszedłem już na ten kurs, musiałem się go trzymać. – Moja żona przyjaźni się z jego żoną. Składamy sobie nawzajem wizyty... – można to tak nazwać – poznałem również kilku członków jego rodziny... – O, cholera! Użyłem niewłaściwego słowa. Wszystkim znowu zrobiło się bardzo wesoło i sędzia musiała po raz kolejny użyć młotka.

–Spokój!

Doszedłem szybko do siebie.

–Osobiście gwarantuję, Wysoki Sądzie – kontynuowałem – że mój klient nie opuści południowego dystryktu stanu Nowy Jork i że w wyznaczonym terminie stawi się w sądzie, żeby zasiąść na ławie oskarżonych. Jeszcze raz powtarzam, Wysoki Sądzie, że – wbrew wszelkim insynuacjom, pomówieniom i publicznym oszczerstwom – mój klient jest uczciwym, płacącym podatki obywatelem, człowiekiem, którego liczni przyjaciele i rodzi... krewni rozsiani są po całym mieście, osobą, która cieszy się przyjaźnią poważanych biznesmenów, duchownych i polityków. – Znowu doszły mnie chichoty z galerii, widziałem jednak, że zdobywam kolejne punkty, choć z drugiej strony, czy ktoś je jeszcze w ogóle liczył? – Powiem więcej, Wysoki Sądzie... – zacząłem.

–To są kpiny, Wysoki Sądzie – przerwał mi Ferragamo, który nie mógł się doczekać chwili, kiedy znów usłyszy swój dźwięczny głos. – Ten człowiek jest znanym gangsterem...

–Ten człowiek oskarżony jest o morderstwo, panie Ferragamo – oświadczyła sędzia Rosen uznawszy widać, że nadeszła jej kolej, żeby komuś przerwać – a nie o działalność gangsterską. Gdyby zarzuty dotyczyły działalności gangsterskiej, już dawno zgodziłabym się przyjąć kaucję, biorąc pod uwagę pozycję, jaką zajmuje oskarżony w lokalnej społeczności. Nie interesują mnie zarzuty na temat działalności gangsterskiej. Interesuje mnie wyłącznie kwestia, czy ten człowiek nie wykorzysta zwolnienia, by ująć przed wymiarem sprawiedliwości.

Ferragamo był wyraźnie podenerwowany. Spojrzał na Bellarosę i ich oczy spotkały się po raz pierwszy. Potem spojrział na mnie, jakby



chciał powiedzieć: "Kim, u diabła, jesteś, żeby wtrącać się w sprawę pomiędzy Ferragamo i Bellarosa?" – W takim razie – zwrócił się do sędzi Rosen – proszę wziąć pod uwagę, że człowiek ten posiada olbrzymie zasoby nie tylko w tym kraju, ale również za granicą i nie jest wykluczone...

–Wysoki Sądzie – przerwałem, ponieważ był to jedyny sposób, by stawić czoło panu Ferragamo – jak już oświadczyłem wcześniej, Wysoki Sądzie, gotów jestem oddać do depozytu paszport mojego klienta...

–Pański klient, panie Sutter, może sobie kupić pięćdziesiąt paszportów! – wrzasnął pan Ferragamo, który nie potrzebował żadnego pośrednika, żeby stawić mi czoło.

–Panie Ferragamo, ja złożyłem sądowi obietnicę. Osobiście gwarantuję, że...

Zorientowałem się, że po raz pierwszy w życiu wydzieram się na cały głos w sądzie.

–Kim pan jest, żeby osobiście gwarantować?

–A kim pan jest, żeby podawać to w wątpliwość?

I tak to szło, obracając się rychło w zwykłą sądową batalię.

Wszyscy byli wniebowzięci. Wszyscy oprócz sędzi Rosen, która walnęła w stół swoim młotkiem.

–Dosyc tego!

Spojrzała na mnie.

–Panie Sutter, sąd docenia wartość pańskiej osobistej gwarancji i jest pod wrażeniem przenikliwości, która kazała panu przytaskać na salę rozpraw pełną walizkę pieniędzy... – śmiech – a także jest wdzięczny za ofertę przekazania do depozytu paszportu oskarżonego.

Niemniej pańska prośba o zwolnienie za kaucją zostaje odrzu...

–Wysoki Sądzie! Jeszcze jedna sprawa, jeśli wolno.

Uniosła w górę oczy, po czym dała mi znak, żebym mówił.

–Wysoki Sądzie... Wysoki Sądzie...

–Tak, panie Sutter? Niech pan mówi. Słucham.

Wzięłem głęboki oddech i pochwyciłem mimochodem wzrok Bellarosy.

–Co się tyczy samych zarzutów, Wysoki Sądzie – zacząłem – zarzutów wyszczególnionych w akcie oskarżenia... stwierdza się tam, że morderstwa Juana Carranzy dokonano czternastego stycznia bieżącego roku w New Jersey. Otóż mój klient ma na ten dzień żelazne alibi i chociaż nie sądziłem, aby słuszne i wskazane było przedstawianie tego alibi w tej chwili, oczywiste jest, że muszę je teraz zaprezentować.

Jeśli zatem wolno mi będzie zamienić z sędzią słowo na osobności...

Ciszę, która zapadła na sali, przerwał głos Ferragamo.

–Co to za alibi, panie Sutter? Chcę wiedzieć, co to za alibi – zawołał, i spojrzał na sędzię Rosen. – Wysoki Sądzie, mam pięciu świadków, którzy zeznali pod przysięgą, że Frank Bellarosa brał udział w morderstwie Juana Carranzy. Opierając się na tych zeznaniach ława przysięgłych głosowała za postawieniem Bellarosy w stan oskarżenia. Jakie alibi może przedstawić nam tutaj obrona...? – zapytał i uniósł dramatycznym gestem ręce w górę. – To wszystko jest idiotyczne. Naprawdę, panie Sutter. Naprawdę. Marnuje pan tylko mój czas i czas wszystkich tu obecnych.

Wyglądało, że teraz naprawdę mu podpadłem. Naprawdę. Ale on podpadł mi jeszcze bardziej. Faktem było, że im częściej się ten bałwan odzywał, tym wyraźniej zdawałem sobie sprawę, że mam do czynienia z bezwzględny, egocentrycznym łowcą popularności.

–Panie Ferragamo – odezwałem się wystarczająco głośno, żeby wszyscy mnie usłyszeli – mam zapisane numery rejestracyjne czterech samochodów, które usiłowały opóźnić moje dzisiejsze stawienie się w sądzie. Przypuszczam, że kiedy sprawdzę te numery w wydziale komunikacji, okaże się, że opatrzone nimi samochody należą do pańskiego biura. Jestem przekonany, że podjął pan bezprawne działania mające na celu...

–Jak pan śmie? Jak pan śmie?

–Jak pan śmie? – odpaliłem, pozwalając sobie na nieco odmienne zaakcentowanie tej frazy. – Jak pan śmie utrudniać...

–Oszalał pan chyba?

Byłem teraz naprawdę wściekły, słowo daję. Nie muszę chyba mówić, że nie jest dobrą rzeczą robić sobie wroga z kogoś takiego, ale trudno, miałem teraz wielu zajmujących wysokie stołki wrogów: IRS, Federalne Biuro Śledcze, członków klubu "The Creek" oraz dynastię Stanhope'ów razem z jej adwokatami. Cóż mi szkodził jeden więcej?

**-To nie ja zachowuję się na sali sądowej jak wariat – stwierdziłem.**

**-Co?**

**Tłum był wniebowzięty. Słowo daję, naprawdę wniebowzięty.**

**Jeszcze dziesięć minut temu siedzieli tutaj wszyscy, nudząc się jak mopsy na formalnych porannych rozprawach, aż tu nagle do środka wkracza Frank Bellarosa, w ślad za nim jego wymuskany adwokat, lekko, jak się okazuje, szurnięty, a na samym końcu ambitny Alphonse Ferragamo, który całkiem nie potrafi nad sobą zapanować.**

**Obejrzałem się do tyłu i spostrzegłem, że reporterzy skrobią wściekle w notesach, oczy artystów skaczą między ich szkicownikami a stołem sędziowskim, tak jakby obserwowali jakiś wertykalny mecz ping-ponga, a inni uśmiechają się z radością niczym ludzie, którzy wybrali się na nudną operę i odkryli, że w drugim akcie primadonna rozbiera się do naga.**

**Ponownie pochwyciłem spojrzenie Bellarosy. Uśmiechał się do mnie.**

**W tym czasie ja i Ferragamo spuszczałyśmy sobie wzajemnie łomot, nie poruszając w zasadzie żadnych innych tematów oprócz naszych urażonych ego. Sędzia Rosen pozwalała nam boksować się przez dłuższą chwilę, nie chcąc, by przyłgnęła do niej opinia kogoś, kto psuje innym dobrą zabawę, w końcu jednak walnęła w stół młotkiem.**

**–Dosyc tego, dzentelmeni. – Ostatnie słowo powiedziała ironicznym tonem. – Panie Sutter – stwierdziła – wysunął pan przed chwilą poważne oskarżenie, ale nawet, jeśli jest ono prawdziwe, nie ma to większego znaczenia dla sprawy. Co się tyczy alibi, które pańskim zdaniem oskarżony ma na dzień, kiedy popełniono przestępstwo, może ono – ale wcale nie musi – być wzięte pod uwagę przez sąd rozważający kwestię przyjęcia kaucji. Nie widzę jednak, w jaki sposób mogłabym dać wiarę pańskim argumentom, skoro, jak się wydaje, nie jest pan w stanie przedstawić potwierdzających to alibi świadków.**

**A nawet gdyby pan ich w tej chwili przedstawił, panie Sutter, nie jestem skłonna opóźnić następnych rozpraw, dokonując ich zaprzysiężenia. Przykro mi, panie Sutter, ale kwestia kaucji musi zostać rozstrzygnięta na następnej sesji...**

**Młotek znowu się uniósł.**

**–Sędzio – powiedziałem szybko – w dniu, który nas interesuje, to znaczy czternastego stycznia bieżącego roku...**

**–Panie Sutter...**

–Mój klient, Wysoki Sądzie, oglądał posiadłość przylegającą do mojej posiadłości na Long Island. I chociaż w tamtym czasie nie znałem go osobiście, rozpoznałem jego twarz z gazet i telewizji i uświadomiłem sobie, że mam przed sobą Franka Bellarosę.

Sędzia Rosen pochyliła się ku mnie, czekając aż przebrzmia wszystkie westchnienia i inne efekty dźwiękowe.

–Twierdzi pan, panie Sutter, że to pan stanowi alibi Franka Bellarosy?

–Tak, Wysoki Sądzie.

–Widział go pan czternastego stycznia?

–Tak, Wysoki Sądzie. Byłem tego dnia w domu. Sprawdziłem w swoim kalendarzu. – Prawdę mówiąc, wcale nie sprawdziłem, choć powinienem to zrobić, zanim złożyłem fałszywe zeznanie. – Jadąc konno zobaczyłem pana Bellarosę spacerującego w towarzystwie dwóch innych dżentelmenów po posiadłości, którą później nabył. Pomachali do mnie, a ja odwzajemniłem ich pozdrowienie. Od Franka Bellarosy nie dzieliło mnie więcej jak dziesięć jardów i natychmiast go rozpoznałem. Było to około dziewiątej rano, a potem, mniej więcej w południe, zobaczyłem, jak wsiadają do czarnego cadillaca i odjeżdżają.

Pan Carranza został zamordowany o godzinie dwunastej w południe, w chwili gdy jego samochód wyjeżdżał z parkingu Garden State w New Jersey, w odległości około osiemdziesięciu mil od miejsca, gdzie widziałem Franka Bellarosę.

Co mógł na to odpowiedzieć Alphonse Ferragamo? Tylko jedno słowo.

–Kłamca!

Spiorunowałem go wzrokiem, w którym pełno było urażonej godności anglosaskiego protestanta. Uciekł w bok swoimi podobnymi do ostryg oczyma.

Pani Rosen siedziała w milczeniu przez pełną minutę, zastanawiając się zapewne, dlaczego tak bardzo zależało jej kiedyś na tym, żeby zostać sędzią.

–Ile dokładnie pieniędzy przyniósł pan ze sobą, mecenasie? – zapytała w końcu.

–Pięć milionów, sędzio. Cztery w papierach wartościowych i milion gotówką.

–Dobrze. Biorę je. Załatwi to pan w biurze na dole – powiedziała

i uderzyła młotkiem w stół w tej samej chwili, kiedy Ferragamo otwierał usta do krzyku. Sędzia Rosen zignorowała go. – Następna sprawa! – oznajmiła.

–Widzisz, wiedziałem, że ci się uda – powiedział Bellarosa w drodze do mieszczącego się w podziemiach biura.

Bolał mnie żołądek, pękała mi głowa i – tak – kłuło mnie w sercu. Nigdy przez głowę mi nawet nie przeszło, że cokolwiek w świecie skłoni mnie do złożenia fałszywych zeznań. Cokolwiek, powtarzam, a tym bardziej tak błaha przyczyna, jak uzyskanie zwolnienia za kaucją dla szefa mafii.

Ale nigdy też nie sądziłem, że będzie groziła mi sprawa karna za głupie naruszenie przepisów podatkowych. Ani że prokurator generalny wrabia kogoś w morderstwo z powodu osobistej urazy i że będzie starał się utrudniać działanie wymiaru sprawiedliwości, wstrzymując mnie w drodze do sądu, a potem próbując wysłać w wariacką podróż do Brooklynu. Tak, wiedziałem, że zło dodane do zła nie daje w wyniku dobra – to jedna z pierwszych prawd etycznych, których nauczyłem się jako mały chłopiec – ale dojrzewanie polega między innymi na wykształceniu w sobie zdolności pozwalających przetrwać.

Kiedy w grę wchodzi życie, a nie wynik baseballowego meczu, trzeba czasami dokonać pewnych poprawek. Wy określilibyście to pewnie mianem ustępstw. Czasami trzeba skłamać.

Historia świata pełna jest martwych męczenników, którzy nie chcieli pójść na kompromis. Kiedyś ich podziwiałem. Teraz byłem gotów się zgodzić, że większość z nich była prawdopodobnie kompletnymi głupcami.

–Widzisz teraz, jaki to kutas? – zapytał Bellarosa.

Nie odpowiedziałem.

–Zadarłeś z nim. Nie chciałem, żebyś to robił. Dla niego to sprawa osobista, ale dla mnie nie. Capiśce?

–Zamknij się, Frank.

Przemierzaliśmy korytarze sądu, otoczeni rojącymi się wokół nas i wymachującymi swymi piórami reporterami, a ja wciąż znajdowałem się jakby w transie. Do sądu nie wolno wносить magnetofonów ani kamer, nie potrafię jednak pojąć, dlaczego w ogóle

wpuszczają tu tych szaleńców. Rozumiem wolność prasy, ale blokowanie przejścia przysparza wielu kłopotów i stanowi, moim zdaniem, poważne wykroczenie.

Po jakimś czasie znalazłem się ponownie na prowadzących do budynku schodach, tym razem już bez ciężkiej walizki i pozbawiony dziewictwa. Czekali tam na nas ludzie z prasy, którzy zdążyli się przegrupować i połączyć swoje siły z kamerzystami i fotografami.

Reporterzy zadawali wszelkiego rodzaju niebezpieczne i podstępne pytania. Don jednak raczył ich w odpowiedzi samymi dowcipami.

–Hej, co wy tu wszyscy robicie? – pytał. – Nie daję żadnych autografów. Chcecie, żebym się uśmiechnął? Fotografujcie mnie z właściwej strony. – I tak dalej.

Niektórych dziennikarzy znał z imienia.

–Cześć, Lorraine, kopę lat. Gdzie się tak opaliłeś?

Twarz Lorraine'a rozjaśniła się w uśmiechu.

–Tim, wciąż pracujesz dla tej samej gazety? Nie wiedzą, że lubisz sobie golnąć?

Ha ha ha.

Jakiś reporter z telewizji wetknął Bellarosie mikrofon pod sam nos.

–Czy mafia walczy z kartelem z Medellin o zawładnięcie handlem kokainą? – zapytał.

–Kto z kim i o co? Niech pan mówi po angielsku.

–Czy uważa pan, że Alphonse Ferragamo prowadzi przeciwko panu prywatną wojnę, że to z jego strony osobista vendetta? – zapytał bardziej spostrzegawczy dziennikarz.

Frank zapalił wielkie cygaro, Monte Cristo numer cztery.

–Skądże znowu. Ludzie nagadali mu o mnie kłamstw i musi to sprawdzić. To przecież mój krajan.

Wszyscy się roześmieli.

–Jak ci smakuje wolność dzisiaj rano, Frank?

**Zaciągnął się swoją torpedą.**

**–Muszę wam powiedzieć, że zjadłem tutaj najgorsze w moim życiu śniadanie. To właśnie nazywam okrutną i wyrafinowaną karą.**

**Ponownie rozległy się śmiechy, a ponieważ stało się jasne, że pan Bellarosa nie udzieli żadnych znaczących informacji, cały nacisk przeniesiony został na aspekt rozrywkowy dzisiejszego wydarzenia.**

**Frank był w stanie dostarczyć dobrej rozrywki.**



–Ile zapłaciłeś za ten garnitur, Frank? – zapytał go ktoś.

–Grosze. Szyję sobie rzeczy w takim małym zakładzie na Mott Street. Nie płacę tam takich cen jak w śródmieściu. Ty też mógłbyś sobie znaleźć lepszego krawca, Ralph.

W ten sposób mniej więcej brylował w ciągu kilku minut, które zajęło nam pokonanie czterdziestu sześciu dzielących nas od ulicy stopni. Otaczało nas, łącznie z kamerzystami i fotoreporterami około pięćdziesięciu przedstawicieli mass mediów. Co gorsza, na chodniku pojawił się nie wiadomo skąd kilkusetosobowy tłum gapiów. W Nowym Jorku nie trzeba się bardzo starać, żeby wywołać zbiegowisko.

Nie byłem oczywiście kompletnie ignorowany. Reporterzy, którzy nie potrafili zwrócić na siebie uwagi Dona, rzucali się na mnie, ja jednak niewzruszenie recytowałem moją mantrę, która brzmiała:

–Bez komentarza, bez komentarza, bez komentarza.

Od chodnika dzieliło nas teraz zaledwie kilka stopni, ale tłum wokół nas zgęstniał i nie bardzo wiedziałem, jak dostaniemy się do samochodu, w którym miał na nas czekać Lenny.

–Ile waży pięć milionów dolarów? – zapytał mnie jakiś reporter.

–Dosyć, żebym uznał, że kaucja była dość wygórowana – odparłem, doszedłem bowiem do wniosku, że głupio będzie odpowiadać "bez komentarza" na głupie pytanie.

Niestety, nigdy nie powinno się pod żadnym pozorem ośmielać tych ludzi. Odpowiedziawszy na jedno pytanie, stałem się obiektem powszechnego zainteresowania. Znalazłem się teraz w prawdziwych opałach i poszukałem wzrokiem Bellarosy, który posłał mi zza kłębow dymu ostrzegawcze spojrzenie.

–Panie Sutter – pytał jakiś reporter prasowy – oświadczył pan na rozprawie, że cztery samochody usiłowały opóźnić pana przyjazd do sądu. Na czym to polegało?

–Bez komentarza.

–Czy blokowały pański samochód?

–Bez komentarza.

–Czy naprawdę uważa pan, że prowadzili te samochody ludzie z biura Alphonse'a Ferragamo?

**-Bez komentarza.**

**I tak to mniej więcej wyglądało. Miałem wrażenie, że pod moim nosem tkwi teraz zamontowany na stałe mikrofon, który uwiecznia**

dla potomności powtarzane przeze mnie uparcie "bez komentarza".

Nie dalej jak pięćdziesiąt jardów od nas dostrzegłem zaparkowanego w niedozwolonym miejscu cadillaca z Lennym za kierownicą. W następnym momencie zobaczyłem zbliżającego się Vinniego, który holował za sobą dwóch policjantów.

W tym momencie prasa zaczęła naprawdę grać mi na nerwach.

Obejrzałem się znowu na mego klienta, on jednak, nie bacząc na to, że zewsząd otaczają go agresywni, podekscytowani schizofrenicy, wciąż się uśmiechał, wydmuchiwał z ust kłęby dymu i nie tracił dobrego humoru. Chociaż sprawiał wrażenie rozluźnionego, nie miał opinii łowcy popularności. Potrafił owinąć sobie dziennikarzy wokół palca, ale sam ich nie szukał, w przeciwieństwie do pewnych swoich poprzedników. Niektórzy z nich już nie żyli – częściowo dlatego, że za bardzo lubili udzielać wywiadów.

Pewna szczególnie namolna i pyskata dziennikarka, w której rozpoznałem prezenterkę jednej ze stacji telewizyjnych, nie dawała mi spokoju w sprawie alibi.

–Czy jest pan pewien – pytała – że widział pan właśnie Franka Bellarosę?

–Bez komentarza.

–To znaczy, nie jest pan przekonany, że to był Bellarosa?

–Bez komentarza.

–Ale powiedział pan przecież, że to był Bellarosa.

I tak to szło i szło, jakbyśmy byli mężem i żoną czy kimś w tym rodzaju.

–Panie Sutter – odezwała się zaczepnie. – Pan Ferragamo ma pięciu świadków, którzy widzieli Franka Bellarosę w miejscu przestępstwa. Czy twierdzi pan, że wszyscy oni kłamią? Czy może to pan jest kłamcą?

Musiał to spowodować upał, a także, jak sądzę, stan mojego umysłu, a może było coś w głosie tej kobiety, co w końcu złamało mój opór. – Świadcowie Ferragamo kłamią i on o tym dobrze wie. Cała ta rozprawa jest sfingowana, jej motywem jest osobista vendetta, a rezultatem ma być wojna między... – w tym momencie zapanowałem nad swoim niewyparzonym jęzorem i spojrzałem na Bellarosę, który przytknął palec wskazujący do ust.

–Wojna między kim? Między rywalizującymi ze sobą gangami?

–Wojna w ramach jego własnego klanu? – zapytał inny dziennikarz, być może członek fan-klubu mafii czy czegoś podobnego. – Wojna z jego zastępcą? Z Sallym Da-da?

Tak naprawdę to nie byłem wcale mocny w sprawach mafii, ale otaczali mnie najwyraźniej ludzie wtajemniczeni. Znali wszystkie najświeższe plotki i byli przekonani, że ja znam je także.

–Wojna z kim? – pytali wszyscy. – Z kolumbijskimi baronami narkotykowymi? Z przyjaciółmi Juana Carranzy?

–Czy to prawda, że mafia próbuje wyprzeć z rynku Kolumbijczyków?

–Panie Sutter, czy powiedział pan w sądzie, że Alphonse Ferragamo kazał swoim ludziom opóźnić pański przyjazd do sądu?

Wydawało mi się, że ktoś już zadał mi wcześniej to samo pytanie.

–Panie Sutter, czy twierdzi pan, że prokurator federalny próbuje zrobić w to morderstwo pańskiego klienta?

Panie Sutter, bla, bla, bla. Przez chwilę wyobrażałem sobie tłumek zgromadzony wokół stojącego za barem "The Creek" telewizora.

Ciekawe, czy telewizja rzeczywiście pogrubia? Mam nadzieję, że nie.

Wydawało mi się, że słyszę życzliwe głosy moich przyjaciół:

–Popatrz no na niego.

–Rośnie mu sadło.

–Poci się jak świnia.

–Ma przekrzywiony krawat.

–Ciekawe, ile za to dostanie?

–Jego ojciec musi się teraz przewracać w grobie.

Mój ojciec, nawiasem mówiąc, przebywa właśnie w Europie i ma się świetnie.

**Na koniec udało się do nas precyzyjnie dwóm gliniarzom wraz z Vinniem, który zagrzewał ich do boju. Frank żegnał się ciepło z prasą, rozdając pozdrowienia i uśmiechy i posuwając się powoli za policjantami. Ja zabezpieczałem tyły. Zeszliśmy na jezdnię, a Lenny podjechał do nas powoli cadillakiem, przed którym rozstępowali się gapie. Denerwowało mnie to, że władze urządzają najpierw prawdziwy cyrk z udziałem mass mediów, a potem nie są w stanie zapewnić należytego porządku. Właściwie nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy, ile denerwujących rzeczy robią władze.**

Vinnie podszedł do cadillaca i otworzył tylne drzwi, a Bellarosa dał nura do środka.

–Nie przejmuj się, Frank – powiedział jeden z gliniarzy.

–Dziękuję, chłopcy. Jestem wam winien kolejkę – zwrócił się do nich obu mój klient.

I pomyśleć, że mnie nigdy nie udało się uprosić policjanta, żeby pomógł mi zinterpretować skomplikowane i częstokroć sprzeczne znaki dotyczące parkowania. Ale to było wczoraj. Dzisiaj stojący przy otwartych drzwiach samochodu gliniarz dotknął palcami czapki, kiedy wsuwałem się za Donem do cadillaca. Co za kurewski kraj.

Vinnie wskoczył na siedzenie obok kierowcy, a Lenny ruszył przeciskając się powoli przez tłum. Dodał gazu dopiero wówczas, kiedy zostawiliśmy za sobą całe zbiegowisko.

Z początku skierowaliśmy się na południe, ale potem Lennie skręcił na zachód w stronę wieżowców World Trade Center i znowu na południe w kierunku Wall Street. Usiłował najwyraźniej zgubić ewentualny ogon.

Minęliśmy mieszczący się pod numerem 23 Wall Street gmach J.P.

Morgana, w którym znajdowała się moja kancelaria, i choć wciąż tutaj pracowałem, poczułem, jak ogarnia mnie tęsknota za przeszłością.

Jeździliśmy jakiś czas w kółko i nikt dużo nie mówił, jeśli nie brać pod uwagę Vinniego i Lenny'ego, którzy ad nauseam gratulowali Donowi jego brawurowej ucieczki, tak jakby ruszył w ogóle małym palcem w tej sprawie. Naprawdę nie cierpię goryli.

Bellarosa był raczej małomówny, ale w pewnej chwili pochylił się ku mnie.

–To była naprawdę dobra robota, mecenasie – powiedział. – Od początku do końca.

Nie odpowiedziałem.

–Musisz uważać w kontaktach z prasą. Oni wszystko przekręcają.

Skinąłem głową.

–Facetów z prasy nie interesują fakty – stwierdził. – Utrzymują, że tak jest, ale w rzeczywistości interesuje ich tylko dobry artykuł.

**Czasami w dobrym artykule nie ma ani jednego faktu. Czasami jest po prostu zabawny. Oni uważają, że to wszystko jest bardzo zabawne.**

**Cała ta afera z mafią. Wielkie cadillaki, cygara, frymuśne stroje. Nie wiadomo dlaczego uznali to za coś zabawnego. Capiście? Ale w gruncie**

15 – Złote Wybrzeże t. II rzeczy to bardzo dobrze. Gorzej byłoby, gdyby uznali, że to nie jest wcale takie zabawne. Nie można wyprowadzać ich z błędu. Trzeba opowiadać im wesołe historie. Jesteś przecież wesołym facetem. Więc rozchmurz się. Spraw, żeby to wszystko brzmiało zabawnie, jak jakiś dowcip. Rozumiesz?

–Capisco.

–No. Świetnie sobie poradziłeś z tą sędzią. Alphonse sam przesrał sprawę. Za dużo mówi. Za każdym razem, kiedy otwiera jadaczkę, ktoś chce mu przywalić w zęby. Już teraz jest załatwiony na cacy a będzie o wiele bardziej, kiedy faceci z prasy zaczną go pytać o te samochody, które wysłał za tobą dziś rano, i o sfingowane zarzuty..

A swoją drogą, nie musiałeś wcale o tym wszystkim opowiadać. Wiesz?

–Frank, jeśli nie odpowiada ci sposób, w jaki...

Poklepał mnie po kolanie.

–Daj spokój, sprawiłeś się świetnie, Po prostu uczulam cię na pewne sprawy. W porządku? Wypuścili mnie przecież. Dobrze mówię?

–Dobrze.

Wciąż jeździliśmy po dolnym Manhattanie. Frank kazał zatrzymać się Lenny'emu przy kiosku. Vinnie wyskoczył z samochodu i kupił Post dla Franka, Wall Street Journal dla mnie i kilka czasopism medycznych, w większości ginekologicznych i proktologicznych, dla siebie. Oglądali je wspólnie z Lennym, kiedy stanęliśmy na światłach. Lubię patrzeć, jak ludzie starają się podnosić poziom swego wykształcenia.

Miałem przy sobie trochę dokumentów, które wydano mi w sądzie: pokwitowanie na pięć milionów, warunki, pod którymi udzielone zostaje zwolnienie za kaucją, i inne druki, na które rzuciłem teraz okiem. Znalazłem tam nakaz aresztowania, zarzuty oraz, co najważniejsze, kopię aktu oskarżenia, który liczył osiemdziesiąt stron. Postanowiłem, że przestudiuję go gruntownie, kiedy tylko będę miał wolną chwilę.

Na razie odkryłem, że istotnie całe oskarżenie przeciwko Frankowi Bellarosie opiera się wyłącznie na zeznaniach pięciu świadków. Nie było żadnych innych dowodów, które potwierdzałyby jego udział w zabójstwie Carranzy, a wszystkie nazwiska świadków brzmiały z hiszpańska.

Nigdy właściwie nie wypytywałem Bellarosy o to morderstwo, a relacje prasowe



**przypominałem sobie tylko mgliście. Z zeznań wynikało, że Juan Carranza siedząc za kierownicą corvette, wyjeżdżał około południa z parkingu Garden State bramą wychodzącą na Red**

Bank. Towarzyszyła mu jego przyjaciółka, Ramona Velarde. Jadący przed nimi samochód zatrzymał się na jednopasmowej drodze wyjazdowej i Carranza również zmuszony był się zatrzymać. Wtedy z samochodu, który podjechał z tyłu, wysiadło dwóch mężczyzn. Podeszli do przodu i jeden z nich oddał strzał przez boczną szybę corvette trafiając Carranzę w twarz. Następnie, po odkryciu, że drzwi corvette nie są zablokowane, zabójca otworzył je i dobił Carranzę strzelając jeszcze czterokrotnie w jego głowę. Przyjaciółce Kolumbijczyka nic się nie stało. Zabójca rzucił pusty rewolwer na jej kolana i razem ze swoim kompanem wszedł do blokującego wyjazd samochodu. Odjechali porzucając na miejscu przestępstwa drugie auto. Świadcami zabójstwa byli Ramona Velarde i czterech mężczyzn. Ich samochód zatrzymał się za autem, z którego wysiedli zabójcy. Wszyscy czterej przyznali szczerze, że pracowali u Carranzy jako jego goryle.

Z zeznań wynikało jednak, że żaden nie usiłował strzelać do osobników, którzy kropnęli ich szefa. Wsadzili Ramonę Velarde do swojego samochodu i jadąc po trawniku ominęli porzucone auto napastników i corvette. Nie starali się w ogóle ścigać zabójców. W podtekście zawarte było domniemanie, iż goryle Carranzy od razu zorientowali się, że ich szefa załatwiła włoska mafia, i nie uśmiechała im się rola martwych bohaterów. Po ustaleniu, że zabójstwo to ma coś wspólnego z handlem narkotykami i działalnością gangsterską, policja stanowa skontaktowała się z FBI. Dzięki anonimowemu donosowi ustalono miejsce przebywania Ramony Velarde, ona zaś podała z kolei nazwiska czterech goryli. Do wszystkich udało się dotrzeć w ciągu kilku tygodni i wszyscy zgodzili się występować w charakterze świadków oskarżenia.

Kwestia rozpoznania sprawców wydała mi się trochę niejasna.

Ramona Velarde znajdowała się w odległości kilkudziesięciu centymetrów od zabójcy, ale nie bardzo wyobrażałem sobie, w jaki sposób zdołała dostrzec jego twarz siedząc w niskiej corvette. Mogła zobaczyć co najwyżej rękę i rewolwer. Podobna sprawa była z gorylami, którzy pozwolili zajechać sobie drogę. Zabójca i jego wspólnik podczas całej akcji odwróceni byli do nich plecami. Goryle utrzymywali jednak, że stojąc przy samochodzie Carranzy zabójcy kilkakrotnie odwrócili się w ich stronę. Wszyscy czterej twierdzili zgodnie, że rozpoznali twarz Franka Bellarosy, a Ramona Velarde wskazała jego zdjęcie w policyjnym albumie.

Kiedy czytałem tę interesującą relację, całe zabójstwo rzeczywiście przypominało mi porachunki w mafijnym stylu. Wszystko się tu zgadzało: zablokowany samochód, dziewczyna, której nie spadł włos z głowy, podobnie zresztą jak gorylom, dzięki czemu pojedyncze zabójstwo nie zamieniło się w masakrę i nie wywołało negatywnych opinii prasowych.

Porzucony samochód był oczywiście kradziony, a broń, z której strzelano, zostawiono na miejscu, czystą jak łąza. To także jest typowe dla Cosa Nostra. Amatorzy lubią używać ciągle tej samej broni, aż w końcu dają się z nią złapać na gorącym uczynku – a wtedy badania balistyczne wykazują, że popełniono z niej tuzin morderstw. Włosi kupują czystą broń, używają jej tylko raz i porzucają natychmiast po oddaniu strzału.

Zastanawiałem się nad przeczytanymi dopiero co zeznaniami. Było całkiem możliwe, że morderstwo przebiegło w taki właśnie sposób i że świadkowie mówili prawdę z wyjątkiem tego, że sprawcą był Frank Bellarosa. Nie jestem detektywem, ale nie trzeba mieć dużo oleju w głowie, żeby uświadomić sobie, że ktoś taki jak Bellarosa, nawet jeśli chce zabić kogoś osobiście, to nie czyni tego w biały dzień w New Jersey, gdzie może go rozpoznać połowa mieszkańców.

Najwyraźniej jednak ktoś w FBI, a może w biurze prokuratora federalnego, spostrzegł w tym morderstwie okazję, by doprowadzić do wewnętrznych tarć w przestępczym świecie. Skoro tak, to nic nie stało na przeszkodzie, żeby przypisać je numerowi pierwszemu w mafii.

A jeżeli, zgodnie z tym, co mówił Bellarosa, Carranzę rzeczywiście zabili ludzie z Agencji do Zwalczania Narkotyków, w takim razie bardzo prawdopodobne wydawało się, że wybierają oni modus operandi charakterystyczny dla danych grup przestępczych – jeśli zatem chcą imitować na przykład Kolumbijczyków, używają pistoletów maszynowych uzi; jeśli Jamajczyków – noża albo maczety; jeśli podejrzenie ma paść na Koreańczyków, najlepszy jest zamach bombowy. Najłatwiej jednak i najbezpieczniej dokonać ataku w stylu mafii.

Uświadomiłem sobie, że układam właśnie fragmenty mowy obrończej, ale także próbuję przekonać samego siebie, że bronię niewinnego człowieka. Starając się o obiektywizm i próbując być bezstronnym sędzią, doszedłem do wniosku, że zgromadzone dotychczas materiały nasuwają poważne wątpliwości co do winy Bellarosy.

Przerzucając akt oskarżenia zerknąłem na swojego sąsiada, który spostrzegł to.

–Wymieniają tam tych facetów, którzy złożyli przeciwko mnie zeznania. Zgadza się?  
– zapytał.

–Tak. To czterej mężczyźni i jedna kobieta.

–A tak. Przyjaciółka Carranzy. Pamiętam to z gazet. Twierdzi, że mnie widziała? – zapytał.

–Tak.

Kiwnął głową nic nie mówiąc.

–Wszyscy znajdują się teraz pod specjalną ochroną federalną – poinformowałem go.

–To dobrze. Nikt nie zdoła im zrobić krzywdy – powiedział i uśmiechnął się.

–Nie zrobią dobrego wrażenia na ławie przysięgłych – powiedziałem. – Nie można ich uznać za porządnych obywateli.

Wzruszył ramionami i wrócił do swojej gazety.

Lenny zatrzymał się przed kawiarnią na Broadwayu. Vinnie odebrał od nas zamówienia, wszedł do środka, po czym wrócił z czterema tackami.

Przejechaliśmy przez Holland Tunnel do New Jersey, a potem wróciliśmy na Manhattan tunelem Lincolna.

Przy tylnym siedzeniu zadzwonił telefon i Bellarosa dał mi znak, żebym odebrał. Podniosłem słuchawkę.

–Hallo?

–Czy zastałem pana Bellarosę? – zapytał znajomy męski głos.

John Sutter szybko się uczy.

–Nie, jest właśnie na mszy – odparłem. – A kto mówi?

Bellarosa zachichotał, a facet odpowiedział na moje pytanie zadając mi inne.

**–Czy mówię z Johnem Sutterem?**

**–Nie. Przy telefonie lokaj pana Suttera.**

**–Nie podoba mi się pańskie poczucie humoru, panie Sutter.**

**–Podobnie jak większości ludzi, panie Ferragamo. Czym mogę panu służyć?**

**–Proszę o pozwolenie odbycia rozmowy z pańskim klientem.**

**Bellarosa trzymał już rękę na słuchawce, nie droczyłem się więc dłużej.**

–Cześć, Al... Tak... Tak, on jest trochę świeży w branży. Wiesz?

–Słuchał przez moment, po czym odpowiedział: – Ty też nie grałeś czysto, rodaku. Nie masz prawa się skarżyć. – Znowu słuchał ze znudzonym wyrazem twarzy. – Tak, tak, tak. I co z tego. Słuchaj, każdy z nas musi robić to, co do niego należy. Czy ja się skarżę? Czy ja wyskakuję na ciebie z pyskiem?

Nie słyszałem oczywiście tego, co mówił Ferragamo, ale i tak nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Ci faceci rozmawiali, jakby dopiero co pokłócili się przy grze w boccie albo czymś podobnym.

–Myślisz, że użyłbym brudnych pieniędzy na kaucję? – mówił Bellarosa. – Sprawdź wszystko, Al. Jeśli stwierdzisz, że są brudne, należą do ciebie, a ja wracam za kratki... Tak. Oszczędź sobie czasu.

Nie bądź taki drobiazgowy. – Zerknął na mnie. – Ten facet jest w porządku – powiedział do telefonu. – Zejdź z niego. To porządny obywatel. Wybitny obywatel. Nie zadzieraj z nim. Jeśli z nim zadrzesz, będziesz miał poważne problemy. Capiśce?

Czy to było o mnie? Czy rozmawiali o mnie?

–Przykro mi, że wyszedłeś na durnia, ale powinieneś to sobie po prostu przemyśleć. W porządku...? Tak. Masz to jak w banku.

Wieczorem będę mógł obejrzeć cię w telewizji, prawda? – powiedział i roześmiał się. – Tak. W porządku. Cześć. – Odłożył słuchawkę i wrócił do swojej gazety.

Madonna mia. Ci ludzie byli nienormalni. Wyglądało to tak, jakby udawali tylko Amerykanów przed opinią publiczną, a w rzeczywistości postępowali w zgodzie z jakimś pierwotnym rytuałem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, a potem Bellarosa podniósł wzrok znad gazety.

–W porządku? – zapytał swoich chłopców.

–Nikogo nie zauważyłem, szefie – odparł Lennie.

Bellarosa spojrział na zegarek.

–Jesteś głodny? – zapytał.

–Nie.

**–Chcesz się czegoś napić?**

**–Tak.**

**–To dobrze. Znam takie jedno miejsce. Jedź na Mott Street – powiedział Lenny'emu.**

**– Zjemy niewielki lunch.**

**"Caffe Roma" jest dosyć znanym lokalem położonym w sercu**

Little Italy. Zaprosiłem tam kilka razy na obiad gości spoza miasta.

Ale "Caffe Roma" nie mieści się przy Mott Street.

–Mulberry Street – powiedziałem do Bellarosy.

–Co?

–"Caffe Roma" jest przy Mulberry Street.

–A tak. Ale my tam nie jedziemy. Zjemy lunch u "Giulia" przy Mott Street.

Wzruszyłem ramionami.

Zorientował się, że nie przywiązuję właściwego znaczenia do tego, co powiedział, i postanowił mnie pouczyć.

–To kolejna rzecz, którą powinieneś zapamiętać, mecenasie. To, co mówisz, że będziesz robił, i to, co robisz, niekoniecznie musi się ze sobą zgadzać. Nigdy nie jedziesz tam, gdzie powiedziałeś, że jedziesz.

Nigdy nie udzielasz informacji ludziom, którzy jej nie potrzebują, ani ludziom, którzy mogliby ją przekazać komuś, kto nie powinien jej posiadać. Jesteś przecież prawnikiem. Chyba o tym wiesz.

Istotnie wiedziałem, tyle tylko, że nigdy nie tałem przed nikim, do jakiej wybieram się knajpy.

Z drugiej strony, nikt nie miał ochoty zastrzelić mnie przy lunchu.

Rozdział 28 Little Italy leży niedaleko Foley Square, blisko stąd również do Police Plaza, a także siedziby FBI przy Federal Plaza oraz sądów karnych – miejskiego i stanowego. Geograficzne usytuowanie dzielnicy włoskiej jest bardzo dogodnie dla adwokatów, funkcjonariuszy federalnych oraz tutejszych mieszkańców, tych przynajmniej, którzy mają przypadkowo do załatwienia jakąś oficjalną sprawę w którejś z wymienionych wyżej instytucji. W gruncie rzeczy zatem jazda z Foley Square do restauracji "Giulio" na Mott Street nie powinna nam zabrać więcej niż pięć minut. Ze względu jednak na inne ważne okoliczności trwała prawie godzinę. Z drugiej strony, była dopiero dwunasta, najlepsza pora na lunch.

Restauracja "Giulio" była utrzymana w dosyć tradycyjnym stylu i mieściła się na parterze zbudowanej na przełomie wieków sześciopiętrowej kamienicy, najeżonej przeciwpożarowymi schodami. Po prawej stronie szklanych drzwi znajdowała się



**szyba wystawowa zasłonięta do połowy czerwoną kotarą. Widniał na niej wykaligrafowany wyblakłymi złotymi literami napis GIULIO.**

**W witrynie nie było nic więcej – żadnego menu, żadnych wycinków z gazet ani nalepek kart kredytowych. Lokal nie sprawiał specjalnie zachęcającego wrażenia. Jak już wspomniałem, odwiedzam od czasu do czasu położoną niedaleko Wall Street dzielnicę włoską, na ogół w towarzystwie moich klientów. Nigdy jednak nie zauważyłem przedtem tej restauracji, a nawet gdybym zauważył, to raczej nie zajrzałbym do środka. Prawdę mówiąc, moim klientom (i mnie również) o wiele**

bardziej podobają się wypełnione turystami i mieszkańcami suburbiów eleganckie lokale przy Mulberry Street, gdzie wszyscy popatrują na siebie ukradkiem, zastanawiając się, czy gość przy sąsiednim stoliku nie należy przypadkiem do mafii.

Lenny odjechał, żeby zaparkować samochód, a Vinnie pierwszy wszedł do restauracji. Domyśliłem się, że bada teren. Stałem na chodniku razem z Bellarosą, który spoglądał w górę i w dół ulicy odwrócony plecami do ceglanej ściany.

–Dlaczego czekamy na zewnątrz? – zapytałem.

–Dobrze jest uprzedzić ich, że się przyjechało.

–Rozumiem. Naprawdę nie mogłeś do nich zadzwonić wcześniej, prawda?

–Nie. Nie powinno się tego robić.

–Racja.

Ani razu nie spojrzał na mnie, zajęty lustrowaniem ulicy. W Little Italy jest wiele konkurujących ze sobą restauracji, a najlepszym sposobem na szybkie zdobycie popularności i fortuny może być wizyta kogoś takiego jak Bellarosa, wizyta, podczas której ktoś dokona na niego udanego zamachu. Przed oczyma stanął mi mrożący krew w żyłach tytuł w gazecie: ŚMIERĆ DANDY DONAI JEGO PAPUGI.

–Czy rozwalono tutaj kogoś w przeszłości? – zapytałem mego współbiedniaka.

Spojrzał na mnie. – Że co? Aha... nie. Chociaż właściwie tak. Kiedyś, jeszcze w czasach prohibicji. Dawno temu. Lubisz smażoną kałamarnicę?

Calamoretti fritti?

–Przypuszczam, że nie.

W drzwiach ukazała się głowa Vinniego.

–W porządku, szefie.

Weszliśmy do środka. Stojące w długim i wąskim pomieszczeniu stoliki nakryte były obrusami w tradycyjną czerwoną kratę. Podłoga była wyłożona stylową białą terakotą, a pod sufitem podwieszono pomalowaną białą olejną farbą blachę falistą. Trzy wentylatory kręciły się leniwie, rozprawdzając po całej sali zapach czosnku. Na otynkowanych na biało ścianach wisiały tanie reprodukcje, wszystkie przedstawiały krajobrazy słonecznej Italii. Nie było tu specjalnie na czym zatrzymać oka, ale

miejsce tchnęło autentycznością.

W środku nie siedziało zbyt wielu gości. Spostrzegłem odzianych w czerwone kurtki kelnerów, którzy ukradkiem przyglądali się Bellarosie. W naszym kierunku ruszył, wyciągając zawczasu rękę, facet w czarnym garniturze. Pozdrowili się nawzajem z Bellarosą po włosku.

Frank mówił do niego Patsy, ale mi go nie przedstawił, chociaż niewątpliwie mieliśmy do czynienia z maitre d'hotel.

Patsy zaprowadził nas do stolika na tyłach sali. Był to miły, wygodny stolik, z szerokim polem obstrzału.

Pojawił się Lenny i razem z Vinniem zajęli miejsca przy oknie.

Mieli stamtąd dobry widok na drzwi. Pod naszą kontrolą znajdował się teraz cały teren, a bez tego nie sposób wyobrazić sobie przyjemnego lunchu u "Giulia".

Patsy płaszczył się przed nami, kelnerzy zginali w ukłonach, a para, która wybiegła z kuchni i w której domyśliłem się właściciela i jego żony, o mało nie rzuciła się Donowi do nóg. Wszyscy się uśmiechali – wszyscy oprócz Franka, który przybrał typowe dla szefa mafii pokerowe oblicze. Widziałem je u niego po raz pierwszy.

–Często tutaj przychodzisz? – zapytałem.

–Tak jakby – odparł i odezwał się do właściciela po włosku.

Ten wybiegł w pośpiechu, żeby, jak pomyślałem, popełnić samobójstwo, ale nie, wrócił zaraz z butelką chianti i dwoma kieliszkami. Patsy odkorkował butelkę, ale nalewał Frank. W końcu, po długiej krzątaninie przy stoliku, wszyscy zostawili nas w spokoju. Frank trącił się ze mną kieliszkiem. – • Salute! – powiedział.

–Zdrowie! – odparłem i wychyliłem wino, które smakowało jak grappa wymieszana z garbnikiem. Chlup!

Frank oblizał wargi.

–Aaaa... dobre. To specjalna dostawa. Prosto z tamtej strony.

Powinni ją byli tam zostawić.

Do lokalu weszło kilka nowych osób i rozejrzałem się dookoła.

Klientela składała się o tej porze głównie z ludzi miejscowych, w większości starszych mężczyzn, odzianych w wiszące na nich luźno garnitury. Mało który miał

na szyi krawat. Dochodził mnie stłumiony angielsko-włoski gwar.

Zauważyłem także kilku młodszych mężczyzn w porządnym garniturach. Niczym wampir, który po jednym spojrzeniu potrafi

poznać swoich współbraci, rozpoznałem w nich kolegów z Wall Street, idących za najnowszą modą bubków, którzy odkryli ten lokal w podobny sposób, w jaki Kolumb odkrył Amerykę (to znaczy sądzili, że przed ich pojawieniem się "Giulio" po prostu nie istniał).

Tu i tam spostrzegłem osoby, które, jak mi się wydawało, mogły parać się tym samym zajęciem co Frank. I rzeczywiście, mój klient skinął łaskawie głową niektórym z nich, a oni mu się odклонili. Mimo upału i panującej w lokalu luźnej atmosfery tylko bubki z Wall Street i kilku staruszków zdjęło marynarki. Reszta klienteli, byłem o tym przekonany, albo nosiła kabury pod pachą, albo chciała sprawiać takie wrażenie. Wiedziałem, że Frank nie może mieć przy sobie broni, dopiero co bowiem został przeszukany. Wiedziałem również, że Lenny i Vinnie są uzbrojeni. Ja byłem w zasadzie bezbronny, jeśli nie brać pod uwagę wiecznego pióra marki Montblanc za trzysta dolarów i karty kredytowej American Express.

–Zadowolony jesteś z tego, jak nam dzisiaj poszło? – zapytałem swego klienta.

Wzruszył ramionami.

–Poszło jak poszło. Nie mam powodu się na ciebie skarżyć.

–To świetnie. Chcesz porozmawiać na temat wniesionego przeciwko tobie oskarżenia? Na temat obrony?

–Powiedziałem ci już, to bzdury. Nie dojdzie w ogóle do żadnego procesu.

–Może dojść. Ferragamo przedstawił ławie przysięgłych pięciu świadków. Powiedzieli dosyć, żeby oskarżyć cię o morderstwo Juana Carranzy.

–Ferragamo prawdopodobnie coś na nich ma. Może rzeczywiście byli świadkami zamachu, ale nie mogli widzieć mojej twarzy.

Kiwnąłem głową.

–W porządku, wierzę ci.

–To dobrze. W takim razie słusznie dzisiaj postąpiłeś.

–Nie sądzę. Złożyłem fałszywe zeznanie.

–O to się nie martw.

Podszedł do nas właściciel, który nazywał się Lucio. Przyniósł półmisek smażonych

**krążków cebuli, a kelner postawił przed nami dwa talerzyki.**

**–Mangia – rozkazał Frank biorąc w palce kilka krążków.**

–Nie, dziękuję.

–Nie marudź. Jedz.

Nie były to oczywiście krążki cebuli, ale wolałem tak je w myśli nazywać. Nałożyłem sobie kilka tych rzeczy na talerzyk, po czym włożyłem jeden z nich do ust i popiłem chianti. Uuuch!

Na obrusie leżał nie pokrojony duży bochenek włoskiego chleba.

Frank rozerwał go swoimi wielkimi paluchami i rzucił mi kilka kawałków. Nie widziałem koło siebie talerzyka na pieczywo i prawdopodobnie nie miałem zobaczyć. Wziąłem do ust kawałek. Nigdy w życiu nie jadłem tak dobrego chleba.

–Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, mówiąc, że przestrzegam prawa – oświadczył Bellarosa między jednym kęsem a drugim. – Mancuso przyszedł sam jeden, a ja grzecznie czekałem, aż założy mi pierdolone kajdanki. Myślisz, że w podobny sposób zwijają jakiegoś brudasę w jednym z tych ich pierdolonych klubów środowiskowych?

Nie. Wysyłają tam cały uzbrojony po zęby, pierdolony batalion.

Wrzeszczą jak opętani, leją na oślepałami każdego, kto się nawinie, i wywlekają faceta za nogi. Rzadko się zdarza, żeby nie rozwalili przy okazji komuś łba albo nie podziurawili kogoś kulami. Dostrzegasz różnicę? Uważasz może Mancuso za pierdolonego bohatera? Błąd. On z góry wiedział, że włos mu z głowy nie spadnie.

–Mimo to, Frank, facet ma jaja.

Uśmiechnął się.

–Tak. Ten mały, chudy makaroniarz puka do moich drzwi i wali prosto z mostu: "Jesteś aresztowany". Tak. Ale myślisz może, że to Mancuso zostanie gwiazdą? Nie ma takiej możliwości. To przedstawienie reżyseruje Ferragamo i to on ma tutaj być gwiazdą.

Pooglądasz go sobie w telewizji.

Nie przywołany przez nikogo pojawił się przy naszym stoliku kelner przynosząc półmisek czegoś, co wyglądało jak małże w czerwonym sosie. Bellarosa nałożył ich trochę na mój talerz tuż obok smażonej kałamarnicy.

–To scungilli – powiedział. – Takie małże... W smaku przypominają krewetki. Sono



**buone.**

**–Czy mogę zamówić coś z karty?**

**–Spróbuj lepiej tego. Spróbuj – powiedział i zaczął pochłaniać wszystko to, co miał na talerzu. – Jedz. Nie marudź.**

Przygotowałem sobie kieliszek wina i kawałek chleba, po czym połknąłem małże, popiłem ją chianti i zagryzłem chlebem.

–Smakowało?

–Sono buone.

Roześmiał się.

Przez jakiś czas jedliśmy i popijaliśmy, rzadko się do siebie odzywając. Nikt nie przyniósł nam karty i zorientowałem się, że większość klientów w ogóle o nią nie prosi, ustalając zamówienia wspólnie z kelnerami – częściowo po angielsku, częściowo po włosku.

Kelnerzy wydawali się przyjaźnie nastawieni, szczęśliwi, pełni entuzjazmu, dobrze poinformowani, cierpliwi i chętnie udzielający pomocy.

Z całą pewnością nie byli to Francuzi.

Siedząc tam uświadomiłem sobie, że ta restauracja może mieć ponad sto lat, może być starsza od "The Creek" i "The Seawanhaka Corinthian". I przez cały ten czas niewiele się tutaj zmieniło, jeśli chodzi o wystrój wnętrza, kuchnię czy klientelę. W gruncie rzeczy Little Italy stanowiła coś w rodzaju wyspy w czasie, kulturowego skansenu włoskich emigrantów, którzy wbrew wszelkim przeciwnościom opierali się asymilacji. Gdybym miał się założyć, co przetrwa w nie zmienionym kształcie do następnego stulecia – Złote Wybrzeże czy Little Italy – postawiłbym na Little Italy. Gdybym miał zainwestować pieniądze, włożyłbym je w lokal "Giulio", a nie "The Creek".

Przyjrzałem się jedzącemu Frankowi Bellarosie. Wydawał się tutaj oczywiście o wiele bardziej rozluźniony niż w "The Creek". Ale było coś jeszcze – on po prostu był stąd, stanowił część tego miejsca, część lokalnego kolorytu, wystroju tej restauracji i całej Mott Street.

Rozluźnił krawat, za kołnierzyk koszuli zatknął sobie serwetę i swobodnie sięgał po wszystko rękoma, wiedząc dobrze, że nikt go tutaj niczego nie pozbawi – ani jedzenia, ani dumy.

–Pochodzisz z Brooklynu, nie z Little Italy – powiedziałem, kiedy rozpijaliśmy drugą butelkę chianti.

–Zgadza się. Ale większości starego Brooklynu już nie ma. Nie ma okolicy, w której

**się wychowałem. A tutaj wciąż jest tak jak dawniej. Rozumiesz?**

**–Jak to?**

**–Prawie każdy mieszkający w Nowym Jorku Włoch przychodzi tutaj przynajmniej raz w życiu. A większość przychodzi raz albo dwa**

razy do roku. Wizyta tutaj sprawia, że czują się lepiej, rozumiesz, bo wyprowadzili się teraz na przedmieścia, a w miejscach, gdzie kiedyś mieszkali, pełno jest czarnuchów albo brudasów i nie wiadomo kogo jeszcze. Nie mogą tam wrócić, więc wracają tutaj. To jest takie miejsce, w którym wszyscy szukają swego starego sąsiedztwa. Capiście?

No, może z wyjątkiem ciebie. Gdzie się urodziłeś?

–W Locust Valley.

–No to masz niedaleko do domu.

–Z każdym rokiem robi się coraz dalej.

–No tak. Lubię tutaj przychodzić, lubię przespacerować się po ulicach, poczuć w nozdrzach woń sera i zapachy dochodzące z piekarni i restauracji. Mnóstwo ludzi przychodzi tu w dzień świętego Januarego, patrona Neapolu... patrona Naples. Przychodzą także, żeby uczcić dzień świętego Antoniego. Rozumiesz?

–Dlatego właśnie odwiedzasz to miejsce?

–Zgadza się. Załatwiam tutaj także różne sprawy. Spotykam się z ludźmi. Tutaj mieści się mój klub.

–"Włoski Klub Strzelecki"?

–Zgadza się.

–Możesz mnie tam zabrać?

–Jasne. Ty zabrałeś mnie do "The Creek" – powiedział i uśmiechnął się. – Wybrałem się tam kiedyś z Jackiem Weinsteinem.

Uwielbia to miejsce. Upiłem go, zabrałem na dół, do piwnicy i pozwoliłem strzelać do celu. Mam tam wyciętego z tektury Alphonse'a Ferragamo – dodał śmiejąc się.

Uśmiechnąłem się.

–W IRS rzucają podobno do mojej podobizny strzałkami – poinformowałem go.

–Czym? Strzałkami? Pierdolę strzałki. – Wymierzył we mnie palec wskazujący i poruszył kciukiem. – Bach! Bach! Tym robi się najlepsze dziury.

**Wypił do dna kolejny kieliszek i nalał nam obu. Chianti robiło się coraz lepsze. Przy trzeciej butelce będzie smakowało jak brunello di montalcino, rocznik 1974.**

**Rozejrzałem się ponownie po restauracji. W czasie, gdy byłem nieobecny duchem, wypełniła się gośćmi i tętniło w niej teraz prawdziwe życie.**

–Podoba mi się tutaj – powiedziałem Bellarosie.

–To dobrze.

Właściwie coraz lepiej się bawiłem. Czułem coś w rodzaju euforii ogarniającej człowieka, który cudem wywinął się śmierci. Wciąż jeszcze gnębiła mnie świadomość, że złożyłem fałszywe zeznania, ale usilnie nad sobą pracowałem. Wyjąłem z kieszeni kalendarzyk i po raz pierwszy odszukałem w nim datę czternastego stycznia. Dokonuję w nim zapisów atramentem, częściowo dlatego, że jako adwokat wiem, iż kalendarzyk stanowi coś w rodzaju quasi-prawnego dokumentu i może posłużyć jako dowód. Z drugiej strony, używam zawsze tego samego pióra, marki Montblanc, tej samej stalówki i tego samego atramentu – czarnego montblanc – i w ostateczności mógłbym coś dopisać po fakcie. Wolałbym jednak tego nie robić.

Tak czy inaczej, z prawdziwym drzeniem serca, bo dużo od tego zależało, spojrzałem na datę czternastego stycznia. Padał lekki śnieg – przeczytałem. – Przed południem w domu, lunch z Susan w "The Creek", po południu w kancelarii w Locust Valley, o 16 spotkanie z personelem.

Gapilem się przez chwilę na swoje zapiski. Przed południem w domu. Czy rzeczywiście jeździłem konno tego dnia? Niewykluczone.

Czy przekroczyłem granicę Alhambry? Całkiem możliwe. Czy zobaczyłem tam trzech spacerujących mafiosów? Tak właśnie zeznałem.

Już miałem zamknąć kalendarzyk, kiedy pod datą piętnastego stycznia dostrzegłem zapis: 7:40 rano, Eastern lot nr 119, West Palm Beach. Gdybym poleciał na Florydę poprzedniego ranka, Ferragamo i FBI w końcu by to odkryli – żądając, abym przedstawił im swój kalendarz albo w jakiś inny sposób. I John Sutter zamieszkałby we wspólnej celi z Frankiem Bellarosą. Ale ja byłem czysty: przed południem w domu. Nie opuszczało mnie tradycyjne szczęście Sutterów.

Gdybym był katolikiem, przeżegnałbym się i odmówił różaniec.

Schowałem kalendarzyk do kieszeni.

–Wybierasz się gdzieś? – zapytał Bellarosa.

–Nie. Po prostu coś sprawdzałem.

–I co? Wszystko w porządku?

**–Tak, w porządku.**

**–To dobrze – oznajmił i spojrział mi prosto w oczy. – Grazie – powiedział i był to jedyny wyraz podziękowania i uznania, jaki**

kiedykolwiek od niego usłyszałem. Nawiasem mówiąc, nie spodziewałem się nawet tego.

–Musimy zabrać tu kiedyś wieczorem nasze kobiety – powiedział. – Spodoba ci się tutaj wieczorem, zobaczysz. Mają staruszka, który gra na takim pudle – zaczął udawać, że gra na akordeonie – jakże to się nazywa? Concertina. Jest także stara donna, która śpiewa jak anioł. Twoja żona będzie zachwycona.

–Czy można się tu z tobą czuć bezpiecznym? – zapytałem.

–Hej, o co ci właściwie chodzi? – zawołał uderzając się w pierś. – Jeśli ja jestem celem, to strzelają do mnie. Myślisz, że ktokolwiek się tobą przejmuje? Nie włącz po prostu nikomu w drogę i nie patrz nikomu w oczy. Capisce? – Roześmiał się i poklepał mnie po ramieniu. – Zabawny jesteś.

–Podobnie jak i ty – odparłem i wychyliłem do dna kolejny kielich boskiego nektaru. – Ale co powiesz o innych? O Latynosach?

O Jamajczykach? Czy oni przestrzegają reguł gry?

–Powiem ci, jaką znają regułę – odparł żując pestki oliwek. – Jeśli ośmielą się zaatakować kogoś w Little Italy, w całym Nowym Jorku nie ostanie się ani jeden pierdolony czarnuch czy brudas. To jest jedyna rzecz, jaką rozumieją. W tym miejscu nie musisz się nimi zajmować.

Zawsze podobała mi się etniczna różnorodność Nowego Jorku, tego miasta, w którym jak w tyglu mieszają się różne narodowości.

"Dajcie mi wasze umęczone, biedne, stłoczone masy..."\* Zapomniałem, jak to szło dalej. Być może zapomnieliśmy wszyscy.

–Może wystarczy się o pozwolenie na broń, skoro tak cię to niepokoi? – zapytał pochylając się ku mnie Bellarosa.

–Nie uważam tego za najpilniejszą rzecz do załatwienia.

–No cóż, jeśli chcesz być blisko mnie, powinieneś o tym pomyśleć.

–Dlaczego?

–Kto nie nosi przy sobie broni – zacytował – oprócz innych zagrożeń, sprowadza na siebie pogardę. Kto to powiedział?



**–Matka Teresa?**

**–Daj spokój. Machiavelli. Zgadza się? \*...give me your tired, your poor, your huddled masses yearning to breathe free... – fragment napisanego w roku 1903 sonetu Emmy Lazarus, The New Colossus wrytego na piedestale Statui Wolności.**

–Zgadza. Czy będę dostawał żołąd?

–Jasne. Hej, jestem ci winien pięćdziesiąt kawałków. Zgadza się?

–Nie. Nie chcę tych pieniędzy.

–To nie ma znaczenia. Zarobiłeś je.

Kelner postawił przed nami tacę z przekąskami. Nie podawano tutaj dań w żadnej ustalonej kolejności, przynajmniej nie w takiej, którą potrafiłbym przewidzieć.

Bellarosa poinformował mnie o zawartości tacy.

–To jest prosciutto. Znasz je już, prawda? To stracchino, a to taleggio. Ten ser ma w środku robaki, więc nie każę ci go jeść.

–Słucham?

–Robaki. Małe robaczki. Nadają serowi odpowiedni zapach.

Robaków się nie zjada. Przełamuje się ser na pół i wszystkie wypadają.

Widzisz? Widzisz tego małego?

Podniosłem się z miejsca.

–Gdzie tu jest toaleta?

Pokazał kciukiem za siebie.

–Z tyłu.

Poszedłem do toalety, obskurnego małego pomieszczenia i umyłem twarz i ręce. Robaczki?

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Lenny. Stał przy sąsiedniej umywalce i przejechał grzebieniem po swoich tłustych włosach.

–Smakuje panu lunch, mecenasie? – zapytał.

–Nie powinienes przypadkiem pilnować drzwi wejściowych?

–Vinnie ma dwoje oczu – powiedział myjąc ręce. – Pierdolone miasto. Czego się tu nie dotkniesz, to brudne. – Wytarł ręce w brudny ręcznik na rolkach. – Jest pan

**adwokatem Dona, więc nie ma pan przy sobie mikrofonu? Zgadza się?**

**–Mikrofonu? Chyba oszalałeś?**

**–Bynajmniej. Ludzie mają czasem mikrofony. Czasami przychodzą do sracza, żeby stąd wziąć mikrofon, a czasami, żeby go zostawić. Kiedy widzę, jak ludzie idą do sracza podczas rozmowy z Donem, od razu myślę o mikrofonie albo pukawce.**

**–Za dużo chyba oglądasz telewizji.**

**Zachichotał.**

**–No więc? Nie obrazi się pan? – powiedział i wyciągnął ku mnie dwie czyste ręce.**

16 -Złote Wybrzeże t. II Przez chwilę się zastanawiałem, po czym skinąłem głową. Sukinsyn przeszukał mnie bardzo dokładnie.

-W porządku. Tylko sprawdzałem. Każdy robi to, co do niego należy – powiedział.

Położyłem na umywalce ćwierćdolarową monetę.

-To dla ciebie, Lenny. Odwaliłeś kawał dobrej roboty – powiedziałem i wyszedłem. Rany boskie, teraz dopiero poczułem, jak głęboko wdepnąłem w to gówno. Wróciłem do stolika i zobaczyłem, że z tacy usunięty został ser z robakami.

-No. Kazałem go zabrać ze względu na ciebie – oznajmił Frank. – Znalazłeś wychodek?

-Jaki znów wychodek?

Roześmiał się.

-Wychodek. Tak nazywamy sracz w Little Italy. Bo kiedyś, żeby się wysrać, trzeba było wyjść z domu. Rozumiesz?

-Tak, znalazłem – powiedziałem obserwując powracającego do swego stolika Lenny'ego. Siadając rzucił mi spojrzenie bazyliuszka. – To ty go wysłałeś, żeby mnie przeszukał? – zapytałem Bellarosę.

-Nie. Robi to sam. Zrozum, wiem, że Mancuso starał się ciebie skaptować. W zasadzie ufam ci znacznie bardziej niż wielu moim ludziom. Ale kiedy mam pewność, że ten, z kim rozmawiam, jest czysty, lepiej się po prostu czuję.

-Panie Bellarosa, adwokat nie może, nie chce i nigdy nie będzie działać na szkodę własnego klienta.

-Zgadza się. Ale może będziesz chciał napisać książkę – powiedział i roześmiał się.  
- Nieważne. Zabierajmy się do jedzenia.

Ten ser nazywa się manteche. Nie ma żadnych robaków. – Położył kawałek sera na biskwicie o nazwie frisalle i przytknął mi go do ust. – No już. Spróbuj.

Spróbowałem. Smakowało nie najgorzej. Łyknąłem trochę chianti i wrzuciłem do ust czarną oliwkę. Ludzie jedli tutaj w zupełnie inny sposób niż ten, do którego byłem przyzwyczajony. Nikt nie zabierał na przykład starych talerzy i Bellarosa ponownie skosztował smażonych kałamarnic.

**–Mancuso powiedział mi – poinformowałem go – że pobiłeś kiedyś człowieka ołowianą rurką i że połamałeś mu wszystkie kości.**

**Rzucił na mnie okiem znad swojej kałamarnicy.**

–Naprawdę? Dlaczego ci to opowiedział? O co mu chodzi? Chce pewnie, żebyś uważał mnie za łajdaka.

–No cóż, to zdarzenie z pewnością nie stawia cię w najlepszym świetle.

–Mancuso powinien nauczyć się trzymać swój pierdolony język za zębami.

–Nie chodzi o Mancuso, Frank. Chodzi o to, że pobijeś człowieka ołowianą rurką.

–To żaden problem. – Udarł sobie kawałek chleba i zamoczył go w sosie. – Kiedy człowiek jest młody, robi czasami rzeczy, których nie chce, ale musi. Kiedy to się zdarzyło, nie byłem szefem. Szefem był taki jeden facet; powinieneś pamiętać jego nazwisko. Teraz nie żyje.

Ale kiedy mówił mi: "Frank, masz zrobić to i to", robiłem to. Capiśce?

Nie odpowiedziałem.

–Tak samo jest w wojsku i w kościele. Musisz wykonywać rozkazy. Teraz ja wydaję rozkazy, a ja nie lubię mokrej roboty. Czasy się zmieniają. Nie wszyscy już się tak do nas garną. Trzeba lepiej traktować swoich podwładnych.

–Ubezpiecz ich przynajmniej w Blue Cross i Blue Shield.

Uznał to za dobry żart.

–Jasne. Jeśli połamiesz im nogi, dostaną odszkodowanie.

Nie było sensu nadal wałkować incydentu z łamaniem kości; chodziło mi tylko o to, żeby zdawał sobie sprawę, że wiem o jego specyficznym stylu zarządzania. Prawdę mówiąc i mnie zdarzały się chwile, kiedy miałem ochotę zdzielić kogoś z moich wspólników ołowianą rurką, ale dałoby im to tylko pretekst, żeby potraktować mnie w podobny sposób.

To skierowało ponownie moje myśli ku signore Niccolo Machiavellemu.

–Wroga powinno się albo głaskać pod włos, albo zetrzeć z powierzchni ziemi – powiedziałem Frankowi.

Popatrzył na mnie znad swojego jedzenia.

–Zgadza się. Na tym właśnie, mecenasiu, polega problem, kiedy się komuś podpadnie. Cieszę się, że to zrozumiałeś. W moim fachu albo traktuje się ludzi z

szacunkiem, albo się ich likwiduje. Wracając do tej sprawy z pobiciem, przyznaję, nie był to najlepszy pomysł. Facet miał do mnie żal, więc kiedy wydobrzałam, wiedziałem, że muszę to jakoś załatwić. Rozumiesz? Musiałem albo wziąć go pod włos, albo zniszczyć.

Nie zostawia się swojemu losowi ludzi, którzy pałają żądzą zemsty.

–Fundnąłeś mu więc obiad i dałeś podwyżkę.

–Coś w tym rodzaju – powiedział i zamyślił się. – Powiem ci, gdzie tkwi główny błąd w tej całej księżowskiej gadce. To ta bzdura o nadstawianiu drugiego policzka. Zaczynij to tylko robić i wszyscy będą walić cię po gębie. Ale czasami trzeba przyjąć uderzenie. Weźmy choćby takiego Ferragamo. Nie mogę mu w żaden sposób zaszkodzić.

Wszystko, co mogę zrobić, to upewnić się, czy nic na mnie nie ma.

Rozumiesz? A jeżeli nie możesz załatwić faceta, starasz się mu nie podpaść, nawet jeśli gra ci na nerwach.

–Ale ty podpadłeś Ferragamo przez sam fakt, że żyjesz.

Uśmiechnął się.

–Zgadza się. To jego problem. Ale ty podpadłeś mu przez to, że zrobiłeś z niego durnia.

–I co z tego? Facet nie może mi zaszkodzić.

–Może tak, może nie. Jeśli nie może dobrać się do ciebie, dobierze się do twoich przyjaciół. Powinieneś do niego chyba zadzwonić i pogadać. On na to na pewno czeka. Chce, żebyś okazał mu trochę szacunku.

–Ten facet to skończony dupek, Frank, i wie o tym cały Nowy Jork.

–Dlatego właśnie tak bardzo zależy mu na każdej odrobinie szacunku.

Obaj roześmieliśmy się.

–Nie śmieć się – powiedział Bellarosa. – Całkiem możliwe, że facet zostanie któregoś dnia gubernatorem, a może nawet prezydentem.

Bądź dla niego miły. Może mianuje cię prokuratorem generalnym.

W rzeczywistości, stając się adwokatem pana Franka Bellarosy, na długo zamknąłem przed sobą drogę do wszelkich publicznych urzędów.

Nie wspominam o tym dlatego, żebym miał ochotę zostać sędzią, przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego, czy kimś w tym rodzaju, choć każdy adwokat liczy w skrytości ducha na podobne stanowisko. Wybrano mnie kiedyś na stanowisko



**radnego gminy Lattingtown, ale po obecnej przygodzie z pewnością nikt nie wysunie mojej kandydatury przez najbliższe dziesięć lat.**

**–Może rzeczywiście do niego zadzwonisz? Dam ci jego prywatny numer – odezwał się Frank.**

**Przyjrzałem mu się.**

–Frank, po dzisiejszym dniu on nie zamierza wycofać ani jednego punktu aktu oskarżenia.

–Tak, wiem. Ale nie mówię teraz o tym. Myślałem, że zrozumiałeś, co jest grane.

–To znaczy, że chcesz, żebym go przeprosił?

–Nie musisz mu wcale mówić: "Panie Ferragamo, przykro mi, że zrobiłem z pana durnia". Nawet o tym nie wspominaj. Po prostu porozmawiaj z nim przez chwilę o sprawie i okaż mu trochę szacunku.

Przebaczy ci, bo to głupek. Capiśce?

Miałem oto przed sobą klienta, który domagał się, żebym zadzwonił do prokuratora – nie aby zawrzeć z nim umowę albo dobić targu, ale żeby przeprosić go za to, że ośmieszyłem go w sądzie. Mamma mia.

Nie uczyli nas takich rzeczy na studiach prawniczych w Harvardzie.

–Zadzwoń do niego – odparłem. – I będę się wyrażał z szacunkiem o pełnionym przez niego urzędzie.

–No i o to chodzi. Czasami dupki obejmują całkiem ważne urzędy. Myślisz, że każdy rzymski cesarz był wielkim mądrałą? Co robić? Trzeba się dostosować – powiedział i dołał wina. – Można podawać spaghetti Siedzieliśmy tu już całą godzinę i nieźle się już napchałem, w większości chlebem, serem i oliwkami. Były to jak na razie jedyne jadalne rzeczy, które nam podano. Czuję również przeciskające się przez moją dwunastnicę chianti.

–Nie będę jadł spaghetti – oświadczyłem.

–Będziesz. Mają tutaj lingue de passero. Jaskółczy język.

–Nie mogę dostać zamiast tego normalnego kotleta?

–To nie jest prawdziwy jaskółczy język. Tak się nazywa pewien rodzaj spaghetti. Myślisz, że myjemy jaskółcze języki?

–Przecież jecie robaki i owczy mózdzek.

–Nie będziesz jadł robaków. Zjesz jaskółczy język. Ta potrawa pochodzi z małego miasteczka, które nazywa się Faro San Martino i leży w Abruzji – prowincji Brutusa. Mieszkają tam same zakute pały. Ale przyrządzają wspaniałe spaghetti. – Przyłożył

kciuk i palec wskazujący do ust i cmoknął. – Magnifico. Dostaniemy do tego sos puttanesca. Kurewski sos.

–Możesz powtórzyć?

–Kurewski. Kurewski. Nie wiem, dlaczego tak go nazywają.

Może dlatego, że w jego skład wchodzi sardele – powiedział i roześmiał się. – Rozumiesz?

–Tak sędzę.

Podniósł palec i pojawił się kelner. Bellarosa uczynił ledwo dostrzegalny ruch dłonią, kelner strzelił palcami i dwóch pomocników uprzątnęło błyskawicznie stół po pierwszym daniu.

Oparłem się o krzesło i wypilem trochę wody. Zauważyłem, że w lokalu nie było już typków z Wall Street, zniknęli także miejscowi sklepikarze. Pozostali jednak staruszkowie, popijający kawę lub wino.

Obecni byli także mężczyźni, którzy przypominali wyglądem Franka.

Najwyraźniej podawano tutaj dwa rodzaje lunchów: włosko-amerykańskie i włosko-włoskie.

Frank wstał i przeprosił mnie na chwilę, ale nie udał się do wychodka. Podeszedł do stolika, przy którym siedziało czterech mężczyzn w ciemnych garniturach. Powitali go serdecznie, ale z widoczną rezerwą. Do stolika podbiegł kelner z czystym kieliszkiem i jeden z siedzących nalał Bellarosie chianti. Tręcili się wszyscy kieliszkami i usłyszałem, jak mruczą do siebie Salute! Wypili, po czym pochylili się wszyscy nad stołem i zaczęli odmawiać modlitwę. A może robili coś innego.

Dobry Boże, pomyślałem, ci ludzie istnieją naprawdę. Słowo daję, nie dalej jak pięć metrów ode mnie, w restauracji w Little Italy siedziało i piło wino pięciu mafiosów. Żałowałem, że nie zabrałem ze sobą mojej kamery wideo. Popatrzcie, dzieci, to tatuś, który zajada lunch razem z szefem mafii. A teraz szef mafii podchodzi do innego stolika, żeby porozmawiać ze swymi przyjaciółmi gangsterami.

Widzicie? Kamera przesuwana się ku dwóm ludziom siedzącym przy drzwiach. Widzicie tych panów? To goryle. Widzicie drzwi? Zbliżenie drzwi. I z powrotem do stolika, przy którym siedzą członkowie mafii.

Obserwowałem ich bez kamery. Wszyscy rozmawiali rękoma. Jeden z nich zrobił ruch, jakby odpychał coś od siebie, inny dotknął palcem wskazującym swego prawego oka. Bellarosa stukał palcami o blat stołu, a jego sąsiad podparł kciukiem podbródek. Ani razu jednak żaden z nich nie dotknął ani nie pokazał palcem drugiego.

Zauważyłem także, że zachowywali na ogół obojętny wyraz twarzy, coś w rodzaju

**pokerowego oblicza, które przybrał Frank, kiedy tutaj**

wchodził. Co pewien czas ich oczy albo usta mówiły coś, ale nic nie wyrażały.

Nie miałem oczywiście pojęcia, o czym tak ze sobą gawędzą, domyślałem się jednak, że Bellarosa opowiada im o dzisiejszym poranku. Może dowiedzieli się już o jego aresztowaniu z radia lub innych źródeł. Tak czy inaczej, interesowało ich, jak potoczyła się sprawa w sądzie. Obecność Franka u "Giulia" stanowiła punkt na jego korzyść, wzięwszy pod uwagę ewentualne plotki o tym, że dobija właśnie targu z Alphonsem Ferragamo.

Innym tematem mogły być problemy, jakich nastroczała sprawa Carranzy. Potrafiłem sobie już właściwie dokładnie wyobrazić, jak brzmi rozmowa między takimi ludźmi. "Powinniśmy trzymać się razem, jeśli chodzi o cały ten syf z Carranzą – mówił prawdopodobnie Frank. – Mam rację? Nie chcemy, żeby jakaś banda brudasów zmuszała nas do czegoś, czego nie mamy ochoty robić. Mam rację?"

Nie chcemy, żeby pierdolonym federalnym udało się nas poróżnić.

Rozumiecie? Nie życzę sobie, żeby w walce z jakąś bandą brudasów przelana została choć jedna kropla włoskiej krwi. Zgadza się? Nie chcemy, żeby ucierpiały nasze interesy, więc jeśli mamy iść na udry z brudasami, musimy uderzyć ich mocno i szybko. Jasne? Nie będzie żadnych oddzielnych porozumień z brudasami, żółtkami, melanzane, federalnymi, prokuratorem okręgowym i w ogóle z nikim. Capisce?

Jak wam się to podoba? Zatrważające jest to, że jeszcze cztery miesiące temu, gdybym podsłuchiwał przypadkiem taką rozmowę, nie zrozumiałbym z niej nawet połowy. Dzisiaj potrafiłem ją parodiować.

Madonna mia. Co się ze mną dzieje? Nie wiedziałem dokładnie, ale było to coś interesującego.

Spojrzałem w stronę drzwi, gdzie przy swoim stoliku dla zakochanych siedzieli Lenny i Vinnie. Z tego, co widziałem, nie wypili dotychczas ani kropli alkoholu, żłopali za to kawę, filiżanka za filiżanką, i dzieliła ich od nas ściana tytoniowego dymu. Włosi wspaniale rozwinęli w sobie zdolność wielogodzinnego siedzenia przy stole, jedzenia i gadania. Lenny i Vinnie wydawali się w pełni ukontentowani faktem, że siedzą i nic nie robią – nic poza obserwowaniem drzwi. Domyślałem się jednak, że obserwacja drzwi jest być może najważniejszą rzeczą, jaką ktokolwiek zajmował się w tej chwili u "Giulia". Obaj przyglądali się także uważnie pozostałej klienteli,

a zwłaszcza czterem mężczyznom siedzącym razem z Frankiem. Ale wszyscy maruderzy byli najwyraźniej dobrze znani kelnerom i wydawało mi się mało prawdopodobne, by któryś z nich zerwał się z miejsca i sięgnął po broń. Nie, najważniejszym obiektem obserwacji pozostawały zdecydowanie drzwi. Więc żeby pomóc Vinniemu i Lenny'emu, ja także wlepiłem w nie oczy.

Po mniej więcej piętnastu minutach Frank powrócił do naszego stolika.

–Przepraszam, mecenasie. Miałem tam interes do załatwienia.

–Nie ma sprawy.

Podano spaghetti i Frank zabrał się rażno do dzieła.

–Co powiesz? Pachnie jak kurewska cipka? Tak czy nie? – zapytał.

–Bez komentarza.

Wbiłem widelec w spaghetti, które rzeczywiście przypominało wyglądem małe ptasie języki. Właściwie było całkiem smaczne, podobnie jak dodany do niego sos rybny, ale ja byłem już najedzony.

Bellarosa oderwał kawałek chleba, zanurzył go w moim spaghetti i podsunął mi do ust.

–Masz. Nie krępuj się.

Kiedy jem lunch z Susan, nie znoszę nawet tego, gdy zabiera mi coś z talerza. Teraz jednak wziąłem podany mi przez Bellarosę kawałek chleba i zjadłem go.

Spojrzałem na zegarek.

–Nie chcesz zadzwonić do swojej żony?

–Później.

–Może powinniśmy ją zawiadomić, że zostałeś zwolniony?

–Nic jej nie będzie.

–Była bardzo przygnębiona, kiedy rano wyszedłeś.

–Naprawdę? Kazałem jej zostać na górze. Widzisz? Przestają się, kurwa, słuchać.

**–Tak czy inaczej, jeden telefon...**

**–Co sprawiło, że pomyślałeś o mojej żonie? Sos puttanesca? – zapytał i roześmiał się. – Czy dlatego przypomniałeś sobie, że trzeba zadzwonić do mojej żony?**

**Nie miałem zamiaru podejmować tego tematu. Dłubałem widelcem w spaghetti i popijałem chianti.**



Bellarosa wymiół do czysta swoją porcję i nałożył sobie trochę z mojego talerza.

–Nic nie jesz. Nie smakuje ci?

–Jestem najedzony – powiedziałem i spojrzałem na zegarek.

Było wpół do trzeciej. – Obiecałem twojej żonie, że przyprowadzę cię do domu dzisiaj po południu – poinformowałem go.

–Tak? A po co? Powiedziałem ci już, przez jakiś czas musimy się tutaj zatrzymać. Jest więcej ludzi, z którymi muszę pogadać. Chcę także, żebyś ty pogadał później z dziennikarzami. Wynająłem całkiem przyjemny apartament w "Plaza". Zatrzymamy się tam na kilka dni.

–Kilka dni?

–Tak.

–Frank, ja mam swoją firmę, mam umówione spotkania.

–Cóż ci mogę na to powiedzieć, mecenasie? Wdepnąłeś w to gówno. Ale rób, jak chcesz.

Szczerze mówiąc, nie miałem akurat żadnych umówionych spotkań i żadnych spraw, które spędzałyby mi sen z powiek. A za pięćdziesiąt kawałków mogłem ostatecznie spędzić kilka dni w mieście.

Bellarosa zabrał resztę spaghetti z mojego talerza.

–Poślemy do domu po ciuchy. Twoja żona spakuje dla ciebie trochę rzeczy.

–Tak sądzisz?

–Jasne. Po to właśnie są żony.

Może twoja, ale nie moja, rodaku.

Machnął ręką w stronę talerzy, jakby chciał, żeby same zabrały się i poszły, ale zaraz jak spod ziemi pojawił się kelner i sprzątnął je ze stołu.

Inny kelner przyniósł nam dwie sałatki.

–Oczyść sobie podniebienie – powiedział Frank.

**Spryskał olejem i octem swoją zieleninę, a potem zrobił to samo z moją.**

**–Jedz – rozkazał.**

**Podłubałem widelcem w salaterce.**

**–Zjedz to. Ocet pomaga w trawieniu.**

**–A olej?**

**–Pomaga się wysrać. Mangia.**

**Uznałem, że z sałatką jeszcze się jakoś uporam, ale potem koniec.**

–Nie zamawiaj dla mnie nic więcej – powiedziałem.

–Musisz zjeść główne danie. Po coś tutaj przyszedł? – odparł Bellarosa i zawołał kelnera. Przez chwilę rozmawiali po włosku na temat głównego dania, a potem Frank odwrócił się do mnie.

–Na co masz ochotę? Na cielęcinę? Kurczaka? Wieprzowinę?

Coś z ryb?

–Na jagnięcy mózdzek.

–Naprawdę? – Powiedział coś do kelnera. Usłyszałem słowo capozella i obaj się roześmieli. Frank obrócił się do mnie. – Mają tutaj taką potrawę z kurczaka. Niezbyt ostra i lekko strawna. Co ty na to? Podzielimy się.

–Dobrze.

Bellarosa złożył zamówienie, po czym odwrócił się do mnie.

–Makaroniarz wchodzi do pizzerii, no wiesz, i mówi do sprzedawcy: "Proszę o całą pizzę". "Na ile pociąć kawałków – na osiem czy dwanaście?" – pyta tamten. A na to makaroniarz: "Dwanaście.

Jestem strasznie głodny". – Bellarosa roześmiał się. – Dwanaście kawałków. Jestem strasznie głodny. Rozumiesz?

–Tak sędzę.

–Opowiedz jakiś kawał.

–W porządku. Biały anglosaski protestant wchodzi do sklepu Brooks Brothers., Ile kosztuje ten trzyczęściowy garnitur w prążki?" "Sześćset dolarów." "W porządku, biorę." Wróciłem z powrotem do swojej sałatki.

Bellarosa odczekał kilka sekund.

–To wszystko? – zapytał. – To ma być dowcip? Nie ma w tym nic śmiesznego.

–I o to chodzi.

–O co chodzi?

**–Anglosascy protestanci nie są wcale śmieszni.**

**Minęło trochę czasu, zanim to do niego dotarło.**

**–Ale ty jesteś – powiedział w końcu,**

**–Tylko według ciebie.**

**Wzruszył ramionami.**

**Popijaliśmy przez chwilę w milczeniu, a potem podano małe, lekko strawne danie z kurczaka, którym z pewnością dałoby się obdzielić połowę sali w "The Creek". Bellarosa nałożył je na talerze.**

–Ta potrawa nazywa się pollo scarpañello. Powtórz.

–Pollo... scarp...

–Scarpañello. Kurczak po szewsku. Może wymyślił ją jakiś szewc. Może przyrządzają ją ze starych podeszew.

Obróciłem widelcem kawałek mięsa.

–Co to za część kurczaka?

–To kielbaska. Dodają do tego także kielbaski. Smażą je na oliwie z czosnkiem i grzybami.

–Nie brzmi to jak coś lekko strawnego.

–Jedz. Spróbuj tego. To cykoria z oliwą i czosnkiem. Czosnek usunie ci z ust zapach cipci. Musisz spróbować wszystkiego.

Zawołałem kelnera.

–Proszę mi przynieść butelkę z bąbelkami i szklankę lodu.

–Tak jest, proszę pana.

Przyniósł mi zieloną butelkę opatrzoną nalepką Pellegrino i postarałem się zapamiętać tę nazwę na przyszłość. Nalałem sobie i wypilem duszkiem trzy szklanki, jedna za drugą, podczas gdy Frank pałaszował kurczaka z kielbaskami.

Zbliżało się wpół do czwartej, ale lokal wcale się nie wyludniał.

Opuścili go co prawda czterej znajomi Franka, ale staruszkowie wciąż siedzieli przy swojej kawie i gazetach. Dwóch z nich właściwie pochrapywało. Vinnie i Lenny nadal pili kawę i palili papierosy.

Nagle otworzyły się drzwi i zamarłem w bezruchu. Do środka wszedł mężczyzna, mniej więcej pięćdziesięcioletni, w ciemnoszarym garniturze i ciemnych okularach. Drugi, młodszy, który pojawił się za jego plecami, szybko omiótł oczyma stoliki. Trąciłem w ramię Bellarosę, który pobiegł za moim spojrzeniem. Rzuciłem okiem na Vinniego i Lenny'ego. Kontrolowali sytuację. Dwaj przybysze zorientowali się, że są obserwowani przez goryli Bellarosy, i nie robili żadnych gwałtownych ruchów, stali tylko przy drzwiach i patrzyli na mnie i Franka. Kelnerzy zamarli w bezruchu przyglądając się bacznie swoim sznurowadłom. Kilku staruszków obdarzyło intruzów

leniwym spojrzeniem, po czym powróciło do swojej kawy i gazet.

Frank wstał od stolika, a człowiek w okularach zdjął je i ruszył w stronę Bellarosy. Spotkali się na środku restauracji i objęli, ale widziałem, że bardziej z potrzeby okazania sobie szacunku niż z powodu przepelniających ich uczuć.

Frank i jego kumpel usiedli przy pustym stoliku, a wspólnik przybysza, jego goryl, czy kim tam był w rzeczywistości, dosiadł się do Vinniego i Lenny'ego – na ich wyraźne zaproszenie. Popatrzyłem znowu na Franka i jego paesanos. Jeśli obserwuje się tych ludzi dość długo, można się łatwo domyślić, jaki między nimi panuje porządek dziobania. Rozumie się samo przez się, że od czasu śmierci Cezara Augusta nie narodził się nikt, kto dorównałby Frankowi Biskupowi Bellarosie, ten jednak człowiek wydawał się tego bliski. Podał co prawda Bellarosie ogień, dał jednak przy tym wyraźnie do zrozumienia, że nie czyni tego z radością i następnym razem może nie podać.

Bellarosa, ze swojej strony, dmuchał mu specjalnie dymem w nos.

Obaj się uśmiechali, ale nie chciałem, żeby ktokolwiek uśmiechał się do mnie w ten sposób.

Po pięciu minutach przybysz poklepał Bellarosę po ramieniu, tak jakby gratulował mu zwolnienia. Obaj wstali, znowu się objęli, po czym przybysz razem ze swym gorylem opuścił restaurację.

Pojawili się z powrotem kelnerzy. Nieco się odprężyłem, zauważyłem jednak, że Lenny i Vinnie wzrok mają nadal utkwiony w drzwiach.

Frank usiadł naprzeciwko mnie.

–To był facet, który kiedyś dla mnie pracował.

–Ten, któremu połamałeś kości?

–Nie, inny.

–Jego twarz wydawała mi się znajoma. Czy nie publikują czasami w gazetach jego zdjęcia?

–Czasami.

Spostrzegłem, że Frank Bellarosa jest lekko wytrącony z równowagi. Najwyraźniej przybysz powiedział coś, co nie przypadło mu do smaku. Ale cokolwiek to było, prawdopodobnie nigdy nie miałem się tego dowiedzieć.

Zdawałem sobie mimo to świetnie sprawę, że Don Bellarosa prowadzi pewną polityczną rozgrywkę, urabia na swoją korzyść opinię i że czeka go jeszcze kilka publicznych wystąpień. Miałem również wrażenie, że to wszystko trochę go

**irytowało, ale musiał po prostu przez to przejść. Mógł nie iść na kompromis i nie dobijać targu z wymiarem sprawiedliwości, z Murzynami, Latynosami i kobietami.**

**Ale musiał układać się z własnymi ziomkami, przestrzegając przy tym delikatnej równowagi w okazywaniu siły i szacunku.**



–Pijesz capuccino, espresso czy po amerykańsku? – zapytał otrząsnąwszy się z zamyślenia.

–Po amerykańsku.

Dał znak kelnerowi i złożył zamówienie. Podano kawę, a zaraz potem pojawił się kelner z tacą ciastek. Mamma mia, nie byłem już w stanie przełknąć nawet własnej śliny. Ale poczciwy, stary Frank, grając jednocześnie rolę kelnera i gospodarza, uparł się, że musi opisać mi dokładnie każdy rodzaj ciasteczek, zanim zdecyduję się na dwa z nich. Nie było sensu odmawiać, wybrałem więc dwa, on jednak wytłumaczył mi zaraz, że to wcale nie te, na które mam ochotę, i podsunął mi dwa inne.

Pojadałem ciasteczka, które okazały się wystarczająco smaczne, bym spróbował znaleźć dla nich trochę miejsca. Udało mi się również wypić całą kawę. Pogwarzyliśmy z Patsym, z Luciem i jego żoną, a także z kilkoma kelnerami. Wszyscy wydawali się zadowoleni, że posiłek zakończył się bez rozlewu krwi.

–Smakowało panu wszystko? – zapytał uśmiechając się do mnie Patsy.

–Bardzo.

–Niech pan wpadnie tu kiedyś na kolację. Okay?

–Z pewnością.

Lucio i jego żona nie byli tacy rozmowni jak Patsy, ale próbowałem pociągnąć ich trochę za język.

–Jak długo ma pan ten lokal? – zapytałem.

–Należał do mego ojca, a przedtem do mego dziadka – odparł Lucio.

–Pański dziadek miał na imię Giulio?

–Tak. Przybył z tamtej strony i założył restaurację, dokładnie w tym miejscu. – Pokazał na podłogę.

–W którym roku?

–Nie wiem – wzruszył ramionami. – Może w 1900.

Kiwnąłem głową. Naprawdę sprytny restaurator na tym jednym zbudowałby swoją sławę wywieszając wielki szyld: "GIULIO" – w rękach tej samej rodziny od roku

**1899". (Zawsze lepiej brzmi data z ubiegłego stulecia). Odniosłem jednak wrażenie, że Lucia interesuje wyłącznie dzisiejszy utarg i to, czy jedzenie smakowało gościom. Może dlatego odnosił sukcesy – podobnie jak jego ojciec i dziadek.**

Wyszedł do nas szef kuchni, ubrany w swój fartuch i czapkę, którą zdjął jednak z głowy, zanim pokłonił się Donowi. Dobry Boże, ktoś mógłby pomyśleć, że Bellarosa jest gwiazdorem filmowym albo kimś w tym rodzaju. Właściwie był kimś o wiele ważniejszym; był mafiosem, a ci ludzie, pochodzący, jak podejrzewałem, w większości z Sycylii i Neapolu, mieli dobrą pamięć.

Gawędziliśmy jeszcze przez minutę. Wszyscy oni nie mogli się zachowywać w bardziej przyjazny sposób, i choć nie było mi nieswojo, czułem się trochę obco. Lucio i inni domyślali się oczywiście, że jestem kimś ważnym; nie byłem jednak Włochem. Czułem się trochę jak amerykański turysta we Włoszech.

W końcu Frank wstał od stołu, wstałem więc i ja. Ktoś odsunął za nami krzesła. Wszyscy wykrzywiali usta w uśmiechu i wstrzymywali kurczowo oddech. Jeszcze minuta i padną wszyscy martwi na ziemię.

Uświadomiłem sobie, że jedyną rzeczą, której nie podano nam podczas tego posiłku, był rachunek. Ale w tym samym momencie Frank wyjął z kieszeni spodni plik pieniędzy i zaczął rzucać na stół pięćdziesięciodolarowe banknoty: pięćdziesiąt dla szefa kuchni, pięćdziesiąt dla Patsy'ego i po pięćdziesiąt każdemu z trzech kelnerów.

Zawołał nawet dwóch młodych pomocników i dał im po dziesiątaku.

Facet wiedział, jak dbać o ludzi. Wszyscy wymieniliśmy wzajemne pozdrowienia powtarzając bez końca buongiorno i ciao.

Lenny wyszedł już jakiś czas temu, a Vinnie czekał na zewnątrz sprawdzając ulicę. Zobaczyłem, jak Lenny podjeżdża cadillakiem pod drzwi wejściowe. Vinnie otworzył drzwiczki samochodu, kiedy jeszcze znajdowaliśmy się w restauracji. Bellarosa wyszedł na ulicę, dopiero kiedy Vinnie dał mu znak przez szklane drzwi. Ja podążyłem w ślad za nim, choć w niezbyt bliskiej odległości. Frank wślizgnął się na tylne siedzenie, a ja usadowiłem się koło niego. Vinnie wskoczył na przedni fotel, a Lenny natychmiast ruszył z miejsca. I ten człowiek chciał tutaj przyprowadzić nasze żony? Żartujesz chyba, Frank.

Chociaż z drugiej strony, może podejmował tylko normalne środki ostrożności? Innymi słowy, może nawet w okresach pokoju Frank Bellarosa zachowywał po prostu zwykłą przezorność. Może jednak zabiorę tutaj Susan na wspólną kolację z Bellarosami. Nic złego nam się nie stanie. Prawda?

Ruszyliśmy na południe Mott Street, która jest ulicą jednokierunkową, podobnie jak wszystkie wąskie uliczki w tej starej części Manhattanu.

**–Hotel "Plaza" – powiedział Bellarosa do Lenny'ego.**

**Lenny skręcił na zachód w Canal Street, a potem na północ w Mulberry. Przejeżdżaliśmy przez sam środek Little Italy. Bellarosa wyglądał przez okno ładując swoje włoskie akumulatory. Nie byłem tego pewien, ale podejrzewałem, że nigdy nie przemierzał swobodnie tych uliczek; podobnie jak gwiazdor filmowy, oglądał świat przez przyciemnione szyby limuzyny. Było mi go w jakimś sensie żal.**

**Obrócił się do mnie.**

**–Zastanawiałem się właśnie – powiedział. – Może masz już dosyć tego gówna?**

**Może tak. Może nie. Nie odpowiedziałem.**

**–Zrobiłeś to, czego od ciebie potrzebowałem. Wydostałeś mnie z paki. Wiesz co? Dalej może pociągnąć tę sprawę Jack Weinstein. On potrafi sobie radzić z tymi szumowinami w biurze prokuratora.**

**–To zależy od ciebie, Frank.**

**–No właśnie. To się może zrobić całkiem nieprzyjemne. A ty masz swoich klientów, masz miłą rodzinę. Masz przyjaciół. Ludzie nie dadzą ci spokoju. Powinieneś wyjechać razem z żoną na jakieś miłe wakacje.**

**Cóż za sympatyczny człowiek. Zastanawiałem się, o co mu naprawdę chodzi.**

**–Decyzja należy do ciebie, Frank – odpowiedziałem.**

**–Nie, teraz należy do ciebie. Nie chcę, żebyś miał wrażenie, że cię naciskam. Z Weinsteinem nie będę miał żadnych problemów.**

**Chcesz, to podrzucę cię na stację. Pojedziesz do domu.**

**Domyśliłem się, że nadeszła pora, bym albo się wycofał, albo złożył przysięgę na wierność. Facet był urodzonym manipulatorem.**

**Ale ja przecież o tym wiedziałem.**

**–Może masz rację – powiedziałem. – Może już mnie nie potrzebujesz.**

**Poklepał mnie po ramieniu.**

**–Racja. Ja ciebie nie potrzebuję. Ja cię lubię.**

**Właśnie kiedy myślałem, że go rozgryzłem, okazało się, że jest wprost przeciwnie. Pojechaliśmy więc do hotelu "Plaza".**

**Nie wiedziałem tylko, że tej nocy ma zamiar złożyć nam wizytę połowa nowojorskiej mafii.**

Rozdział 29 "Plaza" jest moim ulubionym hotelem w Nowym Jorku i cieszyło mnie, że mamy z Frankiem jakieś wspólne gusta, tym bardziej że czekał mnie tu kilkudniowy pobyt.

Zajęliśmy obszerny apartament z trzema sypialniami, z widokiem na Central Park. Członkowie personelu wydawali się doskonale wiedzieć, kim jesteśmy – czy może raczej kim jest Bellarosa – nie dawali jednak tego po sobie tak wyraźnie poznać jak paesanos u "Giulia"; nikt też nie sprawiał wrażenia specjalnie podenerwowanego.

Frank Bellarosa, Vinnie Adamo, Lenny Patrelli oraz John Whitman Sutter zasiedli w obszernym salonie apartamentu. Obsługa hotelowa dostarczyła kawę, sambukę oraz specjalnie dla mnie wodę mineralną Pellegrino (która, jak odkryłem, stanowi świetne antidotum na włoskie obżarstwo). Była za dwadzieścia piąta i domyśliłem się, że czekamy wszyscy na popołudniowe wydanie wiadomości.

–Chcesz może zadzwonić do swojej żony przed piątą? – zapytałem Bellarosę.

–A, prawda. – Podniósł słuchawkę stojącego przy nim na stoliku aparatu i wykręcił numer. – Anna? O... – zachichotał. – Co tam porabiacie? Nie poznałem twojego głosu. Tak, u mnie wszystko w porządku. Jestem w "Plaza". – Słuchał przez kilka sekund. – Zgadza się. Zwolniony za kaucją. Specjalnie się nie targowali. Twój mąż wspaniale się spisał. – Mrugnął do mnie i znowu słuchał przez jakąś chwilę. – Tak, pojechaliśmy potem na mały lunch, spotkać się z ludźmi. Teraz mam pierwszą okazję, żeby zadzwonić... Nie, nie budź

jej. Niech śpi. Zadzwonię później. – Znowu słuchał. – Zgadza się.

Jest tutaj ze mną. – Skinął głową, słuchając czegoś, co powiedziała moja żona. – Chcesz z nim porozmawiać? – Spojrzał na mnie. – W porządku – powiedział do telefonu. – Może zadzwoni do ciebie później. Słuchaj, musimy się tu przez kilka dni zatrzymać. Zapakuj dla niego trochę ciuchów i powiedz Annie, że chcę mój niebieski i szary garnitur, te, które uszyłem sobie w Rzymie... Tak. Poza tym koszule, krawaty, bieliznę i co tam jeszcze. Dajcie to wszystko Anthony'emu.

Niech tutaj z tym kogoś przyśle. Dziś wieczorem. W porządku?...

Włącz wiadomości. Wysłuchaj, co mają do powiedzenia, ale nie wierz w ani jedno słowo... No właśnie. – Roześmiał się i przez moment słuchał. •- No właśnie... Dobrze... Dobrze... Do zobaczenia. – Odłożył słuchawkę. – Twoja żona przesyła

wyraży miłości – powiedział, jakby mu się nagle coś przypomniało.

Komu?

Rozległo się pukanie do drzwi. Vinnie podskoczył z fotela i zniknął w przedpokoju. Lenny wyciągnął pistolet i położył go sobie na kolanach. W chwilę potem w salonie pojawił się kelner, tocząc przed sobą wózek, na którym stała butelka szampana, taca z serami i wypełniona owocami patera.

–Wyraży uszanowania od kierownika, sir – oświadczył.

Bellarosa skinął na Vinniego, który dał kelnerowi napiwek. Ten uklonił się i wyszedł.

–Chcesz trochę szampana? – zapytał mnie Bellarosa.

–Nie.

–Chcesz zadzwonić do swojej żony i powiedzieć jej, czego potrzebujesz?

–Nie.

–Wykręcę za ciebie. Masz... – podniósł słuchawkę. – Możesz iść do sypialni, żeby nikt nie słyszał. Masz, wykręcę ci jej numer.

–Później, Frank. Zostaw ten telefon.

Wzruszył ramionami i odłożył słuchawkę.

Vinnie włączył telewizor. Nie sądziłem, że będzie to wiadomość dnia, ale jak się okazało, nie miałem racji: Na ekranie ukazał się prezenter, Jeff Jones.

–A oto nasza wiadomość dnia – oświadczył. – Dzisiaj wczesnym rankiem w swoim pałacu na Long Island aresztowany został

17 -Złote Wybrzeże t. II przez FBI Frank Bellarosa, człowiek uważany za szefa największego z pięciu nowojorskich klanów przestępczych. Akt oskarżenia zarzuca mu morderstwo podejrzanego o handel narkotykami Kolumbijczyka, Juana Carranzy, zabitego w mafijnym stylu na parkingu Garden State czternastego stycznia tego roku.

Jeff Jones mówił dalej, czytając to, co ukazywało się na teleprompterze, tak jakby wszystko to było dla niego absolutną nowością. Skąd oni biorą takich palantów?

–Ku zaskoczeniu wszystkich – opowiadał Jones – sędzia Sarah Rosen zwolniła Bellarosę za kaucją w wysokości pięciu milionów dolarów. Nastąpiło to po złożeniu przez adwokata oskarżonego, Johna Suttera, oświadczenia, w którym osobiście udzielił on alibi swemu klientowi.

Jones rozwodził się nad tym przez chwilę. Zastanawiałem się, czy Susan przypomina sobie ranek czternastego stycznia. Choć właściwie nie miało to znaczenia, ponieważ wiedziałem, że będzie mnie kryła po to, żebym ja z kolei mógł kryć Franka Bellarosę. "Jakież splątane tkamy pajęczyny..."\*, i tak dalej. Pan Salem uczył mnie tego w szóstej klasie. – Łączymy się teraz – oznajmił Jeff Jones – z Barrym Freemanem, jego wóz transmisyjny zaparkowany jest tuż obok posiadłości Bellarosy na Long Island. Halo, Barry?

Na ekranie ukazała się brama Alhambry.

–W tym właśnie miejscu mieszka Frank Bellarosa – zakomunikował nam Barry Freeman. – Wiele położonych na Long Island posiadłości Złotego Wybrzeża nosi własne nazwy, a ten dom, otoczony dwustoma akrami łąk i ogrodów, nazywa się Alhambra. Przed główną, prowadzącą na teren posiadłości bramą, dokładnie za moimi plecami, stoi budka strażników, a właściwie stróżówka, w której mieszka dwóch, a może więcej członków osobistej ochrony Bellarosy.

Kamera objęła stróżówkę.

–Naciskaliśmy dzwonek – mówił Freeman – krzyczeliśmy i dobijaliśmy się do bramy, ale nikt nie chce z nami rozmawiać.

Kamera powędrowała w głąb długiego podjazdu i na ekranie ukazał się niewyraźny zarys rezydencji. \* Oh, what tangled webs we weave. – fragment poematu Waltera Scotta Marmion.



–W tym pałacu – mówił Freeman – mieszka Frank Biskup Bellarosa wraz ze swoją żoną Anną.

–A co to ma, kurwa, wspólnego ze sprawą? – usłyszałem głos Franka.

Freeman opowiadał przez chwilę o życiu, jakie prowadzi bogaty i nikczemny mieszkaniec Alhambry.

–Przyjaciele i mass media nadali Bellarosie przydomek Dandy Don – stwierdził.

–Niech lepiej nikt nie próbuje nazwać mnie tak w oczy •nasrożył się Bellarosa.

Vinnie i Lenny zachichotali. Najwyraźniej podniecała ich telewizyjna popularność szefa.

Na ekranie ukazał się znowu Freeman.

–Zapytaliśmy kilka osób mieszkających przy tej prywatnej drodze, co sądzą o swoim sąsiedzie, ale żadna z nich nie miała nam nic do powiedzenia. Nie wydaje nam się, by Don wrócił już do domu z Manhattanu, czekamy więc, żeby kiedy tylko się pojawi, spróbować z nim porozmawiać.

–Długo sobie poczekasz, ty dupku – stwierdził Bellarosa.

–Oddaję ci głos, Jeff – powiedział Barry Freeman.

–Dzięki, Barry – oświadczył prezenter, Jeff Jones. – Połączymy się z tobą natychmiast, kiedy tylko pojawi się Frank Bellarosa.

Tymczasem przedstawimy to, co miało miejsce dzisiaj rano przed budynkiem Sądu Federalnego na Manhattanie. Relacjonuje Jenny Alvarez.

Na ekranie ukazała się, zarejestrowana na taśmie wideo, relacja z dzisiejszego poranka: Frank Bellarosa i John Sutter zbiegali po schodach sądu, a dzicy reporterzy przekrzykując się wzajemnie zadawali im pytania.

Mój niebieski krawat od Hermesa wydawał się nieco wyblakły, włosy miałem trochę rozczochrane, ale z mojej twarzy emanował dyskretny prawniczy optymizm. Spostrzegłem teraz, że wścibska reporterka, z którą miałem ciężką przeprawę na dole schodów, przyczepiła się do mnie już przy drzwiach sądu, choć wcale jej wtedy nie zauważyłem. Na trzymanym przez nią mikrofonie widniała nazwa stacji – tej samej, której wiadomości właśnie oglądałem. A zatem była to Jenny Alvarez.

**-Panie Sutter? Panie Sutter? Panie Sutter? – wydzierała się w moją stronę.**

Najwyraźniej zafascynowałem ją od pierwszego wejrzenia. Sama, trzeba to przyznać, też nie wyglądała najgorzej.

Ani ja, ani Frank nie powiedzieliśmy wiele schodząc ze schodów i pokazywano teraz scenę na chodniku, gdzie na chwilę udało się nas osaczyć. Ekran wypełnił wielki Cezar – stał na tle majestatycznych, klasycznych kolumn sądu, wypuszczał kłęby dymu ze swego cygara, dowcipkował i zgrywał się przed kamerami. Zobaczyłem teraz, że u szczytu schodów ustawili się za nami w szeregu wszyscy strażnicy, wśród nich mój stary kumpel, Wyatt Earp.

–Powiniennem się trochę odchudzić – zwierzył się nam trzem Frank. – Patrzcie, jak mi się napina marynarka.

–Wygląda pan wspaniale, szefie – oznajmił Vinnie.

–Znakomicie. Mucha nie siada – zgodził się Lennie.

Nadeszła moja kolej.

–Rzeczywiście mógłbyś zrzucić z pięć kilo – powiedziałem.

–Serio? Może to tylko marynarka?

Z powrotem spojrzałem na ekran. Słysząc było jakieś pytania i odpowiedzi, ale w gruncie rzeczy wszystko to stanowiło czystą rozrywkę, uliczny happening, zaimprovizowany teatr. W którymś jednak momencie kamerzysta Pani Wścibskiej dał zbliżenie jej twarzy.

–Panie Sutter – nie dawała mi spokoju. – Pan Ferragamo ma pięciu świadków, którzy widzieli Franka Bellarosę w miejscu przestępstwa. Czy twierdzi pan, że wszyscy oni kłamią? Czy może to pan jest kłamcą?

I głupi John dał się sprowokować. – Świadkowie Ferragamo kłamią i on o tym dobrze wie. Cała ta rozprawa jest sfingowana, jej motywem jest osobista vendetta, a rezultatem ma być wojna między...

–Wojna między kim? – chwyciła mnie za słowo Pani Wścibska. – Między rywalizującymi ze sobą gangami?

I tak to szło.

Frank nie odezwał się ani słowem, ale miałem wrażenie, że wolałby, aby nic z tego nie dotarło do Little Italy, Little Colombia, Little Jamaica, Chinatown i innych dzielnic,

**których egzotyczni mieszkańcy – z ich wielkimi pistoletami, wielkimi pretensjami i skrajną, ogarniającą ich paranoją – mogliby dokonać czynu, określanego mianem morderstwa popełnionego w związku z handlem narkotykami.**

Znowu spojrziałem na ekran. Zniknęły z niego klasyczne kolumny i zgromadzony przed budynkiem sądu tłum; tło stanowił teraz szary granit, a na pierwszym planie widać było panią Alvarez, która wyglądała, jakby dopiero co wróciła z randki na Manhattanie. Zmieniła swój elegancki poranny kostium na obcisłą, czerwoną sukienkę w stylu "przeleć mnie" i podnosiła do ust bulwiasty, falliczny przedmiot.

Myślicie może, że wsadziła go sobie do buzi? Nie. Przemówiła do niego.

–A oto Stanhope Hall. A właściwie ogradzający posiadłość mur i wznosząca się wysoko brama. Tuż za nią stoi stróżówka, z której próbowała nas stąd przed chwilą przepędzić jakaś starsza kobieta.

To śmieszne, ale nie rozpoznałem w pierwszej chwili własnego domu. Dziwne; czasami zdarza nam się w pełni uwierzyć w magiczny świat telewizji, kiedy jednak widzimy w niej znajome miejsca lub osoby, nie wydają nam się one prawdziwe – inna jest perspektywa, przygaszone kolory. Samo pomniejszenie obrazu zmienia wszystko nie do poznania. Nie mogłem jednak zamykać dłużej oczu na rzeczywistość – na ekranie widniała brama do Stanhope Hall.

Przez dziesięć sekund pani Alvarez pokazywała nam widoczki.

–Nie możemy stąd zobaczyć liczącego pięćdziesiąt pokoi pałacu \_ powiedziała – wiadomo jednak, że tam właśnie mieszkają John Whitman Sutter i Susan Stanhope Sutter.

Było to oczywiście wierutne łgarstwo. Susan mieszkała kiedyś w pałacu, ale dawno już zstąpiła na ziemię. Muszę napisać do pani Alvarez.

Tak czy inaczej, Jenny Alvarez uraczyła nas wykładem na temat błękitnej krwi, wyższych sfer oraz arystokratycznego pochodzenia Susan i dopiero potem przystąpiła do rzeczy.

–Dlaczego John Sutter, szanowany, posiadający bogatych i ustosunkowanych przyjaciół i klientów adwokat ze starej, mającej swą siedzibę przy Wall Street firmy Perkins, Perkins, Sutter Reynolds broni Franka Biskupa Bellarosę w sprawie o morderstwo? Jakie związki łączą tych dwóch ludzi, te dwie rodziny? Czy John Sutter rzeczywiście widział Franka Bellarosę rankiem czternastego stycznia, w tym samym czasie, kiedy jak twierdzi Alphonse Ferragamo, Bellarosa zamordował Juana Carranzę w New Jersey? Czy dlatego Sutter podjął się tej sprawy? Czy też chodzi o coś więcej?

Jasne, że o coś więcej, Pani Wścibska.



–Skąd wytrzasnęli o tobie cały ten chłam, mecenasie? – zapytał Bellarosa.

–Sam im przesłałem wszystkie materiały.

–Naprawdę? – Żartuję, Frank.

Pani Alvarez była wciąż na wizji. Skąd wytrzasnęli cały ten chłam?

Od pana Mancuso oraz pana Ferragamo. To był ich czas zapłaty.

Pocałuj nas teraz w dupę, Sutter, mówili. Dziękuję wam, chłopcy.

–Hej, kto jest w końcu najważniejszą gwiazdą w tym pierdolonym przedstawieniu? – zapytał pół żartem, pół serio Bellarosa. – Nie wiedziałem, że taka z ciebie szycha.

Wstałem i ruszyłem w stronę swojej sypialni.

–Dokąd idziesz?

–Do wychodka.

–Nie możesz poczekać? Nie dowiesz się, co o tobie mówią.

–Nic na tym nie stracę.

Przeszedłem z sypialni do łazienki. Ściągnąłem marynarkę i umyłem twarz i ręce.

–O mój Boże...

Cóż, pomijając osobiste powody, które mnie tutaj sprowadziły, fakt pozostawał faktem. Frank Bellarosa nie zamordował Juana Carranzy.

–Niewinny – powiedziałem na głos. – Niewinny.

Popatrzyłem w lustro i pochwyciłem własne spojrzenie.

–Spierdoliłeś sprawę, Sutter. Och, tym razem naprawdę spierdoliłeś sprawę, Złoty Chłopcze. No dalej, przyznaj, że to prawda.

–Nie – odpowiedziałem. – Zrobiłem to, co musiałem zrobić.

To, co chciałem. To tylko kolejne życiowe doświadczenie, John.

Pouczające doświadczenie. Czuję się świetnie.

**–Zobaczmy, co powiesz za tydzień albo dwa.**

**Jestem jedynym znanym mi człowiekiem, który potrafi skłonić mnie do zmiany zapatrywań, odwróciłem się więc od lustra nie czekając, aż powiem coś, czego potem mógłbym żałować.**

**Zdjąłem z siebie ubranie rzucając je na podłogę łazienki i wszedłem pod prysznic. Och, to było wspaniałe. Trzy najlepsze rzeczy w życiu to stek z polędwicy, prysznic i pieprzenie. Puściłem kaskadę wody na swoje umęczone ciało.**



Do jutra rana trąbić będą o tym wszystkie gazety. Daily News, wierny kronikarz mafii, zrobi z tego wiadomość dnia, podobnie jak Post. Nieco mniej miejsca poświęci sprawie USA Today, relację zamieści także Wall Street Journal, chociaż informacja ta, sama w sobie, nie będzie miała dla nich żadnego znaczenia. Bałem się tylko, żeby nie uznali, że głównym bohaterem nie jest wcale Frank Bellarosa, lecz John Sutter z firmy Perkins, Perkins, Sutter Reynolds. Właściwie mogli mnie zetrzeć z powierzchni ziemi. Biada mi!

A jeśli do jutra rana znajdzie się jeszcze ktoś w Lattingtown i Locust Valley i innych enklawach Złotego Wybrzeża, kto nie przeczytał o całej sprawie w jednej z wyżej wymienionych gazet, nie usłyszał o niej w radiu i jakimś cudem nie oglądał żadnego z nadawanych na dwunastu nowojorskich kanałach serwisów informacyjnych, to może sobie o wszystkim przeczytać w miejscowej, wychodzącej na Long Island gazetce, Newsday, ze specjalnym uwzględnieniem roli lokalnego bohatera – Johna Suttera. Wyobraziłem sobie tytuł:

## **BUBEK ZE ZŁOTEGO WYBRZEŻA**

### **UNURZANY PO USZY**

**W GÓWNIE.** No, może nie wyrażą tego dokładnie tymi słowami.

W naszym zdecydowanie republikańskim hrabstwie Newsday jest gazetą lekko lewicującą i wyżywa się dokładając wymierającej arystokracji.

Ta historia bardzo im się spodoba.

Próbowałem przewidzieć, jak zareagują moi współnicy, personel oraz dwie sekretarki na wieść o tym, że pan Sutter rozszerzył zakres problematyki, którą zajmuje się firma, na sprawy kryminalne. Podstawiłem głowę pod płynący z prysznicza strumień wody i wyobraziłem sobie moją matkę, jak gdzieś w zapadłym zakątku Europy przerzuca International Herold Tribune szukając przygnębiających wiadomości o głodujących dzieciach, represjach politycznych etc. i natrafia przypadkiem na mały artykulik o panu Franku Bellarosie, przywódcy nowojorskiej mafii. "Czy to nie ten sam człowiek, który mieszka obok naszego syna, jakże on ma na imię?" – zapyta matka. "Tak sądzę – odpowie ojciec. – O, zobacz, tutaj jest wzmianka o Johnie Sutterze. To musi być nasz John." "Tak, to musi być on – odrzeknie matka. – Czy wspominałam ci już o tej uroczej, małej kafejce, którą widziałam wczoraj na Montmartrze?" Bardziej zainteresowani będą oczywiście moi przyjaciele z "The Creek". Mogłem wyobrazić sobie Lestera Remsena, Martina

Vander263 meera, Randalla Pottera, Allena DePauwa i kilku innych, jak siedzą w klubie kiwając przemądrzale głowami albo potrząsając nimi z niedowierzaniem i w ogóle robiąc wszystko, co ich zdaniem należy czynić w takich wypadkach. "Gdyby tylko John miał silniejszy charakter -powie Lester. – Tak mi żal Susan i dzieciaków." Jim i Sally Roosevelt byli prawdziwymi przyjaciółmi i ludźmi, którzy nie ulegają towarzyskim przesądom. Mogłem się założyć, że wygarną mi prosto w oczy, co o mnie myślą. Dlatego będę ich unikał przez co najmniej miesiąc.

Byli poza tym moi krewni, wujowie i ciotki, jak choćby Cornelia i Arthur, moi zbyt liczni kuzyni ze swoimi małżonkami i cała masa głupców, z którymi musiałem się stykać z powodu takich uroczystości, jak Wielkanoc, Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie, wesela i pogrzeby. Cóż, od Święta Dziękczynienia dzieliło mnie jeszcze trzy miesiące, nie spodziewałem się w najbliższym czasie żadnych wesel i nikt nie zamierzał stuknąć w kalendarz (choć po moim dzisiejszym występie wcale bym się nie zdziwił, gdyby zrobiła to ciotka Cornelia).

Nie przejmowałbym się, gdyby wszyscy się mnie wyrzekli, bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że każą mi sobie bez przerwy opowiadać, jak wygląda życie mafijnego adwokata.

No i byli oczywiście Carolyn i Edward. Cieszyłem się, że ich uprzedziłem i teraz, kiedy dowiadawali się o sprawie z innych źródeł, mogli powiedzieć: "Tak, o wszystkim wiemy i popieramy naszego ojca, cokolwiek robi". Wspaniałe dzieciaki! Niemniej jednak domyślałem się, że Carolyn, choć na zewnątrz zachowa spokój, w głębi duszy będzie się martwić. Ta dziewczyna wszystko w sobie tłamsi. Edward założy album z wycinkami. W gruncie rzeczy nie interesują mnie jednak opinie dzieci, moich własnych nie wyłączając.

Co się tyczy mojej siostry, Emily, sama przeszła już kryzys wieku średniego, odrzuciła tradycyjne wartości wyższej klasy średniej i znalazła się po drugiej stronie. Wiedziałem, że kiedy przybędę do celu, będzie tam na mnie czekała, zainteresowana, niech ją Bóg błogosławi, nie tym, jaką miałem podróż, ale tym, że w ogóle do niej dotarłem.

Ethel Allard. Tu czekał mnie twardy orzech do zgryzienia. Gdybym miał postawić duże pieniądze, powiedziałbym, że w skrytości ducha ucieszy ją fakt, że kolejny przedstawiciel wyższych sfer okazał się moralnym degeneratem. Zwłaszcza że jestem nim ja, nigdy bowiem nie

potrafiła znaleźć skazy na mojej świetlistej zbroi. Nigdy nie biję żony (chyba że sama mnie o to prosi), nie mam długów u sklepikarzy, nie używam stróżówki, żeby rżnąć kobiety, chodzę do kościoła, rzadko bywam pijany i traktuję Ethel bardzo dobrze. "Ale – zapytałaby – ile dobrych uczynków spełnił pan ostatnio, panie Johnie Sutter?"

Niewiele, Ethel. No, dobra.

Zadowolony jestem tylko, że nie doczekał tego George, na pewno bowiem nie przeżyłby całej tej historii. A gdyby przeżył, sam bym go pewnie uśmiercił, wyprowadzony z równowagi jego wyniosłą dezaprobatą.

Ale, jak sami wiecie, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Wielebnego Hunningsa na przykład głęboko uszczęśliwił fakt, że ujawniłem w końcu swe prawdziwe oblicze – okazując się poplecznikiem mafii, handlującym prawdopodobnie narkotykami, żeby mieć za co kupić wódkę. Myśl o tym bardzo mi się spodobała. Jego szczęście było moim szczęściem. Nie mogłem się doczekać najbliższej niedzieli, kiedy położyłem na kościelnej tacy kopertę z tysiącem dolarów.

Były także kobiety; wśród nich Sally Grace Roosevelt, która tak się interesowała tym, co Susan sądzi o Don Bellarosie. Była Beryl Carlisle, która, jestem tego pewien, zerwie z siebie teraz wilgotne majtki, kiedy tylko pojawię się w zasięgu jej wzroku. No i inne kobiety, jak choćby apetyczna Terri, która po całej tej historii traktować mnie będzie jeszcze bardziej serio.

Aha, powiecie, nareszcie zbliżamy się do sedna. Być może. Zajmijmy się zatem przez pół sekundy Charlotte i Williamem Stanhope'ami.

Mam ich w dupie.

A Susan? Nie, nie winię jej za to, co się stało, za to, że znajdowałem się w tej chwili w hotelu "Plaza" w jednym apartamencie z oskarżonym o morderstwo gangsterem, na którego życie dybało około dwustu ludzi. Nie mogę winić jej za to, że zdecydowałem się zostać adwokatem Bellarosy. I za to, że oboje, wbrew naszej woli, staliśmy się obiektem zainteresowania mass mediów, które, nawiasem mówiąc, potrwa tak długo, aż dowiedzą się o nas absolutnie wszystkiego zupełnie nieznanymi ludziami. Nie, nie mógłbym jej za to winić. Sami jednak widzicie, że w przeważającej mierze to ona właśnie ponosi winę za to wszystko.

To znaczy nie, nie winę, ale coś w rodzaju odpowiedzialności.

**W wielkim skrócie wyglądało to tak: Susan uznała Franka Bellarose za kogoś interesującego, a co za tym idzie bardziej męskiego od**

własnego męża. Jej mężowi, którego szczerze obchodzi to, co myśli o nim własna żona, wcale się to nie spodobało. Jej mąż jest zazdrosny.

Jej mąż uważa, że jest tak samo jak Frank Bellarosa mężczyzną w każdym calu. W niektórych dziedzinach przewyższa go nawet. Ale takich rzeczy się nie mówi. Takie rzeczy trzeba udowodnić.

W związku z tym, kiedy tylko nadarzyła się odpowiednia okazja -dzięki temu samemu Frankowi Bellarosie – mąż, okazując więcej dumy własnej niż zdrowego rozsądku, zaangażował się w działalność, która doprowadziła go wprawdzie do zguby, ale dzięki której mógł wszystkim udowodnić to i owo.

Czy w tej chwili żałowałem tego, co zrobiłem? Prawdę mówiąc, ani trochę. Prawdę mówiąc, od dawna nie czułem się tak znakomicie.

Wiedziałem, że tak będzie.

Wyszedłem spod prysznic i wytarłem się ręcznikiem. Na zaparowanym lustrze narysowałem palcem wielką uśmiechniętą gębę.

–Uśmiechaj się, głupcze. Masz, czego chciałeś.

To była szalona noc. Non stop dzwonił telefon, ludzie wchodzili i wychodzili. Don przed nikim się nie ukrywał – po prostu przeniósł swój dwór z Alhambry do hotelu "Plaza".

Dzwonili również dziennikarze; o miejscu pobytu Bellarosy dowiedzieli się, jak sądzę, od personelu hotelowego i niektórych zaproszonych gości. Bellarosa jednak nie rozmawiał z żadnym z nich i zakazał mi składania jakichkolwiek oświadczeń aż do rana. Kilku przedsiębiorczych, żeby nie powiedzieć zuchwałych reporterów, dotarło do samych drzwi apartamentu. Każdego z nich witał zabawną formułką Vinnie, pełniący u Don Bellarosy obowiązki oficjalnego wykidajły.

–Możesz tu wejść – mówił – ale już stąd nie wyjdiesz.

Nikt nie przyjął zaproszenia. Mógłbym jednak przysiąc, że słyszałem głos wyklócającej się z Vinniem Jenny Alvarez.

Kelnerzy urządzili zaimprovizowany bar i przez całą noc donosili jedzenie\* Bez przerwy był włączony telewizor, nastawiono go na kanał nadający wyłącznie wiadomości. Co pół godziny powtarzali tam z małymi wariacjami historię Bellarosy. W potężnym gwarze nie bardzo docierał do mnie głos sprawozdawców, ale regularnie,

**co pół godziny, widziałem Bellarosę i Suttera zbiegających po schodach sądu.**

Mężczyźni, którzy odwiedzali apartament, byli w większości wasalami wielkiego padrone, kapitanami i porucznikami jego własnej organizacji. Obejmowali go i całowali, pomniejsi zaś zadowalali się uściskiem dłoni. Widziałem, jak kilku starszych składało mu przy tym głęboki ukłon. Zjawili się tutaj oczywiście po to, żeby złożyć hołd swemu władcy. Nic dziwnego, pomyślałem; tak zwane imperium Bellarosy przypominało trochę instytucję udzielnego średniowiecznego księstwa, którego zasady funkcjonowania rozumieli wszyscy, mimo że nigdzie nie były spisane – gdzie przysięgało się na śmierć i życie, szerzyły się dworskie intrygi, a do władzy dochodziło się poprzez więzy krwi, consensus albo zabójstwo.

Wszyscy obecni ubrani byli w charakterystyczne dla mafii garnitury – niebieskie, szare i czarne, niekiedy w prążki. Pozornie nie różniły się one prawie niczym od tych, które widzi się na Wall Street, a jednak były inne. Koszule mieli przeważnie z błyszczącej satyny bądź jedwabiu, a krawaty w różnych odcieniach szarości. W oczy bił blask złotych bransoletek, kosztownych zegarków, a nawet wysadzanych drogimi kamieniami szpilek do krawatów. Nie było w tym pomieszczeniu jednego małego palca (z wyjątkiem obu moich), na którym nie tkwiłby pierścionek z brylantem.

Otoczający mnie mężczyźni mówili przeważnie po angielsku, co jakiś czas jednak któryś z nich wtrącał coś po włosku; jedno albo dwa zdania, których oczywiście nie rozumiałem. Żałowałem ośmiu lat, które zmarnowałem ucząc się francuskiego. Do czego może się komuś przydać francuski? Żeby obrażać kelnerów? Udało mi się to kiedyś w Montrealu, lecz to inna historia.

Ale nie wszyscy, którzy pofatygowali się do apartamentu w hotelu "Plaza", zrobili to, żeby złożyć hołd i ponowić przysięgę lojalności.

Kilku mężczyzn zjawilo się tutaj z własną świtą; mieli nieprzyjemne twarze, a ich uściski i pocałunki były wyłącznie na pokaz. Przybyli tutaj, żeby zasięgnąć języka. Była wśród nich czwórka, do której Bellarosa dosiadł się u "Giulia", był także mężczyzna o stalowych oczach, który pojawił się potem razem ze swoim aniołem stróżem.

Bellarosa zniknął z każdym z nich w swojej sypialni – wychodzili stamtąd po dziesięciu lub piętnastu minutach, czule objęci, nie potrafiłem jednak powiedzieć, kto kogo chędożył.

W obszernym salonie znajdowało się bez przerwy około stu

mężczyzn. Jak już wspomniałem, ludzie wchodzili i wychodzili, oceniałem jednak, że do godziny dziesiątej musiało się tu przewinąć od dwustu do trzystu osób. Ciekawe, jak wygląda w tej firmie przyjęcie bożonarodzeniowe.

Bellarosa prawie nie zwracał na mnie uwagi, upierał się jednak, abym został w pokoju, jak przypuszczam, po to, by mnie pokazać, oswoić ze swoimi ludźmi, a może dlatego, że chciał mi zaimponować. Mimo to bardzo rzadko przedstawiał mnie komukolwiek, a kiedy już o tym pomyślał, nikt mnie czule nie obejmował ani nie całował, co najwyżej zaszczycał zadziwiająco słabym uściskiem dłoni. Ale wcale mnie to nie peszyło. Prawdę mówiąc, zauważyłem, że dla tych ludzi prezentacja wcale nie jest taka ważna i że bardzo często w ogóle o niej zapominają.

Wydawało mi się to dziwne, ale być może tylko mnie, obciążonego nabytymi w moim kręgu przyzwyczajeniami, zdumiewało podobne zachowanie. W moim stadzie i w ogóle wśród Amerykanów z wzajemnej prezentacji robi się wielką ceremonię i bywałem już w swoim życiu przedstawiany czyimś pokojówkom i psom. Co się tyczy Bellarosy i jego ziomków, powściągliwość w tym względzie wynikała, jak sądzę, z głęboko zakorzenionego nawyku milczenia i konspiracji. Wykluczało to z pogawędki wiele tematów, na przykład, jak się kto nazywa.

Pogodziłem się już z faktem, że to przyjęcie tylko dla Włochów, ale nagle pojawił się Jack Weinstein i przyznam, że nigdy tak mnie nie uradował widok żydowskiego adwokata. Weinstein ruszył prosto do mnie i przedstawił się. Nie sprawiał wrażenia zazdrosnego na gruncie zawodowym.

–To była dobra robota – powiedział. – Mnie nigdy nie udałoby się go z tego wyciągnąć.

–Niech pan zrozumie, panie Weinstein... – zacząłem.

–Jack. Jestem Jack. Tobie mówią Jack czy John?

–Może być John – odparłem, mimo że właściwie mówią mi panie Sutter. – Zrozum, Jack, nie sądzę, żebym powinien dalej zajmować się tą sprawą. Sprawy kryminalne to dla mnie coś nowego; nie wiem po prostu, jakie są układy przy Foley Square.

Poklepał mnie po ramieniu.

–Nie musisz się o to martwić, przyjacielu. Przez cały czas będę w pobliżu. Ty po prostu będziesz czarować sędziego i ławę przysięgłych.

Spodobasz im się.





Uśmiechnąłem się grzecznie i przez chwilę mu się przyglądałem.

Wysoki i szczupły, miał jakieś pięćdziesiąt lat, ciemne piwne oczy i nos, który równie dobrze mógł uchodzić za rzymski jak i semicki; w gruncie rzeczy Weinstein można było od biedy wziąć za jednego z paesano. Giovanni Weinstein.

–Nie powinieneś mówić tego o Ferragamo – poinformował mnie. – Że zachowuje się jak wariat. Szaleńcy nie lubią, kiedy mówi im się prosto w oczy, że są niespełna rozumu.

–Mam go w dupie.

Weinstein uśmiechnął się.

–A swoją drogą, wiesz chyba- kontynuowałem – że Frank nie wierzy, żeby doszło do procesu. Uważa, że go albo... no wiesz... zanim jeszcze do niego dojdzie, albo Ferragamo wycofa zarzuty z braku dowodów.

Weinstein obejrzał się najpierw przez jedno, potem przez drugie ramię.

–O to właśnie tutaj chodzi – powiedział cicho. – Po to ten cały spęd. Trzeba zadbać o opinię publiczną. On musi pokazać, że się nie boi, że ma poparcie swoich współpracowników i że wciąż potrafi efektywnie kierować firmą. – Uśmiechnął się. – Capisce?

–Capisco.

Weinstein zachichotał. Bawiliśmy się świetnie.

–Nie zamierzam cię też wcale ganić – oznajmił – za to, co powiedziałaś tej reporterce na schodach sądu, bo sam, kiedy zacząłem pracować dla tych ludzi, nie potrafiłem nieraz ugryźć się w odpowiedniej chwili w język. Ale w ogóle to musisz uważać. Ci ludzie mają swoją własną odmianę angielskiego. Weź na przykład takie słowa, jak "przyjaciół" i "pogadać". Jeśli ktoś tutaj powie ci: "Hej, przyjacielu, wyjdźmy stąd na chwilę, mam z tobą do pogadania", nie wychodź. To samo, jeśli powie "Chodźmy się przejść". Capisce?

–Jasne. Ale...

–Uczulam cię po prostu na te sprawy – różne wyrażenia, niuanse, dwuznaczności i tak dalej. Nie przejmuj się też ich minami i tym, co wyprawiają z rękoma. I tak nigdy tego nie zrozumiesz. Po prostu uważnie słuchaj, miej oczy szeroko otwarte, nie

**gestykuluj, zachowaj kamienne oblicze i mów jak najmniej. Jesteś przecież białym anglosaskim protestantem. Chyba to potrafisz.**

–Zgadza się. Mam poza tym wrażenie, że o wszystkim tym wiedziałem już wcześniej.

–To dobrze. Swoją drogą, cieszę się, że byłeś dzisiaj rano w pełnej gotowości. Z prokuratorem stanowym, a nawet federalnym można się na ogół dogadać i wtedy nie trzeba przychodzić po kogoś takiego jak Bellarosa do domu, czy na przykład aresztować go na ulicy albo w innym miejscu publicznym. Rozumiesz, kiedy klient jest w średnim wieku, ma pieniądze i wpływy, prokurator może zawsze wypracować jakiś kompromis z adwokatem. Dobrowolne oddanie się w ręce sprawiedliwości. Ale czasami skubańcy lubią pokazać pazury – jak wtedy, kiedy aresztowali tych typków z Wall Street i wyprowadzili ich w kajdankach z własnych gabinetów. To było chamstwo.

Wzruszyłem ramionami. Można na to spojrzeć z dwóch punktów widzenia – w zależności od tego, czy człowiek siedzi przed telewizorem, czy ma na rękach kajdanki.

–Byliśmy całkiem pewni, że przyjdą po Franka we wtorek, więc nie zdziwiłem się specjalnie, kiedy zadzwonił do mnie zeszłej nocy nasz informator i powiedział, że aresztowanie wyznaczono na siódmą rano.

–Jaki informator?

–W biurze Ferragamo... och... zapomnij, że to usłyszałeś.

–Jasne. – Zebrałem myśli. Ten sukinsyn naciął mnie na pięćdziesiąt dolców. Nie mogłem w to uwierzyć. Facet, który rozrzucał wokół siebie pięćdziesięciodolarowe banknoty i oferował mi niebotyczne honoraria za to, że ruszyłem dla niego małym palcem, potrafił jednocześnie orznać mnie na pięćdziesiąt dolców. Nie chodziło oczywiście o pieniądze, lecz o jego obsesyjną żądzę, żeby zawsze wygrywać, żeby imponować ludziom. Ten sam facet zaprezentował mi swoje alibi na dwie minuty przed aresztowaniem, a następnie kazał o nim zapomnieć, dając równocześnie jasno do zrozumienia, że nie zamierza spędzić ani jednego dnia w pace. Prawdziwy wąż.

–Widzisz, w czym rzecz? – powiedział Weinstein. – Wydawało mi się, że o tym wiesz. Nie sposób rozgryźć tych ludzi, John. A mówią, że to żydzi są chytry. Do diabła, ten facet... ale dosyć na ten temat.

–Czy grozi mu realne niebezpieczeństwo? – zapytałem. – Pytam, bo nie chcę się znaleźć w polu ostrzału, i nie mówię tego w przenośni.

Weinstein znowu rozejrzał się dookoła.

–Panowie Latynosi nigdy go nie dostaną – powiedział – i prawdę mówiąc, wcale się do tego nie palą, ponieważ przysporzyłoby im to wielu kłopotów. Trzeba się z tego cieszyć, ponieważ ich karabiny maszynowe mają zdecydowanie zbyt duży rozrzut. Niemniej – jego oczy powędrowały po zatłoczonym salonie – może go załatwić i zapewne załatwi ktoś z tutaj zgromadzonych, jeżeli uznają, że Bellarosa jest słaby i że jego dalsze pozostawanie u steru więcej przynosi szkody niż pożytku. Wyobraź sobie stado młodych głodnych rekinów – dodał – i pomyśl, że największy z nich jest ranny i zostawia za sobą krwawy ślad. Ile dałbyś mu życia? Rozumiesz?

Skinąłem głową.

–Nie chodzi o to, że oni go nie lubią – stwierdził Weinstein – ani że nie zrobił tego, co do niego należało. Ale to już historia. A ich interesuje to, co jest dzisiaj, i to, co będzie jutro. Najważniejsze dla tych ludzi, mecenasie, jest nie dać się zamknąć i zarabiać pieniądze.

–Nie. Nie dać się zamknąć i zarabiać pieniądze – poinformowałem go – to są dla nich sprawy drugorzędne. Najważniejszy dla tych ludzi jest szacunek. Wrażenie, jakie robią. Jaja. Capisce?

Uśmiechnął się i poklepał mnie pieszczotliwie po policzku.

–Masz rację. Szybko się uczysz. Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miał chwilę czasu. Mamy do przedyskutowania pewne sprawy. Zjemy razem lunch.

–Wszędzie tylko nie w Little Italy.

Roześmiał się, obrócił i pozdrowił kogoś po włosku. Objęli się, ale nie pocałowali. Stanę się kimś takim mniej więcej za rok, jeśli nie będę uważał.

Z drugiej strony zbliżył się do mnie bardzo niski i bardzo gruby facet. Szturchnął mnie brzuchem, zanim zdążyłem się cofnąć.

–Hej, znam cię – powiedział. – Pracujesz dla Jimmy'ego, zgadza się? Dla Jimmy'ego Wargi? Zgadza się?

–Zgadza.

Wyciągnął w moją stronę grubą, spoconą dłoń.

–Paulie.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

**-Johnny – powiedziałem. – Johnny Sutta.**

**-No. Jesteś chrześniakiem Aniella, zgadza się?**

**-Zgadza.**

–Co u niego?

–Wszystko w porządku.

–Jeszcze się nie przekręcił na raka?

–Hmm... nie...

–Twardy z niego sukinsyn. Widziałeś go na pogrzebie Eddiego Loulou w zeszłym miesiącu? Byłeś tam?

–Jasne.

–No. Wchodzi Aniello, a z buzi została mu tylko połowa. Jak go zobaczyła ta pierdolona wdowa, o mało nie padła martwa do trumny, do swojego Eddiego. – Roześmiał się i ja także. Ha, ha, ha. – Widziałeś to? – zapytał.

–Mówiono mi o tym, kiedy tam przyszedłem.

–No. Jezu, dlaczego on nie nosi jakiejś szarfy czy czegoś w tym rodzaju?

–Wspomnę mu o tym przy najbliższym lunchu.

Rozmawialiśmy przez kolejne kilka minut. Jestem na ogół dobry w koktajlowych pogawędkach, trudno mi było jednak znaleźć jakiś wspólny temat z Pauliem, zwłaszcza że brał mnie za kogoś innego.

–Grasz w golfa? – zapytałem go.

–W golfa? Nie. Dlaczego?

–To bardzo relaksująca gra. – Że jak? Potrzebujesz relaksu? Po co? Będziesz się relaksował, jak się zestarzejesz. Jak wyciągniesz kopyta. Co tam porabia Jimmy?

–Zapierdala jak zwykle.

–Tak? Niech lepiej pilnuje własnego tyłka. To nie moja sprawa, ale na jego miejscu nie cisnąłbym tak bardzo żółtków. Wiesz?

–Sam mu to mówię.

–Tak? To dobrze. Można cisnąć żółtków do pewnego momentu, wiesz, ale jeśli im się w ogóle nie popuszcza, puchną im wtedy te ich małe żółte jaja i robią się

**niebezpieczni. Jimmy powinien o tym wiedzieć.**

**–Powinien.**

**–No właśnie. Słuchaj, przekaż Jimmy'emu pozdrowienia od Pauliego.**

**–Dobra.**

**–Przypomnij mu o tym lokalu przy Canal Street, którym musimy się zająć.**



–Przypomnę.

Paulie poczłapał dalej, żeby zderzyć się z kimś innym. Kiedy ruszyłem w stronę baru, ktoś klepnął mnie po ramieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem przed sobą rosnącego dżentelmena o fizjonomii człowieka z Cro-Magnon.

–O czym gadał z tobą Gruby Paulie? – zapytał.

–Pierdolił jak zwykle.

–Co to znaczy "pierdolił jak zwykle"?

–A kto chce wiedzieć?

–Słuchaj, przyjacielu, jeśli nie wiesz, kurwa, kim jestem, to zapytaj o mnie innych.

–Dobra – odparłem, przysunąłem się do baru i nalałem sobie sambuki. Jak to się stało, pomyślałem z oburzeniem, że ktoś mógł wziąć mnie, Johna Whitmana Suttera, za jednego z tych ludzi?

Pochwyciłem w wiszącym na ścianie lustrze własne spojrzenie. Nic się nie zmieniłem. Ale być może z ust zalatywało mi czosnkiem i sosem puttanesca.

–Co to za facet? – zapytałem siedzącego przy barze młodzieńca, wskazując głową dżentelmena z Cro-Magnon.

Spojrzał najpierw na tamtego, potem na mnie.

–Nie wiesz, kto to jest? Przyjechałeś z Chicago, czy spadłeś z księżycyca?

–Zapomniałem okularów.

–Naprawdę? Jeśli nie wiesz, kto to jest, to widocznie nie musisz wiedzieć.

Brzmiało to jak włoska odmiana haiku, zmieniłem więc temat.

–Grasz w golfa?

–Nie – odparł młodzieniec. – To Sally Da-Da – szepnął pochylając się ku mnie.

–No właśnie.

W moim życiu pojawiła się trzecia osoba o imieniu Sally. Pierwsza była Sally Grace;

**następna Sally z "Gwiezdnego Przybysza"; a teraz ten dżentelmen. Jeśli dobrze przypomniałem sobie relację pana Mancuso, nadano mu przy chrzcie imię Salvatore, najwyraźniej jednak nie opanował wiele słownictwa od czasu, kiedy przestano wysadzać go na nocnik. Jak się miewa mały Sally? Da-da-da. Sally chce e-e?**

**–To szwagier Biskupa – powiedziałem.**

18 -Złote Wybrzeże t. II – Zgadza się. Sally ożenił się z siostrą żony Biskupa. Jak ona ma na imię?

-Anna.

-Nie, pytam, kurwa, o jej siostrę.

-Maria, zgadza się?

-Tak... nie... zresztą nieważne. Dlaczego pytasz o Sally'ego Da-Da?

-Powiedział, żebym o niego kogoś zapytał.

-Tak? A to dlaczego?

-Chciał wiedzieć, o czym gadałem z Grubym Pauliem.

-Z Grubym Pauliem nie powinieneś gadać o niczym.

-Dlaczego?

-Jeśli jeszcze nie wiesz, to lepiej się domyśl.

-Gruby Paulie za dużo kłapie dziobem – zaryzykowałem.

-Dobrześ to ujął. Gruby Paulie powinien pilnować własnego tyłka.

-Jimmy Warga też powinien pilnować własnego tyłka – powiedziałem.

-A to dlaczego?

-Za mocno ciśnie żółtków.

-Znowu? Co padło na mózg temu dupkowi?

-Za bardzo się słucha swego chrześniaka.

-Którego chrześniaka?

-Aniella. Nie, Johnny'ego. Nie... – musiałem sobie przypomnieć, jak to szło.

Młodzieniec roześmiał się.

-Myślałem, że chodzi ci o jego chrześniaka, Joeya. To ja jestem Joey. A ty jak się

nazywasz?

–John Whitman Sutter.

–Jak?

–Jestem adwokatem Biskupa.

–A... tak... widziałem cię w telewizji. Jack poszedł w odstawkę?

–Nie, nie poszedł w odstawkę. Ja zajmuję się tylko stroną oficjalną.

–Tak słyszałem. Czego chcesz od Sally'ego Da-da?

–Po prostu porozmawiać.

–Powinieneś trzymać się od tego faceta z daleka. Niech Biskup z nim rozmawia.

–Capisco. Grazie.

Podszedłem do okna i spojrzałem na Central Park. W zasadzie wszystkie koktajle są takie same. Zgadza się? Trzeba po prostu wlać w siebie parę drinków, trochę się rozluźnić i pokręcić po salonie.

Jedyną rzeczą, która różniła to skromne party od innych, był brak kobiet. Ja jednak uświadomiłem sobie właśnie, że wcale mi ich nie brakuje. Capisce?

Około dziesiątej wieczorem pojawił się niski i krępy dżentelmen o owłosionych dłoniach pchając przed sobą wózek z czterema sztukami bagażu, z których jedna przypominała moją walizkę firmy Lark. Lenny skierował mężczyznę (którego, jak się wydawało, dobrze znał) do odpowiednich sypialni. Zastanawiałem się, czy spakowanie moich rzeczy sprawiło przyjemność Lady Stanhope.

Zadowolony byłem, że poprosił ją o to Frank, nie ja.

O jedenastej ktoś przełączył telewizor na kanał ogólnokrajowy i podkręcił głoś. Ludzie zaczęli milknąć i gromadzić się wokół odbiornika.

Wiadomością dnia było wciąż aresztowanie Franka Bellarosy, ale główny temat stanowiła tym razem konferencja prasowa Alphonse'a Ferragamo, o której wspomniano krótko już wcześniej. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że biuro prokuratora federalnego energicznie potępi rozpętaną przez prasę nagonkę i wtrącanie się dziennikarzy w prywatne życie Don Bellarosy i jego adwokata. Czas na konkretne wiadomości.

Po kilku słowach wygłoszonych przez prezentera na ekranie ukazał się sfilmowany przez innego kamerzystę obrazek z sądowych schodów.

Bellarosa pozdrawiał wszystkich uniesionymi rękoma, a ja byłem opalony, wysportowany, wysoki i elegancki. Nic dziwnego, że kochają mnie kobiety.

Trwało to przez mniej więcej pięć sekund, a następnie przenieśliśmy się do zatłoczonej sali konferencyjnej, najprawdopodobniej gdzieś wewnątrz kompleksu przy Foley Square. Kamera powędrowała ku podium i pokazała z bliska Alphonse'a Ferragamo, który sprawiał teraz wrażenie bardziej opanowanego niż wtedy, gdy widziałem go ostatnim razem. Kilka osób koło mnie poczyniło szereg interesujących spostrzeżeń na temat prokuratora federalnego, takich

jak: "matkojebca", "parówa", "gnojek" i "ciota". Całe szczęście, że nie było wśród nas matki Alphonse'a.

Pan Ferragamo poprzekładał jakieś papiery, po czym odczytał przygotowane wcześniej oświadczenie.

–Dzisiaj rano o godzinie siódmej czterdzieści pięć -zaczął – agenci Federalnego Biura Śledczego, wspomagani przez Federalny Zespół do Zwalczenia Zorganizowanej Przystępczości, w skład którego wchodzi miejska i stanowa policja Nowego Jorku oraz funkcjonariusze Agencji do Zwalczenia Narkotyków, działając w ścisłej koordynacji z policją hrabstwa Nassau, dokonali aresztowania Franka Bellarosy w jego rezydencji na Long Island.

Mógłbym przysiąc, że widziałem tam tylko Mancuso. Domyślam się jednak, że wszyscy pozostali czekali grzecznie przy Grace Lane i chcieli teraz, żeby o nich wspomnieć.

–Aresztowanie to jest ukoronowaniem siedmiomiesięcznego śledztwa, prowadzonego przez policję stanu New Jersey wspólnie z biurem prokuratora federalnego oraz FBI – ciągnął Ferragamo. – Przedstawione ławie przysięgłych dowody, na podstawie których sporządzono akt oskarżenia i wydano nakaz aresztowania Franka Bellarosy, wskazują na niego jako na zabójcę podejrzanego o handel narkotykami Kolumbijczyka Juana Carranzy.

Ferragamo mówił dalej supłając kolejne węzły na przeznaczonym dla mego klienta stryczku\* a ja zastanawiałem się, który z naszych gości zarzuci mu go na szyję. Z miejsca, w którym stałem, obserwowałem twarz Bellarosy – nie widać było na niej żadnych emocji, niepokoju ani zakłopotania. Znowu słuchał grającej w jego głowie Traviaty. Dostrzegłem jednak parę osób, które wydawały się zakłopotane. Inni sprawiali wrażenie zatopionych w myślach, a jeszcze inni ukradkiem spoglądali na Bellarosę.

–Podczas zamkniętej sesji świadkowie oskarżenia zeznali – zaciskał dalej pętlę Ferragamo – że w organizacji Bellarosy trwa właśnie walka o władzę i że morderstwo Juana Carranzy nie było usankcjonowane ani przez nią, ani przez pozostałe cztery nowojorskie klany przestępcze. Zamachu dokonał osobiście Bellarosa popierany przez jedną z frakcji własnego klanu, frakcji, która pragnie odzyskać kontrolę nad handlem narkotykami i wyeliminować z niego Kolumbijczyków, gangi karaibskie i wschodnioazjatyckie.

Oskarżenie o morderstwo – ciągnął dalej Ferragamo – jest pierwszym z wielu, które wytoczymy w walce przeciwko zorganizowanej przestępczości. W śledztwie zajęliśmy się również innymi skierowanymi przeciwko Frankowi Bellarosi zarzutami (w tym oskarżeniem o wymuszanie) opierając się na ustawie RICO. Śledztwem objęte są także inne osoby z otoczenia Bellarosy.

To ostatnie nie przysporzyło mu oklasków. Z jednej strony, wszyscy zdawali sobie sprawę, że Ferragamo wali na oślep, czekając, kto pierwszy wpadnie w panikę i wyskoczy z krzaków – z drugiej jednak, każdy z tutaj obecnych miał w kryminale jakiegoś swojego krewnego lub przyjaciela. Mancuso nie mylił się mówiąc, że siły mafii zostały poważnie nadwątlone ostatnimi wyrokami. We wszystkich pięciu rodzinach byli jednak tacy, którzy widzieli w tym znakomitą sposobność do dokonania czystki. Precz ze starymi, niech żyją młodzi. Temu samemu celowi służą wojny między gangami.

A skoro już o wojnach gangów mowa, Ferragamo właśnie miał na ten temat coś do powiedzenia.

–Biuro prokuratora federalnego, a także inne federalne, stanowe i miejskie instytucje powołane do ochrony ładu i porządku obawiają się, że walka o objęcie kontroli nad dystrybucją narkotyków może doprowadzić do wybuchu nowego rodzaju wojny gangów (wojny wewnątrz różnych grup etnicznych i pomiędzy nimi), które znajdują się obecnie w stanie chwiejnej równowagi, ale w każdej chwili mogą wejść na drogę przemocy – powiedział i podniósł wzrok znad swego oświadczenia.

W trwającej pół sekundy ciszy słyszałem oddechy swoich sąsiadów.

–Czy spodziewał się pan, że Bellarosa pojawi się razem z adwokatem z Wall Street i pięcioma milionami dolarów? – zapytał któryś z dziennikarzy.

Na sali konferencyjnej rozległy się śmiechy, a w pokoju hotelowym zwróciło się w moją stronę wiele głów.

Ferragamo uśmiechnął się z ironią.

–Docierały do nas na ten temat pewne sygnały.

Następna do głosu dorwała się oczywiście Pani Wścibska, czyli Jenny Alvarez.

–Panie Ferragamo – oświadczyła – ma pan pięciu świadków, którzy zeznają, że widzieli, jak Frank Bellarosa zastrzelił Juana

Carranę. Adwokat Bellarosy, John Sutter, twierdzi jednak, że tego samego ranka widział Bellarosę na Long Island. Kto tu jest kłamcą?

Alphonse Ferragamo rozłożył ręce jak prawdziwy Włoch.

–Zadecyduje o tym ława przysięgłych. Ktokolwiek skłamał, zostanie oskarżony o składanie fałszywych zeznań. Łącznie z tobą, Alphonse. Nie ja jeden zgrzeszyłem.

I tak to trwało przez kolejną minutę, aż nadeszła pora, żeby pokazać standardową relację z pożaru w Bronksie, co było o tyle ciekawe, że nikt już nie wierzył, iż jest jeszcze w Bronksie coś, co nadaje się do spalenia. Podejrzewam, że w dni, kiedy nie mają czym wypełnić wiadomości, puszczają zawsze ten sam kawałek taśmy.

Lenny sprawdził dwie pozostałe stacje ogólnokrajowe, ale złapał tylko ostatnie sekundy konferencji Ferragamo, która stanowiła najwyraźniej wszędzie temat numer jeden.

Po chwili przełączył telewizor z powrotem na kanał nadający wiadomości. Nadawali akurat serwis sportowy. Metsom znowu się udało; spuścili łomot Montrealowi sześć do jednego. Co za dzień!

Dlaczego czułem wlepione w moje plecy oczy? Cóż, nadszedł chyba czas, żebym, jak to się mówi, zszedł z wizji, otworzyłem więc drzwi do mojej sypialni, tu jednak czekała mnie niespodzianka. Na moich krzesłach rozsiadło się sześciu mężczyzn o ponurych twarzach, wśród nich pan Sally Da-Da, który utkwiał we mnie wzrok.

–Co jest? – zapytał.

–To mój pokój.

Popatrzyli po sobie, a potem znowu na mnie.

–I co z tego?

–Daję wam dziesięć minut – powiedziałem, po czym zamknąłem drzwi i ruszyłem prosto do baru. Właściwie, jeśli bardzo im na tym zależało, mogli tam posiedzieć trochę dłużej.

Tłum przerzedził się do jakichś trzydziestu osób; zauważyłem, że nie ma już wśród nich Jacka Weinsteina. Wzięłem do ręki kieliszek i ponownie podszedłem do okna. Otworzyłem je, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Stanął za mną Bellarosa. W ręku trzymał kieliszek, a w ustach cygaro.



**Obaj przyglądaliśmy się przez chwilę parkowi i światłom wielkiego miasta.**

**–Dobrze się dziś wieczór bawiłeś? – zapytał w końcu.**

**–To było interesujące doświadczenie.**

–Rozmawiałeś z Jackiem.

–Tak. Niegłupi z niego facet.

–Pewnie. Z kim jeszcze rozmawiałeś?

–Z Grubym Pauliem. Z paroma innymi. Nie zapamiętałem wielu nazwisk.

–Spotkałeś mojego szwagra?

–Można to tak nazwać. Jest teraz w mojej sypialni z pięcioma innymi facetami.

Bellarosa umilkł.

Nadal wpatrywaliśmy się w letnią noc i przypomniałem sobie wieczór na jego balkonie. Poczęstował mnie cygarem, które przyjąłem.

Podał mi ognia ze złotej zapalniczki i wypuściłem przez okno kłęb dymu.

–Rozumiesz, co się tutaj dzieje? – zapytał mnie.

–Tak sędzę.

–No tak. Czeka nas długa i ciężka walka, mecenasie. Ale wygraliśmy dzisiaj pierwszą rundę.

–Zgadza się. Skoro już o tym mowa, chcę dostać z powrotem swoje pięćdziesiąt dolców.

–Co?

–Dowiedziałem się, że masz szpicla w biurze Ferragamo.

–Naprawdę? Od kogo?

–Nieważne.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął pięćdziesiąt dolarów, które wziąłem.

–Chcesz się znowu założyć? – zapytał.

–O co? – Że to ostatni raz, kiedy złapałeś mnie na szwindlu – roześmiał się i poklepał mnie po plecach.

**Staliśmy przez chwilę wypuszczając kłęby dymu ze swoich Monte Cristo numer cztery.**

**–Wielu moich ziomków uważa cię za kogoś w rodzaju czarodzieja – powiedział. – Capiście? Szanują twój świat. Uważają, że tacy jak wy wciąż trzymają w rękach nitki. Może jeszcze trzymacie. A może już wam się wyślizgują. Może gdyby Włosi i Angole jakoś połączyli swoje siły, odzyskalibyśmy Nowy Jork z powrotem. Może cały ten kraj.**

**Nie odpowiedziałem, bo nie wiedziałem, czy mówi serio, czy może oszalał.**

–Tak czy owak – powiedział – otacza cię jakaś... jak wy to nazywacie...? Jakaś aura, no wiesz, jakbyś miał kontakty z wpływowymi siłami. O tym właśnie mówią w telewizji. I wierzy w to wielu moich rodaków.

–Upewniasz się, że nie wyrzuciłeś w błoto pięćdziesięciu kawałków.

Roześmiał się.

–Jakbyś zgadł.

–Zdajesz sobie, mam nadzieję, sprawę, że nie mam żadnej takiej władzy. Mam kontakty towarzyskie i finansowe, ale żadnych wpływów politycznych.

Wzruszył ramionami.

–I co z tego? Wiemy o tym tylko my dwaj.

–W porządku. Idę spać. Czy mogę wyrzucić z mojej sypialni twojego szwagra?

–Później. Poczekajmy na poranne wydania. Za mniej więcej pół godziny będę tu miał Post i Daily News – prosto z prasy drukarskiej.

Czekają na nie moi ludzie. Słuchaj, przekręciłeś do swojej żony? – zapytał.

–Nie. A ty do swojej?

–Ona sama zadzwoniła. Czuje się dobrze. Przesyła ci pozdrowienia. Ona cię lubi.

–To miła kobieta. I dobra żona.

–Zgadza się, ale doprowadza mnie do szału tym, że się tak wszystkim zamartwia. Ach, te kobiety! Madonna mia. – Odczekał sekundę albo dwie. – Może to i lepiej, że się od nich na te kilka dni uwolnimy. Wiesz? Kiedy się je na jakiś czas zostawi, bardziej cię doceniają.

Zastanawiałem się, czy Anna doceniła bardziej swego męża, kiedy powrócił do niej po dwóch latach spędzonych w federalnym zakładzie karnym. Może i tak. Może jeśli zamkną mnie na pięć lat za fałszywe zeznania, Susan naprawdę mnie doceni. A może nie.

**Okolo północy, kiedy w apartamencie zostało nie więcej niż tuzin osób, przybyli w odstępie kilku minut dwaj mężczyźni z naręczami gazet. Pierwszy z nich dostarczył jeszcze mokry**

od farby drukarskiej Post, drugi – Daily News. Rzucili gazety na stolik do kawy i poszli.

Zobaczyłem wielki tytuł w Post: DORWALI CIĘ, FRANK. Ta gazeta nie bawi się w subtelności. Pod tytułem umieszczono ogromną, na całą stronę, fotografię Franka Bellarosa w kajdankach, prowadzonego korytarzem Sądu Federalnego przez trzymającego go za ramię pana Mancuso. Z podpisu pod zdjęciem dowiedziałem się, że Mancuso ma na imię Felix, co wiele wyjaśniało.

Wbrew obowiązującemu w sądzie zakazowi fotografowania, Ferragamo wpuścił najwyraźniej do środka kilku fotoreporterów, żeby zrobili Frankowi zdjęcie w kajdankach. Dobra fotografia jest warta więcej niż tysiąc słów i prawdopodobnie tyle samo głosów w listopadowych wyborach.

Bellarosa wziął do ręki egzemplarz Post i przyglądał się zdjęciu.

–Jestem wyższy od Mancuso. Widzisz? Ferragamo lubi, jak gościa w kajdankach otaczają potężni faceci z FBI. Nie lubi Mancuso z wielu przyczyn. A dodatkowo dlatego, że to kurdupel – powiedział i roześmiał się.

Oprócz mnie, Franka, Lenny'ego i Vinniego w salonie był jeszcze Sally Da-Da ze swoimi dwoma aniołami stróżami oraz kilku innych typków o wyglądzie rewolwerowców. Wszyscy zagłębili się w lekturze.

Ja wziąłem sobie egzemplarz Daily News z wielkim tytułem: BELLAROSA OSKARŻONY O MORDERSTWO.

Tu również całą pierwszą stronę wypełniała fotografia Bellarosa, który podnosił do góry skute kajdankami ręce w geście zwycięskiego zawodnika. Frank Bellarosa, znany jako szef największej nowojorskiej rodziny przestępczej, został wczoraj rano aresztowany i przewieziony do Sądu Federalnego – głosił podpis. Pokazałem pierwszą stronę Bellarosie.

–Powinno ci się spodobać to zdjęcie.

Wziął ode mnie gazetę.

–Pewnie. Ładna fotografia. Pamiętam, kiedy mi ją zrobiono.

–Wygląda pan wspaniale, szefie – stwierdził Vinnie.

–Jasne – dołączył się Lenny. – Ładne zdjęcia, szefie.

**Również pozostali gratulowali mu udanych fotek, nie wspominając ani słowem o kajdankach. Zastanawiałem się, czy nie przejedli mu się pełnoetatowi pochlebcy.**

Zauważyłem jednak, że zasłonięty płachtą News Sally Da-Da nie przyłączył się do gratulacji. Nie lubiłem tego faceta i on o tym wiedział. On także mnie nie lubił i ja o tym wiedziałem, panowało więc między nami coś w rodzaju równowagi. Ja jednak na dodatek nie miałem do niego zaufania.

Otworzyłem Daily News i zobaczyłem w środku małą fotografię Franka Bellarosy w towarzystwie faceta, który kogoś mi przypominał.

"Bellarosa opuszcza salę sądową razem ze swoim obrońcą Johnem Sutterem" – głosił podpis. No właśnie. Wiedziałem, że to ktoś znajomy.

Bellarosa czytał Post.

–Hej, posłuchaj no tego! – zawołał. – "Bellarosa zadziwił, a nawet zaszokował najstarszych sprawozdawców sądowych pojawiając się na sali rozpraw razem z błękitnej krwi adwokatem Johnem Sutterem z Lattingtown na Long Island." – Popatrzył na mnie. – Naprawdę w twoich żyłach płynie błękitna krew?

–Jasne.

Roześmiał się i czytał dalej na głos:

–"Sutter jest mężem Susan Stanhope Sutter, spadkobierczyni rodziny zaliczającej się do najwyższych sfer Złotego Wybrzeża." – Znowu na mnie popatrzył. – Czy to znaczy, że twoja żona też jest błękitnej krwi?

–Jak najbardziej.

Bellarosa przebiegł oczyma artykuł.

–Dużo o tobie wiedzą, mecenasie – powiedział. – O tym, w jakiej firmie pracujesz, do jakich klubów należysz, cały ten chłam.

–To miłe.

–Czyżby? Skąd, twoim zdaniem, tak szybko się o wszystkim dowiedzieli? Od twojego kumpla Mancuso i tego padalca Alphonse'a.

Zgadza się? Starają się, jak mogą, żeby ci to gardłem wyszło.

I raczej im się udaje, muszę przyznać. Ale czego, w końcu, się spodziewałem? Kiedy ludzie mojego pokroju wyłamują się z szeregu, władze\* przywołują ich do porządku, a prasa nie zostawia na nich suchej nitki. W moim światku istnieją pewne niepisane



**zasady, podobnie jak w światku Bellarosy, i jeśli ktoś je narusza, to chociaż nikt nie połamie mu kości, może oczekiwać, że będzie miał złamane życie.**

Zajrzałem ponownie do Daily News i przeczytałem informacje na swój temat. Oto, czego tam nie było: "John Sutter jest przyzwoitym człowiekiem, dobrym mężem i nie najgorszym ojcem. Odsłużył swoje w armii amerykańskiej i prowadzi aktywną działalność na rzecz ochrony środowiska. Zapisuje tysiące dolarów na cele dobroczynne, jest hojnym pracodawcą i dobrze gra w golfa." A oto, co zawierał artykuł: "Również przeciwko samemu Sutterowi toczy się postępowanie karne w związku z popełnionymi przez niego oszustwami podatkowymi." Wydawało mi się, że rozwiązałem już ten problem. Miałem nadzieję, że to tylko kwestia niewłaściwie użytego czasu. Toczy się. Toczyło.

Dziennikarstwo było kiedyś interesującym zajęciem. Było rodzajem sztuki. Zastanawiałem się, czy napisać list do redakcji, czy wnieść przeciwko niej pozew. Prawdopodobnie ani jedno, ani drugie.

Nalałem sobie szkockiej z wodą sodową i nie mówiąc moim współbiesiadnikom dobranoc wycofałem się do sypialni i zamknąłem drzwi.

Otworzyłem leżącą na półce na bagaż walizkę. Susan sprostaa wyzwaniu i sprawiła się całkiem nieźle. W środku były moje przybory toaletowe i dwa garnitury: jeden szary, drugi niebieski, z lekkiej wełny.

Poza tym dobrane kolorystycznie krawaty, chusteczki i koszule.

Bielizny zapakowała mi na co najmniej dwa tygodnie, co mogło stanowić subtelna aluzję.

Wypakowując rzeczy, zauważyłem kopertę z moim nazwiskiem i otworzyłem ją. W środku znajdował się list zatytułowany "Drogi Johnie", co nie zdziwiło mnie tak bardzo, ponieważ na imię mam John. Przeczytałem list w łazience, myjąc zęby. Oto, co w nim było:

Drogi Johnie,

Wyglądałeś wspaniale w telewizji, choć nie jestem pewna, czy zielony krawat pasuje do niebieskiego garnituru. A może wysiadł kolor w telewizorze?

Potraktowałaś tę dziwkę dziennikarkę tak, jak na to zasługiwała. Spędziłam dzień razem z Anną, której bardzo zaimponowałaś i która bardzo jest Ci wdzięczna. Musiałam przekradać się do domu od tyłu, bo obie bramy okupują reporterzy. Jak długo będzie trwała ta bzdura? Nasze automatyczne sekretarki zarejestrowały mnóstwo telefonów, ale nie przesłuchałam jeszcze mojej. Był poza tym faks z twojej Kancelarii z Nowego Jorku, żebyś do nich przedzwonił. To pilne. Zastanawiam się, o

**co w tym wszystkim chodzi. Jakie**

szczęście miał Frank, żeś go zobaczył tamtego dnia. Czy nie byłam przypadkiem razem z tobą na tej przejażdżce? Zadzwoń wieczorem, jeśli będziesz miał wolną chwilę.

Kocham Cię,

Susan To była Susan Stanhope w swoim najlepszym wydaniu. Anna Bellarosa przez cały dzień prawdopodobnie łkała i szlochała, a Susan układała w tym czasie kompozycje z kwiatów. No cóż, tacy właśnie są ludzie naszego pokroju. Potrafimy ulegać pasji i uczuciu, potrafimy się gniewać i smucić, potrafimy jeszcze wiele rzeczy, ale mało z tego po sobie pokazujemy. Bo jaki jest w gruncie rzeczy pożytek z wylewności? Świadczy ona tylko o braku samokontroli i wbrew powszechnemu mniemaniu nie przynosi wcale ulgi.

Mimo to liścik Susan był nieco sang-froid, by użyć francuskiego zwrotu. Z drugiej strony nie spodziewałem się właściwie żadnego listu.

Zastanawiałem się, czy napisała do Bellarosy.

Rozebrałem się i jako że Susan zapomniała zapakować piżamę, położyłem się do łóżka w samej bieliźnie. Nie, nie zamierzałem do niej zadzwonić.

Wypiłem swoją szkocką i przysłuchiwałem się stłumionemu pomrukowi leżącej osiem pięter niżej manhattańskiej ulicy. Wciąż zalatywało mi z ust tym strasznym rybnyim sosem i czosnkiem. Nic dziwnego, że Włochy są jedynym krajem w Europie, który nie zna legend o wampirach; uciekły, kiedy tylko doszedł ich pierwszy powiew z alpejskich dolin.

Przez chwilę chyba drzemałem, potem jednak obudziłem się, przypomniawszy sobie, że muszę przekazać Jimmy'emu Wardze, że Gruby Paulie chce, aby zajął się tym lokalem przy Canal Street.

Musiałem ponadto powtórzyć Jimmy'emu, żeby przestał cisnąć żółtków.

Zadzwonił telefon; to była Susan i porozmawiałem z nią, ale prawdę mówiąc, chyba mi się to tylko śniło.

Telefon zadzwonił ponownie; tym razem była to Jenny Alvarez.

Miała dla mnie interesującą propozycję.

–Przyjdź na górę – powiedziałem. – Powiedz Lenny'emu i Vinniemu, że uzgodniłaś to

**ze mną. Moja sypialnia jest pierwsza z lewej.**

Po jakimś czasie usłyszałem pukanie do drzwi. Weszła do środka.

–Jeżeli ci się podobam, dlaczego byłaś wobec mnie taka agresywna? – zapytałem ją.

–Taki już mam styl.

Zdjęła buty i wślizgnęła się do mnie do łóżka w swojej czerwonej, wyzywającej sukience. Było to podniecające i drażniące zarazem.

Chciałem ją pocałować, ale wciąż pamiętałem o swoim cuchnącym czosnkiem i sardelami oddechu.

Nie jestem pewien, co zdarzyło się potem, ale kiedy obudziłem się przed świtem, już jej nie było. Właściwie, miałem pewne wątpliwości, czy w ogóle złożyła mi wizytę.

Rozdział 30 Nazajutrz rano, popijając kawę w apartamencie, zadzwoniłem do kilku wybranych dziennikarzy, których nazwiska dał mi Bellarosa. Miałem dla nich następującą informację: Frank Bellarosa chce, żeby proces odbył się już w przyszłym miesiącu i jakiegokolwiek opóźnienie ze strony biura prokuratora federalnego będzie traktował jako unik wymiaru sprawiedliwości. Pan Bellarosa jest niewinny i pragnie udowodnić to przed obliczem sądu.

Takie postawienie sprawy powinno oczywiście skłonić Alphonse'a Ferragamo do szybkiego działania, a ponieważ wszystko wskazywało na to, że jego dowody są nic niewarte, mógł albo wycofać zarzuty, albo przystąpić do procesu mając małe szanse na jego wygranie.

Ferragamo nie chciał ani jednego, ani drugiego; chodziło mu o to, aby ktoś jak najszybciej załatwił zza węgła Bellarosę.

Tak czy owak, po wypiciu kawy w zaśmieconym salonie wróciłem do sypialni i wykręciłem numer Susan.

–Cześć – powiedziałem.

–Cześć – odparła.

–Chciałem cię zawiadomić, że zostanę przez kilka dni w mieście. – iNie ma sprawy.

–Dziękuję za spakowanie rzeczy.

–Naprawdę nie ma za co.

**-Mimo to dziękuję.**

**Kiedy mąż i żona przemawiają do siebie w sposób tak oziębły, ktoś**

mógłby pomyśleć, że nic ich już ze sobą nie łączy – i tak też jest w rzeczywistości.

–Znalazłeś mój list? – zapytała Susan.

–List...? A tak, znalazłem.

–John...?

–Tak?

–Naprawdę musimy o tym porozmawiać.

–O liście?

–O nas.

–Nie o nas, Susan. Najwyżej o tobie.

–Co takiego jest we mnie? – odparła po kilku sekundach. – Co cię tak we mnie niepokoi?

Wziąłem głęboki oddech.

–Czy dzwoniłaś do mnie dziś w nocy? – zapytałem.

–Nie.

–Więc w takim razie tylko mi się śniło. Ale to był bardzo realistyczny sen. Właściwie to usiłowała mi coś powiedzieć moja podświadomość. Coś, o czym już od pewnego czasu wiem, ale czemu nie byłem w stanie stawić czoła. Czy zdarzyło ci się kiedyś coś takiego we śnie?

–Być może.

–W moim śnie uświadomiłem sobie, że masz romans z Frankiem Bellarosą.

No, wreszcie to z siebie wykrztusiłem, choć może nie całkiem wprost. Przez kilka sekund nie odpowiadała.

–Czy to dlatego jesteś w takim złym humorze? – odezwała się w końcu. – Bo ci się śniło, że mam romans z Frankiem?

–Sądzę, że to było coś więcej niż sen. To było nocne objawienie.



**To jest to, co od kilku miesięcy nie daje mi spokoju; to jest to, co zaszło między nami.**

**Znowu zapadło przedłużające się milczenie.**

**–Jeżeli coś podejrzewałeś, John – powiedziała po chwili – powinieneś stawić temu czoło. Ale ty zamknąłeś się w sobie. Postanowiłeś zabawić się w mafijnego adwokata i zerwać stosunki z przyjaciółmi i rodziną. Być może to, co się między nami stało, jest w równym stopniu twoją i moją winą.**

**–Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.**

Ponownie zamilkliśmy, żadne z nas bowiem nie chciało powracać do kwestii zdrady. Ale skoro zaszedłem już tak daleko, nie mogłem się wycofać.

–No więc? – zapytałem. – Tak czy nie? Odpowiedz.

–Miałeś głupi sen – odparła.

–W porządku, Susan. Jeżeli tak właśnie brzmi twoja odpowiedź, przyjmuję ją, ponieważ nigdy mnie nie okłamałaś.

–John... musimy o tym porozmawiać... nie przez telefon. Jest chyba mnóstwo spraw, które przed sobą tailiśmy. Wiesz, że nigdy nie zrobiłabym niczego, co by cię zraniło... Przykro mi, jeśli byłeś przez te ostatnie kilka miesięcy wytracony z równowagi... jesteś bardzo niezwykłym człowiekiem, John, nikt nie może się z tobą równać. Zdaję sobie z tego teraz sprawę. I nie chcę cię stracić. Kocham cię.

Cóż, nigdy dotąd Susan nie była taka ckliwa i chociaż nie miałem do czynienia z otwartym przyznaniem się do małżeńskiej zdrady, było to coś bardzo zbliżonego, coś, co przypominało prośbę o łagodny wymiar kary. Szczerze mówiąc, byłem wstrząśnięty. Siedziałem na skraju łóżka w sypialni, serce waliło mi w piersi i zaschło mi w ustach.

Jeśli kiedykolwiek zarzuciliście swojej żonie, że się z kimś puściła, wiecie, co w tym momencie czułem.

–Dobrze – powiedziałem w końcu. – Porozmawiamy o tym po moim powrocie. – Odłożyłem słuchawkę i gapiłem się na telefon, spodziewając się, jak sądzę, że zaraz zadzwoni. Nie zadzwonił.

Musicie zrozumieć, że aż do dnia, w którym odbyła się rozprawa wstępna, a potem oblała nas pomyjami prasa, nie byłem w stanie stawić czoła temu drugiemu problemowi: problemowi Susan i Franka.

Dopiero teraz, kiedy zostawiłem za sobą swoje dawne życie i uporządkowałem sprawy z samym sobą, gotów byłem wysłuchać Susan i dowiedzieć się, że zdradziła mnie z Frankiem Bellarosą. Co więcej, wciąż ją kochałem – byłem gotów jej przebaczyć i zacząć wszystko od początku, ponieważ oboje mieliśmy, jeśli można to tak ująć, romans z Frankiem Bellarosą i Susan nie myliła się, twierdząc, że było w tym\$ tyle samo mojej co i jej winy. Ale moja żona nie dojrzała jeszcze do tego, żeby powiedzieć mi prawdę – albo powiedzieć jemu, że wszystko skończone.

Nie uzyskawszy zatem od Susan przyznania się do winy, zmuszony byłem pozostać

w przedsionku piekła – tam gdzie przebywają

mężowie, którzy zarazem wiedzą i nie wiedzą; nie mogą ani wystąpić o rozwód, ani przebaczyć; a w dodatku muszą zachowywać się w stosunku do tego trzeciego tak, jakby nic się nie stało – chyba że chcą wyjść na głupców.

A może powinienem po prostu zapytać Franka: "Hej, przyjacielu, posuwasz w końcu moją żonę czy nie?" Trochę później tego samego ranka Bellarosa i ja spotkaliśmy się z Lennym i Vinniem przed hotelem i pojechaliśmy cadillakiem do Little Italy, gdzie wstąpiliśmy do klubu Franka na kawę. Jak się zapewne domyślicie, "Włoski Klub Strzelecki" mało przypominał "The Creek", z wyjątkiem tego, że stanowił własność prywatną i że zgromadzeni tu mężczyźni dyskutowali przeważnie o tym, jak wyprowadzić w pole rozliczne instytucje państwowe, by było to z największą korzyścią dla członków klubu. Być może zresztą podobieństw było więcej, niż mi się zdawało.

Bellarosa miał tutaj szereg umówionych spotkań. Klub mieścił się w obszernym, położonym przy samej ulicy lokalu, z pomalowanymi na czarno witrynami. W środku podzielony był na liczne pogrążone w półmroku prywatne gabinety i sale, w których pito kawę.

Nikt z rozmawiających z Donem nie zwracał na mnie specjalnej uwagi – czasami tylko zaczęli mówić po włosku, a kiedy któryś z obecnych nie znał tego języka, wypraszali mnie z pokoju.

–Nie będziesz miał ochoty tego słuchać, mecenasie – słyszałem.

Byłem przekonany, że mają rację.

Wypiłem zatem mnóstwo kawy, przeczytałem wszystkie poranne gazety i przyjrzałem się starym dziadkom, grającym w karty, w grę, której nie znałem.

Po mniej więcej godzinie opuściliśmy klub i ruszyliśmy w dalszą drogę. Mimo że niebo było zachmurzone, robiło się coraz cieplej – w powietrzu unosił się miejski skwar, który wytwarzają stłoczeni w jednym miejscu ludzie i samochody, a także uwięzione w betonie wczorajsze słońce. W lecie prowincjusze mogą wytrzymać na Manhattanie najwyżej tydzień i miałem nadzieję, że nie posiedzimy tu dłużej; mojemu klientowi nie sposób było jednak zadać żadnego pytania dotyczącego czasu i miejsca.

19 – Złote Wybrzeże t. II Podjechaliśmy pod cukiernię "Ferrara", gdzie Bellarosa osobiście wybrał tuzin ciasteczek dla Anny. Zapakowano je w piękne, białe pudełko, obwiązano zielonym i czerwonym sznurkiem, po czym Frank własnoręcznie zaniósł je do samochodu. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale ten potężny mężczyzna, trzymający delikatnie za sznurek małe pudełeczko, wydał mi się uosobieniem dobroci i łagodności.

Może nie byłem w tym momencie Arystotelesem przyglądającym się popiersiu Homera, mój odruch był jednak głęboko ludzki – kazał mi w nim widzieć mężczyznę, męża i ojca. A także, nie bójmy się tego słowa, kochanka. Zawsze uważałem Bellarosę za stuprocentowego mężczyznę, obecnie zaś mogłem przekonać się, że nie omyliło mnie moje pierwsze wrażenie. Ten człowiek podobał się kobietom. No, może nie wszystkim, ale na pewno niektórym. Mogłem sobie łatwo wyobrazić Susan, wyniosłą Lady Stanhope, palącą się wprost do tego, żeby wykorzystał ją i upodlił ten gruboskórny barbarzyńca. Może miało to coś wspólnego ze wspomnieniem o matce w objęciach ogrodnika, stajennego czy kogoś innego, kimkolwiek był ten osobnik.

Może marzą o tym wszystkie damy z dobrego towarzystwa: podnieca je myśl, że mogą się obnażyć przed człowiekiem, który nie dorównuje im towarzysko ani intelektualnie, ale stanowi po prostu seksualną odmianę. I dlaczego miałyby to nas tak szokować? Połowa zamożnych, dobrze urządzonych mężczyzn, których znam, chędoży swoje sekretarki, kelnerki, a nawet pokojówki. Kobiety także mają swoje libido. Być może jednak Susan Stanhope i Franka Bellarosę łączyły bardziej złożone stosunki.

Resztę przedpołudnia spędziliśmy kręcąc się po Little Italy, Greenwich Village i pobliskich rejonach, zatrzymując się kilka razy, żeby chwilę porozmawiać albo zabrać prowiant na pokład cadillaca.

W samochodzie unosił się wkrótce zapach sera, świeżego pieczywa i jakiegoś okropnego, solonego sztokfiszka o nazwie baccala, którego jak sądzę, nie można było włożyć do bagażnika z powodu upału.

–Wyślę to wszystko później do domu – poinformował mnie Bellarosa. – Wszystko to są ulubione potrawy Anny. Chcesz może posłać coś swojej żonie?

Irytowało mnie, że mówiąc o Susan nigdy nie używa jej imienia.

Ciekawe, jak się do niej zwraca, kiedy są sami?

–Może coś dla niej kupimy? Kwiaty albo coś w tym rodzaju?

–Nie.

–Mogę jej wysłać te ciastka z "Ferrary", tak jakby to było od ciebie.

–Nie.

Wzruszył ramionami.

–Dzwoniłeś dziś rano? W domu wszystko w porządku? – zapytał, kiedy jechaliśmy w stronę Midtown.

–Tak – odparłem. – A jak się miewa twoja żona? U ciebie w domu wszystko w porządku?

–Jasne. Pytam, bo jeśli człowiek ma w domu jakieś kłopoty, trudno mu się skoncentrować na interesach. A także dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi. Zgadza się?

–Czy wczoraj w sądzie byłem dostatecznie skoncentrowany?

–Jak najbardziej.

–Więc temat uważam za zamknięty.

Wzruszył ponownie ramionami i wyjrzał przez okno.

Zatrzymaliśmy się przy "Klubie Włoskiego Marynarza" przy West Forty-fourth Street i Bellarosa wszedł sam do środka. Po piętnastu minutach pojawił się z powrotem trzymając w ręku brązową paczkę.

Jak myślicie, co mogło się w niej znajdować? Narkotyki? Pieniądze?

Tajna wiadomość? Nic z tych rzeczy. W paczce były pochodzące ze szmuglu małe cygara.

–Prosto z Neapolu – oznajmił. – Tutaj nie można ich dostać. – Zapalił jedno i od razu domyśliłem się dlaczego. Otworzyłem okno. – Chcesz zapalić?

–Nie.

Podsunał paczkę Vinniemu i Lenny'emu, którzy wzięli sobie po jednym i zapalili. Wszystkim trzem te kilka cygar z przemytu wydawało się sprawiać wielką frajdę. Oczywiście, dzisiaj były to cygara, a jutro jakiś inny, pochodzący z "Klubu Marynarza" szmugiel. Interesujące.

**Zamiast zatrzymać się na trzygodzinny lunch we włoskiej restauracji, podjechaliśmy pod wózek z włoskimi parówkami przy Times Square. Bellarosa wysiadł i pozdrowił sprzedawcę, starszego mężczyznę, który objął go, ucałował i o mało się nie popłakał ze wzruszenia. Nie pytając nas wcale o zdanie, Bellarosa zamówił dla wszystkich po hot-dogu z papryką i cebulką.**

**–Dla mnie bez majonezu – powiedziałem.**

Jedliśmy stojąc obok zaparkowanego cadillaca i gawędząc ze sprzedawcą, któremu Bellarosa ofiarował trzy cygara z przemytu i kawałek koziego, kupionego w Little Italy sera. Sądzę, że dobrze wyszliśmy na tej transakcji.

Jeżeli prawdą jest, że człowieka poznaje się po towarzystwie, w jakim się obraca, to Bellarosę można było uznać za kogoś w rodzaju populisty. Bratał się z masami, podobnie jak czynili to pierwsi rzymscy cesarze, pozwalał prostym ludziom, by go całowali, obejmowali, uwielbiali i dotykali rękoma. Bratał się także z wysoko urodzonymi, ale (jeśli mógł tu stanowić jakąś wskazówkę wieczór w hotelu "Plaza") możliwych tego świata traktował z chłodną pogardą.

Sprzedawca przestał właściwie handlować i przepędził nawet kilku natrętnych klientów, żeby móc godniej dotrzymać towarzystwa swoim ubranym w eleganckie garnitury gościom, którzy jedli hot-dogi, stojąc w panującym na Times Square upale tuż obok blokującego ruch cadillaca. Co za dziwaczna scena, pomyślałem.

Wytarliśmy palce w papierowe serwetki, powiedzieliśmy naszemu gospodarzowi buongiorno i wsiedliśmy z powrotem do samochodu.

–Każ Freddiemu brać od nich o pięćdziesiąt centów więcej za funt parówek – zwrócił się Bellarosa do Vinniego, przelękając ostatni kęs. – Koszty niech przerzucą na klientów. To dobry produkt – poinformował mnie. – Wszyscy to jedzą: wasi Latynosi, wasi melanzane, wszyscy uwielbiają to świństwo. Gdzie można tutaj zjeść lunch?

U "Sardiego"? W kawiarniach podają same świństwa. Więc ludzie jedzą na ulicy, a przy okazji przyglądają się przechodzącym dupom.

Mam rację? To samo warte jest ćwiartkę. Mam rację? Smakował ci hot-dog? Zapłacisz za niego ćwierć dolara więcej? Jasne. Więc będziemy brać od sprzedawców o pięćdziesiąt centów więcej za funt, a oni przerzucą to na klientów. Nie ma problemu.

–Teraz, kiedy wszyscy się wypowiedzieliśmy – oznajmiłem – możemy chyba zarządzić głosowanie?

Roześmiał się.

–Głosowanie? Dobrze, możemy głosować. Frank głosuje tak.

Koniec głosowania.



**–Udana narada – powiedziałem.**

**–Jasne.**

**Uwaga, jaką Bellarosa poświęcał małym placówkom swego imienia, właściwie trochę mi zaimponowała. Wierzył, jak przypuszczam, że jeśli tylko dopilnuje ceny parówek, inne, poważniejsze problemy rozwiążą się same. Był człowiekiem, który lubił trzymać rękę na pulsie, tak w interesach, jak i w życiu osobistym – jeśli rozumiecie, co mam na myśli.**

**Przejechaliśmy East River mostem Williamsburg i znaleźliśmy się w Brooklynie, a dokładniej rzecz biorąc w Williamsburgu. Potem się zgubiłem. Brooklyn jest dla mnie białą plamą i mam nadzieję, że taką pozostanie. Niestety, mój przewodnik nie przestawał mi wszystkiego pokazywać palcem, tak jak to czynią ludzie, którym wydaje się, że każdego powinny interesować ich stare śmiecie.**

**–O tam, na dachu tego domu po raz pierwszy trzepałem konia – powiadomił mnie.**

**Odniosłem wrażenie, że nie ma bynajmniej na myśli swojego wierzchowca.**

**–Fascynujące – odparłem.**

**Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się obok pięknego starego, barokowego kościoła, pokrytego warstwą czarnej sadzy.**

**–To mój kościół – wyjaśnił Bellarosa. – Parafia Świętej Łucji.**

**Wysiedliśmy z samochodu i zapukaliśmy do drzwi zakrystii.**

**Otworzył je starszy ksiądz, który dopełnił zaraz składającego się z uścisków i pocałunków rytuału, po czym zaprowadził Bellarosę i mnie na piętro, do obszernego refektarza, gdzie przyłączyło się do nas dwóch innych duchownych w podeszłym wieku, z którymi wypiliśmy wspólnie kawę. Włosi – mówię to na wypadek, jeśli jeszcze tego nie spostrzeżliście – pochłaniają niesamowite ilości kawy, nie po to jednak, żeby nafaszerować się kofeiną, ale w poszukiwaniu wspólnoty. To coś w rodzaju płynnej wersji łamania się chlebem. I oczywiście wszędzie, gdzie zawiatał Frank Bellarosa, podawano kawę, przeważnie z czymś słodkim.**

**Piliśmy zatem kawę i gawędziliśmy o tym i owym, unikając jednak wszelkiej wzmianki o naszych wczorajszych kłopotach z prawem.**

**Trzej księża byli Włochami starej daty i nie trzeba się było zwracać do nich po imieniu, co oszczędziło nam nonsensów w rodzaju "ojcze**

Chuck" i "ojcze Buzzy"; z drugiej strony wydawali się jednak mieć bardzo trudne do wymówienia nazwiska i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wszyscy co do jednego nazywają się Pizza Cacciatore.

Zwracałem się do nich wszystkich per ojcze.

Najważniejszy z nich zaczął opowiadać o biskupie (prawdziwym biskupie tej diecezji), który zapowiedział, że zamknie kościół Świętej Łucji, o ile parafia nie będzie w stanie sama się utrzymać, co wydawało się mało prawdopodobne, niewielu bowiem zostało w okolicy włoskich katolików. Jak wyjaśnił delikatnie ksiądz, Latynosi, pochodzący głównie z Ameryki Środkowej, są przekonani, że dziesięć rzuconych na tacę centów w pełni pokrywa wszystkie wydatki.

–Starzy tutejsi parafianie – zwrócił się do mnie – nie będą chodzić do innego kościoła. Chcą być blisko swojej świątyni, chcą, żeby tutaj właśnie odprawiono mszę po ich śmierci. No i oczywiście mamy jeszcze wielu byłych parafian, takich jak pan Bellarosa, którym pękłoby serce, gdybyśmy musieli zamknąć kościół.

W porządku, ojcze, do rzeczy.

Odchrząknął.

–Utrzymanie i ogrzewanie kościoła i zakrystii, razem z naszym całodziennym wyżywieniem, kosztuje nas pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

Nie sięgnąłem po portfel ani nie wykonałem żadnego podobnego gestu, natomiast Don (dla jego to bowiem uszu była przeznaczona ta oracja) wypisał czek i położył go na blacie stołu.

Po kilku minutach zaczęliśmy się żegnać. Padliśmy sobie w objęcia, dostaliśmy błogosławieństwa na drogę i wyszliśmy.

–Nikt nie potrafi człowieka tak podejść jak ksiądz. Madonna mia, naciągnęli mnie na pięćdziesiąt kawałków. Ale co miałem robić? – powiedział Bellarosa, kiedy znaleźliśmy się na ulicy.

–Po prostu odmówić.

–Odmówić? Jak można im odmówić?

–Zwyczajnie. Potrząsa się głową i mówi "Nie".

–Och, nie wolno tego robić. Oni wiedzą, że siedzisz na forsie i tak na ciebie patrzą,

**że od razu budzi się w tobie poczucie winy – powiedział i zachichotał. – W tej parafii zostałem ochrzczony, tutaj ochrzczono mojego ojca i matkę, tutaj wziąłem ślub, tutaj ochrzciła dzieciaki Anna, tutaj brał ślub Frankie, tutaj został pogrzebany mój stary, tutaj...**

–W porządku – przerwałem mu – wiem już, co masz na myśli.

Ja też mam taki kościół. W każdą niedzielę daję tam na tacę pięć dolców, a na Wielkanoc i Boże Narodzenie dziesięć.

–Tu jest inaczej.

Zamiast wsiąść z powrotem do samochodu, Bellarosa odwrócił się i przyjrzał smutnemu staremu kościołowi, a potem zaniedbanym, otaczającym go uliczkom.

–Lubiłem grać w stoopball\* na stopniach zakrystii. Grałeś kiedyś w stoopball?

–Słyszałem o tej grze.

–No. Grały w nią dzieciaki w slumsach. A ty w co grałeś?

W golfa?

–Grałem na giełdzie.

–Czyżby? – Roześmiał się. – No więc dobrze, w tym właśnie miejscu graliśmy w stoopball. Ja i moi przyjaciele. – Przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej. – Ojciec Chiaro... to ten stary ksiądz, który z tobą rozmawiał... wyskakiwał z zakrystii i nas przeganiał.

A jeśli udało mu się kogoś złapać, ciągnął go za ucho do środka i dawał jakąś robotę. Widzisz te klamki? Są mosiężne, ale trudno to dzisiaj poznać. Kiedy byłem mały, polerowałem te pierdolone klamki, aż świeciły się jak złoto.

–On ciągle targa cię za uszy, Frank.

Roześmiał się.

–No jasne. Kawał suniksyna.

–Kawał czego?

Uśmiechnął się.

–Tak mawiał mój dziadek. Kawał suniksyna. Sukinsyna.

–Rozumiem.

**Próbowałem wyobrazić sobie małego, tłustego Franka Bellarose, jak biega po ulicach, gra w piłkę, majstruje procę, klęczy przy konfesjonale, trzepie konia, znowu klęczy przy konfesjonale i tak dalej. Przyszło mi to z łatwością, bo mnie samego często ogarnia nostalgia i potrafię zrozumieć ludzi, którzy z sentymentem wspominają własne dzieciństwo. To chyba oznaka starzenia się, nieprawdaż?**

**W przypadku Bellarosy było w tym jednak, jak sądzę, coś więcej. \* Odmiana baseballu.**

Moim zdaniem, zdawał sobie sprawę, że po raz ostatni wraca w swoje rodzinne strony i że musi zatroszczyć się o parafię Świętej Łucji, żeby potem, kiedy nadejdzie czas, księża mogli zatroszczyć się o niego.

Mniej więcej od dziesięciu lat w gazetach pojawiały się wzmianki, że pewni księża i pewne kościoły stwarzają problemy przy pogrzebach osób, które parają się podobną do Bellarosa profesją. Domyślam się, że zaniepokoiło to trochę Franka, przekonanego dotychczas, że ma do czynienia z Kościołem, pozostającym pod bezpośrednimi rozkazami Pana Boga, który jak wiadomo każe przebaczać wszystkim. Obecnie jednak ludzie próbują zmieniać różne stare zasady i Bellarosa, nie będąc człowiekiem, który niepotrzebnie ryzykuje, a także zdając sobie sprawę, że i tak nie zabierze ze sobą forsę na tamten świat, zapłacił po prostu z góry za swój pogrzeb w kościele Świętej Łucji. Do takiego przynajmniej doszedłem wniosku.

Bellarosa wsadził ręce do kieszeni i rzucił okiem na ulicę, którą przecinaliśmy.

–W tamtych czasach mogłeś łązić po ulicach do późnej nocy i nikt cię nie zaczepiał. "Frankie, wracaj do domu, bo matka zedrze z ciebie skórę", wrzeszczały na mnie staruszki z okien. Myślisz, że ktoś jeszcze tak krzyczy na tej ulicy?

–Wątpię.

–Ja też. Chcesz zobaczyć, gdzie mieszkałem, kiedy byłem dzieckiem?

–Tak, chętnie.

Zamiast wsiąść do samochodu, ruszyliśmy pieszo, nie zważając na upał, drogą, którą Frank Bellarosa musiał przemierzać wiele razy przedtem. Lenny i Vinnie podążali za nami w cadillacu. Okolica zamieszkała była teraz głównie przez przypatrujących się nam Murzynów; prawdopodobnie jednak nieraz już byli świadkami podobnych scen, wiedzieli zatem, że to powrót marnotrawnego syna z wielką spluwą, i zajmowali się swoimi sprawami, nie wtrącając się do naszych.

Zatrzymaliśmy się przed wypaloną czteropiętrową kamienicą z cegły.

–Mieszkałem tutaj na najwyższym piętrze – powiedział Bellarosa. – W lecie temperatura dochodziła tam do czterdziestu stopni, ale w zimie było ciepło i przyjemnie. Mieliśmy takie wielkie, huczące kaloryfery. Dzieliłem pokój z dwoma braćmi.

**Milczałem.**

**–A potem mój wuj zabrał mnie stąd i wysłał do La Salle. Sypialnie wydawały mi się tam piękniejsze od rezydencji na najwyższym piętrze Park Avenue. Zacząłem sobie uświadamiać, że istnieje jeszcze jakiś inny świat poza Williamsburgiem. Rozumiesz?  
– Znowu umilkł. – Ale muszę ci powiedzieć – podjął po chwili – że kiedy wracam pamięcią do lat pięćdziesiątych, widzę, że byłem wtedy szczęśliwy.**

**–Wszyscy byliśmy.**

**–Jasne.**

**Wsiadliśmy do samochodu i przejechaliśmy kilka przecznic dalej do lepszej dzielnicy, gdzie pokazał mi czteropiętrowy dom z fasadą z brązowego piaskowca, w którym spędził znaczną część swojego życia z Anną.**

**–Wciąż jestem właścicielem – powiedział. – Na każdym piętrze urządziłem apartamenty i wynająłem je starym ludziom. Mieszka tu moja ciotka. Czynnosc płacą kościołowi. Tyle, ile mogą. Rozumiesz?**

**Całą chałupą opiekuje się parafia. To porządny dom.**

**–Chcesz koniecznie pójść do nieba? – zapytałem.**

**–Jasne, ale jeszcze nie w tym tygodniu – powiedział i roześmiał się. – Na wszystko można patrzeć z różnych punktów widzenia, mecenasie – dodał.**

**Objechaliśmy dawną włoską część Williamsburga, która nigdy nie była rozległa, a teraz sprawiała wrażenie raczej opustoszałej, choć i tutaj zatrzymaliśmy się kilkakrotnie w interesach – nie była to zatem wyłącznie podróż sentymentalna. Jak już kiedyś wspominałem, trudno jest prowadzić przestępcze imperium, nie mogąc posłużyć się telefonem ani nawet pocztą. W tej sytuacji nie pozostaje nic innego jak bez przerwy składać ludziom krótkie wizyty. Frank był menedżerem, który dla każdego pracownika miał chwilę czasu.**

**Z Williamsburga pojechaliśmy do bardziej ludnych włoskich dzielnic w Bensonhurst, Bay Ridge i Coney Island. Zatrzymywaliśmy się tam częściej i odwiedziliśmy więcej ludzi, przeważnie w restauracjach, klubach i na tyłach sklepów. W prawdziwe zdumienie wprawiła mnie liczba oddziałów i filii firmy Bellarosa Inc. – a może powinienem raczej powiedzieć liczba udzielanych przez niego koncesji. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że nie istniała najwyraźniej żadna spisana na papierze lista naszych przystanków. Bellarosa mówił po**





prostu parę słów do Lenny'ego i Vinniego (na przykład "Zobaczmy, co słyhać u Pasquala w sklepie rybnym") i za chwilę byliśmy na miejscu. Trudno mi było uwierzyć, że w nie większych od orzecha mózgach tych dwu może się pomieścić taka masa informacji, ale mieli widać odpowiednią motywację.

Wyjechaliśmy z Brooklynu i znaleźliśmy się w Queens, a dokładniej rzecz biorąc w Ozone Park, gdzie również, jak się okazało, żyją Włosi.

Mieszkali tu jacyś krewni Franka; zatrzymaliśmy się przy ich szeregowym domku i zagraliśmy w boccie z gromadą jego podstarzałych ziomków, którzy nosili obszerne spodnie i trzydniowy zarost na policzkach. Potem zasiedliśmy wszyscy na werandzie i piliśmy domowej roboty czerwone wino, które było straszne – kwaśne i gorzkie jak garbnik. Potem jednak któryś ze starych wrzucił mi do szklanki lodu, dolał wody z bąbelkami i dodał kilka plasterków brzoskwini. Frank pił wino w ten sam sposób. Było to coś w rodzaju włoskiej sangrii albo aperitif i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie dostarczać tej mikstury do różnych modnych lokali w rodzaju "Buddy's Hole", gdzie pito by ją zakąszając najświeższym pokosem trawy. "Ozone Park Spritzer". Ładna nazwa?

Późnym popołudniem ruszyliśmy znowu na inspekcję Queens, robiąc przystanki przy kilku kolejnych, skromnie wyglądających, drewnianych domach.

Możnych tego świata, przywódców gangów i ludzi, którzy się "sprawdzili", Bellarosa gościł w hotelu "Plaza". Teraz zaś wyszedł na ulicę, żeby porozmawiać ze swoją klientelą wyborczą, tak jak czyni to polityk ubiegający się o urząd. W przeciwieństwie jednak do polityka ani razu nie składał żadnych obietnic, a w przeciwieństwie do typowego mafiosa nigdy nikomu niczym nie groził. Przynajmniej ja nic takiego nie słyszałem. Po prostu "pokazywał się ludziom", i tak właśnie określali to ci, którym składał wizyty. Pokazywanie się ludziom musiało tu mieć wiele subtelnych konotacji i duże znaczenie, skoro to robił.

Ten człowiek obdarzony był naturalnym instynktem władzy, to musiałem mu przyznać. Rozumiał, że prawdziwa władza nie opiera się na terrorze ani nawet na lojalności wobec abstrakcyjnej organizacji.

Prawdziwa władza opiera się na osobistej lojalności, a zwłaszcza lojalności prostych mas wobec Don Bellarosy, lojalności, którą mogłem

zaobserwować podczas spotkania ze sprzedawcą hot-dogów i wszystkimi innymi, którym składaliśmy wizyty. Ten człowiek był naprawdę obdarzonym genialną intuicją, charyzmatycznym przywódcą – ostatnim z wielkich Donów.

I mimo całego jego łajdactwa, prawie mu współczułem, teraz, kiedy osaczali go wewnątrzni i zewnątrzni wrogowie. Ale podobnie było mi żal Lucyfera z Miltonowskiego Raju Utraconego, kiedy stracił go w otchłań Bóg – gospodarz nieba zamieszkanego przez cukierkowych, bezpłciowych aniołów. W moim charakterze musi kryć się jakaś poważna skaza.

Wracaliśmy na Manhattan po zmierzchu. To prawda, że Nowy Jork jest miastem mniejszości, ja jednak nie mam wiele okazji ani chęci, żeby się z nimi bratać. Mimo to musiałem przyznać, że elementy włoskiej subkultury, które oglądałem tego dnia, naprawdę mnie zaintrygowały. Ten świat sprawiał wrażenie pełnego życia i jednocześnie skazanego na wymarcie.

–Myślałem, że wszystko to dawno odeszło w przeszłość – powiedziałem Bellarosie w drodze powrotnej.

Zrozumiał chyba, o co mi chodzi.

–To jest przeszłość. To była przeszłość już wtedy, kiedy mój stary zabierał mnie ze sobą w soboty, żeby posiedzieć przy winie z rodakami. My, Włosi, zawsze patrzymy w przeszłość.

Stare europejskie kultury, myślałem, wciąż wywierają potężny wpływ na imigrantów i na całe społeczeństwo amerykańskie. Coraz bardziej jednak rozmywa się ich tożsamość i paradoksem historii jest fakt, że dzieje się to w momencie, kiedy wypełniają próżnię powstała w wyniku załamania się tak zwanej kultury Nowej Anglii, kultury białych anglosaskich protestantów. Co ważniejsze jednak, gdzieś w cieniu, daleko, kryją się nowi imigranci, a wraz z nimi przyszłość, której ani Frank, ani ja nie znaleźliśmy i nad którą nie chcieliśmy się zastanawiać.

–Dobrze się dzisiaj bawiłeś? – zapytał mnie Bellarosa, kiedy zobaczyliśmy zarys wieżowców Manhattanu.

–To był interesujący dzień.

–No. Czasami muszę po prostu wyjść na ulicę i zobaczyć się z ludźmi. Rozumiesz? Żeby sprawdzić, czy wszyscy jeszcze tam są.

W Alhambrze traciłem kontakt z życiem, trochę tam się zagrzebałem.



Nie można tego robić. Trzeba wyjść z ukrycia. Jeśli ktoś ma ochotę strzelić ci w łeb, niech to robi na ulicy. Nie można zabarykadować się w jakimś miejscu i czekać, aż cię osaczą. Rozumiesz?

–Tak, rozumiem. Ale czy potrzebny ci jest adwokat, kiedy tak wyzywasz los?

–Nie. Potrzebny mi jest przyjaciel.

Miałem na końcu języka kilka sarkastycznych odpowiedzi, ale nie powiedziałem w końcu nic, i to stanowiło najlepszą odpowiedź.

–Mam zamiar mianować cię honorowym Włochem, tak jak Jacka Weinsteina. Chcesz? – zapytał.

–Jasne, o ile nie uczyni to ze mnie honorowej tarczy strzelniczej.

Roześmiał się niewyraźnie. Sądzę, że coraz mniej bawiły go żarty na temat grożącego mu zamachu.

–Rozmawiałem z pewnymi ludźmi – powiedział. – Nie masz się czego obawiać. Nadal jesteś cywilem.

Wspaniała wiadomość. A ja oczywiście ufałem tym ludziom, prawda? Dobrze, że przynajmniej wszyscy należeli do klubu strzeleckiego i mieli dobre oko. Taką w każdym razie miałem nadzieję.

Rozdział 31 \Wróciliśmy do hotelu "Plaza". Bellarosa dał Vinniemu i Lenny'emu wolną noc, a my zamówiliśmy kolację do apartamentu.

Przy jedzeniu rozmawialiśmy głównie o warzywach i o naszych posiadłościach. Krojąc stek, zastanawiałem się, jaki nowy i podniecający obrót przybrałoby moje życie, gdybym zagłębił swój nóż w sercu Bellarosy.

–Wiesz co, mecenasie – odezwał się, czytając widać w moich myślach. – Myślisz zapewne, że masz spieprzone życie i że to ja ci je spieprzyłem. Błąd. Spieprzyłeś je sam i stało się to, jeszcze zanim mnie po raz pierwszy ujrzalesz.

–Być może. Ale to nie ty stanowisz część rozwiązania.

–Wprost przeciwnie. To ja pomogłem ci się wygrzebać z całego gówna, w jakie w życiu wdepnąłeś. Teraz musisz tylko iść dalej.

–Dziękuję.

**-No. Uważasz mnie za durnego makaroniarza. Kolejny błąd.**

**Trochę już zaczynał mnie denerwować.**

**-Głupcy uważają cię za głupca. Ja znam cię lepiej – powiedziałem.**

**-Zgadza się – odparł uśmiechając się. – To stary włoski trik.**

**Robił to Klaudiusz, żeby ratować własną skórę, zanim jeszcze został cesarzem. W Bronksie jest taki facet – robi w tym samym fachu co ja, na pewno go znasz – od dziesięciu lat udaje idiotę, bo wie, że szukają na niego haka federalni. Rozumiesz? Ferragamo jest głupi**

i mnie także uważa za durnia, dlatego za każdym razem sprawiam mu niespodziankę, ale on dalej jest za głupi, żeby się pokapować – podsumował śmiejąc się.

Zajęliśmy się znów naszymi stekami.

–Udawałeś kiedyś głupka? – zapytał mnie przy kawie.

–Czasami.

–Mam na myśli, że na przykład coś wiesz, ale nie dajesz tego po sobie poznać. Czekasz z tym na odpowiedni moment. Nie robisz afery, bo za wiele by cię to kosztowało. Czekasz.

–Bywa, że nigdy nie daję nic po sobie poznać. Czasami czekam, aż ten drugi dostanie hopla zastanawiając się nad tym, czy ja wiem.

Skinął z uznaniem głową.

–Rozumiem. Kiedy na przykład się tak zachowywałeś? Daj mi jakiś przykład.

Popatrzyliśmy na siebie uważnie.

–Na przykład podczas całej tej bzdurnej historii z IRS, Frank.

Kazałeś Melzerowi pójść do swoich znajomych w urzędzie podatkowym i zobaczyć, czy nie uda im się znaleźć na mnie jakiegoś haka. Udało się. Następnie przysłałeś do mnie Melzera, który zatuszował sprawę, w wyniku czego jestem ci bardzo zobowiązany. Prawdziwy z ciebie kumpel, Frank.

Dłubał widelczykiem w deserze i nic nie odpowiadał.

–A co by było, gdybym nie zwrócił się do ciebie z tym problemem? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

–Wtedy – odpowiedziałem sam sobie – wynalazłbyś dla mnie coś innego. A może potrzebowałbym od ciebie innej przysługi, na przykład zgody na przeniesienie stajni. Nie jestem pewien, czy to zbieg okoliczności czy spisek, ale Susan jest ci najwyraźniej przychylna, dotarłbyś więc do mnie za jej pośrednictwem.

Facet wiedział oczywiście o napiętych stosunkach między mną a Susan i jeśli w ogóle miał sumienie, nie było ono czyste. Prawdę mówiąc wyglądał na

**zakłopotanego. Tak to już jest, że – pomijając różnice klasowe i polityczne, napięcia na tle etnicznym i rasowym oraz inne problemy, które powstają między ludźmi w życiu społecznym – najbardziej pierwotną i elementarną przyczyną wszelkiej przemocy, morderstw i gwałtów jest chęć posiadania kobiety. Ujmując to**

w prostszy sposób, mężczyzna wpada w złość, kiedy ktoś rżnie albo próbuje rżnąć jego kobietę. Tak czy owak, Bellarosa czuł się trochę nieswojo, w przeciwnym razie nie starałby się mnie sondować. Spoglądał na mnie, zastanawiając się, jak sędzę, czy poruszę temat jego stosunków z Susan. Ale ponieważ to on, a nie ja wyglądał na zakłopotanego, postanowiłem jeszcze przez jakiś czas trzymać go w niepewności.

Bez słowa wstałem i podszedłem do kredensu, na którym leżało około tuzina karteczek z wiadomościami. Jedna z nich pochodziła od Susan, która zawiadamiła mnie o zmianie swojego numeru telefonu.

Przypuszczam, że miała dość wścibskich reporterów, nie mówiąc już o naszych przyjaciółach i rodzinie. Wyrzuciłem kartkę z nowym numerem do kosza i wyszedłem z apartamentu.

Któż inny mógł zaczepić mnie na dole w hallu, jak nie Jenny Alvarez, dama w czerwieni, która tym razem nie miała jednak na sobie nic czerwonego.

–Witam, panie Sutter – powiedziała.

Najwyraźniej jadła przed chwilą kolację. Ubrana była w czarną jedwabną sukienkę, która mogła uchodzić od biedy za suknię wieczorową. Wyglądała naprawdę atrakcyjnie i miałem ochotę zapytać ją, czy nie spędziłaby ze mną nocy, ale zabrzmiałoby to chyba głupio, ograniczyłem się więc do zdawkowego "Witam".

–Czy mogę zaprosić pana na drinka? – zapytała.

–Nie piję.

–Może kawę?

–Trochę się spieszę.

Wydawała się nieco urażona i zacząłem wierzyć, że naprawdę się ze sobą przespaliśmy. Można mi zarzucić wiele rzeczy, ale nie to, że jestem chamem, przyjąłem więc zaproszenie. Weszliśmy do "Oak Bar" i usiedliśmy przy stoliku. Pani Alvarez poprosiła o jedną szkocką z wodą sodową, a ja zdublowałem zamówienie.

–Czytałam oświadczenia, jakie złożył pan rano dla prasy – powiedziała.

–Nie sądziłem, że dziennikarze telewizyjni czytają prasę. I że w ogóle coś czytają.

–Niech pan nie struga ważniaka.



**-Zgoda.**

–Chciałabym przeprowadzić z panem wywiad.

–Nie sądzę, aby to było możliwe.

–Nie zajęłoby to panu dużo czasu. Moglibyśmy przeprowadzić go tutaj, w "Plaza", na żywo, dla wiadomości wieczornych.

–Nie dożyłbym porannych.

Roześmiała się, jakbym zażartował. A to przecież wcale nie był żart.

–Nie mógłby pan przekonać pana Bellarosy, żeby wystąpił razem z panem?

–Nie sądzę.

–Moglibyśmy nagrać wywiad teraz, dopracować go i puścić w ogólnokrajowym dzienniku o wpół do dwunastej. To dałoby wam sposobność przedstawienia waszego poglądu na sprawę.

–Nasz pogląd na sprawę zamierzamy przedstawić w sądzie.

Droczyliśmy się w ten sposób przez dłuższą chwilę, pani Alvarez w przekonaniu, że udaję tylko niechętnego, a ja dlatego, że szczerze mówiąc dobrze się czułem w jej towarzystwie. Miała ładne pełne wargi.

Zamówiliśmy drugą kolejkę. Nie mieściło jej się oczywiście w głowie, że ktoś w Ameryce mógłby nie chcieć wystąpić w telewizji. W końcu znużyły mnie trochę jej nagabywania. – Śniło mi się dziś w nocy, że z panią spałem – powiedziałem.

Sprawiała wrażenie osoby, która zna takie odzywki na pamięć, ale moje wyznanie najwyraźniej ją zaskoczyło i straciła na chwilę rezon.

Coraz bardziej mi się podobała.

–Niech pani zrozumie, pani Alvarez... czy mogę mówić do pani Jenny?

–Tak.

–Zrozum, Jenny, ci ludzie nie występują w telewizji. Prędzej uda ci się zaprosić do swojego programu premiera Związku Sowieckiego aniżeli Franka Bellarosę.

Kiwnęła głową, ale tylko po to, jak sądzę, żeby pozbierać myśli.

**–Ale ty nie należysz przecież do mafii... – powiedziała.**

**–Nie ma takiej rzeczy jak mafia.**

**–I możesz z nami rozmawiać. W programie zgodził się wziąć udział pan Ferragamo...**

**–On wystąpiłby nawet w dobranocce, gdyby miała wystarczająco wysoki wskaźnik oglądalności.**

**Zachichotała.**

–Niech pan da spokój, panie Sutter... John. Nie widzisz, jak bardzo pomogłoby to twojemu klientowi?

Zaczęliśmy zatem trzecią rundę, przy następnej kolejce szkockiej.

Przez dłuższą chwilę zachwalała korzyści, jakie może przynieść nam występ w telewizji, obawiam się jednak, że nie przysłuchiwałem się jej zbyt uważnie.

–To był bardzo realistyczny sen – zauważyłem.

–Słuchaj, jeśli przez to uzyskam twoją zgodę...

–Tak? – zainteresowałem się.

–Możemy cię zniekształcić.

–Słucham?

–No wiesz. Zniekształcić twoją twarz i głos. Nikt nie będzie wiedział, że to ty.

–Dopóki nie przedstawisz mnie z nazwiska.

–Nie bądź głupi. Po co miałabym to...

–Miałaś na sobie tę czerwoną sukienkę.

–Zniekształcony wywiad miałby oczywiście zupełnie inny wydźwięk. Nie adwokat John Sutter, ale anonimowy informator. Robiliśmy to już przedtem w programach na temat zorganizowanej przestępczości. Mógłbyś powiedzieć o...

–Czy masz jakieś mieszkanie na mieście?

Trzecia runda zakończyła się remisem i przystąpiliśmy do czwartej, oboje pełni optymizmu. Przy obowiązującej w "Oak Bar" cenie siedmiu dolców za drinka jedno z nas było już do tyłu na pięćdziesiąt sześć dolarów, nie licząc podatku i napiwku. Na sąsiednim stoliku stał talerzyk apetycznie wyglądających słonych migdałów, na naszym jednak nie było nic poza wstrętnymi precelkami w kształcie złotych rybek. Złote rybki były tutaj wszędzie.

Znowu przystąpiła do ataku, spoglądając co chwila na zegarek.

–Prowadzisz dzisiejsze wiadomości? – zapytałem.

**–Nie sądzę, żebym miała w nich coś do powiedzenia, skoro odmawiasz współpracy.**

**–Ale chyba ci zapłacą?**

**–Być może. Dobrze, w takim razie zastanówmy się nad programem o wpół do dwunastej. Jest już zmontowany, ale musimy nadać mu odpowiednią ostrość.**

**–Czy to oznacza, że nie zniekształcicie mojej twarzy?**

20 – Złote Wybrzeże t. II – Mam na myśli odmienny punkt widzenia. Chcę mieć kogoś, kto w sposób inteligentny przedstawiłby inne aspekty tej sprawy. Nie chcę żadnych tak zwanych ekspertów. Chcę kogoś, kto potrafi przedstawić amerykańskiej widowni, jak ten problem wygląda z drugiej strony.

–Z jakiej drugiej strony?

–Chodzi mi o zgodność ustawy RICO z konstytucją, o nękanie przez rząd pewnych grup etnicznych pod pretekstem walki z przestępczością, o uwagi Ferragamo na temat możliwości wybuchu wojny gangów pomiędzy Włochami i Latynosami. Tego rodzaju rzeczy.

Naprawdę zależy mi, żeby przedstawić całą sprawę w innym świetle.

–Zapowiada się dobry program. Obejrzę go sobie.

–Porozmawiaj z panem Bellarosą. Zapytaj go, czy nie chce udzielić wywiadu. Zapytaj, czy nie chce, żeby jego adwokat pokazał się na wizji.

–Poczekaj chwilę. – Wstałem. – Spróbuj zorganizować te solone migdały.

Zadzwońłem z automatu do apartamentu, ale telefon był zajęty.

Nie miałem wcale zamiaru przedstawiać Bellarosie propozycji pani Alvarez, chciałem tylko sprawdzić, czy wciąż jest na górze. Wróciłem do "Oak Bar".

–Mówi, że nie – poinformowałem panią Alvarez. – A "nie" znaczy "nie".

–A ty? – zapytała. – Pokażesz się na wizji?

–Co z tego będę miał dla siebie?

–Zdejmę czerwoną sukienkę.

–Przed czy po programie?

Spojrzała na zegarek.

–Przed. Możesz mnie przerznąć, ale mnie nie orznij – dodała.

Oboje się uśmiechnęliśmy. Cóż, sny się spełniają, jeśli tylko trochę im się dopomoże. Ale ten akurat zapowiadał same kłopoty. Podniosłem się z miejsca. – przykro mi – powiedziałem – ale ja nie mogę dotrzymać umowy. Mimo to przyjemnie

**było się z tobą spotkać.**

**Odszedłem zostawiając ją sam na sam z rachunkiem.**

**Znalazłszy się w hallu sprawdziłem, czy nie ma dla mnie wiadomości. Chciało się ze mną widzieć kilku ludzi z telewizji, prasy i radia.**

Nie jeden adwokat kryminalny wykorzystalby taką sposobność, żeby zdobyć sławę i pieniądze. Ale adwokaci mafii, tacy jak Jack Weinstein i John Sutter, muszą zadowolić się powtarzaniem bez końca: "Bez komentarza" i brudnymi pieniędzmi, które mogą im zostać w końcu odebrane na mocy ustawy RICO. Trudno, nikt mi nie obiecywał, że to, co robię, będzie korzystne dla mojej kariery.

Skierowałem się ku drzwiom, mając zamiar wyjść na spacer, na który chciałem wybrać się już wcześniej. Na mojej drodze ponownie pojawiła się jednak Jenny Alvarez.

–Pozwól, że zadam ci jedno pytanie – powiedziała. – Osobiste pytanie, tylko między nami.

–Lubię udawać świętego – odparłem – ale jestem otwarty na wszystkie propozycje.

–Chcę wiedzieć, dlaczego związałeś się z Frankiem Bellarosa.

–To długa historia. Naprawdę.

–Widziałam twoją posiadłość na Long Island. Mój Boże, nie sądziłam, że ludzie wciąż jeszcze tak mieszkają.

–Mieszkam w domku gościnnym na terenie posiadłości. Błędnie to przedstawiłaś w telewizji. A zresztą, jakie to ma znaczenie, gdzie mieszkam?

–Olbrzymie. Mówimy przecież o telewizji, John. O przemyśle rozrywkowym. Stałeś się gwiazdorem. Wyglądasz jak gwiazdor. Zachowujesz się jak gwiazdor. Jesteś elegancko ubrany, nienagannie się zachowujesz i znakomicie przemawiasz. Jesteś gościem z klasą.

–Dziękuję.

–Nawet kiedy zostawiasz mi do zapłacenia rachunek.

–To był najlepszy numer z klasą, jaki udało mi się wykonać w tym tygodniu. Zrozum, Jenny... jesteś bardzo atrakcyjną kobietą i chętnie zabrałbym cię na górę, ale tak sobie myślę, że pochlebiasz mi tylko dlatego, że czegoś ode mnie potrzebujesz, a tym czymś nie jest seks. Ja zresztą nie mogę ci ofiarować ani seksu, ani informacji. Jestem wiernym mężem, a na dodatek impotentem i człowiekiem prostodusznym. Tak więc...

–A to co?



**Od strony "Oak Bar" zbliżali się wlepiając we mnie gały Lenny i Vinnie. Domyśliłem się, że zobaczyli mnie w barze i niepokoiło ich, dlaczego popijam drinki razem z telewizyjną reporterką. Twarz Jenny**

Alvarez jest w Nowym Jorku bardzo popularna – a wiadomości oglądają nawet tacy kretyni jak Lenny i Vinnie. Tak czy inaczej, Kretyn Numer Jeden i Kretyn Numer Dwa ruszali głupio głowami, dając mi do zrozumienia, żebym do nich podszedł.

–Kim są ci mężczyźni? – zapytała Jenny Alvarez.

–To moi aplikanci.

No cóż, najlepszym sposobem ratowania własnej skóry było oczywiście zasugerowanie Lenny'emu i Vinniemu, że moje zamiary wobec pani Alvarez są czysto seksualnej natury i że rozmawiając z nią nikogo nie zdradzam. Jak wam się podoba taka racjonalizacja? Objąłem ją i ruszyliśmy w stronę windy.

–Napijemy się czegoś w moim pokoju – powiedziałem.

–W porządku.

Lenny i Vinnie wsiedli do windy razem z nami.

–To Jenny Alvarez – poinformowałem swoich kumpli, kiedy jechaliśmy na górę. – Jest słynną reporterką telewizyjną.

Popatrzyli po sobie.

–Chce ją widzieć Don? – zapytał Vinnie.

–Nie, to ja chcę ją widzieć. Sam na sam i nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał.

Obaj wykrzywili gęby w uśmiechu, zamrugali i zaczęli się ślinić.

Prawdziwi goście z klasą.

Dotarliśmy na ósme piętro. Lenny otworzył kluczem drzwi do apartamentu i weszliśmy wszyscy do środka. Bellarosa leżał bez butów na kanapie oglądając telewizję.

Jenny Alvarez podeszła prosto do niego i przedstawiła się stojąc przed nim.

–A, tak – stwierdził Bellarosa. – To pani tak się naprzykrzała mojemu adwokatowi. Zostaliście teraz przyjaciółmi?

–Tak – odparła z uśmiechem.

**Zastanawiałem się, co będzie dalej. Za chwilę zacznie oczywiście molestować biednego Franka o wywiad. Prawda? Nieprawda. Tego wieczoru to ona miała się okazać babką z klasą.**

**–John zaprosił mnie na drinka – powiedziała. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam panu w pracy.**

**–Skądże – odparł Bellarosa. – Zrobiliśmy sobie małe wakacje.**

**–Chodźmy do mojego pokoju – powiedziałem do pani Alvarez.**

Zabrałem z baru butelkę szkockiej i wiaderko z lodem, a ona wzięła dwie szklanki i butelkę wody sodowej.

Zaprowadziłem ją do mojej sypialni, zanim jednak zdążyłem wejść tam za nią, Bellarosa klepnął mnie po ramieniu i zamknął przede mną drzwi.

–Nie mogłeś sprowadzić sobie normalnej hotelowej dziwki?

Musiałeś przyjść tutaj z tą jędzą z telewizji? – zapytał.

–To moja sprawa, z kim spędzam wolny czas – odparłem cierpko. – Żeby jednak nie było żadnych niedomówień, stosunki, jakie łączą mnie z tą kobietą, są i pozostaną platoniczne.

Bellarosa spojrzał na trzymaną przeze mnie butelkę szkockiej oraz wiaderko z lodem i uśmiechnął się. Domyślałem się, że moje oświadczenie zabrzmiało dość idiotycznie. Obaj znaleźliśmy życie.

–Nie łączą nas także żadne stosunki na gruncie zawodowym – dodałem.

–Jasne. Więc żadnych rozmów do poduszki, pamiętaj. Uważaj, co do niej mówisz. Rozumiesz?

Ruszyłem w stronę drzwi, on jednak nie odsuwał się na bok.

–Co ci chodzi po głowie, mecenasie? – zapytał. – Co cię gnębi?

–Jeśli rozmawiałeś dziś wieczorem z moją żoną, a podejrzewam, że tak, to świetnie wiesz, co mi chodzi po głowie.

Przez chwilę milczał.

–Dobrze. W porządku – powiedział w końcu. – Rozmawiałem z nią. Ale wszystko to źle zrozumiałeś. Niedobrze jest myśleć takie rzeczy. To bardzo niebezpieczna rzecz, kiedy człowiekowi chodzi po głowie coś takiego. Widziałem, jak ludzie cierpieli i ginęli z tego powodu. – Złapał mnie za ramiona i potrząsnął. – W porządku?

Domyśliłem się, że w kwestii seksualnego trójkąta zostałem przegłosowany stosunkiem głosów dwa do jednego.

–W porządku, Frank – odpowiedziałem. – Temat uważam za zamknięty. Otwórz drzwi.

Otworzył przede mną drzwi i wszedłem do środka. Kopnięciem zamknąłem je za sobą, po czym postawiłem whisky i wiaderko z lodem na stoliku koktajlowym.

–Jesteś pewien, że nie przeszkadzam wam w pracy? – zapytała mnie Jenny Alvarez.

–Jestem pewien. Nie krępuj się. Usiądź.

Zasiedliśmy w stojących w rogu pokoju dwóch klubowych fotelach,] oddzieleni od siebie stolikiem koktajlowym.

Wrzucając lód do szklanek, zauważyłem, że trochę drżą mi ręce.

Oskarżenie własnej żony o cudzołóstwo potrafi człowieka nieco zdenerwować, ale wytoczenie podobnego oskarżenia wobec tego trzeciego, zwłaszcza jeśli tak się akurat składa, że jest on mordercą, z pewnością nie należy do najprzyjemniejszych momentów w życiu.

Czułem się jednak dziwnie spokojny, tak jakbym pozbył się ciężkiego brzemienia, zrzucając je na barki ludzi, którzy mnie nim przedtem obdarzyli. Jeśli przeanalizuje się to wszystko na zimno, to naprawdę nie był już mój problem – przynajmniej do momentu, kiedy zdecyduję inaczej. Wiedziałem, że chłodna logika ustąpi z czasem miejsca bardziej podstawowym doznaniom – bólowi serca, cierpieniu, zazdrości i innym typowym małżeńskim niedolom. Tego wieczora jednak czułem się znakomicie, a poza tym miałem kompana do picia. – Ładny apartament – stwierdziła Jenny Alvarez. – Zbrodnia popłaca.

–Dziękuję, że zostawiłaś w spokoju Bellarosę -powiedziałem.

–Przyszłam tutaj, żeby się z tobą napić.

–Zgadza się. – Mimo całego mojego cynizmu uwierzyłem jej i muszę przyznać, że sprawiło mi to przyjemność. Zmieszałem whisky z wodą sodową, trąciliśmy się szklankami i wypiliśmy. Szczerze mówiąc byłem nieco speszony.

–Nie musisz wystąpić w żadnym programie? – zapytałem.

–Dziś wieczorem nie miałam nic do roboty, chciałam tylko zrobić wywiad z tobą. A ponieważ nie chcesz wystąpić, ja też nie muszę. Zadzwońię do nich później. Dostatecznie późno – dodała – żeby nie zlecili mi czegoś innego przed czasem emisji. Tak więc dziś wieczorem jestem wolna. Przyjemne uczucie.

Rozumiecie? Zmieniła cały swój rozkład zajęć, żeby się ze mną napić. I co miałem w takiej sytuacji począć? Wyrzucić ją po pierwszym drinku? Czy może raczej zadzwonić do obsługi hotelowej, żeby dostarczyli nam do pokoju grę Monopoly? Odchrząknąłem.

–Bardzo mi to pochlebia -,– powiedziałem.

Uśmiechnęła się. Och, te jej wargi. Muszę przyznać, że latynoamerykańskie

**piękności nie są w zasadzie w moim guście, ale ta kobieta była naprawdę śliczna.  
Miała jasnobrązową cerę, rzucające iskielki**

ciemne oczy i gęste, czarne, spływające na ramiona włosy. Kiedy się uśmiechała, w policzkach robiły jej się dołeczki i miałem ochotę ją uszczypnąć.

–Jesteście, jak rozumiem, w separacji – powiedziała.

–Nic o tym nie słyszałem.

–Ale ja tak.

–Od kogo?

–Od różnych ludzi tam, gdzie mieszkacie.

–Czy to aby prawda? Mnie nic na ten temat nie wiadomo.

Uśmiechnęła się.

–W tych okolicznościach większość mężczyzn odpowiedziałaby po prostu twierdząco.

–Ja nie jestem "większość mężczyzn". Moją dewizą jest prawda.

A ty? Jesteś zamężna?

–Byłam. Urodziłam dziecko w telewizji. Pamiętasz? Dwa lata temu.

Dopiero teraz przypomniałem sobie cikliwą i trochę niesmaczną relację z przebiegu jej ciąży i samego porodu. Nie oglądam jednak zbyt często wiadomości i aż do tej chwili nie uświadamiałem sobie, że to ta sama kobieta.

–Przypominam sobie – powiedziałem. – Kamery telewizyjne w sali porodowej. Trochę to było wulgarne.

Wzruszyła ramionami.

–Nie dla telewizji.

–Przypominam sobie chyba także dumnego tatusia.

–Rozwiodłam się z nim.

–Nie będzie zatem więcej porodów w telewizji?

–Na razie nie.



**Rozmawialiśmy przez jakąś chwilę, ja jednak pilnowałem się, by nie wypić za dużo whisky – na wypadek gdybym musiał stanąć na wysokości zadania. Nie mogę się kochać, kiedy jestem urżnięty.**

**Bardzo mnie to frustruje, ponieważ wtedy właśnie pragnę tego najgoręcej. Alkohol to okrutny narkotyk.**

**–Słuchaj, Jenny – powiedziałem – poprosiłem cię tutaj, żeby nie nabrali wobec mnie podejrzeń ci dwaj obwiesie. Rozumiesz?**

**–Sądzę, że tak. Chcesz, żebym wydała z siebie parę odgłosów naśladowujących orgazm, a potem sobie poszła?**

–Prawdę mówiąc... nie. Dobrze się czuję w twoim towarzystwie!

Chciałem tylko, żebyś wiedziała, dlaczego cię tutaj zaprosiłem.

–Więc teraz już wiem. A ty chcesz wiedzieć, dlaczego przyjąłem twoje zaproszenie?

–Bo cię zaciekałem.

–To prawda. Bardzo zaciekałeś. Zaintrygowałeś. Jesteś bardzo intrygującym mężczyzną.

–No cóż, to dobra wiadomość. Możesz mi nie wierzyć, ale byłem kiedyś strasznym nudziarzem.

–To niemożliwe – odparła z uśmiechem. – Kiedy to było?

–Och, dawno temu, w marcu, kwietniu. Byłem wtedy naprawdę nudny. Dlatego właśnie odeszła ode mnie żona.

–Powiedziałeś przed chwilą, że nic o tym nie wiesz.

–Prawdę mówiąc, nie było mnie kilka dni w domu. Może] powinienem zadzwonić do mojej automatycznej sekretarki.

Ale nie zrobiłem tego. Rozmawialiśmy o tym i owym, przekomarzaliśmy się i docinaliśmy sobie, ale ani słowa nie zamieniliśmy na temat Franka Bellarosy. Niemniej jednak przyszło mi do głowy, że istnieje mnóstwo sposobów, by wbić mu nóż w serce. Mogłem na przykład posłużyć się tą kobietą i uzyskać przez nią dostęp do mass mediów. Sam pozostałbym w ukryciu – ona ręczyłaby za wiarygodność źródła. Byłem w posiadaniu takich informacji, że gdybym je ujawnił, Frank Bellarosa rychło znalazłby się za kratkami albo w grobie. W ten prosty sposób nie musiałbym już odpowiadać za złożenie fałszywych zeznań i pozbyłbym się Bellarosy. Wspominam o tym, bo taki przyszedł mi do głowy pomysł. Zbyt długo chyba przebywałem blisko Bellarosy. Nie chciałem jednak dać się owładnąć obsesją vendetty w tym samym stopniu, w jakim owładnęła ona jego życiem. Cokolwiek złego mi zrobił, będzie musiał z tym żyć i któregoś dnia może za to odpowie. Zemstę zostawcie mnie, powiada Pan.

Odsunąłem więc od siebie (przynajmniej na chwilę) myśli o odwecie] i zająłem się sprawami bieżącymi. – «Nie będę mógł się niczym zrewanżować, wiesz – oznajmiłem Jenny Alvarez. – To znaczy, nawet jeśli spędzisz tu noc, nic ci nie powiem.

**–Mówiłam ci już, że przyszłam tu, bo odpowiada mi twoje towarzystwo. Prawdę mówiąc, nie puszczam się, żeby uzyskać jakieś**

informacje, a ty nie robisz propozycji kobietom, które czegoś od ciebie chcą. W to bawiliśmy się na dole.

–Teraz bawimy się w coś innego. Ale ja wyszedłem z wprawy.

–Dobrze ci idzie. Wciąż jestem zainteresowana. Oglądałeś się może w telewizji?

–Jasne.

–Byłeś rozczochrany.

–Wiem. A mój krawat wydawał się źle dobrany, ale to nieprawda.

Mogę ci go pokazać.

–Och, wierzę ci. To się czasem zdarza.

Zadzwoił telefon, ale nie podniosłem słuchawki. Kiedy umilkł, Jenny zatelefonowała do studia i poinformowała ich, że już się tej nocy do nich nie zgłosi. Napilem się wody sodowej, a Jenny wychyliła kolejną szklaneczkę whisky. W którymś momencie oboje zrzuciliśmy z nóg buty. W sypialni stał telewizor, obejrzelśmy więc sobie wiadomości o jedenastej. Sprawa Bellarosy zajęła nie więcej niż minutę; cytowano głównie to, co ukazało się w gazetach, w tym moje oświadczenia dla prasy. Pokazał się także Ferragamo, który najlepiej wypadł w dziesięciosekundowych migawkach.

–Badamy udzielone panu Bellarosie alibi – oświadczył – i jeśli odkryjemy podważające je dowody, zwrócimy się o uchylenie decyzji o zwolnieniu i dokonamy ponownego aresztowania, jak również podejmiemy stosowne działania przeciwko osobnikowi, który złożył fałszywe zeznania.

Równo dziesięć sekund. Ten facet był prawdziwym zawodowcem.

–Ma na myśli ciebie, prawda? – zapytała pani Alvarez.

–Tak sędzę – odparłem.

–Jakie stosowne działania? Co mogą ci zrobić?

–Nic. Mówiłem prawdę.

–Więc pozostałych pięciu świadków kłamało? Nie, nie odpowiadaj. Żadnych spraw zawodowych. Nie mogę opanować nawyku.

**Przepraszam. – Przez chwilę sprawiała wrażenie zatopionej w myślach, po czym wyrzuciła to z siebie. – Ale to przecież nie ma sensu, John!**

**–Czy ma sens, żeby Frank Bellarosa popełniał morderstwo w biały dzień?**

**–Nie, ale... czy jesteś pewien, że go widziałeś?**

**–Pytasz oficjalnie?**

–Nie, tylko tak między nami.

–W porządku... jestem pewien, że to był on.

Uśmiechnęła się.

–Jeśli masz zamiar – powiedziała – nadal dyskutować o sprawach zawodowych, wychodzę.

–Przepraszam.

Zaczął się sport i z przyjemnością usłyszałem, że Metsi znowu nawtykali Montrealowi, dziewięć do trzech.

–Idą jak burza – powiedziałem.

–Być może. Ale to Jankesi zajmą miejsce w pierwszej czwórce.

–Jankesi? Będą mieli szczęście, jeśli dotrwią do końca sezonu.

–Pieprzysz – stwierdziła. – Widziałeś w tym roku jakiś mecz Jankesów?

–Nie ma czego oglądać.

Omawialiśmy ten problem przez kilka minut i przekonałem się, że chociaż dużo wie, jest straszliwie nieobiektywna.

–W całej drużynie nie mają ani jednego faceta, który dobiegłby do długiej piłki – wyjaśniłem jej.

–W dzisiejszym baseballu wszystko zależy od dobrego rzutu koleś, a w tym nikt nie dorówna Jankesom.

Bardzo mnie to zirytowało. Próbowałem wyjaśnić jej tajniki współczesnego baseballu, przerwała mi jednak.

–Słuchaj, mogę ci załatwić miejsce w łożu prasowej. Przyjdiesz, obejrzysz sobie Jankesów i wtedy będziemy mieli o czym gadać.

–Nie pojechałbym do Bronxu, nawet gdybyś mi za to zapłaciła.

Mogę najwyżej obejrzeć razem z tobą ich następny mecz w telewizji.

**–Dobrze. Chcę, żebyś obejrzał, jak będą grać z Detroit w przyszłym tygodniu.**

**Cóż, tak czy inaczej, była to przyjemna noc, dobrze się bawiliśmy, a następnego ranka czułem się trochę lepiej niż poprzedniego. Capisce?**

**Rozdział 32 Spędziliśmy jeszcze kilka dni w "Plaza", jednak ani Frank, ani ja nie czyniliśmy żadnej aluzji na temat stosunków, jakie łączą go z moją żoną. Mogłem jednak poznać, że go to niepokoi, a on widział, że ja jestem spokojny. Nie chcę przez to sugerować, że bawiłem się z nim jak kot z myszą; nie był człowiekiem, z którym ktokolwiek mógłby tak postępować. Najwyraźniej jednak nie były mu obce pewne ludzkie uczucia (co upodobało go do nas, zwykłych śmiertelników) i domyślałem się, że zdaje sobie sprawę, iż przekroczył to, co można uznać za reguły gry godne Machiavellego, i po prostu się ześwinił. Cóż z tego, skoro Ojciec jak-mu-tam mógł w każdej chwili udzielić mu błyskawicznego telefonicznego rozgrzeszenia: "Odmów dwie zdrowaśki, Frank, kiedy będziesz miał chwilę czasu. Do zobaczenia przy komunii." Podczas mego pobytu w "Plaza" pewnego dnia zjadłem lunch z Jackiem Weinsteinem, którego wyraźnie polubiłem. Innego dnia zadzwoniłem do Alphonse'a Ferragamo, do którego już przedtem nabrałem antypatii. Zgodnie z instrukcjami mojego klienta, byłem jednak dla niego miły i obaj uzgodniliśmy, że będziemy walczyli czysto i uczciwie. Obaj nie zamierzaliśmy dotrzymać obietnicy.**

**Alphonse – nie ja – podniósł temat ewentualnej współpracy mojego klienta z departamentem sprawiedliwości w zamian za wycofanie oskarżenia.**

**–Bellarosa nie popełnił tego morderstwa – odpowiedziałem.**

**–Według nas popełnił – poinformował mnie pan Ferragamo. –**

**Ale coś panu powiem. Jeśli będzie chciał mówić, porozmawiam z Waszyngtonem i może uda się uzyskać dla niego pełny immunitet.**

**–A co z rozgrzeszeniem? – zapytałem.**

**Ferragamo zachichotał.**

**–To sprawa pomiędzy nim a jego księdzem – odparł. – Mówię o zawieszeniu śledztwa w zamian za wartościowe informacje.**

**Wartościowe informacje? Jakimi informacjami według tego głupiego sukinsyna dysponują wielcy Donowie – danymi na temat siatki bukmacherów na Staten Island? Bellarosa posiadał mnóstwo wartościowych informacji; ale nie miał bynajmniej ochoty podzielić się nimi z departamentem sprawiedliwości.**

**–Nietykalność za cokolwiek, co zezna pod przysięgą – dodał Alphonse i to nie było już to samo, co pełny immunitet w zamian za zwykły donos. Ten facet sprytnie to rozgrywał. Przez chwilę się namyślałem. Gdyby Frank Bellarosa rzeczywiście zaczął śpiewać, nowojorska mafia nie zdołałaby się podnieść z upadku przez wiele lat, a może nawet w ogóle. I prawdopodobnie to jedno wystarczyłoby, aby jego paesanos chcieli go ujrzyć w grobie. Za dużo po prostu wiedział i miał za dobrą pamięć.**

**–Panie Ferragamo – oświadczyłem Alphonse'owi – mój klient nie wie nic na temat zorganizowanej przestępczości. A gdyby nawet wiedział, sądzę, że zamiast z panem wolałby rozmawiać na ten temat z prokuratorem stanowym.**

**To trochę zbiło z tropu Alphonse'a. Pozytywnym rysem naszej struktury władzy jest to, że można wykorzystywać jeden jej szczebel przeciwko drugiemu. Uczyli mnie tego na lekcjach wychowania obywatelskiego. No, może nie uczyli, ale powinni.**

**–To nie jest dobry pomysł, panie Sutter – stwierdził Alphonse. – To nie pogodzi pańskiego klienta z władzami federalnymi.**

**–Z kolei współpraca z wami nie pogodzi mego klienta z władzami stanu Nowy Jork.**

**–W porządku... postaram się uzyskać coś w rodzaju łącznego immunitetu. Czy o to właśnie wam chodzi?**

**–Być może. Mamy poza tym sześć mandatów za niewłaściwe parkowanie. Czy to też mógłby pan załatwić?**

**Kiedy usłyszałem, jak się śmieje, wiedziałem, że trzymam go w garści.**



–Proszę zatem przedstawić tę ewentualność swojemu klientowi, panie Sutter. Jest pan inteligentnym i rozsądnym człowiekiem. Być może ktoś taki jak pan zdoła przekonać Bellarosę, żeby zdecydował się na naprawdę mądre posunięcie.

–Przekażę mu treść naszej rozmowy.

Trzeba wam wiedzieć, że każdy amerykański prokurator marzy o tym, żeby choć raz w życiu dokonać czegoś w tym rodzaju – zmusić jakiegoś wielkiego twardziela, żeby śpiewał przez cały rok do mikrofonu i wydał tysiące innych twardzieli. Prawdę mówiąc, było to dla Franka całkiem dobre rozwiązanie. Propozycja Ferragamo sprowadzała się bowiem do tego, że oferował Bellarosie życie. Ale bardzo niewielu paśanos idzie na taki układ, a Frank był ostatnim człowiekiem w Ameryce, który przyjąłby ofertę władz. Skoro jednak Alphonse ją wysunął, musiałem sprawdzić, czy jest poważna, a następnie przekazać ją dalej.

–Obecnie, panie Ferragamo – poinformowałem prokuratora federalnego – domagamy się szybkiego rozpoczęcia procesu. W przeciwnym razie będę musiał zwrócić się do prasy.

–Sprawa jest gotowa, panie Sutter. Moje biuro ustala datę.

Bzdura.

–To świetnie. Kiedy będę mógł porozmawiać ze świadkami oskarżenia?

–Wkrótce.

Koszałki-opałki.

Trzeba wam wiedzieć, że prokuratorzy federalni rzadko kiedy rozmawiają bezpośrednio z obrońcami, a kiedy to robią, są na ogół trochę aroganccy i napastliwi. Pan Ferragamo przeczytał jednak prawdopodobnie to, co wypisywano o Johnie Whitmanie Sutterze w gazetach, i musiał dojść do wniosku, że jestem kimś ważnym, w związku z czym postanowił być dla mnie miły, przynajmniej dopóki mnie nie sprawdzi. Poza tym chciał, żebym namówił Franka do zdrady. Sprawę gmatwało mu tylko moje fałszywe zeznanie.

–Widziałem pana w telewizji któregoś wieczoru, panie Ferragamo, i nie podobała mi się pańska sugestia, jakobym skłamał mówiąc, iż widziałem mojego klienta.

–Nie powiedziałem dosłownie, że pan skłamał, nie wymieniłem też pańskiego nazwiska. Stwierdziłem tylko, że sprawdzamy alibi.



–Co oznacza, że wysłała pan pracowników departamentu sprawiedliwości, żeby znaleźli wśród moich sąsiadów i pracowników kogoś kto mógłby zaświadczyć, gdzie byłem czternastego stycznia tego roku.

Wcale mi się to nie podoba.

–Trudno, panie Sutter, to należy do naszych obowiązków. A pan mógł się po prostu pomylić i wziąć kogoś innego za Bellarosę. Mam rację?

–Wiem, kogo widziałem.

–No cóż, skoro tak pan twierdzi i nie boi się pan dziesięciu lat w więzieniu federalnym za składanie fałszywych zeznań, to mam nadzieję, że pan wie, gdzie pan był czternastego stycznia. Następnego dnia poleciał pan na Florydę na urlop, nieprawdaż?

Mamma mia, najpierw IRS, a teraz ten facet. Dlaczego wszyscy tak się uwzięli, żeby mnie zamknąć? Musi być coś prowokującego w moim sposobie bycia.

–Marnotrawi pan mój czas i pieniądze podatników, panie Ferragamo – odparłem. – Szanuję jednak pańską pracowitość i skrupulatność.

–Dziękuję. Proszę przemyśleć sobie to, co panu powiedziałem.

Może pan skorzystać z tych samych ulg, które uda nam się uzyskać dla pańskiego klienta.

Przygryzłem język, wargę i ołówek.

–Dziękuję za czas, który mi pan poświęcił – odparłem.

Następnego dnia przedyskutowałem całą rzecz z Jackiem Weinsteinem. Rozmowa odbyła się w jego biurze w Midtown, jako że nie omawia się takich spraw przez telefon. Streściłem to, co powiedział mi Alphonse Ferragamo, po czym dodałem:

–Wiem, jaka będzie odpowiedź Franka, Jack, ale jest to być może ostatnia szansa, żeby ocalił własną głowę i zaczął nowe życie.

Weinstein milczał przez kilka minut.

–Okay, John – powiedział w końcu – wyobraź sobie, że ja jestem Ferragamo, że oskarżam cię o złożenie fałszywych zeznań i że grozi ci dziesięć lat w więzieniu federalnym. Chcę, żebyś wyśpiewał mi wszystko, co wiesz na temat swoich

**przyjaciół, krewnych i wspólników, wszystko, co wiesz na temat ich oszustw podatkowych, naruszenia**

regulaminu giełdy, zażywania kokainy i marihuany, być może sztucznego zawyżania cen i innych drobnych przewinień, które podpatrzyłeś przez wszystkie te lata. Pakują więc do kryminału twoich współników, zamykają rodzinę twojej żony, twoją własną rodzinę i twoich starych kumpli ze szkolnej ławy. A ty wychodzisz na wolność. Co byś na to powiedział, John?

–Powiedziałbym: "Odpiardol się, Alphonse".

–Dokładnie tak. A u tych ludzi zakorzenione jest to o wiele głębiej, przyjacielu. To wywodzący się z zamierzchłych czasów brak zaufania do wszelkiego rodzaju władzy, coś w rodzaju pierwotnego kodeksu honorowego. Kodeksu, który każe milczeć. Capiśce?

–Tak, ale świat się zmienił, Jack. Naprawdę.

–Wiem o tym. Ale nikt ich dotąd o tym nie powiadomił. Spróbuj oznajmić Frankowi, że świat się zmienił i że ma wydać wszystkich swoich paesanos, co do jednego. Idź i powiedz mu to.

Wstałem, żeby się pożegnać.

–Przypuszczam, iż Frank wierzy, że jeśli będzie przestrzegał starych reguł, to uda mu się uratować stary świat.

–Chyba o to właśnie chodzi – odparł. – Ale musisz mu powtórzyć, co powiedział ci Ferragamo. Przeznacz na to nie więcej niż dwie minuty.

–Dobrze.

–Hej, jak ci się podoba nazwa firmy Weinstein Sutter?

Nie wzbudza specjalnego zachwyty, Jack.

–A co powiesz na Sutter, Weinstein Melzer? – odparłem uśmiechając się.

Roześmiał się.

–Melzer? Nie kolegowaliśmy się z tym facetem.

Mimo sprzecznych uczuć, które budziła we mnie perspektywa pozostawania na wolności całego i zdrowego Franka Bellarosy, opuściłem biuro Weinsteina ze świadomością, że zrobiłem to, co do mnie należało.

**Dla pewności jednak przedstawiłem Bellarosie ofertę Ferragamo.**

**Nie potrzebowałem na to całych dwóch minut – przerwał mi już po trzydziestu sekundach.**

**–Pierdolę go – oznajmił mi.**

**–Czy to twoja ostateczna decyzja?**

–Pierdolę jego i jego psa. Co on sobie, do cholery, wyobraża? Że z kim ma do czynienia?

–Facet próbuje po prostu różnych sztuczek. Nie bierz tego do siebie. Na tym polega jego praca.

–Pierdolę jego i jego pracę.

Duma silniejsza jest od zagrożenia. Prawda?

Któregoś wieczoru wybraliśmy się – ja, Frank, Lenny i Vinnie – do klubu strzeleckiego. Zeszliśmy do piwnicy razem z gromadą innych sportsmenów, wszyscy uzbrojeni w rewolwery i automaty, i przez całą noc prażyliśmy do papierowych tarcz popijając w przerwach wino. Świetna zabawa, prawie taka sama, jak strzelanie do ptaków w Hamptons, brakowało mi tylko jesiennego pejzażu, odzianych w tweed dżentelmenów, dojrzałego sherry i śpiewu ptaków.

Ale jak na Manhattan było całkiem nieźle.

Lenny i Vinnie okazali się naprawdę dobrymi strzelcami, czego, jak przypuszczam, powinienem się spodziewać. Przekonałem się o tym jednak w dość bolesny sposób, dopiero kiedy straciłem do nich około dwustu dolców.

Tak oto spędzałem miło czas na mafijnej strzelnicy razem z kochankiem mojej żony i jego koleżkami gangsterami, roznosząc w strzepy papierowe tarcze i zastanawiając się, czy nie lepiej bym zrobił angażując się na przykład do filmu. Wino uderzyło nam do głowy, strzelanina stawała się coraz gęstsza, a potem któryś z członków klubu dał Bellarosie w prezencie tarczę z wyrysowaną sylwetką Alphonse'a Ferragamo.

Rysunek nie dorównywał może szkicom Michała Anioła, ale nie był najgorszy; można było poznać Alphonse'a po sowich oczach, orlim nosie, wąskich wargach i całej reszcie. Frank zawiesił tarczę i z odległości dziesięciu metrów ułożył cztery z sześciu kul prosto w sercu. Nie był to zły wynik zważywszy, iż wyłopał tyle wina, że ledwo trzymał się na nogach. Cały incydent pozostawił jednak we mnie mieszane uczucia.

Kilka następnych dni upłynęło nam na przyjmowaniu gości i telefonowaniu. Nie wychodziliśmy w zasadzie z apartamentu. Wydawało mi się, że ktoś taki jak Bellarosa musi mieć

na mieście jakąś dziewczynę lub nawet kilka dziewczyn, względnie że zaprosi kogoś na jedną noc. Podczas całego naszego pobytu w "Plaza" nie zauważyłem jednak ani razu, żeby się źle prowadził. Może był po prostu wierny swojej żonie i swojej kochance.

Co się tyczy mojego skoku w bok, Bellarosa udzielił mi małego kazania.

–Nie zabraniam ci przyprowadzać tutaj kobiet – oświadczył – ale nie życzę sobie więcej reporterek. Ta kobieta próbowała od ciebie po prostu coś wyciągnąć.

–Mylisz się. Po prostu jej się spodobałem.

–Słuchaj, znam ten typ. Kręca dupą, żeby zrobić karierę. W moim fachu nie znajdziesz kogoś takiego.

To prawda, w jego fachu nie było ani jednej kobiety z jajami.

Gdyby nie udało mu się udowodnić morderstwa i wymuszania, zawsze można go było przyskrzytnić za dyskryminacyjną politykę w dziedzinie zatrudnienia.

–Mówię ci, mecenasie – ciągnął dalej – wolałbym, żebyś wdał się w pogaduszki z samym diabłem niż z jakąś puttana, która chce zrobić twoim kosztem karierę.

Cóż mogłem na to odpowiedzieć? Że zadurzyłem się w Jenny Alvarez i że to moja osobista sprawa? Nie było mi łatwo udawać świętoszka po tym, jak trzymając w ręku butelkę whisky zaciągnąłem panią Alvarez do sypialni. Rozumiecie? Ale czy naprawdę musiałem wysłuchiwać kazań od Franka Bellarosy? Może i musiałem.

–Męskie sprawy załatwia się między mężczyznami. Kobiety kierują się innymi zasadami – stwierdził Biskup.

–Mężczyźni też – poinformowałem go.

–Zgadza się. Ale tylko niektórzy. Rozumiesz? Moi rodacy nie.

Dlatego musiałem nadać ci honorowe włoskie obywatelstwo – powiedział i roześmiał się.

–Czy jestem Sycylijczykiem, czy neapolitańczykiem?

–Zrobię z ciebie rzymianina, bo bez przerwy wiercisz mi dziurę w brzuchu.

–Jestem zaszczycony.



**-To dobrze.**

**Faktem było, że świat Franka składał się wyłącznie z mężczyzn – prawie wszyscy byli Włochami i pochodzili albo z Sycylii, albo**

21 – Złote Wybrzeże t. II z okolic Neapolu, tak jak rodzina Bellarosy. Upraszczało to w znacznym stopniu reguły postępowania i prowadzenia interesów, z drugiej jednak strony niewiele nowych idei przenikało do tego zamkniętego świata.

Jack Weinstein nie pochodził oczywiście z południowych Włoch i był prawdopodobnie łącznikiem Bellarosy ze światem zewnętrznym.

Dowiedziałem się przypadkowo, że rodziny Bellarosy i Weinsteina poznały się w Williamsburgu. Trzeba wam wiedzieć, że w tej dzielnicy Brooklynu Włosi nie stanowili bynajmniej większości; dominowali Niemcy i Żydzi oraz w mniejszym stopniu Irlandczycy. Prawdziwy tygiel narodowości, żeby użyć nieścisłego terminu, nic się tu bowiem z niczym nie mieszało, nie mówiąc o tworzeniu wspólnego stopu, Bliskość, w jakiej funkcjonowały obok siebie w Williamsburgu różne kultury, sprawiła jednak, że tutejsi imigranci nie tworzyli tak szczelnych enklaw, jak to się działo w innych rejonach Nowego Jorku. Zamieszkujący Williamsburg Włosi, tacy choćby jak ci z parafii Świętej Łucji, chodzili do szkoły, a nawet przyjaźnili się z przedstawicielami innych narodowości. Wszystkie te informacje pochodziły od Franka Bellarosy, który nie użył co prawda słów tygiel i enklawa, ale i tak zrozumiałem, o co chodzi. Znali się, co bardzo mnie zaciekało, z Weinsteinem od wielu lat. Jack jednak, podobnie jak ja, nie miał ochoty i chyba nawet nie mógł, na mocy niepisanej konstytucji mafii, zostać Donem. Pełnił zatem u Bellarosy funkcję kogoś w rodzaju Henry'ego Kissingera – jeśli nie jest to zbyt daleko posunięta analogia. A ja? Kim byłem w klanie Bellarosy? Cóż, ja byłem rzymianinem, najdostojniejszym z nich wszystkich.

Wymeldowaliśmy się z "Plaza" w niedzielę i ruszyliśmy z powrotem na Long Island konwojem składającym się z trzech limuzyn wypełnionych po brzegi Włochami i włoskim żarciem.

Ja siedziałem w środkowym samochodzie razem z Bellarosą; we wnętrzu samochodu unosił się ostry zapach sera i dym cygar. Zastanawiałem się, czy będę musiał wygotować swoje ubranie, czy też raczej je spalić.

Co się tyczy Susan, potem już nie dzwoniła – przynajmniej nie do mnie. A ja nie odpowiedziałem na jej telefon i nie mogłem tego zrobić,

nawet gdybym chciał, wyrzuciłem bowiem do kosza jej nowy, zastrzeżony numer. Szczerze mówiąc, z niepokojem myślałem o przekroczeniu progu.

–Dziewczyny ucieszą się na nasz widok – stwierdził Bellarosa.

Nie odpowiedziałem.

–Myślą pewnie, że spędziliśmy upojne chwile. Kiedy tylko wyjeżdżasz w interesach, wydaje im się, że wybrałeś się na bal. A ty harujesz jak wół, żeby zarobić parę dolców. Zgadza się?

–Zgadza.

–Anna przyrządziła dzisiaj wszystkie moje ulubione potrawy – powiedział i wymienił niektóre z nich owym śpiewnym tonem, którego używają Włosi mówiąc o jedzeniu. Kilka z nich już znałem. Nie od parady jestem honorowym Włochem. Cała ta gadka o żarciu musiała pobudzić jego apetyt, bo rozerwał paczkę z biskwitami i rozwinął z papieru kawał sera, który pachniał jak skarpetki po ostrym treningu.

Pożyczył sztylet od Vinniego i zaczął kroić ser. Dyrektorski lunch.

–Chcesz trochę? – zapytał.

–Nie, dziękuję.

–Wiesz, jak w dzielnicy włoskiej nazywamy wóz do wywożenia śmieci?

–Nie wiem.

–Wagon restauracyjny – odparł i roześmiał się. – Opowiedz mi jakiś kawał.

–Słyszałeś o tym nierozgarniętym włoskim gangsterze, który próbował wysadzić w powietrze policyjny samochód?

–Nie.

–Przepalił sobie gębę na rurze wydechowej.

Spodobał mu się ten dowcip i odsunął nawet szybkę z pleksiglasu, żeby powtórzyć go Lenny'emu i Vinniemu, którzy śmieli się do rozpuku, choć mogłem się założyć, że nie zrozumieli pointy.

Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu, a ja zadumałem się nad obecnym stanem

**swoich spraw. Mimo dzielących nas nie rozwiązanych i wciąż skrywanych problemów, wciąż byłem adwokatem Franka i jeśli brać na serio jego słowa, także jego przyjacielem. I to chyba nie tylko dlatego (chciałem w to wierzyć), że stanowałem jednocześnie jego alibi i znajdowałem się w związku z tym pod specjalną ochroną, co nadawało naszym stosunkom trochę nienaturalny charakter.**

Właściwie jednak nie chciałem już być dłużej ani jego adwokatem, ani przyjacielem, ani alibi. Mogłem oznajmić mu to jeszcze przed kilkoma dniami, ale teraz, po rozprawie wstępnej, przecięcie łączącej nas pępowiny stało się nieco bardziej skomplikowane. Jako adwokatowi, a przez to funkcjonariuszowi wymiaru sprawiedliwości, groziło mi oskarżenie o złożenie fałszywych zeznań, mimo że nie zostałem formalnie zaprzysiężony. A gdybym odwołał teraz te zeznania, skreślono by mnie prawdopodobnie z listy adwokackiej, nie mówiąc już o strzale w tył głowy. Na tym również polegały uroki honorowego włoskiego obywatelstwa. Nie kończyły się na żłopaniu wina i obżeraniu się rigatoni; obejmowały również coś takiego jak omerta – nakaz milczenia – obejmowały zasadę "albo my ich, albo oni nas" i niewypowiedzianą przysięgę lojalności, którą musiałem złożyć Frankowi Bellarosie, uznając go tym samym za swojego Dona. Mamma mia, coś takiego nie powinno się było przydarzyć członkowi Kościoła Episkopalnego.

Bellarosa nadział kawałek sera na nóż i podsunął mi pod nos.

–Masz. Denerwujesz mnie, kiedy nie jesz. Mangia.

Wziąłem ser i wbiłem w niego zęby. Był całkiem niezły, ale śmierdział.

Bellarosa obserwował mnie z satysfakcją.

–Dobry?

–Molto bene. – Byliśmy już teraz nie tylko współnikami zbrodni; łączyły nas wspólne gusta i wspólne wyrażenia.

–Słuchaj, wiem, że masz do mnie pretensje o różne rzeczy – powiedział po kilku minutach ciszy – na przykład o to, że podłożyłem ci świnię w tej sprawie z Melzerem. Ale, jak już ci raz mówiłem, nie zawsze można wyrównać rachunki. Czasami człowiek musi przyjąć uderzenie i cieszyć się, że w ogóle stoi. Następnym razem jest już trochę mądrzejszy i twardszy.

–Dziękuję, Frank. Nie zdawałem sobie sprawy, ile dla mnie zrobiłeś.

–Przeciwnie, zdawałeś.

–Proszę cię tylko o jedno. Nie wyświadczaj mi więcej żadnych uprzejmości. Dobrze?

–Dobrze. Mogę ci za to udzielić dobrej rady, gratis. Ty też nie wyświadczaj mi żadnych takich uprzejmości. Nie rozmawiaj z różnymi

dziennikarskimi dziwkami i nigdy nie zaprzataj sobie głowy, w jaki sposób mógłbyś wyrównać ze mną rachunki. Mówię ci to dla twego własnego dobra. Lubię cię i nie chcę, żeby ci się coś stało.

–Zrozum, Frank, nie jestem takim jak ty miłośnikiem vendetty.

Przyjąłem uderzenie i czegoś mnie to, jak sam ująłeś, nauczyło. Ale gdybym chciał ci się zrewanżować za tę historię z Melzerem i inne historie, to gwarantuję ci, że zrobiłbym to tak, żebyś o niczym nie wiedział. Zostawmy więc przeszłość w spokoju, zakończmy nasze wspólne interesy i rozstańmy się jak przyjaciele. Capisce?

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

–Masz dość sprytu, żeby próbować mnie załatwić, ale wiesz, co ci powiem? Nie jesteś na to dość twardy.

–Zrób mnie znowu w konia, to zobaczymy.

–Naprawdę?

–Naprawdę.

Widziałem, że wyraźnie nie był ze mnie zadowolony.

–No cóż – stwierdził po chwili namysłu – nie mam zamiaru robić cię w konia, więc nigdy się nie przekonamy. W porządku?

–Jasne.

Wyciągnął do mnie rękę. Uścisnęliśmy sobie dłonie, nie byłem jednak pewny, co pieczętujemy tym uściskiem; nie sądziłem także, by on to wiedział. Bellarosa nie wierzył, że porzuciłem myśl o zemście, a ja – że nie zrobi mnie na szaro, kiedy tylko będzie widział w tym dla siebie jakąś korzyść.

–Słuchaj, wpadnij dzisiaj do nas na kolację – powiedział ugodowym tonem, kiedy zbliżaliśmy się do zjazdu na Lattingtown. – Mamy mnóstwo żarcia. Anna zaprosiła gromadę ludzi. Sami krewni. Żadnych znajomych z pracy.

–Czy jesteśmy spokrewnieni?

–Nie, ale to zaszczyt być zaproszonym na rodzinne przyjęcie.

–Dziękuję – odparłem nieokreślonym tonem. – Świetnie. Przyjdź razem z Susan.

**Anna chyba z nią już rozmawiała. Wiesz co, mam pomysł. Zrobimy z tego przyjęcie z okazji odsłonięcia obrazu. Będą tam wszyscy, których chciałem na nie zaprosić.**

**Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wszyscy oprócz mnie od dawna wiedzieli o całej sprawie. W cywilizowanej, podmiejskiej społeczności można to było uznać za przyjacielski fortel, sposób na pogodzenie skłóconej pary. Ale Frank Bellarosa chciał jak zwykle upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.**

**–Twoja żona będzie gościem honorowym – powiedział. – Nie masz nic przeciwko temu?**

**Szczerze mówiąc, perspektywa spędzenia wieczoru na wydałym z okazji powrotu Dona, rodzinnym włoskim przyjęciu – razem! z moją występującą w roli honorowego gościa, wiarołomną małżonką – nie była wcale tak pociągająca, jak mogłoby się komuś wydawać,**

**–W porządku? Czekam na was o szóstej.**

**Vinnie wybuchnął nagle śmiechem,,-odsunął szybkę z pleksiglasu i wlepił we mnie gały.**

**–Przepalił sobie gębę na rurze wydechowej. Zrozumiałem.**

**Powinienem był wracać do domu pociągiem.**

**Rozdział 33 Konwój skręcił w stronę Stanhope Hall i potoczył się zwirowaną aleją po świeżo nabytym lennie Bellarosa, aż dotarliśmy do małej enklawy, będącej własnością Susan Stanhope, gdzie pożegnałem się z moimi przyjaciółmi gangsterami i ruszyłem z walizką w ręku ku drzwiom wejściowym.**

**Na podjeździe stał jaguar Susan, ale kiedy ma się do czynienia z osobami jeżdżącymi konno, nie oznacza to koniecznie, że ktoś jest w domu i rzeczywiście – w środku nie było żywej duszy. Radosne powitanie zostało zatem nieco przesunięte w czasie.**

**Poszedłem do mojego gabinetu, skasowałem dwadzieścia sześć wiadomości, które zarejestrowała moja automatyczna sekretarka, po czym wrzuciłem do kominka plik faksów nie zadając sobie trudu ich przeczytania. Poczty przejrzałem, szanuję bowiem ręcznie pisane listy.**

**Znalazłem jeden, od Emily, i odłożyłem go na bok. Całą resztę, składającą się z listów urzędowych, rachunków, ogłoszeń i podobnego rodzaju śmieci, również wrzuciłem do ognia. Następnie usiadłem i przeczytałem list od Emily.**

**Drogi Johnie,**

**Skąd, na Boga, wytrzasnąłeś ten okropny krawat? Regulowałam, jak mogłam, kolor w telewizorze, ale gryzł się z garniturem tak długo, aż Ci pozieleniała Twoja fizys. Widzę również, że nadal nie nosisz przy sobie grzebienia.**

**Widziałam tę Latynoskę – nazywa się chyba Alvarez – / albo Cię nienawidzi, albo się w Tobie kocha. Musisz to sprawdzić. Gary i ja czujemy się świetnie. Przyjeżdżaj jak najprędzej!**

**Całuję Cię,**

**Siostra**



Schowałem list do szuflady i poszedłem do kuchni. Mieści się tam nasze rodzinne centrum informacyjne, znane wcześniej pod nazwą dziennika pokładowego, ale jedyna wiadomość, jaką mogłem w nim przeczytać, brzmiała: "Weterynarz do Zanzibara, wtorek, przed południem".

Mam w dupie Zanzibara. Ta bestia nie potrafi nawet czytać, nie mówiąc o tym, że nie wolno jej wchodzić do kuchni.

Zaniósłem moją walizkę na górę, do byłej sypialni pana domu, która była teraz sypialnią pani domu, i postawiłem ją w kącie pokoju.

Przebrałem się w dżinsy, dockside'y oraz podkoszulek i wszedłem do łazienki. W ustach ciągle czułem smak tego sera, użyłem więc miętowego odświeżacza oddechu, ale bez rezultatu. To świństwo krążyło w moich żyłach.

Wyszedłem z domu i wsiadłem do mojego forda, który nie chciał zapalić po tak długiej przerwie. George'a Allarda naprawdę nie było wśród żywych. W końcu jednak udało mi się uruchomić silnik i ruszyłem w stronę bramy. Wybierałem się na przystań obejrzeć łódź, kiedy jednak zbliżyłem się do stróżówki, wyszła z niej i stanęła na drodze Ethel, ubrana w swoją niedzielną sukienkę w kwiatki. Zatrzymałem samochód i wysiadłem.

–Witaj, Ethel.

–Witam, panie Sutter.

–Jak zdrowie?

–Znakomicie.

–Dobrze wyglądasz. – Właściwie nie wyglądała najlepiej, ale staram się być miły wobec wdów, sierot i osób upośledzonych.

–Moje stanowisko nie upoważnia mnie do uwag tego rodzaju, panie Sutter – oznajmiła – ale moim zdaniem prasa wyrządza panu krzywdę.

Czy to aby na pewno Ethel Allard? Czy naprawdę użyła słynnej frazy George'a "moje stanowisko nie upoważnia mnie do uwag tego rodzaju"? W tę kobietę wcielił się najwyraźniej duch jej męża.

–To bardzo miło, że tak pani uważa, pani Allard – odparłem.

–To musi być dla pana bardzo męczące, sir.

**Podniosłem chyba oczy do nieba, żeby sprawdzić, czy zza chmurki nie uśmiecha się do mnie George.**

**–Przykro mi z powodu kłopotów, jakich przysparzają pani nieproszeni goście.**

–Nie ma o czym mówić, sir. To moja praca.

Naprawdę?

–Tak czy inaczej, wdzięczny jestem, że cierpliwie to znosisz.

Obawiam się, że to może jeszcze trochę potrwać.

Kiwnęła głową, a właściwie skłoniła ją w ten sam sposób, w jaki czynił to George, kiedy chciał pokazać, że słyszy i rozumie. Rozmowa robiła się nieco niesamowita, cofnąłem się więc do samochodu.

–Dbaj o siebie – powiedziałem.

–Pani Sutter i ja byliśmy dziś w kościele – poinformowała mnie.

–To wspaniale.

–Powiedziała, że można się pana dzisiaj spodziewać.

–Tak.

–Prosiła, żebym panu przekazała, że dziś po południu będzie na terenie posiadłości. Może być w ogrodzie, przy stajni albo jeździć konno. Prosiła, żeby pan jej poszukał. – Ethel zawahała się przez chwilę. – Przez kilka ostatnich dni była bardzo odmieniona – dodała.

Podobnie jak i ty, Ethel. Podobnie jak wszyscy w tej okolicy.

W tym momencie oddałbym wszystko, żeby znaleźć się znów w kwietniu, kiedy świat był bezpieczny i nudny. Nie miałem ochoty widzieć się z Susan; chciałem obejrzeć łódź, nie mogłem jednak tak po prostu zignorować wiadomości przekazanej mi przez Ethel.

–Dziękuję – powiedziałem. – Rozejrzę się po okolicy.

Wsiadłem do samochodu, zawróciłem i ruszyłem z powrotem.

Zajechałem pod stajnię i zajrzałem do środka, ale Susan tam nie było, chociaż stały oba konie. Włączyłem napęd na cztery koła i ruszyłem na przełaj ku Stanhope Hall, żeby sprawdzić, czy nie piele warzyw w położonym na tarasach ogrodzie. Minąłem altankę i labirynt: nigdzie ani śladu Susan.

**Jeżdżąc tak po całej posiadłości, zdawałem sobie świetnie sprawę z tego, że nie jest już własnością Stanhope'ów, lecz Bellarosa i że należy do niego nawet aleja, łącząca mnie z Grace Lane (choć miałem nadzieję, że facet, który prowadził sprzedaż dla Williama, był dość inteligentny, by umieścić w kontrakcie klauzulę dotyczącą prawa przejazdu). Cóż mnie to jednak w gruncie rzeczy obchodziło, skoro nie byłem nawet właścicielem domu gościnnego? Susan i Frank mogli się łatwo dogadać w sprawie przejazdu. Uważacie może, że się nad sobą użalam? Postawcie się jednak na moim miejscu:**

człowieka pozbawionego ziemi, pieniędzy, wpływów, pracy, a na dodatek rogakza. Ale byłem również wolny. I ten stan mógł trwać tak długo, dopóki nie okażą się na tyle głupi, żeby odzyskać wszystko: ziemię, pieniądze, wpływy, pracę i żonę. Nieważne. Mijając święty gaj zauważyłem leżący na kamiennej ławce słomkowy kapelusz i zatrzymałem samochód. Wsiadłem. Tuż obok leżał związany wstążką z kapelusza bukiet polnych kwiatów.

Po krótkim wahaniu wszedłem pomiędzy drzewa. Śliwy posadzone były w dużych odstępach i, mimo że z czasem zdziczały, sad nie był zbyt gęsty.

Zobaczyłem w pewnej odległości, jak szła w białej bawełnianej sukience, z wiklinowym koszykiem w ręku. Zbierała nieliczne i z rzadka rosnące w tym wymierającym sadzie śliwki. Przez chwilę patrzyłem na nią i chociaż w cętkowanym słonecznym świetle nie widziałem dobrze jej twarzy, wyglądała na przygnębioną. Jeśli ta cała scena wydaje wam się trochę za bardzo wyreżyserowana, to zapewniam was, że odniosłem to samo wrażenie. Powiedziała przecież Ethel, żebym jej poszukał.

Z drugiej strony, Susan nie uprawia na ogół tego rodzaju manipulacji i w ogóle niechętnie posługuje się kobiecymi sztuczkami. Skoro więc zadała sobie tyle trudu, już to samo mówiło za siebie. Gdybym odnalazł ją pielęgnującą warzywa, które dostała w prezencie od Bellarosy, to także miałoby swoją wymowę. Zgadza się? No, dosyć tej ogrodowej psychologii. Susan, która zorientowała się chyba, że nie jest sama, obróciła się ku mnie i niepewnie uśmiechnęła.

Wyobraźcie nas sobie teraz biegnących ku sobie w zwolnionym tempie przez święty gaj – rozsuwają się przed nami gałęzie, frunie odrzucony w bok wiklinowy koszyk, promienie słońca oświetlają nasze uśmiechnięte twarze, wyciągają się ramiona. Spróbujcie to sobie wyobrazić.

A teraz popatrzcie na Johna Suttera, stojącego z rękami w kieszeniach dżinsów i przyglądającego się swojej żonie z chłodną obojętnością. Obejrzyjcie sobie zbliżenie twarzy Susan, na której niepewny uśmiech staje się coraz bardziej niepewny.

Tak czy owak, ruszyła w moją stronę.

–Cześć, John! – zawołała.

–Cześć.

Szła ku mnie, kołysząc lekko koszykiem. Wydawała się bardziej

opalona niż przed pięcioma dniami, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni – zniknęły gdzieś wszystkie jej piegi. Zauważyłem, że była boso, a sandały trzymała w koszyku. Wyglądała w tej chwili na jakieś dziewiętnaście lat i kiedy stanęła w odległości kilku stóp ode mnie, poczułem, jak serce wali mi w piersi. Wyjęła śliwkę z koszyka i podsunęła mi.

–Chcesz?

Miałem przodka, który przyjął kiedyś owoc od kobiety w ogrodzie i wpadł przez to w poważne tarapaty.

–Nie, dziękuję – odparłem.

Staliśmy przez chwilę bez ruchu.

–Ethel powiedziała mi, że chcesz ze mną mówić – odezwałem się w końcu.

–Tak, chciałam powitać cię w domu.

–Dziękuję, ale to nie jest już mój dom.

–Twój, John.

–Zrozum, Susan, jedną z pierwszych rzeczy, jaką uświadamiają sobie ci z nas, którzy nie urodzili się w pałacu, jest to, że nie można jednocześnie mieć ciastka i go zjeść. Za uleganie zachciankom płaci się swoją cenę. Ty dokonałaś wyboru i musisz teraz ponieść konsekwencje swojego postępowania.

–Dziękuję ci za protestanckie kazanie w stylu klasy średniej.

Masz rację, że zostałam inaczej wychowana, ale od tego czasu o wiele lepiej od ciebie przystosowałam się do nowej rzeczywistości. Byłam dla ciebie dobrą żoną, John, i zasługuję na lepsze traktowanie.

–Naprawdę? Czy to oznacza, że zaprzeczasz, iż przespałaś się z Bellarosą?

–Tak, zaprzeczam.

–Nie wierzę ci.

Poczerwieniła na twarzy.

–Dlaczego w takim razie nie zapytasz jego?

**–Nie muszę go pytać, Susan, ponieważ powtórzyłaś mu treść naszej rozmowy. Jak mogę wierzyć tobie albo jemu, kiedy nie ulega żadnej wątpliwości, że jesteście w zмовie. Uważasz mnie za idiotę?**

**–Nie, jesteś byстрыm adwokatem. Ale stałeś się przesadnie podejrzliwy i cyniczny. – Przerwała na chwilę i spojrzała na mnie. – W jednym przyznaję ci rację. Frank i ja staliśmy się dobrymi przyjaciółmi i owszem, rozmawiamy ze sobą, rozmawiamy o tobie**

i o rzeczach, o których prawdopodobnie nie powinniśmy rozmawiać.

Przepraszam cię za to.

Spojrzałem jej prosto w oczy i naprawdę chciałem jej uwierzyć.

Niestety zbyt wiele było poszlak, świadczących o tym, że sprawa ma się inaczej.

–Susan – odezwałem się – powiedz, że miałaś z nim romans a ja ci wybaczę. Nie stawiam żadnych warunków i nigdy nie poruszymy więcej tej kwestii. Masz na to moje słowo. Ale musisz mi to powiedzieć teraz, w tej chwili. Dosyć kłamstw. To jest oferta jednorazowa.

–Powiedziałaś mi, do czego sprowadzały się nasze stosunki – odparła. – Były bliskie, ale nie seksualne. Być może były zbyt bliskie i to się zmieni. Jeszcze raz przepraszam/cię za to, że mu się zwierzałam.

Rozumiem, że mogło cię to zdenerwować. Jesteś jedynym mężczyzną, którego potrzebuję. Tęskniłam za tobą – dodała.

–Ja też za tobą tęskniłem – odparłem i była to prawda.

Nieprawdziwe było tylko jej przyznanie się do mniejszej zbrodni. To stary trik. Wiedziałem, że to nas do niczego nie doprowadzi. Susan to twarda sztuka i nawet gdyby miała stać za barierką dla świadka przez bite osiem godzin, a ja stosowałbym wobec niej najostrzejsze chwytówy,, nie sądzę, by udało mi się ją złamać. Zdecydowała, że będzie kłamać albo, dokładniej rzecz biorąc – dla swoich własnych celów podjął za nią tę decyzję Bellarosa. Czuję, że gdyby chodziło o kogokolwiek innego, wyznałaby mi prawdę. Ale ten człowiek miał nad nią taką władzę, że mogła kłamać mi prosto w oczy, choć było to przeciwne całemu jej wychowaniu i naturze.

Czuję się gorzej, niż gdyby powiedziała po prostu: "Tak, pieprzyłam się z nim przez trzy miesiące". Właściwie, to nawet trochę się o nią bałem, była bowiem bardziej ode mnie podatna na manipulacje i słodkie słówka Bellarosy. Instynkt podpowiadał mi jednak, że nie jest to odpowiednia chwila, żeby dalej ją cisnąć i kontynuować konfrontację.

–W porządku, Susan – powiedziałem. – Rozumiem, że uwiódł cię w inny sposób. I owszem, twoje stosunki z nim budzą mój gniew i zazdrość, nawet jeśli to nie był seks. Wolałbym, żeby były czysto fizycznej, a nie metafizycznej natury.

Nie było to oczywiście prawdą, ponieważ przede wszystkim jestem samcem, a



dopiero w drugiej, trzeciej, czwartej albo jeszcze dalszej kolejności – wrażliwym, inteligentnym, nowoczesnym mężem. Wydało mi się jednak, że tak właśnie trzeba odpowiedzieć na jej przyznanie się do uczuciowej niewierności.

–On uwiódł również ciebie, John – powiedziała.

–Tak, to prawda.

–Możemy zatem pozostać przyjaciółmi?

–Możemy nad tym popracować. Ale nadal denerwuje mnie wiele rzeczy. Ciebie też, być może.

–Tak, jestem zła, bo oskarżyłeś mnie o zdradę i od kilku miesięcy byłeś uczuciowo obojętny.

–Cóż – powiedziałem – może przez jakiś czas powinniśmy żyć w separacji?

Przez chwilę wydawała się to analizować.

–Wolałabym, żebyśmy postarali się rozwiązać nasze problemy mieszkając razem – odparła. – Nie musimy ze sobą spać, chciałabym jednak, żebyś dalej mieszkał w naszym domu.

–Twoim domu.

–Kazałam moim adwokatom przepisać tytuł własności na oba nasze nazwiska. Życie pełne jest niespodzianek, nieprawdaż?

–Kaź im, żeby tego nie robili – powiedziałem.

–Dlaczego?

–Nie chcę posiadać nic trwałego teraz, kiedy mam problemy z podatkami. W każdym razie nic, co by pochodziło od ciebie. Ale dziękuję za piękny gest.

–W porządku. No więc jak, zostajesz?

–Muszę się namyślić. Mam zamiar spędzić kilka dni na morzu.

Obawiam się, że nie będę mógł uczestniczyć dziś wieczorem w uroczystym odsłonięciu obrazu.

–Jeśli chcesz – oznajmiła – powiem... Annie, żeby to odwołała.

–Nie, Anna byłaby rozczarowana. Przekaż jej moje przeprosiny.

**–Przekażę.**

**–Zobaczymy się za kilka dni – powiedziałem i odwróciłem się, żeby odejść.**

**–John?**

**–Tak?\* – Przypomniałam sobie właśnie, że któregoś dnia wpadł tutaj pan Melzer. W czwartek albo piątek.**

–Tak?

–Powiedział, że miałeś dokonać jakiejś wstępnej wpłaty na poczet zaległych podatków.

–Poinformowałaś go, że nie dostaliśmy jeszcze pieniędzy za dom w East Hampton?

–Tak. Powiedział, że zobaczy, co się da zrobić, ale miał nietęgą minę.

–Skontaktuję się z nim. – Zawahałem się przez chwilę. – Mamy przed sobą długą drogę, Susan – stwierdziłem.

Kiwnęła głową.

–Może powinniśmy wyjechać stąd razem – powiedziała – kiedy tylko uda się wszystko załatwić. Tylko ty i ja. Jeśli chcesz, moglibyśmy popłynąć na Karaiby.

Naprawdę pełna była dobrych chęci, ja zaś nie. Uraz był zbyt głęboki, a kłamstwa w niczym go nie łagodziły. Opanowało mnie nagłe pragnienie, żeby powiedzieć jej, że spędziłem noc z telewizyjną dziennikarką, i naprawdę zrobiłbym to, gdybym sądził, że przyniesie to jakąkolwiek korzyść Susan albo mnie. Nie czułem się jednak w najmniejszym stopniu winny i nie musiałem się wcale przyznawać, podobnie jak Susan nie musiała wysłuchiwać wyznania, które złożyłbym z czystej chęci odwetu.

–Pomyśl o tym rejsie, John.

–Pomyślę.

–Aha, dzwonili Edward i Carolyn. Przesyłają ci wyrazy miłości.

Są w trakcie pisania listów, ale może im to zabrać trochę czasu – powiedziała z uśmiechem.

–Zadzwońię do nich, kiedy wrócę. Do zobaczenia za kilka dni.

–Uważaj na siebie, John. Naprawdę nie powinieneś sam wypływać.

–Nie będę wypływał poza cieśninę. Żadnych numerów. Nic mi się nie stanie. Przyjemnej zabawy dziś wieczorem – dodałem, po czym odwróciłem się i odszedłem.

–Nie wypływaj beze mnie na Karaiby! – zawołała za mną.

Godzinę później, po krótkim przystanku w delikatesach w Bayville, gdzie

**zaopatrzyłem się w piwo, kiełbaski i chleb, zajechałem pod jachtklub. Można przeżyć trzy dni o piwie, kiełbaskach i chlebie – dopiero potem człowiek zapada na szkorbut i kurzą ślepotę.**

**Przeniosłem za jednym zamachem skrzynkę piwa i torbę z zakupami na pomost obok łodzi i już miałem dać susa na pokład, kiedy dostrzegłem zawieszony na relingu na dziobie kartonik w oprawie z przezroczystego plastiku. Pochyliłem się i przeczytałem jego treść:**

# OSTRZEŻENIE

Własność skonfiskowana przez rząd Stanów Zjednoczonych Własność ta została zajęta na mocy nakazu wydanego przez Okręgowy Inspektorat Krajowego Urzędu Podatkowego (Internal Revenue Service) na poczet zaległych podatków, których nie uiścił w terminie John Sutter.

Osoby w jakikolwiek sposób naruszające tę własność podlegać będą surowej odpowiedzialności karnej.

Internal Revenue Service Gapiłem się przez chwilę na kartonik, próbując zrozumieć, jakim cudem to świństwo znalazło się na mojej łodzi. Minęła cała minuta, nim wyprostowałem się i załadowałem prowiant na pokład.

Odbijając od brzegu zobaczyłem ludzi gapiących się na mnie z sąsiednich łodzi. Cóż, jeśli potrzebne mi było ostateczne upokorzenie, właśnie go doznawałem. Z drugiej strony, mogło być jeszcze gorzej.

Nie zapominajmy, że w czasach kolonialnych, w tym samym miejscu, na Long Island, ludzi zamykano w drewnianych klatkach i pławiono w stawach, a także tarzano w smole i piórach, stawiano pod pręgierzem i publicznie chłostano. Więc jeden mały kartonik nie był w końcu taki straszny. Nie musiałem go przynajmniej nosić na szyi.

Włączyłem silnik i wypłynąłem "Paumanokiem" na wody zatoki.

Zauważyłem, że na drzwiach do kabiny wisi taka sama wywieszka, jak ta na relingu. Kolejna przyczepiona była do grotmasztu. Nie mogłem się potem tłumaczyć, że niczego nie zauważyłem, prawda?

Wyłączyłem silnik i pozwoliłem łodzi dryfować z prądem i wiatrem.

Było późne popołudnie, przyjemna sierpniowa niedziela, trochę chłodniej niż zwykle, ale to mi nie przeszkadzało.

## 335

Naprawdę brakowało mi tego podczas pobytu na Manhattanie: zapachu morza, nie ograniczonego niczym horyzontu, izolacji i ciszy.

Otworzyłem puszkę piwa, usiadłem na pokładzie i wypłem ją duszkiem.

Zrobiłem sobie kanapkę z kielbasą, po czym wypłem następne piwo.

Po pięciu dniach zamawiania dań z karty, obsługi hotelowej i wizyt w restauracjach, przyjemnie było zrobić sobie samemu kanapkę z kielbasą i popić piwem prosto z puszki.

Uporałem się w ten sposób z połową skrzynki, dryfując po zatoce i zastanawiając nad sensem życia, a konkretnie nad tym, czy właściwie postąpiłem z Susan. Doszedłem do wniosku, że tak. Nie rzuciłem jej co prawda prosto w twarz, że nie wierze/w jej bajeczkę, ale to chyba dobrze, nie mogłem bowiem zapominać, że moja żona jest osobą, delikatnie mówiąc, nie zrównoważoną. Nie chciałem niszczyć ani jej, ani naszego małżeństwa. Naprawdę dążyłem do pozytywnego rozwiązania.

Wciąż byliśmy w sobie zakochani, z drugiej jednak strony nie ma nic bardziej niefortunnego niż małżonkowie, którzy dalej ze sobą żyją, mimo że jedno z nich ma romans na boku, a drugie świetnie zdaje sobie z tego sprawę. (To, co zrobiłem, nazywa się daniem ostatniej szansy. Susan miała romans. Bellarosa wyjaśnił to wtedy, podczas wspólnej kolacji w "The Creek". Zgadza, się?) No więc dobrze, można ze sobą nie sypiać, ale nie trzeba zaraz się rozstawać ani występować o rozwód. Zwłaszcza jeśli obie strony są nadal zaangażowane uczuciowo. Istnieją naturalnie inne, mniej cywilizowane reakcje: urządzi się wielką scenę albo jednej ze stron odbija szajba i dochodzi do aktów przemocy. Jednak w tym przypadku cała sprawa rozwinęła się w tak dziwaczny sposób, że sam czułem się częściowo odpowiedzialny.

Właściwie Susan nie powiedziała wprost, że miała romans z naszym najbliższym sąsiadem i to trochę komplikowało sytuację. Żeby posłużyć się analogią prawniczą, przedstawiłem jej zarzuty, ale nie dostarczyłem żadnego dowodu, a oskarżona skorzystała z przysługującego jej prawa do odmowy zeznań, dąsów i nieobecności duchem. I chociaż Bellarosa milcząco przyznał się do winy, w przypadku Susan dysponowałem wyłącznie dowodami poszlakowymi. Oboje doszliśmy więc, jak sądzę, do wniosku, że jeżeli będziemy unikali tego tematu i w ogóle unikali siebie nawzajem, być może uznamy w końcu, iż nic złego się nie stało.

Przypominało to trochę d rebours nasze seksualne fantazje; mieliśmy

posłużyć się naszymi talentami aktorskimi, żeby udawać, że to, co się wydarzyło, jest po prostu kolejnym naszym erotycznym melodramatem – tym razem zatytułowanym John podejrzewa Susan o zdradę.

Przy dziesiątym albo jedenastym piwie uświadomiłem sobie, że główną przeszkodą na drodze do naszego prawdziwego i trwałego pojednania jest Frank Bellarosa.

Tymczasem jednak niebo pociemniało, mewy pikowały w dół i pora była wracać. Niepewnie wstałem, zszedłem do kabiny i wyjąłem z uchwytów wiszący na ścianie toporek. Przeszedłem do toalety na dziobie, zamachnąłem się i wyrąbałem w kadłubie ze szklanego włókna pięciocalową dziurę, poniżej linii wodnej. Wyszarpnąłem ostrze i patrzyłem, jak strumień morskiej wody spływa po kadłubie pomiędzy umywalką a prysznicem. Zamachnąłem się jeszcze kilka razy, powiększając dziurę. Woda wdarła się do środka, zalewając podłogę i przedostając się szybko do sąsiedniej kabiny.

Wyszedłem na pokład, otworzyłem skrzynkę flagową, wyciągnąłem z niej siedem proporczyków, przymocowałem do linki flagowej i wciągnąłem na grotmaszt.

Dumny ze swojej głupoty, przeszedłem chwiejnym krokiem na rufę przechylającego się na prawą burtę "Paumanoka" i wydobyłem spod siedzenia małą niezatapialną tratwę ratunkową. Wrzuciłem do niej pozostałe puszki piwa, dwa małe wiosła i usiadłem w środku. Otworzyłem piwo i golnąłem sobie, podczas gdy mój jacht zanurzał się coraz głębiej w wodzie.

Morze zalało najpierw prawą burtę. Woda obryzgała przechylony pokład i uniosła o kilka cali moją tratwę.

"Paumanok" tonął powoli, w końcu jednak nad rufą zamknęła się tafla wody i tratwa podryfowała swobodnie. Patrzyłem na swój jacht, jak przechylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni niespiesznie pogrąża się w morzu. Z wody wystawał jeszcze dziób i maszt, na którym powiewało siedem proporczyków, dumnie oznajmiających światu: "Mam was w dupie".

Zrobiło się już prawie zupełnie ciemno i trudno było dostrzec jacht z dryfującej tratwy, wciąż jednak widziałem sterczące prawie prostopadle z wody maszt i proporczyki. Najwyraźniej kil dotknął dna i moja łódź dotarła do kresu swojej ziemskiej wędrówki.

Przez jakiś czas dryfowałem swobodnie, opróżniając kolejne puszki

22 – Złote Wybrzeże t. II piwa i dumając o tym i owym. To, co zrobiłem, było oczywiście rzeczą paskudną, nie mówiąc o tym, że stanowiło poważne naruszenie prawa Ale co z tego? Ktoś musiał się na mnie nieźle wziąć. Prawda?

Widziałem w tym rękę Alphonse'a Ferragamo i rękę pana Novaca A być może także rękę pana Mancuso i pana Melzera. "Nic dobrego nie przyniesie panu porywanie się z motyką na słońce." To prawda ale przyjemnie jest walczyć w dobrej sprawie. Żadnej przyjemności nie sprawiała mi za to utrata łodzi która przez wszystkie te lata stała się w jakiś półmistyczny sposób częścią mojej osoby. "Paumanok" był dla mnie zawsze oczkiem w głowie rakiętą niosącą mnie w odległe galaktyki, moim wehikułem czasu Dlatego właśnie mi go odebrano. Nieważne. Jak oznajmiały dumnie proporczyki, miałem to w dupie.

Oczywiście, gdybym nie był taki zawzięty i impulsywny, uiściłbym zaległe podatki i odzyskał łódź z powrotem, nie o to jednak chodziło Nie mogłem po prostu dopuścić, by "Paumanoka" użyto w charakterze fantu, by za jego pomocą wbijano mi nóż w plecy. To była dobra łódź i nie zasłużyła sobie na to, żeby wywieszano na niej tabliczki o konfiskacie. Wzniósłem więc do niej toast puszką piwa i ułożyłem się na dnie tratwy ratunkowej.

Gdzieś koło północy, po policzeniu miliardów gwiazd i wypowiedzeniu tuzina życzeń na widok spadających meteorów, zdrygnąłem się i usiadłem.

Wysączyłem ostatnią puszkę piwa, ustaliłem położenie tratwy i wziąłem się do wiosł. "Co złego może się jeszcze wydarzyć?" zapytałem sam siebie płynąc do brzegu. Nie powinno się jednak nigdy zadawać takich pytań.

## CZĘŚĆ VI

Dwie godziny po północy, w odległości dwu leguas ukazała się ziemia 12 października 1492 roku Krzysztof Kolumb, Dziennik pierwszej podróży Rozdział 34 Musisz koniecznie spróbować sfogliatelli – powiedział Frank Bellarosa.

Susan nałożyła sobie na talerzyk kolejne ciastko, obok dwóch, które również "musiała spróbować". Dziwne, ale ta kobieta, która mogłaby śmiało pozować do plakatów wzywających do pomocy głodującym, zmieściła w sobie wszystko, co "musiała spróbować" i nawet nie pozieleniała.

Anna Bellarosa właśnie się odchudzała i ogłosiła już w związku z tym sześć albo więcej razy, że tak tylko "dziobie widelcem".



**Jedzenia, które udało jej się w ten sposób wydziobać, starczyłoby na cały tydzień mieszkańcom slumsów Kalkuty. Na deser połknęła dwa ciastka, po czym osłodziła kawę tabletką sacharyny.**

**Scena miała miejsce u "Giulia"; była połowa września. Dokładnie mówiąc piątek, siedemnastego, i wkrótce dowiecie się, dlaczego ta data utkwiała mi w pamięci.**

**Co się tyczy uroczystego odsłonięcia, to, jak mi doniesiono, obraz wszystkim się spodobał i wszyscy świetnie się bawili. Niesamowite.**

**Gdybym chciał się tłumaczyć, dlaczego nie uczestniczyłem w wydarzeniu artystycznym roku, wymówkę miałem znakomitą: "Niestety, zajęty byłem właśnie zatapianiem własnej łodzi, żeby zrobić na złość federalnym". Co do tych ostatnich, to IRS jeszcze się do mnie nie zgłosiło i miałem poważne wątpliwości, czy w ogóle wiedzą o zniknięciu "Paumanoka". Nie znaczył dla nich tyle co dla mnie. Może był to w końcu tylko pusty gest, ale nie żałowałem, że się nań zdobyłem.**

I gdyby mnie na ten temat indagowano, oto co bym odpowiedział:

"Tak, zatopiłem swoją łódź, podobnie jak moi przodkowie zatopili w bostońskim porcie ładunek herbaty. Wypuście mnie na wolność albo skażcie na śmierć." W rzeczywistości groził mi prawdopodobnie rok odsiadki oraz sześciocyfrowa grzywna.

W tym czasie wyznaczona została ostateczna data sprzedaży domu w East Hampton i w ciągu kilku tygodni mogłem chyba spłacić wszystkie należności. Potem wolno mi było wbić się w strój pletwonurka i zdjąć z "Paumanoka" hańbiące tabliczki.

Jeśli idzie o sprawy małżeńskie, to dałem się ubłagać Susan i pozostałem w domu. Byliśmy jednak małżeństwem "tylko z nazwy", jak określa się pary, które mieszkają ze sobą i uczestniczą wspólnie w rodzinnych i towarzyskich ceremoniach, nie utrzymując jednak ze sobą stosunków seksualnych. Taki układ mógł wcale nie przeszkadzać naszym przodkom, ale dla większości współczesnych par to najgorsze z tego, co ma im do zaoferowania świat.

" Wracając do "Giulia", to nadal występowała tu ta gruba śpiewaczka. Śpiewała po włosku, przeważnie słodkie, melodyjne piosenki, zdarzały się jednak i smutne, od których pocily się oczy starym bywalcom, było też kilka wyuzdanych, sądząc po sposobie, w jaki je śpiewała, i po reakcji sali.

Klientela różniła się nieco od tej, którą zastaliśmy tutaj w porze lunchu. Oczywiście nie brakowało kilku podejrzanych typów o gangsterskim wyglądem, ale sporo było również wymuskanych mieszkańców górnego Manhattanu, ludzi, którym całe miejskie życie upływa na odkrywaniu nowych lokali, czyli miejsc nie znanych nikomu poza dwustoma siedzącymi akurat w środku osobami. Cóż, można było żywić nadzieję, że będą mieli co opowiadać po dzisiejszym wieczorze.

Przy stolikach siedziało także wielu wybrylantowanych młodzieńców w towarzystwie swoich narzeczonych, które wyglądały jak Anna w czasie, gdy nie musiała się jeszcze odchudzać, i nie mogły się wprost doczekać, żeby wyjść za mąż i upodobnić się do nadziewanego canneloyk. Był tutaj także ów stary, pokryty czterodniowym zarostem dziadek, gniotący miechy... jakże się to nazywa... concertiny, na której przygrywał grubej damie. Frank dał dziadkowi dwudziestaka, żeby zagrał Santa Luda, i musiał to być prawdziwy hit na tutejszej liście przebojów,

bo wszyscy się dołączyli, razem z Susan, która nie wiadomo skąd znała na pamięć cały włoski tekst. Szczerze mówiąc, to całkiem ładna piosenka i sam złapałem się na tym, że ją nucę. W wypełnionej zapachem czosnku i perfum sali panował ścisk i wszyscy byli w wybornym nastroju.

Susan wydawała się naprawdę zafascynowana lokalem i jego klientelą. Jej rzadkie wyprawy na Manhattan ograniczały się dotąd do Midtown, Broadwayu oraz East Side'u i od dobrych pięciu lat, kiedy to moja firma urządziła przyjęcie w Chinatown, nie odwiedziła prawdopodobnie żadnej dzielnicy zamieszkaanej przez mniejszości etniczne. Gdybym wiedział, że tak jej się to spodoba, zabierałbym ją do Little Italy, Chinatown, Spanish Harlem i w każde inne miejsce – byle tylko nie do "The Creek". Ale nie miałem o tym pojęcia.

Podobnie jak i ona.

Od czasu, kiedy zatopiłem "Paumanoka", wydarzyło się kilka rzeczy godnych wzmianki. Z ciepłych krajów powrócili do domu Edward i Carolyn, Edward mocno opalony, a Carolyn z głębszą wiedzą na temat narodu kubańskiego i pudełkiem Monte Cristo numer cztery. W ciągu tygodnia, który dzielił nas od Dnia Pracy\*, klan Sutterów raz jeszcze się złączył i właściwie dobrze się bawiliśmy, mimo że "Paumanok" spoczywał na dnie zatoki i nie posiadaliśmy już domu w East Hampton. Nawiasem mówiąc, nie przyznałem się od razu Susan do zatopienia łodzi i sprawa wyszła na jaw dopiero po powrocie dzieci, kiedy chciały wybrać się na żagle. Poprosiłem, żeby wszyscy usiedli i wygłosiłem krótkie przemówienie.

–Władze opieczętowały łódź – powiedziałem – i wyglądało to tak obscenicznie, że zabrałem ją na środek zatoki i zatopiłem. Wydaje mi się, że maszt wciąż tkwi tam nad powierzchnią wody i jeśli się nie mylę, widać na nim siedem flag sygnalizacyjnych, które głoszą wszem i wobec "Mam was w dupie". Mam nadzieję, że nie stanowi to zagrożenia dla żeglugi, a jeżeli stanowi, powinna się tym zająć Straż Przybrzeżna.

Przez dobrą minutę moja publiczność milczała osłupiała.

–Dobrze zrobiłeś – powiedział w końcu Edward. Carolyn przytaknęła, a Susan nie powiedziała nic. \* Dzień Pracy obchodzi się w Stanach w pierwszy poniedziałek września.

Wybraliśmy się w tym czasie na kilka jednodniowych wycieczek, obejrzelśmy przedstawienie na Manhattanie, kąpaliśmy się w Fox Point i nawet zagraliśmy pewnego dnia w golfa w "The Creek", chociaż miałem wrażenie, że niektórzy ze starych bywalców wyraźnie nas bojkotują. Następnego dnia wypisałem się z klubu – nie z tej samej przyczyny, co Groucho Mara, niegdysiejszy mieszkaniec Złotego Wybrzeża, który stwierdził, że nie będzie należał do żadnego klubu, który uważa go za członka – ale dlatego, że gdybym chciał tam dalej należeć, tam byłoby moje miejsce. A moje miejsce było gdzie indziej, nie mogłem więc tam należeć. Capiście?

Nazajutrz po Dniu Pracy Susan postanowiła, że odwiedzi swoich rodziców w Hilton Head i na kilka ostatnich dni szkolnych wakacji zostawiła mnie, Carolyn i Edwarda samych. Był to bardzo sympatyczny okres. Spędziliśmy go głównie w Stanhope Hall, jeżdżąc konno i spacerując po posiadłości. Carolyn postanowiła zrobić fotograficzny esej na temat majątku i to zabrało nam dwa dni – mnie przypadło w udziale sporządzenie rysu historycznego i podpisów pod zdjęciami, co wykonałem, jak mogłem najlepiej. Carolyn nie należy do osób sentymentalnych, ale sądzę, że zdała sobie sprawę, że nadarza się być może jedna z ostatnich okazji, żeby podjąć się czegoś takiego. Pewnej nocy Edward, Carolyn i ja wybraliśmy się ze śpiworami do pałacu i urządziliśmy sobie piknik przy świecach na marmurowej podłodze jadalni.

Wokół nas paliły się świece, pośrodku stała prawie pusta butelka wina.

–Zmieniłeś się, tato – powiedziała Carolyn.

–Czyżby? W jaki sposób?

–Jesteś teraz bardziej... dorosły – odparła po krótkim namyśle i uśmiechnęła się.

Odwzajemniłem jej uśmiech.

–I zmienia mi się głos – odparłem. Wiedziałem oczywiście, o co jej chodzi. W ciągu ostatnich kilku miesięcy musiałem sprostać wielu wyzwaniom i zmianom, przypuszczam zatem, że wywarło to pozytywny wpływ na mój charakter. Większość Amerykanów należących do wyższej klasy średniej tak naprawdę nigdy nie wchodzi w wiek męski – chyba że mają dość szczęścia, żeby pójść na wojnę, zbankrutować, rozwieść się i w ogóle napotkać na swojej drodze jakiegokolwiek poważne

przeciwności losu. Tego lata jaja porosły mi zatem włosami i czułem się z tego powodu dobrze i źle zarazem.

–Ty też uważasz, że twój stary się zmienił? – zapytałem Edwarda.

–Tak, chyba tak – odparł mój syn, którego nie interesują na co dzień subtelności ludzkiego zachowania. – A nie możesz się zmienić z powrotem? – zapytał.

–Nie. W tych sprawach nie ma powrotu.

Kilka dni później odwiozłem dzieciaki do szkoły wynajętą furgonetką. Najpierw pojechaliśmy do Sarah Lawrence. Edward zdradzał pewne oznaki zdenerwowania przed rozpoczęciem nauki w college'u, ale zapewniłem go, że kurs nauk humanistycznych, który sobie obrał, zbliżony jest do tego, który ja sam studiowałem w Yale, i że swobodnie się objąłem przez te cztery lata. Uspokojony w ten sposób, pewnym krokiem przekroczył bramę byłej żeńskiej pensji, z włosami, których po raz pierwszy chyba od czasu chrztu świętego dotknął grzebień, roztaczając wokół siebie zapach jakiejś okropnej wody kolońskiej.

Carolyn i ja pojechaliśmy dalej do Yale. Zawsze z radością wracam do swojej starej Alma Mater, wiążą mnie z nią bowiem miłe wspomnienia – mimo niepokojów, które miały tam miejsce w latach sześćdziesiątych.

–Czy jesteście w stanie separacji? – zapytała mnie Carolyn, kiedy podążaliśmy do New Haven.

–Nie. Twoja matka pojechała po prostu odwiedzić swoich rodziców.

–Może to taka separacja na próbę?

–Nie.

–To dlaczego śpicie w różnych pokojach?

–Ponieważ nie chcemy spać w różnych miastach. Koniec rozmowy.

Zawiozłem ją więc do Yale. Jako studentka drugiego roku Carolyn wstępowała teraz do konkretnego kolegium, innymi słowy – przechowalni, w której spędzi następne trzy lata. Tak się składa, że jest to moje stare kolegium, Jonathan Edwards.

J.E., jak je nazywaliśmy, mieści się w przepięknym, otaczającym rozległy czworokątny dziedziniec, gotyckim budynku, oplecionym bluszczem, pełnym łuków i wieżyczek. Prawdę mówiąc, jest to



najwspanialsze miejsce na powierzchni ziemi i żałowałem, że nie mogę tu pozostać razem z moją córką.

Pomogłem jej rozładować furgonetkę wypełnioną po dach ciuchami i sprzętem elektronicznym. Wszystko to ledwie zmieściło się w jej pokoju. Mieszkała w końcu korytarza, w ładnym, przypominającym nieco moją własną kwaterę apartamencie, wyłożonym dębową boazerią, z kominkiem w salonie. Poznałem jej koleżankę z pokoju, wysoką blondynkę z Teksasu o nazwisku Halsey, i zastanawiałem się, czy nie powinienem przypadkiem wrócić do Jonathan Edwards, żeby uzupełnić braki w wykształceniu. Człowiek nigdy nie jest za stary, żeby się uczyć.

Ale popadam w dygresje. Zgodnie z lokalną tradycją, Carolyn i ja przespacerowaliśmy się do Liggetfs Drugstore, gdzie razem z kilkuset innymi studentami i ich rodzicielami zaopatrzyliśmy się we wszystko, co potrzebne do życia. Zapakowaliśmy torby od Liggetta do furgonetki i ruszyliśmy w stronę odległej o kilka przecznic York Street, "do stolików u "Mory'ego", tam gdzie mieszka Louie". Nie pytajcie mnie, co to znaczy.

"Mory" to prywatny klub, a ja jestem jego członkiem od blisko ćwierćwiecza, choć nie sędzę, bym odwiedzał go częściej niż raz do roku. Jednak mimo że zrezygnowałem z członkostwa w "The Creek" i mogę jeszcze zrezygnować ze swojej pracy, małżeństwa i w ogóle z pobytu na tym ziemskim padole, nigdy nie wypiszę się z "Mory'ego", a to dlatego, że musiałbym wtedy przeciąć więzy łączące mnie z samym sobą, z Johnem Sutterem, człowiekiem, którego znam i lubię. Mogłem rzeczywiście być biedną, zbląkaną owieczką, ale tej nocy odnalazłem drogę do domu.

Zjedliśmy zatem z Carolyn kolację u "Mory'ego" razem z setką innych rodzin, z których wiele, jak zauważyłem, było zdekompletowanych. Carolyn nie należy do "Mory'ego" i być może nigdy się tu nie zapisze, ponieważ nie uznaje instytucji prywatnych klubów.

Opowiedziałem jej kilka miejscowych anegdot, a ona uśmiechała się, czasami szczerze ubawiona, czasami znudzona, a raz czy drugi z przyganą. No cóż, to co wczoraj uchodziło za numer nie z tej ziemi, dzisiaj może świadczyć o braku wrażliwości – i na odwrót. Niezależnie od tego, była to przyjemna kolacja, kilka wspaniałych godzin, spędzo- | nych wspólnie przez ojca i córkę.

Na dębowych blatach u "Mory'ego" wyryte były tysiące nazwisk

i inicjałów i chociaż nie udało nam się odnaleźć moich, trzeba by bowiem najpierw uprzątnąć w tym celu stoły, wręczyłem Carolyn ostry scyzoryk i podczas gdy ona zajęła się wycinaniem napisu, ja przespacerowałem się po sali pozdrawiając starych kumpli ze szkolnej ławy.

Odprowadziłem potem Carolyn do Jonathan Edwards, pocałowaliśmy się na pożegnanie i wsiadłem do furgonetki, bardziej bowiem uśmiechała mi się dwugodzinna jazda na Long Island aniżeli przedłużanie owej nostalgicznej wędrówki w przeszłość, która z miłą bardzo łatwo mogła przeobrazić się w cklwie sentymentalną.

Co się tyczy mojej kariery adwokackiej, związki, jakie łączyły mnie obecnie z firmą Perkins, Perkins, Sutter Reynolds, wydawały się raczej nieokreślone, a może nawet niepewne. Wpłacałem sobie nadal połowę miesięcznej pensji, co jak sądzę, nie było nadużyciem, połowę bowiem mego czasu pracy nadal spędzałem w kancelarii w Locust Valley, na ogół jednak za zamkniętymi na klucz drzwiami albo przy wyłączonym telefonie. Czując się jednak odpowiedzialny za starych klientów, starałem się doprowadzić ich sprawy do jakiego takiego porządku lub przekazać je innym adwokatom w firmie. Z mojej praktyki na Wall Street pozostały tylko wspomnienia. Tamtejsi klienci rezygnują na ogół z usług prawnika, kiedy nie udaje im się do niego dodzwonić po raz drugi z rzędu – nie poczuwam się zatem do jakiejś specjalnej odpowiedzialności i lojalności wobec facetów w żółtych krawatach. Oni odpłacają mi zresztą tym samym. Muszę jednak ustalić, jaka jest moja aktualna pozycja w firmie i sądzę, że jeśli odwiedzę kiedyś kancelarię na Wall Street, zdołam omówić tę kwestię z moimi starszymi współpracownikami.

Jeśli idzie o sprawę, którą wytoczyły Stany Zjednoczone przeciw Frankowi Bellarosie, to posuwa się ona jednak wolniej, niż to obiecywał pan Ferragamo. Nie tylko nie poinformowano nas jeszcze o dacie rozpoczęcia procesu, ale nie miałem również sposobności przesłuchania żadnego z pięciu zeznających przeciwko memu klientowi świadków.

–Wszyscy oni znajdują się w ukryciu i objęci są specjalnym programem ochrony świadków – poinformował mnie pewnego dnia przez telefon Alphonse. – Bardzo się boją zeznawać publicznie przeciwko przywódcy mafii.

–Nie ma takiej rzeczy jak mafia.



–Ha ha ha – odparł na to Alphonse, po czym dodał: – Nie bali się zeznawać na zamkniętym posiedzeniu ławy przysięgłych, ale teraz strach ich obleciał.

–Strach obleciał czterech kolumbijskich handlarzy narkotyków i dziewczynę rewolwerowca?

–Tak to pana dziwi? Z tego względu, panie Sutter, poprosiłem o przesunięcie na dalszy termin daty rozpoczęcia procesu. Będę pana informował na bieżąco. A w ogóle po co ten cały pośpiech? – zapytał. – Powinien pan być zadowolony. Możliwe, że świadkowie w ogóle nie będą chcieli zeznawać.

–Może kłamali od samego początku – zauważyłem.

–Dlaczego mieliby to robić?

Obaj wiedzieliśmy świetnie dlaczego, ale nie wolno mi było mu dokuczać. – • Może – powiedziałem – mamy do czynienia z przypadkiem mylnego ustalenia tożsamości. Wszyscy Włosi wyglądają tak samo, nieprawdaż?

–Nie powiedziałbym, panie Sutter. Ja na przykład wcale nie jestem podobny do Franka Bellarosy. A propos mylnego ustalenia tożsamości, udało mi się ustalić, że czternastego stycznia około godziny pierwszej po południu był pan razem z żoną w swoim klubie na lunchu.

–I co z tego? Powiedziałem, że widziałem Bellarosę koło dziewiątej, a potem w południe.

–I zdążył pan wrócić do domu, rozsiodłać konia, wziąć prawdopodobnie prysznic, przebrać się w garnitur i pojawić się w klubie o godzinie pierwszej?

–Nie nazywają mnie supermanem bez powodu.

–Hmmm – odparł na to Alphonse. Temu facetowi wydawało się chyba, że jest Porfiry Pietrowiczem zapędzającym w ślepy zaułek nieszczęsnego Raskolnikowa, na mnie jednak sprawiał wrażenie nudziarza.

Tak czy inaczej, byłem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że Alphonse gra na zwłokę i że będzie czynił to dalej, tak długo, aż ktoś rozwiąże jego problem na ulicy. Nie musiał na to długo czekać.

Moje stosunki z rodziną i przyjaciółmi również pozostawały w zawieszeniu – częściowo z tej przyczyny, że byłem nieuchwytny, co w dzisiejszych czasach wcale

**nie jest takie łatwe. Spróbujcie sami.**

Wyłączyłem mój domowy faks, zmieniłem numer telefonu na zastrzeżony, a całą pocztę kazałem zostawiać w skrytce w urzędzie pocztowym w Locust Valley, którego nigdy nie odwiedzałem. Ethel w funkcji stróża przy bramie okazała się znacznie bardziej bezwzględna od George'a i kiedy dyżurowała w stróżówce, nikt nie miał prawa wjechać do środka. Kiedy jej nie było, brama była zamknięta.

Jenny Alvarez. Cóż, te stosunki także pozostawały w zawieszeniu i było to chyba "najlepsze wyjście dla wszystkich zainteresowanych", jak mówią do siebie mężczyźni i kobiety, kiedy się zakochują, wpadają w panikę, zrywają, namyślają się, wydzwanają do siebie, zrywają i tak dalej. Ale naprawdę nie było sensu dodatkowo komplikować sobie życia. Właściwie, nie wiedziałem nawet, czy Jenny Alvarez jest mną nadal zainteresowana i zapewne sprawiłoby mi znaczną ulgę, gdybym dowiedział się, że nie (choć czułbym się zarazem oburzony i zraniony).

Oglądałem ją jednak co wieczór w dzienniku o jedenastej i Susan zagadnęła mnie nawet raz, czy nie stałem się nagle nałogowym oglądaczem wiadomości. Jak wiadomo, zachowanie niewiernych małżonków odbiega często od normy, trudno jednak uznać oglądanie wiadomości za jakąś użyteczną wskazówkę dla drugiej strony. Chociaż to się jeszcze okaże. Śledziłem więc wiernie dziennik o jedenastej w nadziei, że któregoś wieczoru Jenny Alvarez nie zdoła się pohamować i zawoła na cały kraj: "Johnie! Johnie! Umieram z tęsknoty za tobą!", albo przynajmniej nadając z terenu i przekazując z powrotem pałeczkę siedzącemu w studio prezenterowi, Jeffowi jak-mu-tam, pomylił się i powie: "Oddaję ci głos, John". Ale nigdy nic takiego się nie wydarzyło, nie wtedy przynajmniej, kiedy siedziałem przed telewizorem.

Zamieszkałem w najmniejszym z pokoi gościnnych, nędznie i skąpo umeblowanym. Umieszczaliśmy tam zawsze gości, których nie chcieliśmy oglądać dłużej niż przez dwadzieścia cztery godziny.

–Rozumiem oczywiście, dlaczego nie chcesz spać ze mną w jednym łóżku – zakomunikowała mi w związku z tym Susan. – Cieszę się jednak, że postanowiłeś się nie wyprowadzać. Bardzo chcę, żebyś został.

–W takim razie zostaję. Ile jestem ci winien za noc?

–Dwadzieścia dolarów nie będzie chyba wygórowaną ceną za ten pokój, ale mogę ci znaleźć lepszy, jeśli dopłacisz piątkę.

–Zostaję tutaj.

No cóż, wciąż stroiliśmy sobie żarty i to kazało patrzeć z nadzieją w przyszłość. Mam rację? Ludzie nie potrafią się wzajemnie znieść, dopiero kiedy stają się naprawdę ponurzy. Przebywaliśmy zatem w tym przedsionku piekła, który wynaleźli i udoskonalili mężowie i żony po to, by egzystować w nim do czasu przeprowadzki albo do chwili, kiedy padną sobie w ramiona przysięgając dozgonną miłość, co w małżeńskim języku oznacza mniej więcej trzydzieści dni zawieszenia broni.

Prawdę mówiąc, każdego ranka budziłem się wściekły, urażony i żądny odwetu, już jednak w południe czułem się zrezygnowany, nastrojony filozoficznie i pogodzony z losem. Kiedy udawałem się na spoczynek, doskwierała mi coraz większa samotność i gotów byłem przebaczyć i zapomnieć, bez żadnych warunków wstępnych. Następnego dnia cały cykl zaczynał się od nowa. Niestety Susan dzwoniła do mnie z Hilton Head na ogół o ósmej rano, kiedy byłem w fazie pierwszej, i mówiłem jej wtedy rzeczy, których żałowałem wieczorem Na przykład:

–Jak się miewa stary William Pierdoła z Hilton Head?

–Uspokój się, John.

Albo:

–Chcesz może porozmawiać z Zanzibarem?

–Idź, napij się kawy i zadzwoń do mnie później.

Zadzwoniłem do niej wtedy wieczorem, ale nie było jej w domu.

Tak czy inaczej, przez cały tydzień, który upłynął od jej powrotu zachowywałem się jak człowiek cywilizowany.

A teraz siedzieliśmy razem z Bellarosą u "Giulia", zając kolację, co było nieco dziwne, zważywszy na okoliczności. Ale mojemu klientowi naprawdę zależało na tym spotkaniu, chociaż nie potrafiłem powiedzieć dlaczego, z wyjątkiem może tego, że lubił się pokazywać w Little Italy, gdzie wszyscy wiedzieli, kim jest. Oczywiście taka popularność ma również swoje negatywne strony, zwłaszcza kiedy ktoś jest na celowniku. Jeżeli rzeczywiście zawarty został kontrakt na głowę tego faceta, to każdy siedzący w restauracji makaroniarz może wyjść i zadzwonić do jakiegoś swego rodaka. Wiadomość dotarłaby w końcu do złych rodaków i za cenę dwudziestu pięciu centów ustalono by miejsce, w którym właśnie przebywa Frank Bellarosa. Nie

sądzę jednak, by tak to właśnie wyglądało owego wieczoru siedemnastego września. Jestem całkiem pewien, że tym, który jak to mówią, wystawił swego szefa, był Lenny.

Przystąpiłem na tę kolację, ponieważ, szczerze mówiąc, odmowa nie byłaby w stylu Machiavellego – rzecz w tym, że niezależnie od tego, jak bardzo starałem się opanować, wciąż/wkurzało mnie to, co zaszło między Frankiem i panią Sutter, nie mogłem jednak dać tego po sobie poznać, bo wtedy kochankowie mieliby się na baczności. Czy to znaczy, że pragnąłem odwetu? vendetty? Czy okłamywałem Franka i samego siebie? Czy wciąż starałem się wyrównać rachunki? Zgadnijcie sami.

Choć nie wiedziałem jeszcze, co zamierzam zrobić w sprawie tych dwojga i czy w ogóle coś zrobię, nie chciałem, by mieli się na baczności – dysponowałem dzięki temu większą możliwością manewru.

Popijaliśmy zatem kawę i zajadaliśmy ciasteczka. Przedsięwzięte zostały normalne środki ostrożności – Vinnie i Lenny zajęli swój ulubiony stolik przy drzwiach, my natomiast usiedliśmy przy ulubionym stoliku Franka w rogu sali. Frank zajął swoje ulubione miejsce i siedział odwrócony plecami do ściany i twarzą do wejścia.

–Bardzo to miło, że fundujesz swoim pracownikom kolację – oświadczyła w jakiejś chwili Susan. – Większość pracodawców odesłałaby po prostu szofera i samochód do czasu, kiedy byłaby gotowa do wyjścia.

Nie wiedziałem, czy było to najbardziej śmieszne, czy może najbardziej naiwne stwierdzenie, które usłyszałem w ciągu całego tego roku. Jak już wspomniałem, Susan udaje czasami naiwną, tym razem nie wydawała się jednak zbyt przekonująca.

Przez chwilę przyglądałem się Annie. Nie rozmawiałem z nią od tamtego ranka, kiedy przywarliśmy do siebie w Alhambrze. Była mi niewątpliwie wdzięczna za wydostanie z aresztu jej męża, zdawałem sobie jednak sprawę, że wychowana w tradycyjnym duchu Włoszka nie telefonuje, nie pisze i nie odwiedza żadnego mężczyzny z wyjątkiem własnego brata albo ojca. Jak bardzo tyranizowane były te kobiety, myślałem, jak bardzo zależne od swoich mężów we wszystkich sprawach, łącznie z posiadanymi przez nie poglądami, a być może nawet uczuciami. Zastanawiałem się, czy Anna ma dla mnie jakąś swoją niezamężną siostrę. A może powinienem raczej poprosić Dona o rękę Filomeny.

Chociaż ktoś mógłby odnieść wrażenie, że świetnie się bawimy, były to tylko pozory. Z jednej strony Frank wychodził wprost ze skóry, by traktować oziębłą Susan, z drugiej wychwalał mnie pod niebiosa jako najlepszego adwokata w Nowym Jorku. Najwyraźniej starał się zademonstrować, że między nim a moją żoną nic absolutnie nie zaszło i że możemy śmiało paść sobie w ramiona. Bellarosa wykazywał spryt w wielu dziedzinach, tu jednak mu się nie wiodło.

Marne aktorstwo Franka wprawiało w zażenowanie Susan, która w ogóle wydawała się nieco podenerwowana.

Zdarzały się chwile, kiedy rozmowa stawała się napięta, a i Frank sprawiał wrażenie coraz mniej zadowolonego z siebie, w miarę jak uświadamiał sobie, że wieczór nie przebiega zgodnie z jego planem.

Anna, jak sądzę, także zauważyła, że coś jest nie w porządku, wątpię jednak, czy była dość inteligentna, by zorientować się, o co chodzi.

Kusiło mnie, żeby jej powiedzieć: "Twój mąż pieprzy moją żonę". Ale skoro nie przyjmowała do wiadomości tego, że jej mąż jest szefem mafii, jak mogłaby uwierzyć w jego zdradę? A gdyby nawet uwierzyła, to co miałyby w związku z tym zrobić?

Frank uregulował rachunek gotówką, a Vinnie i Lenny byli już za drzwiami.

–Zostańcie tutaj wszyscy – powiedział Frank – a ja pójdę zobaczyć, czy podjechał już samochód.

Anna wlepiła wzrok w stół i kiwnęła głową. Znała swoje miejsce.

Susan wyglądała tak, jakby chciała wstać, ale i ona czuła mores przed Wielkim Frankiem. Ja jednak uznałem, że nie wypada mi siedzieć razem z kobietami, podczas gdy Prawdziwy Mężczyzna będzie zabezpieczać odwrót.

–Idę z tobą – oznajmił więc Głupi John i wstał z krzesła.

Podeszliśmy razem z Bellarosą do drzwi i ujrzałem stojącego na chodniku i lustrującego ulicę Vinniego. Do krawężnika podjechał nasz samochód. Był to długi czarny cadillac, który Frank zamówił specjalnie na tę okazję w swojej firmie wynajmu limuzyn. Za kierownicą siedział Lenny.\*Vinnie dał nam znak i wyszliśmy na ulicę.

Wieczór był przyjemny; w powietrzu unosił się zapach zbliżającej się jesieni. Chodnikami, jak zwykle w Little Italy, spacerowało dużo ludzi; nikt nie wydawał się jednak podejrzany. Nikt także nie miał, jak zwykle, najmniejszego pojęcia, gdzie

**zamierza spędzić ten wieczór**

Bellarosa – nikt oprócz samego Franka i jego żony. Nie wiedzieliśmy o tym nawet ja i Susan, chociaż ja domyślałem się oczywiście, że wybieramy się do "Giulia". Prawdopodobnie domyślali się tego również Vinnie i Lenny, choć, prawdę mówiąc, mogliśmy się udać do którejkolwiek z trzech tysięcy restauracji w Nowym Jorku, New Jersey, Connecticut i Long Island. Dopiero kiedy podjechaliśmy pod "Giulia", Lenny i Vinnie uzyskali całkowitą pewność. Vinniego przez cały czas mieliśmy na oku. Lenny natomiast odprowadził samochód do mieszczącego się przy tej samej ulicy garażu. Jak już wspominałem, zatelefonować mógł właściwie każdy, kto znalazł się akurat w restauracji, ja jednak jestem całkowicie pewien, że zrobił to Lenny Kretyn.

Było ich dwóch, obaj ubrani w czarne trencze i rękawiczki. Nie wiedziałem dokładnie, skąd się wzięli, ale pojawili się po drugiej stronie limuzyny i miałem wrażenie, że musieli stać skuleni po jej drugiej stronie i wyprostowali się, kiedy Vinnie pociągnął za klamkę tylnych drzwi, co spowodowało zapalenie się światła w środku samochodu. W ten właśnie sposób Vinnie mógł bezwiednie dać tym dwóm sygnał do akcji, pamiętam bowiem, że zobaczyłem ich natychmiast potem. Vinnie wciąż szarpał za klamkę drzwi, które były najwyraźniej zablokowane, a potem walnął dłonią w szybę.

–Hej, Lenny! Otwórz te pierdolone drzwi. Zgłupiałeś czy co?

Dopiero w tym momencie Vinnie uniósł wzrok i ujrzał dwóch mężczyzn stojących po drugiej stronie limuzyny.

–O, Matko Boska... -powiedział.

Powinienem tutaj wspomnieć, że wcześniej tego wieczoru, kiedy panie oddaliły się, żeby przypudrować sobie nosy (w ten sposób Anna określała oddawanie moczu), odbyłem krótką, męską rozmowę z Bellarosą.

–Frank – oświadczyłem – nie jest to najlepsze miejsce na dzisiejszy wieczór.

–Nie podoba ci się muzyka?

–Daj spokój. Wiesz, o co mi chodzi.

–Mam to w dupie – brzmiała jego odpowiedź.

Jak widzicie, próbowałem. Naprawdę próbowałem, nie mogłem bowiem stać z boku i milczeć. Ale duma Bellarosy nie pozwoliłaby mi na dokonanie żadnych poważnych zmian w jego stylu życia, a w dodatku zależało mu przecież na tym, żeby zaimponować pani Sutter. Jasne?





23 – Złote Wybrzeże t. II Czas wracać do naprawdę smutnych wydarzeń. Gapiąc się na tych dwóch facetów, zdałem sobie nagle sprawę, że wpatruję się prosto w lufy wymierzonych we mnie z odległości nie większej niż trzy metry dwóch dubeltówek. Obaj oparli broń na dachu limuzyny, lokalizując cel, chociaż prawdę mówiąc nie trzeba długo mierzyć, żeby trafić kogoś z odległości trzech metrów z dwulufowej strzelby. Wszystko to działo się bardzo szybko, chociaż żaden z nich nie wydawał się spieszyć ani nie zdradzał specjalnego podenerwowania. Byli po prostu rzeczowi.

–Frank... – powiedziałem trącając Bellarosę.

Vinnie oczywiście sięgnął po broń, ale pierwszy ładunek z dubeltówki dosięgnął go z odległości dwóch stóp prosto w twarz i dosłownie urwał mu głowę. Jej kawałki obryzgały mnie i Bellarosę.

Frank odwrócił się w stronę zabójców w tym samym momencie, kiedy pierwszy strzał zdekapitował Vinniego. Cofnął się o krok i podniósł ręce w obronnym geście.

–Hej, hej! – zawołał.

Drugi z mężczyzn wypalił z obu luf jednocześnie i Frank, który stał w odległości może pół metra od mojego lewego ramienia, dostał oba ładunki w pierś. Salwa poderwała go dosłownie w powietrze i cisnęła do tyłu. Padając wybił witrynę "Giulia".

Mężczyzna, który strzelił z jednej lufy do Vinniego, spojrzał na mnie i dostrzegłem wymierzoną we mnie dubeltówkę. Ale ja jestem przecież cywilem i nie mam się czego bać. Zgadza się? Zgadza się?

Dlaczego w takim razie ten facet celuje we mnie? Przeszło mi przez głowę, że zobaczę prawdopodobnie błysk z lufy, ale nigdy nie usłyszę strzału. Ludzie, którzy mają za sobą podobne doświadczenia, określają je jako "oczekiwanie wieczności". Bardzo trafnie. Zobaczyłem nawet w jednym krótkim olśnieniu całe moje życie.

No cóż, być może jedyną przyczyną, która sprawiła, że mogę wam to wszystko opowiedzieć, jest fakt, że facet wyszczerzył do mnie zęby, a ja chciałem skorzystać z przysługującego mi ostatniego słowa i zasalutowałem mu "po włosku". Zabójca uśmiechnął się, odwrócił ode mnie lufę i nacisnął spust. Kula przeleciała koło mnie z lewej strony z przypominającym pszczołę bzykiem i usłyszałem za sobą jęk Bellarosy. Obejrzałem się i zobaczyłem, że leży na plecach, w połowie wewnątrz restauracji, z dyndającymi na zewnątrz nogami. Spodnie

miał podarte na strzępy i zdałem sobie sprawę, że ostatni strzał poszedł właśnie w jego nogi. Faktycznie, dostrzegłem teraz krew spływającą po jego kostkach i skarpetkach – w jakiejś chwili musiały spaść mu buty – i tworzącą się na chodniku czerwoną kałużę.

Z tyłu usłyszałem kolejny przypominający strzał dźwięk. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że dwaj rewolwerowcy wsiedli do limuzyny, a hałas był po prostu trzaskiem zamykanych drzwi. Długi, czarny samochód oddalił się z normalną szybkością, a ja dostrzegłem leżące na jezdni dubeltówki. Spuściłem wzrok i przyjrzałem się leżącym na chodniku zwłokom Vinniego. Z jego oddalonej o kilka stóp od moich butów bezgłowej szyi buchała krew. Dałem krok do tyłu.

Nikt ze znajdujących się wokół mnie na ulicy przechodniów nie narobił wrzasku ani nie rzucił się do ucieczki; wszyscy zamarli w bezruchu. Oczywiście, coś takiego nie przydarza się na Mott Street codziennie, ale ludzie są tu otrzaskani i nikt nie miał zamiaru twierdzić później, iż wydawało mu się, że to nawalił komuś gaźnik albo że dzieciaki bawiły się petardami. Nie, wszyscy wiedzieli dokładnie, co się wydarzyło, choć nikt oczywiście nic nie widział.

Ze środka restauracji dobiegały za to głośnie krzyki i mogłem sobie wyobrazić, co tam się działo – rozsypane po całym lokalu szkło, leżące na stoliku przy oknie ciało Bellarosy, kapiąca na białą terakotę krew.

Cóż, na ulicy nie było już chyba nic więcej do roboty, odwróciłem się zatem i wkroczyłem z powrotem do restauracji. Powinienem zaznaczyć, że od momentu, kiedy zobaczyłem dwóch zabójców, do chwili, kiedy wszedłem do środka, minęło nie więcej jak dwie minuty.

Susan i Anna wciąż znajdowały się w rogu sali, chociaż podobnie jak inni, wstały z miejsc, a Anna wlepiła we mnie wielkie, rozszerzone przerażeniem oczy. Susan także wpatrywała się we mnie, a potem jej wzrok powędrował za moje ramię, tak jakby spodziewała się tam zobaczyć Bellarosę. Uświadomiłem sobie, że żadna z nich nie zdaje sobie sprawy, że to właśnie Frank jest osobą, która wpadła przez okno do restauracji. Odwróciłem się w stronę okna i zrozumiałem dlaczego:

Bellarosa otoczony był oczywiście małym tłumkiem, a w dodatku przelatując przez okno ściągnął na siebie karnisz razem z czerwoną kotarą, która zakryła częściowo jego twarz i ciało. Miał rozrzucone szeroko ręce i odchyloną do tyłu głowę, która opierała się o skraj

blatu. Wszędzie – na stoliku, na podłodze i na Franku – leżały odłamki szkła.

Pandemonium w restauracji powoli cichło, słychać było za to coraz wyraźniej zawodzenie Anny.

–Nie! Nie! Frank! – krzyczała. – To Frank! Mój Boże, mój Boże! – i dalej w podobnym stylu.

Zmierzając w stronę Bellarosy, zerknąłem w lewo i zobaczyłem, że \ Susan podeszła teraz całkiem blisko i że przygląda się jego odwróconej twarzy. Pobladła, ale sprawiała wrażenie opanowanej. Potem odwróciła od niego wzrok, spojrzała na mnie i nasze oczy spotkały się. Wiedziałem, że na ubraniu i na twarzy mam krew, skrzepy i inne wilgotne resztki. Nie miałem wątpliwości, że nie-jest to moja krew, lecz to, co zostało z głowy Vinniego, Susan jednak nie mogła tego wiedzieć – mimo to nie ruszyła się ani na krok w moją stronę, żeby sprawdzić, czy jestem zdrow i cały.

Anna za to wyrwała się kilku przytrzymującym ją kelnerom i pognąła do swego męża. Zawodząc, ile sił miała w płucach, padła na kolana na zalaną krwią i zarzuconą szklanymi odłamkami podłogę i chwyciła w dłonie głowę Franka. Szlochając gładziła jego okrwawioną twarz.

Byłem trochę wytrącony z równowagi i nie zamierzam bynajmniej utrzymywać, że widziałem wszystko dokładnie, tak jak to opisuję, ani że moje wrażenia są tak precyzyjne, jak powinny. Na korzyść Susan można na przykład powiedzieć, że znajdowała się prawdopodobnie w szoku i to właśnie wywołało u niej ów katatoniczny stan.

Tak czy owak, wziąłem się w garść i ukląknęłem w olbrzymiej kałuży krwi tuż obok Anny. Miałem zamiar jakoś ją uspokoić i zabrać z tego miejsca. Ale w tym samym momencie zauważyłem, że zasłona ześlizgnęła się z twarzy Franka i że ma on otwarte oczy; nie były to oczy nieboszczyka, ale oczy żywego człowieka. Przewracał nimi z bólu i łzawił. Zobaczyłem również, że jego pierś unosi się w oddechu.

Zdarłem z niego czerwoną zasłonę i spostrzegłem, że chociaż krawat, koszula i marynarka są pełne dziur, nie widać jednak wielkiej, otwartej rany, tam gdzie ładunek z obu luf powinien rozerwać na strzępy jego serce i płuca. Rozdarłem mu na piersi koszulę i ujrzałem oczywiście kuloodporną kamizelkę, w której srebrnoszarej powłoce tkwiły miedziane śruciny.

Spojrzałem na jego twarz i dostrzegłem, że porusza wargami, w chwilę potem odkryłem źródło krwi rozlanej na podłodze: w szyi tkwił mu odłamek szkła, a z rany pod kołnierzykiem tryskała krew.

Facet wykrwawiał się na śmierć.

Fatalna historia, no nie? Mówię o szybkim i prostym rozwiązaniu skomplikowanego problemu. Z drugiej strony, nie otrzymałem dotychczas ani centa z tego, co był mi winien, ale mogłem chyba potraktować tę stratę jako kolejne życiowe doświadczenie. Zgodne byłoby to pewnie z ostatnią wolą Franka.

Przez cały czas otaczali mnie wianuszkami goście i kelnerzy. Domyślałem się, że na sali nie ma lekarza, a nikt nie zdaje sobie sprawy, że Bellarosa potrzebuje pierwszej pomocy. Anna wciąż szlochała, ściskając kurczowo rękoma głowę swojego męża.

Frank podniósł powieki, nasze oczy spotkały się i miałem wrażenie, że się uśmiechnął, ale może się myliłem. Byłem pewien, że pociski połamały mu żebra, i wiedziałem, że jeśli go ktoś poruszy, odłamki kości przebiją mu płuca. Jak na razie jednak, krew nie płynęła mu z ust, a oddech miał regularny, chociaż płytki. Cóż miałem w takiej sytuacji robić? Jesteś skaut czy co? No więc dobrze, jeśli mam być szczery, jestem. Zdobyłem nawet sprawność Eagle Scouta\*.

Rozpiąłem mu zatem kołnierzyk i ze sposobu, w jaki krew tryskała z rany, domyśliłem się, że ma chyba przeciętą tętnicę szyjną. Poszukałem pulsu poniżej rany, zacisnąłem na nim palce i krwawienie zmniejszyło się. Podłożyłem mu pod kark ramię, tak żeby jego głowa znalazła się na tym samym poziomie co serce i żeby krew dochodziła do mózgu, po czym wcisnąłem w samą ranę serwetkę, która leżała na stole. Nie wiedziałem, czy to wszystko przyniesie spodziewane efekty, ale drużynowy, pan Jenkins, z pewnością byłby ze mnie dumny.

Rozejrzałem się wokół siebie.

–Proszę się odsunąć – zwróciłem się do tłumu. – Niech ktoś zabierze stąd jego żonę. Dziękuję.

Kłęczałem zatem przy stoliku, pokryty, jak to teraz dostrzegłem przy lepszym świetle, mózgiem oraz okruchami czaszki Vinniego i upačkany krwią Bellarosy. Palce zacisnąłem na szyi Dona, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie chciałem to od pewnego czasu zrobić – \* Najwyższa sprawność w skautingu.

tyle że w innym celu. Wziąwszy wszystko razem pod uwagę, nie sposób było uznać tego wieczoru za przyjemny.

Udało mi się spojrzeć na zegarek i zobaczyłem, że jest za kilka minut północ. Twarz Bellarosy była bardzo blada i tym ciemniejszy wydawał się jego zarost. Ale oddech miał wciąż regularny i czułem pod palcami silny puls. Czułem również podchodzący mi do gardła sos puttanesca, ale zdołałem wysłać go w drogę powrotną.

Kiedy znowu spojrzałem na jego twarz, przyglądał mi się, chociaż jego oczy były lekko przymglone.

–Trzymaj się, Frank – powiedziałem. – Nie jest z tobą źle.

Wylizesz się z tego. Po prostu się odpręż – i tak dalej. Takie właśnie rzeczy trzeba im powtarzać, żeby nie wpadli w szok. W tym czasie jednak nikt nie dodawał otuchy mnie, mimo że wyszło mi w ustach, podnosił mi się do gardła żołądek i kręciło mi się w głowie. Trzymaj się, Sutter.

Usłyszałem policyjną syrenę i kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem gromadzący się tłum, który widząc leżące na chodniku bezgłowe zwłoki Vinniego, uformował szerokie półkole wokół restauracji. Policyjna syrena wyla teraz tuż obok, usłyszałem również sygnał ambulansu.

Rozejrzałem się znowu po restauracji i zauważyłem siedzącą o kilka stolików ode mnie Susan. Założyła ręce na piersiach, skrzyżowała nogi i przypatrywała mi się, jakby miała do mnie o coś żal.

Na zewnątrz byli już policjanci i kiedy uniosłem wzrok, zobaczyłem jednego z nich stojącego na chodniku.

–Jezu Chryste – usłyszałem, jak mówi. – Gdzie jest jego głowa?

Na moim krawacie.

Dwóch gliniarzy wpadło przez drzwi z wyciągniętymi pistoletami.

Ocenili w lot sytuację i schowali je do kabur.

–Ten człowiek ma przeciętą arterię – zwróciłem się do jednego z nich – więc nie mówcie mi, żebym się odsunął. Sprowadźcie tutaj szybko facetów z ambulansu.

Zrobili to.

Dwóch pielęgniarzy wysłuchało tego, co miałem im do powiedzenia, po czym przejęło opiekę nad Frankiem. Uważając, żeby połamane żebra nie przebiły mu płuc, przenieśli go na nosze na kółkach. Jeden z gliniarzy trzymał zaciśnięte palce na jego tętnicy.

Cofnąłem się i pozwoliłem, żeby sprawę wzięli w swoje ręce profesjonaliści. Chłopcy w błękitnych fartuchach dowiedzieli się już – prawdopodobnie od kogoś z kelnerów, w każdym razie nie ode mnie – kim jest poszkodowany obywatel i teraz tylko od nich zależało, czy nie dadzą mu się wykrwawić na śmierć w drodze do szpitala St. Vincent. Od tej chwili nie był to już mój problem.

No cóż, dość już było chyba atrakcji jak na jedną noc i mogłem spokojnie udać się do domu, mój samochód odjechał jednak w siną dal, a jego szofer, Lenny Zdrajca, siedział już pewnie w tej chwili w samolocie lecącym do Neapolu.

Na dodatek pojawili się detektywi, którym bardzo zależało, żebym poszedł razem z nimi i o wszystkim opowiedział.

–Jutro – zakomunikowałem im. – Teraz jestem w szoku.

Bardzo się jednak upierali, dobiłem więc z nimi targu, godząc się pójść na posterunek pod warunkiem, że odwiozą Susan na Long Island, a Annę do St. Vincent. W tym mieście nie ma nic za darmo, zwłaszcza kiedy człowiek targuje się z gliniarzami. Prawda, Frank?

W czasie całego tego zamieszania właściciel nieszczęsnego lokalu, Lucio, przyniósł mi gorący, mokry ręcznik i pozbyłem się Vinniego (a także częściowo Franka) z rąk i twarzy.

–Bardzo mi przykro – powiedziałem mu, chociaż oczywiście nie była to moja wina. Ale nie było wokół nikogo, kto przeprosiłby go za stłuczoną szybę, bałagan i niezapłacone rachunki. Poza tym polubiłem Lucia i jego żonę. Choć z drugiej strony, teraz kiedy "Giulio" dołączył do wybranych, oznaczonych czterema złotymi gilzami firm gastronomiczno-strzeleckich, jego właściciel z pewnością odbije sobie wszystkie straty.

To przypomniało mi o mass mediach. Reporterzy byli już zapewne w drodze, a ja wcale nie miałem ochoty się z nimi spotykać i odpowiadać na mnóstwo głupich pytań w rodzaju: "Czy zapamiętał pan twarze ludzi, którzy zabili Franka Bellarose?" W ostateczności mógłbym trochę poczekać, gdybym wiedział, że jedzie tutaj Jenny Alvarez, było jednak już dobrze po północy i o tej porze siedziała już pewnie od dawna w domu czytając dobrą książkę.

–Zabierzcie mnie stąd – powiedziałem do jednego z detektywów.

–W porządku. Możemy iść.



**-Chwileczkę.**

Wciąż trzymając w ręku ręcznik podszedłem do Anny, która stała podtrzymywana przez trzech gliniarzy.

–Wylize się z tego. Obiecuję ci – powiedziałem jej.

Spojrzała na mnie tak, jakby mnie nie poznawała, ledwo było widać jej opuchnięte, zalane łzami oczy. Ale potem wyciągnęła dłoń i dotknęła mego policzka.

–John... – wyszeptała bardzo cicho. – Och, John...

Odsunąłem się od Anny i podszedłem do Susan, która wciąż siedziała na tym samym krześle.

–Policja zabierze cię do domu – odezwałem się. – Ja muszę jechać z nimi na posterunek.

Kiwnęła głową.

–Może się z tego wylizać – powiedziałem.

Ponownie kiwnęła głową.

–Czy wszystko z tobą w porządku?

–Tak.

Znowu miałem wrażenie, że jest na mnie o coś zła. To znaczy, jakby wszystko to, co się wydarzyło, było straszliwie nie na miejscu i w złym tonie.

–Okay – powiedziałem. – Zobaczymy się później.

–John?

–Tak?

–Czy uratowałeś mu życie? Czy to właśnie przy nim robiłeś?

–Sądzę, że starałem się go uratować. Tak.

–Dlaczego?

–Jest mi winien pieniądze.

–Na twoim miejscu nie robiłabym tego – powiedziała.

**To ciekawe.**

**–Do zobaczenia w domu – odparłem i ruszyłem w stronę czekającego na mnie detektywa.**

**–John! – zawołała Susan. Obejrzałem się, a ona uśmiechnęła się do mnie i ściągnęła te swoje lubieżne wargi w pocałunku. Madonna mia, ta kobieta miała nie po kolei w głowie. Ale czy ja byłem normalny, skoro wciąż ją kochałem?**

**Wyszedłem razem z detektywem na zewnątrz, gdzie kilkunastu gliniarzy zablokowało tymczasem cały odcinek Mott Street. Obracające się policyjne światła rzucały czerwone i błękitne błyski na pobliskie**

kamienice i cała ulica wyglądała zupełnie inaczej niż jeszcze kilkadziesiąt minut temu.

–To pańska żona? – zapytał mnie detektyw.

–Tak.

–Przystojna kobieta.

–Dziękuję.

Podeszliśmy do nie oznakowanego samochodu.

–Czy nie jest pan przypadkiem tym adwokatem? – zapytał mnie. – Adwokatem Bellarosy? Nazywa się pan Sutter?

–Zgadza się.

–Może dlatego pana nie załatwili. Nie ruszają adwokatów.

–Miałem szczęście.

–Ma pan zniszczony garnitur – powiedział otwierając przede mną drzwi.

–Nie był już taki nowy – odparłem. – W przeciwieństwie do krawata.

Następne kilka godzin spędziłem na posterunku Midtown South opowiadając o wydarzeniach, które nie trwały dłużej niż dziesięć minut. Naprawdę starałem się pomóc, chociaż jako adwokat, a zwłaszcza adwokat ofiary, mogłem w każdej chwili kazać im się wypchać i wyjść. Natomiast kiedy zaczęli mnie wypytywać, kto moim zdaniem mógł to zrobić, powiedziałem, żeby trzymali się konkretów.

Mimo to jeden z detektywów nie przestawał indagować mnie o Sally'ego Da-Da, w związku z czym oświadczyłem, że jeśli interesuje go Sally Da-da, powinien zwrócić się do Sally'ego Da-Da. Sally Da-da przebywał jednak akurat, jak się okazało, na Florydzie. Cóż za zbieg okoliczności.

Krążyliśmy tak jakiś czas wokół tematu, aż w końcu ten z nich, który odgrywał twardego, zapytał mnie wprost:

–Dlaczego uratował mu pan życie?

–Jest mi winien pieniądze.

**–Teraz jest panu winien życie – stwierdził ten "łagodny".Niech pan go odpowiednio podliczy.**

**–Co z nim?**

**–Jeszcze żyje – odparł "łagodny".**

**Opowiedziałem im dowcip o gangsterze, który próbował wysadzić**

w powietrze policyjny samochód, ale wydawali się jacyś znużeni i ledwie zachichotali. Mnie samemu strasznie chciało się ziewać, ale oni nie przestawali wlewać we mnie kawy.

Midtown South nie jest zwykłym posterunkiem, ale czymś w rodzaju komendy dzielnicowej obejmującej swym zasięgiem większą część Manhattanu. Łącznik na drugim piętrze, gdzie mnie zaprowadzili, roił się od detektywów. Był tam również duży pokój, w którym przechowywali albumy ze zdjęciami zatrzymanych, i przesiedziałem w nim mniej więcej godzinę z detektywem, podającym mi kolejne książki. Ich okładki opatrzone były napisem "Cwaniacy", co uznałem za dość śmieszne.

Przez tę godzinę przyjrzałem się większej liczbie włoskich fizjonomii, niż można zobaczyć w Lattingtown w ciągu dziesięciu lat, na żadnej jednak fotografii nie rozpoznałem sportsmenów z dubeltówkami.

–Może wynajęli kogoś spoza miasta – powiedziałem, przypominając sobie kwestię, którą usłyszałem kiedyś w starym gangsterskim filmie. – No wiecie, na przykład paru chłopaków z Chicago. Sprawdź- cię lepiej dworce kolejowe.

–Dworce kolejowe?

–No, może raczej lotniska.

Po pewnym czasie odłożyliśmy na bok albumy i rozpoczął się pokaz slajdów, w czasie którego obejrzałem sobie kilkudziesięciu paesanos, sfotografowanych w naturalnym środowisku ukrytym aparatem.

–Ci ludzie nigdy nie zostali aresztowani – wyjaśnił detektyw – więc nie mamy ich portrecików, ale to także lepsi cwaniacy.

Wpatrywałem się więc w ekran, aż oczy wychodziły mi z orbit. Nie mogłem powstrzymać ziewania i bolała mnie głowa.

–Naprawdę wdzięczni jesteśmy panu za współpracę – powiedział detektyw.

–Nie ma sprawy – odparłem. Czy jednak rzeczywiście miałem zamiar wskazać dwóch opryszków, gdybym zobaczył ich twarze? Czy chciałem być świadkiem w procesie o morderstwo? Nie, nie chciałem, ale zrobiłbym to. Mimo całego gówna, w które wdepnąłem w ciągu kilku ostatnich miesięcy, wciąż byłem porządnym obywatelem i gdybym zobaczył twarz któregoś z nich, nie wahałbym się go wskazać. Ale jak dotąd, wszystkie twarze wydawały mi się obce.

**Wkrótce jednak na ekranie pokazali się starzy znajomi i zamrugałem oczyma.  
Zdjęcia, które teraz oglądałem, zrobione były**

niewątpliwie z rezydencji DePauwów – w tle widniała Alhambra – i stanowiły dokumentację pamiętnej Wielkanocnej Niedzieli. Na powiększonych, ziarnistych slajdach widziałem wysiadających ze swoich wielkich czarnych samochodów świątecznie ubranych ludzi.

–Pamiętam ten dzień – powiedziałem.

Na ekranie ukazał się Sally Da-Da razem z kobietą, która mogła być siostrą Anny, a potem Gruby Paulie razem z kobietą, która mogła być jego bratem bliźniakiem. Były również twarze, które pamiętałem z "Giulia" i z hotelu "Plaza", żadna z nich jednak ani trochę nie przypominała tych, które zobaczyłem, kiedy celowali do mnie z tych swoich wielkich armat.

A potem na ekranie pojawiła się Alhambra w nocy, a na pierwszym planie machający do obiektywu cwaniak John Sutter i moja przystojna, ubrana w czerwoną sukienkę żona, która spoglądała na mnie zaintrygowana i trochę zniecierpliwiona.

–To ten facet – zawołałem. – Nigdy nie zapomnę tej twarzy.

Dwaj detektywi zachichotali.

–Urodzony morderca – powiedział jeden z nich.

–Paskudne oczy – zgodził się drugi.

Na tym zakończył się pokaz, podczas którego nie udało mi się zidentyfikować żadnego z zabójców.

–Słuchajcie, mogę obejrzeć to jeszcze raz, ale już nie dzisiaj – powiedziałem, żeby być w porządku.

–Najlepiej jest to robić od razu, kiedy świeży jest jeszcze obraz pod powiekami, proszę pana.

–Jest zbyt świeży. Wszystko, co teraz widzę, to cztery czarne lufy.

–Rozumiemy pana.

–To dobrze. Cóż, w takim razie życzę dobrej nocy. Życzenia były trochę przedwcześnie. Następne kilka godzin spędziłem razem z policyjną rysowniczką, całkiem ładną kobietą, co czyniło całą sprawę trochę bardziej znośną. Kusilo mnie, żeby opisać jej rysy Alphonse'a Ferragamo, ale gliny traktują te rzeczy bardzo serio, podobnie zresztą jak ja. Staralem się zatem przekazać słowami, jak wyglądali, w



słabym ulicznym światłem, dwaj skuleni za samochodem mężczyźni, których twarze były częściowo zasłonięte trzymanymi w rękach dubeltówkami. Linda – tak miała na imię rysownicza – dała mi album, w którym naszkicowane były różne typy oczu, ust i tak

dalej. Siedzieliśmy ramię przy ramieniu pochyleni nad szkicownikiem i było to całkiem zabawne – niczym wspólne układanie puzzli.

Pachniała niezłymi perfumami – powiedziała, że nazywają się "Obsession". Jeśli chodzi o mnie, to dezodorant, którego użyłem po południu, całkiem już wywietrzał, a drobne, pokrywające moje ubranie, śmiertelne szczątki roztaczały coraz silniejszy zapach.

Po jakimś czasie udało jej się sporządzić dwa portrety, które po pewnych poprawkach przypominały chłopców ze strzelbami. W tym momencie byłem już tak umordowany, że ledwo widziałem na oczy.

–Zważywszy okoliczności, jest pan bardzo spostrzegawczy – stwierdziła Linda. – Większość ludzi nic na ogół nie pamięta. Wie pan, pod wpływem hysterii występuje u nich coś w rodzaju chwilowej ślepoty i nie potrafią nawet powiedzieć, czy facet był biały czy czarny.

–Dziękuję. Czy wspominałem pani, że ten z prawej miał mały pryszcz na podbródku?

Uśmiechnęła się.

–Czyżby? – zapytała i wzięła świeży blok. – Niech pan się nie rusza – powiedziała, po czym naszkicowała szybko węglem mój portret, co wprawiło mnie w lekkie zakłopotanie. Wyrwała arkusz ze szkicownika i podała mi przez stół. Uniosłem go i przez chwilę mu się przyglądałem. Ta kobieta najwyraźniej zbyt długo już rysowała złoczyńców. Facet na rysunku wyglądał jak alfons.

–Muszę się trochę przespać – powiedziałem.

Zbliżał się świt i znowu miałem nadzieję, że jest już po wszystkim, tymczasem jednak w komisariacie Midtown South pojawił się nie kto inny jak pan Felix Mancuso z Federalnego Biura Śledczego.

–Odwiedza pan slumsy? – zapytałem go.

Najwyraźniej jednak nie był w odpowiednim nastroju do żartów.

Podobnie, prawdę mówiąc, jak i ja.

–Jak się czuje mój klient? – zapytałem. – Żyje, ale obawiam się, że nie jest z nim najlepiej. Stracił mnóstwo krwi i mówi się o możliwości uszkodzenia mózgu.

Nie odpowiedziałem.

**Pan Mancuso i ja porozmawialiśmy przez dziesięć minut na osobności. Byłem z nim szczery, a on uwierzył, że nie wiem nic oprócz tego, co powiedziałem nowojorskiej policji i że naprawdę nie byłem w stanie zidentyfikować zabójców na żadnej fotografii ani slajdzie.**

Zasugerowałem niemniej, że do spisku należał moim zdaniem również pan Lenny Patrelli.

–Wiemy o tym – odpowiedział. – Znaleźliśmy limuzynę zaparkowaną na lotnisku Newark. Ciało Patrellego było w bagażniku.

–To straszne.

Pan Mancuso rzucił na mnie okiem.

–Pana też mogli zabić.

–Wiem.

–Wciąż mogą uznać, że trzeba to zrobić.

–Mogą.

–Czy uważa pan ich za miłych facetów, bo darowali panu życie?

Jest pan im wdzięczny?

–Byłem. Teraz już mi przeszło.

–Chce pan może, żebyśmy objęli pana ochroną federalną?

–Nie, mam i tak dosyć problemów. Naprawdę nie sądzę, żebym był na ich liście.

–Nie było pana, ale teraz mogli pana wpisać. Widział pan ich twarze.

–Ale o tym nie poinformujemy chyba prasy, prawda, panie Mancuso?

–Nie, ale faceci, którzy dokonali zamachu, wiedzą, że widział ich pan z bliska, panie Sutter. Nie przewidywali prawdopodobnie, że będzie się pan znajdował tak blisko Bellarosy, albo nie wiedzieli po prostu, kim pan jest. Profesjoniści nie zabijają ludzi, których nie kazano im zabić. Mógł pan być na przykład policjantem albo księdzem w cywilu. Woleli więc pana zostawić i nie narażać się na ewentualne kłopoty z facetami, którzy zlecili im tę robotę. Ale teraz mamy inną sytuację – powiedział przyglądając mi się z bliska.

–Naprawdę mało mnie to obchodzi – odparłem. – Ci faceci byli, jak sam pan powiedział, profesjonalistami i przyjechali tutaj z jakiegoś innego miasta. W tej chwili są daleko, daleko stąd i nie zdziwiłbym się wcale, gdyby i oni wylądowali w końcu w

**bagażniku.**

**–Twarda z pana sztuka, panie Sutter.**

**–Nie, jestem po prostu realistą, panie Mancuso. Proszę nie próbować mnie nastraszyć. I tak jestem w wystarczającym stopniu wystraszony.**

**Kiwnął głową.**

–W porządku – odparł, po czym spojrzał mi prosto w oczy. – Ja w każdym razie pana ostrzegałem. Ostrzegałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Mówiłem panu. Zgadza się?

–Zgadza. A ja powiedziałem panu, co knuje Alphonse Ferragamo. Zgadza się? Więc jeśli szuka pan człowieka, który maczał palce w tym zamachu, niech pan idzie do niego.

Biedny pan Mancuso sprawiał wrażenie zasnętego, rozżalonego i naprawdę zde gustowanego.

–Nienawidzę tego – oświadczył. – Całego tego zabijania.

Poinformowałem świętego Feliksa, że to także mało mnie obchodzi. – Śmierdzą krwią – dodałem nawiązując do kwestii zabijania.

Zabieram się stąd.

–W porządku. Odwiozę pana. Gdzie pan chce jechać?

–Do hotelu "Plaza" – odparłem po krótkim namyśle.

–Nie, chce pan jechać do domu.

Może i miał rację.

–Dobrze. Nie będzie to dla pana zbyt duża fatyga?

–Nie.

Po dopełnieniu niezbędnych formalności, w tym złożeniu przyrzeczenia, że nie opuszczę miasta, wyszliśmy z komisariatu, wsiedliśmy do rządowego pojazdu pana Mancuso i ruszyliśmy przez Midtown Tunnel na wschód w stronę autostrady. Na horyzoncie wschodziło słońce i zapowiadał się piękny ranek.

Pan Mancuso musiał widać myśleć o tym samym co ja, ponieważ zapytał mnie:

–Cieszy się pan z tego, że żyje?

–Absolutnie.

–Miło mi to słyszeć.

**Mnie też było miło.**

**–Jak się miewa pani Bellarosa? – zapytałem go.**

**–Kiedy widziałem ją kilka godzin temu, wyglądała dobrze;] A pani Sutter? Bardzo była wytrącona z równowagi? – |.Ostatnim razem, kiedy ją widziałem, wydawała się opanowana.**

**–W takich sytuacjach często występuje opóźniona reakcja.**

**Powinien pan mieć ją na oku.**

**Powinienem mieć ją na oku od kwietnia i sądzę, że to właśnie miał na myśli.**

**–To silna kobieta.**

**–To dobrze.**

**Gawędziliśmy niezobowiązująco, sunąc w stronę wschodzącego słońca i, muszę przyznać, że nie wykorzystywał sytuacji i nie starał się wyciągnąć ode mnie żadnych informacji. Ja ze swej strony nie wypowiadałem się już więcej na temat Alphonse'a.**

**O czymkolwiek rozmawialiśmy, musiało to być strasznie nudne, ponieważ usnąłem. Obudziłem się dopiero, kiedy trącił mnie w ramię.**

**Przejeżdżaliśmy właśnie przez bramę Stanhope Hall, którą Susan zostawiła otwartą. Mancuso zajechał pod dom gościnny. Wysiadłem mamrocząc pod nosem słowa podziękowania.**

**–Będziemy pilnować okolicy – powiedział. – Zresztą i tak tutaj jesteście.**

**–Racja.**

**–Chce pan ten rysunek? To ma być pan?**

**–Może go pan sobie zatrzymać.**

**Zataczając się ruszyłem ku drzwiom, otworzyłem je i wszedłem do środka. Wchodząc po schodach ściągnąłem z siebie pokrwawione ubranie i zostawiłem na stopniach. Mogła je stąd uprzątnąć Lady Stanhope. Do gościnnej łazienki dotarłem całkiem nagi (nie licząc pęku kluczy i wziąłem prysznic na siedząco. Madonna mia, co za paskudna noc.**

**Przeszedłem do mojego małego pokoiku i rzuciłem się na łóżko.**

**Leżałem tam gapiąc się w sufit, dopóki do środka nie zajrzało poranne słońce. Usłyszałem kręcącą się po hallu Susan, a potem jej kroki na schodach. Zbierała chyba moje ubranie.**

**Po kilku minutach usłyszałem pukanie do drzwi.**

**–Proszę – powiedziałem.**

**Do środka weszła Susan, ubrana w szlafrok, ze szklanką soku pomarańczowego w ręku.**

**Wziąłem od niej sok i wypilem, choć żołądek miałem pełen kofeiny.**



**–Policjanci, którzy odwieźli mnie do domu, mówili, że wielki z ciebie szczęściarz – powiedziała.**

**–Niewątpliwie mam dobrą passę. Jutro wyruszam w stronę gwiazd.**

**–Wiesz, o co mi chodzi. Ja też jestem szczęśliwa mając cię z powrotem w domu.**

Nie odpowiedziałem i stała tak przez chwilę bez ruchu.

–Umarł? – zapytała w końcu.

–Nie. Ale jego stan jest krytyczny.

Kiwnęła głową.

–Jak się w związku z tym czujesz? – zapytałem.

–Nie wiem – odparła. – Może postąpiłeś właściwie.

–Czas pokaże – powiedziałem. – Jestem zmęczony.

–Dam ci trochę pospać. Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?

–Nie, dziękuję. – Śpij dobrze – powiedziała i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Leżąc na łóżku nie mogłem pozbyć się uczucia, że postąpiłem właściwie, ale z niewłaściwej przyczyny. Moim naturalnym ludzkim odruchem było ratowanie życia. Intelkt podpowiadał mi jednak, że świat mógłby się świetnie obejść bez pana Franka Bellarosy. Zwłaszcza ta część świata.

Lecz ja ocaliłem mu życie i próbowałem teraz przekonać samego siebie, że zrobiłem to, ponieważ taki był mój moralny obowiązek. Tak naprawdę jednak uratowałem go, bo chciałem, żeby jeszcze trochę pocierpiał, żeby poczuł się upokorzony tym, że strzelali do niego jego własni rodacy, żeby poddał się na koniec osądowi społeczeństwa, a nie osądowi szumowin, które nie mają żadnego – legalnego ani moralnego – prawa, by pozbawiać kogokolwiek życia, włączając w to życie podobnych im ludzi.

Chciałem również odzyskać to, co mi się od niego należało.

A skoro już zależało mi na całej prawdzie, to musiałem przyznać, że wciąż lubiłem tego faceta. Naprawdę, pasowaliśmy do siebie od samego początku. I jeżeli Frank Bellarosa odzyskał w tej chwili świadomość, na pewno rozmyślał o tym, jakim dobrym okazałem się kumplem, nie dając mu się wykrwawić na śmierć. Mamma mia, powinniśmy byli zamówić sobie do domu pizzę.

No cóż, próba oczyszczenia za jednym zamachem sumienia i uporządkowania myśli jest dość wyczerpująca, zacząłem więc fantazjować na temat rysowniczkii Lindy i zaraz zasnąłem.

**Rozdział 35 Sukinsyn oczywiście przeżył, w przeważającej mierze dzięki moim wyniesionym ze skautingu i wojska umiejętnościom w zakresie udzielania pierwszej pomocy. Prasa narobiła wokół tego mnóstwo szumu, a jeden z brukowców przeprowadził nawet idiotyczną ankietę na temat: "Czy ocaliłbyś życie konającemu szefowi mafii?" Wszystkich sześciu ankietowanych odpowiedziało, że tak, powołując się na ludzkie uczucia, zasady chrześcijańskie i tak dalej. Sally Da-Da (gdyby go ktoś o to pytał) mógł mieć jednak nieco odmienne zdanie w tej kwestii i podejrzewałem, że bardzo mu podpadłem.**

**Była już połowa października, dokładnie rzecz biorąc Dzień Kolumba\* i być może właśnie ten fakt skłonił mnie do złożenia wizyty panu Bellarosie, który mniej więcej przed dwoma tygodniami wypisany został ze szpitala i powracał do zdrowia w Alhambrze.**

**Nie widziałem się z nim ani nie rozmawiałem od czasu naszej pechowej kolacji u "Giulia" i, prawdę mówiąc, nie wysłałem mu nawet żadnej kartki czy kwiatów. Właściwie to on był mi winien kwiaty. Śledziłem jednak, co pisała prasa o jego stanie zdrowia i w ogóle na temat całej sprawy. Poza tym jadałem teraz dość często lunch na Manhattanie z Jenny Alvarez, która powtarzała mi najświeższe mafijne plotki. Ostatnia brzmiała następująco: W przeciwieństwie do niektórych nieudanych zamachów, których ofiara \* Święto upamiętniające rocznicę odkrycia Ameryki, obchodzone w drugi poniedziałek października.**

24 – Złote Wybrzeże t. II uzyskuje coś w rodzaju ulaskawienia (o ile uzna, że dostała to, na co sobie zasłużyła), kontrakt na głowę Franka Biskupa Bellarosy wciąż pozostawał w mocy.

Nawiasem mówiąc, moje stosunki z panią Alvarez ewoluowały w kierunku bardziej duchowym i platonicznym, co oznacza, że już jej nie posuwałem. Komplikowało to znacznie moją sytuację.

Był słoneczny ciepły poranek. Idąc tyłami posiadłości przedostałem się na teren Alhambry, gdzie niedaleko posągu Przenajświętszej Panienki zatrzymało mnie dwóch mężczyzn w błękitnych wiatrówkach, na których widniały wyszyte litery FBI. Obaj uzbrojeni byli w czarne M-16. Przedstawiłem się, oni jednak – mimo że sprawiali wrażenie świetnie zorientowanych, z kim mają do czynienia – kazali mi się wylegitymować. Pokazałem im dowód i wtedy jeden z nich zagadał do radiotelefonu. Słyszałem część rozmowy i wynikało z niej, że facet po drugiej stronie linii musi pójść zobaczyć, czy pan Bellarosa przyjmuje (tak właśnie się wyraził). Domyśliłem się, że odpowiedź była pozytywna, ponieważ jeden z funkcjonariuszy oświadczył, że musi mnie przeszukać, a kiedy zrobił to, ruszył wraz ze mną w stronę domu.

Wiedziałem oczywiście, że w Alhambrze nastąpiła zmiana warty.

Przede wszystkim dwóch poprzednich strażników już nie żyło. Zniknął również – z własnej woli bądź na mocy rządowego dekretu – Anthony oraz inni osobnicy, których oglądałem szwendających się tutaj przez całe lato. Rządzili tu teraz federalni, a Frank, chociaż bardziej bezpieczny, cieszył się jednak mniejszą wolnością, podobnie jak jego ptaszki w połączonych klatkach. Nie został jednak aresztowany; wszystko wskazywało na to, że przeszedł na drugą stronę. Ale kto mógł go za to winić?

–Orientuje się pan chyba – spytał mnie facet z M-16 – że on zwolnił pana z funkcji swojego adwokata i w związku z tym wszelkie informacje, które panu przekaże, nie noszą poufnego charakteru.

–Obiło mi się coś o uszy.

Większość agentów FBI to adwokaci i być może nawet i ten facet – odziany w rządową wiatrówkę i trzymający w ręku rządową strzelbę – ukończył kiedyś wydział prawa. Podoba mi się, kiedy prawnicy wykonują męskie zawody. Poprawia to image naszej profesji.

–Czy jest w domu jego żona? – zapytałem.

–Dzisiaj nie. Wyjeżdża często do swoich krewnych.



–A pan Mancuso?

–Nie jestem pewien.

Przecieliśmy obsypane jesiennymi liśćmi patio, mijając piec do pizzy, którego drzwiczki pokryła rdza. Weszliśmy do domu tylnymi drzwiami, gdzie przejął mnie inny agent, w garniturze. Eskortowany przez niego przeszedłem do palmiarni.

Całe atrium zastawione było bukietami i koszami kwiatów; unosił się w nim zapach domu pogrzebowego. Mamma mia, ci ludzie uznawali wyłącznie cięte kwiaty. Rzuciłem okiem na kilka kartek z życzeniami.

Witaj w domu, Frank. Powracaj do zdrowia. Wyrazy miłości, Sal i Marie, wyczytałem na tej, która przypięta była do największej kompozycji. No nie. Czy to mógł być Sally Da-Da? Chwileczkę, jak miała na imię siostra Anny? Chyba Marie. Cóż za niewiarygodny tupet.

W palmiarni znajdowało się kilku innych federales i podczas gdy ja podziwiałem kwiaty, jeden z nich przejechał po moim ubraniu wykrywaczem metalu.

Wykrywacz zapiszczał.

–Pan będzie łaskaw opróżnić kieszenie – powiedział facet.

–Włączył się, bo mam miedziane jaja – poinformowałem go, wyjmując jednak jednocześnie to, co miałem w kieszeniach. Ubrany byłem w tweedową kurtkę strzelecką, co nie stanowiło może najlepszego odzienia na tę okazję. W jej bocznej kieszonce tkwił oczywiście scyzoryk, który uszedł uwagi faceta w wiatrówce. Używam go do usuwania zaklinowanych w lufie łusek, ale nie wspominałem o tym, bo i tak atmosfera była dość napięta.

–Czy mogę to zatrzymać, proszę pana? – zapytał.

Wręczyłem mu scyzoryk, a on sprawdził mnie ponownie detektorem. Kiedy to robił, dostrzegłem przechodzącą przez palmiarnię pielęgniarkę. Była to starsza kobieta, żadne tam figle-migle, i wyglądała na twardą sztukę – taką, co to robi lewatywę lodowatą wodą, bez wazeliny.

Ruszyliśmy obaj w stronę schodów.

–Jeśli jest w swoim gabinecie, znam drogę – powiedziałem.

–Mam obowiązek zaprowadzić pana na miejsce – odparł.

**Dobry Boże, w tym domu robiło się naprawdę ponuro.**

**Podeszliśmy do zamkniętych drzwi gabinetu. Agent zapukał raz i otworzył je. Wszedłem do Środka, a on zamknął drzwi z drugiej strony.**

Bellarosa odpoczywał w fotelu, tym samym, w którym siedział owej nocy, kiedy piliśmy razem grappę. Ubrany był w płaszcz kąpielowy w niebieskie paski i domowe pantofle, co w jakiś sposób go postarzało, a może tylko nadawało bardziej dobrotliwy wygląd. Zauważyłem, że przydałoby mu się golenie.

Siedząc w fotelu wyciągnął do mnie rękę.

–Wstawanie z miejsca sprawia mi trudność – powiedział.

Ująłem jego dłoń i wymieniliśmy uścisk. Dostrzegłem, że jego opalona zwykle skóra pożółkła, a na twarzy i szyi ma kilka purpurowych szram po odłamkach.

–Jak się czujesz, Frank?

–Nie najgorzej.

–Wyglądasz fatalnie.

Roześmiał się.

–Zgadza się. Nie mogę się za wiele ruszać. Wykonywać ćwiczeń.

W nogach wciąż odnajdują mi pierdolone odłamki, a w piersi rwie mnie, jakbym dostał się pod ciężarówkę. Muszę teraz chodzić o laskach. – Podniósł stojącą przy fotelu laskę. – Jak moja babka. Walę każdego, kto się napatoczy. – Uderzył mnie żartobliwie laską w biodro i roześmiał się. – Zupełnie jak moja stara babcia. Siadaj.

Usiadłem na krześle naprzeciwko niego.

–Chcesz może kawy? Filomena wciąż tu jest. Ona jedna została.

Cała reszta to pierdoleni federalni. Nawet pielęgniarki są federalne.

Chcesz kawy?

–Jasne.

–Kawy! – wrzasnął do radiotelefonu, po czym odłożył go i uśmiechnął się. – Trzeba ich czymś zająć.

Wyglądał naprawdę fatalnie, nie zauważyłem jednak żadnych oznak uszkodzenia mózgu. Prawdę mówiąc, jego umysł funkcjonował normalnie. Był tylko jakby trochę zgaszony, ale to mogły powodować leki przeciwbólowe.



**–Jak się miewa Anna? – zapytałem.**

**–Dobrze. Jest teraz u tej swojej zwariowanej siostruni w Brooklynie.**

**–Marie? U tej, która wyszła za Sally'ego Da-Da?**

**Spojrzał na mnie i kiwnął głową.**

**–Wiesz chyba, że federalni uważają, że to była robota twojego szwagra?**

Wzruszył ramionami.

–Teraz on rządzi. Zgadza się? – kontynuowałem.

–Czym rządzi?

–Imperium.

Roześmiał się.

–Imperium? Nie wiem nic o żadnym imperium.

–To lepiej się dowiedz, Frank, bo któregoś ranka obudzisz się, a na zewnątrz nie będzie nikogo z M-16. Będziesz tylko ty, twoje laski i Sally Da-Da składający ci wizytę. Capiśce?

Uśmiechnął się.

–Gadasz zupełnie jak pierdolony Mancuso.

–Gazety piszą, że poszedłeś na współpracę.

Parsknął.

–Jeszcze jedna brednia. Jeszcze jedno łgarstwo, które sfabrykował Ferragamo, starając się zrobić ze mnie kapusia. Ten kutas wciąż chce mnie ujrzyć w grobie.

Szczerze mówiąc, już przedtem nie bardzo chciało mi się wierzyć, żeby Frank pracował dla Alphonse'a Ferragamo.

–Zrozum, Frank – powiedziałem. – Z tego, co mówi Jack Weinstein, nie jestem już twoim adwokatem, ale gdybym nim był, poradziłbym ci, żebyś poszedł na współpracę. Domyślam się, że przynajmniej rozważasz taką możliwość, w przeciwnym razie nie otaczaliby cię chłopcy z FBI.

Przez chwilę bawił się rączką laski i przeszło mi przez głowę, że wygląda jak staruszek.

–Pilnują mnie, bo jestem świadkiem morderstwa. Morderstwa Vinniego. Podobnie jak i ty. Rozumiesz. Poza tym jestem niedoszłą ofiarą zorganizowanej przestępczości – powiedział i uśmiechnął się.

–Nie musisz dochowywać lojalności wobec ludzi, którzy usiłowali cię zabić, Frank.

**To twoja ostatnia szansa na to, żebyś wymigał się od kryminału, ocalił własną głowę i zaczął gdzieś z Anną nowe życie.**

**Przyglądał mi się przez całą minutę.**

**–A co to ciebie obchodzi? – zapytał w końcu.**

**Dobre pytanie.**

**–Może troszkę się o Annę – odpowiedziałem. – Może zależy mi na tym, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Jestem uczciwym obywatelem.**

–Że co? Dobrze, pozwól mi sobie coś powiedzieć, panie obywatelu. Frank Bellarosa nigdy nie będzie gadał z federalnymi.

–Próbowali cię wykończyć twoi własni ludzie, Frank.

–To było nieporozumienie. Wiesz, jak do tego doszło. Wrobił mnie w to ten pierdolony Ferragamo. Ale ja porozmawiałem z moimi ludźmi i wszystko wyprostowałem.

–Czyżby? Więc wybierz się w takim razie na przejażdżkę na wieś razem z Sallym Dada.

–Nie masz o tym wszystkim najmniejszego pojęcia, mecenasie.

–Wiem tylko, że patrzyłem prosto w lufy dwóch dubeltówek.

Widziałem głowę Vinniego rozpryskującą się jak dynia i ciebie skaczącego flopem przez okno.\* Uśmiechnął się.

–Widzisz teraz, dlaczego tak dobrze płacę moim adwokatom?

Skoro o tym mowa, nie dostałem od niego na razie złamanego centa, ale nie miałem zamiaru poruszać tej kwestii.

–Chciałbym, żebyś wyjaśnił mi, dlaczego zostałem wylany – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Z wielu powodów. Co powiedział ci Jack?

–Niewiele. Stwierdził po prostu, że miałem sporo szczęścia i jestem pewnie trochę wystraszony. Co jest prawdą. Powiedział mi także, że zgłosi się do mnie, jeśli będę musiał zeznawać w sprawie twojego alibi na procesie. To nie jest takie straszne.

–Zgadza się. No, zobaczymy. Federalni ciebie nie lubią. Wyświadczyłem im więc drobną uprzejmość i wysłałem cię na zieloną trawkę.

–To ciekawe. A jaką uprzejmość oni wyświadczą ci w zamian?

–To nie oznacza, że nie możemy być dalej przyjaciółmi – ciągnął, nie odpowiadając na moje pytanie. – W gruncie rzeczy lepiej, żebyśmy pozostali wyłącznie przyjaciółmi i sąsiadami. Mam rację?

**–Tak sędę. Czy wciąż mam honorowe włoskie obywatelstwo?**

**Roześmiał się.**

**–Jasne. Nawet więcej, nadaję ci godność honorowego obywatela Neapolu. Wiesz dlaczego? Bo kiedy tam stałeś i ten facet zastanawiał się, czy nie wysłać cię na tamten świat, zasalutował mu po włosku.**

**Skąd, u Boga Ojca, mógł o tym wiedzieć? Woląłem o to nie pytać.**

Bellarosie poprawił się najwyraźniej humor.

–Wciąż posuwasz tę dziwkę, Alvarez, czy jak się tam ona nazywa?

–Jestem żonaty.

Uśmiechnął się.

–Dowiedziałem się od niej – powiedziałem – że twój szwagier wciąż chce cię wykończyć. Tak mówi ulica. A ty pozwalasz nocować tam swojej żonie?

–Jedno nie ma z drugim nic wspólnego.

Domyśliłem się, że wciąż nie rozumiem stosunków panujących we włoskiej rodzinie. Próbowałem wyobrazić sobie, co by to było, gdyby Susan pojechała do krewnych, którzy usiłowali dokonać na mnie zamachu. Właściwie coś takiego ma miejsce za każdym razem, kiedy wyjeżdża do Hilton Head. Ale William Pierdoła tylko życzy mi śmierci; jest zbyt wielkim kutwą, by wynająć kogoś do mokrej roboty.

–Sally przysłał ci kwiaty – poinformowałem Bellarosę. – Czy przyszedł tu złożyć ci wizytę?

–Ten facet jest Sycylijczykiem – oznajmił nie odpowiadając bezpośrednio na moje pytanie – a Sycylijczycy mają takie powiedzenie:

"Trzymaj się blisko swoich przyjaciół, ale jeszcze bliżej swoich wrogów". Capiisce?

–Rozumiem, ale uważam, że wszyscy jesteście szurnięci. Ja nie.

Ale wy wszyscy jesteście szurnięci.

Wzruszył ramionami.

–Czy zapłacili tym dwóm facetom za sfuszerowaną robotę? – zapytałem.

–Mogą zatrzymać połowę doli, którą dostali z góry – odparł uśmiechając się – Drugiej połowy nie dostaną. Ja zrobiłbym to inaczej – dodał.

–To znaczy?

–Dubeltówki są dobre, żeby powalić faceta na ziemię i żeby wszyscy naokoło narobili w portki ze strachu – powiedział tak, jakby wszystko to sobie dawno przemyślał. – Rozumiesz? Ale potem trzeba wykończyć ofiarę strzałem w głowę, bo

**mnóstwo ludzi nosi teraz kamizelki. Mam rację?**

**–Techniki się zmieniają, jestem o tym przekonany. A swoją drogą, Frank, jak to się stało, że ty miałeś na sobie kamizelkę, a ja nie?**

**–Już ci mówiłem, ty jesteś cywilem. Nie masz się czego obawiać.**

Zresztą, jak chcesz, mogę ci dać którąś z moich – powiedział i roześmiał się.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł facet z FBI, a za nim Filomena z tacą. Wstałem, żeby jej pomóc, ale dała mi do zrozumienia, że stoję jej na drodze, usiadłem więc z powrotem.

Niewiele jest kobiet, którym urody dodałaby broda; Filomena była jedną z nich.

Postawiła tacę na stole i naląła dwie filiżanki kawy. Frank powiedział do niej coś po włosku, ona nie pozostała mu dłużna i znowu się zaczęło. W trakcie kłótni posłodziła mu kawę, dołąła do niej śmietanki, a także posmarowała biskwit masłem. Widać było, że mimo ciągłych swarów, tych dwoje czuło do siebie wyraźną słabość.

–Powiedz jej, że ją lubię – zwróciłem się do Bellarosy.

Uśmiechnął się i odezwał się do Filomeny po włosku.

Spojrzała na mnie, prychnęła i powiedziała coś ostro w moją stronę. \ – Mówi, że masz piękną żonę – przetłumaczył Bellarosa – i powinienes się odpowiednio zachowywać. Włoszki uważają – dodał – że każdy, kto prawi im komplementy, chce je od razu przerznąć.

Ich zdaniem wszyscy mężczyźni to świnię.

–Mają rację.

Filomena rzuciła mi groźne spojrzenie i wyszła.

Wypiłem trochę kawy, zauważyłem jednak, że Bellarosa nawet nie tknął swojej, nie ruszył także ani jednego biskwita.

–Frank – powiedziałem – nie przyszedłem tutaj, żeby wyręczać władze, ale muszę ci powiedzieć, że powinienes przypomnieć sobie nauki Machiavellego i pomyśleć, co jest dobre dla ciebie, dla twojej żony i synów. Mówię to dlatego, że cię lubię – dodałem.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby się nad tym rzeczywiście zastanawiał.

–Coś ci powiem, mecenasie – odparł w końcu. – Dzisiaj sprawy wyglądają inaczej. Dwadzieścia lat temu nikt nie wchodził w konszachty z prokuratorem okręgowym i w ogóle z federalnymi, Ale teraz ludzie chcą mieć równocześnie jedno i drugie. Chcą mieć forszę, chcą żyć jak lordowie, a potem, kiedy wpadają w drobne kłopoty, nie chcą dać się zapuszkować. Rozumiesz? Więc śpiewają, Nie rozumieją, że albo nie



**wchodzi się w ogóle do tego interesu, albo, kiedy się wchodzi, trzeba być gotowym do dwudziestoletniej odsiadki.**

Dzisiaj wszyscy ci faceci mają ochotę żyć tak, jak żyje klasa średnia.

Chcą posuwać co noc swoje żony albo kochanki, codziennie rano patrzeć, jak ich dzieciaki idą do szkoły, może nawet grać w golfa.

W czasach mojego wuja facet odsiadywał bez zmrużenia oka dwadzieścia lat, a kiedy wychodził, żona obejmowała go, dzieciaki całowały w rękę, a wspólnicy spłacali do ostatniego centa. Rozumiesz? Ale kto dzisiaj ma jeszcze takie jaja? Więc pierdolony prokurator proponuje ugodę. Ale ja nie będę szedł na ugodę z federalnymi, żeby ratować własny tyłek. Muszą zrozumieć, że Frank nie jest pierdolonym kapusiem tak jak połowa z nich. Wiesz, czego nauczyłem się w La Salle?

Siła przywództwa bierze się z siły przykładu. Honor nie jest na sprzedaż.

Jeżeli ta rzecz, ta organizacja/ma w ogóle przetrwać, to muszę pokazać wszystkim, na jakich ma przetrwać zasadach. Muszę dać przykład, nawet jeśli próbowali mnie kropnąć i nawet jeśli teraz osaczyli mnie federalni. To są właśnie jaja, mecenasie. Jaja. Capiście?

Rzeczywiście rozumiałem. Jaja umieszczone nie tam, gdzie trzeba, ale mimo to jaja.

–Capiśco.

Uśmiechnął się.

–Organizacja może już nie jest taka sama jak kiedyś, ale nie możesz powiedzieć, że brakuje jej stylu czy klasy. Zostawili cię przecież przy życiu, prawda?

–Zależy im na dobrej prasie – odpowiedziałem. – Zamach na ciebie to jedno, a zamach na mnie to co innego.

–Zgadza się. Wciąż mamy dobrą prasę. Chcemy ją mieć i potrzebujemy jej. Melanzane i Latynosi kładą trupem każdego, kto im się nawinie, a potem się dziwią, że nikt ich nie lubi. Mam rację?

–Jak już powiedziałem, techniki się zmieniają.

–Zgadza się, ale te dupki nie mają żadnej techniki.

Naprawdę nie byłem w nastroju, żeby rozprawiać o zaletach i wadach różnych współzawodniczących ze sobą organizacji przestępczych. Ale w jednym punkcie Bellarosa miał rację. W skrócie: nawet jeśli Sally Da-da miał ochotę mnie zabić, bo

**działałem mu na nerwy, to wiedział, że moja śmierć zostanie źle przyjęta przez prasę i nie przyniesie mu żadnej korzyści. Dlatego właśnie pan John Sutter kroczył śmiało przez krew i pożogę, ryzykując najwyżej zniszczenie krawatu i garnituru, chroniony aurą otaczającej go władzy**

i nieskazitelnymi referencjami towarzyskimi. Błękitna krew nie poleje się na ulicach Little Italy. Nic dziwnego, że Frank nie przypuszcza by była mi potrzebna kuloodporna kamizelka. Co nie zmienia faktu, że wolałbym ją mieć na sobie, kiedy jeden z jego rodaków mierzył do mnie ze strzelby.

Przez chwilę przyglądałem się Bellarosie. Miał wychudłą twarz i w ogóle wydawał się jakiś mniejszy, tylko brzuch jak zwykle nie mieścił mu się w szlafroku. Trzy ładunki kalibru osiem, nawet jeśli delikwent ma akurat na sobie kamizelkę, naprawdę są szkodliwe dla zdrowia. Patrzyłem na niego – na człowieka, który był obrazem fizycznej degrengolady – i pytałem sam siebie, czy pogorszeniu nie uległ również jego stan umysłowy. Facet wydawał się normalny, ale jakiś inny. Może powodował to fakt, że w domu siedzieli federalni. Ich obecność każdego wpędziłaby w depresję.

Poprosił mnie, żebym dał mu butelkę sambuki, która schowana była za książkami na półce. Szukając jej, zauważyłem wazon świeżo ciętych nagietek, podobnych do tych, które zasadziliśmy z George'em w Stanhope Hall. Interesujące.

Podąłem mu butelkę. Nalał sobie solidną porcję do filiżanki, wypił i nalał ponownie.

–Chcesz się napić?

–Trochę za wcześnie.

–Zgadza się. Ta dziwka siostra nie pozwala mi pić alkoholu.

Podobno z powodu antybiotyków, które biorę. Bzdura, najlepszym pierdolonym antybiotykiem jest właśnie sambuka. Mam rację? Masz, odłóż to na miejsce.

Odstawiłem butelkę z powrotem za książki. No, no, wiele zmieniło się w Alhambrze. Teraz to mnie ogarniała depresja. Spojrzałem na zegarek, tak jakbym zbierał się do wyjścia.

–Posiedź jeszcze chwilę – powiedział dostrzegając mój ruch.

Muszę ci coś powiedzieć. Usiądź tu, na tym stołku. – Wskazał na stojący obok niego taboret i pokazał kciukiem sufit, ostrzegając mnie w ten sposób przed podsłuchem.

Usiadłem na stołku.

–Pozwól, że dam ci pewną radę, mecenasie – powiedział cicho, pochylając się ku mnie. – Nie dociera do mnie wiele z zewnątrz, ale słyszałem, że chce ci się dobrać do

**skóry Ferragamo. I nie robi tego**

tylko po to, żeby zakwestionować moje alibi, ale dlatego, że wystrychnąłeś go na dudka w sądzie, a potem uratowałeś mi życie i spierdoliłeś cały jego plan. Teraz w głowie ma tylko vendettę. Więc uważaj na siebie.

–Wiem o tym. – Szczególny paradoks: Frankowi Bellarosi zaproponowano ugodę, a mnie groziło dziesięć lat za złożenie fałszywych zeznań. I jedynym człowiekiem, który mógł mnie obciążyć, był tenże Frank Bellarosa. Oczywiście zdawał sobie z tego świetnie sprawę i byłem przekonany, że bawiła go ironia całej sytuacji. Jakby na potwierdzenie tego uśmiechnął się.

–Nie bój się, mecenasie – powiedział – nie sypnę cię. Nawet jeśli złapią mnie za jaja i będę musiał wydać paru ludzi, nie sprzedam cię Alphonse'owi.

Ten facet, pomyślałem, najpierw wpędza cię w poważne kłopoty, potem pomaga ci się z nich wykaraskać, potem mówi, że jesteś mu winien uprzejmość, potem wyświadczając mu tę uprzejmość popadasz w kolejne kłopoty i tak to trwa bez końca. Teraz spodziewał się chyba z mojej strony podziękowań:

–Proszę cię, Frank – powiedziałem tak samo cicho jak on – nie wyświadczaj mi już więcej żadnej uprzejmości. Jeszcze kilka takich uprzejmości i będzie po mnie.

Wybuchnął śmiechem, ale musiał mieć nieźle pokiereszowane zębra, bo zaraz skrzywił się z bólu i jeszcze bardziej poblądł na twarzy. Wypił resztkę sambuki, odczekał, aż uspokoi mu się oddech, i poprawił się w fotelu.

–Jak się miewa twoja żona? – zapytał.

–Która?

Uśmiechnął się.

–Susan. Twoja żona.

–Dlaczego mnie pytasz? Przecież tutaj przychodzi.

–No tak... ale od jakiegoś czasu już jej nie widziałem.

–Podobnie jak i ja. Wróciła do domu dopiero wczoraj.

–Tak. Pojechała odwiedzić dzieci do ich szkół. Zgadza się?

–Zgadza.

**A jeszcze przedtem wybrała się po raz kolejny do Hilton Head, zahaczając po drodze o Key West, żeby spotkać się ze swoim bratem, Peterem, który odznacza się heliotropizmem.**

**Susan i ja nie odbyliśmy ze sobą zasadniczej rozmowy, zasugerowałem**

jej jednak podczas krótkiej wymiany zdań, żeby nie odwiedzała więcej Alhambry. Odniosłem wrażenie, że się ze mną zgadza., mimo to jednak prawdopodobnie przychodziła tu nadal; była tu nie dalej jak wczoraj, jeśli to od niej właśnie były te kwiaty. Frankowi musiało to po prostu wypaść z pamięci.

Oczywiście powinienem się wyprowadzić, ale to nie jest takie łatwe.

Po pierwsze, zdawałem sobie sprawę, że ponoszę część odpowiedzialności za wszystko, co nam się wydarzyło od kwietnia. Po drugie, Susan częściej nie było, niż była w domu, wyprowadzka więc nie stanowiła palącej kwestii. Po trzecie, możemy z Susan przez długie tygodnie nie odzywać się w ogóle do siebie, per czwarte, moje finanse – mówiąc szczerze – znajdowały się w katastrofalnym stanie, po piąte, wciąż ją kochałem i ona kochała mnie, a po szóste, sama prosiła przecież, żebym został.

Mieszkałem zatem kątem u swojej żony – mąż w pustym domu, zagrożony zamachem świadek w procesie przeciwko przywódcy mafii, społeczny parias, kapitan bez łodzi, finansowy bankrut i kłopotliwy wspólnik firmy Perkins, Perkins, Sutter Reynolds. Ta ostatnia, nawiasem mówiąc, wysłała pod adresem mojej kancelarii w Locust Valley list polecony, który zdecydowałem się otworzyć. Proszono mnie w nim, abym bezzwłocznie wycofał swe udziały z firmy. List podpisali wszyscy starsi wspólnicy, czynni i emerytowani, nawet tacy, którzy nie pamiętali swoich własnych nazwisk, nie mówiąc już o moim.

Widniał wśród nich również podpis Josepha P. Suttera. Z tatki zawsze był wielki figlarz.

W porządku, niech diabli wezmą Perkinsa, Perkinsa, Suttera i Reynoldsa. Przydałoby się przyłać im wszystkim parę razy ołowianą rurką. Mogli mnie wcześniej jakoś zachęcić do odejścia. Grunt to odpowiednia motywacja.

–Cieszę się, że nie jest na mnie zła – odezwał się Bellarosa.

Spojrzałem na niego.

–Kto? – zapytałem.

–Twoja żona.

–Dlaczego miałaby być zła?

–Dlatego, że o mało przeze mnie nie zginąłeś.



**–Nie wygłupiaj się, Frank. Nie dalej jak kilka dni temu powie- działa mi: "Słuchaj, John, wprost nie mogę się doczekać, kiedy Frank**

poczuje się trochę lepiej. Moglibyśmy znowu wybrać się razem do "Giulia".

Próbował powstrzymać się od śmiechu, ale nie udało mu się i znowu rozboleły go zębra.

–Hej... przestań... zamordujesz mnie...

Wstałem z taboretu.

–W porządku, Frank, teraz chcę ci powiedzieć coś mniej śmiesznego. Wiesz świetnie, że prawie nie rozmawiamy ze sobą z Susan i wiesz świetnie dlaczego. Jeżeli ona chce tutaj przychodzić, to jej sprawa, ale nie życzę sobie, żebyś rozmawiał ze mną o niej tonem luźnej pogawędki. Rozumiesz?

Bellarosa wlepił wzrok w ścianę, co, jak się już nauczyłem, było u niego sygnałem, że chce zmienić temat.

–Muszę już iść – powiedziałem i ruszyłem w stronę drzwi. – Czy mam powiedzieć siostrze, żeby przyniosła ci basen?

–Hej, czy podziękowałem ci już za uratowanie mi życia? – zapytał ignorując moją złośliwość.

–Nie przypominam sobie.

–No właśnie. A wiesz dlaczego? Bo w moim fachu "dziękuję" nic nie znaczy. "Dziękuję" mówi się kobietom i ludziom z zewnątrz.

A ja, mecenasie, mam wobec ciebie dług wdzięczności.

–Jezu Chryste, Frank. Mam nadzieję, że nie rozumiesz przez to uprzejmości. / – Zgadza się. Jestem ci winien uprzejmość. Nie wiesz, co to jest uprzejmość. Dla Włochów uprzejmości są niczym pieniądze w banku.

Gromadzimy uprzejmości, handlujemy nimi, liczymy je jak aktywa, przechowujemy i inkasujemy. Mam wobec ciebie wielki dług. Za uratowanie życia.

–Możesz mi go nie zwracać.

–Nie. Musisz powiedzieć, w jaki sposób mam ci się zrewanżować.

Spojrzałem na niego. Przypominało to rozmowę z wywołanym z butelki dżinem. Ale dżinom nie należy ufać.

**–Powiedzmy, że dojdzie do procesu, a ja poproszę cię, żeby Jack Weinstein nie powoływał mnie na świadka obrony. Czy spełniłbyś taką prośbę, nawet jeśli oznaczałoby to, że zostaniesz skazany za morderstwo, którego nie popełniłeś?**

**Nie wahał się nawet sekundy.**

–Masz to, o co poprosisz. Jestem ci winien życie.

Skinąłem głową.

–Zastanowię się jeszcze. Może będziesz mógł mi wyświadczyć jakąś inną, większą uprzejmość.

–Jasne. Wpadnij jeszcze kiedyś.

Otworzyłem drzwi, po czym odwróciłem się do niego.

–Pamiętasz tę historię? Indianie stoją na plaży, no wiesz, a Kolumb schodzi na brzeg i mówi do nich: Buongiorno i wtedy jeden z Indian odwraca się do żony i mówi: "O, cholera, będziemy mieli nowego sąsiada".

Zamykając za sobą drzwi, słyszałem, jak śmieje się i zanosi kaszlem.

Rozdział 36 Postanowiłem pójść w końcu do kancelarii przy Wall Street uporządkować tam swoje sprawy. Usiadłem w swoim gabinecie – dawnym gabinecie mojego ojca – i zastanawiałem się, jak mogłem zmarnować tyle lat życia w takim miejscu. W końcu jednak zmobilizowałem całą swoją silną wolę i zabrałem się do dzieła, czyniąc dla mojej firmy i klientów w zasadzie to samo, co wykonałem już wcześniej w kancelarii w Locust Valley, to znaczy sporządzając notatki na temat każdego klienta i każdej sprawy oraz parcelując wszystko między różnych adwokatów, którzy, moim zdaniem, najlepiej się do tego nadawali. Było to i tak więcej, niż uczynił mój ojciec, a także więcej, niż uczynił Frederic Perkins, zanim wyskoczył przez okno.

Mimo lojalności i sumienności, jaką się wykazałem, powitano mnie pod numerem 23 Wall Street niczym czterystupunktowy spadek Dow-Jonesa. Nie bacząc na to, przez ponad tydzień wytrwałem na posterunku, nie rozmawiając z nikim poza moją sekretarką Louise, która miała mi wyraźnie za złe to, że przez ostatnie kilka miesięcy zostawiłem wszystko na jej głowie i że musiała odpowiadać na wszelkie możliwe pytania, zadawane przez klientów i wspólników na temat spraw i akt pana Suttera. Żeby odprężyć się po długim dniu pracy, a także z pewnych innych względów, zamieszkałem w "Yale Club" na Manhattanie. Położony przy Vanderbilt Avenue klub jest przestronny i wygodny, ma także bardzo ładne pokoje gościnne. Śniadania i obiady są całkiem smaczne,

a w barze panuje przyjazna atmosfera. W sali koktajlowej umieszczono telefaks bezpośrednio połączony z giełdą, dzięki czemu klient może w każdej chwili sprawdzić, czy stać go jeszcze na drinki; jest tu poza tym sala gimnastyczna, basen i korty do gry w squasha, a klientelę stanowią absolwenci Yale. Czegóż więcej chcieć od życia? Można by tu właściwie przenieść się na stałe i uczyniłoby to z pewnością wielu pozostających w mojej sytuacji członków, gdyby nie to, że władze klubu patrzą niechętnym okiem na przedłużające się pobyty zbłąkanych mężów, a w ostatnim czasie zbłąkanych żon. W związku z obecnością tych ostatnich, na samotnego mężczyznę czyhają tutaj liczne pułapki, ja jednak miałem dość kłopotów na głowie, zaraz więc po kolacji, obowiązkowej lekturze gazet, wypaleniu cygara i wypiciu kieliszka porto w salonie (w czym naśladowałem innych podstarzałych dżentelmenów w wytartych tweedach), udawałem się na spoczynek.

Pewnego wieczoru przyprowadziłem tutaj Jenny Alvarez.

–W jakim świecie ty żyjesz – oznajmiła mając na myśli klub.

–Chyba nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem.

Rozmawialiśmy o rozgrywkach baseballu, a ona wyśmiewała się ze mnie przypominając łomot, jaki Jankesi spuścili ostatnio Metsom.

Kto by się tego spodziewał?

Rozmawialiśmy więc prawie o wszystkim, nie mówiliśmy tylko o Bellarosie, telewizyjnych wiadomościach i seksie – jak sądzę po to żeby udowodnić sobie po prostu, że łączy nas głęboka przyjaźń oparta na wielu wspólnych zainteresowaniach. Właściwie jednak, jak się okazało, poza baseballlem, nie mieliśmy ich więcej. Skończyło się na tym, że zaczęliśmy rozmawiać o własnych dzieciach, a ona pokazała mi zdjęcie swojego syna. I chociaż mieliśmy na siebie wyraźną chętkę, to nie zaprosiłem jej na górę, do mego pokoju.

W ten sposób spędziłem w "Yale Club" prawie dwa tygodnie, co bardzo mi odpowiadało, nie musiałem bowiem stykać się z rodziną i przyjaciółmi na Long Island. Podczas weekendu odwiedziłem Carol i Edwarda w ich szkołach.

W\* połowie następnego tygodnia wyczerpałem wszelkie możliwe wymówki, które usprawiedliwiały mój wyjazd z Lattingtown, wymeldowałem się zatem z "Yale Club" i powróciłem do Stanhope Hall po to tylko, aby odkryć, że Susan przygotowuje się właśnie do złożenia kolejnej wizyty w Hilton Head i Key West. Być może zazdrościcie

ludziom takim jak my, którzy mają dość czasu i pieniędzy, żeby zaoszczędzić sobie wielu nieprzyjemnych chwil – i być może zazdroszcząc nam macie rację. Jeśli jednak chodzi o mnie, kończyły mi się pieniądze, a zatem i czas, a cierpieć nie mniej, niż gdybym był przedsiębiorcą budowlanym bądź państwowym urzędnikiem. Najwyraźniej coś trzeba było zrobić.

–Gdybyśmy wynieśli się stąd na stałe – powiedziałem Susan przed jej wyjazdem – to sądzę, że potrafilibyśmy pogodzić się z tym, co zaszło. Myślę, że moglibyśmy zacząć wszystko od nowa.

–Kocham cię, John – odpowiedziała – ale nie chcę się stąd wyprowadzać. Nie sądzę też, żeby nam to coś dało. Albo uda nam się tutaj rozwiązać nasze problemy, albo tutaj się ze sobą rozstaniemy.

–Wciąż odwiedzasz sąsiednią posiadłość? – zapytałem.

Kiwnęła głową.

–Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

–Muszę to załatwić po swojemu.

–Co załatwić?

–Ty też odwiedziłaś sąsiednią posiadłość – stwierdziła nie odpowiadając na moje pytanie. – A przecież nie jesteś już jego adwokatem. Po co tam poszedłeś?

–Jeśli ja tam idę, to nie jest to samo, kiedy ty tam chodzisz, Susan – odparłem. – I nie próbuj robić ze mnie głupka pytając dlaczego.

–Dobrze, ale powiem ci, że ty również nie powinieneś tam chodzić.

–A to dlaczego? Czy to cokolwiek komplikuje?

–Być może. Sprawa jest już i tak wystarczająco skomplikowana – powiedziała i pojechała na lotnisko.

Tydzień później, w zimny, deszczowy listopadowy dzień, wbrew dobrej radzie, jaką dała mi Susan, postanowiłem pójść odebrać pieniądze, które był mi wciąż winien Bellarosa, a także, co ważniejsze, prosić go o przysługę. Ponieważ padało, wybrałem drogę od frontu. Trzej pilnujący bramy faceci z FBI byli wyjątkowo nachalni i przez krótką chwilę zatęskniłem za Anthonym, Lennym i Vinniem.

25 – Złote Wybrzeże t. II Stojąc pod daszkiem stróżówki, obserwowałem gapiącego się na mnie przez okno jednego z funkcjonariuszy, który rozmawiał przez telefon. Dwóch pozostałych, uzbrojonych w strzelby, stało koło mnie.

–Czy coś jest nie w porządku z moim paszportem? – zapytałem ich. – Czy // Duce dzisiaj nie przyjmuje? W czym problem?

Jeden z agentów wzruszył ramionami. Po dłuższej chwili ten, który rozmawiał przez telefon, wyszedł ze stróżówki i poinformował mnie, że nie mogę odwiedzić dzisiaj pana Bellarosy.

–Moja żona przychodzi tutaj i wychodzi, kiedy tylko chce – powiedziałem. – Niech pan zaraz wraca do tego pierdolonego telefonu i każe mnie wpuścić.

Wrócił. Chociaż nie wiadomo, dlaczego wydawał się na mnie rozeźlony.

Ruszyłem zatem brukowaną aleją pod eskortą faceta ze strzelbą, który przekazał mnie przy drzwiach facetowi w krawacie. Ten przejechał po moim ubraniu detektorem w poszukiwaniu niebezpiecznych metalowych przedmiotów. Nie rozumieli, że gdybym chciał zabić Bellarosę, zrobiłbym to gołymi rękoma.

Zauważyłem, że z palmiarni zniknęły wszystkie kwiaty, przez co sprawiała wrażenie większej i jakby bardziej pustej. Potem zorientowałem się, że nie ma również klatek z ptakami. Zapytałem o to jednego z agentów.

–Nie ma tu nikogo, kto by się nimi opiekował – odparł.

A poza tym grały na nerwach niektórym chłopakom. Został nam ten tylko jeden ptaszek, który śpiewa – dodał z uśmiechem. – Najgorzej.

Zaprowadzono mnie na piętro, tym razem do sypialni Bellarosy.

Mimo że dochodziła piąta po południu, zastałem Franka w łóżku siedział wyprostowany, ale nie wyglądał najlepiej.

Nie byłem nigdy w głównej sypialni Alhambry, teraz jednak zorientowałem się, że stanowiła ona część większego apartamentu który składał się poza tym z salonu po lewej stronie i garderoby na wprost. Za garderobą znajdowała się prawdopodobnie łazienka. Sama sypialnia nie była przesadnie duża, a ciężkie, ciemne śródziemnomorskie umeblowanie i czerwony welwet obić sprawiały, że wydawała się jeszcze mniejsza i ponura. Znajdowało się tu tylko jedno okno, o którego szyby bębnił deszcz. Gdybym się rozchorował, wolałbym leżeć w palmiarni.





Bellarosa wskazał mi stojące obok łóżka krzesło, przeznaczone, jak przypuszczam, dla pielęgniarki.

–Postoję – powiedziałem.

–Co mogę dla ciebie zrobić, mecenasie?

–Przyszedłem się z tobą rozliczyć.

–Tak? Chcesz, żebym wyświadczył ci przysługę? Powiedz, czego potrzebujesz.

–Najpierw to, co najważniejsze. Przyszedłem odebrać swoje honorarium. List i rachunek wysłałem ci już dwa tygodnie temu.

–Ach, tak... – Wziął z nocnego stolika kieliszek czerwonego wina i upił trochę. – Tak... no cóż, nie jestem już wolnym człowiekiem.

–To znaczy?

–Sprzedałem się jak dziwka. Robię teraz to, co mi każą.

–Czy to oni kazali ci nie płacić mojego rachunku?

–Tak. Mówią mi, jakie rachunki mam płacić. Twój do nich nie należy, mecenasie. To sprawa twojego kumpla Ferragamo. Ale porozmawiam w tej sprawie z kimś wyżej. W porządku?

–Nie zaprzataj sobie tym głowy. Potraktuję to jako kolejne życiowe doświadczenie.

–Daj mi znać. Chcesz trochę wina? – zapytał.

–Nie. – Przespacerowałem się po pokoju i spostrzegłem leżącą na nocnym stoliku książkę. Nie był to Machiavelli, lecz album z widokami Neapolu.

–To, co naprawdę mnie boli, to fakt, że nie mogę się już troszczyć o swoich ludzi – powiedział. – Dla Włocha to tak, jakby ucięli mu jaja. Capisce?

–Nie i nie chcę już niczego capisce. Ani jednej cholernej rzeczy.

Bellarosa wzruszył ramionami.

–A zatem pracujesz teraz dla Alphonse'a Ferragamo? – zapytałem.

**Wcale mu się to nie spodobało, ale nic nie odpowiedział.**

**–Możesz mi powiedzieć, co robią te buldożery w Stanhope Hall? – zapytałem.**

**–Pewnie. Będą kopać fundamenty. Kłaść drogi. IRS zmusił mnie do sprzedaży ziemi przedsiębiorcom budowlanym. – Żartujesz chyba? Cały świat wali mi się na głowę, a ty oświadczasz, że będę otoczony ze wszystkich stron szopami na traktory.**

–Jakimi szopami? Miłymi domkami. Będziesz miał mnóstwo sympatycznych sąsiadów.

Ziemia, którą dzielono na parcele i zabudowywano szopami, nie należała do mnie, w związku z czym prawdę mówiąc niewiele mnie to obchodziło.

–Co stanie się z pałacem? – zapytałem go.

–Nie wiem. Przedsiębiorca ma jakichś Japończyków, którzy zainteresowani są domem wypoczynkowym na wsi. Rozumiesz? Ci ludzie strasznie się stresują i potrzebują miejsca, w którym mogliby się odprężyć.

To były naprawdę przygnębiające wieści. Tam, gdzie niegdyś rozciągała się przepiękna posiadłość, urządzi się ośrodek wypoczynkowy dla wypalonych wewnątrznie japońskich biznesmenów, a wokół niego stanie trzydzieści albo czterdzieści nowych domów.

–Jak udało ci się załatwić zmianę klasyfikacji gruntów? – zapytałem go.

–Mam teraz wysoko postawionych przyjaciół. Na przykład w IRS. Mówiłem ci, są nienasytzeni, więc pozbywam się z ich pomocą wszystkiego. A Ferragamo wszczął przeciwko mnie postępowanie na mocy ustawy RICO i próbuje wyrwać, co się da, zanim położy na tym łapę pierdolone IRS. Są jak wilki – rozszarpują mnie na strzępy.

–Więc mówisz, że jesteś bankrutem?

Wzruszył ramionami.

–Jak już kiedyś powiedziałem, mecenasie, trzeba oddać cesarzowi co cesarskie. A pierdolony cesarz siedzi tuż obok, w sąsiednim pokoju i chce szybko dostać to, co do niego należy.

Uśmiechnąłem się.

–Ale nie więcej jak piętnaście procent, Frank.

Jego uśmiech był nieco wymuszony.

–Tym razem może dostanie więcej. Ale mnie wystarczy i to, co z tego zostanie.

–To dobra wiadomość. – Przyjrzałem mu się przez chwilę, naprawdę wyglądał jak człowiek pokonany. Niewątpliwie nie doszedł jeszcze do siebie pod względem fizycznym, poza tym jednak wydawał się załamany psychicznie. Ulotnił się gdzieś

**cały jego wigor. Prawdopodobnie coś takiego właśnie miałem nadzieję zobaczyć,  
kiedy ratowałem mu życie, ale teraz ten widok nie sprawiał mi wcale**

przyjemności. W jakiś perwersyjny sposób wszyscy przyrównujemy się do buntownika, pirata, do kogoś wyjątego spod prawa. Jego istnienie stanowi dowód, że życie nie miażdży każdego, że dzisiejsze wszechobecne państwo nie jest w stanie zapędzić nas wszystkich w ślepy zaułek. Ale w końcu życie i państwo poradziło sobie z największym w całym kraju przestępcą i leżał oto powalony na obie łopatki. Była to rzecz nieunikniona i on zdawał sobie z tego sprawę, nawet wtedy, kiedy robił plany na przyszłość – plany, które nigdy nie miały się ziścić.

–Co stanie się z Alhambką? – zapytałem.

–Och, tak, ją także muszę sprzedać. Federalni chcą zrównać ten dom z ziemią. Sukinsyny. Tak jakby nie chcieli, żeby ludzie mówili:

"Tutaj mieszkał kiedyś Frank Bellarosa". Mam ich w dupie. Ale umówiłem się z nimi, że facet, który kupi posiadłość, wynajmie do budowy Dominica. Każę Dominicowi wybudować tutaj same małe Alhambry – ładne, małe, otynkowane na biało wille z dachem z czerwonej dachówki. – Uśmiechnął się. – Zabawne, nie?

–Możliwe. A Fox Point?

–Kupili go Arabi.

–Irańczycy.

–Zgadza się. Mam ich w dupie. I bardzo dobrze. Teraz wy wszyscy, którym nie podobało się, że zamieszkałem przy tej ulicy, będziecie patrzeć, jak te podpalane czarnuchy zajeżdżają wielkimi samochodami pod swój kościół i szwendają się po całej okolicy.

Roześmiał się słabo i zaraz chwycił go kaszel.

–Dobrze się czujesz?

–Jasne. To tylko ta przeklęta grypa. Straszna dziwka z tej pielęgniarki. Któregoś dnia, nic mi nie mówiąc, wyrzucili stąd Filomenę i deportowali ją czy coś w tym rodzaju. Annie pozwolili przyjść tutaj tylko kilka razy. Znowu mieszka w Brooklynie. Nie mam nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Oprócz pierdolonych federalnych.

Kiwnąłem głową. Departament sprawiedliwości, jeśli tylko chce, potrafi być bardzo przykry i małoduszny, a kiedy jednocześnie dobierze się człowiekowi do skóry IRS, jedyne, co mu pozostaje, to wsadzić głowę między nogi i pocałować się na pożegnanie we własny tyłek.

**–W zamian za co pozwoliłeś na to wszystko? Za wolność? – zapytałem.**

**–Zgadza się. Za wolność. Jestem wolny. Wszystko darowane.**

Ale najpierw musiałem wszystkich wydać i pozwoliłem federalnym, żeby bawili się ze mną jak kot z myszą. Jezu Chryste, ci faceci są gorsi od komuchów – powiedział i popatrzył na mnie. – Ale tak właśnie brzmiała twoja rada, prawda, mecenasie? Sprzedaj się, Frank.

Zacznij nowe życie.

–Tak, tak właśnie brzmiała moja rada – odparłem.

–Więc skorzystałem z niej.

–Nie, Frank. Podjąłeś samodzielną decyzję. Według mnie – dodałem – praktycznym rezultatem tego wszystkiego, a zarazem rzeczą najważniejszą jest to, że zaczynasz nowe życie. Domyślałem się, że opuścisz to miejsce pod nowym nazwiskiem.

–Tak jakby. W tej chwili objęty jestem federalnym programem ochrony świadków. Potem, jeśli będę grzeczny, otrzymam nową tożsamość. W nowym życiu chcę zostać księdzem. – Uśmiechnął się z wysiłkiem i wyprostował na łożku. – Masz, napij się ze mną trochę wina. – Wziął z nocnego stolika czysty kubek i nalał mi do pełna.

Upiłem łyk. To było chianti, kwaśne jak ocet; dojrzewało chyba we wnętrzu akumulatora. Jak chory człowiek mógł pić coś takiego?

–Nie powinienem nikomu mówić, dokąd jadę, ale wracam do Włoch – powiedział i poklepał leżącą na stoliku książkę. – Zabawne, że mówimy o powrocie, tak jakbyśmy stamtąd przyjechali. Moja rodzina mieszka w Ameryce od trzech pokoleń. W ciągu ostatnich trzydziestu lat odwiedziłem Włochy z dziesięć razy. Ale wciąż mówimy o powrocie. Czy wy też mówicie, że dokądś wracacie... ale dokąd? Do Anglii?

–Nie, ja nic takiego nie mówię. Może tylko w myślach, czasami, Ale ja jestem tutaj od zawsze. Jestem Amerykaninem. I ty nim jesteś.

W gruncie rzeczy, nie uwierzyłbyś, jaki jesteś cholernie amerykański.

Rozumiesz?

Uśmiechnął się.

–Tak, wiem, wiem. Nie spodoba mi się chyba życie we Włoszech, prawda? Ale tam jest bezpieczniej. Lepsze to niż życie za kratkami! albo śmierć. Federalni uzgodnili wszystko z włoskim rządem. Może któregoś dnia będziesz mnie mógł odwiedzić.

Nie odpowiedziałem. Przez chwilę obaj popijaliśmy w milczeniu wino. Po jakimś

czasie Bellarosa odezwał się, ale tak naprawdę nie mówił do mnie, lecz do siebie i być może do swoich paesanos, których sprzedawał en bloc.



–Stary kodeks milczenia jest martwy – powiedział. – Nie ma już więcej prawdziwych mężczyzn, nie ma bohaterów i facetów, którzy chodzą z podniesionymi głowami. Nie ma ich po żadnej stronie barykady. Wszyscy – policjanci i złodzieje – jesteśmy papierowymi, należącymi do klasy średniej facetami i kiedy nas przycisną, idziemy na układy, żeby ratować własny tyłek, pieniądze i życie. Gotowi jesteśmy zdradzić każdego i cieszymy się, że dają nam szansę, żebyśmy mogli to zrobić.

Ponownie nic nie odpowiedziałem.

–Siedziałem kiedyś w kryminale, mecenasie – powiedział. – To nie jest miejsce dla takich ludzi jak my. Ono jest dla nowego typu przestępców, dla ludzi o ciemniejszym kolorze skóry, dla twardzieli.

Moi ludzie nie walczą już na śmierć i życie. Staliśmy się podobni do was. Zrobiliśmy się miękczy.

–No cóż, może będziesz mógł uprawiać ziemię na tej swojej farmie niedaleko Sorrento.

Roześmiał się.

–No pewnie. Wieśniak Frank. Wszystko na to wskazuje – powiedział i spojrzał mi prosto w oczy. – Zapomnij o Sorrento, mecenasie. Capisce?

–Słyszę. Dam ci pewną radę, Frank – dodałem ciszej. – Także federalnym nie ufaj, że zachowają w tajemnicy twój przyszły adres.

Jeśli wyślą cię do Sorrento, nie siedź tam za długo.

Mrugnął do mnie.

–Miałem rację, że zrobiłem cię honorowym Napoletano.

–Przypuszczam również, że Anna jedzie razem z tobą, uważaj więc na stemple na listach, które będzie wysyłała do domu. Zwłaszcza do swojej siostry. Zabierasz ze sobą Annę, prawda? – zapytałem.

–Tak – odparł po krótkim wahaniu. – Jasne. Jest moją żoną.

Co ma tutaj robić? Zapisać się do college'u i pójść do roboty w IBM?

–Czy tak samo martwi się z powodu wyjazdu, jak wtedy, kiedy się tutaj sprowadzaliście?

**–Musisz o to pytać? Na litość boską, ona nigdy nie chciała opuścić domu swojej matki. Pomyśl tylko o tych imigrantkach, które przyjeżdżały tutaj z pustymi rękoma ze słonecznej Italii i radziły sobie jakoś w nowojorskich czynszówkach. A teraz córki i wnuczki tych kobiet dostają rozstroju nerwowego, kiedy zepsuje im się**

pierdolona maszyna do zmywania naczyń. Rozumiesz? Ale nieważne, my też nie jesteśmy lepsi. Mam rację?

–Masz – odpowiedziałem. – Może bardziej jej się spodoba we Włoszech niż w Lattingtown.

–Nie sędzę. Wszystkie zamężne Włoszki są nieszczęśliwe. Są szczęśliwymi dziewczynami i wdowami, ale nieszczęśliwymi żonami.

Mówiłem ci już, nie sposób dać im szczęście, więc trzeba je ignorować.

Są tutaj wciąż moi synowie i Anna wariuje z ich powodu. Może też będą chcieli pojechać i żyć razem z nami. Kto wie? Może jeszcze tu kiedyś wrócę. Może wejdiesz któregoś dnia do pizzerii w Brooklynie i zobaczysz mnie za ladą. Pociąć ci pizzę na osiem czy dwanaście kawałków? – - Dwanaście. Jestem głodny. – Prawdę mówiąc, nie potrafiłem wyobrazić sobie siebie w charakterze klienta brooklyńskiej pizzerii, podobnie jak Franka Bellarosy za ladą. On sam zresztą nie mówił tego serio. Popisywał się tylko – może przede mną, a może przed federalnymi, jeżeli podsłuchiwali. Facet pokroju Bellarosy może znaleźć się na dnie, ale nigdy nie wychodzi z interesu. Kiedy tylko uda mu się wydostać z uścisku departamentu sprawiedliwości, z powrotem zaangażuje się w jakieś podejrzaną machinację. Jeśli pojawi się kiedykolwiek w jakiejś pizzerii, to wyłącznie po to, żeby sterroryzować właściciela.

–Zastanawiam się, jaką ci jestem winien przysługę – powiedział.

–Okay, Frank – powiedziałem odstawiając na bok kieliszek. – Chcę, żebyś powiedział mojej żonie, że między wami wszystko skończone i że nie zabierasz jej ze sobą do Włoch, o czym według mnie jest przekonana. Chcę także, żebyś powiedział jej, że tylko się nią posłużyłeś – po to, aby dotrzeć do mnie.

Popatrzyliśmy sobie długo w oczy.

–Załatwione – powiedział kiwając głową.

Ruszyłem w stronę drzwi.

–Nie zobaczymy się już więcej, ale wybaczysz mi, jeśli nie uścisknę ci ręki – powiedziałem.

–Jasne.

Otworzyłem drzwi.

–John – zawołał.

Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wcześniej odezwał się do mnie po imieniu, i obejrzałem się zaskoczony. Siedział wyprostowany na łożku.

–Jeśli chcesz, powiem jej, że się nią posłużyłem, ale to nie było tak. Powinieneś o tym wiedzieć.

–Wiem o tym.

–W porządku. Nasze drogi teraz się rozchodzą, mecenasie, ale kiedyś, po latach, uznamy, że to był dobry czas, czas, kiedy każdy z nas coś z siebie dał i coś otrzymał w zamian, czas, kiedy obaj trochę zmądrzeliśmy poznając się wzajemnie. Mam rację?

–Jasne.

–I uważaj na siebie. Kilku moich paesanos zagięło na ciebie parol. Mam na myśli Alphonse'a i tego drugiego. Ale ty potrafisz sobie z tym poradzić.

–Z pewnością.

–Jasne. Powodzenia.

–Wzajemnie – powiedziałem i wyszedłem z sypialni.

**Rozdział 37** Postanowiłem pojechać do Galveston, by złożyć wizytę Emily, i pakowałem właśnie odpowiednią na długą podróż liczbę ubrań. Odwiedzanie krewnych przypomina spacer w towarzystwie obstawy. Susan miała to już za sobą i teraz, po jej powrocie, nadeszła moja kolej.

Miałem zamiar podróżować samochodem, nie samolotem, całkiem możliwe bowiem, że na zachód od Nowego Jorku rozciąga się kraj, który trzeba zobaczyć z bliska, kraj, gdzie mieszkają ludzie, których trzeba spotkać – nie wypada ot tak nad nimi przelecieć. Fakt, że o tym pomyślałem, świadczył, jak mi się wydaje, o tym, że znalazłem się na właściwej drodze.

Wyczekiwałem z utęsknieniem na swój pierwszy lunch w restauracji McDonalda, na nocleg w zbudowanym z wielkiej płyty motelu i pierwszą RC Colę kupioną w Seven-Eleven. Niepokoiła mnie tylko trochę perspektywa tankowania w samoobsługowych stacjach; nie bardzo wiedziałem, jak się z nich korzysta. W ostateczności mogłem zatrzymać się z boku i podpatrzeć, jak robią to inni. Przypuszczam, że najpierw się płaci, potem tankuje.

Miałem zamiar wyjechać o świcie. Od czasu mojej ostatniej wizyty u Franka Bellarosy minęło zaledwie kilka dni. W tym czasie Susan wróciła do domu z wycieczki do Hilton Head i na Florydę. Była opalona i w świetnej formie. Poinformowała mnie, że jej brat pokochał Key West, zamierza osiąść tam na stałe i zrobić coś ze swoim

życiem.

–Na przykład co? – zapytałem. – Pójść do fryzjera?

–Nie bądź cyniczny, John.

Wiadomość o mojej transamerykańskiej wyprawie przyjęła z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony mój wyjazd łagodził napiętą sytuację, z drugiej jednak moja żona najwyraźniej za mną tęskniła. Nie jest łatwo kochać równocześnie dwie osoby.

Był wieczór i właśnie się pakowałem, kiedy do pokoju gościnnego, w którym wciąż mieszkalem, weszła Susan.

–Wybieram się na przejażdżkę – powiedziała.

Miała na sobie bryczesy, wysokie buty, sweter z golfem i szyty na miarę tweedowy żakiet. Wyglądała wyjątkowo dobrze; uroku dodawała jej opalenizna.

–Buldożery rozkopały cały teren, Susan – powiedziałem. – Bądź ostrożna.

–Wiem. Ale jest jasno jak w dzień.

Była to prawda. Na niebie wisiał wielki pomarańczowy księżyc w pełni i noc była tak piękna i kusząca, iż o mało nie zaproponowałem, że wybiorę się razem z nią. Dwie posiadłości podzielone były na parcele, Fox Point stało się terytorium irańskim, a pozostali posiadacze ziemscy przestali z nami rozmawiać – w tej sytuacji czasy naszych konnych przejażdżek bezpowrotnie odchodziły w przeszłość i nawet mnie zaczynało ich trochę brakować. Ale tej nocy postanowiłem, że nie będę jej towarzyszyć. Wyczułem, że chce być sama.

–Mogę późno wrócić – powiedziała.

–Nie szkodzi.

–Jeśli nie zobaczymy się już dzisiaj, proszę, obudź mnie, zanim wyjedziesz.

–Dobrze.

–Dobranoc.

–Przyjemnej przejażdżki – powiedziałem.

I wyszła. Kiedy patrzę na to z perspektywy, sprawiała wrażenie całkiem normalnej, ale wspominałem wam już, że miała nie po kolei w głowie, a swoją rolę odegrał też na pewno księżyc w pełni.

Okolo jedenastej wieczorem zacząłem się zastanawiać, czy nie iść spać, chciałem

bowiem wstać przed świtem i czekała mnie długa droga. Ale Susan wciąż nie wracała, a wiecie, jak trudno jest zasnąć jednemu z małżonków, kiedy tego drugiego nie ma w domu. Przypuszczam, że częściowo bierze się to z troski, częściowo z zazdrości,



cokolwiek jednak jest główną przyczyną, osoba oczekująca gorąco pragnie usłyszeć podjeżdżający pod drzwi samochód, nawet jeśli akurat nie odzywa się do współmałżonka.

W tym przypadku nie nasłuchiwałem oczywiście odgłosu zajeżdżającego samochodu, ale końskich kopyt, które udaje mi się czasami usłyszeć, odkąd stajnia stoi bliżej domu. Tymczasem jednak pod dom podjechał samochód. Zobaczyłem jego zbliżające się aleją reflektory na długo, zanim usłyszałem chrzęst opon na żwirze. Byłem wtedy, wciąż ubrany, w swojej sypialni na piętrze. Schodząc ze schodów] usłyszałem trzask zamykanych drzwiczek samochodu. W chwilę potem \ zabrzmiał dzwonek do drzwi.

Obcy samochód na podjeździe i dzwonek do drzwi o godzinie jedenastej wieczorem nie zapowiadają na ogół dobrych wiadomości.

Otworzyłem drzwi i ujrzałem stojącego za nimi z dziwnym wyrazem twarzy pana Mancuso.

–Dobry wieczór, panie Sutter.

–Co się stało? – Nie potrafiłem wykrztusić z siebie nic więcej.

Serce podeszło mi do gardła.

–Pańska żona...

–Gdzie jest? Coś się z nią stało?

–Nie. Przepraszam, nie miałem zamiaru... nic jej nie jest. Mimo to sądzę, że powinien pan ze mną pojechać.

Wyszedłem zatem w sztruksowych spodniach i bluzie na dwór i wsiedliśmy do jego samochodu. Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa jadąc pogrążoną w ciemności aleją, ale kiedy mijaliśmy stróżówkę, zobaczyłem wyglądającą przez okno Ethel Allard. Była dostatecznie blisko, byśmy mogli spojrzeć sobie prosto w oczy i zastanawiałem się, czy sprawiam wrażenie tak samo zatroskanego jak ona.

Wyjechaliśmy na Grace Lane, skręcając w lewo, w stronę Alhambry.

–Czy on nie żyje? ••- zapytałem pana Mancuso.

Spojrzał na mnie i kiwnął głową.

**–Domyślam się, że tym razem nie założył kamizelki kuloodpornej.**

**–Nie, nie założył. Czy łatwo robi się panu niedobrze?**

**–Widziałem, jak odstrzelili człowieka w głowę i jakoś się nie porzygałem, mimo że byłem świeżo po kolacji.**

**–To dobrze. Nie okryliśmy go i pewnie będzie pan miał okazję**

mu się przyjrzeć, bo nie wezwaliśmy jeszcze policji. Pojechałem po pana, panie Sutter, i przywożę pana tutaj z czystej uprzejmości, po to, żeby mógł pan porozmawiać z żoną, zanim przyjadą miejscowi detektywi.

–Dziękuję – odparłem. – Nie był mi pan winien żadnej uprzejmości, domyślam się zatem, że jestem teraz pańskim dłużnikiem.

–Zgadza się. A oto jak może mi się pan zrewanżować: niech pan pozbiera do kupy to, co pozostało panu jeszcze z pańskiego życia.

Chcę, żeby pan to zrobił.

–Załatwione.

Mancuso nie wydawał się wcale spieszyć, tak jakby podświadomie wahał się, co robić. Podjazd długą brukowaną aleją zabrał nam dłuższą chwilę. Zauważyłem bezwiednie, że w Alhambrze palą się wszystkie światła.

–Co za pałac – odezwał się Mancuso. – Ale, jak powiedział Chrystus: "Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł?" Nie sądziłem, by święty Feliks rozumiał prawdziwą naturę Franka Bellarosy.

–On nie sprzedał własnej duszy, panie Mancuso – odparłem. – Zawsze więcej kupował, niż sprzedawał.

Spojrzał na mnie ponownie.

–Myślę, że ma pan rację – powiedział.

–Czy pani Bellarosa jest w domu? – zapytałem.

–Nie. Pojechała do Brooklynu.

–I dlatego właśnie jest tu moja żona.

Nie odpowiedział.

–W gruncie rzeczy- dodałem – fakt, iż pani Bellarosa coraz więcej czasu spędzała w Brooklynie, bardzo odpowiadał panu Bellarosie i pani Sutter.

Znowu brak odpowiedzi.

–A wy nie tylko na to pozwalaliście, ale pomagaliście i przykładaliście do tego rękę.

**Tym razem odpowiedział.**

**–To nie była nasza sprawa, panie Sutter, lecz pańska. Świetnie pan o tym wie.**

**–Wiem, że musicie dbać o dobre samopoczucie swoich świadków,**

panie Mancuso, ale to nie oznacza, że musicie zajmować się rajfurzeniem.

–Rozumiem pańskie rozgoryczenie.

–A ja, panie Mancuso, rozumiem, że obaj nie jesteśmy już tacy czyści i niewinni jak na Wielkanoc.

–Wiem o tym – przytaknął. – To była bardzo brudna sprawa.

I nie mogę nawet powiedzieć, że cel uświęcał środki. Ale potrafię osiągnąć spokój wewnętrzny. Pan zresztą też.

–Spróbuję.

–Z zawodowego punktu widzenia nikt nie jest zadowolony z tego, że Frank Bellarosa zginął, zanim zdołał powiedzieć nam wszystko, co wiedział. Nikogo nie cieszy to, co zrobiła pani Sutter.

Więc może po prostu dostaliśmy to, na co sobie zasłużyliśmy, nie przestrzegając ściśle przepisów, pozwalając jej tu przychodzić i nie kontrolując nawet za pomocą wykrywacza metalu. Spada na nas część odpowiedzialności za to, co się stało. Może poprawi to panu samopoczucie.

–Ani trochę.

Samochód zatrzymał się przed Alhambrą. Wsiadłem i szybko wszedłem do środka. W palmiarni znajdowało się sześciu funkcjonariuszy FBI, dwóch w luźnych ubraniach z przewieszonymi przez ramię strzelbami, a czterech w garniturach. Wszyscy odwrócili się w moją stronę. Dwóch z nich podeszło do mnie i przeszukało, a następnie za pomocą detektora poddało procedurze, którą powinni zastosować wobec mojej żony.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, kiedy rozejrzałem się wokół siebie, była wielka palma leżąca blisko zwieńczonego hakiem przejścia, które prowadziło do jadalni. Gliniana donica była pęknięta i na czerwoną terakotę wysypała się ziemia i liście. Z tyłu, zasłonięty częściowo wielką donicą, leżał na podłodze mężczyzna. Podeszedłem do niego.

Frank Bellarosa leżał na plecach z rozrzuconymi rękoma i nogami.

Miał na sobie swój szlafrok w paski, który odwinął się odsłaniając nagie ciało. Na ramionach, szyi i nogach, tam gdzie przed kilkoma miesiącami oberwał z dubeltówki,

widać było zabliznione szramy. Były także trzy świeże rany, jedna powyżej serca, druga na wysokości żołądka, a trzecia dokładnie w kroczu. Zastanawiałem się, gdzie strzeliła najpierw.

Wszędzie było oczywiście mnóstwo krwi – na jego ciele i szlafroku, na podłodze i nawet na palmie. Trzy rany częściowo zakrzepły i wyglądały teraz jak czerwony kisiel. Po chwili zauważyłem plamy krwi w pewnej odległości od zwłok i zdałem sobie sprawę, że Bellarosa musiał spaść z otoczonego balustradą krużganka na górze. Podniosłem wzrok i uświadomiłem sobie, że stoję poniżej miejsca, w którym znajdowały się drzwi do jego sypialni.

Przyjrzałem się twarzy Bellarosy. Miał szeroko otwarte oczy, ale tym razem nie było w nich bólu ani łez – wyłącznie wieczność.

Ukląknęłam i zamknęłam mu powieki.

–Niech pan niczego nie dotyka, panie Sutter – usłyszałem za sobą głos pana Mancuso.

Wstałem i po raz ostatni spojrzałem na Franka Bellarosę. Przyszło mi na myśl, że Włosi zawsze zdawali sobie sprawę, iż podstawową przyczyną wszelkich kłopotów są ludzie posiadający zbyt wielką władzę, zbyt wielką charyzmę i zbyt wielkie ambicje. Włosi robią z takich ludzi półbogów, ale wszystkie te cechy budzą w nich jednocześnie nienawiść.

Z tej perspektywy zabójstwa Juliusza Cezara, Dona i // Duce stanowiły pod względem psychologicznym niezwykle skomplikowane przedsięwzięcie, grzech, w którym zawarte było jednocześnie odkupienie.

Być może Susan, która nie należała do osób przesadnie zawziętych, przyswoiła sobie – razem z nasieniem swego kochanka – sposób jego myślenia i postanowiła uporać się z problemem Bellarosy stosując typowe dla Bellarosy rozwiązanie. Ale kto to może wiedzieć na pewno? Może Johnowi tylko tak się wydaje.

Mancuso dotknął mojego ramienia i pokazał odległy kąt sali.

Pomiędzy kolumną i rosnącym w donicy drzewkiem, w miejscu, z którego nie było widać zwłok, siedziała na wiklinowym krześle Susan. Miała skrzyżowane nogi i ubrana była w kompletny strój do konnej jazdy, chociaż nie wiedziałem ani nigdy nie będę wiedzieć, czy nie zdjęła go w którymś momencie tego wieczoru. Jej długie rude włosy, które wcześniej związała i schowała pod czapką, były teraz rozpuszczone i potargane. Poza tym wydawała się jednak bardzo opanowana. Właściwie bardzo piękna. Ruszyłem w jej stronę.

Kiedy znalazłem się parę stóp od niej, podniosła wzrok, ale nie ruszyła się z miejsca. Zobaczyłem teraz stojącego obok kolumny funkcjonariusza FBI,

**przypatrującego się, a właściwie pilnującego jej.**



Susan spojrzała na niego, facet kiwnął głową i wtedy dopiero wstała i podeszła do mnie. To dziwne, pomyślałem, jak szybko dobrze urodzeni uczą się roli więźnia. Dziwne i przygnębiające.

Staliśmy w odległości kilku stóp od siebie i spostrzegłem, że wcześniej płakała, teraz jednak wydawała się spokojna. Jak już powiedziałem, opanowana. Przypuszczam, że nasza widownia oczekiwała, że rzucimy się sobie w ramiona, albo że któreś z nas się załamie lub może złapie drugą osobę za gardło. Wokół siebie czułem gotujących się do skoku sześciu lub siedmiu mężczyzn – na wypadek, gdyby doszło do tego ostatniego rozwiązania. Faceci byli napięci jak struny, zwłaszcza że przed chwilą stracili już jednego powierzonego ich opiece klienta. – - Dobrze się czujesz? – zapytałem w końcu swoją żonę.

Skinęła głową.

–Skąd miałaś broń?

–On mi ją dał.

–Kiedy? Dlaczego?

Sprawiała wrażenie trochę nieobecnej duchem, co jest dosyć normalne w tych okolicznościach.

–Kiedy wrócił ze szpitala – odpowiedziała po krótkim namyśle. – Ludzie z FBI przeszukiwali dom, a on miał ukryty pistolet i dał mi, żebym go dla niego przechowała.

–Rozumiem.

Spieprzyłeś sprawę, Frank, W gruncie rzeczy jednak, gdyby nie miała pistoletu, użyłaby noża albo pogrzebacza. W całym piekle nie znajdziecie gorszej furii od wzgardzonej rudowłosej kobiety.

Wierzcie mi.

–Czy złożyłaś już jakieś zeznanie? – zapytałem.

–Zeznanie...? Nie... Powiedziałam tylko... Zapomniałam...

–Nie mów nic żadnemu z nich ani policji, kiedy tu przyjedzie.

–Policji...?

**–Tak, jest już w drodze.**

**–Nie mogę wrócić do domu?**

**–Obawiam się, że nie.**

**–Czy pójdę do więzienia?**

**–Tak. Jutro cię stamtąd wyciągnę po złożeniu kaucji. – Chyba że tym razem mi się nie uda.**

. Skinęła głową i po raz pierwszy się uśmiechnęła. Z przymusem, ale szczerze.

–Jesteś dobrym adwokatem – powiedziała.

–Zgadza się. – Spostrzegłem, że jest blada i roztrzęsiona, i odprowadziłem ją z powrotem do krzesła. Rzuciła okiem na bałagan po drugiej stronie palmiarni i spojrzała na mnie.

–Zabiłam go – powiedziała.

–Tak, wiem. – Posadziłem ją na krzesło, ukląknęłam i wziąłem za rękę. – Chcesz się czegoś napić? – zapytałem.

–Nie, dziękuję. Zrobiłam to dla ciebie – dodała.

Wolałem pominąć to milczeniem.

Tymczasem przybyła miejscowa policja; umundurowani funkcjonariusze, detektywi w cywilu, ekipa zabezpieczająca ślady, policyjni fotografowie i inni osobnicy, którzy pojawiają się na ogół na miejscu zbrodni. Wydawali się bardziej zainteresowani wspaniałymi wnętrzami Alhambry niż jej nieżywym właścicielem, w końcu jednak zabrali się do roboty.

Susan obserwowała ich krzątanie, tak jakby nie miała z nią nic wspólnego. Nie odzywaliśmy się do siebie, ale wciąż przy niej byłem, klęcząc przy krzesle i trzymając ją za rękę.

Zobaczyłem, że Mancuso rozmawia z dużym muskularnym osobnikiem o rumianej twarzy i że podczas rozmowy bez przerwy zerkają na mnie i na Susan. W końcu duży facet podszedł do nas, a ja powstałem z kolan. Dołączyła do nas policjantka w mundurze.

–Jest pan jej mężem? – zapytał duży.

–Oraz jej adwokatem. Mógłby się pan przedstawić?

Naturalnie nie spodobał mu się ani mój ton, ani pytanie, ale z tymi facetami nie ma się co bawić w uprzejmości, ponieważ i tak cię nie polubią.

–Porucznik Dolan z wydziału zabójstw – odparł. – A pani jest Susan Sutter? – zwrócił się do Susan.

Kiwnęła głową.

**–W porządku, pani Sutter. W obecności pani męża, który jak rozumiem, jest także pani adwokatem, przeczytam teraz, jakie przysługują pani prawa.**

**Wyciągnął jedną z tych małych ściągawek, taką samą, jaką miał Mancuso, i zaczął czytać. Dobry Boże, można by pomyśleć, że**

26 – Złote Wybrzeże t. II potrafią zapamiętać kilka prostych linijek po dwudziestu latach ich powtarzania. Ja na przykład wciąż jestem w stanie wyrecytować cały prolog Opowieści Kanterberyjskich, mimo że nauczyłem się go na pamięć dwadzieścia pięć lat temu i napisany jest w języku średnioangielskim.

–Rozumie pani, jakie przysługują jej prawa? – zapytał Dolan.

Znowu kiwnęła głową.

–Czy ona rozumie? – zapytał spoglądając na mnie.

–Niezupełnie – odpowiedziałem. – Ale może pan zapisać, że tak.

–Chce pani złożyć teraz jakieś zeznanie? – zapytał.

–Ja... – zaczęła Susan.

–Nie – przerwałem jej. – Pani Sutter z całą pewnością nie zamierza składać teraz żadnych zeznań, poruczniku.

–W porządku – odparł Dolan i dał znak policjantce, która zbliżyła się do nas, trochę, jak mi się wydawało, zakłopotana.

–Proszę wstać, pani Sutter – powiedział Dolan.

Susan wstała.

–Jest pani aresztowana pod zarzutem morderstwa – oświadczył Dolan. – Proszę się odwrócić.

Policjantka wzięła bezwolną Susan za ramię, odwróciła i już zamierzała założyć jej z tyłu kajdanki, kiedy złapałem ją za nadgarstek.

–Nie – powiedziałem. – Z przodu. – Spojrzałem na Dolana. – Nie będzie próbowała zadusić pana kajdankami, poruczniku.

Nie zostało to dobrze przyjęte i Dolan toczył przez chwilę dookoła groźnym wzrokiem, w końcu jednak kazał policjantce założyć kajdanki z przodu.

Zanim to się stało, pomogłem Susan zdjąć żakiet. Kajdanki z przodu są wygodniejsze, mniej upokarzające i można je schować pod ubraniem, co uczyniłem, kiedy tylko Susan została skuta, zarzucając jej żakiet z powrotem na ramiona.

**Dolan i ja poznaliśmy się tymczasem trochę lepiej i to, czego się o sobie<sup>^</sup>do  
wiedzieliśmy, wcale nam się nie spodobało.**

**–Pani Sutter została przeszukana przez agentów federalnych przy zatrzymaniu –  
poinformował Dolan policjantkę, wystarczająco głośno, żebym i ja mógł go słyszeć. –  
Oświadczyli, że podejrzana nie jest uzbrojona, niemniej zrewidujcie ją ponownie na  
posterunku**

i sprawdźcie, czy nie ma przy sobie trucizny ani żadnych innych przedmiotów, za pomocą których mogłaby popełnić samobójstwo.

Trzymajcie przy niej straż przez całą noc. Nie chcę jej stracić. – Popatrzył na mnie przeciągle. – W porządku, możesz ją zabrać – zwrócił się do policjantki.

–Chwileczkę – powiedziałem. – Chcę porozmawiać z moją klientką.

Ale porucznik Dolan nie miał zamiaru współpracować ze mną tak zgodnie, jak to przed paroma miesiącami czynił w tym samym miejscu i w podobnych okolicznościach pan Mancuso.

–Jeśli chce pan z nią porozmawiać, może pan pojechać na posterunek – oświadczył.

–Zamierzam porozmawiać z nią teraz, poruczniku – odparłem.

Położyłem rękę na lewym ramieniu Susan, a policjantka złapała ją za prawe. Biedna Susan. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, wydawała się nie panować nad sytuacją.

Nim jednak sytuacja wymknęła się spod czyjejkolwiek kontroli, przyczłapał do nas Mancuso; położył Dolanowi rękę na ramię i odprowadził na bok. Przez chwilę rozmawiali, po czym porucznik odwrócił się do nas i dał znak policjantce, żeby się cofnęła.

Ująłem w dłonie skute ręce Susan i popatrzyliśmy na siebie. Nic nie mówiła, ale kurczowo ścisnęła moje palce.

–Susan... – powiedziałem w końcu. – Czy rozumiesz, co zrobiłaś?

Kiwnęła głową. Wydawała się teraz bardziej czujna i spojrzała mi prosto w oczy.

–Przepraszam cię za kłopot, John – powiedziała. – Powinnam była z tym poczekać do twojego wyjazdu.

To nie byłby wcale zły pomysł, ale prawdę mówiąc Susan nie miała zamiaru pozwolić mi wywinąć się z tego tak łatwo.

–Może w ogóle nie powinnaś go zabijać – powiedziałem.

Jej umysł zajęty był jednak czym innym bądź też po prostu nie chciała tego słyszeć.

–Czy możesz wyświadczyć mi uprzejmość? – zapytała. – Z tyłu domu czeka

**przywiązany Zanzibar. Wrócisz na nim do domu? Nie może tutaj zostać przez całą noc.**

**–Oczywiście, zaopiekuję się Zanzibarem.**



–Dziękuję. Mógłbyś także zajrzeć rano do Zanzibara i Jankesa?

–Dobrze.

–Czy jutro po południu będę już w domu?

–Możliwe. Jeśli uda mi się uzyskać zwolnienie za kaucją.

–Moja książeczka czekowa leży na biurku.

–Nie sądzę, Susan, żeby przyjmowali czeki – odparłem. – Ale na pewno jakoś to załatwię.

–Dziękuję ci, John.

Teraz, kiedy zapewniona została opieka nad końmi i dowiedziałem się, gdzie leży książeczka czekowa, nie mieliśmy już sobie, jak przypuszczam, dużo do powiedzenia. Może nie jest to odpowiedni moment, żeby popisywać się sarkazmem, – ale skłamałbym, gdybym nie wyznał, że trochę mnie to wszystko bawiło. Nie byłem jednak w stanie bawić się naprawdę, podobnie jak rozpaczać, dopóki nie zrozumiałem w pełni, co się wydarzyło.

–Dlaczego go zabiłaś? – zapytałem ją wbrew temu, co podpowiadał mi rozsądek.

Spojrzała na mnie tak, jakbym zadał jej głupie pytanie.

–On nas zniszczył. Wiesz o tym.

W porządku. Niech i tak będzie. Na tej podstawie mogliśmy, jeśli tylko zechcemy, odbudować to, co nas łączyło. Zrobiła to dla nas obojga i koniec. Nie można jednak budować wspólnego życia na kłamstwie.

–Nie okłamuj mnie, Susan – powiedziałem. – Czy nie oświadczył ci, że cię rzuca? Czy nie powiedział, że nie opuści dla ciebie Anny? Że nie zabierze cię ze sobą do Włoch? Że posłużył się tobą tylko po to, żeby dotrzeć do mnie?

Popatrzyła na mnie tak, jakbym w ogóle nie istniał i zorientowałem się, że ponownie przeniosła się myślami w rejony niedostępne zwykłemu śmiertelnikowi. Przypuszczam, że mogliśmy odbyć tę rozmowę w jakimś innym, dogodniejszym terminie, bardzo jednak ciekawiło mnie, czy bezpośrednią przyczyną śmierci Bellarosy był fakt, że oświadczył Susan, iż tylko się nią posłużył. Zastanawiacie się pewnie, czy puszczając to wszystko w ruch, zdawałem sobie sprawę bądź choćby podejrzewałem, jakie mogą być konsekwencje. To trudne pytanie.

**Muszę je sobie przemyśleć.**

**Spojrzałem na swoją żonę.**

–Jeśli zrobiłaś to dla nas, Susan – powiedziałem – w takim razie dziękuję ci za próbę ocalenia naszego małżeństwa i wspólnego życia. Nie musiałaś jednak wcale go zabijać.

–Musiałam, John. On był uosobieniem zła. Uwiódł nas oboje.

Nie stawaj po jego stronie. On też zawsze brał twoją stronę, a teraz ty robisz to samo. Jestem teraz wściekła na was obu. Wszyscy mężczyźni są tacy sami, zawsze się wzajemnie popierają, ale on różnił się od innych mężczyzn i opętał mnie. Próbowалам się kontrolować, naprawdę się starałam, ale nie potrafiłam bez niego wytrzymać, nawet kiedy mnie o to poprosiłeś, a on mnie wykorzystał i posłużył się mną.

Obiecał, że ocali Stanhope Hall i nie dotrzymał słowa. Ciebie także wykorzystywał, John, i wiedziałeś, co jest grane, więc nie patrz tak na mnie.

Ciągnęła dalej w tym samym stylu i uświadomiłem sobie, że występując o zwolnienie mógłbym powołać się na niepoczytalność umysłową sprawcy. Cóż z tego, skoro do rana Susan będzie znów • sobą – to znaczy wcale nie mniej pomyłona, ale przynajmniej bardziej zrównoważona.

Ująłem jej głowę w dłonie i bawiłem się przez chwilę jej miękkimi rudymi włosami. Przestała mówić i podniosła wzrok. Utkwiła we mnie swoje kocie zielone oczy i nie było w nich teraz ani śladu szaleństwa.

–Zrobiłam to, bo ty tego nie potrafiłeś, John. Zrobiłam to, żeby przywrócić ci honor. To ty powinieneś to zrobić. Miałeś rację, że nie pozwoliłeś mu umrzeć, ale potem powinieneś go zabić.

No cóż, gdybyśmy żyli w innym stuleciu albo innym kraju, miałyby rację. Ale nie w tym stuleciu i nie w tym kraju. Chociaż być może – podobnie jak Frank Bellarosa i jak Susan -ja też powinienem działać opierając się na tym, co podpowiadał mi mój pierwotny instynkt i pięćdziesiąt tysięcy lat ludzkiego doświadczenia. Ja natomiast rozumowałem logicznie, filozofowałem i bawiłem w intelektualistę, nie słuchając głosu natury, który od samego początku powtarzał: "On stanowi dla ciebie zagrożenie. Zabij go." Spojrzałem na Susan.

–Pocałuj mnie – powiedziała i ściągnęła swoje przepyszne usta.

Pocałowałem ją.

Przytuliła głowę do mojej piersi, popłakała chwilę i cofnęła się o krok.



–No dobrze – powiedziała dźwięcznym, chłodnym głosem. – Teraz do więzienia. Jutro chcę być na wolności, mecenasie.

Uśmiechnąłem się.

–Powiedz, że mnie kochasz – zażądała.

–Kocham cię.

–I ja cię też zawsze kochałam. I zawsze będę.

–Wiem.

Podeszła do nas policjantka. Delikatnie ujęła Susan pod ramię i poprowadziła ją w stronę drzwi wejściowych.

Patrzyłem za nią, aż zniknęła mi z oczu, ale ani razu się nie obejrzała. Wokół siebie odczuwałem cichą obecność wielu osób i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli się stąd jak najszybciej wyniosę, by mogli się z powrotem zabrać do roboty.

Ruszyłem w stronę tylnych drzwi, aby zająć się zgodnie z obietnicą Zanzibarem. Stąpając po podłodze z terakoty słyszałem echo własnych kroków; kątem oka spostrzegłem leżące po lewej stronie, wciąż niczym nie osłonięte zwłoki Bellarosy. Wokół niego stali ludzie, którzy uznali go za interesującego: policyjny fotograf, dwie laborantki i koroner.

Przeszedłem obok ciała, a potem minąłem coś z prawej strony.

Zatrzymałem się i obejrzałem. Była to duża mosiężna wystawowa sztaluga, na której spoczywał olejny obraz oprawiony w całkiem elegancką, jeśli mam być szczery, ramę w kolorach białym i jasnozielonym. Obraz przedstawiał oczywiście zrujnowaną palmiarnię Alhambry i przyjrzałem mu się nieco dokładniej. Był naprawdę całkiem udany, stanowił być może jedno z najlepszych płócien Susan, jakie oglądałem. Ale cóż ja takiego wiem o sztuce?

Patrzyłem na zrujnowaną palmiarnię, na prześwitujące przez dziurawą szklaną kopułę promienie słońca, na zniszczone tynki i na wijącą się wokół marmurowych kolumn winorośl, na popękane i pokruszone płyty podłogi, spomiędzy których wyrastały bezładnie chwasty. I zobaczyłem teraz w tym malowidle nie ekscentryczny bądź romantyczny obraz materialnej ruiny, ale lustrzane odbicie pogrążonego w rozkładzie, rozsypującego się umysłu\$\*nie wymarły świat minionej chwały, lecz wymarły świat umysłowego i duchowego zdrowia. Ale cóż ja takiego wiem o

**psychologii?**

**Zamachnąłem się i przebiłem pięścią płótno, wywracając je razem ze sztalugą na podłogę.**

**Nikt nie zwrócił na to specjalnej uwagi.**

**Rozdział 38 Był styczeń i dni zrobiły się krótkie i zimne.**

**Dochodziła czwarta po południu; słońce chowało się już za horyzontem, ale ja nie potrzebowałem ani nie chciałem za dużo światła.**

**Kutą z żelaza bramę Alhambry przedsiębiorca budowlany sprzedał i zastąpił dwójgim stalowych drzwi, spiętych łańcuchem, nie tak ściśle jednak, żebym nie mógł prześlizgnąć się do środka.**

**W stróżówce mieściło się teraz biuro sprzedaży, ale była niedziela i w małym domku panowała ciemność. Minąłem go i ruszyłem długą aleją, ubrany w wełnianą kurtkę. Sprzedano również kamienie, którymi wybrukowany był podjazd, i teraz pokrywało go zamrożone błoto, miejscami śliskie, zbytnio się więc nie spieszyłem. Znikły oczywiście rosnące wzdłuż alei kwiaty, ale zostały topole, bezlistne, szare i wysmukłe.**

**Na dziedzińcu przy końcu alei nadal stała rzeźbiona fontanna, ale ktoś zapomniał spuścić z niej jesienią wodę i marmurowy zbiornik był popękany i wypełniony brudnym lodem. A za dziedzińcem, tam gdzie niegdyś wznosiła się Alhambra, leżała teraz wielka kupa gruzu – czerwone dachówki, szczątki białej sztukaterii, belki i krokwie. Zrównali z ziemią całą rezydencję – dokładnie tak, jak to zapowiedział Bellarosa. Nie potrafiłem się jednak dowiedzieć, czy był to akt zemsty, czy też przedsiębiorca chciał się po prostu pozbyć białego słonia.**

**Ponieważ była niedziela, buldożery i koparki stały beczynnne i nikt nie kręcił się w pobliżu. Było bardzo cicho, tak cicho, jak potrafi**

być tylko zimą, kiedy słyszy się skrzypiącą pod stopami ziemię i trzaskające na mrozie drzewa. Mógłbym dodać, że słyszałem także tętent galopujących po twardym gruncie, widmowych koni, ale nie byłoby to zgodne z prawdą. Pomyślałem za to o pewnej zimowej przejażdżce, którą odbyliśmy tu razem z Susan.

Pomyślałem także o tym, co działo się tutaj rok temu, w styczniu, i przed oczyma stanął mi czarny cadillac, który pojawił się tutaj albo i nie pojawił, a także człowiek, którego widziałem albo i nie widziałem.

I przyszło mi do głowy, że gdyby wtedy nie zabłądził i nie zobaczył przypadkiem tego miejsca, sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót, najprawdopodobniej lepszy, ponieważ nie potrafiłem sobie wyobrazić gorszego. Śmierć Bellarosy wciąż wywoływała we mnie mieszane odczucia.

Z początku doznałem ulgi; szczerze mówiąc byłem prawie zadowolony.

Ten człowiek przysporzył mi wielu zmartwień, uwiódł moją żonę (albo to ona go uwiodła) i jego śmierć rozwiązała mnóstwo nękających mnie problemów. Nie wywarł na mnie większego wrażenia widok leżącego na podłodze, półnagiego i zalanego krwią trupa. Po pewnym czasie jednak zdałem sobie sprawę, że właściwie jest mi go brak, że odszedł na zawsze i że straciłem przyjaciela. Jak już jednak powiedziałem, wciąż targały mną sprzeczne uczucia.

Niedaleko sterty gruzu zauważyłem cztery długie skrzynie i podeszedłem, żeby im się bliżej przyjrzeć. W środku leżały cztery kartagińskie kolumny, gotowe do wysyłki, chociaż nie wiedziałem, dokąd pojedą tym razem. Nie z powrotem do Kartaginy, to pewne, być może jednak do jakiegoś muzeum albo domu innego bogacza. A może władze doszły do wniosku, że ich wartość będzie wzrastać, i do końca świata będą leżeć zapomniane w jakimś magazynie.

Obszedłem z prawej strony stertę gruzu kierując się na tyły posiadłości. Wszędzie wokół leżały stopy materiałów budowlanych, stały koparki i buldożery. Zauważyłem paliki projektantów, wbite w ziemię i połączone sznurkiem, na którym wisiały paski białego materiału; były także paliki geodetów, paliki murarzy i inne ostre przedmioty, tkwiące w obnażonej ziemi niczym kleszcze chirurga podczas sekcji zwłok.

Spacerując, mogłem dostrzec, że zalano już betonem fundamenty większości z pięćdziesięciu mających tu powstać domków i że chociaż

ocalało wiele drzew, cały teren zmienił się nie do poznania – pocięty wodociągami, gazociągami, kanalizacją i kablami elektrycznymi, zalany asfaltem i betonem. Kolejne kilkaset akrów z terenów wiejskich przeobraziło się w podmiejskie, sielanka ustępowała miejsca okaleczonej cywilizacji, a setki nie wiedzących jeszcze o tym ludzi z całego kraju było w drodze tutaj, niosąc ze sobą swoje zmartwienia oraz przyszłe rozwody, swoje zasilane propanem grille, opatrzone numerem skrzynki pocztowe i nadzieję, że w nowym miejscu będzie im lepiej niż w poprzednim. Amerykański sen, jak wiecie, ciągle potrzebuje nowych krajobrazów.

Przestała już także oczywiście istnieć posiadłość Stanhope'ów – na jej terenach wznosiło się teraz kilka domków w stanie surowym; skleconych z drzewa i thermopanu pomników nowoczesności, zaopatrzonych w mnóstwo świetlików, przesadnie duże garaże i centralną klimatyzację. Nie wyglądały najgorzej, przyznaję, ale i nie najlepiej.

Sama rezydencja, czyli niegdysiejszy Stanhope Hall, została sprzedana jakiejś japońskiej firmie, nie dostrzegłem jednak na razie ani jednego biznesmena z Kraju Kwitnącej Wiśni, biegającego po alejkach albo ćwiczącego na łące calisthenics z wykrzywioną od wysiłku twarzą.

W gruncie rzeczy pałac wydaje się tak samo opuszczony, jak był przez ostatnie dwadzieścia lat. Zasłyszana w pubie u "McGlade'a" (gdzie spędzam ostatnio zdecydowanie zbyt wiele czasu) wieść gminna głosi, że mali ludzie zamierzają rozebrać pałac kamień po kamieniu i przewieźć go do Japonii. Nikt jednak u "McGlade'a" nie wydaje się wiedzieć dlaczego.

Ocalała również świątynia miłości. Jej zdjęcie zamieszczone zostało w wydrukowanych przez obecnego właściciela reklamach. Obiecuje on pławienie się w przepychu i chwale Złotego Wybrzeża pierwszym stu chętnym, którzy zapłacą pierwszą ratę i czynsz za wycenione przez niego na pół miliona, wzniesione tutaj szopy na traktory.

Nie ma już jednak świętego gaju, nikomu bowiem nie zależało na zachowaniu na swoim podwórku dziesięciu akrów usychających śliw.

Altanka i labirynt wchodzi w skład rezydencji i mają szansę przetrwać, nie zalecałbym jednak ścieżek tego ostatniego nadużywającym alkoholu wschodnim biznesmenom.

Podzielono zatem Stanhope i Alhambrę, tak jak dzieliło się niegdyś łupy w dawnych wojnach; bramy i ogrodzenia nie stanowią już dla



nikogo przeszkody, a pałace obrócono w perzynę, wykorzystano w charakterze budulca lub przekształcono w domy wczasowe. W gruncie rzeczy nie był to już jednak mój problem.

Szedłem dalej, aż dotarłem tam, gdzie znajdowały się kiedyś sadzawka i fontanna albo przynajmniej, gdzie wydawało mi się, że się znajdowały, teraz bowiem ujrzałem tutaj tylko nagie fundamenty.

W miejscu, w którym rozciągał się niegdyś klasyczny ogród i stały | imitacje rzymskich ruin, biegła nie wylana jeszcze asfaltem ścieżka.

Neptun i Najświętsza Panienska zniknęli – ogarnięci niesmakiem] najprawdopodobniej zabrali się i poszli.

Ruszyłem z powrotem w stronę sterty gruzu. Idąc ścieżką, którą uciekała przede mną owego wielkanocnego poranka Anna, bezwiednie się uśmiechnąłem. Po jakimś czasie znalazłem się na tylnym patio, w zasadzie nienaruszonym, jeśli nie brać pod uwagę tego, że zniknęły lampy i piec do pieczenia pizzy.

Przebiegłem patio i rzuciłem okiem na ruiny domu. Połowę gruzu już wywieziono, nadal jednak rozpoznawałem położenie większości pomieszczeń, zwłaszcza palmiarni, gdzie widać było miejsce, w którym leżał zabity Frank Bellarosa.

Po mojej prawej ręce była kuchnia i pokój śniadaniowy, w którym nie tak dawno zabawiali nas na najprzeróżniejsze sposoby państwo Bellarosowie; po lewej sala balowa, określana również czasem mianem jadalni, gdzie urządziłem mały pokaz stepowania dla Susan. Dalej znajdowała się oranżeria, teraz obrócona w perzynę – stos potłuczonego szkła, popękanych glinianych donic i zniszczonych kwietników.

Wydostałem się na zewnątrz i stawiając ostrożnie kroki, obszedłem w zapadających ciemnościach ruiny budynku. Znalazłem się z powrotem na dziedzińcu, niedaleko fontanny, tam gdzie stał niegdyś jaguar Susan i gdzie stałem niegdyś ja, upozowany do zdjęcia, które mogło stanowić idealną reklamę jakiegoś kosztownego towaru wysokiej klasy. ^Wydawało mi się, że widzę samego siebie i Susan, czekających tutaj tego wiosennego wieczoru, aż otworzą się drzwi.

Kuląc się przed wiatrem ruszyłem z powrotem. Za bramą, po drugiej stronie Grace Lane spostrzegłem dom DePauwów, z rozjarzonymi światłem dużymi, kolonialnymi oknami – krzepiący widok, jeśli ktoś miał akurat ochotę na coś krzepiącego.

Idąc przypomniałem sobie swoje ostatnie spotkanie z Susan. Było to w listopadzie, na Manhattanie. Miałem uczestniczyć w przesłuchaniu w Sądzie Federalnym przy Foley Square – nie w charakterze obrońcy bądź męża, lecz tylko świadka wydarzeń związanych ze śmiercią objętego ochroną federalną pana Franka Bellarosy. Jak się okazało, nie potrzebowałem nawet składać zeznań; po kilku godzinach komisja orzekła, że sprawa nie zostanie przedstawiona ławie przysięgłych, ponieważ Susan Sutter, mimo że nie usprawiedliwiona w swoich działaniach, nie była jednak za nie odpowiedzialna. Brzmiało to dla mnie trochę mgliście, ale dalej mówiło się o ograniczonej poczytalności i obietnicy Stanhope'ów, że oddadzą swoją córkę w fachowe ręce. Mam nadzieję, że William i Charlotte nie uznali, że oznacza to zapisanie jej na lekcje rysunku albo kurs strzelecki.

Tak czy owak, władze schowały głowę w piasek, a sprawiedliwość bynajmniej nie poroniła; mieliśmy do czynienia z legalną aborcją.

Ale nie winie władz o to, że przerwały tę zagmatwaną i delikatną sprawę, i jestem szczęśliwy, że to zrobiły, ponieważ moja żona nie jest osobą, która dobrze by się czuła w więzieniu.

Wychodząc z sądu umyślnie wpadłem na schodach na Susan.

Otaczali ją jej rodzice, trzech rodzinnych adwokatów i dwóch wynajętych przez jej rodziców psychiatrów. William, nie wiadomo dlaczego, nie wydawał się szczególnie zachwycony moim widokiem, a Charlotte zadarła nos do góry, dosłownie, tak jak to się czasem widzi w starych filmach. Robiąc to, trzeba uważać, kiedy się schodzi po schodach.

Susan uwolniła się spod straży Stanhope'ów i podeszła do mnie.

–Cześć, John – powiedziała z uśmiechem.

–Cześć, Susan.

Pogratulowałem jej udanego występu w sądzie, a ona była wesola i pełna optymizmu, co nie powinno dziwić u osoby wychodzącej na wolność po dokonaniu zabójstwa, popełnionego na oczach około sześciu agentów federalnych, którzy szczęśliwym trafem nie potrafili sobie jednak dokładnie przypomnieć przebiegu wydarzeń.

Rozmawialiśmy krótko, głównie o dzieciach i nie poruszając kwestii rozwodu.

–Czy naprawdę jesteś nienormalna? – zapytałem ją w pewnej chwili.

**Uśmiechnęła się.**

–W wystarczającym stopniu, żeby nie stawać przed sądem. Ale nie rozpowiadaj tego.

Odwzajemniłem jej uśmiech. Zgodziliśmy się, że oboje bardzo współczujemy Annie, ale że być może lepiej jej będzie w życiu jako kobiecie samotnej, co nie było prawdą. Susan spytała mnie, czy byłem na pogrzebie Franka, na co odpowiedziałem twierdząco.

–Ja też oczywiście powinnam była pójść – stwierdziła – ale mogłoby to zostać źle odebrane.

–Istotnie mogłoby się tak zdarzyć – odparłem. – Ponieważ to ty go zabiłaś. Naprawdę, Susan, zrobiłaś to.

Ale może zupełnie nie łączyła już swojej-osoby z tym nieprzyjemnym incydentem. – Wyglądała, nawiasem mówiąc, świetnie; ubrana była w szytą na miarę szarą jedwabną bluzkę i żakiet, idealnie dobrane na tę okazję.

Na nogach miała szpilki. Nie mogła się prawdopodobnie doczekać, żeby je zrzucić.

–Wciąż cię kocham, wiesz o tym – powiedziałem, nie wiedziałem bowiem, kiedy i czy w ogóle ją jeszcze kiedyś zobaczę.

–I lepiej kochaj mnie dalej. Zawsze.

–Tak.

–Ja też będę cię zawsze kochać.

Rozstaliśmy się tam na schodach; ona wróciła do Hilton Head, a ja na Long Island. Mieszkam teraz w stróżówce Stanhope Hall razem z Ethel Allard, która nalegała, żebym wprowadził się do niej, kiedy Susan sprzedała dom gościnny. Stosunki między mną a Ethel układają się trochę lepiej niż w przeszłości. Wożę ją do sklepów i w niedzielę do św. Marka, chociaż sam w zasadzie nie robię już zakupów i nie uczęszczam na nabożeństwa.

Układ wydaje się odpowiadać nam obojgu -ja cieszę się, że mogę pomóc komuś, kto potrzebuje pomocy, a Ethel zadowolona jest, że ma w końcu okazję przyjąć pod swój dach jakiegoś bezdomnego.

Pochwała to również wielebny Hunnings.

Dom gościnny, w którym Susan i ja spędziliśmy dwadzieścia dwa lata naszego

małżeństwa i wychowaliśmy dwójkę naszych dzieci, został, nawiasem mówiąc, kupiony przez młodą, tryskającą energią parę. Korporacja, w której pracują, przeniosła ich tutaj z Dubuque bądź Duluth albo jakiegoś innego miejsca i oboje z zapalem wspinają

się po szczeblach kariery. Wyjeżdżają do miasta przed świtem i wracają po zmierzchu. Nie są całkiem pewni, jaką zajmują pozycję geograficzną i towarzyską, ale niecierpliwie czekają, kiedy zakończy się budowa nowych domów i będą się mogli nareszcie z kimś zaprzyjaźnić, żeby założyć drużynę kręglarską albo coś w tym rodzaju.

Wciąż widuję się od czasu do czasu z Jenny Alvarez, ale ona związała się teraz z gwiazdorem baseballu, który jest, nawiasem mówiąc, zawodnikiem Metsów. Nie wytykam jej jednak tego, kiedy się spotykamy.

Zgodnie z tym, co powiedziałem Susan, byłem na pogrzebie Bellarosy. Mszę odprawiono oczywiście u Świętej Łucji. Monsignor Chiaro celebrował ją z przepychem i mówił dobrze o zmarłym, realizacja czeku nie przysporzyła mu więc, jak sądzę, żadnych trudności.

Pogrzebano Franka na starym cmentarzu w Brooklynie i był to prawdziwy pogrzeb mafiosa, z setką czarnych limuzyn i ogromną ilością kwiatów, które zakryły tuzin innych grobów dookoła. Obecny był tam oczywiście Sally Da-Da, z którym wymieniłem ukłon, oraz Jack Weinstein, z którym umówiłem się na lunch w bliżej nie sprecyzowanej przyszłości. Pojawił się również Anthony, którego aresztowano pod jakimś zarzutem i zwolniono za kaucją, pojawił się Gruby Paulie oraz facet z połową twarzy, który jak się domyśliłem, nazywał się Aniello i był moim ojcem chrzestnym, a także całe mnóstwo kompletnych fizjonomii, które pamiętałem z przyjęcia w hotelu "Plaza" i wizyt u "Giulia". Anna nie wyglądała zbyt dobrze w czerni ani w ogóle zbyt dobrze podczas całej ceremonii. Otaczało ją tyle zawodzących kobiet, że w ogóle mnie nie zauważyła, co specjalnie mi nie przeszkadzało.

Annie towarzyszyli oczywiście jej trzej synowie: Frankie, Tommy i Tony. Frankie, najstarszy i największy, sprawiał wrażenie nieszkodliwego przygłupa. Tommy, student Cornellu, wydawał się typowym amerykańskim młodzieńcem, kimś, kto zakończy kiedyś swoją karierę w firmie Fortune 500. Tony, którego już kiedyś spotkałem, stał w mundurku La Salle, wyprostowany jak struna i schludny, ale jeśli nie patrzyło się na mundurek i ostrzyżone krótko włosy, wyglądał kubek w kubek jak Frank Bellarosa. Miał oczy, które bacznie się wszystkiemu i wszystkim przyglądały. Mnie też się dobrze przyjrzał, jakby próbował mnie oszacować, i jego podobieństwo do ojca było tak uderzające, że musiałem kilka razy zamrużyć, żeby upewnić się,

że nie mam przed sobą ducha. W pewnej chwili, podczas nabożeństwa przy grobie, zauważyłem, jak Tony przygląda się swojemu wujkowi Salowi, vel Sally'emu Da-Da, i na miejscu wujka uważałbym na to dziecko.

Był również obecny pan Mancuso, ale zatrzymał się taktownie w pewnej odległości od grobu razem z czterema fotografami, którzy uwieczniali całe wydarzenie dla potomności albo dla innych potrzeb.

Przypomniałem sobie, co powiedział przy grobie, cytując świętego Tymoteusza, stary monsignor Chiaro: "Nie przynosimy ze sobą niczego na ten świat i z pewnością niczego nie uda nam się zeń wynieść". Była to najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem od czasu, kiedy dowiedziałem się, że: "Tę drogę przebywamy tylko raz".

Tak to właśnie jest, myślałem, idąc między majestatycznymi topolami Alhambry, które takie wrażenie wywarły kiedyś na Franku Bellarosie. W życiu każdego człowieka jest czas odpływu i czas przyływu, czas budowania i czas burzenia; w historii świata, podobnie jak w krótkim życiu mężczyzn i kobiet, zdarzają się niekiedy cuda; jest czas na zachwyty i czas na cynizm; są sny, które mogą się spełnić, i takie, które się nie spełnią.

Nie tak dawno jeszcze (dokładnie rzecz biorąc w czasach mojego dzieciństwa) wszyscy wierzyli w przyszłość i żarliwie jej wypatrywali albo wręcz wyruszali na jej spotkanie. Dzisiaj jednak prawie każdy, kogo znam lub znałem, stara się zmniejszyć szybkość, z jaką posuwa się naprzód świat, i przyszłość staje się w coraz większym stopniu miejscem, do którego wcale nam nie spieszo. Ale może to wszystko nie jest zjawiskiem w skali cywilizacji czy narodu; może to tylko kryzys wieku średniego – odbicie mego obecnego stanu umysłu, na które nakłada się mroczna zimowa pora.

Ale wiosna nadejdzie, to pewne, podobnie jak to, że skończy się zima. Prawda? A ja upatrzyłem już sobie używany, mierzący pięćdziesiąt pięć stóp jacht klasy Allied, który mógłbym teraz w zimie kupić za pół ceny. Muszę tylko zawrzeć korzystny układ z moją szacowną firmą adwokacką. Razem z Carolyn i Edwardem odbędziemy próbny rejs na Wielkanoc i zanim zacznie się lato, będę gotów, wypłynąć ponownie z moimi dziećmi (jeśli będą miały ochotę) albo z kimkolwiek innym, kto zechce zamustrować się na pokład "Pauma414 noka II". Zawinę do Galveston, żeby zobaczyć się z Emily, i jeśli tylko uda mi się namówić ją i Gary'ego bądź jakieś inne dwie lub trzy osoby, które mają w sobie dość ikry, wyruszymy w rejs naokoło świata.

Dlaczego nie? Żyje się tylko raz.

Prześlizgnąłem się między skrzydłami bramy i wyszedłem z powrotem na Grace Lane, ruszając w stronę stróżówki i upichczonej przez Ethel niedzielnej pieczeni.

**A może, pomyślałem, kiedy wrócę do Ameryki, rzucę kotwicę w Hilton Head i zobaczę, czy zawsze oznacza zawsze.**

**Koniec**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2011-02-23**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*